

Rękopis znaleziony w Saragossie



Der Prediger.

Der Tod.

Der Tod zum Sebl.

Der Tod zum Kaiser.

Der Tod zum Kaiserin.



Der Tod zum Koenig.

Der Tod zum Koenigin.

Der Tod zum Grafen.

Der Tod zum Mönch.

Der Tod zum Ritter.



Der Tod zum Edelmann.

Der Tod zum Edelfrau.

Der Tod zum Kaufmann.

Der Tod zum Nonne.

Der Tod zum Krüppel.



Der Tod zum Habsesiser.

Der Tod zum Narr.

Der Tod zum Schultheiss.

Der Tod zum Soldat.

Der Tod zum Bauer.

JAN POTOCKI

Rękopis znaleziony w Saragossie

TŁUM. EDMUND CHOJECKI

DZIEŃ PIERWSZY

Hrabia Olavidéz¹ jeszcze nie był sprowadził² osadników do gór Sierra Morena³. Strome to pasmo, które oddziela Andaluzję od Manczy, zamieszkiwali wówczas kontrabandyści, rozbójnicy i kilku Cyganów, o których mówiono, że pożerali ciała zabitych wędrowców. Stąd nawet poszło hiszpańskie przysłowie: *Las gitanas de Sierra Moréna quieren carne de hombres*⁴. — Nie dość na tym. Podróżny, który odważył się zapuszczać w tę dziką okolicę, napastowany był (jak mówiono) przez tysiączne okropności, na widok których drżała najzimniejsza odwaga. Słyszał płaczliwe głosy mieszające się z hukiem potoków, wśród poświstu burzy mamili go błędne ogniki, a niewidome ręce popychały w bezdenne przepaście.

Gotycyzm

¹Olavidés, Pablo Antonio José (1725–1803) — hrabia de Pilos; hiszp. mąż stanu i polityk, gubernator Andaluzji, pisarz, tłumacz literatury fr. (m.in. sztuk Racine'a), reformator hiszp. teatru; w l. 1767–1776 osadził w górach Sierra Morena kolonizatorów niemieckich i holenderskich, którzy jednak nie spełnili oczekiwań rządu i nie przyczynili się do zmniejszenia przestępczości w regionie, wobec czego Olavidés został oskarżony przez inkwizycję o sprowadzenie do Hiszpanii przestępców i skazany w 1778 r. na 8 lat więzienia w klasztorze. Po udanej ucieczce wyemigrował do Francji, gdzie przebywał w l. 1780–1798 i w tym okresie zetknął się w Paryżu z Janem Potockim; o Olavidésie wspomina w swych *Pamiętnikach* Giacomo Casanova. [przypis edytorski]

²był sprowadził — daw. forma czasu zaprzeczonego, oznaczającego czynność wcześniejszą od wyrażonej czasem przyszłym prostym; znaczenie: sprowadził uprzednio. [przypis edytorski]

³Hrabia Olavidéz jeszcze nie był sprowadził osadników do gór Sierra Morena (...) — w wydaniu *Rękopisu znalezionego w Saragossie* Jana Potockiego z 1814 r. tekst główny poprzedzony jest, przypuszczalnie (jak twierdzą fr. badacze Rosset i Triaire) wysłą spod pióra autora, przedmową następującej treści:

„Jako oficer wojsk francuskich uczestniczyłem w oblężeniu Saragossy. W kilka dni po zdobyciu miasta, zapuściwszy się w dość odległą dzielnicę, zwróciłem uwagę na niewielki, ładnie zbudowany domek, którego, jak mi się zdawało, Francuzi nie zdążyli jeszcze splądrować.

Zdjęty ciekawością, zbliżyłem się i zastukałem w drzwi. Okazało się, że nie są zamknięte, pchnąłem je więc lekko i wszedłem do środka. Wolałem, szukałem — nie znalazłem nikogo. Odniosłem wrażenie, że wnętrze ogołocone jest z cenniejszych przedmiotów; na stołach i w szafach pozostały jedynie blade drobiazgi. Tylko na podłodze, w kącie, zauważyłem kilka zapisanych zeszytów. Przejrzałem ich zawartość. Był to rękopis hiszpański; jakkolwiek bardzo słabo znałem ten język, to przecież zdołałem pojąć, że znalazłem rzeczy zajmujące: rękopis zawierał historie o kabalistach, zbójcach i upiorkach. Lektura niezwykłych opowieści zdała mi się nader stosowną dla oderwania umysłu od trudów wojennej wyprawy. Osądziwszy, że rękopis utracił na zawsze prawowitego właściciela, bez wahania wziąłem go ze sobą.

Po pewnym czasie zmuszeni byliśmy opuścić Saragossę. Niestety znalazłem się z dala od głównego korpusu armii i wraz z moim oddziałem wpadłem w ręce nieprzyjaciela. Mniemałem, że wybiła moja ostatnia godzina. Gdy dotarliśmy tam, dokąd nas prowadzono, Hiszpanie zaczęli odbierać nam nasze rzeczy. Prosiłem o pozwolenie zatrzymania jednego tylko przedmiotu, który zresztą nie mógł przedstawiać dla nich żadnej wartości, a mianowicie znalezionego przeze mnie rękopisu. Początkowo robili mi niejaki trudności, na koniec zwrócili się o radę do kapitana. Ten, rzuciwszy okiem na zeszyty, osobiście mi podziękował za ocalenie dzieła, do którego przywiązywał wielką wagę, rękopis bowiem zawierał historię jednego z jego przodków. Wyjaśniłem, w jaki sposób szedłem w posiadanie cennych zeszytów. Hiszpan wziął mnie do swej kwatery, dobrze się ze mną obchodził i zatrzymał na dłuższy pobyt. Uproszony przeze mnie, tłumaczył rękopis na francuski, ja zaś wiernie zapisywałem jego słowa”.

Wprowadzenie to sytuuje w czasie „odnalezienia” rękopisu podczas kampanii hiszpańskiej Napoleona, którego wojska pod dowództwem Jeana Lannesa oblegały Saragossę dwukrotnie między 15 czerwca 1808 r. a 21 lutego 1809 r. Tymczasem, jak podkreślają współcześni badacze francuscy pism Jana Potockiego, tytuł powieści w znanej obecnie formie: *Rękopis znaleziony w Saragossie* nosi już porzucona wersja tekstu z 1804 r. [przypis edytorski]

⁴las gitanas de Sierra Moréna quieren carne de hombres (hiszp.) — Cyganie z Sierra Morena lubią mięso ludzkie; albo właściwie: Cyganki z Sierra Morena lubią męskie (a. ludzkie) ciało. [przypis edytorski]

Wprawdzie można było czasami znaleźć na tej strasznej drodze jaką wentę, czyli samotną gospodę, ale duchy, bardziej diabelskie niż sami oberżyci, zmusiły tych ostatnich do ustąpienia im miejsca i oddalenia się w kraje, gdzie jedynie głos ich sumienia przerywał im spoczynek, a z dwójga złego jedno wybierając, oberżyci woleli z tym drugim mieć do czynienia. Sam gospodarz z Andujar zaświadczał się świętym Jakubem z Composteli⁵, że w opowiadaniach tych żadnego fałszu nie było. Na koniec dodawał, że zbiry⁶ Świętej Hermandady⁷ zawsze wymawiali się od wycieczek w góry Sierra Morena, podróżni zaś przekładali jechać na Jaen lub Estremadurę.

Odpowiedziałem mu na to, że ten wybór mógł przypadać do smaku podróżnym zwyczajnego rodzaju, ale że gdy król *Don Phéliepe quinto*⁸ raczył zaszczycić mnie godnością kapitana w gwardii walońskiej, święte prawa honoru nakazywały mi udać się najkrótszą drogą do Madrytu, chociażby takowa była razem⁹ najniebezpieczniejsza.

— Młody panie — odparł gospodarz — wasza miłość dozwoli mi zwrócić uwagę, że jeżeli król zaszczycił was stopniem kapitana, zanim najłżejszy mech nie uczynił tego samego zaszczytu brodzie waszej miłości, słusznym byłoby przede wszystkim dać dowody roztropności, tym bardziej że skoro złe duchy raz się do jakiego miejsca przywiążą...

Byłby mi jeszcze więcej nabredził, ale spałem konia ostrogami i wtedy dopiero zatrzymałem się, gdy mój sędził, że mnie już słowa jego nie dojdą. Natenczas obróciwszy się, dostrzegłem go wywijającego rękami i wskazującego mi drogę na Estremadurę. Służący mój Lopez i przewodnik Moskito¹⁰, poglądali¹¹ na mnie litościwym wzrokiem, który zdawał się potwierdzać przestrogi oberżysty. Udawałem, jakoby nic tego nie rozumiał, i zapuściłem się między zarośla, gdzie następnie założono osadę nazwaną *La Carlota*.

Na miejscu, gdzie dziś stoi dom pocztowy, znajdowało się wówczas schronienie dobrze znane mulnikom i nazwane *Los Alcornogues*, czyli „Zielone Dęby¹²”, ponieważ dwa piękne drzewa tego rodzaju ocieniały obfite źródło ocembrowane białym marmurem. Była to jedyna woda i jedyny cień, jaki można było napotkać od Andujar aż do gospody Venta Quemada, obszernej i wygodnej, chociaż wystawionej pośród pustyni. Właściwie mówiąc, był to zamek mauretański, który margrabia Penna Quemada kazał wyporządzić i stąd nazwano go Venta Quemada. Margrabia wynajął go następnie pewnemu mieszkańcowi z Murcji, który w nim założył najznacniejszą w całym trakcie gospodę. Podróżni więc wyjeżdżali rano z Andujar, obiadowali w Los Alcornogues zapasami, jakie ze sobą przywieźli, i udawali się na nocleg do Venta Quemada. Tam często następny dzień przepędzali, ażeby przygotować się do przebycia gór i zaopatrzyć w nowe zapasy.

Taki był plan i mojej podróży.

Ale właśnie gdy zbliżyliśmy się do Zielonych Dębów i wspominałem Lopezowi o potrzebie posiłku, spostrzegłem, że Moskito znikł nam wraz z mulem objuczonym wszystkimi zapasami. Lopez odrzekł mi, że przewodnik pozostał kilka staj za nami, aby poprawić coś przy jukach. Czekaliśmy na niego, postąpiliśmy kilka kroków naprzód, potem znowu zatrzymaliśmy się, wołaliśmy, wróciliśmy tą samą drogą, aby go wynaleźć, ale wszystko na próżno. Moskito znikł i uniósł z sobą nasze najdroższe nadzieje, to jest cały obiad. Ja sam tylko byłem na czczo, Lopez bowiem przez cały czas zajadał ser z Tobozo, który wziął ze sobą na drogę, mimo to jednak bynajmniej nie był weselszy ode mnie i mruczał

⁵Jakub z Composteli (zm. 43/44) — Jakub Większy, jeden z apostołów Jezusa Chrystusa, syn Zebedeusza i Salome, starszy brat Jana Ewangelisty, męczennik i święty Kościoła, patron Hiszpanii i Portugalii, którego szczególny kult rozwinął się w Santiago de Compostela. [przypis edytorski]

⁶zbiry (daw.) — członkowie straży; w innym wyd. tegoż tłumaczenia: łucznicy. [przypis edytorski]

⁷zbiry Świętej Hermandady — członkowie hermandady; od hiszp.: *hermandad*: bractwo, powstałe w średniowieczu bractwa, rodzaj samoobrony czy milicji miejskich mających początkowo bronić pielgrzymów i tras ich wędrówek (miast i osad słynących cudami itp.) przed bandytami, ale także samowolą najemnych żołnierzy czy szlachty, właścicieli ziemskich; z czasem bractwa podporządkowane zostały władzy centralnej i służyły do ściągania podatków oraz egzekwowania poboru do wojska; instytucja zrzeszająca bractwa *Santa Hermandad* (hiszp.: święte bractwo) istniała do 1835 r. [przypis edytorski]

⁸*Don Phéliepe quinto* (hiszp.) — Filip V (1683–1746), król Hiszpanii z dynastii Burbonów, panował w l. 1700–1724, następnie abdykował na rzecz swego syna Ludwika I, by po jego śmierci wrócić na tron hiszpański w l. 1724–1746. [przypis edytorski]

⁹razem (daw.) — tu: zarazem, jednocześnie. [przypis edytorski]

¹⁰*Moskito* — inna wersja zapisu imienia: Moschito. [przypis edytorski]

¹¹*poglądali* (daw.) — patrzyli. [przypis edytorski]

¹²*zielone dęby* — właśc. dęby korkowe (*los alcornogues*). [przypis edytorski]

przez zęby, że gospodarz z Andujar miał słuszość i że pewno złe duchy porwały biednego Moskita.

Przybywszy do *Los Alcornoques*, ujrzałem przy źródle koszyk nakryty winnym liściem; musiały w nim być owoce zapomniane przez jakiego podróżnego. Ciekawie pograżyłem weń rękę i z przyjemnością znalazłem cztery piękne figi i pomarańczę. Ofiarowałem dwie figi Lopezowi, ale podziękował mi, mówiąc, że woli poczekać do wieczora. Zjadłem więc sam wszystko i następnie chciałem napić się wody ze źródła. Lopez wstrzymał mnie, dowodząc, że woda szkodzi po owocach i podał mi trochę pozostałego mu jeszcze alikantu. Przyjąłem jego ofiarę, ale zaledwie uczułem wino w żołądku, gdy doznałem nagłego ściśnięcia serca i byłbym niezawodnie zemdłał, gdyby Lopez nie był mi pośpieszył na pomoc. Otrzeźwił mnie, mówiąc, że nie powinienem się dziwić i że stan ten pochodził z czczości i znużenia. W istocie, nie tylko odzyskałem siły, ale nawet czułem się w stanie nadzwyczajnego rozdrażnienia. Okolica zdawała się połyskiwać tysiącnymi barwami, przedmioty zaiskrzyły się w mych oczach jak gwiazdy podczas letniej nocy i krew zaczęła mi bić gwałtownie, zwłaszcza na szyi i skroniach.

Lopez, widząc, że przyszedł do siebie, jął znowu rozwodzić narzekania.

— Niestety — mówił — dłaczegózem¹³ nie radził się Fra Hieronimo della Trinidad, mnicha, kaznodziei, spowiednika i wyroczni naszej rodziny; nie darmo jest on szwagrem pasierba świekry ojczyzna mojej macochy, a tak będąc naszym najbliższym krewnym, nie pozwala, aby co stało się w domu bez jego porady. Nie chciałem go słuchać i dobrze mi teraz. Jednakże często mi powiadał, że oficerowie z gwardii walońskiej byli narodem heretyckim, co też łatwo poznać po ich jasnych włosach, błękitnych oczach i czerwonych policzkach, wtedy gdy reszta uczciwych chrześcijan jest koloru Madonny z Atocha malowanej przez świętego Łukasza.

Wstrzymałem ten potok zuchwalstw, rozkazując Lopezowi podać mi dubeltówkę i pozostać przy koniach, podczas gdy sam chciałem się wdrapać na góry w nadziei, że odkryję zabłąkanego Moskita. Na te słowa Lopez załżał się łzami i rzucając się do mych nóg, zaklinał na imiona wszystkich świętych, aby go nie zostawiać samego w tak niebezpiecznym miejscu. Chciałem więc sam przypilnować koni, a jego posłać na wyszukanie Moskita, ale ten zamiar jeszcze bardziej go przestraszał. Na koniec przytoczyłem mu tyle dobrych przyczyn, że wreszcie pozwolił mi odejść i, dobywszy z kieszeni różańca, począł żarliwie się modlić.

Wierzchołki gór, na które miałem zamiar wejść, były bardziej oddalone, niżeli na pierwszy rzut oka mniemałem, i zaledwie po godzinie pochodu zdołałem na nie się dostać. Stanąwszy na szczycie, ujrzałem pod sobą dziką i pustą płaszczyznę, żadnego śladu ludzi, zwierząt lub jakiego mieszkania, żadnej drogi prócz tej, którą przyszedłem, i dokoła głuche milczenie. Przerwałem je wołaniem — echo mi tylko odpowiedziało w oddali. Na koniec wróciłem do źródła, znalazłem mego konia przywiązanego do drzewa, ale Lopez znikł bez żadnego śladu. Miałem dwie drogi przed sobą: albo wrócić do Andujar, albo puścić się w dalszą podróż. Uskutecznienie pierwszego zamiaru nie przyszło mi wcale na myśl, dosiadłem więc konia i puściwszy go wyciągniętym kłusem, po dwóch godzinach przybyłem nad brzegi Gwadalkiwiru, który tam wcale nie rozacza się tym spokojnym i wspaniałym korytem, jakim oblewa mury Sewilli. Gwadalkiwir przy wypływie z gór pędzi bystrym potokiem bez dna i brzegów i tłucze fale o skały, które mu co chwila w biegu zawadzają.

Dolina Los Hermanos¹⁴ zaczyna się w miejscu, skąd Gwadalkiwir rozlewa się po płaszczyźnie. Dolina wzięła nazwę od trzech braci, których wspólna skłonność do rozbojów łączyła daleko więcej niż stosunki pokrewieństwa. Miejsce to długo było widownią niecnym ich postępów. Z trzech braci dwóch pojmano i przy wejściu do doliny można było widzieć ciała ich bujające na szubienicach, trzeci zaś, nazwiskiem Zoto, uciekł z więzień Kordoby i jak mówiono, schronił się w pasmo Alpuhary.

Dziwne wieści rozprowadano o dwóch powieszonych braciach; wprawdzie nie mówiono, żeby byli upiorami, ale utrzymywano, że nieraz w nocy ciała ich, ożywione szatańską potęgą, odwiązywały się z szubienic i niepokoiły żyjących. Tę pogroźkę za tak pewną

¹³dłaczegózem nie radził się — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika oraz partykułą wzmacniającą -ze, skróconą do -z; inaczej: dłaczegóz nie radziłem się, dłaczego nie radziłem się. [przypis edytorski]

¹⁴los hermanos (hiszp.) — bracia. [przypis edytorski]

Religia, Strach

Zbrodniarz, Kara, Wina,
Upiór, Trup

uważano, że pewien teolog z Salamanki napisał obszerny traktat, w którym dowodził, że wisielcy sprowadzeni byli do stanu widmowego¹⁵, czego już nieraz w świecie widziano przykłady, tak że na koniec najsilniej wątpiący zmuszeni byli uwierzyć. Chodziły także pogłoski, że potępiono niewinnie tych dwóch skazanych i że, mszcząc się za pozwoleniem nieba, dręczyli podróżnych i innych przechodniów. Wiele nasłuchałem się o tym w Kordobie i stąd zdjęła mnie ciekawość zbliżyć się do szubienicy. Widok ten był tym obrzydliwszy, że podczas gdy wiatr bujał ohydnyimi trupami, straszne sępy szarpały im wnętrzności i oskubywały z resztek ciała. Ze zgrozą odwróciłem oczy i zapuściłem się w góry.

Trzeba przyznać, że dolina Los Hermanos zdawała się nader przyjazną dla zbójceckich przedsięwzięć, zewsząd bowiem zabezpieczała złoczyńcom miejsca schronienia. Co chwila zatrzymywały podróżnego z gór odwalone skały lub odwieczne drzewa wywrócone przez burze. W wielu miejscach droga przecinała łożysko potoku i mijala głębokie jaskinie, których sam widok nieufność obudzał. Przebywszy tę dolinę, wszedłem w drugą i dostrzegłem gospodę, w której miałem szukać przytułku, ale z dala już powierzchowność jej nic dobrego mi nie wróżyła. Rozpoznałem, że nie było okien ani okiennic, dym nie buchał z komina, żadnego ruchu dokoła nie było widać i żaden pies nie oznajmiał mojego przybycia. Stąd wniosłem, że gospoda ta była jedną z tych, jakie, według powieści oberżysty z Andujar, opuszczono raz na zawsze.

Im więcej zbliżałem się do gospody, tym milczenie głębszym mi się zdawało. Nareszcie przybyłem i ujrzałem przy wejściu pień przeznaczony do zbierania jałmużn, na którym wyczytałem następujący napis: „Panowie podróżni, módlcie się przez miłosierdzie za duszę Gonzaleza z Murcji, dawnego gospodarza z Venta Quemada. Nade wszystko mijajcie to miejsce i pod żadnym warunkiem nie przepędzajcie tu nocy”.

Postanowiłem śmiało oczekiwać niebezpieczeństw, jakimi ten napis zagrażał, wcale nie dlatego, abym nie był przekonany o istnieniu duchów, ale, jak dalszy ciąg tej historii pokaże, w całym moim wychowaniu najczęściej zwrócono uwagę na wyrobienie we mnie uczucia własnego honoru¹⁶.

Słońce jeszcze niezupełnie zaszło i korzystałem z ostatnich jego promieni, aby obejrzeć to mieszkanie, prawdę mówiąc, nie tyle dla zabezpieczenia się przeciw potęgom piekielnym, jak raczej dla wynalezienia jakiej żywności, gdyż ta drobnostka, którą znalazłem był w Los Alcornoques, zaledwie na chwilę mogła wstrzymać, ale nigdy zaspokoić głodu, jaki mnie trawił. Przeszedłem przez kilka izb i obszernych komnat. Większą część zdobiła mozaika do wysokości człowieka, sufity zaś pokrywały wspaniałe rzeźby, jakimi przed laty słusznie szczylic się Maurowie. Zwiedziłem kuchnię, poddasza i piwnice; te ostatnie wykute były w skale, niektóre z nich łączyły się z podziemiami, które zdawały się daleko w głąb gór przedłużać — ale posiłku nigdzie znaleźć nie mogłem. Wreszcie gdy poczęło się zmierzchać, poszedłem po konia, który dotąd przywiązany stał na podwórzu, zaprowadziłem go do stajni, gdzie spostrzegłem wiązkę siana, sam zaś udałem się do izby, gdzie leżała garść słomy, jedyne poślanie, jakie zostawiono w całej gospodzie. Pragnąłem zasnąć, ale nadaremnie, a tu jak na przekorę nie tylko jadła, ale i światła nie mogłem wynaleźć.

Tymczasem im noc stawała się ciemniejsza, tym moje myśli przybierały coraz czarniejszą barwę. To dumałem o nagłym zniknięciu moich dwóch służących lub znowu o sposobach, jakimi mógłbym gdzie się posilić. Myślałem, że złodzieje, nagle wyszedłszy z krzaków lub jakiej kryjówki, schwytali Lopeza i Moskita, że zaś mnie bali się zaczepić, widząc moją postać wojskową, która im bynajmniej nie obiecywała tak łatwego zwycięstwa.

Głód tłumiał całą moją uwagę; widziałem wprawdziekozy na górach, bez wątpienia i pasterz musiał się przy nich znajdować, i niepodobieństwem było, żeby nie miał przy sobie mleka i chleba. Nadto liczyłem także na moją strzelbę. Ale za nic w świecie nie byłbym wrócił do Andujar, tak dalece obawiałem się wystawić na szyderskie¹⁷ zapytania oberżysty. Postanowiłem bez wahania puścić się w dalszą drogę.

¹⁵sprowadzeni byli do stanu widmowego — w innym wyd. tegoż tłumaczenia: przybrali postać wampirów. [przypis edytorski]

¹⁶uczucia własnego honoru — w innym wyd. uzupełnienie: „honoru, które nie pozwalało mi okazywać strachu”. [przypis edytorski]

¹⁷szyderski — dziś: szydlerczy. [przypis edytorski]

Wszystkie te uwagi były już wyczerpane, nie mogłem wstrzymać się od powtórzenia w pamięci znanej historii falszerzów monet i wielu innych w podobnym rodzaju, którymi kołysano moje dziecinne lata. Również przychodził mi na myśl napis umieszczony na pniu do jałmużn. Nie przypuszczałem, ażeby diabeł skręcił był¹⁸ kark przeszłemu oberżyscie, ale nie mogłem sobie wytłumaczyć jego smutnego zgonu.

Takim sposobem mijaly godziny¹⁹, gdy nagle zadrzałem na niespodziewany głos dzwonu. Usłyszałem dwanaście uderzeń, a jak wiadomo, złe duchy mają tylko władzę od północy do pierwszego piania koguta. W istocie mogłem być zdziwiony, gdyż zegar nie bił poprzednich godzin, nareszcie²⁰ dźwięk ten tętnił mi w uszach grobowo. Po chwili otworzyły się drzwi izby i ujrzałem wchodzącą czarną postać, ale bynajmniej nie straszną, była to bowiem piękna, półnaga Murzynka z pochodnią w każdej ręce.

Murzynka zbliżyła się, złożyła mi głęboki ukłon i tymi słowy odezwała się w czystym hiszpańskim języku:

— *Señor* kawalerze, dwie cudzoziemki, które przepędzają noc w tej gospodzie, proszą, abyś raczył podzielić z nimi wieczerzę. Racz udać się za mną.

Pośpieszyłem za Murzynką i przeszedłszy kilka korytarzy, znalazłem się w rześisto oświetlonej komnacie, pośród której stał stół z trzema nakryciami, uginający się pod japońską porcelaną i pucharami z górskiego kryształu. W głębi komnaty wznosiło się wspaniałe łoże. Kilka innych Murzynek krzątało się pilnie wedle służby, ale nagle rozstały się we dwa szeregi i ujrzałem wchodzące dwie kobiety; pleć ich, z róż i lili utkana, dziwnie odbijała się od czarnej barwy ich powiernic. Obie młode kobiety trzymały się za ręce. Szczególnie były ubrane, przynajmniej tak mi się wydało, aczkolwiek później, w dalszych moich podróżach przekonałem się, że był to zwykły strój, jakiego używano na brzegach barbarzyjskich. Ubiór ten składał się ze zwierzchniej szaty i gorsetu. Suknia, czyli raczej tunika z ciemnego płótna, nie dochodziła całkiem do kolan, dalej zaś aż do kostek, składała się z gazy z Mequinez, tkaniny prawie zupełnie przezroczystej, gdyby szerokie wstęgi jedwabne, jedne obok drugich spływające, nie zasłaniały wdzięków, które tyle pod tym lekkim pokryciem zyskiwały. Gorset, bogato perłami haftowany i zdobny w diamentowe zapinki, szczelnie więził śnieżyste łono, rękawy zaś od koszuli, także gazowe, związane były na plecach. Kosztowne bransolety pokrywały ich ramiona. Nóżki tych nieznanomych — nóżki, powtarzam, które winny były być pokrzywione i zakończone szponami, gdyby były²¹ do złych duchów należały, przeciwnie, skrywały drobne paluszki w małych wschodnich papuciach. Obrączki diamentowe otaczały je przy kostkach.

Nieznajome zbliżyły się ku mnie z uprzedzającym uśmiechem. Każda z nich była w odmiennym rodzaju doskonałą pięknnością. Jedna wysoka, giętka, wspaniała, druga zaś mniejsza, ale za to łagodna i bojaźliwa. Kibić i rysy starszej na pierwszy rzut oka zadziwiały regularnością. Młodsza była bardziej ujmująca i zachwycała drobnymi usteczkami i niezwykłym blaskiem oczu, cienionych długimi, jedwabnymi rzęsami. Starsza tymi słowy odezwała się do mnie w czystym kastylskim narzeczu:

— *Señor* kawalerze, dziękujemy ci za uprzejmość, z jaką raczyłeś przyjąć tę skromną wieczerzę. Mniemam, że czujesz jej potrzebę.

Ostatnie te słowa wyrzekła z tak złośliwym uśmiechem, że w tej chwili posądziłem ją o nakazanie uprowadzenia mego muła z zapasami. W każdym jednak razie nie można było się gniewać; strata moja sownie była wynagrodzona.

Siedliśmy do stołu i ta sama kobieta rzekła, przysuwając naczynie z japońskiej porcelany:

— *Señor* kawalerze, znajdziesz tu *olla podrida*²² złożoną z mięs wszelkiego rodzaju oprócz jednego, gdyż my jesteśmy wierne, czyli wyraźniej mówiąc, muzułmanki.

— Piękna cudzoziemko — odpowiedziałem — bez wątpienia prawdę wyrzekłaś, komuż słuszniej przystoi mówić o wierności? Jest to religia serc prawdziwie kochających.

¹⁸skręcił był — daw. forma czasu zaprzeczonego, znaczenie: skręcił wcześniej, skręcił niegdyś. [przypis edytorski]

¹⁹mijaly godziny — w innym wyd. uzupełnione: „wśród głuchej ciszy mijaly godziny”. [przypis edytorski]

²⁰nareszcie (daw.) — zresztą; poza tym. [przypis edytorski]

²¹gdyby były (...) należały — daw. forma czasu zaprzeczonego, znaczenie: gdyby (uprzednio) należały. [przypis edytorski]

²²*olla podrida* (hiszp. dosł.: zgniły garnek) — hiszpańska potrawa jednogarnkowa, gotowana z resztek różnego typu mięs i wędlin oraz warzyw (przede wszystkim fasoli). [przypis edytorski]

Wszelako zanim zaspokoicie mój głód, raczcie uczynić to naprzód z moją ciekawością i powiedzcie mi: kto jesteście?

— Jedz tymczasem, *señor* — odparła piękna Mauretanka — dla ciebie nie mamy żadnych tajemnic. Nazywam się Emina, a moja siostra Zibelda, mieszkamy w Tunisie, ale nasza rodzina pochodzi z Grenady i niektórzy z naszych krewnych zostali w Hiszpanii, gdzie po kryjomu wyznają wiarę ojców. Osiem dni temu opuściliśmy Tunis i wylądowałyśmy na pustym brzegu blisko Malagi. Następnie przybyliśmy między Sokka²³ i Antequera, wreszcie dostałyśmy się tutaj, aby zmienić ubiór i zabezpieczyć się przeciw poszukiwaniom. Widzisz zatem, *señor*, że nasza podróż jest ważną tajemnicą, którą powierzamy twojej uczciwości.

Zapewniłem piękne podróżniczki, że z mojej strony nie mają się czego obawiać i zacząłem się posilać, wprawdzie nieco żarłocznie, zawsze jednak z pewnym wdziękiem, o jakim nigdy nie zapomina młody człowiek, gdy sam jeden znajduje się w towarzystwie kobiet.

Gdy spostrzeżono, że pierwszy głód zaspokoił i że zabierałem się do tego, co nazywają w Hiszpanii *las dolces*²⁴, piękna Emina rozkazała Murzynkom, aby mi pokazały, jak w ich ojczyźnie tańczą. Zdawało się, że żaden rozkaz nie mógł być dla nich przyjemniejszy. Wypełniły go z żywością, która nawet cokolwiek przechodziła w swawolę. Zapewne nie byłbym nigdy w stanie położyć koniec tym płąsom, gdybym nie był zapytał piękne nieznajome, czyli²⁵ one także czasami oddawały się tej rozrywce. Za całą odpowiedź powstały i kazały sobie podać kastaniety. Taniec ich trzymał środek między bolero z Murcji i *foffá*, którą tańczą w Algarve. Ci, którzy zwiedzali te kraje, chociaż łatwo mogą sobie przypomnieć te poruszenia, jednakże nigdy nie zdołają pojąć uroku, jaki dodawały im wdzięki dwóch Afrykanek, osłonięte przezroczytymi fałdami spływającymi po nadobnych kibiciach.

Długo, spokojnie poglądałem na zachwycające tancerki, na koniec poruszenia ich coraz gwałtowniejsze, odurzający dźwięk mauretańskiej muzyki, rozognione zmysły obfitym posiłkiem, wszystko to razem mimowolnie w nieznaną dotąd obłąd porywało mnie. W istocie nie wiedziałem, czy to były kobiety lub też podstępne jakie widziadła²⁶. Nie śmiałem spojrzeć, zakryłem dłonią oczy i w tej chwili uczulem, że tracę przytomność.

Obie siostry zbliżyły się do mnie i każda z nich ujęła mnie za rękę. Emina troskliwie dowiadywała się o moje zdrowie; zaspokoilem ją. Zibelda tymczasem pytała, co by to był za medalion, który spoczywał na moich piersiach — zapewne wizerunek kochanki?

— Jest to klejnot — odpowiedziałem — który mam od matki i którego obiecałem nigdy nie zdejmować, zawiera on cząstkę prawdziwego krzyża.

Na te słowa Zibelda cofnęła się i zbladła.

— Trwożysz się — mówiłem dalej — przecież złe duchy tylko lękają się krzyża.

Emina odpowiedziała za siostrę:

— *Señor* kawalerze, wiesz, że jesteśmy muzułmankami, i nie powinieneś dziwić się przykrości, jaką ci mimowolnie moja siostra sprawiła. Wyznaję, że tego samego jestem zdania i przykro nam, że najbliższy nasz krewny wyznaje wiarę Chrystusa. Ta mowa cię zadziwia, ale wszakże twoja matka rodzi się z Gomelezów? My także należymy do tej rodziny, która wie dzie ród swój od Abenceragów²⁷. Ale siądźmy na tej sofie, a więcej ci opowiem.

Murzynki oddaliły się. Emina posadziła mnie w kącie sofy i podwinąwszy nogi pod siebie, usiadła przy mnie. Zibelda położyła się z drugiej strony, wsparła na mojej poduszce i tak blisko byliśmy jedno od drugiego, że nasze oddechy razem się mieszały. Emina

²³Sokka — może: Loja w Granadzie. [przypis edytorski]

²⁴*las dolces*, właśc. *las dulces* — słodczyce; deser. [przypis edytorski]

²⁵czyli (daw.) — konstrukcja z partykulą -li; inaczej: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

²⁶widziadła — w innym tłum.: sukuby. [przypis edytorski]

²⁷Abenceragowie, właśc. *Abencerrajes* — mauretańska szlachecka rodzina w Grenadzie, w XV w. posiadająca znaczne wpływy; jeden z pięciu wielkich rodów hiszp. Maurów (inne to: Vanegasi, Alabezi, Gomelezowie i Zegresi). Abenceragowie ok. 1460 r. mieli zostać zamordowani przez niejakiego Boabdila z rozkazu emira Abu'l Hassana w Alhambrze, w komnacie zwanej później Salą Abenceragów, jak głosi legenda zapisana przez Ginésa Pérez de Hita w dziele *Guerras civiles de Grenada* (1595–1619), a następnie literacko opracowana przez René Chateaubrianda w powieści *Les aventures du dernier des Abencerrages* („Przygody ostatniego z Abenserażów”, 1826), której jednak Potocki, pisząc *Pamiętnik znaleziony w Saragossie*, nie mógł znać. [przypis edytorski]

zdawała się dumać przez chwilę, następnie rzucając na mnie wejrzenie pełne uczucia, wzięła mnie za rękę i w te słowa zaczęła:

— Wcale nie pragnę ukrywać przed tobą, kochany Alfonsie, że nie prosty przypadek nas tu sprowadza. Czekaliśmy tu na ciebie, a gdybyś powodowany bojaźnią obrał inną drogę, byłbyś na zawsze postradał nasz szacunek.

— Pochlebiasz mi, piękna Emino — odrzekłem — i nie pojmuję, dlaczego cię tak zajmuje moja odwaga.

— Twoja osoba nader nas zajmuje — mówiła dalej Mauretanka — ale może mniej ci to będzie pochlebiać, gdy się dowiesz, że jesteś pierwszym mężczyzną, jakiego w życiu spotykamy. Dziwiw cię moje słowa i zdajesz się powątpiewać o ich prawdzie. Obiecałam ci opowiedzieć historię naszych przodków, ale zapewne lepiej będzie, gdy zacznę od własnej.

Historia Eminy i jej siostry Zibeldy

Ojcem naszym jest Jazir Gomelez, wuj panującego dziś deja²⁸ w Tunisie. Nie miałyśmy brata, nie znałyśmy nigdy ojca, a ponieważ od najmłodszych lat byłyśmy zamknięte w murach seraju, zbywało nam na najmniejszym o waszej płci pojęciu. Natura jednak obdarzyła nas niewypowiedzianą skłonnością do miłości i w braku innych osób pokochałyśmy się wzajemnie. Przywiązanie to zaczęło się od pierwszych lat dziecińczych. Płakałyśmy, gdy chciano nas chociaż na chwilę rozdzielić. W dzień bawiliśmy się przy jednym stoliku, a w nocy podzielałyśmy jedno posłanie.

To uczucie tak żywe zdawało się razem z nami wzrastać i nowych sił nabrało przez okoliczność, którą ci opowiem. Miałam wtedy 16 lat, a moja siostra 14. Od dawna uważałyśmy, że nasza matka pilnie przed nami niektóre książki chowała. Z początku zwracałyśmy na to mało uwagi, i tak dość już znudzone książkami, na których nas czytać uczono, ale z wiekiem przyszła nam ciekawość. Wypatrzyłyśmy chwilę, gdy zakazana szafka była otwarta i szybko porwałyśmy mały tomik, który opisywał: *Miłości Medżenuna i Lejli* tłumaczone z perskiego przez Ben-Omriego. To zachwycające dzieło, ognistymi barwami malujące rozkosze miłości, zapaliło nasze młode głowy. Nie mogłyśmy ich zrozumieć, nie widząc nigdy osób waszej płci, ale powtarzałyśmy sobie nowe dla nas wyrażenia. Przemawiałyśmy mową kochanków i na koniec zapragnęłyśmy kochać się ich sposobem. Ja wzięłam na siebie rolę Medżenuna, siostra zaś moja Lejli. Naprzód oświadczyłam jej moją namiętność, układając kwiaty w bukietcie (jest to rodzaj wzajemnego porozumienia się w całej Azji używany); następnie rzucałam jej pełne ognia spojrzenia, padałam przed nią na kolana, całowałam ślady jej stóp, zaklinałam wietrzyk, aby jej moje żale zanosił, i chciałam go rozplomienić gorącymi westchnieniami.

Zibelda, wierna naukom swego mistrza, naznaczyła mi schadzkę. Upadłam jej do nóg, ścisnęłam ją za ręce, oblewałam łzami jej nogi. Kochanka moja z początku lekki opór stawiała, po chwili jednak dozwalała mi ukraść kilka pocałunków i wreszcie podzielała zupełnie wrzące moje uczucia. Dusze nasze zdawały się razem zlewać i doskonalszego szczęścia nie pojmowałyśmy.

Nie pamiętam, jak długo bawiły nas te dziecinne igraszki, ale niebawem gwałtowność naszych uczuć znacznie się uspokoiła. Powzięłyśmy chęć do niektórych nauk, szczególnie zaś do znajomości roślin, o przymiotach których, jak wiesz, sławny Awerroes²⁹ napisał ogromne dzieło.

Matka moja w przekonaniu, że nie można dość się uzbroić przeciw nudom seraju, z przyjemnością poglądała na nasze zatrudnienia i chcąc nam ułatwić naukę, kazała sprowadzić z Mekki świętą niewiastę zwaną *Hazareta*, czyli świętą świętych. Hazereta uczyła nas praw Proroka i wykladała nam nauki tym czystym i melodyjnym językiem, jakiego używa dziś jedno tylko pokolenie Koreisz³⁰. Nie mogłyśmy dość się jej nasłuchać i niebawem umiałyśmy cały *Koran* na pamięć. Następnie nasza matka opowiadała nam historię

²⁸ *dej* — namiestnik wojskowy prowincji w imperium osmańskim. [przypis edytorski]

²⁹ *Awerroes*, właśc. *Ibn Ruszd* a. *Abu al-Walid Mubammad ibn Ahmad ibn Mubammad ibn Ahmad ibn Ahmad ibn Ruszd* (1126–1198) — arabski prawnik, lekarz i filozof z Kordoby, najważniejszy przedstawiciel filozofii arabskiej na Zachodzie; za jego pośrednictwem zachodni uczeni poznali większość dzieł Arystotelesa, których był wybitnym komentatorem. [przypis edytorski]

³⁰ *Koreiszowie* a. *Kurajscy* — największe plemię Mekki; z niego wywodził się Mahomet. [przypis edytorski]

naszej rodziny i udzieliła nam mnóstwo pamiątek, z których jedne były pisane po arabsku, inne zaś po hiszpańsku.

Drogi Alfonsie, nie uwierzysz, jak nam zbrzydła wasza religia, jak znienawidziłyśmy jej kapłanów. Z drugiej za to strony koleje i nieszczęścia rodziny, której krew w żyłach naszych płynęła, niesłuchanie nas zajmowały.

Raz unosiłyśmy się nad Saidem Gomelezem, który cierpiał męczeństwa w więzieniach inkwizycji, to znowu nad jego synowcem Leisem, który długi czas prowadził w górach życie dzikie i mało różne od życia zwierząt drapieżnych. Takowe opisy obudziły w nas ciekawość mężczyzn, chcieliśmy ich widzieć i często wstępowałyśmy na taras ogrodowy, aby choć z daleka spostrzec majtków okrętowych lub wiernych śpieszących do kąpieli Hamman Nefu³¹. Chociaż nie zapomnieliśmy nauk zakochanego Medženuna, jednak odtąd nigdy już więcej ich nie powtarzałyśmy. Mniemałam nawet, że w uczuciu moim dla siostry wygasła zupełnie namiętność, gdy wtem nowy wypadek przekonał mnie, że się myliłam.

Pewnego dnia matka nasza przyprowadziła nam jakąś księżną z Tafilaltu, kobietę w podeszłym już wieku. Przyjęłyśmy ją jak można najlepiej. Po skończonych odwiedzinach matka oznajmiła mi, że księżna żądała mnie w zamęcie³² dla swego syna, moja siostra zaś przeznaczona była za żonę jednemu z Gomelezów. Wiadomość ta gromem nas raziła. Naprzód nie mogłyśmy słowa jednego wymówić, później nieszczęście tego rozdzielenia tak żywo przedstawiło się przed naszymi oczyma, żeśmy się oddały najgwałtowniejszej rozpacz. Wyrywałyśmy sobie włosy i cały seraj rozlegał się naszymi krzykami. Nareszcie, gdy te oznaki naszej boleści zaczęły przechodzić w szaleństwo, matka nasza, przelekła, obiecała nas nie przymuszać i zaręczyła nam wolność zostania dziewczętami lub zaślubienia tego samego mężczyzny. Te zapewnienia na jakiś czas nas uspokoiły.

Wkrótce potem matka przysłała nam powiedzieć, że mówiła z naczelnikiem naszej rodziny i że ten zezwolił, abyśmy były poślubione jednemu mężowi z warunkiem, aby ten małżonek pochodził z rodziny Gomelezów.

Nic na to nie odrzekłyśmy, ale ta myśl posiadania jednego męża z każdym dniem bardziej nam się uśmiechała. Dotąd nie widziałyśmy ani starego, ani młodego mężczyzny, chyba bardzo z daleka; ale ponieważ młode kobiety zdawały nam się przyjemniejsze niż stare, pragnęłyśmy przeto, aby nasz małżonek był także młody. Spodziewałyśmy się, że nam potrafi wytłumaczyć niektóre ustępy z książki Ben-Omriego, których same nie byłyśmy w stanie zrozumieć.

Tu Zibelda przerwała siostrze i ściskając mnie w objęciach, rzekła:

— Kochany Alfonsie, czemuż nie jesteś muzułmaninem! Jakże byłabym szczęśliwa, gdybym widząc cię na łonie Eminy, mogła także nazywać się twoją małżonką. W naszym domu, równie jak w rodzinie proroka, córki mają prawo do dziedzictwa³³. Od ciebie więc może zależeć zostać naczelnikiem naszej rodziny, która już chyli się ku upadkowi. Dość byłoby do tego otworzyć serce świętym promieniom naszego wyznania.

Słowa te tak mi się wydały podobne do pokus diabelskich, że upatrywałem tylko, czy nie dojrzę śladów rożków na pięknym czole Zibeldy. Przebąknąłem kilka słów o świętości mojej religii. Obie siostry cofnęły się ode mnie. Twarz Eminy przybrała wyraz powagi, po czym piękna Mauretanka tak dalej mówiła:

— *Señor* kawalerze, zbyt wiele rozwodziłam się nad sobą i Zibeldą. Nie było to moim zamiarem; usiadłam obok ciebie, aby ci powiedzieć szczegóły dotyczące rodziny Gomelezów, z których pochodzisz przez kobiety. Oto jest właśnie to, o czym chciałam, abyś się dowiedział:

³¹ *Hamman Nef* — źródła termalne w Tunezji. [przypis edytorski]

³² *żądała mnie w zamęcie* — chciała wyjść za mnie za mąż. [przypis edytorski]

³³ *równie jak w rodzinie proroka, córki mają prawo do dziedzictwa* — z potomstwa Mahometa przeżyło tylko jedno dziecko, córka Fatima: z tego powodu muzułmanie uznają potomstwo w linii żeńskiej za uprawnionych dziedziców. [przypis edytorski]

Historia zamku Kassar-Gomelez

Pierwszą głową naszej rodziny był Masud-Ben-Taĥer, brat Jussufa-Ben-Taĥera, który wkroczył do Hiszpanii na czele Arabów i nadał swoje nazwisko górze Gebal-Taĥer, czyli jak wy wymawiacie, Gibraltar³⁴. Masud wiele przyczyniwszy się do powodzenia arabskiej broni, otrzymał od kalifa Bagdadu zwierzchnictwo nad Grenadą, które sprawował aż do śmierci swego brata. Byłby na tym urzędzie dłużej pozostał, gdyż nader był szanowany tak od³⁵ muzułmanów, jak od mozarabów czyli chrześcijan pod panowaniem Maurów pozostałych; ale Masud miał potężnych nieprzyjaciół w Bagdadzie, którzy go oczernili przed kalifem. Dowiedział się, że zguba jego była nieuchronna i sam postanowił się oddalić. Zebrał więc garstkę wiernych i zapuścił się do Alpuhary, która, jak wiesz, jest dalszym pasmem Sierra-Morena, oddzielającym królestwo Grenady od Walencji.

Wizygoci, na których zdobyliśmy Hiszpanię, nie przedarli się nigdy do Alpuhary; większa część dolin była zupełnie opuszczona. Tylko trzy z nich zamieszkiwali potomkowie dawnego ludu iberyjskiego, nazwani Turdulami. Nie znali oni ani Mahometa, ani twojego proroka nazarejskiego; zasady ich religii i praw zawarte były w pieśniach, które ojcowie dzieciom przekazywali. Mieli kiedyś księgi, ale te z czasem zupełnie wyginęły.

Masud owaładnął Turdulami bardziej przekonaniem niż siłą, nauczył ich swego języka i zasad islamizmu. Oba ludy zmieszały się przez wzajemne małżeństwa i temu to zlaniu szczepów, jako też powietrzu gór, winnyśmy z moją siostrą tę ożywioną płeć³⁶, jaka odznacza córki Gomeleza. Można wprawdzie i u Maurów napotkać wiele białych kobiet, ale te zwykle są blade.

Masud przyjął tytuł szejka i rozkazał wznieść warowny zamek, który nazwał Kassar-Gomelez. Bardziej sędzia niż władca swego pokolenia, Masud dla każdego był przystępny, drzwi jego zarówno dla wszystkich się otwierały, tylko w ostatni piątek każdego księżycy żegnał się z rodziną, schodził do zamkowego podziemia i tam zamknięty cały tydzień przepędzał. Te znikania dały powód do rozmaitych wniosków. Jedni utrzymywali, że szejek prowadził rozmowy z Dwunastym Imanem, który ma zjawić się ma końcu świata; drudzy zaś, że Antychryst siedział uwięziony w podziemiu, ostatni wreszcie dowodzili, że spoczywało tam siedmiu braci śpiących wraz z ich wiernym psem, Kalebem. Szejek wcale na te domysły nie zważał, ale ciągle rządził swoim ludem, póki mu siły wystarczało. Na koniec wybrał najroztropniejszego z całego pokolenia, mianował go następcą, oddał mu klucz od podziemia i sam schronił się do pustelni, gdzie jeszcze długie żył lata.

Nowy szejek rządził w duchu swego poprzednika i również znikał ostatniego piątku każdego miesiąca. Ten stan rzeczy trwał dopóty, póki Kordoba nie otrzymała swoich kalifów, zupełnie niezawisłych od władców Bagdadu. Natenczas górale Alpuhary, którzy mieli czynny udział w tych zmianach, zaczęli osiedlać się na płaszczynach, gdzie wkrótce zasłynęli pod nazwą Abenceragów. Inni zaś, którzy pozostali wierni szejkowi z Kassar-Gomelez, zatrzymali miano Gomelezów.

Tymczasem Abenceragowie zakupili najbogatsze posiadłości w królestwie Grenady i najwspanialsze pałace miasta. Zbytek ich zwrócił powszechną uwagę. Powzięto podejrzenie, że podziemie szejków zawierało nieprzebrane bogactwa, ale nikt nie był w stanie sprawdzić tego mniemania, gdyż sami Abenceragowie nie znali źródła swych skarbów.

Wreszcie gdy piękne te królestwa ściągnęły na siebie gniew boży, Allah podał je w ręce niewiernych. Dobyto szturmem Grenady, i w kilka dni potem sławny Gonzalw z Kordoby na czele trzech tysięcy Hiszpanów wkroczył do Alpuhary³⁷. Hatem Gomelez był wtedy szejkiem naszego pokolenia. Wyszedł więc naprzeciw Gonzalwa i wręczył mu klucze od zamku. Hiszpan zażądał kluczy od podziemia, szejek i te mu natychmiast przyniósł. Gonzalw osobiście zszedł do podziemia, zamiast skarbów znalazł grobowiec i kilka starych ksiąg; drwił głośno z czczych domysłów swoich rodaków i pośpieszył na powrót do Valladolid, gdzie go wzywały miłość i miłostki.

³⁴*Gebal-Taĥer, czyli (...) Gibraltar* — arab. *gebel-al-Tarik*: góra Tarika; Tarik (nie: Taĥer) dowodził wojskami arabskimi, które zdobyły Toledo i Kordobę w VIII w. [przypis edytorski]

³⁵*szanowany od (daw.)* — szanowany przez (kogoś). [przypis edytorski]

³⁶*płeć (daw.)* — cera, karnacja. [przypis edytorski]

³⁷*sławny Gonzalw z Kordoby na czele trzech tysięcy Hiszpanów wkroczył do Alpuhary* — w 1492 r. [przypis edytorski]

Aż do wstąpienia na tron Karola pokój trwał w naszych górach nieprzerwanie. Sefi Gomelez był wtedy był szejkiem. Człowiek ten z niewiadomych przyczyn doniósł cesarzowi, że pragnie odkryć mu ważną tajemnicę, jeżeliby Karol chciał przysłać do Alpuhary jakiego znakomitego Hiszpana, w którym by pokładał całe zaufanie. Zanim piętnaście dni upłynęło, don Ruis z Toledo, jako poseł cesarski, stawił się u Gomelezów, ale znalazł szejka nieżywego. Zamordowano go w wilię³⁸ przyjazdu posła. Don Ruis zaczął prześladować kilka osób, ale zdruzony próżnymi usiłowaniami powrócił do Madrytu.

Tym sposobem tajemnica szejków przeszła do mordercy Sefiego. Człowiek ten, nazwiskiem Billah Gomelez, zgromadził starszych pokolenia i przedstawił im potrzebę zabezpieczenia tak ważnej tajemnicy. Postanowiono, żeby zawiadomić o tym kilku członków z rodziny Gomelezów, tak jednak, aby każdy z nich wiedział tylko o jednej części tajemnicy. Wybrani powinni byli dać dowody nieustraszonej odwagi, roztropności i wiary.

Tutaj Zibelda znowu przerwała siostrze, mówiąc:

— Kochana Emino, czy nie sądzisz, że Alfons byłby przetrwał te wszystkie próby? Ach! Któż śmie o tym wątpić? Drogi Alfonsie, jaka szkoda, że nie jesteś muzułmaninem, bez wątpienia stałbyś się panem nieprzeliczonych skarbów.

To zupełnie wyglądało na nową pokusę. Duch ciemności, nie mogąc znęcić mnie rozkoszą, starał się obudzić we mnie żądzę złota. Ale tymczasem piękne Mauretanki przytuliły się do mnie i uczulem wyraźnie dotknięcie ciał żywych, nie zaś cieni. Po chwili milczenia Emina tak dalej mówiła:

— Kochany Alfonsie, wiesz dobrze o prześladowaniach, jakich doświadczyło nasze pokolenie za panowania Filipa syna Karolowego. Porywano dzieci, wychowywano je w wierze Chrystusa i oddawano im majątki rodziców, którzy nie chcieli porzucić wyznania ojców. Wtedy to jeden z Gomelezów został przyjęty do teketu³⁹ derwiszów św. Dominika i dostąpił godności wielkiego inkwizytora...

*

Tu usłyszeliśmy pianie koguta i Emina przestała mówić. Kogut jeszcze raz zapiał... Człowiek przesądny byłby spodziewał się, że dwie piękności nagle dymnikiem ulecą. To jednak wcale nie nastąpiło, ale nieznajome zasępiły się nagle i pogrążyły w dumaniach.

Emina pierwsza przerwała milczenie.

— Luby Alfonsie — rzekła — już dzień zaczyna, zbyt drogie są godziny, które możemy z tobą przepędzić, abyśmy mieli trwonąć je na opowiadaniu dawnych dziejów. Nie możemy zostać twymi małżonkami, chyba że uznasz prawo Proroka. Ale wolno ci będzie widzieć nas we śnie. Przystajesz na to?

Zgodziłem się na wszystko.

— Nie dość na tym — rzekła Emina z wyrazem najwyższej godności — nie dość na tym, kochany Alfonsie, trzeba jeszcze, byś przysiągł na najświętsze zasady honoru, że nigdy nie zdradzisz tajemnicy o naszych imionach, naszym istnieniu i tym wszystkim, co wiesz o nas. Czy odważasz się przyjąć na siebie ten obowiązek?

Przyrzekłem spełnić wszystko, czego ode mnie żądano.

— To dobrze — rzekła Emina — teraz, siostrze, przynieś czarę poświęconą przez Masuda, głowę naszego pokolenia.

Podczas gdy Zibelda poszła po zaklętą czarę, Emina uklękła i odmawiała arabskie modlitwy. Zibelda wróciła z czarą, która mi się zdawała wyróżnioną z jednego wielkiego szmaragdu. Obie siostry umoczyły w niej usta i rozkazały mi do razu wychylić resztę napoju. Byłem posłuszny. Emina podziękowała mi za uległość i czule mnie uściskała. Następnie Zibelda złożyła na ustach moich tkliwy pocałunek. Wreszcie obie opuściły mnie, mówiąc, że niebawem znowu je ujrzę i że tymczasem radzą mi, abym starał się czym prędzej zasnąć.

³⁸w wilię (daw.) — w przeddzień. [przypis edytorski]

³⁹teket (z tur.) — zakon. [przypis edytorski]

Tyle dziwnych wypadków, cudownych opowiadań i nieprzewidywanych wrażeń dałoby mi przez całą noc nad czym rozmyślać, ale muszę wyznać, że obiecane sny nade wszystko mnie zajmowały. Szybko więc rozebrałem się i gdy mi się już położył na przygotowane dla mnie łóżko, zauważyłem z przyjemnością, że posłanie było szerokie i że jak dla snów za mało było miejsca; ale za ledwie miałem czas uczynić tę uwagę, gdy nieprzewidywany sen osiadł mi powieki i wszystkie złudy nocy pochwyciły wnet moje zmysły. Co chwila błądziłem w coraz innych fantastycznych urokach, a myśl moja, niesiona na skrzydłach żądz, mimowolnie stawiała mnie wśród afrykańskich serajów, odsłaniała wdzięki ukryte w ich zaklętych murach i pogrążała w toni nieopisanych rozkoszy. Czulem, że śnił, a jednak miałem świadomość, że nie senne widziadła ściskam w moich objęciach. Gubiłem się w nieskończonej przestrzeni najszałeńszych złudzeń, ale dobrze pamiętam, że zawsze znajdowałem się w towarzystwie moich pięknych kuzynek. Zasypiałem na ich łonie i budziłem się w ich objęciach. Nie pomnę, ile razy doznałem tych czarownych przemian...

DZIEŃ DRUGI

Nareszcie ocknąłem się naprawdę. Słońce paliło mi powieki; za ledwie zdołałem je podnieść, ujrzałem niebo, znajdowałem się więc na wolnym powietrzu, ale choć blask olśnił mi wzrok i nie spałem już, to jednak nie byłem zupełnie rozbudzony. Okropne obrazy przesuwały się przed moim umysłem. Trwoga mnie zdjęła. Zerwałem się nagle i błędnym wzrokiem potoczyłem dokoła.

Gdzież znajdę wyrazy, aby opisać zgrozę, jaka mną owładnęła? Leżałem pod szubienicą Los Hermanos. Trupy dwóch braci Zota nie wisiały, ale spoczywały po obu moich stronach. Bez wątpienia całą noc między nimi przepędziłem. Spoczywałem na potarganych postronkach, resztkach kół, odłamkach szkieletów i ohydnych łachmanach niestrawionych jeszcze zepsuciem.

Mniemałem, że jestem we śnie i że przykry sen mnie tłoczył. Przymknąłem oczy i zacząłem przypominać sobie wrażenia przepędzonej nocy. Wtem poczułem szpony wpijające się w pierś moją. Spostrzegłem sępa, który spadł na mnie i pożerał jednego z moich towarzyszy noclegu. Ból, jaki mi te szpony sprawiły, rozbudził mnie zupełnie. Suknie moje obok mnie leżały, począłem się czym prędzej ubierać. Kiedym już był ubrany, chciałem wyjść z szubienicznej zagrody, ale brama była zamknięta i otworzyć jej żadnym sposobem nie mogłem. Musiałem więc wdrapać się na to smutne ogrodzenie. Raz będąc na wierzchu, oparłem się o słup szubienicy i jałem dokoła poglądać na okolicę. Znałem już to miejsce. W istocie znajdowałem się przy wejściu do doliny Los Hermanos, niedaleko od brzegów Gwadalkiwiru.

Gdy tak wodziłem naokoło błędnymi oczyma, spostrzegłem dwóch podróżnych nad rzeką, z których jeden przygotowywał śniadanie, drugi zaś trzymał za cugle konie. Byłem tak uszczęśliwiony z widoku ludzi, że natychmiast zacząłem krzyżeć:

— *Agur! Agur!* — co znaczy po hiszpańsku „dzień dobry” lub też „jak się masz”⁴⁰.

Dwaj podróżni, spostrzegłszy te grzeczności, jakie im ktoś z wierzchu szubienicy oświadczał, osłupieli przez chwilę, ale niebawem dosiedli koni i co tchu popędzili drogą do Alcornocues. Wołałem, żeby się zatrzymali, ale na próżno: im głośniejsze krzyżałem, tym prędzej umykali i głębiej zapuszczali ostrogi. Gdy nareszcie zupełnie straciłem ich z oczu, przede wszystkim pomyślałem o opuszczeniu mego stanowiska. Zeskoczyłem na ziemię i w upadku mocno się stłukłem.

Cały potłuczony, kulejąc, dostałem się na brzegi Gwadalkiwiru i zastałem tam przygotowane śniadanie, którego dwaj podróżni z takim pośpiechem byli odbiegli. Posiłek ten przyszedł mi w samą porę, byłem bowiem nader wycieńczony. Znalazłem gotującą się jeszcze czekoladę, esponjado⁴¹ moczone w alikancie⁴², chleb i jaja.

⁴⁰*Agur* (...) co znaczy po hiszpańsku „dzień dobry” lub też „jak się masz” — jest to powitanie baskijskie. [przypis edytorski]

⁴¹*esponjado* (hiszp.) — grzanka, suchar. [przypis edytorski]

⁴²*alিকant* — wino z Alicante. [przypis edytorski]

Zacząłem od pokrzepienia sił i następnie jałem przywozić na pamięć wypadki ubiegłej nocy. Wspomnienia moje powikłały się zupełnie, dobrze jednak pamiętam, że dał słowo honoru na dotrzymanie tajemnicy, i postanowiłem świącie dochować przysięgi. Usunąwszy raz pod tym względem wszelką wątpliwość, zacząłem zastanawiać się nad dalszym moim losem, czyli nad drogą, którą miałem obrać. Teraz bardziej niż kiedykolwiek sądziłem, że święte prawa honoru nakazują mi udać się przez Sierra Morena.

Dziwnym może się wydawać, że zajmowałem się tyle moją sławą, a tak mało wypadkami poprzedniej nocy; ale ten sposób myślenia był skutkiem mego wychowania, jak to się pokaże w dalszym ciągu tego opowiadania. Tymczasem wracam do mojej podróży.

Bardzo byłem ciekawy dowiedzieć się, co diabli poczęli z moim koniem, którego zostawiłem w Venta Quemada, ponieważ zaś droga tamtędy mi wypadła, postanowiłem wstąpić do gospody. Musiałem piechotą przebyć całą dolinę Los Hermanos aż do wenty i tak byłem zmęczony, że z niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której odzyskam mego konia. W istocie znalazłem go w tej samej stajni, gdzie go był wczoraj zostawił. Dzielnym moim gniadosz nie stracił zwykłej wesołości, a po polysku jego skóry poznałem, że ktoś pilnie miał o nim staranie⁴³. Nie mogłem pojąć, kto by się tym był zajmował⁴⁴, ale tyle już widziałem nadzwyczajnych rzeczy, że nie warto się było nad tą jedną długą zastanawiać. Byłbym natychmiast puścił się w drogę, gdyby mi chętka nie była przyszła raz jeszcze obejrzeć gospodę. Znalazłem izbę, do której naprzód przybyłem, ale pomimo najsilniejszych poszukiwań nie mogłem odszukać komnaty, gdzie poznałem piękne Mauretanki. Znudzili mnie te próżne przepatrywania kątów, dosiadłem więc konia i udałem się w dalszą podróż.

Kiedym się obudził pod szubienicą Los Hermanos, słońce połowy biegu już dochodziło, od tego czasu dwie godziny zużyłem na przybycie do wenty, tak więc gdy następnie parę mil ujechał, trzeba było pomyśleć o nowym schronieniu, ale nie widząc nigdzie żadnego dachu, postępowalem dalej. Wreszcie dostrzegłem w dali gotycką kaplicę, o którą opierała się mała chatka z pozoru wyglądająca na pustelnię. Wszystko to leżało w dość znacznym oddaleniu od wielkiej drogi, ale gdy głód zaczął mnie przyciskać, nie wahałem się zboczyć w nadziei posiłku.

Przybywszy, przywiązałem konia do drzewa, zapukałem do drzwi pustelni i ujrzałem wychodzącego pustelnika nader poważnej postaci. Ucisnął mnie z ojcowską troskliwością i rzekł:

— Wejdz, mój synu, czym prędzej; nie przepędzaj nocy pod gołym niebem, strzeż się pokus, gdyż Pan odsunął od nas swoją prawicę.

Podziękowałem pustelnikowi za dobroć, jaką mi oświadczył, i napomknąłem mu o głodzie, który mnie trawił.

— Myśl tymczasem o zbawieniu duszy, mój synu — odparł — idź do kaplicy, klęknij i módl się przed krzyżem. Ja pomyślę o potrzebach twego ciała; ale musisz poprzestać na skromnym posiłku, na jaki stać biedną chatkę pustelnika.

Przeszedłem do kaplicy i w istocie zacząłem się modlić, gdyż nie tylko, że sam nigdy nie byłem bezbożnikiem, ale nawet nie pojmowałem, żeby mogli znajdować się ludzie niewierzący. Wszystko to pochodziło jeszcze ze sposobów, jakimi mnie wychowano.

Po chwili pustelnik przyszedł po mnie i wprowadził do chaty, gdzie znalazłem dość porządne nakrycie. Wieczera składała się z owoców, mleka i sucharów zamiast chleba; wreszcie znalazła się i butelka wina, którego pustelnik nie pił, ale używał jedynie do ofiary mszy świętej. Dowiedziawszy się o tym, również zostawiłem wino nietknięte.

Podczas gdy z przyjemnością posiłałem się, weszła do chaty tak straszliwa postać, jakiej dotąd jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Był to człowiek, jak się zdawało, młody, ale odstraszał chudością. Włosy miał najeżone, jedno oko wyklute i świeżo jeszcze rozkrwawione. Z ust wychodził mu język pokryty pianą. Czarna suknia go okrywała, ale nie miał ani koszuli, ani obuwia.

Okropne zjawisko, nie mówiąc ani słowa, skulone usiadło w kącie i niewzruszone jak posąg jednym okiem wpatrywało się w krucyfiks, który w obu rękach ścisnęło. Spożywszy wieczerzę, zapytałem pustelnika, co to za człowiek.

⁴³mieć o kim staranie (daw.) — dbać o kogoś. [przypis edytorski]

⁴⁴zajmował się był — daw. forma czasu zaprzeczonego, znaczenie: zajmował się wcześniej. [przypis edytorski]

— Synu mój — odparł starzec — jest to opętany, z którego wypędzam duchy czartowskie. Straszliwa jego historia jasnym jest dowodem potęgi, jaką anioł ciemności wywiera na tę nieszczęśliwą okolicę. Opowiadanie to może się przydać ku twemu zbawieniu, rozkażę mu więc, aby zaczął.

I to mówiąc, obrócił się do opętanego i rzekł:

— Paszeko⁴⁵, Paszeko, w imię twego odkupiciela nakazuję ci opowiedzieć twoją historię.

Paszeko zaryczał okropnie i tak się odezwał:

Historia opętanego Paszeka

Urodziłem się w Kordobie, gdzie ojciec mój żył w stanie wyższym nad mierność. Matka moja przed trzema laty umarła. Ojciec z początku zdawał się niepokieszony, ale gdy po kilku miesiącach wypadło mu jechać do Sewilli, tamże zakochał się w młodej wdowie, nazwiskiem Kamilla de Tormes. Kobieta ta nie używała dobrej sławy i przyjaciele mego ojca starali się odwieść go od tej znajomości; ale właśnie jakby im na przekorę mój ojciec ożenił się z nią we dwa lata po śmierci pierwszej żony. Ślub odbył się w Sewilli i w kilka dni potem mój ojciec wrócił do Kordoby z nową małżonką i siostrą jej Inezillą.

Moja macocha zupełnie odpowiadała wieściom, jakie o niej krążyły, i przybywszy do naszego domu, zaczęła naprzód od rzucania na mnie czułych spojrzeń. Nie powiódł się jej ten zamiar, natomiast ja szalenie zakochałem się w jej siostrze Inezilli. Namiętność moja tak się wzmogła, że upadłem do nóg ojcu i błagałem, aby mi ją dał za żonę.

Ojciec mój podniósł mnie z dobrocią i rzekł:

— Zakazuję ci, synu mój, myśleć o tym małżeństwie, a to dla trzech przyczyn. Naprzód nie wypada, abyś stał się szwagrem ojca; po wtóre, święte prawa kościelne nie pozwalają takich małżeństw; po trzecie, nie chcę, abyś żenił się z Inezillą.

Mój ojciec, wyłuszczywszy mi te trzy powody, odwrócił się ode mnie i odszedł.

Na te słowa oddałem się najgwałtowniejszej rozpacz. Macocha moja, dowiedziawszy się o tym, co zaszło, przyszła do mnie i upewniła mnie, że niepotrzebnie martwię się, że gdy nie mogę być małżonkiem Inezilli, to wcale nie przeszkadza, abym stał się jej *cortebo*, czyli kochankiem, i że ona całą tę sprawę bierze na siebie. Zarazem jednak wiele mówiła mi o swoim przywiązaniu ku mnie i spoglądała na mnie wzrokiem, którego znaczenia bynajmniej nie chciałem odgadnąć. Słuchałem tego wszystkiego zdumiony, znając jednak skromność Inezilli, nie spodziewałem się nigdy, aby moje nadzieje kiedykolwiek zostały spełnione.

Śród tego mój ojciec wybrał się w podróż do Madrytu, gdzie pragnął wyrobić sobie posadę korregidora⁴⁶ Kordoby i zabrał z sobą żonę i jej siostrę. Podróż ta miała trwać dwa miesiące, ale dla mnie, który jednego dnia bez widoku Inezilli nie mogłem przepędzić, czas ten wydawał się niesłychanie długi. Przy końcu dwóch miesięcy otrzymałem list od ojca, w którym rozkazywał mi, abym wyjechał na jego spotkanie i oczekiwał go w Venta Quemada przy wejściu do Sierra-Morena. Kilka tygodni wprzód nie byłbym śmiały zapuścić się w Sierra Morena, ale wtenczas właśnie co powieszono dwóch braci Zota, zgraja poszła w rozsypkę i nie wspomniano o żadnych niebezpieczeństwach.

Wyjechałem więc około dziesiątej z rana z Kordoby i przybyłem na nocleg do Andujar, do najgadatliwszego oberżysty z całej Andaluzji. Kazałem sobie zastawić obfitą wieczerzę i połowę spożywszy, drugą zachowałem na dalszą podróż.

Nazajutrz posiliłem się resztkami mojej wieczerzy w Los Alcornouques i na wieczór przybyłem do Venta Quemada. Nie zastałem jeszcze ojca, ale gdy ten wyraźnie kazał mi czekać na siebie, zgodziłem się na to tym chętniej, że znalazłem obszerną i wygodną gospodę. Oberżysta, który ją trzymał, niejaki Gonzalez z Murcji, dobry człowiek, ale wielki paliwoda⁴⁷, obiecał mi sporządzić wieczerzę godną granda pierwszej klasy. Podczas gdy ją przyrządzał, udałem się na przechadzkę nad brzegi Gwadalkiwiru, a wróciwszy, istotnie znalazłem, że wieczerza nie była bez zalet.

⁴⁵ *Paszeko* — imię postaci popularne w opowieściach „hiszpańskich” w literaturze; inny zapis: Pacheco. [przypis edytorski]

⁴⁶ *corregidor* — stanowisko w administracji Hiszpanii łączące w sobie obowiązki burmistrza i sędziego. [przypis edytorski]

⁴⁷ *paliwoda* (daw.) — człowiek lekkomyślny, niepoważny a. gwałtowny, porywczy. [przypis edytorski]

Posiliwszy się, poleciłem Gonzalezowi⁴⁸ przygotować mi nocleg. Zmieszał się i wypowiedział kilka słów całkiem niedorzecznych. Na koniec wyznał, że gospoda jest nawiedzana przez duchy. On sam wraz z rodziną przenosi się na noc do pobliskiej wioski położonej nad brzegiem rzeki; dodał też, że jeśli pragnę spędzić noc w spokoju, umieści moje łóżko w pobliżu swego. Propozycja oberżysty wydawała mi się nader niestosowna, powiedziałem mu więc, żeby sobie poszedł spać, gdzie chce, i żeby mi przysłał moich służących. Gonzalez nie sprzeciwiał się; odszedł kręcąc głową i wzruszając ramionami.

Moi służący po chwili nadeszli; słyszeli już o przestrofach oberżysty i chcieli mnie nakłonić, ażebym spędził noc w pobliskiej wiosce. Przyjąłem ich rady dość szorstko i rozkazałem przygotować sobie posłanie w tym pokoju, w którym spożywałem wieczerę. Bez sprzeciwu, jakkolwiek niechętnie, spełnili to polecenie i kiedy łóżko było już pościelone, znowu ze łzami w oczach zaczęli mnie zaklinać, abym poniechał myśli nocowania w gospodzie. Zniecierpliwiony ich przestroгами, pozwoliłem sobie na kilka gestów, które skłoniły ich do ucieczki. Z łatwością obszedłem się bez ich pomocy, miałem bowiem zwyczaj sam się rozbierać, wszelako przekonałem się, że bardziej troszczyli się o mnie, aniżeli sobie na to zasługiwałem swym postępowaniem: pozostawili przy moim łóżku zapaloną świecę, drugą zapasową, a także dwa pistolety i kilka książek. Te ostatnie miały mi wypełnić godziny czuwania, w istocie bowiem już straciłem ochotę do snu.

Kilka godzin jeszcze spędziłem, to czytając, to przewracając się w łóżku, gdy nagle usłyszałem dźwięk dzwonu, czyli raczej zegara, bijącego północ. Zdziwiłem się tym bardziej, że poprzednich godzin nie słyszałem. Niebawem drzwi się otworzyły i ujrzałem moją macochę w lekkim dezabilu, ze świecą w ręku. Zbliżyła się do mnie na palcach, postawiła świecę na stoliku, usiadła obok mnie, wzięła moją rękę między swoje dłonie i w te słowa zaczęła:

— Drogi Paszeko, nadeszła chwila, w której mogę spełnić uczynioną ci obietnicę. Przed godziną przybyliśmy do tej karczmy. Twój ojciec udał się na noc do wioski, ale ja, dowiedziawszy się, że tu jesteś, otrzymałam pozwolenie zostania z moją siostrą. Inezilla czeka na ciebie, ale pomnij o warunkach twego szczęścia. Ty kochasz Inezillę, ale ciebie kto inny kocha z równą mocą: dwoje nie powinno używać szczęścia kosztem trzeciego⁴⁹. Pójdź za mną.

Moja macocha nie dała mi czasu odpowiedzi, tylko poprowadziła mnie przez wiele korytarzy aż do drzwi ostatnich i jęła spoglądać przez dziurkę od klucza. Kiedy dość się już napatrzyła rzekła:

— Wszystko idzie dobrze, sam się przekonaj.

W istocie ujrzałem zachwycającą Inezillę, ale wyraz jej twarzy był daleki od zwykłej jej skromności. Oczy pałały niezwykłym ogniem, pierś szybko się wznosiła miotana gwałtownym wzruszeniem. Nie mogłem tego pojąć.

Po chwili Kamilla rzekła:

— Zostań tu, kochany Paszeko, skoro czas nadejdzie, przyjdę po ciebie.

Gdy weszła do komnaty⁵⁰, znowu przyłożyłem oko do zamku i ujrzałem tysiąc niepojętych dla mnie rzeczy. Kamilla namiętnymi słowy przemawiała do siostry; na stole stała szklanka niedopitego białego napoju. Inezilla z rozplamionym obliczem błędnie wpatrywała się w twarz tej kobiety, której postać unosiła się nad nią jak jastrząb nad przelękłą gołębicą. Krew we mnie zawrzała, szybko otworzyłem drzwi i ukląknąłem obok

⁴⁸ Posiliwszy się, poleciłem Gonzalezowi (...) straciłem ochotę do snu. — fragment rozdziału *Dzień drugi* dodany za innym opracowaniem tegoż tłumaczenia (J. Potocki, *Rękopis...*, wyd. Czytelnik, Warszawa 1965, oprac. Leszek Kukulski, s. 30–31). [przypis edytorski]

⁴⁹ Ty kochasz Inezillę, ale ciebie kto inny kocha z równą mocą (...) Pójdź za mną — w innym wyd.: „Ty kochasz Inezillę, a ja kocham ciebie. Z nas trojga dwoje nie powinno kosztować szczęścia z krzywdą trzeciego. Chcę, abyśmy wszyscy troje spali w jednym łóżku. Pójdź za mną”. [przypis edytorski]

⁵⁰ Gdy weszła do komnaty (...) po obu moich stronach — w innym wyd. tegoż tłumaczenia: „Gdy weszła do komnaty, znowu przyłożyłem oko do zamku i ujrzałem tysiąc rzeczy, które niełatwo przychodzi mi opisać. Kamila rozebrała się starannie i położywszy się do łóżka swojej siostry, rzekła do niej: — Nieszczęsna Inezillo, czyliż naprawdę pożądasz kochanka? Biedne dziecko! Nic nie wiesz o bólu, jaki ci zada? Rzuci się na ciebie, przyciśnie, zrani... Uznawszy, że dostatecznie już pouczyła swoją wychowankę, Kamila otworzyła drzwi, zaprowadziła mnie do łóżka swojej siostry i położyła się razem z nami. Cóż mogę powiedzieć o tej nieszczęsnej nocy? Dosięgnąłem szczytów grzechu i rozkoszy. Walczyłem z sennością i z naturą, by jak najdłużej przeciągnąć piekielne uciechy. Na koniec zasnąłem, a nazajutrz obudziłem się pod szubienicą braci Zoto, których trupy leżały po obu moich stronach”. [przypis edytorski]

czarującej dziewczyny, okrywając pocałowaniem drobne jej rączki. Szatan widno⁵¹ rozszalał się tej nocy i popychał mnie w przepaść zbrodni. Cały pokój kręcił się ze mną, czułem, że zmysły mnie opuszczają i niebawem głęboki sen mnie ogarnął.

Nazajutrz obudziłem się pod szubienicą braci Zota, których trupy leżały po obu moich stronach.

Tu pustelnik przerwał opętanemu i rzekł, zwracając się do mnie:

— Cóż więc, mój synu, co o tym myślisz? Mniemam, że doznałbyś niesłychanej trwogi, gdybyś nagle znalazł się między dwoma wisielcami.

— Obrażasz mnie, mój ojcie — odparłem — szlachcic nie powinien niczego się lękać, tym bardziej zwłaszcza, gdy ma zaszczyt być kapitanem w gwardii walońskiej.

— Ależ mój synu — przerwał pustelnik — czy słyszałeś, aby komu wydarzyła się kiedy podobna przygoda?

Zastanowiłem się przez chwilę, po czym odrzekłem:

— Jeżeli ta przygoda przytrafiła się panu Paszeko, mogła bardzo równie łatwo wydarzyć się i innym. Osądzę to lepiej, jeżeli raczysz mu rozkazać, aby mówił dalej.

Pustelnik obrócił się do opętanego i rzekł:

— Paszeko, Paszeko! W imieniu twojego odkupiciela nakazuję ci mówić dalej.

Paszeko zaryczał straszliwie i tak dalej rozpowiadał:

— Na pół umarły uciekałem spod szubienicy; wlokłem się, sam nie wiedząc gdzie, nareszcie spotkałem podróżnych, którzy ulitowali się nade mną i odprowadzili do Venta Quemada. Zostałem oberżystą i moich służących wielce o mnie zakłopotanych. Zapytałem ich, czyli w istocie ojciec mój przepędził noc w pobliskiej wiosce, odpowiedzieli, że dotychczas nikt jeszcze z mojej rodziny nie przybył.

Nie mogłem już dłużej wytrzymać w Venta Quemada i powróciłem do Andujar. Przyjechałem już po zachodzie słońca; pełno było ludzi w gospodzie, posłano mi więc w kuchni. Położyłem się, ale nadaremnie usiłowałem zasnąć, okropności przeszłej nocy ciągle stawały mi przed umysłem. Na ognisku kuchennym postawiłem zapaloną świecę, gdy wtem ta nagle zagasła i uczułem, jak dreszcz śmiertelny krew mi ścinał w żyłach. Zaczęło mnie coś ciągnąć za kołdrę i niebawem usłyszałem cichy głos przemawiający w te słowa:

— To ja, Kamilla, twoja macocha, drzę cała od zimna, drogi Paszeko, zlituj się nade mną.

Po chwili drugi głos przerwał:

— To ja, Inezilla, Paszeko, nie poznajesz⁵² twojej kochanki? I mnie także zimno.

I wnet poczułem, jak zimna ręka głaskała mnie pod brodę. Zebrałem wszystkie siły i krzyknąłem:

— Precz ode mnie, szatanie!...

Na co oba głosy znowu cicho odpowiedziały:

— Jak to? Wypędzasz nas? Czyliż nas już nie kochasz? Zimno nam, rozpalimy trochę ognia na kominku.

W istocie wkrótce potem lekki płomyk zabłysnął na ognisku kuchennym; gdy nieco się rozjaśniło, otworzyłem oczy i ujrzałem już nie Kamillę i Inezillę, ale dwóch braci Zota wiszących w kominie.

Na ten straszny widok, odszedłem prawie od zmysłów; wyskoczyłem z łoża, rzuciłem się przez okno i zacząłem uciekać w pole. Przez chwilę mniemałem, że uciekłem szczęśliwie od tych wszystkich okropności, ale obróciwszy się, spostrzegłem, że wisielcy gonili za mną: puściłem się coraz prędzej i wkrótce zostawiłem upiory daleko za sobą — ale radość moja niedługo trwała. Obrzydłe stworzenia zaczęły obracać się kołem na rękach i nogach i w jednej chwili mnie doścignęły. Jeszcze próbowałem uciec, na koniec sił mi zabrakło.

⁵¹widno — widocznie. [przypis edytorski]

⁵²nie poznajesz — daw. forma z partykułą -że; inaczej: czy nie poznajesz. [przypis edytorski]

Wtedy uczułem, że jeden z wisielców chwycił mnie za kostkę lewej nogi; chciałem mu ją wydrzeć, ale wtem drugi stanął mi w poprzek drogi. Zatrzymał się, wytrzeszczył na mnie okropne oczy i wywalił język czerwony jak żelazo z ognia dobyte. Błagałem o miłosierdzie, ale na próżno. Jedną ręką porwał mnie za gardło, drugą zaś wydarł to właśnie oko, które dotąd nie może się zagoić. W miejsce oka, wsunął swój język rozpalony, zaczął mi lizać mózg tak, że ryczałem z bóleści.

Natenczas drugi wisielec, który schwycił mnie za lewą nogę, wziął się także do szponów; naprzód zaczął mnie łechtać pod podeszwę nogi, za którą mnie trzymał, następnie piekielny potwór zdarł mi skórę, powyciągał wszystkie nerwy, oczyścił ze krwi i ją przebierał po nich palcami jak gdyby po narzędziu muzycznym; widząc jednak, że wcale nie wydawałem przyjemnych dlań dźwięków zapuścił szpony pod moje kolano, pozaciągał żyły na pazury i zaczął je nastrojać, zupełnie jak gdyby miał do czynienia z harfą. Na koniec jął grać na mojej nodze, z której utworzył pewien rodzaj psalterionu⁵³. Słyszałem jego diabelski śmiech, piekielne wycia towarzyszyły moim krzykom, tętniły mi w uszach zgrzytania potępieńców, wreszcie straciłem przytomność.

Nazajutrz pasterze znaleźli mnie na polu i przynieśli do tej pustelni. Wypowiadałem się z grzechów i u stóp ołtarza znalazłem ulgę w moich cierpieniach.

Po tych słowach opętaniec zaryczał straszliwie i umilkł. Natenczas pustelnik zabrał głos i rzekł:

— Przekonywasz się teraz, młodzieńcze, o potędze szatana, módl się więc i płacz. Ale już jest późno, wypada się nam rozłączyć; nie ofiaruję ci na noc mojej celi, gdyż krzyki Paszeka nie dałyby ci zasnąć. Idź, połóż się w kaplicy, tam pod osłoną krzyża znajdziesz opiekę przeciw złym duchom.

Odpowiedziałem pustelnikowi, że będę spał tam, gdzie mu się podoba; zanieśliśmy małe łóżko na pasach do kaplicy i pustelnik odszedł, życząc mi dobrej nocy.

Znalazłszy się sam jeden, zacząłem przywodzić na pamięć opowiadanie Paszeka. W istocie przypominało to moje własne przygody i właśnie zastanawiałem się nad tym, gdy północ uderzyła. Nie wiedziałem, czy to pustelnik dzwonił, czyli też zabrzmiało diabelskie hasło. Wtedy usłyszałem, że ktoś skrobał do drzwi; poszedłem i zapytałem:

— Kto tam?...

Cichy głos odpowiedział mi:

— Zimno nam — otwórz — to my — twoje drogie kochanki.

— Zapewne, przekłęci wisielcy — zawołałem — poszli precz do waszych szubienic! Nie przeszkadzajcie mi spać!

Na to cichy głos znowu się odezwał:

— Drwisz sobie z nas, bo siedzisz w kaplicy — ale pójdz no tu do nas, paniczu.

— Służę wam w tej chwili! — szybko odpowiedziałem.

Porwałem za szpadę i chciałem wyjść, ale cóż kiedy zastałem drzwi zamknięte. Powiedziałem to upiorom, które ani słowa nie rzekły. Położyłem się więc i spałem aż do białego dnia.

DZIEŃ TRZECI

Obudziłem się na głos pustelnika, który zdawał się niesłychanie cieszyć, widząc mnie zdrowego i wesołego. Uściskał mnie ze łzami w oczach i rzekł:

— Synu mój, dziwne rzeczy działy się tej nocy. Powiedz prawdę, czy przepędziłeś noc w Venta Quemada i czy miałeś tam do czynienia z potępieńcami? Jeszcze można złemu zaradzić. Klękniij u stóp ołtarza, wyznaj swoje winy i czyn pokutę.

Tak upominając, zamilkł i czekał na moją odpowiedź.

— Ojcze mój — rzekłem — właśnie spowiadałem się, wyjeżdżając z Kadyksu, a od tego czasu nie sądzę, abym popełnił jaki grzech śmiertelny, chyba by we śnie. Wprawdzie nocowałem w Venta Quemada, ale jeżeli tam co widział, mam moje powody, dla których nie chcę o tym wspominać.

⁵³psalterion a. psalterium — dawny instrument muzyczny strunowy szarpany lub uderzany; także: chordofon. [przypis edytorski]

Pustelnik na pozór zdziwił się mocno tą odpowiedzią, wyrzucił, że dałem się uwieść szatanowi pychy i koniecznie chciał mnie przekonać o nieodbitej potrzebie spowiedzi. Wkrótce jednak, widząc, że niezłomnie trwałem w moim postanowieniu, udobruchał się, porzucił ton apostołski, jakim do mnie przemawiał, i rzekł:

— Dziwi mnie twoja odwaga. Powiedz mi, kto jesteś? Kto cię wychował i czy wierzysz lub nie wierzysz w duchy? Bądź tak dobry i zaspokój moją ciekawość.

— Ojcze — rzekłem — zaszczycasz mnie tą chęcią bliższego poznania mojej osoby i bądź przekonany, że umiem ją cenić. Pozwól, abym wstał, a wtedy przyjdę do pustelni i opowiem ci wszelkie szczegóły mnie dotyczące, jakich sam tylko zażadasz.

Pustelnik znowu mnie uściskał i odszedł.

Ubrawszy się, wszedłem do pustelni; zastałem starca warzącego kozie mleko, które mi podał wraz z cukrem i chlebem; sam zaś poprzestał na kilku gotowanych korzonkach.

Skończywszy śniadanie, pustelnik obrócił się do opętanego i rzekł:

— Paszeko, Paszeko! W imieniu twojego odkupiciela, rozkazuję ci zaprowadzić kozy na górę.

Paszeko zaryczał straszliwie i odszedł.

Natenczas w te słowa zacząłem opowiadać własne przygody:

Historia Alfonsa van Worden

Pochodzę z starożytnej rodziny, która jednak więcej obfitowała w znakomitych mężów niż w dostatki. Cały nasz majątek składało rycerskie dominium nazwane Worden, zależące od Burgundii i położone wśród gór ardeńskich.

Ojciec mój, mając starszego brata, musiał poprzestać na małej części dziedzictwa, która mu jednak wystarczała do przyzwoitego utrzymania się w wojsku. Służył podczas całej wojny o sukcesję i po zawarciu pokoju, król Filip V zaszczycił go stopniem podpułkownika w gwardii walońskiej.

W wojsku hiszpańskim podówczas kodeks honorowy stosowany z najwyższą drobiazgowością, który mój ojciec jeszcze za niedostateczny uważał i w istocie nie można mu tego brać za złe, gdyż prawdę mówiąc, honor powinien być duszą życia wojskowego. W Madrycie nie odbywał się żaden pojedynek, żeby mój ojciec nie układał warunków, a skoro raz wyrzekł, że zadostyc uczynienie było dostateczne, nikt przeciw temu wyrokowi nie śmiał stawić oporu. Jeżeli zaś szczególniejszym trafem ktoś nie był zupełnie zadowolony, natychmiast miał do czynienia z moim ojcem, który ostrzem szpady popierał każde swoje zdanie. Nadto ojciec mój utrzymywał wielką księgę, w której zapisywał historię każdego pojedynku ze wszelkimi szczegółami, i zwykle w nadzwyczajnych razach do niej odwoływał się po radę.

Tak ciągle tylko zajęty swoim krwawym trybunałem, mój ojciec długo zostawał nieczuły na ponęty miłości, nareszcie wzruszyły mu serce wdzięki młodej jeszcze dziewczyny, Uraki Gomelez, córki oidora⁵⁴ Grenady, pochodzącej z krwi dawnych królów tego kraju. Wspólni przyjaciele wkrótce zbliżyli obie strony i skojarzyli małżeństwo.

Mój ojciec postanowił zaprosić na wesele wszystkich tych, z którymi kiedykolwiek się pojedykował, ma się rozumieć, których nie pozabijał. Sto dwudziestu dwóch zasiadło do stołu, trzynastu nie było w Madrycie, o miejscu zaś pobytu trzydziestu trzech, z którymi bił się w wojsku, nie mógł powziąć żadnej wiadomości. Matka moja opowiadała mi, że nigdy nie widziała tak wesołej uczty i na której by szczerze tak powszechnie panowała; łatwo temu uwierzyłem, gdyż ojciec mój miał wyborne serce i był lubiany przez wszystkich.

Z swojej strony, ojciec mój, silnie przywiązany do Hiszpanii, nie byłby nigdy opuścił służby, gdyby we dwa miesiące po małżeństwie nie był otrzymał listu podpisanego przez burmistrza miasta Bouillon. Donoszono mu, że jego brat, zszedłszy bezpotomnie ze świata, zostawił mu cały majątek. Wieść ta niesłychanie zmieszała mego ojca i matka mówiła mi, że wpadł w takie roztargnienie, że nie można było jednego słowa z niego wydobyć. Nareszcie rozłożył księgę pojedynków, wyszukał dwunastu ludzi, którzy ich mieli najwięcej w całym Madrycie, zaprosił do siebie i przemówił do nich w te słowa:

⁵⁴oidor (hiszp.) — sędzia wojskowy. [przypis edytorski]

— Drodzy towarzysze broni, wiecie, ile razy uspokoiłem wasze sumienia, gdy honor wasz zdawał się być zagrożony. Dziś sam jestem zmuszony odwołać się do waszego światła, lękam się albowiem, aby mój własny sąd nie był dość jasny, czyli raczej, aby uczucie stronności⁵⁵ nie stanęło mi na zawadzie. Oto jest list od burmistrza Bouillon, którego świadectwo zasługuje na szacunek, jakkolwiek urzędnik ten bynajmniej nie pochodzi z krwi szlacheckiej. Wyrzeknijcie⁵⁶ więc, czy honor nakazuje mi zamieszkiwać zamek moich przodków lub też czy dalej mam służyć królowi don Filipowi, który obsypał mnie dobrodziejstwami i w ostatnich nawet czasach wznosił do godności generała brygady. Zostawiam list na stole i sam odchodzę; za pół godziny powrócę i dowiem się o waszym postanowieniu.

To mówiąc, mój ojciec wyszedł z pokoju. Gdy wrócił w pół godziny, zaczęło się głosowanie. Pięć głosów było za zostaniem w służbie, siedem zaś za przeniesieniem się w góry ardeńskie. Mój ojciec bez szemrania skłonił się za większością.

Matka moja chętnie byłaby pozostała w Hiszpanii, ale tak dalece kochała swego męża, że bez najmniejszego żalu zgodziła się na opuszczenie ojczyzny. Odtąd zajęto się jedynie przygotowaniem do podróży i przyjęciem kilku osób, które by mogły wśród gór ardeńskich przypominać Hiszpanię. Chociaż mnie nie było jeszcze wtedy na świecie, jednakże mój ojciec, bynajmniej nie wątpiąc o moim przybyciu, pomyślał, że czas był wyszukać dla mnie nauczyciela fechtunku; w tym celu zainteresował się Garciasem Hierro⁵⁷, najbieglejszym fechtmistrzem w całym Madrycie. Młodzieniec ten, znudzony niespokojnym życiem miasta, chętnie przystał na podane mu warunki. Z drugiej strony, matka moja, nie chcąc puszczać się w podróż bez spowiednika, wybrała Iníga Veleza, teologa patentowanego w Cuenca, który miał mnie nauczać zasad religii katolickiej i języka hiszpańskiego. Wszystkie te rozporządzenia względem mego wychowania poczyniono na rok przed moim przyjściem na świat.

Skoro wszystko już było gotowe do odjazdu, ojciec mój poszedł pożegnać się z królem i według zwyczaju przyjętego na dworze hiszpańskim, ukląkł na jedno kolano, aby mu ucałować rękę, ale nagle żal tak mu ścisnął serce, że zemdlął i odniesiono go bez przytomności do domu. Nazajutrz poszedł pożegnać się z don Ferdynandem de Lara, który był naówczas pierwszym ministrem. Don Fernando przyjął go nader łaskawie i zawiadomił, że król wyznaczał mu dwanaście tysięcy realów dożywotniej pensji wraz ze stopniem *sargente general*, który odpowiada dzisiejszemu generałowi dywizji. Mój ojciec byłby połową własnej krwi okupił szczęście rzucenia się raz jeszcze do stóp monarchy, ale ponieważ już się był pożegnał, musiał przeto tym razem poprzestać na listowym wyrażeniu gorących uczuć wdzięczności, jaka go wskroś przejmowała. Nareszcie, nie bez rzewnych łez, opuścił Madryt.

Mój ojciec wybrał drogę przez Katalonię, aby raz jeszcze zwiedzić pola, na których dał tyle dowodów męstwa i pożegnać się z kilku dawnymi towarzyszami, którzy dowodzili oddziałami wojsk rozstawionymi na granicy. Stamtąd przez Perpignan dostał się do Francji.

Całą podróż aż do Lyonu odbył jak najspokojniej, ale wyjechawszy z Lyonu końmi pocztowymi, wyprzedzony został przez powóz, który daleko lżej wyładowany, pierwszy przybył do stacji. Niebawem mój ojciec zajechał także przed dom pocztowy, wziął szpadę i zbliżywszy się do podróżnego prosił o udzielenie mu chwilę osobnej rozmowy. Podróżny, jakiś pułkownik francuski, widząc mego ojca w generalskim mundurze, aby mu nie uchybić, także przypasał szpadę. Weszli obaj do gospody położonej naprzeciw domu pocztowego i zażądali osobnego pokoju. Gdy znaleźli się sami, mój ojciec tymi słowy odezwał się do podróżnego:

— Mości panie⁵⁸, powóz pański wyprzedził moją karetę, usiłując koniecznie pierwszej zajechać przed pocztę. Postępek ten, jakkolwiek sam przez się nie jest zniewagą, ma przecież dla mnie coś niemiłego, z czego raczysz się pan wytłumaczyć.

Pułkownik mocno zdziwiony zwał całą winę na pocztylionów i zaręczał, że bynajmniej się do tego nie mieszał.

⁵⁵stronność — dziś: stronniczość. [przypis edytorski]

⁵⁶wyrzeknijcie — tu w znaczeniu: orzeknijcie (osądźcie i powiedzcie). [przypis edytorski]

⁵⁷hierro (hiszp.) — żelazo. [przypis edytorski]

⁵⁸mości panie — w innej redakcji: señor kawalerze. [przypis edytorski]

— Mości panie — przerwał mój ojciec — nie uważam tego bynajmniej za sprawę zbyt wielkiej wagi i dlatego poprzestaną na pierwszej krwi.

To mówiąc, dobył szpady.

— Wstrzymaj się pan na chwilę — rzekł Francuz. — Mniemam, że to wcale nie moi pocztylioni wyprzedzili pańskich, ale przeciwnie, pańscy wlokąc się, niedbale pozostali w tyle.

Mój ojciec nieco zamyślił się i rzekł do pułkownika:

— Sądzę, że masz pan słuszność i gdybyś był wcześniej uczynił mi tę uwagę, to jest, zanim dobyłem szpady, bez wątpienia byłoby się obyło⁵⁹ bez pojedynku; ale teraz, pojmujesz pan, że doprowadziliśmy rzeczy do tego stopnia, że bez rozlewu trochy krwi nie możemy się rozjeść.

Pułkownik znalazł zapewne tę przyczynę zupełnie dostateczną i także dobył szpady. Walka krótko trwała. Mój ojciec, czując się rannym, natychmiast zniżył ostrze swej szpady i ją⁶⁰ przeprosząc pułkownika, że śmiał go trudzić, na co ten odpowiedział, ofiarując swoje usługi, wymienił swoje nazwisko i gdzie można było go znaleźć w Paryżu; po czym wsiadł do powozu i odjechał.

Mój ojciec z początku nie zważał na ranę, ale ciało jego tak było innymi pokryte, że nowy ten cios uderzył w dawną bliznę.

Pchnięcie szpady pułkownika odkryło postrzał karabinowy, po którym kula mu jeszcze pozostała. Ołów tym razem wydostał się na wierzch i po dwumiesięcznym okładaniu i przewijaniu, rodzice moi puścili się w dalszą drogę.

Ojciec mój, przybywszy do Paryża, natychmiast pośpieszył odwiedzić margrabiego d'Urfé (tak się nazywał pułkownik, z którym miał spotkanie). Był to jeden z ludzi najczęściej poważanych na dworze; przyjął mego ojca z niewypowiedzianą uprzejmością i obiecał przedstawić go ministrowi jako też pierwszym panom francuskim. Mój ojciec podziękował mu i prosił tylko o przedstawienie go księciu de Tavannes, który naówczas był dziekanem marszałków, chciał bowiem zasięgnąć bliższych wiadomości względem trybunału honorowego, o którym dotąd miał wysokie wyobrażenie, często rozpowiadał w Hiszpanii jako o nader mądrej instytucji i wszelkimi siłami starał się zaprowadzić ją w tym kraju. Marszałek również rad był memu ojcu i polecił go kawalerowi de Bélievre, pierwszemu sekretarzowi panów marszałków i obrońcy⁶¹ przy rzeczonym trybunale.

Kawaler, często odwiedzając mego ojca, spostrzegł raz u niego kronikę pojedynków. Dzieło to tak dalece wydało mu się jedyne w swoim rodzaju, że prosił o pozwolenie pokazania go panom marszałkom, którzy podzielili zdanie ich sekretarza i posłali do mego ojca z prośbą, aby raczył dozwolić uczynić odpis, który miał być na wieczne czasy złożony w aktach trybunalskich. Żądanie to sprawiło memu ojcu niesłychaną przyjemność i z radością na nie zezwolił.

Podobne oświadczenia szacunku bezustannie uprzyjemniały memu ojcu pobyt w Paryżu, ale wcale inaczej działało się z moją matką. Postanowiła ona niezwłocznie nie tylko nie uczyć się po francusku, ale nawet nie słuchać, gdy przemawiano tym językiem. Spowiednik jej, Iñigo Velez, ciągle gorzko wyśmiewał się z wolnych obrządków kościoła gallikańskiego, Garcias Hierro zaś kończył każdą rozmowę utrzymując, że Francuzi byli tchórzami i niezgrabiaszami.

Nareszcie rodzice moi opuścili Paryż i po czterech dniach podróży przybyli do Bouillon. Ojciec mój dopełnił aktu rozpoznania przed urzędnikami i objął swój majątek w posiadanie. Dach naszych przodków, od dawna pozbawiony obecności swych panów, w równym stanie znajdował się co do dachówek; deszcz tak dobrze lał w pokoju, jak na podwórzu, z tą różnicą, że bruk podwórza wkrótce wysychał, podczas gdy kałuże w pokojach ciągle się powiększały. Ten zalew domowego ogniska bardzo podobał się memu ojcu, przypominał mu bowiem oblężenie Leridy, podczas którego trzy tygodnie przepędził, stojąc po pas w wodzie.

Pomimo tych miłych wspomnień postarał się jednak o umieszczenie w suchym miejscu łóżka swojej małżonki. W obszernym bawialnym pokoju był komin flamandzki, przy

⁵⁹byłoby się obyło — daw. konstrukcja czasu zaprzeczonego, tj. wyrażającego czynności wcześniejsze od tych wyrażonych czasem przeszłym prostym. [przypis edytorski]

⁶⁰jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

⁶¹obrońcy — w innej redakcji: referendarzowi. [przypis edytorski]

którym piętnaście osób mogło grać się wygodnie; wystające sklepienie tego komina tworzyło niejako dach, podparty z każdej strony dwoma słupami. Zabito więc dymnik i pod tym dachem postawiono łóżko mojej matki, stół i jedno krzesło, ponieważ zaś ognisko było wyniesione na jedną stopę, matka moja przeto mogła zamieszkiwać tę wyspę dość nieprzystępną dla powodzi.

Ojciec mój osiedlił się w przeciwnym końcu pokoju na dwóch stołach spojonych deskami, oba zaś łóżka połączono mostem umocowanym w środku podwalnią z pak i kufrów. Dzieło to zostało ukończone pierwszego dnia naszego przybycia do zamku i w dziewięć miesięcy potem przyszedłem na świat.

Podczas gdy z wielką gorliwością zajmowano się wyporządzeniem naszego mieszkania, mój ojciec odebrał list, który przepelnił go radością. W liście tym marszałek książę de Tavannes prosił go o sąd w pewnej sprawie honorowej, która całemu trybunałowi wydała się nader trudna do rozstrzygnięcia. Mój ojciec z takim szczęściem przyjął ten dowód szczególniejszej łaski, że postanowił wyprawić wielki bal dla sąsiadów. Ale ponieważ nie mieliśmy żadnych sąsiadów, bal przeto skończył się na fandango wykonanym przez mego fechtmistrza i signorę Fraskę, pierwszą garderobianą mojej matki.

W odpowiedzi na list marszałka ojciec mój upraszał, aby raczono mu w następstwie przesyłać wyciągi z wyroków trybunału. Ta łaska została mu udzielona i odtąd każdego pierwszego miesiąca otrzymywał wielki zwój papierów, który przez cztery tygodnie wystarczał na domowe rozmowy i sprzeczki podczas długich wieczorów zimowych przy kominie, w lecie zaś na dwóch ławkach przypartych do zamkowej bramy.

Gdy zapowiadałem już moje narodzenie, ojciec mój ciągle rozmawiał z moją matką o synu, którego się spodziewał i o wyborze ojca chrzestnego. Matka moja obstawała za księciem de Tavannes lub też za margrabią d'Urfé, ojciec zaś utrzymywał, że to byłby dla nas wielki zaszczyt, ale przy tym obawiał się, aby ci panowie nie sądzili, że mu czynią zbyt wielki zaszczyt. I tak, zrozumiałwszy należycie własną godność, prosił kawalera de Bélievre, który ze swojej strony z szacunkiem i wdzięcznością przyjął zaproszenie.

Na koniec przyszedłem na świat. W trzecim roku życia wywijalem już małą szpadą, w szóstym zaś strzelałem z pistoletu, nie zmrużywszy oka. Miałem już blisko siedem lat, gdy mój ojciec chrzestny przyjechał do nas w odwiedziny. Kawaler od tego czasu ożenił się był⁶² w Tounai i piastował tam urząd namiestnika i zarazem obrońcy przy trybunale honorowym. Początek tych godności odnosi się aż do czasów sądów bożych⁶³, później przyłączono je do trybunału marszałków Francji.

Pani de Bélievre była nader wątłego zdrowia i mąż wiozł ją do wód w Spa. Oboje wkrótce niesłychanie mnie polubili, a ponieważ nie mieli własnych dzieci, uprosili przeto mego ojca, aby im powierzył moje wychowanie, które nie mogło być pielęgnowane w samotnej okolicy, jaką zamieszkiwaliśmy. Ojciec mój chętnie przystał na ich żądania, zachęcony zwłaszcza urzędem obrońcy przy trybunale honorowym, który mu obiecywał, że w domu Bélievre'ów zawczasu przejmę się zasadami mającymi ustalić dalsze moje postępowanie.

Z początku chciano, aby towarzyszył mi Garcias de Hierro, gdyż mój ojciec zawsze był tego zdania, że najszlachetniejszy pojedynek był ze szpadą w prawej, puginałem zaś w lewej ręce. We Francji zupełnie nie używano tego rodzaju szermierstwa. Ponieważ jednak mój ojciec przyzwyczał się każdego poranku szermować z Garciasem i ta rozrywka stała się potrzebna dla jego zdrowia, postanowił zatem zatrzymać fechtmistrza przy sobie.

Myślano również, aby wysłać ze mną teologa Iñiga Veleza, ale ponieważ matka moja umiała tylko po hiszpańsku, niepodobieństwem więc było pozbawiać ją spowiednika znającego ten język. Tak więc rozłączony zostałem z dwoma ludźmi, których jeszcze przed moim urodzeniem przeznaczono na moich nauczycieli. Jednakże dano mi służącego Hiszpana, ażeby w jego towarzystwie nie zapomniał mowy macierzyńskiej.

Wyjechałem z moim ojcem chrzestnym do Spa, gdzie przepędziliśmy dwa miesiące, stamtąd udaliśmy się do Holandii i nareszcie w końcu jesieni wróciliśmy do Tournai. Ka-

⁶²ożenił się był — daw. forma czasu zaprzeczonego; inaczej: ożenił się uprzednio. [przypis edytorski]

⁶³sądy boże a. *ordalia* — środek dowodowy w średniowiecznym procesie karnym a. cywilnym polegający na przeprowadzeniu próby, czy Bóg sprzyja osobie oskarżonej i udowodnieniu poprzez to jej winy lub niewinności; do ordaliów należały m.in. próba wody (pławienie „czarownicy”), próba żelaza (ukazana m.in. w *Legendzie o Tristanie i Izoldzie*) oraz pojedynek sądowy. [przypis edytorski]

waler de Bélievre wybornie odpowiedział zaufaniu mego ojca i przez sześć lat nie szczędził wszelkich starań, aby mnie z czasem wykształcić na znakomitego wojskowego. W końcu szóstego roku mego pobytu pani de Bélievre nagle umarła, mąż jej opuścił Flandrię i przeniósł się do Paryża, mnie zaś odwołano do rodzicielskiego domu.

Po podróży nieznośnej z powodu spóźnionej pory, w dwie godziny po zachodzie słońca przybyłem do zamku, gdzie zastałem wszystkich mieszkańców zebranych koło wielkiego komina. Mój ojciec, jakkolwiek uszczęśliwiony z mego przyjazdu, przecież bynajmniej nie objawił oznak radości, lękając się na szwank wystawić to, co wy, Hiszpanie, nazywacie *la gravedad*; natomiast matka moja przyjęła mnie ze łzami. Teolog Inigo Velez przywitał mnie błogosławieństwem, szermierz zaś Garcias Hierro natychmiast podał mi floret. Wnet uderzyłem na niego i zadałem mu kilka pchnięć, które dały obecnym niepospolite wyobrażenie o mojej zręczności. Mój ojciec zbyt był biegłym znawcą, aby w tej chwili nie miał zastąpić dawnej oziębłości najżywszym rozczuleniem.

Zastawiono wieczerzę i wszyscy wesoło zasiedli do stołu. Po wieczerzy znowu przysunęto się do komina i mój ojciec rzekł do teologa:

— Przewielebny don Inigo, uczyn mi tę przyjemność, przynieś wielką księgę z cudownymi historiami i przeczytaj nam którą.

Teolog poszedł do swego pokoju i wkrótce wrócił z ogromnym foliałem oprawionym w biały pergamin, który położył już od starości. Otworzył księgę na chybił trafił i zaczął czytać w te słowa:

Historia Triwulcja z Rawenny

Był raz przed laty we włoskim mieście nazwanym Rawenna młodzieniec nazwiskiem Triwulcjo. Przystojny, bogaty, ale przy tym nadzwyczaj zarozumiały. Dziewczęta raweńskie wyglądały oknami, aby go ujrzeć przechodzącego, ale żadna nie mogła sprawić na nim wrażenia. Jeżeli zaś przypadkiem która przypadła mu do smaku, milczał z obawy, aby się nie poniżył okazaniem kobiecie tak wysokiego zaszczytu. Nareszcie wdzięki młodej Niny dei Gieraci skruszyły jego obojętność i Triwulcjo oświadczył jej swoją miłość. Nina na to odpowiedziała, że kawaler Triwulcjo wielce ją tym zamiarem zaszczycał, ale że od dzieciństwa kochała swego kuzyna Teobalda dei Gieraci i że zapewne do śmierci kochać go nie przestanie. Na tę niespodziewaną odpowiedź Triwulcjo wyszedł, dając oznaki najzapalczyszej wściekłości.

W osiem dni potem, a było to właśnie w niedzielę, gdy wszyscy mieszkańcy Rawenny dążyli do katedry świętego Piotra, Triwulcjo rozpoznał wśród tłumu Ninę wspartą na ramieniu jej krewnego. Zawinął się w płaszcz i pośpieszył za nimi.

Gdy wszyscy weszli do kościoła, gdzie nie wolno było twarzy płaszczem zakrywać, kochankowie mogli byli łatwo spostrzec, że Triwulcjo ich ścigał, ale tak dalece zajęci byli miłością, że nawet nie uważali na mszę, co prawdę mówiąc, wielkim jest grzechem.

Tymczasem Triwulcjo usiadł za nimi w ławce, słuchał ich rozmowy i podniecał w sobie zawziętość. Natenczas ksiądz wstąpił na ambonę i rzekł:

— Mili chrześcijanie, ogłaszam wam zapowiedzi Teobalda i Niny dei Gieraci, czy kto z was ma co przeciw temu małżeństwu?

— Ja się temu sprzeciwiam — krzyknął Triwulcjo i w tej chwili zadał obu kochankom kilkanaście ciosów sztyletem.

Chciano go przytrzymać, ale znowu wziął się do sztyletu, wymknął się z kościoła, następnie z miasta i uciekł do Wenecji.

Triwulcjo był pyszny i zepsuty przez los, ale duszę miał tkliwą; zgryzoty sumienia zemściły się za nieszczęśliwe ofiary. Triwulcjo tułał się od miasta do miasta i w rozpacz pędził życie.

Po kilku latach krewni jego załagodzili całą sprawę i powrócił do Rawenny; ale nie był to już ten sam młodzieniec błyszczący szczęściem i dumny z swojej urody. Zmienił się tak dalece, że własna mamka nie mogła go poznać.

Zaraz pierwszego dnia po przybyciu Triwulcjo wywiedział się, gdzie był grób Niny; powiedziano mu, że razem ze zwłokami kochanka została pochowana w kościele świętego Piotra, tuż obok miejsca, gdzie ich zamordowano. Triwulcjo drżący poszedł do kościo-

ła, upadł na grób i oblał go rzewnymi łzami. Pomimo całej boleści, jakiej nieszczęśliwy zabójca doznał w tej chwili, łzy przecież ulżyły mu na sercu; dał więc swoją kiesę zakrystianowi i otrzymał pozwolenie wchodzenia do kościoła, kiedy mu się tylko spodoba. Odtąd przychodził każdego wieczora i zakrystian tak się do niego przyzwyczaił, że nie zwracał nań najmniejszej uwagi.

Pewnego wieczoru Triwulcjo, przepędziwszy poprzednią noc bezsennie, zasnął na grobie, a gdy się obudził, znalazł kościół już zamknięty; postanowił więc śmiało przepędzić noc w miejscu, które tak zgadzało się z jego głębokim smutkiem. Słuchał, jak godziny były jedna za drugą i żałował tylko, że każdy ostatni dźwięk nie był ostatnią chwilą jego życia.

Nareszcie północ uderzyła. Otworzyły się drzwi od zakrystii i Triwulcjo ujrzał zakrystiana wchodzącego z latarnią w jednej, z miotłą zaś w drugiej ręce. Nie był to jednak zwyczajny zakrystian, ale kościotrup; miał wprawdzie nieco skóry na twarzy i coś na kształt zapadłych oczu, ale okrywająca go oponcza wyraźnie pokazywała, że na kościach zupełnie nie było ciała.

Okropny zakrystian postawił latarnię na wielkim ołtarzu i pozapalał świece jak do niesporów; następnie zaczął zamiatać kościół i okurzać ławki, przeszedł nawet kilka razy obok Triwulcja, ale nie zdawał się go spostrzegać. Nareszcie zbliżył się do drzwi zakrystii i jął dzwonić w sygnaturkę; na ten dźwięk podniosły się grobowce, wyszli umarli owinięci w całuny i na posępną nutę zawiedli hymny i żałobne litanie.

Gdy tak przez jakiś czas już wyśpiewywali, jeden martwiec odziany w albę i stułę wstąpił na ambonę i rzekł:

— Mili bracia, ogłaszam wam zapowiedzi Teobalda i Niny dei Gieraci. Przeklęty Triwulcjo, czy masz co przeciw temu?

Tu ojciec mój przerwał teologowi i zwracając się do mnie, rzekł:

— Synu mój Alfonsie, czy zląkłbyś się, gdybyś był na miejscu Triwulcja?

— Drogi ojcze — odpowiedziałem — sądzę, że zląkłbym się niesłychanie.

Na te słowa ojciec mój porwał się uniesiony szalonym gniewem, poskoczył do szpady i chciał mnie nią przybić do ściany.

Obecni rzucili się między nas i przecie zdołali go uspokoić. Gdy usiadł na swoim miejscu, spojrzął na mnie straszliwie i rzekł:

— Synu niegodny twojego ojca, nikczemność twoja hańbą okrywa pod pewnym względem pułk gwardii walońskiej, w którym cię chciałem umieścić.

Po tych gorzkich wymówkach, przy których myślałem, że umrę ze wstydu, nastąpiło głębokie milczenie. Garcias pierwszy je przerwał i zwracając się do mego ojca, rzekł:

— Czy nie lepiej byłoby, jaśnie wielmożny panie, aby zamiast tego wszystkiego, można było przekonać syna waszej miłości, że nie ma na świecie ani widm, ani upiorów, ani umarłych, którzy śpiewają litanie? Tym sposobem bez wątpienia panicz nie drżałby na ich wspomnienie.

— Mości Hierro — odpowiedział cierpko mój ojciec — zapominasz waćpan, że wczoraj miałem zaszczyt pokazywać mu historię o duchach, napisaną własną ręką mego pradziada.

— Ja bynajmniej — odparł Garcias — nie zadaję fałszu pradziadowi jaśnie wielmożnego pana.

— Jak to rozumiesz — rzekł ojciec — „bynajmniej nie zadaję fałszu”? Czy wiesz, że to wyrażenie przypuszcza możliwość zadania fałszu memu pradziadowi, przez waćpana?

— Jaśnie wielmożny panie — mówił dalej Garcias — wiem, że jestem zbyt mało znaczącą osobą, aby jaśnie wielmożny pradziad waszej miłości, miał wymagać po mnie jakiegokolwiek zadosyć uczynienia.

Wtedy mój ojciec, przybrawszy jeszcze straszliwszą postawę, zawołał:

— Hierro! Niech cię Bóg broni od usprawiedliwień, gdyż to dopuszcza możliwość obrazy.

— W takim razie — rzekł Garcias — nie pozostaje mi nic, jak tylko z pokorą poddać się karze, jaką jaśnie wielmożny pan w imieniu swego pradziada raczy na mnie wymierzyć, śmiem tylko błagać, aby dla ochrony godności mego powołania, kara ta została mi

wyznaczoną przez naszego spowiednika; tym sposobem będę mógł ją uważać za pokutę kościelną.

— To nie jest zła myśl — rzekł mój ojciec znacznie uspokojony. — Pamiętam, że kiedyś napisał mały traktat o zadostyczynieniach w razie gdyby pojedynek nie mógł mieć miejsca; muszę się nad tym głębiej zastanowić.

Mój ojciec zdawał się z początku głęboko rozmyślać nad tym przedmiotem, ale przechodząc z jednych uwag do drugich, zasnął nareszcie w swoim krześle. Matka moja i teolog od dawna już spali i Garcias niebawem poszedł za ich przykładem. Natenczas ja odszedłem do mego pokoju i tak minął pierwszy dzień powrotu do rodzicielskiego domu.

Nazajutrz z rana fechtowałem się z Garciasem, następnie poszedłem na polowanie, po wieczery zaś, gdy wszyscy zasiedli koło komina, mój ojciec znowu posłał teologa po wielką księgę. Przewielebny przyniósł ją, otworzył na pamięć i zaczął czytać, co następuje:

Historia Landulfa z Ferrary

W pewnym mieście włoskim nazwanym Ferrara, żył raz pewien młodzieniec nazwiskiem Landulf. Był to rozpustnik bez czci i wiary, który zgrozą przejmował wszystkich pobożnych mieszkańców. Ten niegodziwiec szukał tylko podobnych sobie kobiet, żadna jednak nie podobała mu się tyle, ile Bianka de Rossi, ponieważ wszystkie inne przewyższała w lekkomyślności.

Bianka nie tylko była rozpustna, chciwa złota i zepsuta w głębi serca, ale nadto wymagała zawsze, aby jej kochankowie zniżali się do niej hańbiącymi postępkami; nalegała więc na Landulfa, aby każdego wieczora prowadził ją na wieczerzę do jego matki i siostry. Landulf natychmiast poszedł do matki i oświadczył jej ten zamiar, jak gdyby nic w tym nie widział nieprzyzwoitego. Biedna matka zalała się łzami i zaklinała syna, aby miał wzgląd na dobrą sławę siostry. Landulf pozostał głuchy na te prośby i przyrzekł tylko dochować ile możności tajemnicy, po czym przyprowadził Biankę do domu. Matka i siostra Landulfa przyjęły niegodziwą daleko lepiej niż na to zasługiwała; ale Bianka, widząc ich dobroć, podwoiła jeszcze zuchwałość, zaczęła rozprawiać o nieprzyzwoitych rzeczach i dawać siostrze swego kochanka nauki, bez jakich ta byłaby się zupełnie obeszła. Nareszcie wyprawiła obie z pokoju, mówiąc, że dość już ją znudziły.

Nazajutrz bezwstydną rozniosła tę historię po całym mieście, tak że przez kilka dni o niczym innym nie mówiono; niebawem wieść o tym wypadku doszła Odoarda Zampi, brata matki Landulfa. Odoardo wcale nie był człowiekiem bezkarnie puszczającym urazę, ujął się za swą siostrą i tego samego dnia kazał zamordować niegodziwą Biankę. Gdy Landulf udał się do swej kochanki, znalazł ją broczącą we krwi i nieżywą. Wkrótce dowiedział się, że to była sprawa jego wuja, pobiegł więc, chcąc go ukarać, ale dzielni towarzysze otaczający Odoarda naigrawali się jeszcze z jego bezsilnej złości.

Landulf, nie wiedząc, na kim wyrzucić swoją wściekłość, pobiegł do matki, aby na niej pomścić swoją krzywdę. Biedna kobieta właśnie siadała z córką do wieczery i widząc syna wchodzącego, zapytała, czy dziś Bianka przyjdzie do stołu.

— Oby mogła przyjść — krzyknął Landulf — i zaprowadzić cię do piekła razem z twoim bratem i całą rodziną Zampich.

Nieszczęśliwa matka padła na kolana, wołając:

— Wielki Boże, przebacz mu jego bluźnierstwa!

W tej chwili drzwi otwarły się z łoskotem i ujrzano wchodzące straszliwe widmo, pokryte ranami sztyletu, w którym jednak nie można było nie rozpoznać trupa Bianki.

Matka i siostra Landulfa zaczęły żarliwie się modlić i Bóg udzielił im łaskę zniesienia tego okropnego widoku.

Wiedźma zbliżyła się wolnymi krokami i zasiadła do stołu, jak gdyby chciała społem wieczerzać. Landulf z odwagą, jaką samo tylko piekło mogło go natchnąć, podał jej półmisek. Widmo otworzyło tak wielką paszczę, że głowa zdawała mu się lapać na dwoje i zionęło czerwonym płomieniem; następnie wyciągnęło osmoloną rękę, wzięło kawałek, połknęło go i wnet usłyszano jak spadał pod stół. Tym sposobem pożarło cały półmisek, ale wszystkie kawałki upadały pod stół. Wtedy zwracając straszliwe oczy na gospodarza, rzekło:

— Teraz muszę ci podziękować za wieczerzę, drogi Landulfie.

Przy tych słowach zarzuciło mu na szyję skrwawione ręce, zaczęło uśmiechać się i kłapać zębami...

Tu mój ojciec, przerywając spowiednikowi, obrócił się do mnie i rzekł:

— Synu mój Alfonsie, czy zląkłbyś się, gdybyś był na miejscu Landulfa?...

— Kochany ojcze — odpowiedziałem — zaręczam, że wcale bym się nie zląkł.

Odpowiedź ta ucieszyła mego ojca; przez cały wieczór był wesół i z radością na mnie poglądał.

Tak przepędzaliśmy dni jeden za drugim, z tą różnicą, że w zimie zasiadaliśmy koło komina, w lecie zaś na ławce przypartej do zamkowej bramy. Sześć lat upłynęło w tym słodkim pokoju i gdy teraz sobie przypominam, zdaje mi się, że każdy rok nie trwał dłużej jak tydzień.

Gdy skończyłem siedemnasty rok życia, ojciec pomyślał o umieszczeniu mnie w pułku gwardii walońskiej, i w tym celu napisał do kilku dawnych towarzyszków, na których najwięcej jeszcze liczył. Ci zacni i szanowni wojskowi połączyli wspólne starania i otrzymali dla mnie patent na kapitana. Mój ojciec, otrzymawszy tę wiadomość, tak dalece był nią wzruszony, że lękano się o jego życie; wszelako niebawem przyszedł do siebie i odtąd zajmował się tylko przygotowaniami do mego wyjazdu. Chciał, abym udał się przez morze i wylądował w Kadyksie, naprzód przedstawił się Don Henrykowi de Sa, wielkorządcy prowincji, który najwięcej przyczynił się do otrzymania dla mnie stopnia.

Gdy powóz pocztowy zajechał już na podwórze zamkowe, ojciec mój zaprowadził mnie do swego pokoju i zaryglował drzwi za sobą, rzekł:

— Kochany Alfonsie, pragnę powierzyć ci tajemnicę, którą otrzymałem od mego ojca, a którą ty przekazesz kiedyś twemu synowi, gdy go jej godnym osądzisz.

Byłem przekonany, że ta tajemnica tyczyła się jakiego ukrytego skarbu, odpowiedziałem więc, że zawsze uważałem złoto jedynie jako środek przyjścia w pomoc nieszczęśliwym.

— Mylisz się, kochany Alfonsie — odparł mój ojciec — nie chodzi tu bynajmniej o złoto lub srebro. Pragnę nauczyć cię nieznanego dotąd pchnięcia, za pomocą którego zasłaniając prawy bok i szybkim zwrotem podbijając końcem szpady rękojeść przeciwnika, z pewnością zawsze wytrącisz mu broń z ręki.

To mówiąc, wziął florety, nauczył mnie nieznanego pchnięcia; dał błogosławieństwo na drogę i zaprowadził do powozu. Uściskałem moją matkę i po chwili opuściłem zamek rodzicielski.

Udałem się lądem aż do Flesingi, tam wsiadłem na okręt i wylądowałem w Kadyksie. Don Henryk de Sa zajął się mną, jak gdybym był własnym jego synem, dopomógł mi do przyzwoitego oporządzenia się i polecił dwóch służących, z których jeden zwał się Lopez, drugi zaś Moskito. Z Kadyksu przybyłem do Sewilli, z Sewilli do Kordoby, następnie do Andujar, skąd postanowiłem wybrać drogę przez Sierra Morena. Na nieszczęście przy źródle w Alcornoces obaj służący mnie opuścili. Pomimo to tego samego dnia dostałem się do Venta Quemada, wczoraj zaś wieczorem do twojej pustelni.

— Kochany synu — rzekł pustelnik — twoja historia mocno mnie zajęła i dziękuję ci, żeś mi ją raczył opowiedzieć. Widzę teraz po sposobie twego wychowania, że bojaźń jest dla ciebie zupełnie nieznanym uczuciem; ale ponieważ przepędziłeś noc w Venta Quemada, lękam się, abyś tam nie był doświadczył nagabywań dwóch wisielców i żebyś kiedyś nie uległ smutnemu losowi opętanego Paszeko.

— Wielebny ojcze — odpowiedziałem — długom się zastanawiał tej nocy nad przgodami pana Paszeko. Jakkolwiek ma on diabła w ciele, przecież jest szlachcicem, nie sądzę więc, aby wszystko, co mówił, nie było najistotniejszą prawdą. Z drugiej jednak strony, Inigo Velez, nasz spowiednik zamkowy zaręczył mi, że jakkolwiek dawniej znajdowali się opętani, zwłaszcza w pierwszych czasach chrześcijaństwa, atoli dziś nie ma już ich zupełnie i jego świadectwo tym ważniejsze mi się wydaje, że ojciec mój rozkazał mi we względzie naszej religii, ślepo wierzyć czcigodnemu Velezowi.

— Jak to? — rzekł pustelnik. — Nie widziałeś więc okropnej postaci opętanego, któremu diabli wylupili jedno oko?

— I owszem, mój ojciec, wszelako pan Paszeko, mógł innym sposobem nabawić się tego kalectwa. Wreszcie co się tyczy tych rzeczy, zwracam się zawsze do tych, którzy więcej umieją ode mnie. Dość dla mnie, że nie lękam się żadnych widm ani strachów. Jednakże jeżeli chcesz dla zachowania spokoju duszy mojej dać mi jaką świętą relikwię, przyrzekam nosić ją z wszelką wiarą i poszanowaniem.

Pustelnik zdawał się uśmiechać z mojej prostoty, po czym rzekł:

— Widzę, mój synu, że masz jeszcze wiarę, ale obawiam się, abyś nadal zdołał w niej wytrwać. Ci Gomelezowie, od których wiesz twój ród po kądzieli, są od niedawna dopiero chrześcijanami, niektórzy z nich nawet, jak mówią, w głębi serca wyznają islamizm. W razie gdyby ci ofiarowali niezmierne bogactwa z warunkiem przejścia na ich wiarę, co byś wtenczas uczynił?

— Nie przyjąłbym — odpowiedziałem — gdyż mniemam, że wyparcie się wiary lub opuszczenie sztandaru, zawsze może tylko okryć hańbą.

Tu pustelnik znowu zdawał się uśmiechać i rzekł:

— Ze smutkiem spostrzegam, że cnoty twoje zasadzają się na zbyt wygórowanym uczuciu honoru i uprzedzam cię, że dziś nie ma już tyle pojedynków w Madrycie, ile ich bywało za czasów twego ojca. Oprócz tego cnoty dziś opierają się na innych, daleko trwalszych zasadach. Ale nie chcę cię dłużej zatrzymywać, gdyż masz jeszcze długą drogę przed sobą, zanim dostaniesz się do Venta del Pegnon, czyli Gospody pod Skałą. Oberżysta mieszka tam pomimo złodziejów, liczy bowiem na opiekę bandy Cyganów, która obozuje w okolicy. Pojutrze przyjedziesz do Venta de Cardagnas i wtedy będziesz już za Sierra Moreną. Przy siodle znajdziesz niektóre zapasy na drogę.

To mówiąc, pustelnik czule mnie uściskał, ale nie dał mi żadnej relikwii dla zachowania spokoju mej duszy. Nie chciałem mu przypominać i dosiadłszy konia, opuściłem pustelnię.

Przez drogę rozmyślałem nad szczególniejszymi mniemaniami pustelnika, nie mogłem bowiem pojąć, jakim sposobem cnota może opierać się na silniejszej podstawie jak na uczuciu własnego honoru, który sam obejmował w sobie wszystkie cnoty.

Właśnie zastanawiałem się nad tymi uwagami, gdy nagle jakiś jeździec ukazał się spoza skały, stanął mi w poprzek drogi i rzekł:

— Czy pan nazywasz się Alfons van Worden?

Odpowiedziałem, że tak jest.

— W takim razie aresztuję pana w imieniu króla i przenajświętszej inkwizycji; racz mi pan oddać szpadę.

W milczeniu spełniłem jego żądanie, gdy wtem jeździec gwizdnął i zewsząd otoczony zostałem uzbrojonymi. Rzucili się na mnie, związali mi ręce w tył, zapuścili manowcami w góry i po godzinie drogi ujrzałem przed sobą warowny zamek. Spuszczono most zwozdzony i wjechaliśmy w dziedziniec; natychmiast zaprowadzono mnie do narożnej wieży i wepchnięto do więzienia, nie troszcząc się bynajmniej o rozwiązanie powrozów, które mnie kępowały. Więzienie było zupełnie ciemne, nie mogłem wyciągnąć rąk przed siebie, lękając się przy tym uderzyć głową w mur, usiadłem w miejscu, gdzie mnie postawiono, i jak można łatwo pojąć, zacząłem rozmyślać nad przyczynami tak gwałtownego ze mną postępowania. Zrazu myślałem, że inkwizycja schwytała Eminę i Zibeldę i że Murzynki opowiedziały wszystko, co się stało w Venta Quemada. W takim przypadku bez wątpienia zadadzą mi zapytania względem pięknych Afrykanek. Miałem dwie drogi przed sobą: albo zdradzić moje kuzynki i złamać dane im słowo honoru, lub też wyprzeć się ich znajomości; utrzymując to drugie zdanie, byłbym zabrnął w pasmo bezwstydných kłamstw, czego bynajmniej nie chciałem. Namysłiwszy się więc przez chwilę, postanowiłem zachować jak najgłębsze milczenie i na wszelkie zapytania nie odpowiadać ani słowa.

Raz usunąwszy tę wątpliwość, zacząłem marzyć o wypadkach dwóch dni ubiegłych. Byłem mocno przekonany, że miałem do czynienia z istotami z tego świata, jakieś tajemne uczucie silniejsze nad wszelkie wyobrażenia o potędze złych duchów utwierdzało mnie w tym mniemaniu; wszelako oburzała mnie niegodziwa psota przeniesienia mnie pod szubienicę.

Wiara, Honor, Hańba

Tak mijały godziny. Głód zaczął mi doskwierać; słysząc, że w więzieniach nie brakowało chleba i dzbanków z wodą, jałem szukać nogami czy nie znajdę jakiego pożywienia. W istocie wkrótce domacałem się jakiejś półkuli, która rzeczywiście była chlebem; szło tylko o to, jakim sposobem ponieść go do ust. Położyłem się obok chleba i chciałem go schwycić zębami, ale za każdym razem wymykał mi się dla braku oporu; natenczas przyparłem go do muru, i znalazłszy bochenek rozkrojony przez środek, zdołałem go ugryźć. Dziękowałem opatrznosci, że pomyślano wprzód o rozkrojeniu chleba, w przeciwnym bowiem razie usiłowania moje byłyby pozostały bezskuteczne. Następnie domacałem się dzbanka, ale znowu żadnym sposobem nie mogłem do ust go przychylić; w istocie zaledwie odwilżyłem gardło, wnet cała woda wylała się na ziemię. Tak czyniąc dalsze poszukiwania, znalazłem w kącie garść słomy i położyłem się. Związano mi ręce tak sztucznie⁶⁴, że nie doznawałem żadnej boleści i wkrótce zasnąłem.

DZIEŃ CZWARTY

Zdawało mi się, że spałem już od kilku godzin, gdy wtem nagle mnie obudzono. Ujrzałem wchodzącego mnicha z zakonu świętego Dominika, a za nim kilku ludzi nader nieprzyjemnej powierzchowności. Niektórzy z nich nieśli pochodnie, inni zaś zupełnie nieznanne mi narzędzia, służące zapewne do tortur.

Przypomniałem sobie o moim postanowieniu i zamierzyłem na włos nie odstąpić od niego; przywołem na pamięć rady mego ojca. Wprawdzie nigdy nie brano go na tortury, ale wiedziałem, że wśród licznych i bolesnych operacji chirurgicznych, jakich doświadczał, nigdy nawet nie krzyknął.

„Będę go więc naśladował — rzekłem do siebie — nie wyrzeknę ani słowa a nawet nie westchnę”.

Inkwizytor kazał przynieść sobie krzesło, usiadł obok mnie, przybrał wyraz łagodności i słodczy, i w te słowa się odezwał:

— Drogi, kochany synu, podziękuj niebu, że cię przyprowadziło do tego więzienia; ale jakież dałeś do tego powód? Jaki grzech popełniłeś? Wypowiadaj się, w łzach i pokorze szukaj ulgi na moim łonie. Nie odpowiadasz... niestety, synu mój, źle, bardzo źle czynisz. My według naszego systemu, zostawiamy winowajcy wolność oskarżania samego siebie. Wyznanie to, jakkolwiek nieco wymuszone, ma przecież swoją dobrą stronę, zwłaszcza gdy winny raczy wymienić współwinowajców. Jeszcze milczysz? Tym gorzej dla ciebie, widzę, że muszę sam cię naprowadzić na dobrą drogę. Czy znasz dwie afrykańskie księżniczki, czyli raczej dwie niegodziwe czarownice, więdźmy przebrzydłe.... diabllice wcielone? Nic nie mówisz? Niech więc wprowadzą te dwie infantki z dworu Lucypera.

Tu wprowadzono obie moje kuzynki z rękami również jak moje w tył związanymi, po czym inkwizytor tak dalej mówił.

— Cóż więc, kochany synu, poznajesz⁶⁵ je? Ciągłe milczysz? Drogi synu, niech cię to wcale nie przestrasza, co ci powiem. Sprawia ci tu małą boleść; widzisz te dwie deski? Włożą ci nogi między te deski i skrępują je sznurami, później zabiją ci młotem między kolana te oto kliny. Z początku nogi ci nabrękną, dalej krew wytryśnie ci z wielkich palców, z drugich zaś poopadają paznokcie; podeszwy ci popękają i wycieknie ci tłustość pomieszana z rozgniecionym ciałem. To cię już więcej będzie boleć. Jeszcze nic nie odpowiadasz?... Masz słuszność, to są dopiero katusze przygotowawcze. Pomimo to jednak zemdlejesz, ale niebawem za pomocą tych oto soli i spirytusów wrócisz do przytomności. Natenczas wyjmą ci kliny i zabiją te tutaj większe. Za pierwszym uderzeniem podruzgocą ci kolana i kostki, za drugim, nogi wzdłuż ci popękają; szpik wytryśnie i razem z krwią zbroczy tę słomę. Obstajesz przy twoim milczeniu? Dobrze więc, niech mu ścisną palce.

Na te słowa oprawcy porwali mnie za nogi i położyli między dwie deski.

— Nie chcesz mówić?... Wbijcie mu kliny... Milczysz!... Podnieście młoty!

W tej chwili dały się słyszeć liczne wystrzały broni. Emma krzyknęła:

— O proroku! Jesteśmy ocaleni! Zoto przybywa nam na pomoc.

Zoto wszedł z swoją czeredą, wyrzucił za drzwi oprawców i przykuł inkwizytora do obręczy żelaznej białej w mur więzienia. Następnie rozwiązał mnie i dwie Mauretanki.

⁶⁴sztucznie (daw.) — kunsztownie, umiejętnie, ze znajomością sztuki. [przypis edytorski]

⁶⁵poznajesz — daw. forma z partykulą -że; inaczej: czy poznajesz. [przypis edytorski]

Skoro tylko dziewczęta poczuły wolne ramiona, natychmiast zarzuciły mi je na szyję. Rozłączono nas. Zoto rozkazał mi usiąść na konia i ruszyć naprzód, zaręczając, że wkrótce z kobietami za mną pośpieszy.

Przednia straż, z którą wyruszyłem, składała się z czterech jeźdźców. O świcie przybyliśmy na puste miejsce i przemieniliśmy konie; następnie drapaliśmy się po wierzchołkach i garbach stromych gór.

Okolo czwartej po południu, dostaliśmy się między wydrążenia skaliste, gdzie zamierzaliśmy noc przepędzić; z mojej jednak strony cieszyłem się, że słońce jeszcze nie zaszło, gdyż widok był zachwycający, zwłaszcza dla mnie, który dotąd widziałem tylko Ardeny i Zelandię. U stóp moich rozciągała się czarująca *vega de Granada*, którą mieszkańcy tego kraju z dumą nazywają *la nuestra vegilla*⁶⁶. Widziałem ją całą, z jej sześcioma miastami i czterdziestoma wioskami. Genil krętym korytem toczył swoje fale, potoki z hukiem spadały ze szczytów Alpuhary; migdałowe gaje, wspaniałe gmachy, ogrody i nieskończona ilość letnich domków wprawiały mnie w podziw. Zachwycony czarownym widokiem tyłu przedmiotów razem nagromadzonych, wszystkie zmysły w wzrok zestrzeliłem i zapomniałem zupełnie o moich kuzynkach, które niebawem przybyły w lektykach niesionych przez konie. Gdy zasiadły na poduszkach rozłożonych w jaskini i wypoczęły nieco, rzekłem do nich:

— Moje panny, bynajmniej nie żałę się na noc, jaką przepędziłem w Venta Quemada, ale wyznam szczerze, że sposób w jaki ją zakończyłem, niewypowiedzianie nie przypadł mi do smaku.

— Nie oskarżaj nas, Alfonsie — rzekła Emina — jak tylko o przyjemną stronę snów twoich; wreszcie na cóż narzekasz? Czyliż nic zyskałeś natomiast sposobności okazania nadludzkiej odwagi?

— Jak to? — przerwałem. — Miałżeby⁶⁷ kto powątpiewać o mojej odwadze?... Gdybym znalazł takiego, biłbym się z nim przez płaszcz, przez chustkę, na sztylety, na co by tylko sam zechciał.

— Przez płaszcz, przez chustkę?... Nie rozumiem wcale tych wyrażen — odpowiedziała Emina. — Wiem tylko, że są rzeczy, o których ci mówić nie mogę. Niektóre nawet są takie, o których sama dotąd nic nie wiem. Ja wykonywam tylko rozkazy naczelnika naszej rodziny, następcy szejka Masuda, który posiada tajemnicę Kassar-Gomelezów. Mogę ci tylko powiedzieć, że jesteś naszym bliskim krewnym. *Oidor* Grenady, ojciec twojej matki, miał syna, który stał się godnym odkrycia mu tajemnicy, przyjął wiarę proroka i zaślubił cztery córki de ja panującego wówczas w Tunisie. Tylko najmłodsza z nich miała dzieci, i ta była właśnie naszą matką. Wkrótce po narodzeniu Zibeldy mój ojciec i trzy jego żony umarli na zarazę, która w tym czasie pustoszyła brzegi Barbarii... Ale dajmy pokój tym rzeczom, o których sam później dokładnie się dowiesz. Mówmy o tobie, o wdzięczności, jaką ci jesteśmy winne, czyli raczej o naszym uwielbieniu dla twojej odwagi. Z jakąż obojętnością zapatrywałeś się na przygotowania do katuszy! Jak religijną stałość zachowałeś dla twego słowa! Tak, Alfonsie, przeszedłeś⁶⁸ wszystkich bohaterów naszego pokolenia i odtąd należymy do ciebie.

Zibelda, która nie przeszkadzała siostrze, ile razy rozmowa toczyła się o rzeczach poważnych, odbierała swoje prawa, gdy następowała chwila uczucia. Okryty byłem przymiślaniami, pochlebstwami i zadowolony z siebie i z drugich.

Wkrótce przybyły Murzynki, zastawiono wieczerzę, do której sam Zoto nam usługiwał z oznakami najgłębszego uszanowania. Po wieczerzy Murzynki posłały w jaskini wygodne łoże dla moich kuzynek, ja wynalazłem sobie drugą i niebawem oddaliśmy się spoczynkowi, którego potrzeba tak silnie dawała się nam uczuwać.

DZIEŃ PIĄTY

Nazajutrz o świcie karawana gotowa była do pochodu. Zstąpiliśmy z gór i zesliśmy na głębokie doliny, czyli⁶⁹ raczej w przepaście, które zdawały się dosięgać wnętrza ziemi.

⁶⁶*la nuestra vegilla* (hiszp.) — nasza łąka. [przypis edytorski]

⁶⁷*miałżeby kto* — daw. forma z partykułą wzmacniającą -że; inaczej: czyżby ktoś miał. [przypis edytorski]

⁶⁸*przeszedłeś* (daw.) — tu: prześcignąłeś, przewyższyłeś. [przypis edytorski]

⁶⁹*czyli* — daw. konstrukcja z partykułą -li; inaczej: czy też. [przypis edytorski]

Przerywały one pasmo gór w tyłu rozmaitych kierunkach, że niepodobieństwem było rozpoznać położenie lub cel, do którego zmierzaliśmy.

Postępowaliśmy tak przez sześć godzin i przybyliśmy do zwalisk opuszczonego miasta. Tam Zoto kazał nam zsiąść z koni i zaprowadziwszy mnie do studni, rzekł:

— Panie Alfonsie, racz spojrzeć w tę studnię i powiedz mi, co o niej sądzisz.

Odpowiedziałem, że widzę wodę i że sądzę, iż jest to studnia.

— Mylisz się pan — rzekł Zoto — jest to wejście do mego pałacu.

To mówiąc, pochylił głowę nad otworem i wydał szczególny krzyk.

Na ten odgłos ujrzałem, jak deski wychodziły z boku cembrowin i wznosiły się na kilka stóp nad wodą, następnie uzbrojony człowiek wyszedł tym samym otworem, za nim drugi i trzeci.

Gdy wydostali się na brzeg, Zoto rzekł, pokazując mi dwóch pierwszych:

— Mam zaszczyt przedstawić panu dwóch moich braci: Cziczia i Moma; bez wątpienia widziałeś ich pan powieszonych na pewnej dobrze znajomej ci szubienicy, ale to nie przeszkadza, że obaj są zdrowi i silni i będą zawsze służyć na pańskie rozkazy, są bowiem równie jak i ja w służbie i na żołdzie wielkiego szejka Gomelezów.

Odpowiedziałem mu, że bardzo mnie cieszy widok braci człowieka, który mi wyświadczył tak ważną przysługę.

Chcąc nie chcąc musieliśmy spuścić się do studni. Przyniesiono sznurową drabinę, po której dwie siostry zgrabniej zstąpiły, aniżeli byłbym się spodziewał. Udałem się w ich ślady. Stanąwszy na deskach, znaleźliśmy małe boczne drzwi, którymi trzeba było wejść, skurczywszy się we dwoje. Wkrótce jednak spostrzegliśmy szerokie wschody, wykute w skale i oświetlone lampami. Zeszliśmy przeszło dwieście wschodów w głąb ziemi, na koniec dostaliśmy się do podziemia rozdzielonego na mnóstwo komnat i mniejszych pokojów. Całe mieszkanie, dla ochrony od wilgoci, pokryte było wewnątrz korkiem. Widziałem później w Cintra, niedaleko Lizbony klasztor wykuty w skale, którego cele też sama wykładzina pokrywała i który z tego powodu nazywano korkowym klaszturem. Oprócz tego ciągle podsypane ognie utrzymywały łagodne ciepło w podziemiu Zota. Konie służące mu do jazdy stały w przyległych stajniach; w razie potrzeby także dostawały się na ziemię, szerokim otworem wychodzącym na dolinę, urządzono nawet maszynę do łatwiejszego ich dobywania, wszelako rzadko kiedy jej używano.

— Wszystkie te cuda — rzekła Emina — są dziełem Gomelezów. Wykuli oni tę skałę, podczas gdy byli jeszcze panami kraju, czyli raczej dokończyli pracę zaczęta przez pogan zamieszkujących Alpuharę w chwili ich przybycia. Uczni utrzymują, że w tym samym miejscu znajdowały się niegdyś kopalnie prawdziwego złota betyckiego, dawne zaś przepowiednie głoszą, że cała ta okolica powróci kiedyś w posiadanie Gomelezów. Co na to powiesz, Alfonsie? Byłoby to piękne dziedzictwo.

Nie podobały mi się te słowa Eminy i wyraźnie jej to oświadczyłem, następnie odwracając rozmowę, zapytałem, jakie są jej zamiary na przyszłość.

Emina mi odrzekła, że po tym wszystkim, co zaszło, nie mogły dłużej pozostać w Hiszpanii, ale chciały nieco wypocząć, dopóki nie zostanie przygotowany dla nich okręt.

Zastawiono nam obiad obfity, zwłaszcza w zwierzynę i suche konfitury. Trzej bracia usługiwali nam z bezprzykładną gorliwością. Uczyniłem uwagę moim kuzynkom, że niepodobieństwem było znaleźć bardziej uprzejmych wisielców. Emina przyznała mi słusność i zwracając się do Zota rzekła:

— Bez wątpienia ty i twoi bracia musieliście doświadczyć w życiu dziwnych przygód, które z wielką przyjemnością radzi byśmy usłyszeć.

Po chwili nalegania Zoto zasiadł obok nas i zaczął w te słowa:

Historia Zota

Urodziłem się w mieście Benewencie, stolicy księstwa tego nazwiska. Ojciec mój, równie jak ja Zoto nazwany, był z powołania nader biegłym zbrojownikiem. Ponieważ jednak było ich trzech w mieście i tamci dwaj mieli więcej szczęścia, przeto rzemiosło jego zaledwie wystarczało na wyżywienie żony i trojga dzieci, to jest mnie i dwóch moich braci.

We trzy lata po ożenieniu mego ojca, siostra młodsza mojej matki zaślubiła kupca oliwy, nazwiskiem Lunardo, który na podarunek ślubny dał jej parę złotych kolczyków i takiż łańcuszek na szyję. Moja matka, wróciwszy z wesela, zdawała się być pogrążona w głębokim smutku. Mąż chciał dowiedzieć się o przyczynie, ona długo wzbraniała się mu ją wyznać, na koniec odkryła mu, że trawił ją żal, że nie miała podobnych jak siostra kolczyków i łańcuszka. Ojciec mój nic na to nie odrzekł. Miał w swoim składzie cudownie wyrobioną strzelbę do polowania z takimiż pistoletami i kordelasem. Strzelba, nad którą mój ojciec przez cztery lata pracował, dawała cztery strzały od jednego nabicia; mój ojciec cenił ją na trzysta neapolitańskich uncji złota, wyszedł jednak na miasto i całą broń sprzedał za osiemdziesiąt uncji, następnie kupił kolczyki i łańcuszek i przyniósł je żonie. Matka moja tego samego dnia poszła pochwalić się przed żoną Lunarda i niesłychanie ucieszyła się, gdy uznano jej kolczyki za daleko piękniejsze i bogatsze.

W tydzień potem żona Lunarda przyszła odwiedzić moją matkę. Tym razem miała włosy splecione w jeden zwinięty warkocz, przytwierdzony wielką złotą szpilką zakończoną misternie wyrobioną rubinową różą. Ta złota róża zapuściła w serce mojej matki dotkliwe kolce. Znowu zaczęła się dręczyć i nie pierwiej przestała, aż mój ojciec przyrzekł, że kupi jej taką samą szpilkę. Tymczasem szpilka podobna kosztowała czterdzieści pięć uncji i mój ojciec, nie mając ani tyle pieniędzy, ani sposobów nabycia ich, wkrótce wpadł w tenże sam smutek, w jakim przed kilkoma dniami matka moja zostawała.

Tymczasem pewnego dnia wszedł do mego ojca najemny wojak tamtejszy nazwiskiem Grillo Monaldi i przyniósł mu pistolety do wyczyszczenia. Monaldi, widząc posępność mego ojca, zapytał go o przyczynę i ten mu wszystko wyjawiał. Po chwili namysłu, Monaldi rzekł do niego tymi wyrazy:

— Panie Zoto, jestem ci więcej winien, aniżeli sam sądzisz, przed kilkoma dniami znaleziono przypadkiem mój sztylet w ciele człowieka zamordowanego na drodze do Neapolu. Sąd posyłał ten sztylet do wszystkich zbrojowników, a ty wspaniałomyślnie oświadczyłeś, że go po raz pierwszy widzisz, jakkolwiek sztylet wychodził z twego warsztatu i mnie samemu go sprzedałeś. Gdybyś był prawdę powiedział, mogłeś mnie wprowadzić w niepotrzebny kłopot. Oto są więc czterdzieści pięć uncji, których tak potrzebujesz, nadto pomnij, że odtąd kiesa moja jest na twoje rozkazy.

Ojciec mój z wdzięcznością przyjął pieniądze i natychmiast poszedł kupić złotą szpilkę, w której tego samego dnia matka moja wystąpiła przed swoją dumną siostrą.

Moja matka, wróciwszy do domu, nie wątpiła, że pani Lunardo wkrótce ukaże się ustrojona w jaki nowy klejnot. Ale ta powzięła zamiar wcale innego rodzaju. Chciała pójść do kościoła z najętym lokajem w liberii i zwierzyła się z tym zamiarem swemu mężowi. Lunardo, z natury niesłuchanie skąpy, łatwo przystawał na kupno kawałka złota, które zdawało mu się równie bezpieczne na głowie żony, jak w jego własnej szkatule. Ale zupełnie odmiennego był zdania, gdy go proszono o danie uncji złota dla próżniaka, który nie wiedzieć dlaczego przez pół godziny miał stać za ławką jego żony. Jednakże pani Lunardo tak go męczyła i dręczyła bezustannie, że postanowił na koniec dla oszczędności sam ubrać się w liberię i pospieszyć za żoną do kościoła. Pani Lunardo uznała, że mąż równie był zdolny do tego rzemiosła, jak ktokolwiek inny i w nadchodzące święta ukażała się w kościele z lokajem tego nowego rodzaju. Wprawdzie sąsiedzi śmieli się z tej maskarady, ale ciotka moja przypisywała to uczuciu niepohamowanej zazdrości.

Gdy zbliżała się do kościoła, dziady i baby zaczęły krzyżeć na całe gardło w właściwym im narzeczu:

— *Mira Lunardu che fa lu criadu de sua mugiera*⁷⁰!

Ponieważ jednak biedni do pewnego stopnia tylko posuwają swoją śmiałość, przeto pani Lunardo spokojnie weszła do kościoła, gdzie rozstąpiono się przed nią z wszelkim poszanowaniem. Podano jej wodę święconą, posadzono w ławce, podczas gdy matka moja stała wraz z innymi kobietami w kruchcie.

Matka moja, powróciwszy do domu, natychmiast zaczęła obszywać niebieski kaftan mego ojca starym galonem odprutym od ładownicy jakiegoś muszkietu. Ojciec mój zdziwiony zapytał o przyczynę, na co odpowiedziała mu postępek siostry i jak mąż teje był

⁷⁰*Mira Lunardu che fa lu criadu de sua mugiera* — Patrzcie na Lunarda, który został lokajem swej żony. [przypis edytorski]

tak grzeczny, że ubrawszy się w liberię, poszedł za nią do kościoła. Mój ojciec zapewnił ją, że nigdy nie zdobędzie się na tę grzeczność, wszelako następnej niedzieli najął za uncję złota wygalonowanego lokaja, który poszedł za moją matką do kościoła, i znowu pani Lunardo musiała ustąpić siostrze.

Tego samego dnia, zaraz po mszy, Monaldi przyszedł do mego ojca i odezwał się tymi słowami:

— Kochany Zoto, dowiedziałem się o współzawodnictwie w dziwactwach, jakie żona twoja z jej siostrą wyprawiają. Jeżeli śpiesznie temu nie zaradzisz, będziesz nieszczęśliwy przez całe życie; masz więc dwie drogi przed sobą: albo dać żonie porządną naukę, lub też jąć się rzemiosła, które by zaspokoilo jej skłonność do wydatków. Jeżeli chwycisz się pierwszej drogi, ofiaruję ci moją różdżkę, której często używałem z nieboszczką moją małżonką. Nie jest to wprawdzie jedna z tych czarodziejskich różdżek, które ujęte za oba końce obracają się w rękach i służą do odkrywania źródeł, a nawet czasami i skarbów, ale jeżeli weźmiesz ją za jeden koniec, a drugi przyłożysz na plecy twojej żony, zaręczam, że wkrótce łatwo ją wyleczysz ze wszystkich przywidzeń. Z drugiej strony, jeżeli pragniesz zaspokoić wszelkie jej żądania, ofiaruję ci przyjaźń najdzielniejszych ludzi w całych Włoszech, którzy na teraz radzi przebywają w Benewencie jako w mieście granicznym. Sądzę, że mnie rozumiesz, namyśl się i daj mi odpowiedź.

To mówiąc, Monaldi położył swoją różdżkę na warsztacie mego ojca i odszedł.

Tymczasem moja matka po mszy poszła na korso i do kilku swoich przyjaciółek, aby pochwalić się swoim lokajem. Nareszcie wróciła uradowana do domu, ale mój ojciec całkiem inaczej ją przyjął, aniżeli się tego spodziewała. Lewą ręką porwał ją za lewe ramię, prawą zaś ująwszy czarodziejską różdżkę, zaczął wykonywać rady swego przyjaciela Monaldeggo. Mój ojciec z taką gorliwością oddał się udzielaniu tej nauki, że matka moja padła zemdlona, co widząc, przestraszony małżonek wyrzucił różdżkę, jął błagać przebaczenia, otrzymał je i pokój znowu został przywrócony.

W kilka dni potem ojciec mój udał się do Monaldeggo i opowiedziawszy mu, jak czarodziejska różdżka mało skutkowałą, polecił się przyjaźni dzielnych towarzyszy, o których ten mu wspominał. Monaldi w te słowa mu odrzekł:

— Dziwi mnie to, że nie mając serca ukarać własnej żony, myślisz, że ci wystarczy odwagi, by czyhać na podróznym na publicznej drodze. Wreszcie możemy się o tym przekonać; serce ludzkie mieści w sobie wiele przeciwieństw. Chętnie przedstawię cię moim przyjaciółom, ale musisz wprzód popełnić jakie morderstwo. Każdego wieczora po skończonej pracy, weź długą szpadę, zatknij sztylet za pas i przybrawszy postać nieco zuchwałą, przechodź się pod portalem Madonny. Być może, że kto zażąda twojej pomocy. Tymczasem bądź zdrow; oby niebo raczyło sprzyjać twoim przedsięwzięciom.

Mój ojciec posłuchał rady Monaldeggo i wkrótce spostrzegł, że różni wojacy jemu podobni, a nawet zbiry⁷¹, pozdrawiali go ze znaczącym spojrzeniem. Po dwóch tygodniach takiej przechadzki jakiś nieznajomy zbliżył się do niego i rzekł:

— Oto masz pan sto uncji złota. Za pół godziny ujrzysz przechodzących dwóch młodych ludzi z białymi piórami na kapeluszach. Zbliżysz się do nich, jak gdybyś chciał im powierzyć jaką tajemnicę i rzekniesz półgłosem: „Który z panów jest margrabią Feltri?” Jeden z nich odpowie: „ja nim jestem”. Natenczas pchniesz go sztyltem, ale uważaj dobrze, w samo serce. Drugi młody człowiek jest nikczemnym tchórzem i zaraz ucieknie. Wtedy dobijesz Feltrego. Gdy wszystko już będzie skończone, wracaj spokojnie do domu, i wcale nie staraj się schronić do kościoła. Ja będę tuż przy tobie.

Mój ojciec wypełnił słowo w słowo dane mu polecenie i gdy powrócił do domu, zastał już nieznajomego, którego nienawiści tak dobrze usłużył.

— Panie Zoto — rzekł tenże — mocno ci jestem obowiązany za wyświadczoną mi przysługę. Oto jest druga kiesa ze stoma uncjami złota, które chciej przyjąć, i jeszcze jedna tej samej wartości, którą wsuniesz w rękę sprawiedliwości, gdyby chciała cię napastować.

Po tych słowach nieznajomy zawiązał się w płaszcz i odszedł.

Wkrótce potem naczelnik straży stawił się u mego ojca, odebrawszy jednak sto uncji złota przeznaczonych dla sprawiedliwości, zaprosił go do siebie na przyjacielską wieczerzę. Udali się do mieszkania przyległego do publicznego więzienia i znaleźli już przy stole

⁷¹zbiry — daw. nazwa członków straży. [przypis edytorski]

dozorcę i spowiednika więźniów. Mój ojciec był nieco wzruszony, jak to zwykle bywa po pierwszym morderstwie. Duchowny, spostrzegłszy jego pomieszenie, rzekł:

— Odłóż na bok te smutki, panie Zoto. Za msze w katedralnym kościele płaci się po dwa skudy od sztuki. Powiadają, że zamordowano margrabiego Feltri. Każ zmówić ze dwadzieścia mszy za odpoczynek jego duszy, a otrzymasz rozgrzeszenie ogólne.

Po tych słowach już więcej nie wspomniano o tym, co zaszło, i wieczerza odbyła się wesoło.

Nazajutrz Monaldi przyszedł do mego ojca, powińszował mu zręczności i odwagi, jakie okazał. Mój ojciec chciał mu zwrócić czterdzieści pięć uncji, które dawniej był od niego pożyczyciel, ale Monaldi rzekł:

— Zoto, obrażasz mnie; jeżeli raz jeszcze wspomnisz mi o tych pieniądzach, będę sądził, że czynisz mi wyrzuty, iż wtedy okazałem się dla ciebie zbyt skąpy. Kiesa moja jest na twoje usługi i możesz być przekonany o mojej przyjaźni. Nie będę ukrywał przed tobą, że jestem naczelnikiem towarzyszków, o których ci wspominałem; są to wszystko ludzie honorowi i nieposzlakowanej uczciwości. Jeżeli chcesz do nich należeć, powiedz, że jedziesz do Brescii dla zakupu broni i złącz się z nami w Kapui. Zajedź prosto do gospody Pod Złotym Krzyżem i bądź spokojny o resztę.

We trzy dni potem mój ojciec wyjechał i odbył wyprawę równie zaszczytną jak zyskową. Jakkolwiek klimat Benewentu jest nader łagodny, jednak mój ojciec, nieprzyzwyczajony do rzemiosła, nie chciał podczas złej pory puszczać się na nowe wyprawy. Przepędził więc leże zimowe na łonie rodziny. Odtąd co niedziela lokaj wygalonowany chodził za moją matką do kościoła, nadto sąsiadki podziwiała jej złote zapinki na czarnym aksamitnym gorscie i także kółko do kluczy.

Z nadejściem wiosny jakiś nieznajomy służący przyszedł do mego ojca, prosząc, aby raczył udać się z nim do bramy miasta. Tam znalazł, znakomitego, jak się zdawało, jeźdźca i czterech konnych. Nieznajomy rzekł mu:

— Panie Zoto, weź tę kiesę z pięćdziesięciu cekinami, pośpiesz się za mną do pobliskiego zamku, tymczasem zaś pozwolisz, aby ci zawiązano oczy.

Mój ojciec zgodził się na wszystko i po długim krążeniu przybyli nareszcie do zamku. Zaprowadzono go do obszernej komnaty i odwiązano mu oczy. Wtedy ujrzał zamaskowaną kobietę przywiązaną do krzesła i z zakneblowanymi ustami. Starzec rzekł do niego:

— Panie Zoto, tu jeszcze masz sto cekinów, teraz bądź tak grzecznym i zamorduj tę kobietę.

— Mylisz się pan — odparł mój ojciec — widzę, że mnie pan wcale nie znasz. Wprawdzie napadam na ludzi na rogu ulicy lub w lesie, jak przystoi na człowieka honoru, ale nigdy nie wypełniam obowiązków kata.

To mówiąc, rzucił obie kiesy pod nogi mściwego małżonka, który więcej na niego nie należał, kazał mu znowu zawiązać oczy i polecił służącym, aby go odprowadzili do bram miasta. Ten wspaniały i szlachetny postępek uczynił memu ojcu wiele zaszczytu, wkrótce jednak drugi w podobnym rodzaju równe zyskał mu pochwały.

Było w Benewencie dwóch ludzi bogatych i znacznych, jeden z nich nazywał się hrabia Montalto drugi zaś margrabia Serra. Montalto kazał zawołać mego ojca i przyrzekł mu pięćset cekinów za zamordowanie margrabiego. Mój ojciec zobowiązał się, prosił tylko o zwłokę, wiedział bowiem, że Serra pilnie się strzegł.

We dwa dni potem margrabia Serra kazał sprowadzić mego ojca do ukrytego miejsca i rzekł mu:

— Ta kiesa z pięciuset cekinami jest dla ciebie, kochany Zoto, jeżeli dasz mi słowo honoru, że zamordujesz hrabiego Montalto.

Mój ojciec wziął kiesę i rzekł:

— Mości margrabio, daję panu słowo honoru, że zamorduję hrabiego Montalto, ale muszę wyznać, że wprzód już obiecałem mu zabić pana.

— Spodziewam się, że tego nie uczynisz — rzekł margrabia, śmiejąc się.

— Przebac mi pan — przerwał mój ojciec — zobowiązałem się i umowy dotrzymam.

Margrabia odskoczył na kilka kroków w tył i porwał się do szpady. W tej chwili mój ojciec dobył pistoletów zza pasa i roztrzaskał głowę margrabiemu; następnie udał się do Montalto i oświadczył mu, że jego nieprzyjaciel już nie żyje. Hrabia uściskał go i wyliczył pięćset cekinów. Wtedy mój ojciec nieco zmieszany wyznał mu, że margrabia

przed śmiercią dał mu za zamordowanie go pięćset cekinów. Montalto wynurzył swoją radość, że zdołał uprzedzić nieprzyjaciela.

— To się na nic nie przyda, panie hrabio — przerwał mój ojciec — gdyż przyrzekłem mu śmierć pańską pod słowem honoru.

To mówiąc, pchnął go sztyletem. Hrabia padając wydał krzyk straszliwy i zwołał swoich służących. Mój ojciec sztyletem usłał sobie drogę i uciekł w góry, gdzie znalazł bandę Monaldegó. Wszyscy dzielni towarzysze składający się na nią nie mogli dość wyrazić uwielbienia dla tak religijnego pojęcia honoru. Zaręczam wam, że wypadek ten dotychczas jest w ustach wszystkich mieszkańców i długo jeszcze będą o nim mówić w całym Benewencie...

Gdy Zoto kończył opowiadanie tej przygody swego ojca, jeden z jego braci przyszedł mu powiedzieć, że oczekiwano na jego rozkazy względem przygotowania okrętu. Opuścił nas więc, prosząc o pozwolenie odłożenia na jutro dalszego ciągu historii. Wszelako to, com dotąd usłyszał, mocno mnie zastanawiało. Dziwiło mnie, że ciągle wychwalał honor, przywiązanie do słowa i nieposzlakowaną uczciwość ludzi, którzy powinni byli za łaskę uważać, gdyby ich tylko powieszono. Nadużycie tych wyrażen, którymi szastał z takim zaufaniem, pomieszało wszystkie moje myśli. Emina, spostrzegłszy moje zamyślenie, zapytała o przyczynę. Odpowiedziałem, że historia ojca przypominała mi to, co przed dwoma dniami słyszałem od pewnego pustelnika, który utrzymywał, że cnoty mają daleko pewniejsze zasady od uczucia honoru.

— Drogi Alfonsie — rzekła Emina — szanuj tego pustelnika i wierz temu wszystkiemu, co ci powiedział. Nie raz jeszcze spotkasz go w twoim życiu.

Następnie obie siostry powstały i oddaliły się wraz z Murzynkami do swoich pokojów, to jest do strony podziemia dla nich przeznaczonej. Powróciły na wieczerzę, po której wszyscy udali się na spoczynek.

Gdy się już zczyły w jaskini, ujrzałem wchodzącą Eminę z lampą alabastrową w ręku, jak druga Psyche, za nią zaś Zibeldę piękną jak amorek. Usiadły obok mnie i Emina rzekła: — Kochany Alfonsie, wielki szekj przebaczy nam, jeżeli więcej się tobą zajmujemy, niż nam dozwolono, ale po tym co zaszło, każda chwila spędzona z tobą jest dla nas nieocenionej wartości.

— Piękna Emino — odpowiedziałem — jeżeli to ma być jeszcze jedna próba, na jaką mnie wystawiacie, lękam się, aby nie była dla mnie niepodobna do zwalczania.

— Nie masz żadnej przyczyny do obawy — odparła piękna Mauretanka, odgarniając mi włosy z czoła alabastrową rączką.

W istocie, kuzynki moje nosiły ozdoby, jakie w średnich wiekach miłość splatała nieufną dłonią⁷². Zachwycała mnie poważna piękność Eminy i lube szczebiotanie jej siostry. Chwile nasze zapełniała rozmowa, już sam nie pamiętam o czym — o zamiarach, które z szybkością błyskawicy nawzajem się ścigały — ja więcej patrzyłem i słuchałem, niż mówiłem — dziewczęta przymilały się i opowiadały mi swoje marzenia, jakie zwykle sytuują się między świeżą pamiętką a nadzieją bliskiego szczęścia⁷³.

Nareszcie sen zaczął tłoczyć powieki pięknych Mauretanek i oddaliły się do siebie. Zostawszy sam, myślałem o nieprzyjemnym wrażeniu, jakiego doświadczę, jeżeli znowu nazajutrz obudzę się pod szubienicą. Roześmiałem się z tej myśli, która jednak ciągle chodziła mi po głowie, dopókim nie zasnął.

⁷²ozdoby, jakie w średnich wiekach miłość splatała nieufną dłonią — pasy cnoty. [przypis edytorski]

⁷³Piękna Emino (...) nadzieją bliskiego szczęścia — w innym wyd. fragment kończący dzień szósty brzmi: — Piękna Emino — odpowiedziałem — i wy zechciejcie mi przebaczyć. Jeżeli ma to być jeszcze jedna próba, na jaką wystawiacie moją cnotę, to lękam się, że tym razem nie zdoła wyjść cało.

— Nie obawiaj się — przerwała piękna Mauretanka i wzięwszy moją rękę, położyła ją sobie na biodrze. Wyczulem pod palcami pas, który nie miał nic wspólnego z boginią Wenus, choć przywoził na myśl rzemiosło jej małżonka. Kuzynki moje nie miały kluczyka od zatrzasku, w każdym razie utrzymywały, że go nie mają.

Oslaniając samo centrum, nie odmówiono mi na szczęście dostępu do innych rejonów. Zibelda przypomniała sobie rolę kochanki, którą niegdyś ćwiczyła ze swoją siostrą. Emina ujrzała we mnie przedmiot swych ówczesnych miłosnych uniesień i wszystkimi zmysłami oddała się temu słodkiemu wyobrażeniu; jej młodsza siostra, zwinna, żywa, pełna ognia, chłonęła mnie swymi pieszczotami. Chwile nasze wypełniało ponadto coś bardziej nieokreślonego — zamiary, o których ledwie napomykaliśmy, i cała ta słodka paplanina, która u młodych ludzi stanowi intermezzo pomiędzy świeżym wspomnieniem a nadzieją bliskiego szczęścia. [przypis edytorski]

DZIEŃ SZÓSTY

Zoto obudził mnie i rzekł, że porządnie zasnęłam i że obiad jest już przygotowany. Ubrałam się czym prędzej i poszedłam do moich kuzynek, które czekały na mnie w jadalnej komnacie. Oczy ich błyszczały szczęściem, dziewczęta zdawały się bardziej zajęte wspomnieniami ubiegłej nocy niż uczcą, jaką im zastawiono. Po skończonym obiedzie, Zoto zasiadł obok nas i tak dalej zaczął opowiadać swoje przygody:

Dalszy ciąg historii Zota

Miałem wówczas siódmy rok, gdy mój ojciec złączył się z bandą Monaldiego i dobrze pamiętam, jak moją matkę, mnie i dwóch moich braci zaprowadzono do więzienia. Wszelako było to tylko dla pozorów, ojciec mój bowiem nie zapomniał zarobkiem swoim podzielić się ze sprawiedliwością, wkrótce jasno dowiedziono, że nie mieliśmy z nim żadnych stosunków.

Naczelnik straży podczas naszego uwięzienia gorliwie z się nami zajmował i nawet skrócił nam czas niewoli.

Moja matka, wydostawszy się na wolność, została z wielką czcią powitana przez wszystkie sąsiadki; w południowych bowiem Włoszech, rozbójnicy są tak bohaterami ludu, jak kontrabandyści w Hiszpanii. Część powszechnego szacunku spadła także i na nas, ja szczególnie uważany byłem za księcia lampartów⁷⁴ całego miasta.

Śród tego, Monaldi poległ w jednej wyprawie i mój ojciec, objąwszy dowództwo nad bandą, chciał świetnym jakim czynem usprawiedliwić zaufanie, jakie w nim położono. Uczynił więc zasadzkę na drodze do Salerno na konwój pieniędzy wysłanych przez wicekróla Sycylii. Wyprawa się udała, ale mój ojciec został kulą postrzelony w krzyż i nie mógł już dalej trudnić się rzemiosłem.

Chwila, w której zęgnął się z towarzyszami była niewypowiedzianie rozrzewniająca. Zapewniają, że kilku rozbójników na cały głos się rozplakało, czemu z trudnością bym wierzył, gdybym raz w życiu sam nie był gorzko płakał, zamordowawszy moją kochankę, jak to wam później opowiem.

Banda bez naczelnika nie mogła długo się ostać, kilku z naszych towarzyszków powieszono w Toskanii, reszta zaś złączyła się z Testalungą, który wówczas zaczynał w Sycylii nabierać pewnej wziętości. Mój ojciec przebył cieśninę i udał się do Mesyny gdzie zażądał schronienia w klasztorze augustianów del Monte. Złożył zebrany majątek w ręce przewielebnych ojców, odprawił publiczną pokutę i zamieszkał wygodną celę, w której wiódł spokojne życie, przechadzki zaś używał w ogrodach i na dziedzińcach klasztornych. Mniuchy dawali mu rosół, po resztę zaś potraw posyłał do sąsiedniej gospody, nadto braciszek zakonny opatrywał mu rany.

Domyślałam się, że mój ojciec musiał nam często przysyłać pieniądze, gdyż obfitość panowała w naszym domu. Moja matka uczestniczyła we wszystkich zabawach karnawału, przed nowym rokiem zaś sprawiła nam szopkę (*presepe*) z lalkami, pałacami cukrowymi, zabawkami i tym podobnymi zabawkami, w których mieszkańcy Neapolu nawzajem się prześcigają. Ciotka Lunardo miała także szopkę, ale daleko mniej świetną od naszej.

Matka moja, o ile mogę ją zapamiętać, była nadzwyczaj dobra i pamiętam, jak często płakała, myśląc o niebezpieczeństwach, na jakie się jej małżonek narażał, wkrótce jednak wystąpienie w jakim ubiorze lub klejnocie, na przekór siostrze lub sąsiadkom, osuszało jej łzy. Radość z pysznej szopki, którą nas obdarzyła, była ostatnią przyjemnością, jakiej doświadczyła. Nie wiem, jakim sposobem dostała zapalenia płuc i w kilka dni umarła.

Po jej śmierci nie bylibyśmy wiedzieli, co z sobą począc, gdyby nadzorca więzienia nie był nas przyjął do siebie. Przebyliśmy u niego kilka dni, po których oddano nas w opiekę pewnemu mulnikowi. Ten przeprowadził nas przez Kalabrię i czternastego dnia przywiózł do Mesyny.

Ojciec mój wiedział już o śmierci swej żony, przyjął nas z rozczuleniem, kazał rozesłać maty obok swojej i przedstawił mnichom, którzy przyjęli nas do liczby dzieci służących do mszy.

⁷⁴lampart (daw.) — urwis, łobuz. [przypis edytorski]

Służyliśmy więc do mszy, obcinali knoty świecom, zapalali lampy, resztę zaś dnia lotrowaliśmy na ulicy tak dobrze, jak w Benewencie. Zjadłszy zupę przysyланą nam przez mnichów, ojciec dawał każdemu z nas po jednym *taro* na kasztany i obwarzanki, z którymi szliśmy bawić się w porcie i powracaliśmy dopiero późno w nocy. Ostatecznie, na świecie nie było szczęśliwszych od nas uliczników, gdy wtem wypadek, o którym dziś jeszcze nie mogę mówić bez wściekłości, postanowił o całym losie mego życia.

Pewnej niedzieli, właśnie gdy miano zacząć nieszpory, przybiegłem przed kościół obładowany kasztanami, które zakupiłem dla siebie i moich braci, i dzieliłem między nich ulubione owoce. Wtem zajechał przed kościół przepyszny powóz zaprzężony sześcioma końmi i poprzedzony dwoma luzakami tej samej maści, wedle zwyczaju przyjętego tylko w Sycylii. Otworzono drzwiczki i naprzód wysiadł jakiś pan z panią, za nimi ksiądz, nareszcie mały chłopczyk mego wieku, prześlicznej twarzy, ubrany w bogatą węgierkę, strój, jaki powszechnie wówczas pańskie dzieci nosiły.

Węgierka z szafirowego aksamitu, haftowana złotem i oszyta sobolami, spadała mu niżej kolan i pokrywała wierzch jego żółtych, safianowych bucików. Na głowie miał kołpaczek, także z szafirowego aksamitu, oszyty sobolami i ozdobiony kitą z pereł, która spadała mu na ramię. U pasa ze złotych sznurków i żółędzi wisiał mu mały pałasz wysadzany drogimi kamieniami. Nareszcie w rękę trzymał książkę do nabożeństwa oprawną w złoto.

Widok tak pięknej sukni na chłopczyku mego wieku tak dalece mnie zachwyił, że sam nie wiedząc, co czynię, zbliżyłem się do niego i ofiarowałem mu dwa kasztany, które trzymałem w rękę; ale niegodziwy hultaj, zamiast podziękowania za grzeczność, z całej siły uderzył mnie książką do nabożeństwa w nos. Raz ten wysadził mi na wierzch jedno oko, klamra zaś rozdarła mi nozdrza i w jednej chwili krwią się zalałem. Zdaje mi się, że słyszałem jak mały panicz zaraz zaczął przeraźliwie krzyżeć, ale nie pamiętam tego dobrze, gdyż upadłem bez przytomności. Wróciwszy do zmysłów, ujrzałem się obok studni ogrodowej w otoczeniu bliskich, ojca z braćmi, którzy obmywali mi twarz i starali się zatrzymać upływ krwi.

Gdy tak jeszcze leżałem zakrwawiony, spostrzeżliśmy wracającego małego panicza z tym panem, który pierwszy wysiadł z karety, idących z księdzem i dwoma lokajami, z których jeden niósł pęk różeg. Starszy jegomość oświadczył w krótkich wyrazach, że księżna de Rocca Fiorita kazała, aby do krwi mnie oćwiczono za to, że poważylem się przestraszyć ją, jak również jej małego Principina. Natychmiast lokaje wzięli się do wykonania wyroku; mój ojciec, lękając się, aby klasztor nie wymówił mu schronienia, z początku nie śmiał się odzywać, ale widząc, że bez litości rozdierano mi ciało, nie mógł już dłużej wytrzymać i zwracając się do jegomości, rzekł z wyrazem głębokiego oburzenia:

— Każ pan zakończyć te męczarnie albo pamiętaj, że już z dziesięciu takich zamordowałem, którzy więcej byli warcu od ciebie.

Niemilosierny pan uznał zapewne, że słowa te nie były bez pewnego prawdopodobieństwa i kazał zaprzestać, ale podczas gdy leżałem jeszcze na ziemi, Principino zbliżył się i uderzył mnie nogą w twarz, mówiąc:

— *Managia la tua faccia de banditu*⁷⁵.

Ostatnia ta zniewaga dopełniła miary mojej wściekłości. Mogę powiedzieć, że od tej chwili przestałem być dzieckiem, czyli raczej nie kosztowałem żadnej radości tego wieku i długo potem nie mogłem z zimną krwią patrzeć na bogato ubranego człowieka.

Bez wątpienia zemsta musi być pierworodnym grzechem naszego kraju, chociaż bowiem miałem wtedy dopiero osiem lat, przecież dzień i noc myślałem tylko o ukaraniu Principina. Nieraz zrywałem się ze snu, marząc, że trzymam go za włosy i okładam razami, na jawie zaś przemyślałem, jakim by sposobem można by zemścić się z daleka (gdyż przewidywałem, że nie dozwolą mi zbliżyć się do niego) i uczyniwszy zadość mojej namiętności, natychmiast uciec. Nareszcie postanowiłem ugodzić go kamieniem w twarz, byłem bowiem dość zręczny; tymczasem zaś, aby więcej wprawić rękę, przez całe dnie rzucałem do celu.

Pewnego dnia, ojciec zapytał mnie o przyczynę, dla której z taką namiętnością oddawałem się tej nowej rozrywce. Odpowiedziałem, że zamierzyłem naznaczyć twarz Prin-

⁷⁵*Managia la tua faccia de banditu* (hiszp.) — Niech szlag trafi twoją bandycką twarz. [przypis edytorski]

cipina, następnie uciec i zostać rozbójnikiem. Mój ojciec udał, że mi nie wierzy, jednak poznałem po jego uśmiechu, że popierał mój zamiar.

Wreszcie nadeszła niedziela, którą oznaczyłem na dzień mojej zemsty. Gdy karetka zajechała i ujrzałem wychodzących, zmieszałem się, ale wnet nabrałem odwagi. Mój mały nieprzyjaciel spostrzegł mnie w tłumie i pokazał mi język. Trzymałem kamień w ręce, rzuciłem go i Principino padł na wznak.

Natychmiast zacząłem uciekać i zatrzymałem się dopiero na drugim końcu miasta. Tam spotkałem znajomego kominiarczyka, który zapytał mnie, dokąd zdążam. Opowiedziałem mu całą przygodę, a on zaprowadził mnie do swego majstra. Właśnie brakowało mu chłopców, nie wiedział, gdzie ich szukać do tak przykrego rzemiosła, chętnie mnie więc przyjął. Zaręczył, że nikt mnie nie pozna skoro sadzami twarz uczernię i że drapanie się po dachach i kominach było nauką często nader użyteczną. Później nieraz byłem winien życie nabytej wówczas zręczności.

Z początku dym i woń sadzy sprawiały na mnie nieprzyjemne wrażenie, ale na szczęście byłem w wieku, w którym można przyzwyczaić się do wszystkiego. Już od sześciu miesięcy wykonywałem nowe rzemiosło, gdy mi się przydarzyła następująca przygoda.

Byłem na dachu i przysłuchiwałem się, którym dymnikiem odezwie się mój majster, gdy zdało mi się, że usłyszał głos w sąsiednim kominie. Spuściłem się czym prędzej, ale pod dachem znalazłem dymnik rozdzielający się na dwie przeciwne strony. Powinienem być jeszcze raz zawołać, ale nie uczyniłem tego i lekkomyślnie zacząłem zlać pierwszym lepszym otworem. Ześliznąłem się, stanąłem w bogatej komnacie i najpierwsze, co spostrzegłem, to mój Principino w koszuli grający w piłkę.

Chociaż mały głupiec często zapewne widział już w swoim życiu kominiarzy, tym razem jednak wziął mnie za diabła. Ukłąkł, złożył ręce i zaczął mnie prosić, abym go z sobą nie porywał, przyrzekając, że będzie grzeczny. Byłbym może dał się zmiękczyć tymi oświadczeniami, ale trzymałem w ręku moją kominiarską miotłę, pokusa użycia jej zbyt była silna, nadto aczkolwiek zemściłem się już za uderzenie książką od nabożeństwa i w pewnej części za różgi, ale przyszła mi na pamięć chwila, gdy Principino kopnął mnie nogą w twarz mówiąc: „*Managia la tua faccia de banditu*”. Wreszcie gdy idzie o zemstę, każdy Neapolitańczyk daleko bardziej woli wymierzyć nieco większą niż odrobiną za małą, niżby należało.

Wyrwałem więc garść różg z miotły, rozdarłem koszulę Principina i wtedy zacząłem porządnie go chłostać, dziwna jednak rzecz, że malec ze strachu ani pisnął.

Gdy uznałem, że już ma dość, otarłem sobie twarz i rzekłem:

— *Ciucio maledetto, io no zuno lu diavolu, io zuno lu piciolu banditu delli Augustini*⁷⁶.

Natenczas Principino odzyskał głos i zaczął wrzeszczeć o pomoc; rozumie się, że nie czekałem, aż kto nadejdzie i drapnąłem tą samą drogą, którą przyszedłem.

Znalazłem się na dachu, usłyszałem raz jeszcze głos majstra, który mnie wołał, ale nie sądziłem za rzecz potrzebną dać mu odpowiedź. Puściłem się z jednego dachu na drugi, dostałem się na dach jakiejś stajni, przed którą stał wóz z sianem, zeskoczyłem z dachu na wóz, z wozu na ziemię i co tchu pobiegłem do klasztoru augustianów. Tam opowiedziałem wszystko memu ojcu, który słuchał mnie z wielkim zajęciem, po czym rzekł:

— *Zoto, Zoto! Gia vegio che tu sarai banditu*⁷⁷ — następnie, zwracając się do jakiegoś nieznajomego, który stał obok niego: — *Padron Lettereo, prendete lo chiutosto vui*⁷⁸.

Lettereo jest to imię chrzestne często używane w Mesynie. Pochodzi ono od pewnego listu, który Najświętsza Panna miała pisać do mieszkańców tego miasta w roku 1452. od narodzenia jej syna. Mesyńczycy taką cześć oddają temu listowi, jaką Neapolitańczycy krwi świętego Januarego. Objaśniam wam ten szczegół, bowiem w półtora roku zanosilem modlitwę do Madonny della Lettera, która, jak sądziłem, będzie ostatnią w moim życiu.

Padron Lettereo był kapitanem uzbrojonego żaglowca, przeznaczonego niby na połów koralu, w istocie zaś szanowny marynarz zajmował się przemytem, a nawet rozbojem, gdy znalazł do tego sprzyjające okoliczności. Wprawdzie takowe nieczęsto mu się zdarzały, gdyż nie mając armat, musiał poprzestawać na łupieniu statków osiadłych na mieliźnie.

⁷⁶*Ciucio maledetto, io no zuno lu diavolu, io zuno lu piciolu banditu delli Augustini* (hiszp.) — Ośle przeklęty, nie jestem żadnym diabłem, jestem małym rozbójnikiem od augustianów. [przypis edytorski]

⁷⁷*Gia vegio che tu sarai banditu* — Widzę, że będziesz rozbójnikiem. [przypis edytorski]

⁷⁸*Padron Lettereo, prendete lo chiutosto vui* (hiszp.) — Mistrzu Lettereo, zabierz go zatem. [przypis edytorski]

Dobrze wiadano o tym w Mesynie: ale Lettereo przemycal dla najbogatszych kupców z miasta, celnicy także na tym zyskiwali, z drugiej strony nietajne było, że padron chętnie bawi się sztyletem i ta ostatnia uwaga odstręczała tych, którzy byliby pragnęli mieszać się w jego sprawy.

Wreszcie Lettereo miał postać uderzającą, sam wzrok i rozrósłość dostatecznie odznaczały go wśród tłumu, co dopiero gdy reszta powierzchowności tak dokładnie odpowiadała jego powołaniu, że ludzie nieco lękliwi nie mogli spojrzeć na niego bez uczucia obawy. Twarz jego, mocno ogorzalą, oczernił jeszcze wystrzał prochu armatniego; prócz tego padron już tak nakrapianą skórę ozdobił jeszcze różnymi dziwnymi rysunkami.

Marynarze z Morza Śródziemnego mają zwyczaj, wykluwać sobie na ramionach i pierśiach różne cyfry, krzyże, zarysy okrętów i inne tym podobne ozdoby. Lettereo prześcięgnął wszystkich w tym zwyczaju. Na jednym policzku wykłuł sobie Madonnę, na drugim zaś krucyfiks, wszelako zaledwie można było widzieć wierzch tych obrazków, resztę bowiem zakrywała gęsta broda, nietknięta nigdy brzytwą i którą tylko nożyczki utrzymywały w granicach zwykłej wybujałości. Dodajcie do tego w uszach ogromne złote kolczyki, czerwoną czapkę, pas takiejże barwy, kaftan bez rękawów, ręce i nogi do kolan gołe i pełne kieszenie złota. Taki był padron.

Utrzymywano, że w młodości kochały się w nim różne wielkie panie, wtedy jednak był tylko ulubieńcem kobiet swego stanu i postrachem ich mężów.

Wreszcie, aby dokończyć wizerunek Lettera, powiem wam, że przed laty żył w ścisłej przyjaźni z pewnym znakomitym człowiekiem, który później szeroko się wslawił pod nazwiskiem kapitana Pepo. Służyli razem u korsarzy maltańskich, później Pepo wszedł do służby królewskiej. Lettereo zaś, któremu honor był mniej drogi niż pieniądze, postanowił wzbogacić się wszelkimi środkami i zarazem stał się najzaciętszym nieprzyjacielem dawnego towarzysza.

Mój ojciec za całe zatrudnienie w swoim klasztorze bawiący się tylko owiązywaniem swoich ran, z których nigdy nie spodziewał się wyleczyć, chętnie wdawał się w rozmowę z rycerzami sobie podobnymi; w tym więc celu zaprzyjaźnił się z padronem i miał nadzieję, że nie może nic lepszego uczynić, jak powierzyć mu własnego syna. Tym razem wcale się nie zawiódł. Lettereo, rozczulony tymi oznakami zaufania, przyrzekł memu ojcu, że nowicjat mój będzie mniej przykry niż innych chłopców okrętowych i zaręczył, że kto zna rzemiosło kominarskie we dwa dni z łatwością nauczy się drapać na maszty.

Zmiana ta niesłychanie mnie uszczęśliwiła, gdyż nowy mój stan zdawał mi się daleko szlachetniejszy niż wyskrobywanie kominów. Uściskałem ojca i braci i wesoło udałem się z padronem na jego okręt. Przybywszy na pokład, Lettereo zebrał swoich dwudziestu marynarzy, których postacie wybornie odpowiadały jego powierzchowności, przedstawił mnie tym panom i odezwał się tymi słowy:

— *Anime managie, quistra criadura e lu filiu de Zotu, se uno de vui a outri li mette la mano sopra, io li mangio l'anima*⁷⁹.

To zalecenie sprawiło pożądany skutek, chciano nawet, abym jadł razem z wszystkimi; ale ja, widząc, że dwóch chłopców okrętowych posługiwało marynarzom i zjadało resztę, wolałem do nich się przyłączyć. Czyn ten zjednał mi powszechną przychylność. Gdy zaś następnie ujrano, jak szybko drapałem się po masztach, zewsząd dały się słyszeć okrzyki podziwu⁸⁰.

Rozpuściliśmy żagle i trzeciego dnia przybyliśmy do cieśniny Świętego Bonifacego, która oddziela Sycylię od Korsyki. Znaleźliśmy tam przeszło sześćdziesiąt łodzi zajętych połowem koralu. Zaczęliśmy także łowić lub raczej udawać, że łowimy koralu. Co się tyczy mnie, wiele przez ten czas skorzystałem, gdyż w przeciągu czterech dni pływałem i nurkowałem jak najbieglejszy z moich towarzyszy.

Po ośmiu dniach gregalada — nazwę tę na Morzu Śródziemnym dają wiatrowi północno-wschodniemu — rozpedziła naszą małą flotę. My zarzuciliśmy kotwicę w opusz-

⁷⁹*Anime managie, quistra criadura (...) io li mangio l'anima* (hiszp.) — Dusze potępione, to oto stworzenie jest synem Zota; jeśli któryś z was podniesie na niego rękę, zjem jego duszę. [przypis edytorski]

⁸⁰*Gdy zaś następnie ujrano, jak szybko drapałem się po masztach, zewsząd dały się słyszeć okrzyki podziwu* — po tym zdaniu w innym wyd. znajduje się jeszcze zdanie: „Na statkach z ożaglowaniem lacińskim rejka pełni funkcję rei, ale o wiele trudniej jest się utrzymać na rejce niż na rei, reje bowiem umieszczone są w pozycji pionowej”. [przypis edytorski]

czoney zatoce świętego Piotra na wybrzeżach Sardynii. Zastaliśmy tam bryg wenecki, który zdawał się mocno skolatany burzą. Natychmiast nasz padron zaczął coś przemyśliwać o tym okręcie i tuż obok niego zarzucił kotwicę. Następnie połowę swoich marynarzy umieścił na dnie statku, aby osada⁸¹ wydała się mniej liczna. Ostatnia ta ostrożność była całkiem nieużyteczna, gdyż jachty zwykle mają więcej ludzi niż brygi.

Lettereo, śledząc ciągle statek wenecki, dostrzegł, że osada była złożona z kapitana, bosmana, sześciu marynarzy i jednego chłopca okrętowego. Nadto ujrzał, że wielki żagiel był całkiem podarty i że spuszczano go do naprawy, statki bowiem kupieckie zwykle nie mają żagli do odmiany⁸². Uczyniwszy te spostrzeżenia, włożył do szalupy osiem strzelb i tyleż szabel, przykrył wszystko wysmołowanym płótnem i postanowił czekać przyjaznej⁸³ chwili.

Gdy się wypogodziło, marynarze weszli na górną kładkę wielkiego masztu dla przymocowania żagla, ale tak sobie niezręcznie w tym poczynali, że dozorca, a następnie kapitan weszli za nimi. Natenczas Lettereo kazał spuścić szalupę na morze, wsiadł w nią cichaczem z siedmioma marynarzami i z tyłu zaczepił się o bryg. Widząc to, kapitan stojący na kładce zawołał:

— *A larga, ladron! a larga!*⁸⁴

Wszelako Lettereo wziął go na cel, przyrzekając zabić pierwszego, kto okaże chęć zejścia na pokład. Kapitan, jak się zdaje, człowiek odważny, nie zważając na groźbę, rzucił się między sznury. Lettereo zabił go w lot; kapitan wpadł w morze i już go więcej nie ujrano. Marynarze zdali się na łaskę. Lettereo zostawił czterech ludzi, aby ich trzymali na celu, z trzema zaś zszedł w środek okrętu. W kajucie kapitana znalazł baryłkę taką, jakiej używają do oliwy, ale ponieważ była nieco ciężka i starannie obręczami obita, osądził więc, że może zawiera w sobie jakie ciekawsze przedmioty. Rozbił ją i z miłym zadziwieniem ujrzał zamiast oliwy kilka worków ze złotem. Poprzestał na tym i zatrąbił do odwrotu. Oddział wrócił na pokład, rozwinięliśmy żagle i mijając statek wenecki, krzyknęliśmy mu na wzgardę:

— *Viva San Marco!*

W pięć dni potem przybyliśmy do Livorno. Natychmiast padron z dwoma marynarzami udał się do konsula neapolitańskiego i złożył oświadczenie: jako przyszło do kłótni między jego ludźmi a osadą brygu weneckiego i jak kapitan tego ostatniego, przypadkiem popchnięty przez jednego z marynarzy, wpadł w morze. Pewna część baryłki oliwy, nadała temu oświadczeniu cechę niezaprzeczonej prawdy.

Lettereo, który miał nieprzewycięzoną skłonność do rozbojów morskich, byłby bez wątpienia dalej prowadził swoje rzemiosło, gdyby nie przedstawiono mu w Livorno nowych zamiarów, którym dał pierwszeństwo. Pewien Żyd nazwiskiem Natan Lewi, uważając, że papież i król neapolitański ciągnęli niezmierne zyski z bicia miedzianej monety, chciał także należeć do tych korzyści. W tym celu kazał sfalszować znaczną ilość takich pieniędzy w pewnym mieście angielskim nazwanym Birmingham. Gdy zamówiony towar był już gotowy, Żyd osadził swego faktora w Flariola, wiosce rybackiej położonej na granicy obu państw, Lettereo zaś zobowiązał się do przewożenia towaru.

Handel ten przynosił nam wielkie korzyści i przez cały rok statek nasz, naładowany monetą rzymską i neapolitańską, ciągle odbywał tę samą drogę. Być może, że bylibyśmy dłużej pielęgnowali tę gałąź przemysłu, ale Lettereo, w którym rozwinęła się zdolność do handlowych przedsięwzięć, namówił Żyda, aby tego samego sposobu użyć do monety złotej i srebrnej. Żyd usłuchał jego rady i w samym mieście Livorno założył małą fabrykę cekinów⁸⁵ i skudów⁸⁶. Pewnego dnia, gdy Lettereo był w Livorno i tylko co miał wyruszyć na morze, doniesiono mu, że kapitan Pepo otrzymał od króla neapolitańskiego rozkaz pochycenia go, że jednak dopiero przy końcu miesiąca będzie mógł puścić się na morze.

⁸¹ *osada* (daw.) — załoga. [przypis edytorski]

⁸² *do odmiany* — na zmianę. [przypis edytorski]

⁸³ *przyjaznej* — tu: stosownej, sprzyjającej. [przypis edytorski]

⁸⁴ *A larga, ladron! A larga!* — Precz, zbóju! Precz! [przypis edytorski]

⁸⁵ *cekin* (z wł. *zecchino*) — jedna z najwcześniejszych monet złotych średniowiecznej Europy, wzorec dla późn. dukata; bita od 1284 r. do 1797, tj. do końca suwerenności Wenecji; wybijano na niej wizerunek doży, który kłęcząc odbiera od św. Marka, patrona Republiki Weneckiej, sztandar (gonfalon), zaś na rewersie Chrystusa w mandorli (owalnej aureoli). [przypis edytorski]

⁸⁶ *skud* — daw. srebrna moneta o wadze 2,4 gramów. [przypis edytorski]

To podstępne doniesienie wymyślił Pepo, który już od czterech dni krążył koło brzegów. Lettereo dał się zwieść, wiatr jeszcze dość sprzyjał, sądził więc, że może przedsięwziąć podróż, i rozwinął żagle. Nazajutrz o świcie ujrzeliśmy się pośród eskadry Pepa złożonej z dwóch galiot i tyluż skampawii⁸⁷. Zewsząd byliśmy otoczeni, bez żadnego sposobu ucieczki. Padronowi śmierć wyglądała z oczu, rozpiął wszystkie żagle i kazał sterować prosto na główną galiotę. Pepo stojąc na moście wydawał rozkazy do bitwy. Lettereo porwał strzelbę, wziął go na cel i strzaskał mu ramię. Wszystko to stało się w kilku sekundach.

Wkrótce potem cztery statki zwróciły się na nas i usłyszeliśmy zewsząd:

— *Mayna ladro! Mayna can senza fede!*⁸⁸

Lettereo pochylił statek, tak że prawy jego brzeg ślizgał się po powierzchni morza; później zwracając się do osady zawołał:

— *Anime managie, io in galera non civado. Pregate per me la santissima Madonna della Lettera*⁸⁹.

Na te słowa upadliśmy wszyscy na kolana. Lettereo włożył w kieszenie dwie kule armatnie; myśleliśmy, że chce rzucić się w morze; ale inny był zamiar złośliwego rozbójnika. Na drugiej stronie okrętu stała wielka beczka napelniona miedzią. Lettereo schwycił siekiere i przeciął przytrzymujące ją sznury. Natychmiast beczka potoczyła się na brzeg przeciwny, ponieważ zaś okręt był już bardzo pochylony, nie mógł przeto znieść tego wstrząśnienia i zatonął. Natychmiast my wszyscy, którzy byliśmy na kolanach upadliśmy na żagle, które gdy okręt szedł do dna, przez swoją sprężystość odrzuciły nas na kilkanaście łokci.

Pepo dobył nas wszystkich z wody, wyjąwszy kapitana, jednego marynarza i chłopca okrętowego. Skoro którego wyciągano z wody, wnet go wiązano i wrzucano na spód okrętu. We cztery dni potem wylądowaliśmy w Mesynie. Pepo uprzedził urzędników wymiar sprawiedliwości, że miał im oddać kilku zuchów zasługujących na ich uwagę. Wylądowanie nasze nie odbyło się bez pewnej okazałości. Było to właśnie w godzinach korso, podczas których cały wielki świat używa przechadzki na wybrzeżu. Postępowaliśmy poważnym krokiem z przodu i z tyłu strzeżeni przez zbirów⁹⁰.

Principino znalazł się w liczbie widzów, jak tylko mnie ujrział, natychmiast poznał i zawołał:

— *Ecco lu picciolu banditu delli Augustini*⁹¹.

W tej samej chwili skoczył mi do oczu, porwał za włosy i zadrapał w twarz. Miałem ręce związane, z trudnością więc mogłem się bronić.

Przypomniawszy sobie jednak fortel używany przez marynarzy angielskich w Livorno, pochyliłem głowę i z całej siły uderzyłem *principina* w brzuch. Niegodziwy małeć padł na wznak. Wkrótce jednak porwał się z wściekłością i dobył z kieszeni małego noża, którym chciał mnie zranić. Aby uniknąć tego ciosu, podstawilem mu nogę, upadł mocno na ziemię i nawet padając, sam zranił się własnym nożem. Księżna przybyła na tę sprawę i kazała lokajom, aby powtórzyli ze mną scenę z klasztoru, ale zbirzy sprzeciwili się temu i zaprowadzili nas do więzienia.

Krótko trwał proces naszej osady, skazano wszystkich na chłostę i następnie dożywotnie galery. Co zaś do chłopca okrętowego, którego ocalono, i do mnie, wypuszczono nas na wolność jako małoletnich. Jak tylko wydostałem się z więzienia, pobiegłem do klasztoru augustianów. Nie znalazłem już w nim mego ojca; braciszek odźwierny powiedział mi, że umarł i że bracia moi byli chłopcami okrętowymi na jakimś statku hiszpańskim. Prosiłem o pozwolenie rozmowy z ojcem przeorem; wprowadzono mnie. Opowiedziałem mu wszystkie przygody, nie pomijając ani podstawienia nogi, ani uderzenia głową w brzuch *principina*. Jego przewielebność wysłuchała mnie z wielką dobrocią, po czym rzekła:

⁸⁷*skampawia* (wł. *scampavia*) — lekki, wąski, łatwo starowny statek. [przypis edytorski]

⁸⁸*Mayna ladro! Mayna can senza fede!* (hiszp.) — Poddaj się złodzieju! Poddaj się psie niewierny! [przypis edytorski]

⁸⁹*Anime managie, io in galera non civado. Pregate per me la santissima Madonna della Lettera* (hiszp.) — Dusze potępione, nie dam się wysłać na galery. Módlcie się za mnie do Madonny della Lettera. [przypis edytorski]

⁹⁰*zbir* (daw.) — członek straży. [przypis edytorski]

⁹¹*Ecco lu picciolu banditu delli Augustini* — oto ten mały bandyta od augustianów. [przypis edytorski]

— Moje dziecko, twój ojciec, umierając, zostawił klasztorowi znaczną sumę pieniędzy. Był to źle nabyty majątek, do którego nie mieliście żadnego prawa. Jest teraz w rękach Boga i powinien być użyty na utrzymanie sług jego. Jednakowoż ośmieliliśmy się wziąć z niego kilka skudów dla kapitana hiszpańskiego, który postanowił zabezpieczyć los twoim braciom. Co się tyczy ciebie, nie możemy dać ci schronienia w naszym klasztorze, przez wzgląd na księżnę della Rocca Fiorita, znakomitą naszą dobrodziejkę. Ty jednak, moje dziecko, pójdiesz do wioski, którą marny u stóp Etny i tam przyjemnie spędzisz twoje dziecinne lata.

Po tych słowach przeor zawołał braciszka i wydał mu stosowne rozkazy względem dalszego mego losu.

Nazajutrz ruszyłem z braciszkiem w drogę. Przybyliśmy do wioski; umieszczono mnie i odtąd całym moim obowiązkiem było chodzić z posyłkami do miasta. W tych małych podróżach starałem się o ile możności unikać spotkania z *principinem*. Jednakże pewnego razu zoczył⁹² mnie na ulicy kupującego kasztany, poznał i kazał swoim lokajom zbliżyć się do niego. W jakiś czas potem wśliznąłem się znowu przebrany do jego pokoju i bez wątpienia mógłbym być łatwo go zamordować, dotąd nawet żałuję, że tego nie uczyniłem; ale nie byłem jeszcze wówczas dość oswojony z postępowaniem podobnego rodzaju, przestałem więc na porządnym oćwiczeniu go.

Nieszczęsna moja gwiazda, jak sami widzicie, sprawiła, że w pierwszych latach mojej młodości nie przeszło sześć miesięcy, nawet cztery, żebym nie miał jakiego spotkania z tym przeklętym *principinem*, który zwykle miał się za sobą. Takim sposobem żyjąc, doszedłem lat piętnastu i chociaż co do wieku i rozumu byłem jeszcze dzieckiem, wszelako co do siły i odwagi byłem już człowiekiem dojrzałym, co bynajmniej nie powinno was dziwić, jeżeli zważycie, że powietrze morza i gór dzielnie przyczyniło się do rozwinięcia budowy mego ciała.

Miałem więc piętnaście lat, gdym po raz pierwszy ujrział znakomitego sposobem myślenia i odwagą Testalungę, najuczciwszego i najszlachetniejszego rozbójnika, jaki kiedykolwiek pustoszył Sycylię. Jutro, jeśli raczycie pozwolić, dam wam poznać tego człowieka, którego pamięć wiecznie pozostanie wyryta w moim sercu. W tej chwili muszę was opuścić. Zarząd jaskini wymaga z mojej strony czujnego starania, którego nie powinienem zaniedbywać.

Zoto odszedł i każdy z nas, stosownie do swego sposobu widzenia, zamyślił się nad tym, co słyszał. Wyznam, że nie mogłem odmówić pewnego rodzaju szacunku dla ludzi tak odważnych, jakimi byli ci, których Zoto w opowiadaniu swoim odmalowywał. Emina utrzymywała, że odwaga wtedy tylko zasługuje na nasz szacunek, kiedy jest użyta na poparcie zasad cnoty. Zibelda zauważyła, że można pokochać małego, szesnastoletniego rozbójnika.

Po wieczery każdy odszedł do siebie, wkrótce jednak obie siostry znowu przyszły do mnie na pogadankę. Usiadły i Emina rzekła:

— Kochany Alfonsie, czy nie mógłbyś uczynić dla nas jednego poświęcenia? Idzie tu więcej o ciebie niż o nas.

— Wszystkie te przemowy są niepotrzebne, piękna kuzynko — odpowiedziałem — powiedz mi po prostu, czego żadasz ode mnie.

— Drogi Alfonsie — przerwała Emina — ten klejnot, który nosisz na szyi i nazywasz częścią prawdziwego krzyża, razi nas i wzbudza wstręt mimowolny.

— O! Co się tyczy tego klejnotu — odparłem szybko — przestań mi o nim mówić. Przrzekłem mojej matce, że go nigdy nie zdejmę, i sądzę, że nie ty powinnaś wątpić w to, jak umiem dotrzymywać moich przyrzeczeń.

Na te słowa moje kuzynki nadąsały się nieco i zamilkły, niebawem jednak ułagodziły się i noc ubiegła nam równie szybko, jak poprzedzająca⁹³.

⁹²zoczyć (daw.) — zobaczyć. [przypis edytorski]

⁹³noc ubiegła nam równie szybko, jak poprzedzająca — po tym zdaniu w końcowym akapicie rozdziału w innym oprac. tegoż tłumaczenia dodano jeszcze następujące: „Chcę przez to powiedzieć, że pasy moich kuzynek nie zostały naruszone”. [przypis edytorski]

DZIEŃ SIÓDMY

Nazajutrz z rana obudziłem się wcześniej i poszedłem odwiedzić moje kuzynki. Emina czytała *Koran*, Zibelda zaś przymierzała perły i szale. Przerwałem te ważne zatrudnienia słodkimi pieszczotami, w których równie miłość, jak przyjaźń się odzywały. Po obiedzie Zoto w te słowa zaczął rozpowiadać dalsze przygody:

Dalszy ciąg historii Zota

Przyrzekłem mówić o Testalundze i dotrzymam wam słowa. Przyjaciel mój był spokojnym mieszkańcem Val Castera, małego miasteczka położonego u stóp Etny. Miał żonę zachwycającą pięknosci. Młody książę Val Castera, zwiedzając pewnego razu swoje majątki, ujrzał tę kobietę, która przyszła powitać go wraz z innymi żonami znaczniejszych mieszczan. Zarozumiały młodzieniec, zamiast wdzięcznie przyjąć hołd, jaki mu składali jego poddani ustami piękności, zajął się tylko wdziękami pani Testalunga. Bez żadnych ogródek wyjawił jej, jakie wrażenie sprawiała na jego zmysłach, zuchwałą ręką objął jej kibić i pocałował w twarz. W tej samej chwili mąż, który stał za żoną, dobył noża z kieszeni i utopił go w sercu młodego księcia. Zdaje mi się, że na jego miejscu każdy uczciwy człowiek byłby sobie tak samo postąpił.

Testalunga, dokonawszy tego uczynku, schronił się do kościoła i zostawał tam aż do nocy. Sądząc jednakże, że wypadało mu pewniejsze środki przedsięwziąć, postanowił złączyć się z kilkoma rozbójnikami, którzy od niejakiego czasu ukrywali się na wierzchołkach Etny. Poszedł więc do nich i ci ogłosili go dowódcą.

Etna naówczas wybuchała niesłychaną ilością lawy; pośród ognistych jej potoków Testalunga umocnił swoją bandę w kryjówkach, które jemu samemu tylko były znane. Gdy się już tak ze wszech stron dostatecznie zabezpieczył, dzielny ten wódz udał się do wicekróla, żądając ulaskawienia dla siebie i towarzyszków. Rząd odmówił, jak sądzę z obawy nadwerężenia powagi władzy. Natenczas Testalunga wszedł w układy z głównymi dzierżawcami okolicznych majątków.

— Kradnijmy do spółki — rzekł do nich — gdy przybędę do was, dacie mi, co sami zechcecie, nawzajem ja będę was bronił przeciw waszym panom.

Wprawdzie była to zawsze kradzież, ale Testalunga sumiennie rozdzielał wszystko między towarzyszków, zachowując dla siebie tyle, ile najmniej biorący dostawał. Skoro zaś przeciągał przez jaką wioskę, kazał za wszystko płacić podwójnie, tak że w krótkim czasie stał się bożyszczem ludu Obojga Sycylii.

Mówiłem wam już, że niektórzy rozbójnicy z bandy mojego ojca, złączyli się z Testalungą, który przez kilka lat przebywał na południu Etny, czyniąc nieustannie wycieczki na Val di Noto i Val di Mazara. Ale w czasie, o którym wam mówię, to jest gdy skończyłem piętnasty rok życia, banda wróciła do Val Demone i pewnego dnia ujrzeliśmy ją przybywającą do wioski augustynów.

Cokolwiek moglibyście wyobrazić sobie świetnego i okazałego, wszystko to da wam słabe zaledwie pojęcie o towarzyszach Testalungi. Ubiory z gwardii muszkietarów, konie pokryte jedwabnymi siatkami, pasy najeżone pistoletami i sztyletami, długie szpady i strzelby tego samego rozmiaru, oto były przedmioty składające uzbrojenie wojenne bandy.

Przez trzy dni rozbójnicy zjadali nasze kury i wypijali wino, czwartego doniesiono im, że oddział dragonów z Syrakuzy, zbliża się w zamiarze ich otoczenia. Na tę wieść zaczęli śmiać się z całego serca; zaczęli się w wąwozach, uderzyli na oddział i rozbili go do szczętu. Wprawdzie siła nieprzyjaciela dziesięć razy przewyższała ich zastęp, ale z drugiej strony, każdy rozbójnik miał przy sobie dziesięć pistoletów, z których żaden nie chybiał.

Po zwycięstwie banda wróciła do wioski, ja zaś, przypatrując się z dala całej bitwie, tak byłem zachwycony, że padłem do nóg dowódcy i zaklinałem go, aby raczył mnie przyjąć na towarzysza. Testalunga zapytał, com za jeden.

— Syn rozbójnika Zoto — odpowiedziałem.

Na to szanowne nazwisko wszyscy ci, którzy służyli pod moim ojcem, wydali okrzyk radości. Następnie jeden z nich porwał mnie w swoje objęcia, postawił na stole i rzekł:

— Towarzysze, w ostatniej walce zabito nam porucznika Testalungi; sprzeczailiśmy się, kto go ma zastąpić, niech więc mały Zoto będzie naszym porucznikiem. Widzimy nieraz,

że powierzają dowództwa pułków synom książąt lub hrabiów, dlaczegóż nie mielibyśmy tego uczynić dla syna dzielnego Zota. Ja zaręczam za niego, że stanie się godny tego zaszczytu.

Na te słowa, okryto mówcę rzęsytymi oklaskami i jednomyślnie obrano mnie porucznikiem.

Stopień mój z początku zdał się dla nich być żartem i każdy rozbójnik kładł się od śmiechu nazywając mnie: *signor tenente*, wkrótce jednak musieli zmienić dotychczasowe mniemanie. Nie tylko zawsze pierwszy byłem w napadzie i ostatni w odwrocie, ale żaden z nich nie umiał lepiej ode mnie wysledzić obrotów nieprzyjacielskich lub zapewnić bandzie bezpieczeństwo. Raz wdrapywałem się na szczyty skał, aby szerzej objąć wzrokiem okolicę; to znowu całe dni przepędzałem wśród nieprzyjaciół, skacząc z jednego drzewa na drugie. Często nawet zdarzało mi się przez całe noce nie złączyć z najwyższych kasztanów Etny i gdy nie mogłem już oprzeć się znużeniu, zasypiałem, przywiązawszy się wprzód pasem do gałęzi. Wszystko to nie było zbyt trudne dla tego, kto znał dokładnie rzemiosło kominiarza i chłopca okrętowego.

Tak ciągle postępując, zyskałem powszechne zaufanie i powierzono mi bezpieczeństwo całej bandy. Testalunga kochał mnie jak własnego syna, nadto śmiem wyznać, że niebawem nabyłem sławy, która przewyższała wziętość dowódcy i wkrótce w całej Sycylii o niczym innym nie mówiono, jak tylko o świetnych czynach małego Zota. Tyle sławy nie uczyniło mnie niezłym na rozrywki właściwe memu wiekowi. Już wam powiedziałem, że rozbójnicy u nas są bohaterami ludu, sami więc łatwo osądzicie, czy najpiękniejsze pasterki Etny, byłyby wahały się oddać mi serce; byłem jednak przeznaczony ulec bardziej wykwintnym wdziękom i miłość przygotowywała mi pochlebniejszą zdobycz.

Już od dwóch lat byłem porucznikiem i miałem siedemnaście lat skończonych, gdy nowy wybuch wulkanu zniszczył dotychczasowe nasze kryjówki i zmusił bandę szukać schronienia dalej na południe. Po czterech dniach pochodu przybyliśmy do zamku nazywanego Rocca Fiorita, siedliska i głównej posiadłości mego wroga *Principina*.

Od dawna zapomniałem już o krzywdach, jakiem od niego doświadczył, gdy na dźwięk nazwiska na nowo rozbudziła się we mnie cała żądza zemsty. Nie powinno was to bynajmniej zadziwiać — w naszym klimacie serca są nieublagane. Gdyby *Principino* był naówczas znajdował się w swoim zamku, mniemam, że byłbym mieczem i ogniem przekłęte gniazdo spustoszył. Tym razem jednak poprzestałem na wyrządzeniu o ile możliwości jak największej szkody, do czego towarzysze, którym nietajne były moje powody, dzielnie mi dopomogli. Służba zamkowa, która z początku chciała stawiać nam opór, uległa obfitym strumieniom pańskiego wina, które wytoczyliśmy z piwnicy, i niebawem przeszła na naszą stronę. Jednym słowem, zamieniliśmy zamek Rocca Fiorita w prawdziwą wyspę obfitości.

Hulanka trwała przez pięć dni. Szóstego szpiegi uprzedzili mnie, że wyprawiono przeciw nam cały pułk z Syrakuzy i że *principino* wkrótce z matką i licznym towarzystwem kobiet ma przybyć z Mesyny. Cofnąłem bandę, sam jednak chciałem koniecznie pozostać, usadowiłem się więc na szczycie rozłożystego dębu w końcu ogrodu. Dla ułatwienia ucieczki w razie potrzeby wybiłem otwór w murze ogrodowym.

Nareszcie ujrzałem nadchodzący pułk, który roztrasował się przed bramą zamkową i dokoła porozstawiał strażę. Tuż za nim ciągnął szereg lektyk, w których siedziały damy, w ostatniej zaś sam *principino* rozkładał się na stosie poduszek. Z trudnością wysiadł, podtrzymywany przez dwóch koniuszych, wysłał naprzód oddział wojska i gdy zaręczono mu, że żadnego z nas nie było już w zamku, dopiero wszedł z kobietami i kilku panami należącymi do jego orszaku.

Pod moim dębem wytryskało źródło świeżej wody, tuż zaś obok niego stał marmurowy stół otoczony ławkami. Była to najładniejsza część ogrodu; nie wątpiłem, że całe towarzystwo tu przybędzie i postanowiłem nie złączyć, aby bliżej mu się przypatrzeć. W istocie, po pół godzinie ujrzałem nadchodzącą młodą osobę prawie w moim wieku. Aniołowie nie mogą być piękniejsi, spostrzegłszy ją, doznałem tak nagłego i silnego wzruszenia, że byłbym może spadł z wierzchołka dębu, gdybym nie był, przez zwykłą ostrożność, mocno przywiązany się pasem do jego gałęzi.

Młoda dziewczyna szła ze spuszczonej oczyma i z wyrazem głębokiego smutku na twarzy. Usiadła na ławce, wsparła się na marmurowym stole i zaczęła gorzko płakać. Nie

wiedząc, sam co czynię, zsunąłem się z drzewa i stanąłem tak, że mogłem ją widzieć, nie będąc sam spostrzeżony. Natenczas ujrzałem *Principina* zbliżającego się z kwiatami w rękę. Od trzech lat, jak go straciłem z oczu, znacznie wyrósł, twarz miał piękną, ale bez żadnego wyrazu.

Młoda dziewczyna, spostrzegłszy go, rzuciła nań wzrok pełen wzdąry, za który mocno jej byłem wdzięczny. Pomimo to *principino*, zadowolony z samego siebie, przystąpił do niej wesoło i rzekł:

— Kochana narzeczono, oto są kwiaty przeznaczone dla ciebie, jeżeli mi przyrzekniesz nie wspominać o tym niegodziwym hultaju.

— Mości księżę — odpowiedziała moja sąsiadka — sądzę, że niesłusznie kładziesz warunki twoim łaskom, wreszcie chociażbym ja nigdy nie wymówiła przed tobą nazwiska Zota, cały dom wiecznie ci o nim będzie wspominał. Wszakże sama twoja mamka zaręczyła w twojej obecności, że nigdy w życiu nie widziała piękniejszego chłopca.

— Panno Sylwio!... — przerwał *Principino*, dotknięty do żywego. — Racz pamiętać, że jesteś moją narzeczoną.

Sylwia nic nie odrzekła, tylko zalała się łzami.

Wtedy *Principino* w największej wściekłości zawołał.

— Nikczemna, ponieważ kochasz się w rozbójniku, oto masz na co zasługujesz!

To mówiąc, uderzył ją w twarz.

— Zoto!... Zoto!... — krzyknęła biedna dziewczyna. — Czemuż cię tu nie ma, aby ukarać tego nędznika!

Jeszcze nie dokończyła tych słów, gdy nagle wyszedłem z mojej kryjówki i rzekłem do księcia:

— Poznajesz mnie? Jestem rozbójnikiem i mógłbym cię zamordować; ale zbyt poważam pannę, która raczyła przyzwać mnie na pomoc i ofiaruję ci walkę, jaka dla was, panów, przystoi.

Miałem na sobie dwa puginały i cztery pistolety; rozdzieliłem broń moją na dwoje, położyłem jedną część o dziesięć kroków od drugiej i zostawiłem mu wybór. Ale nieszczęśliwy *principino* padł zemdlony na ławkę.

Sylwia natenczas, tymi słowy odezwała się do mnie:

— Jestem szlachetnego urodzenia, ale biedna; jutro mam zaślubić księcia lub być na całe życie zamknięta w klasztorze. Zamiast jednego lub drugiego, wolę być twoją na wieki!

To mówiąc, padła w moje objęcia.

Możecie domyślić się, że nie dałem się długo prosić. Jednakowoż należało zapobiec, abyśmy ze strony księcia nie doznali przeszkody w ucieczce. Wziąłem sztylet i — w braku młotka — kamieniem przybiłem mu rękę do ławki, na której leżał. Krzyknął boleśnie i powtórnie omdlał. Wysunęliśmy się przez otwór w murze ogrodowym i uciekliśmy w góry.

Każdy z moich towarzyszków od dawna miał już kochankę, z radością więc powitali moją i kobiety ich przysięgły Sylwii nieograniczone posłuszeństwo.

Już upływał czwarty miesiąc mojego pożycia z Sylwią, gdy zostałem zmuszony opuścić ją, aby obejrzeć zmiany, jakie ostatni wybuch wulkanu poczynił w stronie północnej. Podczas podróży odkryłem w naturze nowe wdzięki, na które odtąd wcale nie uważałem. Co chwila spotykałem rozkoszne trawniki, jaskinie, gaje w miejscach, które wprzód wydały mi się tylko dobrymi do obrony lub zasadzek. Sylwia ułagodziła moje rozbójnicze serce, które jednak wkrótce miało odzyskać dawną srogość.

Wróciłem z mojej podróży na północ góry. Wyrażam się tym sposobem dlatego, że Sycylianie, wspominając o Etnie, zowią ją zawsze *il monte*, czyli najpierwszą górą w świecie. Zwróciłem się naprzód ku wierzchołkowi, który nazywamy Wieżą Filozofa, ale nie mogłem wdrapać się na szczyt. Podczas ostatniego wybuchu wulkan, zionąc potok lawy, objął wieżę dwoma ognistymi ramionami, a następnie łącząc się o milę dalej, opasał ją nieprzebytymi rozpadlinami i utworzył rodzaj wyspy całkiem niedostępnej.

Poznałem natychmiast ważność tego położenia; nadto na samej wieży, mieliśmy znaczny skład kasztanów, który pragnąłem koniecznie zachować. Dzięki przezorności moich poszukiwaczy znalazłem podziemne przejście, którym dawniej często przechodziłem i które mnie wyprowadziło prosto na samą wieżę. Natychmiast postanowiłem umieścić

na tej wyspie całą naszą ludność kobiecą. Kazałem zbudować szałas z liści i najpiękniejszy przeznaczyłem dla Sylwii. Następnie wróciłem na południe i sprowadziłem całą osadę, która była uszczęśliwiona z tego nowego schronienia.

Dziś, kiedy przenoszę się pamięcią w szczęśliwe chwile, jakie spędziłem na tej wyspie, znajduję je zupełnie oderwane od okropnych wzruszeń, które miotają całym moim życiem. Ogniste potoki dzieliły nas od reszty ludzi, miłość dni uprzyjemniała. Wszystko słuchało moich rozkazów i wszystko ulegało najmniejszym życzeniom kochanej Sylwii. Wreszcie na domiar mego szczęścia dwaj moi bracia przybyli do mnie. Obaj doznali nadzwyczajnych przygód i upewniam was, że jeżeli zechcecie kiedy posłuchać ich opowiadań, bez porównania więcej was zabawią ode mnie.

Mało ludzi policzy szczęśliwe dni w życiu, ale nie wiem, czy jest kto, coby mógł szczęście rachować na lata — moje przynajmniej nie trwało jednego roku. Towarzysze bandy zachowywali się uczciwie względem siebie samych, żaden nie byłby się ośmielił rzucić wzrok na cudzą kochankę, tym mniej zaś na moją. Zazdrość przeto była nieznaną lub raczej na jakiś czas wygnana z naszej wyspy, gdyż szalona ta namiętność zbyt łatwo zawsze znajdzie wstęp do miejsc, w których miłość przebywa.

Młody rozbójnik, nazwiskiem Antonino, tak szalenie zakochał się w Sylwii, że nie był nawet w stanie ukryć swojej namiętności. Sam to zauważyłem, ale widząc go smutnym i pognębionym, mniemałem, że kochanka moja nie była mu wzajemna i byłem spokojny. Rad bym był tylko wyleczyć Antonina, kochałem go bowiem dla jego odwagi. Nawzajem znajdował się w bandzie drugi rozbójnik, nazwiskiem Moro, którego dla nikczemności sposobu myślenia z całych sił nienawidziłem, i gdyby Testalunga chciał być mi wierzyć, od dawna byłby go już wypędził.

Moro potrafił wkraść się w zaufanie Antonina i przyrzekł mu dopomóc w miłości; pozyskał również ufność u Sylwii i przekonał ją, że mam kochankę w sąsiedniej wiosce. Sylwia lękała się wyznać przede mną powzięte podejrzenia, ale postępowanie jej zaczęło być coraz bardziej wymuszone, domyślałem się więc, że stygnie w niej zapal dawnej miłości. Z swojej strony Antonino, uwiadomiony o wszystkim przez Mora, podwoił zalecania przy Sylwii i przybrał minę zadowoloną, która dała mi do zrozumienia, że został uszczęśliwiony.

Nie byłem wcale wprawny w odkrywaniu podstępów podobnego rodzaju. Zamordowałem Sylwii i Antonina. Ostatni na chwilę przed śmiercią wyznał mi zdradę Mora. Z zakrwawionym sztyletem, pobiegłem do zdrajcy; Moro przeląkł się, padł na kolana i wyjąkał, że książe Rocca Fiorila zapłacił mu, aby mnie i Sylwii zgładził ze świata, i że jedynie w celu skutecznego tego zamiaru przyłączył się do naszej bandy. Utopiłem mu sztylet w piersiach. Następnie wybrałem się do Mesyny, wemknąłem się przebrany do pałacu księcia i wysłałem go za jego powiernikiem i dwoma moimi ofiarami. Taki był koniec mego szczęścia i zarazem mojej sławy. Moja odwaga zmieniła się w zupełną obojętność dla życia, a ponieważ okazywałem równą obojętność dla bezpieczeństwa moich towarzyszy, wkrótce zatem całkiem postradałem ich zaufanie. Na koniec mogę was zapewnić, że odtąd stałem się jednym z najpospolitszych rozbójników.

Wkrótce potem Testalunga umarł na zgnilą gorączkę i banda jego się rozproszyła. Moi bracia, znając dobrze Hiszpanię, namówili mnie, aby tam się udać. Stałem na czele dwunastu ludzi, przybyłem do zatoki taormińskiej i ukrywałem się w niej przez trzy dni. Czwartego dnia porwaliśmy mały statek rybacki, puściliśmy się na morze i wylądowaliśmy na brzegach Andaluzji.

Chociaż w Hiszpanii nie zbywa na górach, które zapewniają bezpieczne schronienie, jednak dałem pierwszeństwo pasmu Sierra Morena i nie mam powodu żalić się na mój wybór. Schwytałem dwa transporty piastrow i uczyniłem później kilka nie mniej korzystnych wycieczek.

Odgłos naszych powodzeń doszedł aż do Madrytu. Wielkorządca Kadyksu, otrzymał rozkaz dostawienia nas martwych lub żywych i wyprawił przeciw nam kilka pułków. Z drugiej strony wielki szejk Gomelezów ofiarował mi służbę u siebie i bezpieczne schronienie w tej oto jaskini. Bez namysłu przystałem na jego żądania. Trybunał Grenady, nie chcąc pokazać swojej niedołężności, nie mogąc jednak nas znaleźć, rozkazał schwytać dwóch pasterzy z doliny i powiesić ich pod nazwiskiem dwóch braci Zoto. Znałem tych dwóch ludzi i wiem, że popełnili kilka morderstw. Utrzymują jednak, że gniewa ich to

powieszenie na naszym miejscu i że w nocy odwiązują się z szubienic i wyprawiają tyśiączne niedorzeczności. Nie przekonałem się o tym na własne oczy, nie mogę więc nie wam o tym powiedzieć. Przecież nieraz przechodząc w nocy obok szubienicy, zwłaszcza gdy księżyc świecił, dokładnie widziałem, że nie było żadnego wisielca, nad rankiem zaś znowu wracali na szubienicę.

Oto jest historia mego życia, którą pragnęliście słyszeć. Sądzę, że moi bracia, których życie spokojniej upłynęło, mogliby wam bardziej zajmujące rzeczy opowiedzieć, ale nie będą mieli do tego czasu, gdyż okręt jest już przygotowany i odebrałem wyraźne rozkazy, aby jutro puścić go na morze.

Gdy Zoto odszedł, piękna Emina rzekła z wyrazem głębokiego smutku:

— Ten człowiek ma słuszność, chwile szczęścia zbyt krótkie są w życiu człowieka. Przepędziłyśmy tu trzy dni, które może już nigdy w życiu nam się nie powtórzą.

Wieczera wcale nie była wesoła, pośpieszyłem więc z życzeniami dobrej nocy moim kuzynkom. Spodziewałem się, że ujrzę je w moim pokoju i wtedy łatwiej zdołam rozproszyć ich smutek⁹⁴.

W istocie przysły wcześniej niż zazwyczaj i na domiar mego szczęścia spostrzegłem, że nie miały na sobie ozdób, które pierwszego dnia zaraz tak mi się nie podobały. Zrozumiałem wybornie uprzejmość zachwycających dziewcząt, ale Emina, nie ufając mojej domyślności rzekła:

— Kochany Alfonsie, poświęcenie twoje dla nas było bez granic, pragnę, abyś równie sądził o naszej wdzięczności. Być może, że się już więcej nie ujrzymy. Może dla waszych kobiet łatwiejsze jest zapomnienie, ale my chcemy wiecznie żyć w twojej pamięci i jeżeli kobiety madryckie przewyższają nas w wykształceniu i obejściu, żadna jednak nie będzie w stanie więcej cię kochać od nas. Jednakże, drogi Alfonsie, musisz jeszcze raz ponowić przysięgę, że nam dochowasz tajemnicy i nie dasz wiary, gdyby ci co złego o nas mówiono.

Uśmiechnąłem się lekko na ten ostatni warunek, ale zgodziłem się na wszystko i otrzymałem nagrodę w najczulszych pieczętach.

Po chwili, Emina rzekła:

— Kochany Alfonsie, te relikwie, które nosisz na szyi, ciągle rażą wzrok muzułmanek, czy nie możesz ich zrzucić?

Dałem odmowną odpowiedź, ale Zibelda objęła mnie za szyję i nożyczkami, które trzymała w ręku, przecięła wstążkę. Emina natychmiast porwała relikwie i rzuciła je w rozpadlinę skały.

— Jutro włożysz je na powrót — rzekła — tymczasem zawieś na szyi tę plecionkę z naszych włosów wraz z przywiązany do niej talizmanem, który uchroni cię może od nieśmiałości, jeżeli cokolwiek w świecie zdoła uchronić od tego kochanków.

Chciałem poskoczyć za relikwiami, ale dziewczęta opasały mnie pierścieniem z ich śnieżnych ramion i tak ponętnie zaczęły się uśmiechać, że niebawem ogarnęły cały mój umysł i nie miałem czasu o niczym innym myśleć. Czuję, jak krew biła we mnie z nadzwyczajną gwałtownością. Mówiąc o krwi, dodam, że chociaż zwykle zbrodnią jest niewinną krew przelewać, są jednak wypadki, w których człowiek z łatwością może sobie dozwolić zagłuszyć głos sumienia. Całe dalsze postępowanie z moimi kuzynkami doprowadziło mi, że marzenia moje w Venta Quemada były tylko czczym urojeniem. Zmysły nasze ukołysały się, byliśmy już zupełnie spokojni, gdy nagle zabrzmiał smutny jęk dzwoonu. Zegar bił północ. Na ten odgłos nie mogłem wstrzymać się od wzruszenia i rzekłem do dziewcząt, że obawiam się, aby nam nie zagrażał jakiś smutny wypadek.

— I ja również lękam się — odparła Emina — nawet niebezpieczeństwo jest bliskie, ale posłuchaj tego, co ci mówię: nie dawaj wiary żadnemu złemu, jakie by ci o nas mówiono, nie wierz nawet własnym oczom.

W tej chwili drzwi otwarły się z łoskotem i ujrzałem wchodzącego człowieka wspaniałej postawy, ubranego po mauretańsku. W jednym ręku trzymał *Alkoran*, w drugim zaś miecz obnażony; kuzynki moje rzuciły mu się do nóg, mówiąc:

⁹⁴wtedy łatwiej zdołam rozproszyć ich smutek — zakończenie *Dnia siódmego* i początek *Dnia ósmego* zasadniczo różnią się w wersji z 1804 i 1810 r. Późniejsza kończy się w tym miejscu. Poniżej wersja z 1804 r. [przypis edytorski]

— Potężny szejku Gomelezów, przebacz nam!

Na co szejki odpowiedzieli straszonym głosem:

— *Adonde estan las fajas?*

Śnać pytał je o te właśnie ozdoby, których tego dnia na nich nie widziałem. Później, zwracając się do mnie, rzekł:

— Nieszczęsny nazarejczyku! Jak śmiesz razem znajdować się z niewiastami z krwi Gomelezów?... Musisz przejść na wiarę Proroka lub umrzeć.

W tej chwili usłyszałem straszliwe wycie i spostrzegłem opętanego Paszeko, który dawał mi znaki z głębi komnaty; moje kuzynki także go spostrzegły, porwały się więc rozgniewane, schwyciły go i wyprowadziły do drugiej izby.

— Nieszczęsny nazarejczyku — powtórzył znowu szejki Gomelezów — wypij duszkiem napój zawarty w tej czarze lub zginiesz haniebną śmiercią, a ciało twoje, zawieszony między trupami braci Zota, stanie się pastwą sępów i igraszką duchów ciemności, które będą go używać do swoich piekielnych przemian.

Zdało mi się, że w podobnej okoliczności honor nakazywał mi samobójstwo. Zawolałem więc z boleścią:

— Ach mój ojczu, na moim miejscu tak samo byś sobie postąpił.

Po tych słowach wziąłem czarę i wychyliłem do dna. Uczułem nieznośne mdłości i padłem bez zmysłów.

DZIEŃ ÓSMY

Ponieważ mam zaszczyt wam opowiadać moje przygody⁹⁵, łatwo więc pojmiecie, że nie umarłem od wypitej — jak myślałem — trucizny. Odszedłem tylko od przytomności i nie wiem, jak długo zostawałem w tym stanie. Pamiętam jednak, że znowu obudziłem się pod szubienicą Los Hermanos, ale tym razem z wielką radością, gdyż przynajmniej byłem pewny, że jeszcze nie umarłem. Nadto nie znalazłem się już między dwoma wisielcami, leżałem po lewej ich stronie, po prawej zaś spostrzegłem jakiegoś człowieka, którego także wziąłem za wisielca, gdyż zdawał się bez życia i miał stryczek na szyi. Wkrótce jednak poznałem, że spał tylko i rozbudziłem go. Nieznajomy, spojrzawszy na miejsce swego noclegu, zaczął śmiać się i rzekł:

— Trzeba wyznać, że w nauce kabalistyki wydarzają się czasem przykre nieporozumienia. Złe duchy tyle umieją przybierać na się kształtów, że nie można wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Wszelako — dodał — skądże mi się wziął ten powróż na szyi? W miejscu plecionki z włosów, którą wczoraj jeszcze miałem na sobie.

Później, spostrzegłszy mnie, rzekł:

— I pan tutaj?... Pan jeszcze za młody jesteś na kabalistę, chociaż masz także powróż na szyi.

W istocie, przekonałem się, że miał słuszość. Przypomniałem sobie, że Emina wczoraj zawiesiła mi na szyi plecionkę z włosów swoich i Zibeldy, i sam nie wiedziałem, jak sobie tę przemianę tłumaczyć.

Kabalista spoglądał na mnie byстрыm wzrokiem i rzekł:

— Nie, ty do nas nie należysz, nazywasz się Alfons, twoja matka rodzi się z Gomelezów, jesteś kapitanem w gwardii walońskiej, masz wiele odwagi, ale mało doświadczenia. Mniejsza o to, trzeba naprzód stąd się wydostać, a potem zobaczymy, co z sobą pocznemy.

Brama parkanu była otwarta, wyszliśmy i znowu ujrzałem przed sobą przeklętą dolinę Los Hermanos. Kabalista zapytał mnie, dokąd chcę się udać. Odpowiedziałem mu, że postanowiłem udać się w kierunku do Madrytu.

— Zgoda — rzekł — ja także idę w tę stronę, ale zacznijmy naprzód od przyjęcia jakiego posiłku.

To mówiąc, dobył z kieszeni pozłacaną czarę, słoik napełniony pewnym rodzajem opiatu i fiaskę kryształową, w której znajdował się jakiś płyn żółtawy. Wrzucił do czary łyżeczkę opiatu, wlał kilka kropel płynu i kazał mi wszystko razem wypić. Nie dałem sobie

⁹⁵ *Ponieważ mam zaszczyt wam opowiadać moje przygody* — wersja tekstu z 1810 roku rozpoczyna się odmiennie; początek Dnia ósmego jest w owej wersji jedynym miejscem, gdzie pojawia się postać Żyda Wiecznego Tułacza. [przypis edytorski]

tego powtarzać, gdyż omdlewałem z czczości. W istocie, napój był cudowny. Uczulem się tak pokrzepiony, że śmiało mogłem przedsięwziąć dalszą drogę, co wprzódoby byłoby dla mnie zupełnie niemożliwe.

Słońce wzbiło się już wysoko, gdy spostrzegliśmy nieszczęsną gospodę Venta Quemada. Kabalista zatrzymał się i rzekł:

— Oto jest miejsce, w którym tej nocy wyrządzono mi niegodziwą psotę. Trzeba nam jednak wejść do tej przeklętej gospody, zostawiłem tu bowiem niektóre zapasy, którymi będziemy mogli się posilić.

Weszliśmy do opuszczonej wenty i znaleźliśmy w jadalnym pokoju stół zastawiony pasztetem i dwoma butelkami wina. Kabalista zdawał się być przy wybornym apetycie; przykład jego dodał mi odwagi, inaczej bowiem wątpię, czy byłbym odważył się ponieść co do ust. Wszystko to, co od kilku dni widziałem, tak pomieszało moje wyobrażenia, że sam nie wiedziałem, co czynię, i gdyby kto uznał się, byłby mógł wprowadzić mnie w wątpliwość o moim własnym istnieniu.

Po skończonym obiedzie zaczęliśmy przebiegać komnaty i przybyliśmy do tej, w której spałem pierwszego dnia mego wyjazdu z Andujar. Poznałem moje nieszczęsne postanie i usiadłszy na nim, jałem rozmyślać nad tym wszystkim, co mi się wydarzyło, szczególnie zaś nad wypadkami w jaskini. Przypomniłem sobie, że Emina uprzedziła mnie, żebym nie dawał wiary, gdyby mi co złego o niej mówiono. Właśnie pograżyłem się w tych myślach, gdy kabalista zwrócił moją uwagę na coś błyszczącego utkwionego między szparami podłogi. Spojrzałem bliżej i przekonałem się, że były to relikwie zabrane mi przez dwie siostry w jaskini. Widziałem, jak je wrzucały w rozpadlinę skały, a teraz znajdowałem je w szparze podłogi. W istocie zacząłem powątpiewać, czym wychodził kiedy z tej przeklętej gospody i czy pustelnik, inkwizytor, bracia Zota nie byli widmami spłodzonymi przez obłąd czarodziejski. Tymczasem za pomocą szpady dobyłem relikwie i zawiesiłem je na szyi.

Kabalista zaczął śmiać się i rzekł:

— Więc to twoja własność, mości kawalerze. Jeżeli tu noc przepędziłeś, wcale nie dziwię się, żeś się obudził pod szubienicą. Mniejsza o to, wychodźmy stąd, musimy tego jeszcze wieczora stanąć w pustelni.

Opuściliśmy gospodę i nie uszliśmy jeszcze połowy drogi, gdy spotkaliśmy pustelnika, który z trudnością włókł się o kiju. Skoro tylko nas spostrzegł, zawołał:

— Ach, mój młody przyjacielu, właśnie szukałem cię, wracaj do mojej pustelni; wyrwij swoją duszę ze szponów szatana, ale tymczasem podaj mi rękę. Nie szczędziłem dla ciebie gorliwych usiłowań.

Wypocząwszy przez chwilę, ruszyliśmy w dalszą drogę, starzec postępował z nami, wspierając się raz na jednym, to znowu na drugim. Nareszcie przybyliśmy do pustelni.

Zaledwie wszedłem, ujrzałem Paszeka rozciągniętego na środku izby. Zdawał się być na skonaniu, pierściami przynajmniej wydawał to chrapanie, jakie rychłą śmierć zapowiada. Chciałem przemówić do niego, ale nie poznał mnie; wtedy pustelnik zacerpnął święconej wody, pokropił nią opętanego i rzekł:

— Paszeko, Paszeko, w imieniu twego Odkupiciela, nakazuję ci opowiedzieć, co ci się wydarzyło tej nocy.

Paszeko zadrżał, zaryczał straszliwie i tak zaczął mówić:

Opowiadanie Paszeka

— Mój ojczu, właśnie znajdowałem się w kaplicy i śpiewałem litanie, gdy posłyszałem kołatanie do drzwi i beczenie zupełnie podobne do tego, jakie wydaje nasza biała koza. Myślałem więc, że zapomniałem ją wydoić i pocziwe zwierzę przyszło mi przypomnieć mój obowiązek. Tym bardziej trwałem w tym przekonaniu, że właśnie przed kilkoma dniami wydarzył mi się podobny wypadek. Wyszedłem z chaty i w samej rzeczy ujrzałem naszą białą kozę, która obracała się tyłem do mnie, pokazując mi nadęte wymiona. Chciałem ją przytrzymać, aby jej oddać żadaną przysługę, ale wymknęła się z moich rąk i co chwila zatrzymując się i uciekając dalej, zaprowadziła mnie na brzeg przepaści tuż obok twojej pustelni.

Przybywszy tam, biała koza nagle przerzuciła się w czarnego kozła; przeląknęłem się na widok tej przemiany i chciałem uciekać ku naszemu mieszkaniu, ale czarny kozioł przeciął

mi drogę i wspiąwszy się na tylnych nogach, spojrzął na mnie płomiennymi oczyma. Strach ściał mi lodem krew w żyłach.

Natenczas czarny kozioł zaczął bić mnie rogami i zwracać ku przepaści; gdy już mnie tam doprowadził, zatrzymał się na chwilę, jakby pragnął cieszyć się widokiem moich męczarni. Nareszcie strącił mnie w przepaść. Myślałem, że się rozbiję w proch, ale kozioł przede mną stanął na dnie przepaści i przyjął mnie na grzbiet, nic więc mi się nie stało.

Tu nowa bojaźń mnie ogarnęła, gdyż zaledwie kozioł poczuł mnie na grzbiecie, wnet dziwnym sposobem zaczął galopować. Jednym skokiem przeskakiwał z góry na górę i przesadzał najgłębsze przepaści, nareszcie otrząsł się i sam nie wiem, jak znalazłem się w jaskini, gdzie spostrzegłem młodego podróżnego, który przed kilkoma dniami nocował w naszej pustelni.

Młodzieniec siedział na łóżku, obok niego zaś siedziały dwie prześliczne dziewczyny ubrane po mauretańsku. Dziewczęta, okrywając go pieczętami, zdjęły mu z szyi relikwie i w tej chwili straciły całą piękność w mych oczach, poznałem w nich bowiem dwóch wisielców z doliny Los Hermanos. Wszelako młody podróżny, biorąc je ciągle za piękne kobiety, przemawiał do nich najczulszymi wyrazami. Natenczas jeden z wisielców zdjął stryczek z szyi i zaciągnął go na szyję młodzieńca, który dziękował mu z niewypowiedzianą wdzięcznością. Co się dalej stało, już nie widziałem, chciałem krzyknąć, ale nie mogłem wydać żadnego głosu, siedziałem jak skamieniały; gdy wtem północ wybiła i ujrzałem wchodzącego szatana z ognistymi rogami i płomienistym ogonem, który kilku diablików niosło za nim.

Szatan w jednej ręce trzymał księgę, w drugiej zaś widły. Zbliżył się do podróżnego i zagroził mu śmiercią, jeżeli nie przejdzie na wiarę Mahometa. Wtedy widząc duszę chrześcijańską w niebezpieczeństwie, zebrałem wszystkie siły, krzyknąłem i zdaje mi się, że młodzieniec mnie usłyszał. Ale w tej samej chwili wisielcy poskoczyli ku mnie i wyciągnęli mnie do drugiej izby, gdzie znalazłem tego samego kozła. Jeden wisielec wsiadł na kozła, drugi na mnie i tak znowu zmusili nas obu galopować z nimi przez góry i przepaście. Wisielec, który siedział na mnie, ścisnął mi boki piętami, ale znajdując zapewne, że nie dość szybko biegłem, podjął po drodze dwa skorpiony, przyczepił je do nóg zamiast ostróg i zaczął mi rozdzierać boki z niesłychanym okrucieństwem. Nareszcie przybyliśmy do drzwi pustelni, gdzie mnie straszny porzuciły. Tego poranku, mój ojciec, znalazł mnie bez przytomności, sądziłem, że byłem ocalony, ujrzawszy się w twoich objęciach, ale jad skorpionów zatrzał mi krew. Jad ten pali mi wnętrzności i czuję, że nie przeżyję więcej tych cierpień. —

To mówiąc, opętaniec zaryczał straszliwie i umilkł.

Wtedy pustelnik zabrał głos i rzekł:

— Słyszałeś, synu mój, może⁹⁶ to być, żebyś miał być do czynienia z dwoma szatanami? Pójdź, wypowiadaj się, wyznaj swoje winy. Miłosierdzie boskie jest bez granic. Nie odpowiadasz? Byłżebyś⁹⁷ już tak dalece zatwardziały w grzechu?

Zastanowiwszy się przez chwilę, odpowiedziałem:

— Mój ojciec, ten opętany szlachcic widział rzeczy całkiem odmiennie. Jeden z nas bez wątpienia był otumaniony, może nawet i obaj źle widzieliśmy. Ale oto masz przed sobą szlachetnego kabalistę, który także nocował w Venta Quemada. Może zechce nam opowiedzieć swoje przygody, w których znajdziemy nowe wyjaśnienie wypadków, jakie nas od kilku dni zajmują.

— Panie Alfonsie — przerwał kabalista — ludzie, którzy tak jako ja oddają się tajemniczemu naukom, nie mogą mówić wszystkiego. Postaram się jednak o ile możliwości zadowolić twoją ciekawość, ale jeżeli pozwolisz, nie tego wieczora. Posilmy się wieczszą i idźmy spać, jutro będziemy przy świeższych umysłach.

Pustelnik zastawił nam skromną wieczerzę, po której każdy odszedł do siebie. Kabalista utrzymywał, że musi przepędzić noc obok opętanego, ja zaś udałem się do kaplicy.

⁹⁶możeż — daw. forma z partykułą wzmacniającą -że, skróconą do -ż; inaczej: czy może; czyż może. [przypis edytorski]

⁹⁷byłżebyś — daw. forma z partykułą wzmacniającą -że; inaczej: czyżbyś był. [przypis edytorski]

Położyłem się na tym samym łożu z mchu, na którym już jedną noc przepędziłem, pustelnik życzył mi dobrego snu i uprzedził, że dla większej pewności, odchodząc, zamknie drzwi za sobą.

Zostawszy sam, zacząłem rozmyślać nad opowiadaniem Paszeka. Nie było wątpliwości, że znajdował się razem ze mną w jaskini, widziałem także, jak moje kuzynki poskoczyły do niego i wyciągnęły go do drugiej izby; ale Emina uprzedziła mnie, abym nie wierzył, gdyby mi co złego o niej i o siostrze mówiono. Wreszcie szatany, które opętały Paszeka, mogły obłąkać mu zmysły i otumanić złudzeniami wszelkiego rodzaju.

Tym sposobem szukałem różnych środków usprawiedliwienia i zachowania miłości dla moich kuzynek, gdy wtem usłyszałem, że bije północ... Wkrótce potem usłyszałem kołatanie do drzwi i beczenie kozy. Wziąłem szpadę, poszedłem do drzwi i zawołałem mocnym głosem:

— Jeżeli szatan, staraj się sam otworzyć te drzwi, które pustelnik zamknął.

Koza umilkła. Położyłem się i spałem aż do ranka.

DZIEŃ DZIEWIĄTY

Pustelnik przyszedł mnie obudzić, siadł na moim łożku i rzekł:

— Moje dziecko, złe duchy znowu tej nocy wyprawiły w mojej pustelni piekielne harce. Samotnicy Tebaidy nie byli więcej ode mnie wystawieni na złość szatańską; nie wiem przy tym, co mam sądzić o człowieku, który przybył z tobą i zwie się kabalistą. Przedsięwziął wyleczyć Paszeka i w istocie wiele mu pomógł, ale bynajmniej nie używał egzorcyzmów przepisanych przez rytuał naszego świętego kościoła. Pójdź do mojej pustelni, czeka na nas śniadanie, po którym usłyszymy zapewne przygody tego dziwnego nieznajomego.

Wstałem i udałem się za pustelnikiem. W istocie, znalazłem Paszeka w daleko lepszym stanie i z twarzą nawet mniej odrażającą. Nadal był ślepy na jedno oko, ale nie wywieszał już tak obrzydliwie języka. Usta przestały mu pieniać się i pozostałe oko toczyło mniej błędne spojrzenia. Powinszowałem kabaliście, który mi odrzekł, że to był tylko słaby dowód jego umiejętności. Następnie pustelnik przyniósł śniadanie, złożone z gorącego mleka i kasztanów.

Podczas gdy spożywaliśmy tę skromną ucztę, ujrzelśmy wchodzącego człowieka, chudego i wybladłego, którego cała postać wstręt wzbudzała, chociaż nie można było rzec, co było przyczyną tego odrażającego wrażenia. Nieznajomy ukląkł przede mną i zdjął kapelusz. Wtedy ujrzałem, że miał owiązane czoło. Wyciągnął ku mnie kapelusz, jak gdyby prosił o jałmużnę. Rzuciłem mu sztukę złota. Szczególniejszy żebrak podziękował mi i dodał:

— Panie Alfonsie, twój dobry uczynek nie pójdzie na marne. Uprzedzam cię, że ważny list czeka na ciebie w Puerto Lapicha. Przeczytaj go, zanim wjedziesz do Kastylii.

Udzieliwszy mi to ostrzeżenie, nieznajomy ukląkł przed pustelnikiem, który mu nappełnił kapelusz kasztanami, następnie uczynił to samo przed kabalistą, ale wnet zerwał się, mówiąc:

— Od ciebie niczego nie żądam, jeżeli powiesz, kto jestem, gorzko kiedyś tego pożałujesz.

Po tych słowach wyszedł z pustelni.

Gdy zostaliśmy sami, kabalista zaczął śmiać się i rzekł:

— Aby wam dowieść, jak mało lękam się pogrózek tego człowieka, zaraz wam powiem, że to jest Żyd Wieczny Tułacz, o którym zapewne musieliście słyszeć. Już przeszło od osiemnastu wieków ani razu nie usiadł, ani położył się, nie odpoczął, nie zasnął. Ciągle idąc przed siebie, zje wasze kasztany i nazajutrz rano będzie już stąd o jakie sześćdziesiąt mil. Zwykle przebiega we wszystkich kierunkach niezmiernie pustynie Afryki. Żywi się dzikimi owocami, a drapieżne zwierzęta mijają go bez szkody z powodu świętego piętna wyrzytego na jego czole. Dlatego to, jak uważaliście, nosi na głowie przepaskę. Nie bywa on nigdy w naszych okolicach, chyba na wezwanie jakiego kabalisty. Wreszcie mogą wam zaręczyć, że ja go tu wcale nie wezwałem, nie mogę go bowiem ścierpieć. Jednakowoż muszę wyznać, że często wie on o wielu rzeczach, radzę ci zatem, panie Alfonsie, nie zaniedbywać jego przestrogi.

— Mości kabalisto — odpowiedziałem — Żyd doniósł mi, że list czeka mnie w Puerto Lapiche. Spodziewam się tam pojutrze stanąć i nie zapomnę zapytać oberżysty.

— Nie potrzeba tak długo czekać — odparł kabalista — musiałbym mało znaczyć w świecie geniuszów, gdybym nie mógł mieć tego listu wcześniej.

To mówiąc pochylił głowę na prawe ramię i wyrzekł kilka wyrazów rozkazującym głosem. W przeciągu pięciu minut upadł na stół wielki list pod moim adresem. Rozpieczętowałem go i przeczytałem co następuje:

„Panie Alfonsie!

Z rozkazu Jego Królewskiej Mości naszego Najmiłościvszego Pana Don Ferdynanda IV⁹⁸ uprzedzam cię, abys wstrzymał twój przyjazd do Kastylii. Srogość tę winienes jedynie przypisać nieszczęściu, które spowodowało, że rozgniewales na siebie święty trybunał zajmujący się zachowaniem czystości wiary w Hiszpanii. Wypadek ten jednak niech w niczym nie zmniejsza twojej gorliwości w chęci służenia królowi. Wraz z niniejszym, załączani ci urlop na trzy miesiące, przepędź ten czas na granicach Kastylii i Andaluzji, wszelako nie przebywaj zbyt długo w żadnej z obu tych prowincji. Pomyślano już o zaspokojeniu twego czcigodnego ojca i przedstawiono mu całą tę sprawę w świetle wcale go nie rażącym.

Twój życzliwy

Don Sanche de Tor de Peñas

Minister Wojny”.

Do tego listu przyłączony był urlop na trzy miesiące, opatrzony niezbędnymi podpisaniami i pieczęciami.

Podziwialiśmy pośpiech gońców kabalisty, następnie prosiliśmy go, aby dotrzymał nam obietnicy i opowiedział wypadki przeszłej nocy w Venta Quemada. Odrzekł nam jak wczoraj, że nie zrozumiemy wiele rzeczy w jego opowiadaniu, ale zastanowiwszy się przez chwilę, zaczął w te słowa:

Historia kabalisty

Nazywają mnie w Hiszpanii Don Pedro de Uzeda i pod tym nazwiskiem o miłą stąd posiadam piękny zamek. Prawdziwe moje miano jest: rabi Sadok Ben Mamun, jestem bowiem Żydem. Wyznanie tego rodzaju jest cokolwiek niebezpieczne w Hiszpanii, ale oprócz tego, że ufam waszej uczciwości, uprzedzam was, że nie tak łatwo byłoby mi zaszkodzić. Wpływ gwiazd na moje przeznaczenie zaczął objawiać się od pierwszych chwil mego życia. Ojciec mój, wyciągnąwszy mój horoskop, przejęty był radością, gdy ujrzał, że przyszedłem na świat, właśnie gdy słońce przechodziło w znak Panny. Wprawdzie użył całej umiejętności na dopięcie tego celu, ale nie spodziewał się tak dokładnego skutku.

Nie potrzebuję wam mówić, że ojciec mój Mamun był pierwszym astrologiem swego czasu. Wszelako gwiazdarstwo było jedną z najmniejszych nauk, jakie posiadał, szczególniejszej posunął znajomość kabalistyki do stopnia, jakiego żaden z rabinów dotąd nie osiągnął.

W cztery lata po moim przyjściu na świat mój ojciec miał córkę, która narodziła się pod znakiem Bliźniąt. Pomimo tej różnicy, jednakowo nas wychowano. Nie miałem jeszcze dwunastu lat, moja siostra zaś ośmiu, kiedy umieliśmy już po hebrajsku, po chaldejsku, po syrochaldejsku, znaliśmy mowy Samarytanów, Koptów, Abisyńczyków i różne inne umarłe lub umierające języki. Nadto bez pomocy ołówka mogliśmy rozłożyć litery każdego wyrazu, wedle wszelkich zasad oznaczonych prawidłami kabalistyki.

Wtedy to właśnie kończyłem dwunasty rok, z niezwykłą starannością ułożono nasze włosy w pierścienie, ażeby zastosować się do znaku, pod którym się urodziłem, dawano nam do jedzenia mięso z czystych zwierząt, wybierając dla mnie samców, samice zaś dla mojej siostry.

⁹⁸Ferdynanda IV — w innej wersji: Filipa V; tymczasem, ponieważ Alfons van Worden przebywał w Sierra Morena w 1739 r. (jak rekonstruuja chronologię w dziele Potockiego badacze), może chodzić jedynie o Ferdynanda VI, syna Filipa V, panującego w l. 1746–1759. [przypis edytorski]

Gdy zacząłem szesnasty rok, mój ojciec postanowił nas przypuścić do tajemnic kabały *Sefirot*. Naprzód dał nam do rąk *Sepher Zohar*, czyli tak nazwaną jasną księgę, w której nic nie można zrozumieć, tak dalece jasność dzieła ślepi wzrok patrzących. Następnie zagłębialiśmy się nad *Sipbra Dizniutha*, czyli tajemniczą księgą, w której najzrozumiałszy period⁹⁹ mógł wybornie ująć za zagadkę. Na koniec przystąpiliśmy do *Idra Rabby* i *Idra Suthy*, to jest do małego i wielkiego Sanhedrynu. Są to rozmowy, w których rabbi Simeon, syn Jochaja, autor dwóch poprzednich dzieł, zniżając styl do potocznej rozmowy, udaje, że naucza dwóch przyjaciół najprostszyc rzeczy. Tymczasem zaś odsłania im najbardziej zadziwiające tajemnice, czyli raczej wszystkie te objawienia pochodzą nam prosto od proroka Eliasza, który po kryjomu opuścił niebieskie krainy i był obecny na zgromadzeniu pod przybranym nazwiskiem rabina Abby.

Być może, że wy wszyscy wyobrażacie sobie, jakobyście nabyli prawdziwego pojęcia o tych boskich księgach z tłumaczenia łacińskiego wydanego wraz z oryginałem chaldejskim roku 1684 w małym miasteczku niemieckim nazwanym Frankfurt, ale my śmiejemy się z zarozumiałości tych, którzy sądzą, że dość zwyczajnego wzroku ludzkiego, aby móc czytać w tych księgach. To zapewne wystarcza do czytania niektórych języków terażniejszych, ale w hebrajskim każda litera jest liczbą, każdy wyraz przemądrą kombinacją, każdy period straszliwą formułą, którą gdy kto potrafi wymówić z potrzebnym przydechem i akcentami, z łatwością może poruszać góry i osuszać rzeki.

Wicie dobrze, że Adonaj jednym słowem stworzył świat i następnie sam zamienił się w słowo. Słowo uderza umysł i powietrze, działa na zmysły i duszę zarazem. Chociaż nie zajmowaliście się tymi naukami, możecie jednak zrozumieć, że to słowo musi koniecznie pośredniczyć między materią a istotą duchową wszechrzeczy. Mogę wam tylko powiedzieć, że nie tylko z każdym dniem nabywaliśmy nowych wiadomości, ale nadto nowej potęgi, której jeżeli nie śmieliśmy jeszcze używać, przecież z dumą cieszyliśmy się, że według wewnętrznego naszego przekonania siła ta w nas tkwiła. Wkrótce jednak najsmutniejszy wypadek przerwał nasze rozkosze kabalistyczne.

Każdego dnia uważaliśmy z moją siostrą, że nasz ojciec Mamun upadał na siłach. Zdawał się być czystym duchem, który dlatego tylko przybrał ludzką postać, aby mógł być łatwiej dostrzeżony przez podksiężycowe istoty. Pewnego dnia nareszcie kazał nas zawołać do swojej pracowni. Postawa jego tak była boska i czcigodna, że mimowolnie padliśmy przed nim na kolana. Zostawił nas w tym położeniu i wskazując na klepsydrę rzekł:

— Zanim ten piasek się przesypie, już nie będę na tym świecie. Pamiętajcie wszystkie moje słowa. Synu mój, do ciebie naprzód się odzywam, przeznaczyłem ci niebiańskie małżonki: córki Salomona i królowej Saby. Po przyjściu ich na świat nikt nie sądził, aby kiedy mogły stać się nieśmiertelne, ale Salomon nauczył królową wymawiać imię Tego, który jest. Królowa wymawiała to imię w chwili połogu. Nadleciały geniusze wielkiego wschodu i przyjęły dwoje bliźniąt, zanim te dotknęły się nieczystego siedliska, które zowią ziemią; następnie uniosły je w sfery córek Elohima, gdzie udzielono im dar nieśmiertelności z mocą podzielenia go z tym, którego kiedyś dwie bliźnie siostry wybiorą za wspólnego małżonka. Te to są dwie małżonki niewypowiedzianych przymiotów, o jakich ojciec ich wspominał w swoim *Szir hasz-szirim*, czyli *Pieśni nad Pieśniami*. Zastanawiaj się nad tym epitalmium, zatrzymując się co dziewięć wersów. Dla ciebie, moja córko, przeznaczam daleko świetniejszy związek. Dwaj Thoaminowie, ci sami, których Grecy znali pod nazwiskiem Dioskurów, a Fenicjanie Kabirów, jednym słowem, Bliźnięta Zodiaku, będą twoimi małżonkami. Co mówię? Serce twoje jest zbyt czułe... lękam się, aby jaki śmiertelnik... Już brak piasku w klepsydrze... umieram.

Po tych słowach mój ojciec zemdlął i w jednej chwili w miejscu, na którym spoczywał, znaleźliśmy tylko garstkę lekkiego i świetlnego popiołu. Zebrałem te szacowne szczątki, złożyłem je w urnie i umieściłem w skrzyni dziesięciorga przykazań, tuż nad skrzydłami cherubinów.

Pojmujecie, że nadzieja nieśmiertelności i posiadania dwóch niebiańskich małżonek podwoiła we mnie zapal do nauk kabalistycznych, wszelako przez długie lata nie śmiałem wzbic się do nieograniczonej wysokości i poprzestałem na zawładnięciu przez moje

⁹⁹period — zdanie, okres w retoryce. [przypis edytorski]

zaklęcia kilku geniuszami osiemnastego stopnia. Jednakowoż z każdym rokiem nabierałem więcej śmiałości; przeszłego lata zacząłem pracować nad pierwszymi zwrotkami *Szir ha-szirim*. Zaledwie pierwszy wiersz rozłożyłem, gdy wtem przeraźliwy łoskot, jak gdyby cały mój zamek walił się z posad, obił się o moje uszy. Bynajmniej nie przeląknęłem się, owszem, byłem przekonany, że praca wybornie mi się udała. Przeszedłem do drugiego wiersza i gdy go ukończyłem, lampa z mego stołu zleciała na podłogę, podskoczyła kilka razy i legła przed wielkim zwierciadłem zawieszonym w głębi mego pokoju. Spojrzałem w zwierciadło i postrzegłem końce dwóch prześlicznych kobiecych nóżek. Wnet za tymi pokazały się i drugie. Pochlebiałem sobie, że te zachwycające nóżki należały zapewne do niebiańskich córek Salomona, ale nie śmiałem prowadzić dalej moich poszukiwań.

Następnego nocy znowu wziąłem się do pracy i ujrzałem dwie pary nóżek do kostek: dwadzieścia cztery godziny później już zaczynałem spostrzegać kolana, ale wtem słońce wyszło ze znaku Panny i musiałem zaprzestać.

Gdy słońce wkroczyło w znak Bliźniąt, moja siostra ze swojej strony przedsięwzięła podobne poszukiwania i ujrzała nie mniej zadziwiające zjawisko, ale nie myślę wam opowiadać tego, co nie ma żadnego związku z moją własną historią.

Tęgo roku już znowu chciałem rozpocząć przerwana pracę, gdy dowiedziałem się, że sławny adept miał właśnie przejeżdżać przez Kordobę. Sprzeczka, jaką miałem z tego powodu z moją siostrą, skłoniła mnie do odwiedzenia go. Spóźniłem się nieco z wyjazdem z domu i na wieczór zaledwie stanąłem w Venta Quemada. Znalazłem gospodę opuszczoną z powodu złych duchów, które ją zamieszkiwały, ponieważ jednak ja wcale się ich nie lękam, rozgościłem się w jadalnej izbie i rozkazałem małemu Nemraelowi, aby mi przyniósł wieczerzę. Nemrael, jest to mały geniusz ostatniego stopnia, którego używam do podobnych posyłek i on to właśnie przyniósł twój list z Puerto Lapiche. Poszedł do Andujar, gdzie nocował jakiś przeor benedyktynów, porwał mu bez ceremonii wieczerzę i przyniósł mi ją do gospody. Wieczerza składała się z pasztetu z kuropatw, który znalazłem jeszcze nazajutrz z rana; byłem jednak tak znużony, że zaledwie ją tknąłem, odesłałem więc Nemraela do mojej siostry i sam położyłem się spać.

Śród nocy, rozbudził mnie dźwięk zegara bijącego północ. Po tej przygrywce czekałem na ukazanie się jakiego ducha i przygotowałem się na odpędzenie go, gdyż w ogóle są to przykrzy i nieproszeni goście. Pozostając w tym zamiarze, nagle ujrzałem mocne światło na stole pośrodku pokoju, następnie wyskoczył mały błękitny rabin, który zaczął wybijać pokłony przed pulpitem, jak zwykli czynić rabini podczas modlitwy. Miał zaledwie stopę wysokości i nie tylko jego szaty były błękitne, ale nawet twarz, broda, pulpit i księga. Poznałem natychmiast, że nie był to duch, ale geniusz dwudziestego siódmego stopnia. Nie wiedziałem, jak się nazywa i wcale go dotąd nie znałem. Jednakże użyłem formuły, której powszechnie wszystkie duchy ulegają. Natenczas mały błękitny rabin zwrócił się do mnie i rzekł:

— Zaczęłeś całą twoją pracę na wskak i to jest przyczyna, dla której ujrzałeś naprzód nogi córek Salomona. Zaczynaj naprzód od ostatnich zwrotek i staraj się przede wszystkim odgadnąć imiona niebiańskich piękności.

To wyrzekłszy, mały rabin znikł bez żadnego śladu. To, co mi powiedział, było przeciwko wszystkim zasadom kabalistyki, wszelako byłem tak nieprzezorny, że posłuchałem jego zdania. Zacząłem składać ostatnią zwrotkę *Szir ha-szirim* i szukając nazwisk dwóch nieśmiertelnych, wynalazłem imiona: Emina i Zibelda. Mocno byłem zdziwiony, wszelako rozpocząłem zaklęcia. Wtedy ziemia straszliwie zadrżała pod moimi nogami, zdało mi się, że niebo pęka mi nad głową i padłem bez zmysłów.

Przyszedłszy do przytomności, ujrzałem się w miejscu połyskującym niezwykłym światłem i w objęciach kilku młodzieńców piękniejszych od aniołów, z których jeden rzekł do mnie:

— Synu Adama! Powróć do zmysłów, jesteś tu w mieszkaniu tych, którzy nie umierają. Rządzi nami patriarcha Henoch, który postępował przed Elohimem i porwany został z ziemi. Prorok Elias jest naszym arcykapłanem i wóz jego zawsze będzie na twoje rozkazy, skoro tylko zechcesz używać przejażdżki na tym planecie. My jesteśmy egregorami, czyli dziećmi splodzonymi z synów Elohima i córek człowieczych. Zobaczysz także mię-

dzy nami kilku nefilimów, wszelako w małej liczbie. Pójdź, przedstawimy cię naszemu władcy.

Udałem się za nimi i stanąłem u stóp tronu, na którym Henoh zasiadał; spojrzałem na patriarchę, ale żadnym sposobem nie mogłem znieść blasku jego oczu, moich zaś nie śmiałem podnieść wyżej jak na jego brodę, która była podobna do tego bladego światła, jakie otacza księżyc podczas wilgotnych nocy.

Obawiałem się, aby moje uszy były w stanie znieść dźwięk jego głosu, ale głos ten był słodszy nad harmonię boskich organów. Pomimo to jeszcze go złagodził, mówiąc do mnie:

— Synu Adama, natychmiast przywiodą ci twoje małżonki.

W tej samej chwili ujrzałem wchodzącego proroka Eliasza trzymającego za ręce dwie pięknosci, których wdzięków śmiertelni nigdy pojąć nie mogą.

Przez przejrzyste ich ciała można było widzieć dusze i dokładnie rozpoznać, jak ogień namiętności krążył im po żyłach i mieszał się z krwią. Za nimi dwóch nefelimów niosło trójnog z kruszcu tyle kosztowniejszego od złota, ile dla nas ono droższe jest od ołowiu. Córki Salomona podały mi ręce i zawiesiły na szyi plecionkę utkaną z ich włosów. W tej samej chwili żywy i czysty płomień wybuchnął z trójnoga i pożarło to wszystko, co miałem w sobie śmiertelnego. Zaprowadzono nas do małżeńskiej komnaty, połyskującej chwałą i rozpromienionej miłością, otworzono ogromne okno, które wychodziło na trzecie niebo, i wnet zabrzmiały boskie śpiewy aniołów. Rozkosz ogarnęła mi zmysły...

Ale cóż wam mogę jeszcze powiedzieć? Nazajutrz z rana obudziłem się pod szubienicą Los Hermanos między dwoma trupami, podobnie jak ten oto młody podróżny. Z tego wniosłem, że miałem do czynienia z niesłuchanie złośliwymi duchami, których istoty nie znam dobrze, lękam się nawet, aby ta przygoda nie zaszkodziła mi u prawdziwych córek Salomona, których tylko nóżki widziałem.

— Nieszczęśliwy, zaślepiencie — rzekł pustelnik — i czegoż to żałujesz?... Wszystko jest tylko złudzeniem w twojej przeklętej nauce. Duchy ciemności, które tylko naigrawały się z ciebie, zadały daleko straszniejsze męczarnie biednemu Paszeko. Bez wątplenia takież sam los oczekuje tego młodego wojskowego, który przez zgubną zatwardziałość nie chce wyznać win swoich. Alfonsie, synu mój, Alfonsie! Żałuj za grzechy, jeszcze masz czas na to.

Zniecierpliwił mnie ten upór pustelnika w żądaniu ode mnie wyznań, których nie chciałem mu udzielić. Zimno mu odpowiedziałem, że wielce szanuję jego święte przestrogi, ale że uczucie własnego honoru było główną zasadą mego postępowania, po czym zaczęliśmy mówić o czym innym.

— Panie Alfonsie — rzekł kabalista — ponieważ inkwizycja cię ściga, a król rozkazuje ci trzy miesiące przepędzić na tej pustyni, ofiaruję ci mój zamek, poznasz moją siostrę Rebeke, która równie jest piękna jak uczona. Tak jest, pójdź ze mną; pochodzisz z Gomelezów, a krew ta niejedno ma prawo do naszego współczucia.

Spojrzałem na pustelnika, aby odgadnąć z jego oczu, co myśli o tym zamiarze. Zdało się, że kabalista przeniknął moje zamiary, gdyż zwróciwszy się do pustelnika, rzekł:

— Mój ojciec, znam cię lepiej, aniżeli się tego domyślasz. Wiara nadaje ci wielką potęgę; moje środki, chociaż nie tak święte, jednakowoż nie są diabelskie. Racz także przyjąć u mnie gościnność wraz z Paszekiem, którego, bądź tego pewny, zupełnie wyleczę.

Pustelnik, zanim odpowiedział, zaczął się modlić, po chwili namysłu zbliżył się do nas z wesołą twarzą i rzekł, że gotów jest nam towarzyszyć. Kabalista pochylał głowę na prawe ramię i kazał przyprowadzić konie. Wnet ujrzelśmy parę pięknych koni przed drzwiami pustelni i dwa muły dla pustelnika i opętanego. Chociaż zamek oddalony był o dzień drogi, jak nam powiedział Ben Mamun, przecież w przeciągu godziny stanęliśmy u kresu podróży.

Przez cały czas Ben Mamun opowiadał mi o swojej siostrze, tak że spodziewałem się ujrzeć jakąś Medeę z czarnym włosom, z laską czarodziejską w ręce, mrużącą niezrozumiale kabalistyczne wyrazy. Zawiodłem się w moich oczekiwaniach. Zachwycająca Rebeka, która nas przyjęła u bramy zamkowej, była najrozkoszniejszą blondynką, ja-

ką można sobie wyobrazić. Śnieżysta suknia, spięta zapinkami nieocenionej wartości, spływała po jej uroczej kibici. Zdawało się z powierzchowności, że mało dbała o strój, wszelako w przeciwnym nawet razie nie mogłaby powabniej podnieść uroku czarownych wdzięków.

Rebeka rzuciła się bratu na szyję, mówiąc:

— Jakże byłam niespokojna o ciebie, zwłaszcza pierwszej nocy, żadnym sposobem nie mogłam dowiedzieć się, co się z tobą stało. Cóż przez ten czas porabiałeś?

— Później ci opowiem — odrzekł Ben Mamun — teraz staraj się dobrze przyjąć gości, których ci przyprowadzam. Oto jest pustelnik z doliny, ten młodzieniec zaś pochodzi z rodziny Gomelezów.

Rebeka spojrzała obojętnie na pustelnika, ale rzuciwszy wzrok na mnie, splonęła lek-
kim rumieńcem i rzekła ze smutkiem:

— Spodziewam się, że na szczęście pan do nas nie należysz.

Weszliśmy do zamku i wnet podniesiono za nami most zwodzony. Zamek był obszerny i utrzymywany w największym porządku, chociaż służba składała się tylko z jednego młodego Mulata i Mulatki w tym samym wieku. Ben Mamun zaprowadził nas naprzód do swojej biblioteki; była to mała, sklepiona komnata służąca zarazem za pokój jadalny. Mulat rozesał obrus, przyniósł olla podridę i cztery nakrycia. Rebeka bowiem nie siadła z nami do stołu. Pustelnik jadł więcej niż zazwyczaj i zdawał się być wyrozumiały. Paszeko, choć nadal ślepy na jedno oko, uspokoił się w swym opętaniu, nie rozchmurzył jednak oblicza i siedział w milczeniu. Ben Mamun smacznie zajadał, ale ciągle był roztargniony i wyznał nam, że wczorajsza przygoda bezustannie krążyła mu po głowie; gdy wstaliśmy od stołu, rzekł:

— Oto są książki dla waszej zabawy, mój Mulat jest na wasze rozkazy, tymczasem pozwólcie mi oddalić się, mam pewne ważne zatrudnienia z moją siostrą. Zobaczymy się jutro w godzinie obiadowej.

Ben Mamun odszedł i zostawił nas, że tak rzekę, panami całego zamku. Pustelnik wziął z biblioteki legendę o pierwszych ojcach żyjących samotnie na pustyni i rozkazał Paszekowi, aby mu przeczytał kilka rozdziałów. Ja wyszedłem na taras zamkowy zwieszający się nad przepaścią, w głębi której niewidzialny potok huczał z łoskotem. Jakkolwiek okolica wydała mi się smutna, z niesłychanym jednak zadowoleniem zapatrywałem się na nią lub raczej oddawałem się wrażeniom niezwyklego widoku. Nie tyle tęsknota mnie ogarnęła, ile raczej wszystkie władze mego umysłu uległy odrętwieniu spowodowanemu przez okropne wzruszenia, jakich w ciągu tych kilku dni doznałem. Im bardziej zastanawiałem się nad doświadczonymi przygodami, tym mniej je rozumiałem, nareszcie nie śmiałem już o nich myśleć z obawy, abym całkiem nie postradał rozumu. Nadzieja spędzenia kilku spokojnych dni w zamku Uzeda ukołysała nieco moją znękaną duszę. Tak rozmyślając, powróciłem do biblioteki. Przy schyłku dnia Mulat zastawił nam wieczerzę złożoną z zimnego mięsiwa i suchych owoców, nie było jednak mięsa zwierząt nieczystych. Następnie rozłączyliśmy się: zaprowadzono pustelnika i Paszeka do jednego, mnie zaś do drugiego pokoju.

Położyłem się i zasnąłem; wkrótce jednak piękna Rebeka obudziła mnie mówiąc:

— Panie Alfonsie, wybacz, że považam się sen ci przerywać. Wracam od mego brata, z którym czyniliśmy najstraszliwsze zaklęcia, aby poznać istotę duchów, które go napastowały w Venta Quemada, ale usiłowania nasze pozostały bez skutku. Mniemamy, że stał się igraszką baalimów, nad którymi nie posiadamy żadnej władzy. Jednakże kraina Henocha jest rzeczywiście taka, jak ją widział. Wszystko to jest dla nas niesłychanie ważne i zaklinam cię, abys nam opowiedział własne twoje przygody.

To mówiąc, Rebeka usiadła obok mnie, ale zdawała się być jedynie zajęta wyjaśnieniem tajemnicy, którego żądała ode mnie. Wszelako wytrwałem w milczeniu i poprzestałem na oświadczeniu, że poprzysiągłem na honor nie wspominać przed nikim o tym, co widziałem.

— Jak możesz jednak mniemać, panie Alfonsie — mówiła dalej Rebeka — ażeby słowo honoru dane dwóm szatanom, było obowiązujące? Dowiedzieliśmy się już, że są to dwa złe duchy niewieście, z których jeden zwie się Eminą drugi zaś Zibeldą, wszelako nie możemy dotąd przeniknąć istoty tych szatanów, gdyż w naszej nauce, jak we wszystkich innych, nie można wszystkiego wiedzieć.

Dałem znowu odmowną odpowiedź i prosiłem piękną dziewczynę, aby mi więcej o tym nie wspominała. Natenczas spojrzała na mnie z wyrazem nieopisanej łagodności i rzekła:

— Jakże szczęśliwym jesteś, że możesz trzymać się zasad cnoty które kierują wszystkimi twoimi czynkami! Jakiej spokojności sumienia możesz kosztować! Jakże nasz los różny jest od twojego!... Chcieliśmy ujrzeć rzeczy niedostrzegalne dla śmiertelnego wzroku i zrozumieć to, czego umysł ludzki nie jest w stanie pojąć. Ja nie byłam stworzona do tych nadziemskich umiejętności; cóż mi przyjdzie po marnym panowaniu nad ziemi duchami? Wołałabym stokroć panować nad sercem przywiązanego małżonka, ale mój ojciec tak chciał i muszę ulec memu przyrzeczeniu.

Przy tych słowach Rebeka dobyteła chustkę i otarła łzy perłami spadające po jej pięknym obliczu, po czym dodała:

— Panie Alfonsie, pozwól mi wrócić jutro o tej samej godzinie i jeszcze starać się przewyciężyć twój upór, czyli jak sam nazywasz, niezłomne przywiązanie do twego słowa. Wkrótce słońce przejdzie w znak Panny, wtedy nie będzie już czasu i spełni się przeznaczenie.

Żegnając się, Rebeka ścisnęła mi rękę z wyrazem przyjaźni i zdawała się z przykrością wracać do swoich kabalistycznych zatrudnień.

DZIEŃ DZIESIĄTY

Obudziłem się wcześniej niż zazwyczaj i wyszedłem na taras, aby odetchnąć świeżym powietrzem, zanim słońce go rozpali. Spokój panował dokoła, potok nawet zdawał się huczeć z mniejszym łoskotem i pozwalał słyszeć harmonijne śpiewy ptasząt. Pogoda żywiołów odbiła się w mej duszy i mogłem zimno zastanowić się nad tym wszystkim, co mi się wydarzyło od czasu mego wyjazdu z Kadyksu. Teraz dopiero przypominałem sobie kilka wyrazów, które przypadkiem wymknęły się don Emmanuelowi de Sa, gubernatorowi miasta, i osądziłem, że on także musiał coś wiedzieć o tajemniczym bycie Gomelezów, a nawet mieć udział w części całej tajemnicy. Gubernator sam nastęrczył mi dwóch służących, Lopeza i Moskita, przypuszczam więc, że ci z jego rozkazu opuścili mnie u wejścia do nieszczęsnej doliny Los Hermanos. Moje kuzynki często dawały mi do zrozumienia, że chciano wystawić mnie na próby. Myślałem, że w Venta Quemada dano mi usypiający napój i następnie podczas snu przeniesiono pod szubienicę. Paszeko mógł oślepnąć na jedno oko z wcale innego przypadku, a jego miłosne stosunki i straszna przygoda z dwoma wisielcami mogły być bajką. Pustelnik, który za pomocą spowiedzi chciał wyrwać mi tajemnicę, zdawał mi się być narzędziem Gomelezów dla doświadczenia mojej stałości.

Nareszcie zaczynałem jaśniej przezierać w całym tumanie moich przygód i wykladać je bez przypuszczania uczestnictwa nadludzkich istot, gdy wtę usłyszałem dźwięki wesołej muzyki z dala okrążające górę. Muzyka coraz się przybliżała i spostrzegłem nadchodzącą bandę Cyganów, która w takt postępowała, z towarzyszeniem gitar i kaskarras¹⁰⁰. Rozłożyli się obozem tuż pod tarasem, tak że dokładnie mogłem podziwiać wykwintność ich ubiorów i taborów. Myślałem, że to byli ci sami Cyganie złodzieje, pod których opiekę schronił się oberżysta z Cardagnas, jak mi to powiedział pustelnik; ale wydali mi się cokolwiek zanadto wyświeżeni jak na łotrów. Podczas gdy się im przypatrywałem, rozbijali namioty, stawiali kociołki na ogniu i zawieszali kołyski z dziećmi na gałęziach pobliskich drzew. Po ukończeniu wszystkich tych przygotowań, oddali się przyjemnościom koczowniczego życia, wśród których na pierwszym miejscu kładą próżniactwo.

Namiot naczelnika nie tylko odróżniał się od innych wielką buławą ze srebrną gałką, zatknietą przy wejściu, ale nadto ozdobniejszą powierzchnością i bogatymi oponami, jakich zwykle nie widuje się u pospolitych Cyganów. Ale jakież było moje zadziwienie, gdy z otwierającego się namiotu nagle ujrzałem wychodzące obie moje kuzynki w tym powabnym stroju, jaki w Hiszpanii nazywają: *a la gitana maja*. Zbliżyły się aż do stóp tarasu, ale zdawały się wcale mnie nie spostrzegać. Następnie przywołały towarzyszek i zaczęły wykonywać ulubiony taniec hiszpański do słów:

„Quando me Paco me azze,,

¹⁰⁰gitar i kaskarras — w innym tłum.: son-ahas i cas-carras, tj. bębenków i dzwonek. [przypis edytorski]

*Las palmas para vaylar,
Me se puene el corpecito
Como hecho de marzapán¹⁰¹...” etc.*

Jeżeli piękna Emina i luba Zibelda zawróciły mi głowę ubrane po mauretańsku, nie mniej zachwyciły mnie w tym nowym stroju. Znalazłem tylko, że tym razem przybrały złośliwy i szyderczy uśmiech, który aczkolwiek dość był stosowny dla cygańskich wróżek, jednak zapowiadał, że dziewczęta chcą mi wyrządzić nową psotę, ukazując się pod tą nową i niespodziewaną postacią.

Zamek kabalisty był zewsząd pozamykany, gospodarz miał klucze u siebie, nie mogłem więc zejść do Cyganów. Przechodząc jednak podziemiem, które wychodziło na łożysko potoku, mogłem bliżej je widzieć, a nawet rozmawiać z nimi, nie będąc wcale dostrzeżony przez mieszkańców zamku. Udałem się więc tym tajemnym przejściem i niebawem tylko potok rozdzielał mnie od tancerek. Ale to wcale nie były moje kuzynki. Postacie ich wydały mi się nawet bardzo pospolite i zupełnie stosowne do ich stanu.

Zawstydzony moją pomyłką, wolnym krokiem wróciłem na taras. Wtedy znowu spojrzalem i znowu jak najwyraźniej poznałem moje kuzynki. Zdało mi się, że one także mnie poznały, gdyż wybuchnęły głośnym śmiechem i uciekły do namiotów.

Byłem oburzony. „Przebóg! — rzekłem sam do siebie — może to być, aby dwa tak miłe i rozkoszne stworzenia były złośliwymi duchami, nawykłymi drwić ze śmiertelnych, przybierając kształty wszelkiego rodzaju, albo czarownicami, lub też, co byłoby najstraszliwsze, upiorami, którym niebo dozwoliło ożywiać ohydne trupy wisielców z doliny Los Hermanos” Wprawdzie mniemałem, że zdołam sobie te rzeczy zwykłym sposobem wytłumaczyć, ale teraz sam już nie wiem, czemu mam wierzyć”.

Zagłębiając się w podobnych uwagach zwróciłem do biblioteki, gdzie znalazłem na stole wielką księgę pisaną gockimi literami, pod tytułem: *Ciekawe opowiadania Hapeliusa*. Księga była rozłożona i stronica jakby naumyślnie zagięta na początku rozdziału, w którym wyczytałem, co następuje.

Historia Tybalda de La Jacquièrè

Żył raz w pewnym mieście francuskim położonym nad brzegami Rodanu i nazwanym Lyon, bogaty kupiec nazwiskiem Jakub de la Jacquièrè; Jakub wtedy przybrał to drugie nazwisko, gdy porzucił handel i obrany został pierwszym radcą, którą to godność lyończycy udzielają tylko ludziom majątnym i nieposzlakowanej uczciwości. Taki był w istocie zacny radca de La Jacquièrè. Miłosierny dla ubogich i dobroczynny dla mnichów i księży, którzy są prawdziwymi ubogimi przed Panem.

Ale zupełnie odmienny od ojca był jedyny syn radcy, imię Tybald de La Jacquièrè, towarzysz w muszkietierach królewskich. Szalapat, zawadiaka, napastnik dziewcząt, koster, nieprzyjaciel szyb i latarni, pijak i przeklinacz za dziesięciu marynarzy. Często w nocy zdarzało mu się zatrzymywać na ulicy spokojnych mieszczan, aby zamienić z nimi swój stary płaszcz lub zużyty kapelusz na nową odzież. Niebawem imię Tybald napelnił odgłosem swoich sprawek Paryż, Blois, Fontainebleau i inne rezydencje królewskie. Wkrótce wreszcie te doszły uszu naszego Najjaśniejszego Pana, świętej pamięci Franciszka I. Zniecierpliwiony wybrykami zuchwałego żołdaka, wysłał go do Lyonu na pokutę do domu jego ojca, zacnego radcy de la Jacquièrè, który naówczas mieszkał na placu Bellecour, na rogu ulicy St. Ramond.

W domu ojcowskim przyjęto młodego Tybalda z taką radością, jak gdyby powracał z Rzymu obdarowany wszystkimi odpustami Ojca świętego. Nie tylko, że zabito tłuste cielę na jego przybycie, ale nadto radca de la Jacquièrè wyprawił ucztę, która kosztowała więcej sztuk złota, niż było biesiadników. Więcej nawet uczyniono. Wzniesiono toasty za zdrowie jedynaka i każdy życzył mu roztropności i upamiętania. Ale te przyjazne oświadczenia bynajmniej nie przypadły mu do smaku. Rozpustnik wziął ze stołu złotą czarę i napelniwszy ją winem, zawołał:

— Do milion kroć sto tysięcy diabłów, wraz z ich naczelnikiem, któremu w tym winie zapisuję krew i duszę, jeżeli się kiedykolwiek odmieni!

¹⁰¹ *Quando me Paco me azze (...) hecho de marzipan* (hiszp.) — Kiedy Paco bierze mnie za rękę w tańcu, moje ciało staje się miękkie jak marcepan. [przypis edytorski]

Na te straszliwe słowa włosy najeżyły się na głowach biesiadników, niektórzy przeżegnali się, inni powstali od stołu. Imć pan Tybald wstał także i udał się na przechadzkę na plac Bellecour, gdzie znalazł dwóch swoich dawnych kolegów, podobnych sobie hultajów. Uściskał ich, przyprowadził do domu i kazał przynieść im kilka flaszek wina, nie troszcząc się wcale ani o ojca, ani o resztę biesiadników.

Tak sprawił się Tybald pierwszego dnia po powrocie, nazajutrz powtórzył to samo i ciągle dalej żył tym samym sposobem.

Biedny ojciec, trawiony smutkiem, postanowił polecić się patronowi, świętemu Jakubowi, i złożyć na jego ołtarzu dziesięciofuntową świecę woskową, ozdobioną dwoma złotymi pierścieniami, każdy za pięć marek; ale właśnie gdy chciał położyć świecę na ołtarzu, przewrócił srebrną lampę, która paliła się przed świętym obrazem. Radca, dla innego powodu kazał był¹⁰² ułać tę świecę, ale mając przed oczami przede wszystkim nawrócenie syna, z radością wypełnił to poświęcenie; skoro jednak ujrzał świecę na ziemi i lampę przewróconą, wyciągnął z tego nieszczęsną przepowiednię i ze smutkiem powrócił do domu.

Tego samego dnia Tybald wyprawił ucztę dla swoich przyjaciół. Po wypróżnieniu mnóstwa butelek, gdy noc już od dawna była zapadła, wyszli wszyscy razem na plac Bellecour. Tam wszyscy trzej wzięli się pod ręce i zaczęli z zadartymi głowami przechadzać się po placu, jak to zwykli czynić rozpustnicy, kiedy chcą zwrócić uwagę dziewcząt. Tym razem jednak nic nie wskórali, nie było żadnej kobiety na placu, a noc była tak czarna, że niepodobna było zoczyć¹⁰³ którą w oknie. Gdy tak znudzili się już tą samotnością, młody Tybald, dobywszy grubego głosu i klnąc według zwyczaju, zawołał:

— Do milion kroć sto tysięcy diabłów wraz z ich naczelnikiem, któremu w tej chwili zapisuję krew i duszę, jeżeli przyśle mi tu swoją najmłodszą córkę, abym się mógł trocha do niej poumizgać.

Mowa ta nie podobała się dwóm przyjaciołom Tybalda, którzy nie byli jeszcze tak zatwardziałymi grzesznikami i jeden z nich rzekł:

— Przyjacielu nasz, pomyśl, że szatan jest wiecznym wrogiem człowieka i że aby mu chętnie zaszkodził, nie potrzeba ani żeby go zapraszano, ani wzywano po nazwisku.

Na co Tybald odrzekł:

— Jakom powiedział, tak uczynię.

Tymczasem trzej hultaje ujrzeli wychodzącą z sąsiedniej ulicy zakrytą kobietę udatnej kibici i, jak się zdawało, pierwszej młodości. Za nią biegł mały Murzynek, ale nagle potknął się, padł na twarz i stłukł latarnię, którą niósł w ręku. Młoda nieznajoma przelękną się i obróciła dokoła, jakby nie wiedząc, co z sobą począć... Natenczas Tybald zbliżył się i jak mógł najgrzeczniej ofiarował ramię, aby ją odprowadzić do domu. Biedna dziewczyna po chwili namysłu przyjęła tę ofiarę. Tybald, zwracając się do przyjaciół, rzekł im półgłosem:

— Widzicie więc, że ten, kogo wzywałem, niedługo kazał na siebie czekać. Do widzenia, życzę wam spokojnej nocy.

Dwaj przyjaciele zrozumieli te słowa i opuścili go, śmiejąc się i żegnając go podobnymi życzeniami.

Tybald więc ofiarował rękę nieznajomej, podczas gdy mały Murzynek, któremu latarnia była zagasła, postępował przed nimi. Młoda kobieta zdawała się z początku tak zmieszana, że zaledwie mogła utrzymać się na nogach, ale niebawem przyszła do siebie i śmieiej wsparła się na ramieniu towarzysza, kilka razy potykała się, wtedy ścisła go za rękę, aby nie upaść; Tybald z swojej strony, pragnąc ją zatrzymać, przyciskał jej rękę do serca, zawsze jednak z wielką ostrożnością, ażeby nie spłoszyć zwierzyni.

Tak długo i długo szli razem, że nareszcie Tybald mniemał, że zabłąkali się w ulicach Lyonu. Nie użalał się jednak, gdyż sądził, że tym sposobem piękna zabłąkana będzie dlań mniej okrutna. Wszelako chcąc się naprzód dowiedzieć, z kim ma do czynienia, prosił ją, aby raczyła wypocząć przez chwilę na kamiennej ławce, którą spostrzegli przed drzwiami jakiegoś domu. Nieznajoma zgodziła się i usiedli obok siebie. Natenczas Tybald grzecznie ujął ją za rękę i z niezwykłym dowcipem tak się odezwał:

¹⁰²kazał był ułać — daw. konstrukcja czasu zaprzeczonego; znaczenie: kazał ułać wcześniej, kiedyś kazał ułać. [przypis edytorski]

¹⁰³zoczyć (daw.) — zobaczyć, dostrzec. [przypis edytorski]

— Piękna gwiazdo błędna, ponieważ moja gwiazda zrzuciła, że cię spotkałem tej nocy, uczyni mi tę łaskę i powiedz mi, kto jesteś i gdzie mieszkasz.

Młoda kobieta zrazu wahała się, po chwili jednak nabrała odwagi i zaczęła w te słowa:

Historia powabnego dziewczęcia z zamku Sombre Roche

Nazywam się Orlandyna, przynajmniej tak mnie nazywało kilka osób, które zamieszkiwały ze mną zamek Sombre-Roche w Pirenejach. Nie widziałam tam żadnego ludzkiego stworzenia, prócz mojej ochmistrzyni, która była głucha, służącej, która tak mocno jąkała się, że można było uważać ją za niemą i starego, ślepego odźwiernego.

Odźwierny niewiele miał do czynienia, gdyż raz tylko na rok otwierał bramę i to jednemu wyłącznie jegomości, który przychodził do nas, aby pogłaskać mnie pod brodę i rozmawiać z moją ochmistrzynią w narzeczu biskajskim, którego ja wcale nie rozumiem. Na szczęście umiałam już mówić, gdy zamknięto mnie w zamku de Sombre Roche, inaczej nigdy nie byłabym się nauczyła z dwoma towarzyszkami mego więzienia. Co się tyczy naszego odźwiernego, widziałam go tylko, kiedy podawał nam obiad przez jedyne nasze kratowane okno. Wprawdzie moja głucha ochmistrzyni niekiedy krzyczała mi nad uszami jakieś nauki moralne, ale tyle je rozumiałam, jak gdybym była równie głucha jak ona, gdyż mówiła mi o powinnościach małżeńskich, nie tłumacząc nigdy, co to jest małżeństwo. Prawiła mi nieraz i o innych rzeczach, ale nigdy nie chciała mi dać żadnego wyjaśnienia. Często też jąkliwa służąca usiłowała opowiedzieć mi jaką historię, o której zabawności mnie zapewniała, ale nie mogąc nigdy dojść do drugiego zdania, nareszcie zaprzestała i początku, i odchodziła, jąkając wymówki, które równie trudno jej szły jak cała historia.

Powiedziałam ci, że miałyśmy jedno tylko okno, czyli że jedno tylko wychodziło na podwórzec zamkowy, inne otwierały się na drugie podwórze, zasadzone kilku drzewami przedstawiającymi ogród i którego jedyne wyjście prowadziło do mego pokoju. Pielęgnowałam tam niektóre kwiaty i to było całą moją zabawą. Mylę się, miałam jeszcze jedną, równie niewinną zabawę. Było to wielkie zwierciadło, w którym przeglądałam się każdego poranka, a nawet jak tylko wstawałam z łóżka. Moja ochmistrzyni również w lekkim ubraniu przychodziła przeglądać się i bawiłam się porównaniem jej postaci z moją. Oddawałam się także tej rozrywce przed pójściem na spoczynek, gdy moja ochmistrzyni głęboko już spała. Czasami wyobrażałam sobie, że widzę w zwierciadle towarzyszkę mego wieku, która odpowiadała na moje poruszenia i dzieliła moje uczucia. Im więcej oddawałam się złudzeniu, tym bardziej ta igraszka mnie bawiła.

Mówiłam ci już o pewnym jegomości, który raz na rok przybywał do zamku, głaskał mnie pod brodę i rozmawiał w narzeczu biskajskim z moją ochmistrzynią. Pewnego dnia ten jegomość, zamiast wziąć mnie pod brodę, wziął za rękę i zaprowadził do karety z okiennicami, w której zamknął mnie z moją ochmistrzynią. Śmiało mogę rzec, że zamknął nas, gdyż światło dochodziło tylko z góry.

Wyszliśmy z niej trzeciego dnia, albo raczej trzeciej nocy, już bowiem było dobrze późno, gdy stanęliśmy u celu naszej podróży. Jakiś nieznajomy otworzył drzwiczki od karety i rzekł:

— Oto jesteście na placu Bellecour, przy wejściu na ulicę St. Ramond, ten zaś dom na rogu należy do radcy de La Jacquière, gdzież teraz chcecie, aby was zawieziono?

— Każ zajechać w pierwszą bramę za domem radcy — odpowiedziała moja ochmistrzyni.

Tu Tybald natężył całą uwagę, gdyż w istocie sąsiedował z pewnym szlachcicem, nazwanym panem de Sambre Roche, który uchodził za niesłychanie zazdrosnego i kilkakrotnie chepił się przed nim, że mu pokaże, jakim sposobem można mieć wierną żonę, i mówił, że wychowuje w zamku swoim powabne dziewczę, które poślubi, by potwierdzić prawdę swego zdania. Ale młody Tybald wcale nie wiedział, że dziewczę znajdowało się w tej chwili w Lyonie i mocno cieszył się, że je do swoich rąk dostał. Tymczasem Orlandyna tak dalej mówiła:

Zajechaliśmy więc do bramy, skąd zaprowadzono nas do obszernych i bogatych komnat, stamtąd zaś kręconymi schodami do wieży, z której zdawało mi się, że można by widzieć przy dniu całe miasto; ale myliłam się, w dzień nawet niepodobna było nic dostrzec, gdyż gęste, zielone sukno zasłaniało okna. Natomiast wieża oświetlona była złoco-

nym kryształowym pajakiem. Ochmistrzyńni moja posadziła mnie na krześle i dała swój różaniec do zabawy, sama zaś wyszła i zarygłowała drzwi za sobą.

Gdy zostałam sama, porzuciłam różaniec, wzięłam nożyczki, które miałam u pasa i rozciąłam zielone sukno zasłaniające mi okno. Wtedy ujrzałam obok drugie okno, a przez to okno — rześisto oświeconą komnatę, w której siedziało u stołu dwoje młodych dziewcząt i trzech młodych ludzi, piękniejszych, niż można sobie wyobrazić. Śpiewali, pili, śmieli się i umizgali do dziewcząt, czasami nawet głaskali je pod brody, ale z cale odmiennym wyrazem twarzy niż pan de Sombre Roche, który jednak po to tylko przyjeżdżał do naszego zamku. Nadto młodzi ludzie¹⁰⁴ spoglądali na swoje towarzyszyki szczególniejszym wzrokiem, dziewczęta zaś uśmiechały się do nich podobnie jak ja niegdyś do siebie samej przed zwierciadłem.

Na te słowa Tybald poznał, że chodziło o wieczerzę, którą wczoraj wyprawił był swoim przyjaciółom, objął więc ręką wysmukłą kibić Orlandyny i przycisnął ją do serca.

— Tak samo czynili ci młodzi ludzie — mówiła dalej Orlandyna — w istocie, zdaje mi się, że musieli się nadzwyczajnie kochać. Nareszcie jeden z biesiadników napenił swoją czarę winem, przytknął ją do ust swojej sąsiadki, następnie wychylił duszkiem i pocałował jedną z dziewczyn w same usta. Ciekawość moja coraz wzrastała, gdy nagle drzwi otworzyły się; poskoczyłam szybko do mego różańca, ochmistrzyńni bowiem wchodziła.

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do karety, która nie była już tak zamknięta jak wczorajsza i gdyby noc nie była tak ciemna, byłabym mogła dokładnie widzieć cały Lyon, ale tak uważałam tylko, że jesteśmy gdzieś bardzo daleko i wkrótce minęliśmy mury miasta. Zatrzymaliśmy się przy ostatnim domu przedmieścia. Na pozór była to zwyczajna chata, strzechą nawet pokryta; ale wewnątrz jej całkiem było odmienne, jak się pan sam o tym przekonasz, jeżeli mały Murzynek nie zapomniał drogi, widzę bowiem, że dostał światła i zapalił latarnię.

Na tym Orlandyna skończyła swoją historię. Tybald pocałował ją w rękę i rzekł:

— Racz, piękna zabląkana, powiedz mi: czy sama mieszkasz w tej chatce?

— Zupełnie sama — odrzekła nieznaną — z ochmistrzyńnią tylko i tym małym Murzynkiem. Ale nie sądzę, żeby pierwsza mogła dziś wrócić do domu. Pan, który przyjeżdżał głaskać mnie pod brodę, kazał mi przyjść z nią do swojej siostry, ale nie mógł przysłać karety, posłał ją bowiem po księdza. Poszliśmy więc piechotą. Ktoś zatrzymał nas na ulicy, aby nam powiedzieć, że jestem piękna. Głucha ochmistrzyńni sądziła, że dopuścił się grubiaństwa i zaczęła mu odpowiadać. Nadeszło wielu ludzi i wmieszało się do sprzeczki. Przelęknęłam się i jęłam uciekać co siły, Murzynek pobiegł za mną, upadł i stłukł latarnię; sama nie wiedziałam co począć, gdy na szczęście spotkałam pana.

Tybald, zachwycony prostotą tego opowiadania, brał się znowu do umizgów, gdy wtem Murzynek przyniósł zapaloną latarnię, której światło padło na twarz Tybalda.

— Co widzę — krzyknęła Orlandyna — ten sam, który pocałował tę piękną dziewczynę!

— Najniższy sługa — odparł Tybald — wszelako możesz być pewna, moja luba, że pomimo tego samowładnie zapanujesz w mym sercu.

— Jak to?... Zdawaleś się przecież tak kochać te trzy dziewczęta — przerwała Orlandyna.

— O jeden dowód więcej, że żadnej nie kochałem — rzekł Tybald.

¹⁰⁴Nadto młodzi ludzie (...) przed zwierciadłem — tu w innym oprac. tego tłumaczenia nieco odmienny tekst, zmieniający wymowę fragmentu: „Wtedy ujrzałam obok drugie okno, a przez to okno — rześisto oświeconą komnatę, w której siedziało u stołu trzy młode dziewczęta i trzech młodych ludzi, piękniejszych, niż można sobie wyobrazić. Śpiewali, pili, śmieli się i umizgali do dziewcząt, czasem nawet głaskali je pod brodę, ale z cale odmiennym wyrazem twarzy niż ów jegomość w Sombre Roche, który jednak po to tylko przyjeżdżał do naszego zamku. Nadto dziewczęta te i owi młodzi ludzie zaczęli po trochu zrzucać odzienie, podobnie jak ja to zwykłam czynić wieczorami przed zwierciadłem. W istocie, robili to tak jak ja, a nie tak jak moja stara ochmistrzyńni”. [przypis edytorski]

I tak ona mu szczebiotała, i tak on do niej się przymilał, że sami nie wiedząc kiedy, zaszli na koniec przedmieścia do opuszczonej chatki, której drzwi Murzynek otworzył kluczem wiszącym mu u pasa. Koberce flamandzkie tkane w różne wzory i przedstawienia osób zdających się oddychać, pokrywały ściany. U sufitu wisiały pająki z gałęziami ze szczerzego srebra. Wygodne krzesła z genueńskiego aksamitu, ozdobione złotymi frędzlami, hebanem i słoniową kością, stały obok sprężystych sof powleczonych morą wenecką. Tybald na to wszystko jednak nie zważał, widział tylko Orlandynę i oczekiwał rozwiązania dziwnej przygody.

Tymczasem Murzynek przyszedł nakryć do stołu i Tybald wtedy dopiero spostrzegł, że nie było to dziecko, jak zrazu sądził, ale stary, czarny karzeł obrzydliwej postaci. Wszelako mały człeczek przyniósł rzeczy, które wcale nie były brzydkie. Naprzód wielki złożony półmisek, na którym kurzyły się cztery kuropatwy, smakowite i wybornie przyrządzone. pod pachą zaś niósł fiaskę alikantu. Zaledwie Tybald podjadł i napił się, wnet uczuł, jak gdyby ogień krążył mu po żyłach. Co do Orlandyny, ta mało jadła, ale ciągle spoglądała na swego współbiednika, raz rzucając mu czule i niewinne wejrzenia, to znowu wpatrując się weń tak złośliwymi oczyma, że młodzieniec mieszał się wyraźnie.

Na koniec Murzynek przyszedł sprzątnąć ze stołu, wtedy Orlandyna wzięła Tybalda za rękę i rzekła:

— Na czymże, mój luby, spędzimy ten wieczór?

Tybald nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

— Przychodzi mi pewna myśl — mówiła dalej. — Widzisz to wielkie zwierciadło? Chodźmy stroić w nim miny, jak to niegdyś czyniłam w zamku Sombre Roche¹⁰⁵.

Orlandyna przysunęła krzesło, posadziła Tybalda i zaczęła doń uśmiechać się w zwierciadle. Następnie gładziła mu czoło, bawiła z pierścieniami jego włosów, wreszcie zarzuciła mu śnieżne ramiona na szyję i przytuliła do piersi. Tybald odchodził od zmysłów, zaćmiło mu się w oczach, krew biła w nim gwałtownie, upojony nieopisaną rozkoszą, objął kibić zachwycającej istoty; ale w tej chwili doznał uczucia, jak gdyby kto szpony zapuszczał mu w szyję.

— Orlandyno! — zawołał — Orlandyno, co to ma znaczyć?

Nie było już Orlandyny; Tybald ujrzał w jej miejscu okropne, nieznane mu dotąd kształty.

— Jam nie Orlandyna — krzyknął potwór straszliwym głosem — jam Lucyfer!

Tybald chciał wezwać Zbawiciela na pomoc, ale szatan, który odgadł jego zamiar, schwycił go zębami za gardło i nie pozwolił wymówić tego świętego nazwiska.

Nazajutrz wieśniacy idący na targ do Lyonu, usłyszeli w opuszczonej rozwalinie, która służyła za kostnicę, jęki i narzekania. Weszli i znaleźli Tybalda leżącego i trzymającego w objęciach kościotrupa. Wzięli go, zanieśli do miasta i nieszczęśliwy de La Jacquiere poznał swego syna.

Położono go w łóżko, wkrótce Tybald zdawał się przychodzić do zmysłów i słabym, prawie niezrozumiałym głosem rzekł:

— Otwórzcie drzwi temu świętemu pustelnikowi, otwórzcie czym prędzej.

Z początku nie zrozumiano go, otworzono jednak drzwi i ujrzano wchodzącego szanownego zakonnika, który rozkazał, aby go zostawiono sam na sam z Tybaldem. Uczyniono zadość jego żądaniu i drzwi za nim zamknięto.

Długo słyszano jeszcze napominania pustelnika, na które Tybald odpowiadał mocnym głosem:

— Tak jest mój ojcz, żałuję za grzechy i całą nadzieję pokładam w miłosierdziu boskim.

Wreszcie gdy wszystko ucichło, otworzono drzwi. Pustelnik znikł, Tybald zaś leżał umarły z krucyfiksem w rękach.

Zaledwie skończyłem tę historię, gdy wszedł kabalista i zdawał się chcieć wyczytać z moich oczu wrażenie, jakiego doświadczyłem. Wprawdzie przygody Tybalda mocno

¹⁰⁵Widzisz to wielkie zwierciadło? Chodźmy stroić w nim miny, jak to niegdyś czyniłam w zamku Sombre Roche — w innym oprac. odmiana tekstu. [przypis edytorski]

mnie zadziwiły, ale nie chciałem tego pokazać i odszedłem do siebie. Tu znowu zacząłem zagłębiać się nad własnymi wypadkami i prawie dawać wiarę, że szatany, by mnie złudzić, ożywiły trupy dwóch wisielców i że kto wie, czy nie byłem drugim Tybaldem.

Zadzwoniono na obiad, kabalista nie przyszedł do stołu, wszyscy zdawali się być roztargnieni, może dlatego, że sam nie mogłem zebrać myśli.

Po obiedzie wyszedłem na taras. Cyganie z całym obozem znacznie już byli oddalili się od zamku. Niepojęte Cyganki wcale się nie ukazały; tymczasem noc już zapadła i udałem się do mojej komnaty. Długo czekałem na Rebekę, ale tym razem na próżno i nareszcie usnąłem.

DZIEŃ JEDENASTY

Rebeka obudziła mnie. Otworzywszy oczy, spostrzegłem piękną Izraelitkę siedzącą na moim łóżku i trzymającą moją rękę w swych dłoniach.

— Zaczny Alfonsie — rzekła — chciałeś wczoraj znienacka dostać się do dwóch Cyganek, ale krata od potoku była zamknięta. Przynoszę ci klucz od niej. Jeżeli i dziś pokażą się pod zamkiem, upraszam cię, abys poszedł za nimi nawet do ich obozu. Zaręczam ci, że uszczęśliwisz mego brata, jeżeli zdołasz donieść mu o nich coś nowego. Co do mnie — dodała z tęsknotą — muszę oddalić się. Mój los, moje dziwaczne przeznaczenie wymagają tego po mnie. Ach, mój ojczu, dlaczego nie uczyniłeś mnie podobną do reszty śmiertelnych? Czuję, że jestem zdolniejsza kochać w rzeczywistości niż w zwierciadle.

— Co chcesz rozumieć przez to kochanie w zwierciadle?

— Nic... nic — przerwała Rebeka — dowiesz się o tym kiedyś... teraz żegnam cię. Do widzenia!

Żydówka oddaliła się mocno wzruszona, ja zaś mimowolnie pomyślałem, że z trudnością potrafi być stała dla dwojga niebiańskich bliźniąt, którym była przeznaczona za małżonkę, jak mi to jej brat oświadczył.

Wyszedłem na taras; Cyganie daleko już byli odeszli¹⁰⁶ od zamku. Wziąłem książkę z biblioteki, ale nie mogłem długo czytać. Byłem roztargniony i miałem głowę zaprzątniętą czym innym. Nareszcie dano znać do stołu. Rozmowa jak zwykle toczyła się o duchach, widmach i upiorkach. Gospodarz mówił nam, że starożytni mieli o nich pomieszane pojęcia i znali je pod nazwiskiem empuzów¹⁰⁷, larw¹⁰⁸ i lamiów¹⁰⁹, ale że dawni kabalisci równie byli mądrzy jak dzisiejsi, jakkolwiek znano ich tylko pod mianem filozofów, które było im wspólnym z wielą¹¹⁰ ludźmi niemającymi żadnego wyobrażenia o naukach hermetycznych¹¹¹. Pustelnik wspomniał o Simonie czarnoksiężniku¹¹², ale Uzeda utrzymywał, że Apoloniusz z Tiany¹¹³ zasługuje na sławę najbłęjszego kabalisty z owych czasów, ponieważ dosięgnął niesłychanej władzy nad całym światem pandemonistycznym. To mówiąc, poszedł wyszukać Filostrata wydanego roku 1608 przez Morela, rzucił okiem

¹⁰⁶byli odeszli — daw. konstrukcja czasu zaprzeczonego; inaczej: wcześniej odeszli; odeszli uprzednio. [przypis edytorski]

¹⁰⁷Empuza (mit. gr.) — demon z orszaku bogini śmierci Hakate, także: uosobienie strachu, widmo zamieszkujące królestwo Hadesa; rodzaj wampira: nocą Empuza miała opuszczać zaświaty, by napadać na podróżnych, zabijać ich, wysysać ich krew i żywić się ich ciałem; imię Empuzy znaczy: „wdzierająca się siłą”; opisywana i przedstawiona z jedną nogą ośłą, a drugą z brzętu (a. spiżu), mogła przybierać dowolne kształty. [przypis edytorski]

¹⁰⁸larwy (mit. rzym.) — też: lemury (*lemures*), duchy przodków, ale uznawanych za złe duchy, rodzaj upiórów, dusze zmarłych skażonych za życia zbrodnią i krwią; co roku 13 maja dokonywano obrzędu wypędzania ich z domu. [przypis edytorski]

¹⁰⁹lamie a. empuzy (mit. rzym.) — upiory ukrywające się pod postacią pięknych kobiet, porywające i zjadające dzieci oraz młodych mężczyzn. [przypis edytorski]

¹¹⁰z wielą ludźmi (daw.) — dziś: z wieloma ludźmi. [przypis edytorski]

¹¹¹hermetyczne nauki — nauki tajemne. [przypis edytorski]

¹¹²Simon czarnoksiężnik — Szymon Mag. [przypis edytorski]

¹¹³Apoloniusz z Tiany (15–100) — pochodzący z Tiany w Kapadocji filozof neopitagorejski, autor biografii Pitagorasa i założyciel szkoły pitagorejskiej w Efezie, teozoficzny gnostyk; przez współczesnych popularny jako nauczyciel i uzdrowiciel, uważany za cudotwórcę, czarownika, proroka, syna bożego (sam siebie tak określał); podróżując po Europie i Azji (m.in. odwiedził Indie), zebrał rozległą wiedzę, starał się połączyć doktrynę braminów z pitagoreizmem, przypisywano mu odnalezienie i opublikowanie *Tablicy szmaragdowej*, jednego z najważniejszych tekstów alchemicznych i ezoterycznych; apologetycznie jego życie i czyny jako idealnego filozofa z tradycji greckiej przedstawił Flawiusz Filostrat w dziele *Żywot Apolloniosa z Tiany*, sporządzonym na polecenie cesarzowej Julii Domny w III stuleciu n.e. [przypis edytorski]

na tekst grecki i bez najmniejszego zatrzymywania się jął czytać w czystym hiszpańskim języku, co następuje:

Historia Menipa Licejczyka

Żył raz w Koryncie dwudziestopięcioletni Licejczyk, dowcipny i urodziwy, nazwiskiem Menip. Opowiadano w mieście, że kochała się w nim jakaś bogata i piękna cudzoziemka, z którą przypadkiem zawarł znajomość. Spotkał ją na drodze wiodącej do Kenchrei; nieznamiona wdzięcznie zbliżyła się ku niemu i rzekła:

— O Menipie, od dawna już cię kocham; jestem Fenicjanką i mieszkam na końcu najbliższego przedmieścia Koryntu. Jeżeli chcesz przyjść do mnie, usłyszysz mnie śpiwającą i napijesz się wina, jakiegos jeszcze nigdy w życiu nie kosztował. Nie potrzebujesz obawiać się żadnego współzalnika i znajdziesz mnie zawsze tak wierną, ile ja uważam cię za uczciwego. —

Młodzieniec, jakkolwiek z natury umiarkowany, nie umiał oprzeć się tym słodkim słowom, wychodzącym z koralowych ust, i całą duszą przywiązał się do nowej kochanki.

Gdy Apoloniusz po raz pierwszy ujrzał Menipa, zaczął zapatrywać się na niego jak snycerz, który by chciał wykuć jego popiersie; następnie rzekł mu:

— O młodzieńcze, pieścisz się z wężem, który otacza cię zdradliwymi sploty.

Zdziwiła Menipa ta szczególniejsza mowa, ale Apoloniusz po chwili dodał:

— Kocha cię kobieta, która nie może być twoją małżonką — czy myślisz, że ona prawdziwie cię kocha?

— Bez wątpienia — odparł młodzieniec — jestem pewny jej miłości.

— I ożenisz się z nią? — rzekł Apoloniusz.

— Dlaczegoż nie miałbym ożenić się z kobietą, którą tak szalenie kocham.

— Kiedyż się odbędą zaślubiny?

— Być może jutro — przerwał młodzieniec.

Apoloniusz zapamiętał czas biesiady i gdy goście zebrali się, wszedł do komnaty, mówiąc:

— Gdzież jest piękna gospodyni tej uczty?

— Jest tu, niedaleko — odpowiedział Menip, po czym wstał nieco zapłoniony.

Apoloniusz tak dalej mówił:

— To złoto, srebro i ozdoby tej komnaty do kogo należą? Do ciebie czy do tej kobiety?

— Do tej kobiety — rzekł Menip — ja prócz mego płaszczka filozofskiego, nic więcej nie posiadam.

Wtedy Apoloniusz, zwracając się do biesiadników:

— Czy widzieliście kiedy ogrody Tantala, które są, a przecież nie są?

— Widzieliśmy je w Homerze — odpowiedzieli — gdyż sami nie zstępowaliśmy do piekieł.

Naówczas Apoloniusz rzekł im:

— Wszystko, co tu widzicie, podobne jest do tych ogrodów. Wszystko to jest tylko czczym mamidłem, bynajmniej zaś rzeczywistością i ażeby was przekonać o prawdzie moich słów, dowiedzcie się, że ta kobieta jest jedną z empuz, pospolicie zwanych larwami lub lamiami. Wiedźmy te nie tyle są chciwe uniesień miłosnych, ile mięsa ludzkiego, i ponętami rozkoszy wabią tych, których chcą pożreć.

— Mógłbyś nam coś rozsądniejszego powiedzieć — przerwała mniemana Fenicjanka i zarumieniona od gniewu poczęła wygadywać na filozofów i nazywać ich szaleńcami, gdy wtem Apoloniusz wymówił kilka słów i nagle znikły naczynia złote i srebrne i ozdoby komnaty. Również cała służba przepadła w mgnieniu oka. Natenczas empuza udała, że płacze, i błagała Apoloniusz, aby przestał ją męczyć, ale ten wcale nie zważając na jej prośby, cisnął ją coraz bliżej, tak że nareszcie wyznała, kim była, że nie szczędziła wszelkich rozkoszy dla Menipa, aby go potem pożreć, i że przede wszystkim smakowała w młodych ludziach, których krew dodawała jej zdrowia.

— Sądzę — rzekł pustelnik — że chciała ona pożreć raczej duszę niż ciało Menipa i że ta empuza była po prostu szatanem pożądliwości: wszelako nie pojmuję tych słów, które nadawały taką potęgę Apoloniuszowi. Przecież filozof ten nie był chrześcijaninem i nie

mógł używać straszliwej broni, jaką kościół złożył w naszych rękach; nadto starożytni, jakkolwiek mogli pod pewnym względem zawładnąć złymi duchami przed narodzeniem Chrystusa, atoli krzyż, nakazawszy milczenie wszelkim wyroczniom, tym bardziej wyzwał z potęgi bałwochwalców. Mniemam więc, że Apoloniusz nie tylko nie był w stanie wypędzić najmniejszego szatana, ale nawet nie miał żadnej władzy nad ostatnim z duchów, widziadła te albowiem pokazują się na ziemi za bożym dozwoleniem, i to zawsze prosząc się o msze, których, jak wiecie, zupełnie nie znano za czasów pogańskich.

Uzeda był przeciwnego zdania; utrzymywał, że poganie równie jak chrześcijanie bywali nagabywani przez złe duchy, chociaż powody nawiedzeń mogły być cał¹¹⁴ odmienne i aby dowieść tego, o czym mówił, wziął książkę z listami Pliniusza i zaczął czytać, co następuje:

Historia filozofa Atenagoras

Stał w Atenach dom obszerny i zdalny do zamieszkania, ale osławiony i opuszczony. Nieraz wśród ciszy nocnej słyszano w nim brzęk żelaza uderzającego o żelazo, a skoro pilniej nadstawiano uszu, szcęk łańcuchów, który zdawał się naprzód dochodzić z daleka, następnie coraz się przybliżał. Niedługo potem widziano zjawisko, coś na kształt wychudłego i pokrzywionego starca z długą brodą, najeżonymi włosami i kajdanami na rękach i nogach, którymi straszliwym sposobem potrząsał. Obrzydłe to widmo pozbawiało snu mieszkańców, ciągle zaś bezsenności sprowadzały choroby smutnie się kończące. Śród dnia bowiem, jakkolwiek widma nie było, wrażenie jednak okropnego widoku ciągle stało przed oczyma i najśmielszych przejmowało strachem. Nareszcie opuszczono dom i zostawiono go całkiem zjawisku. Wszelako wywieszono napis oznajmiający chęć właściciela do odnajęcia lub sprzedania bezużytecznej budowy, w nadziei, że jaki nieznajomy, niewiedzący o przerażających przeszkodach, łatwo da się oszukać.

W owym czasie filozof Atenagoras przybył do Aten. Spostrzegł napis i zapytał o cenę; uderzyła go niezwykajna taniaść, zaczął badać jej przyczyny i gdy mu opowiedziano całą historię, zamiast cofnąć się, z tym większym pośpiechem dobił targu. Sprowadził się do domu i nad wieczorem kazał wnieść łoże do frontowych komnat, przynieść lampę i swoje tabliczki do pisania, służącym zaś oddalić się do najdalszego skrzydła budynku. Natenczas, lękając się, aby rozigrana wyobraźnia za daleko go nie uniosła i nie przedstawiła mu rzeczy wcale nieistniejących, przygotował umysł, oczy i ręce do pisania.

Z początku nocy, jak w całym domu, tak i w tej części panowało głucho milczenie, wkrótce jednak posłyszał zgrzyt żelaza i brzęk łańcuchów; pomimo to nie podniósł oczu, nie porzucił pióra, uspokoił się, i że tak rzekę, zmusił do niezwracania na zewnątrz żadnej uwagi. Tymczasem hałas coraz wzrastał, już dochodził do drzwi, nareszcie dał się słyszeć w samym pokoju. Filozof podniósł oczy i ujrzał widmo zupełnie takie, jakim mu go opisywano. Zjawisko stało we drzwiach i przyzywało go palcem. Atenagoras dał mu znak ręką, aby zaczekało i znowu zaczął dalej pisać, ale widmo, snadź zniecierpliwione, jęło nad samymi uszami filozofa potrząsać łańcuchami.

Mędrzec odwrócił się i ujrzał, że duch nie przestawał go wzywać, wstał więc, wziął światło i poszedł za nim. Zjawisko kroczyło wolnym krokiem, jak gdyby przygniecione ciężarem łańcuchów, weszło na dziedziniec domu i nagle w samym środku zapadło się w ziemię. Filozof zostawszy sam, naznaczył to miejsce liściami i kamieniami i nazajutrz udał się do urzędników, prosząc, aby kazali przedsięwziąć poszukiwanie. Wykopano dół i znaleziono kościotrupa skrępowanego łańcuchami. Miasto poleciło uczić te szczątki przyzwoitym pogrzebem i nazajutrz po oddaniu nieboszczykowi tej ostatniej przysługi spokój na zawsze powrócił do domu.

Kabalista, przeczytawszy tę historię, dodał:

— Duchy, jak się tu przekonujemy, czcigodny ojcze, pokazywały się od najdawniejszych czasów; dowodzi nam tego zdarzenie Baltojwy z Endor, i kabaliści zawsze mieli ich na swoje rozkazy. Z tym wszystkim przyznaję, że wielkie zmiany zaszły w świecie pandemonistycznym; tak na przykład upiory, jeżeli śmiem tak wyrazić się, należą do nowych odkryć. Rozróżniam między nimi dwa rodzaje, mianowicie: upiory węgierskie

Duch, Upiór, Naród,
Obyczaje

¹¹⁴cale (daw.) — całkiem, całkowicie. [przypis edytorski]

i polskie, które są po prostu trupami wśród nocy wychodzącymi z grobów dla wysysania krwi ludzkiej; i upiory hiszpańskie, które ożywiają pierwsze lepsze ciało, nadają mu dowolne kształty i należąc do szatańskiego rodu...

Kabalista wyraźnie chciał zwrócić rozmowę do okoliczności mnie dotyczących, powstałem więc, może nawet zbyt gwałtownie, i wyszedłem na taras. Nie upłynęło pół godziny, gdy spostrzegłem moje dwie Cyganki, które zdawały się zdążać do zamku i w tej odległości zupełnie były podobne do Eminy i Zibeldy. Postanowiłem natychmiast korzystać z mego klucza. Poszedłem do mego pokoju po kapelusz i szpadę i po chwili byłem już u kraty. Otworzywszy ją, ujrzałem, że nie dość na tym, gdyż musiałem jeszcze dostać się na drugą stronę potoku. Na szczęście wzdłuż muru znalazłem jakby naumyślnie przypięte haki, za pomocą których dostałem się do kamienistego łożyska i skacząc z jednego kamienia na drugi, stanąłem na drugiej stronie i tuż przed sobą spostrzegłem dwie Cyganki, które jednak wcale nie były moimi kuzynkami. Jakkolwiek całe ich ułożenie było odmienne, przecież sposób ich obejścia odróżniał je od gburowatych i niewykształconych kobiet tego narodu. Zdawało się prawie, że tylko na jakiś czas dla ukrytych celów przyjęły na siebie te role. Chciały zaraz mi wróżyć; jedna z nich ujęła moją dłoń, podczas gdy druga, udając, że czyta z niej całą moją przyszłość, mówiła mi w właściwym ich narzeczu:

— *Ah, Caballero, che vejo en vuestra bast! Dirvanos kamela, ma por quen? Por demonios!*
— Co znaczy: „Ach szlachetny panie, widzę namiętną miłość na twojej dłoni, ale dla kogo? Dla szatanów!”

Łatwo można domyślić się, że nigdy nie byłbym odgadł, że *dirvanos kamela* znaczy w języku cygańskim namiętną miłość; ale dziewczęta wytłumaczyły mi te słowa; następnie biorąc mnie pod rękę, zaprowadziły do swego obozu, gdzie przedstawiły mnie rzeźkiemu i czerstwemu starcowi, którego nazywały ojcem. Starzec, rzuciwszy na mnie złośliwe wejrzenie, rzekł:

— Czy wiesz pan, że znajdujesz się pośród czeredy, o której krążą po kraju dość niekorzystne wieści? Czy nie lękasz się naszego towarzystwa?

Na słowo „lękasz” oparłem rękę na mojej szpadzie; ale starzec z uprzejmością podał mi dłoń i dodał:

— Wybacz pan, nie miałem zamiaru cię obrazić, przeciwnie, chciałem prosić cię, abys raczył kilka dni z nami przepędzić. Jeżeli podróż w te góry może cię zabawić, przyrzekamy pokazać ci najpiękniejsze i najstraszniejsze miejsca; doliny czarujące wdziękiem, obok przepaści napełniających zgrozą; jeżeli zaś jesteś lubownikiem polowania, będziesz mógł zadość uczynić twemu upodobaniu.

Przyjąłem jego ofiarę z tym większym pośpiechem, że rozprawy kabalisty zaczęły mnie już nudzić, jak również samotność jego zamku stawała mi się co dzień nieznośniejsza.

Natenczas stary Cygan zaprowadził mnie do swego namiotu, mówiąc:

— Oto jest twoje mieszkanie przez cały czas, który raczysz pośród nas przepędzić; nadto każę rozbić obok pałatkę, w której sam będę spał, aby tym lepiej czuć nad twoim bezpieczeństwem.

Odpowiedziałem na to, że mając zaszczyt być kapitanem w gwardii walońskiej, we własnej szpadzie powinienem był szukać bezpieczeństwa. Na te słowa starzec uśmiechnął się i rzekł:

— Muszkiety naszych rozbójników tak dobrze potrafią zabić kapitana gwardii walońskiej jak kogo drugiego; gdy jednak ci panowie raz będą ostrzeżeni, możesz pan spokojnie nawet odłączyć się od naszego towarzystwa. Przedtem nieroztropnością byłoby narażać się bezużytecznie.

Starzec miał słuszną i zawstydziłem się niepotrzebnej junakierii.

Przepędziliśmy wieczór na obchodzeniu obozu i rozmawianiu z dwoma Cygankami, które wydały mi się najdziwaczniejszymi, ale zarazem najszczęśliwymi stworzeniami w świecie. Następnie zastawiono wieczerę pod rozłożystym dębem, tuż przy namiocie naczelnika. Rozłożyliśmy się na skórah jelenich; rozesłano przed nami zamiast obrusa bawołą skórę wyprawną jak najdoskonalszy safian. Potrawy, zwłaszcza zaś zwierzyzna, były wyśmienite. Córki naczelnika nalewały nam wino, ja wszakże wołałem gasić pragnienie wodą, która o dwa kroki od nas wytryskała ze skały przezroczytym strumieniem. Naczelnik uprzejmie podtrzymywał rozmowę, zdawał się wiedzieć o poprzednich moich przygodach i zapowiadał mi nowe. Nareszcie czas był udać się na spoczynek. Posłano mi

łoże w namiocie naczelnika i postawiono straż przy wejściu. O samej północy rozbudził mnie jakiś szmer. Czulem, że z obu stron podnoszono moje nakrycie i tulono się do mnie.

„Wielki Boże — rzekłem sam do siebie — mamże¹¹⁵ znowu obudzić się między dwoma wisielcami?”

Jednakże nie zatrzymałem się na tej myśli, mniemałem, że gościnność cygańska nakazywała ten sposób przyjęcia i że nie wypadało wojskowemu w moim wieku nie stosować się do raz przyjętych zwyczajów. W końcu zasnąłem z głębokim przekonaniem, że tym razem nie miałem do czynienia z wisielcami.

DZIEŃ DWUNASTY

W istocie, zamiast pod szubienicą Los Hermanos, obudziłem się w moim łóżku na hałas, jaki sprawiali Cyganie, podnosząc obóz.

— Wstawaj pan — rzekł do mnie naczelnik — mamy daleką drogę przed nami; ale dostaniesz pan muła, jakiego drugiego nie znajdziesz w całej Hiszpanii i ręczę, że nie poczujesz znużenia.

Ubrałem się czym prędzej i dosiadłem muła. Ruszyliśmy przodem z czterema Cyganami, dzielnie uzbrojonymi. Reszta bandy z daleka zdążyła za nami, mając na czele dwie młode dziewczyny, które, o ile domyślałem się, były przyczyną przerwania mego snu ostatniej nocy. Zakręty ścieżek często wywyższały mnie lub zniżały o kilkaset stóp od nich. Wtedy zatrzymywałem się i znowu zdawało mi się, że widzę moje kuzynki. Tymczasem stary naczelnik śmiał się z moich kłopotów.

Po czterech godzinach przyśpieszonego pochodu przybyliśmy na szczyt wyniosłej góry, na którym znaleźliśmy znaczną ilość wielkich pak; naczelnik natychmiast policzył je, zapisał i rzekł do mnie:

— Oto masz pan przed sobą towary angielskie i brazylijskie, wystarczające na potrzeby czterech królestw: Andaluzji, Grenady, Walencji i Katalonii. Król wprawdzie cierpi nieco na naszym małym handlu, ale z drugiej strony ma inne korzyści, trochę zaś kontrabandy zabawia i pociesza ten biedny lud hiszpański. Wreszcie, tutaj wszyscy się tym trudnią. Niektóre z tych pak zostaną złożone w koszarach żołnierskich, inne w celach mnichów, ostatnie w grobowych podziemiach. Paki czerwono oznaczone dostaną się w ręce celników, którzy poszczycą się nimi przed rządem; ofiara owa tym więcej przywiąże ich do naszych interesów.

To mówiąc, naczelnik Cyganów rozkazał pochować towary po różnych wydrążeniach skał, po czym skinął, aby zastawiono obiad w jaskini, z której widok rozciągał się dalej, niż można było okiem zajrzeć, czyli że widnokrąg całkiem zlewał się z błękitem niebios. Powaby natury z każdym dniem sprawiały na mnie coraz silniejsze wrażenie, widok ten pogrążył mnie w nieopisanym zachwyceniu, z którego wyrwały mnie dwie córki naczelnika, przynosząc obiad. Z bliska, jak to już powiedziałem, wcale nie były podobne do moich kuzynek, spojrzenia ich dawały mi poznać ich zadowolenie, ale tajemne jakieś przeczucie ostrzegało mnie, że to nie one należały do przygody ostatniej nocy. Tymczasem dziewczęta przyniosły gorącą olla podridę, którą wysłani naprzód ludzie rano jeszcze byli sporządzili. Stary naczelnik i ja szczerze zabraliśmy się do niej, z tą tylko różnicą, że on przeplatał swoje jedzenie częstym odwoływaniem się do obszernego bukłaku z winem, ja zaś poprzestawałem na świeżej wodzie z sąsiedniego źródła.

Gdy zaspokoiłiśmy głód, oświadczyłem mu ciekawość bliższego z nim się zapoznania; długo wzbraniał się, ja wszelako usilnie nalegałem na niego, tak że nareszcie zgodził się opowiedzieć mi swoje przygody i zaczął w te słowa:

Historia Pandesowny, naczelnika Cyganów

Wszyscy Cyganie hiszpańscy znają mnie pod nazwiskiem Pandesowna. Jest to w ich narzeczu dosłowne tłumaczenie mego nazwiska rodzinnego, Avadero, gdyż dowiedź się *señor*, że bynajmniej nie urodziłem się wśród Cyganów. Ojciec mój nazywał się don Felipe de Avadero i uchodził w swoim czasie za człowieka najpoważniejszego i najbardziej skrupulatnego. Do tego stopnia nawet był punktualny, że gdybym ci opowiedział historię

¹¹⁵*mamże* — daw. konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy mam; czyżbym miał. [przypis edytorski]

jednego dnia jego, widziałbyś przed sobą obraz całego jego życia, a przynajmniej czasu, który upłynął między dwoma jego małżeństwami: pierwszym, któremu winien jestem życie, i drugim, które spowodowało śmierć jego, zmieniawszy zwykły tryb, według jakiego przepędzał żywot.

Mój ojciec, będąc jeszcze pod opieką mego dziada, pokochał się być w dalekiej swojej krewnej, którą zaślubił, skoro tylko stał się panem własnej woli. Biedna kobieta umarła, dając mi życie, ojciec mój zaś, niepokieszony po tej stracie, zamknął się u siebie przez kilka miesięcy, nie chcąc nawet widzieć żadnego z krewnych.

Czas, który słodzi wszystkie cierpienia, ukoił także jego żal i nareszcie ujrzano go otwierającego drzwi od swego balkonu, który wychodził na ulicę Toledo. Przez kwadrans oddychał świeżym powietrzem i następnie poszedł otworzyć długie okno, które wychodziło na boczną ulicę. Spostrzegł w domu na przeciwko kilka znajomych sobie osób i dość wesolo je pozdrowił. Następnym dni regularnie powtarzał to samo, aż wreszcie wieść o tej zmianie doszła do uszu fra Heronimo Santeza, teatyna i wuja mojej matki.

Zakonnik ten przybył do mego ojca, powińszował mu powrotu do zdrowia, niewiele mówił mu o pociechach, jakie nam religia nastęcza, ale natomiast usilnie namawiał go, aby oddał się więcej rozrywkom. Posunął nawet pobłażanie do dania mu rady, ażeby poszedł na komedię. Mój ojciec, pokładając nieograniczone zaufanie w fra Heronimo, tego samego wieczoru udał się do teatru de la Cruz. Właśnie przedstawiano nową sztukę, którą utrzymywało całe stronnictwo *Pollacos*, podczas gdy drugie, nazwane *Sorices*, wszelkimi siłami starało się ją wygwizdać. Współzawodnictwo tych dwóch stronnictw tak dalece zajęło mego ojca, że odtąd nigdy własnowolnie nie opuścił żadnego widowiska. Wkrótce przyłączył się do stronnictwa *Pollacos* i wtedy tylko uczęszczał do królewskiego teatru, kiedy de la Cruz był zamknięty.

Po skończonym widowisku stawał zwykle na końcu podwójnego szpaleru, który mężczyźni tworzą, aby zmusić kobiety do przechodzenia jedna za drugą, ale wcale tego nie czynił, aby przypatrywać im się bliżej, przeciwnie, wszystkie mało go obchodziły i skoro ostatnia przeszła, śpieszył pod krzyż maltański, gdzie przed udaniem się na spoczynek spożywał lekką wieszczkę.

Z rana najpierwszym zatrudnieniem mego ojca było otwarcie balkonu wychodzącego na ulicę Toledo. Tu przez kwadrans oddychał świeżym powietrzem, następnie szedł otwierać drugie okno, które wychodziło na małą uliczkę. Jeżeli spostrzegł kogo w przeciwnym oknie, pozdrowiał go grzecznie, mówiąc: *agur*, po czym zamykał okno. Ten wyraz *agur* był często jedynym, jaki przez cały dzień wymówił, chociaż bowiem gorliwie zajmował się powodzeniem wszystkich komedii odgrywanych w teatrze de la Cruz, całe jednak zajęcie wyrażał zawsze klaskaniem w dłonie, nigdy zaś słowami. W razie gdy nikt nie ukazywał się w przeciwnym oknie, z cierpliwością oczekiwał chwili, w której będzie mógł kogo pozdrowić. Oprócz tego mój ojciec bywał na mszy u teatynów. Za powrotem znajdował pokój uporządkowany przez służącą i z niewypowiedzianym staraniem ustawiał sprzęty na miejscach, na których zwykle stały. Czynił to zawsze z nader pilną uwagą i za jednym rzutem oka odkrywał najmniejsze źdźbło kurzu, które umknęło uwadze służącej.

Skoro mój ojciec był zadowolony z uporządkowania swego pokoju, brał cyrkiel i nożyczki i krajał dwadzieścia cztery kawałki papieru równej wielkości, napełniał je tytoniem brazylijskim i związał dwadzieścia cztery cygar, które były tak gładko i doskonale złożone, że można było śmiało uważać je za najdoskonalsze cygara w całej Hiszpanii. Następnie wypalał sześć tych arcydzieł, licząc dachówki pałacu księcia Alby, sześć zaś, rachując ludzi przechodzących przez bramę Toledo. To uczyniwszy, spoglądał na drzwi swego pokoju, dopóki mu nie przyniesiono obiadu.

Po obiedzie wypalał dwanaście pozostałych cygar, dalej topił wzrok w zegar, dopóki mu ten nie oznajmił godziny udania się do teatru; jeżeli zaś przypadkiem tego dnia nie było widowiska, szedł do księgarza Moreno, gdzie przysłuchiwał się sporom kilku literatów, którzy mieli zwyczaj zbierania się tam w pewnych dniach, nie mieszając się jednak nigdy do ich rozmowy. Jeżeli zasnął i nie wychodził z domu, posyłał do księgarza Moreno po sztukę, którą tego dnia grano w teatrze de la Cruz, i gdy nadeszła godzina widowiska, zabierał się do czytania sztuki, nie omieszkując szczerze poklaskiwać miejscom ulubionym przez stronnictwo *Pollacos*.

Sposób ten życia był bardzo niewinny, jednakowoż mój ojciec, pragnąc zadość uczynić obowiązkowi religii, udał się do teatynów z prośbą, aby mu wyznaczono spowiednika. Przysłano mu fra Heronimo Santeza, który korzystał z tej sposobności, aby mu przypomnieć, że ja żyję na świecie i znajduję się w domu dony Felicji Dalanosy, siostry nieboszczki mojej matki. Mój ojciec, bądź z obawy, abym mu nie przypomniał ukochanej osoby, której śmierci byłem mimowolną przyczyną, bądź też że nie życzył sobie, aby moje dziecinne wrzaski zakłócały głuchy spokój jego zwyczajów, uprosił fra Heronimo, aby mnie nigdy do niego nie zbliżał, w tym samym jednak czasie zaopatrzył wszystkie moje potrzeby, wyznaczył mi dochód z wioski, którą miał w okolicach Madrytu i oddał mnie w opiekę prokuratorowi teatynów.

Niestety, mniemam, że ojciec mój oddalał mnie od siebie w przeczuciu niesłychanej różnicy, jaką natura położyła między naszymi sposobami myślenia. Zauważyłeś pan, jak on był systematyczny i jednostajny w całym swym życiu, otóż mogę śmiało teraz zaręczyć, że nie było na ziemi człowieka więcej niestałego ode mnie. Nie mogłem nawet wytrwać w mojej niestałości, gdyż myśl szczęścia spokojnego i życia odosobnionego ścigała mnie ciągle pośród dni moich koczowniczych, popęd zaś do zmiany nie pozwalał mi pomyśleć o wybraniu stałego siedliska. Niespokojność ta trawiła mnie do tego stopnia, że raz poznawszy sam siebie, na zawsze położyłem tamę moim żądom, wybierając schronienie pośród tej czeredy Cyganów. Jest to wprawdzie rodzaj życia dość jednostajny, atoli nie mam nieszczęścia spoglądać zawsze na te same drzewa, te same skały lub, co by było jeszcze nieznośniejsze, na te same ulice, mury i dachy.

Tu zabrałem głos i rzekłem do starca.

— Mości Avadero lub Pandesowna, sądzę, że w tym błędnym życiu musiałeś doświadczyć wielu nadzwyczajnych przygód?

— W istocie — odparł Cygan — od czasu, w którym zacząłem żyć w tej pustyni, widziałem wiele nadzwyczajnych rzeczy; co zaś do reszty mego życia, zawiera ono bardzo mało zajmujących wypadków, uderzy cię tylko zapal, z jakim chwytalem się coraz nowego powołania, i niesmak, z jakim porzucałem go najdalej po dwóch latach.

Odpowiedziawszy mi tymi słowy, Cygan tak dalej mówił:

— Wspominałem ci, że ciotka moja dona Dalanosa trzymała mnie przy sobie. Nie miała własnych dzieci i zdawała się łączyć dla mnie całe pobażanie ciotki z dobrocią matki: jednym słowem, byłem zepsutym dzieckiem w całym znaczeniu tego wyrazu. Z każdym nawet dniem psulem się coraz bardziej, gdyż w miarę jak wzrastałem na ciele i umyśle, tym więcej nabierałem sił do nadużywania niewyczerpanej dla mnie dobroci. Z drugiej strony, nie doznając żadnej przeszkody w moich chęciach, nie przeszkadzałem w niczym drugim, co mi zjednało rozgłos niezwyklej łagodności, nadto rozkazom mojej ciotki towarzyszył zawsze tak łagodny i pieszczotliwy uśmiech, że nie miałem serca stawiać jej oporu. Nareszcie pocziwa dona Dalanosa, widząc moje postępowanie, wzmówiła w siebie, że natura stwarzając mnie, wydała jedno z najrzadszych arcydzieł. Brakowało tylko do jej szczęścia, aby mój ojciec mógł być świadkiem moich niesłychanych postępów, wtedy od razu byłby przekonany o moich doskonałościach; zamiar ten jednak był trudny do przeprowadzenia, gdyż ojciec mój trwał w swoim postanowieniu nieoglądania mnie nigdy w swym życiu.

Gdzież atoli jest upór, którego by kobieta nie umiała przezwyciężyć? Pani Dalanosa z taką gorliwością i dzielnością pracowała nad swoim wujem Hieronimem, że ten nareszcie przyrzekł korzystać z pierwszej spowiedzi mego ojca i zgromić go surowo za okrutną obojętność, jaką okazywał dziecku, które nic złego w życiu mu nie uczyniło. Ojciec Heronimo dotrzymał danej obietnicy, wszelako mój ojciec nie mógł bez przerażenia pomyśleć o chwili, w której po raz pierwszy wpuści mnie do swego pokoju. Fra Heronimo zaprojektował spotkanie w ogrodzie Buen Retiro; ale przechadzka ta bynajmniej nie wchodziła w systematyczny i jednostajny rozkład czasu, od którego mój ojciec nigdy na krok się na oddalał. Wolał więc na ostatek już przyjąć mnie u siebie i fra Heronimo doniósł tę szczęśliwą nowinę mojej ciotce, która ledwo że nie umarła z radości.

Muszę ci wyznać, że dziesięć lat hipochondrii dodało wiele dziwactw do odosobnionego życia mego ojca. Między innymi powziął był szczególniejszą namietność do robienia

atramentu, pierwsza zaś przyczyna tego dziwnego upodobania była następująca. Pewnego dnia, gdy znajdował się w towarzystwie kilku literatów hiszpańskich i prawników u księgarza Moreno, rozmowa padła na trudność dostania dobrego atramentu; każdy wyznał, że nie miał czym pisać i na próżno usiłował sam zająć się fabrykacją tak potrzebnego materiału. Moreno rzekł na to, że ma w swoim sklepie mnóstwo przepisów, między którymi niektóre muszą być dokładne. Poszedł więc po tę książkę, której nie mógł od razu znaleźć, a gdy powrócił, rozmowa toczyła się o czym innym: zagłębiono się w rozbiórce nowej sztuki i nikt nie chciał już słyszeć ani o atramencie, ani o przepisach, za pomocą których go wyrabiano. Wszelako mój ojciec całkiem odmiennie postąpił, wziął książkę, znalazł natychmiast sposób wyrabiania atramentu i zdziwił się mocno, widząc, że od razu pojął rzecz, którą najznakomitsi uczeni hiszpańscy uważali za niesłychanie trudną. W istocie chodziło tylko o umiejętne pomieszanie tynktury owoców galasowych z roztworem kwasu siarkowego i o dodanie stosownej ilości gumy. Autor jednakowoż dowodził, że niepodobna było otrzymać dobrego atramentu inaczej, jak tylko zaprawiając naraz wielką jego ilość, gotując płyn i mieszając go pilnie, albowiem guma, nie mając żadnej styczności z materiałami kruszczowymi, dążyła usilnie do oddzielenia się od nich, że nadto sama guma była skłonna do rozkładu organicznego, któremu nie można było zapobiec, tylko dodając pewną ilość alkoholu.

Mój ojciec kupił książkę, nazajutrz wystarał się o potrzebne ingrediencje, apteczne wagi i największy gąsior, jaki tylko mógł znaleźć w Madrycie, stosownie do ostatnich uwag autora. Atrament udał się wysmienicie; mój ojciec zaniósł butelkę literatom zgromadzonym u Morena, którzy uznali go za doskonałą i prosili o więcej.

Ojciec mój, wiodąc życie ciche i odosobnione, nie miał nigdy sposobności wyświadczenia komukolwiek jakiej przysługi i odebrania za to należytych pochwał, znalazł więc nową przyjemność w obowiązywaniu ludzi i przyjmowaniu od nich dziękczynień, i szczególnie przywiązał się do zatrudnienia przynoszącego mu tyle miłych chwil. Widząc, że literaci madryccy w gniewie oka spotrzebowali największą flaszkę, jaką mógł znaleźć w całym mieście, kazał sprowadzić z Barcelony beczułkę z rodzaju takich, w jakich marynarze z Śródziemnego Morza zwykli przechowywać wino na okręcie. Tym sposobem mógł od razu sfabrykować dwadzieścia flasz atramentu, które literaci równie szybko wypisali, okrywając mego ojca pochwałami i dziękczynieniami.

Wszelako im flasze były większe, tym więcej przedstawiały niedogodności. Nie można było zarazem grzać i mieszać płynu, co dopiero gdy przychodziło do przelewania z jednego naczynia w drugie. Natenczas mój ojciec postanowił kazać sprowadzić z Toboso wielki kocioł gliniany, jakich używają do wyrabiania saletry. Gdy przybył pożądany kocioł, rozkazał umieścić go na piecu, pod którym utrzymywał wieczny ogień. Kurek przyprawiony u spodu służył do wypuszczania cieczy, wlaższy zaś na brzeg pieca, można było wygodnie małym wiosłem mieszać gotujący się atrament. Kotły te są wysokości człowieka, możesz więc domyślić się, jaką ilość atramentu mój ojciec naraz sporządzał, nadto miał zwyczaj w miarę ubywania płynu dodawać ingrediencji. To była dopiero prawdziwa rozkosz, gdy widział wchodzącego służącego od jakiego sławnego literata z prośbą o butelkę atramentu, a gdy ten literat wydał jakie dzieło głośne w piśmiennictwie i rozmawiano o nim u Morena, mój ojciec z radością uśmiechał się na myśl, że on także należy do tych tryumfów. Wreszcie, aby ci już wszystko wyznać, powiem, że w całym mieście nie nazywano inaczej mego ojca jak *don Felipe, del Tintero Largo*, czyli *don Filip z ogromnego kalamarza*, prawdziwe zaś jego nazwisko Avadero znane było zaledwie kilku osobom.

Ja wiedziałem o tym wszystkim: często mówiono mi o dziwnym charakterze mego ojca, o urządzeniu jego domu, o wielkim kotle z atramentem i niecierpliwie pragnąłem na własne oczy te dziwy obejrzeć. Co się tyczy mojej ciotki, ta nie wątpiła, że jak tylko mój ojciec raz mnie obaczy, wnet odstąpi od wszystkich dziwactw, aby tylko zachwycić się mną od rana do wieczora. Nareszcie naznaczono dzień wzajemnego spotkania. Mój ojciec spowiadał się u fra Heronimo ostatniej niedzieli każdego miesiąca. Zakonnik miał go umocnić w postanowieniu widzenia mnie, nareszcie wyznać, że znajdowałem się w jego mieszkaniu, i razem z nim wyjść z kościoła. Fra Heronimo, zawiadamiając nas o tym zamiarze, ostrzegł mnie, abym nie dotykał się niczego w pokoju mego ojca; zgodziłem się na wszystko, moja ciotka zaś obiecała mnie pilnować. Nadeszła wreszcie oczekiwana

niedziela. Ciotka moja ubrała mnie w różową aksamitną sukienkę ze srebrnymi frędzlami i guzikami z brazylijskich topazów. Zaręczyła mi, że wyglądałem jak bożek miłości i że mój ojciec, spostrzegłszy mnie, nie omieszkaszalenię się we mnie rozkochar. Pełni nadziei i pochlebnych przeczuc, poszliśmy wesoło przez ulicę Urszulinek i udaliśmy się do Prado, gdzie kobiety zatrzymywały się, aby się ze mną popieścić. Przybyliśmy wreszcie na ulicę Toledo i weszliśmy do domu mego ojca. Otworzono nam jego pokój, ciotka, lękając się mojej żywości, posadziła mnie w obszernym krześle, usiadła naprzeciwko i uchwyciła frędzle mego pasa, ażeby nie mógł wstać i dotykać się porostawianych sprzętów.

Z początku wynagradzałem sobie ten przymus, wodząc wzrokiem po wszystkich kątach pokoju, którego czystość i porządek podziwiałem. Kąt przeznaczony na wyrabianie atramentu był tak czysty i symetrycznie zastawiony jak reszta pokoju; wielki kocioł z Toboso wyglądał jak ozdoba, obok niego zaś stała szklana szafa, gdzie leżały potrzebne narzędzia i ingrediencje.

Widok tej szafy wąskiej i długiej, umieszczonej tuż przy piecu z kotłem na wierzchu, podał mi nagłą i niepowściągniętą myśl wskoczenia na nią, sądziłem bowiem, że nic nie będzie zabawniejszego, jak gdy mój ojciec zacznie mnie na próżno szukać po całym pokoju, wtedy gdy ja najspokojniej będę siedział nad jego głową. W mgnieniu oka wyrwałem szarfę z rąk mojej ciotki, wskoczyłem na piec, stamtąd zaś na szafę.

Z początku ciotka zachwycała się nad moją zręcznością, po chwili jednak zaczęła mnie zaklinać, abym zszedł z szafy. Wtem oznajmiono nam, że mój ojciec wchodzi na wschody. Ciotka moja upadła przede mną na kolana, błagając, abym zszedł na ziemię. Nie mogłem oprzeć się tak wzruszającym prośbom, ale złącząc poczułem, że stawiałem nogę na brzegu kotła. Chciałem zatrzymać się, ale spostrzegłem, że pociągam za sobą całą szafę. Puściłem ręce i padłem w sam środek kotła z atramentem. Byłbym niezawodnie utonął, gdyby moja ciotka, pochwyciwszy wiosło do mieszania atramentu, nie była rozbiła kotła na tysiąc drobnych kawałków. Właśnie w tej chwili wszedł mój ojciec i ujrzał rzekę atramentu zalewającą jego pokój, a pośród niej wijącą się czarną postacią, która napelniała dom najprzeróżliwymi wrzaskami. W rozpaczy uciekł na schody, zbiegając, wywichnił sobie nogę i padł zemdlony.

Co do mnie, wkrótce przestałem wrzeszczeć, gdyż atrament, którego się opilem, pozabawił mnie przytomności. Przyszedłem do zmysłów dopiero po długiej chorobie i wiele czasu minęło, zanim zupełnie odzyskałem zdrowie. Do polepszenia mego stanu najwięcej przyczyniła się nowina udzielona mi przez moją ciotkę, która wprawiła mnie w taką radość, że znowu lękano się, abym nie postradał zmysłów. Mieliśmy wkrótce wyjechać z Madrytu i udać się na stałe do mieszkania w Burgoff. Wszelako niewypowiedziana radość, jakiej doznawałem na myśl o tej podróży, zmniejszyła się, gdy ciotka zapytała mnie, czy chcę z nią razem siedzieć w lektyce, czy też odbywać drogę własną lektyką.

— Ani jedno, ani drugie — odparłem w najwyższym uniesieniu — nie jestem babą i nie chcę inaczej podróżować jak na dzielnym koniu lub przynajmniej mule, z dobrym segowskim¹¹⁶ karabinem u siodła, parą pistoletów za pasem i długą szpadą. Tylko pod tym jedynym warunkiem pojedę i ciotka powinna dla własnej korzyści sprawić mi te rzeczy, albowiem obrona ciebie jest odtąd moim najświętszym obowiązkiem.

Powiedziałem jeszcze wiele podobnych niedorzeczności, które zdawały mi się najrozumniejszymi, a które w istocie bawiły, słyszane z ust jedenastoletniego chłopca.

Przygotowania do wyjazdu podały mi sposobność rozwinięcia niezwyklej czynności. Wchodziłem, wychodziłem, biegałem, rozkazywałem, ostatecznie byłem tą muchą na wozie furmana¹¹⁷ i miałem wiele do czynienia, gdyż ciotka moja, wyjeżdżając na zawsze do Burgos, zabierała wszystkie swoje ruchomości. Wreszcie nadszedł szczęśliwy dzień wyjazdu. Wysłaliśmy główny transport drogą przez Aranda, sami zaś udaliśmy się przez Valladolid.

Ciotka moja, która z początku chciała podróżować w lektyce, widząc, że postanowiłem nieodmiennie jechać na mule, poszła za moim przykładem. Sporządzono jej zamiast siodła małe krzeselko z wygodnym siedzeniem i osłonięto je parasolem. Uzbrojony mul-

¹¹⁶segowski — pochodzący z Segowii; wyprodukowany w Segowii. [przypis edytorski]

¹¹⁷byłem tą muchą na wozie furmana — nawiązanie do bajki Jeana de la Fontaine'a *Dyżans i mucha*, która opowiada o dokuczliwej musze poganiającej we właściwy sobie sposób konie i furmana dyżansu, gdy ten utknął w błocie, a następnie żąda za swe domniemane zasługi zapłaty. [przypis edytorski]

nik postępował przed nią dla oddalenia wszelkiego pozoru niebezpieczeństwa. Reszta naszej karawany, złożona z dwunastu mułów, nader świetnie wyglądała, ja zaś, uważając się za jej naczelnika, czasami otwierałem, czasami zamykałem pochód, zawsze z bronią w ręku, zwłaszcza zaś na zakrętach drogi lub w innych miejscach podejrzanych.

Można domyślić się, że nigdy nie zdarzyła mi się sposobność okazania mojej odwagi i że szczęśliwie przybyliśmy do Alabajos, gdzie spotkaliśmy dwie karawany równie liczne jak nasza. Zwierzęta stały przy żłobach, podróżni zaś mieścili się w przeciwnym kącie stajni w kuchni, którą oddzielały od mułów dwa kamienne schody. Prawie wszystkie gospody w Hiszpanii były naówczas podobnie urządzone. Cały dom składał się z jednej długiej izby, której lepszą połowę zajmowały muły, skromniejszą zaś podróżni. Pomimo to wesołość była ogólna. Mulnik, czyszcząc rzeczy, smalił cholewki¹¹⁸ do gospodyni, która odpowiadała mu z żywością właściwą jej płci i profesji, dopóki gospodarz powagą swoją nie przerwał na chwilę tych zalecanek. Służące napełniały dom łoskotem kastanietów i tańczyły przy chrapliwej pieśni pasterza kóz. Podróżni zaznajamiali się nawzajem i zapraszali na wieczerzę, następnie wszyscy przysuwali się do ogniska, każdy rozповідаł, kim jest, skąd przybywa, a czasami dodawał całą historię swego życia. Dobre to były czasy. Dziś domy zajezdne są daleko wygodniejsze, ale zgiełkliwe i towarzyskie życie, jakie wówczas prowadzono w podróży, miało wdzięk, którego nie potrafię ci opisać. Powiem tylko, że tego dnia tak byłem szczęśliwy, że postanowiłem przez całe życie podróżować, i jak widzisz, dotąd szczerze wypełniam moje przedsięwzięcie.

Tymczasem pewna okoliczność jeszcze silniej utwierdziła mnie w tym zamiarze. Po wieczerzy, gdy wszyscy podróżni zebrali się koło ogniska i każdy z nich opowiedział coś o krajach, jakie przemierzał, jeden z nich, który dotąd ani razu ust nie był otworzył, rzekł:

— Wszystkie przygody doznane w waszych podróżach zasługują na uwagę i pamięć; co do mnie, byłbym rad, aby mi się nigdy nie stało nic gorszego, wszelako, zwiedzając Kalabrię, doznałem przygody tak zadziwiającej, nadzwyczajnej i zarazem strasznej, że dotąd nie mogę jej wymazać z pamięci. Wspomnienie to tak mnie tłoczy, zatrzuwa wszystkie moje przyjemności, że w istocie często dziwię się, jakim sposobem smutek ten nie pozbawia mnie rozumu. —

Podobny początek podniecił ogólną ciekawość słuchaczy. Zaczęto go prosić, aby ulżył sercu opowiedzeniem tak nadzwyczajnych zdarzeń. Podróżny długo wahał się, nie wiedząc, co ma czynić, nareszcie zaczął w te słowa:

Historia Giulia Romati i księżniczki Monte Salerno

Nazywam się Giulio Romati. Mój ojciec Pietro Romati jest jednym z najznakomitszych prawników Palermo, a nawet całej Sycylii. Jak możecie domyślić się, mocno przywiązany jest do swego powołania, które zabezpiecza mu przyzwoity byt, ale mocniej jeszcze do filozofii, której poświęca wszystkie chwile wolne od głównych zatrudnień. Nie chwając się, mogę wyznać, że śmiało postępowałem za nim w obu tych zawodach, gdyż w dwudziestym drugim roku życia byłem już doktorem prawa. Oddawszy się następnie matematyce i astronomii, wkrótce dość umiałem, aby móc komentować Kopernika i Galileusza. Nie mówię wam tego w zamiarze chępcenia się z mojej uczoności, ale mając opowiedzieć wam zadziwiającą przygodę, pragnę, abyście mnie nie uważali za człowieka łatwowiernego lub zabobonnego. Tak jestem daleki od podobnych błędów, że nawet nauką, do której prawie nic się nie przykładalem, była teologia. Co się tyczy innych, zagłębiałem się w nich całą duszą, wytchnienia zaś szukałem tylko w zmianie przedmiotów. Ciągła ta praca wywarła zgubny wpływ na moje zdrowie i ojciec mój, przemyślając nad różnymi sposobami rozerwania mnie, zalecił mi podróż i rozkazał, abym zwiedził całą Europę i dopiero po czterech latach wrócił na Sycylię.

Z początku z trudnością zdołałem oderwać się od moich książek, gabinetu i obserwatorium; ale mój ojciec życzył sobie tego, musiałem więc być posłuszny. W istocie, zaledwie rozpocząłem podróż, natychmiast doznałem niewypowiedzianego milej zmiany. Odzyskałem apetyt, siły, jednym słowem, zupełnie przyszedłem do zdrowia. Z początku podróżowałem w lektyce, ale trzeciego dnia nająłem muła i wesoło puściłem się w dalszą drogę.

¹¹⁸smalić cholewki — zalecać się do kogoś; flirtować z kimś. [przypis edytorski]

Wiele ludzi zna cały świat z wyjątkiem własnego kraju; nie chciałem narazić się na podobny zarzut i w tym celu rozpocząłem podróż od zwiedzenia cudów, jakie natura tak hojnie rozsypała po naszej wyspie. Zamiast udać się prosto nadbrzeżem z Palermo do Mesyny, obrałem drogę przez Castro Nuovo, Caltanissetę i przybyłem do wioski, której nie pamiętam już nazwiska, położonej u stóp Etny. Tam przygotowałem się do wejścia na górę i postanowiłem poświęcić miesiąc na tę wyprawę. W istocie cały ten czas przepędziłem na sprawdzaniu niektórych doświadczeń z barometrem, dotąd nie dość dokładnie wykonywanych. Podczas nocy wpatrywałem się w niebo i z uczuciem niewypowiedzianego szczęścia odkryłem dwie gwiazdy niedostrzegalne z obserwatorium w Palermo, ponieważ znajdowały się znacznie pod jego widnokregiem. Z prawdziwym żalem opuściłem te miejsca, w których zdawało mi się, że rozpływam się w napowietrznych światłach, równie jak w szczytnej harmonii ciał niebieskich, nad których obrotami tyle zastanawiałem się w życiu. Wreszcie niezaprzeczona jest, że rozrzedzone powietrze gór szczególnie działa na nasz organizm, puls bowiem prędeż bije i poruszenia płuc są daleko szybsze. Na koniec zszedłem z góry od strony Katanii.

Miasteczko to zamieszkuje szlachta równie starożytna, ale więcej oświecona od panów z Palermo. Wprawdzie nauki ściśle mało znajdują lubowników¹¹⁹ w Katanii, jak w ogóle na całej naszej wyspie; ale natomiast mieszkańcy gorliwie zajmują się sztukami, dawnymi zabytkami, historią starożytną i teraźniejszą wszystkich ludów, jakie zamieszkiwały Sycylię. Zwłaszcza wykopaliska i masa cennych pamiątek, jakie podczas nich znajdowano, były przedmiotem powszechnych rozmów.

Właśnie podówczas wydobyto nader piękną płytę marmurową pokrytą literami zupełnie nieznanymi. Obejrzawszy ją pilnie, poznałem, że napis był w języku punickim, i za pomocą hebrajszczyzny, którą dość dokładnie posiadam, zdołałem rozwiązać zagadkę w sposób wszystkich zadowalający. Czyn ten zjednał mi pochlebne przyjęcie i pierwsze osoby z miasta pragnęły mnie zatrzymać, zapewniając mi znaczne korzyści pieniężne. Wszelako porzuciwszy rodzinę dla zupełnie innych celów, odrzuciłem ofiary i udałem się drogą do Mesyny. Przez tydzień zatrzymałem się w tym miejscu, sławnym przez swój handel, po czym przebyłem cieśninę i wylądowałem w Reggio.

Dotąd podróż moja była tylko rozrywką, w Reggio jednak przedsięwzięcie nabrało większej wagi. Rozbójnik nazwiskiem Zoto pustoszył Kalabrię, podczas gdy korsarze marokańscy zewsząd uwijali się po morzu. Nie wiedziałem, jakim sposobem dostać się do Neapolu, i gdyby fałszywy wstyd nie był mnie zatrzymał, byłbym niezawodnie wrócił do Palermo.

Ósmy dzień upływał od czasu, jak takowa niespokojność trawiła mnie w Reggio, gdy pewnego wieczora, przechadzając się po porcie, usiadłem na nadbrzeżnych kamieniach, w miejscu, gdzie było najmniej ludzi. Tam zbliżył się do mnie jakiś człowiek ujmującej postaci, okryty szkarlatnym płaszczem. Nie pozdrowiwszy mnie wcale, usiadł i odezwał się w te słowa:

— Czy pan Romati znowu zajmuje się rozwiązaniem jakiego zagadnienia z algebry lub astronomii?

— Bynajmniej — odpowiedziałem — pan Romati chciałby dostać się z Reggio do Neapolu i w tej chwili przemyśliwuje nad rozwiązaniem zagadnienia, jakim sposobem potrafi uniknąć spotkania z bandą pana Zoto.

Natenczas nieznamy, przybrawszy poważną postać, rzekł:

— Panie Romati, zdolności twoje przynoszą zaszczyt twemu krajowi, zaszczyt ten bez wątpienia jeszcze się powiększy, gdy przez nowe podróże rozszerzysz zakres twoich wiadomości. Zoto jest człowiekiem zbyt poważającym naukę, aby miał przeszkadzać ci w tak szlachetnym przedsięwzięciu. Weź te czerwone piórka, zatknij jedno za twój kapelusz, resztę rozdaj swoim ludziom i śmiało puszczaj się w drogę. Co do mnie, jestem tym samym Zotem, którego się tak lękasz i ażebyś nie wątpił o tym, co ci powiadam, patrz, oto są narzędzia mego rzemiosła. —

To mówiąc, odwinął płaszcz i pokazał mi pas z pistoletami i sztyletami, po czym przyjacielsko uściskał mi rękę i zniknął.

¹¹⁹lubownik (daw.) — miłośnik. [przypis edytorski]

Tu przerwałem naczelnikowi Cyganów i rzekłem, że wiele słyszałem o tym rozbójniku i że nawet znam jego synów.

— Ja także ich znam — odparł Pandesowna — tym bardziej że oni razem ze mną zostają w służbie wielkiego szejka Gomelezów.

— Jak to? Ty także w jego służbie? — zawołałem z największym zadziwieniem.

W tej chwili jeden z Cyganów zaszeptał kilka słów do ucha naczelnika, który wstał natychmiast i zostawił mi czas do rozmyślenia nad tym, czego się z ostatnich jego słów dowiedziałem.

„Jakież może być to potężne stowarzyszenie — mówiłem sam do siebie — które zdaje się nie mieć innego celu prócz ukrywania jakiejś tajemnicy lub mamienia mego wzroku dziwnymi obłąkami, których niekiedy zgaduję pewną część, podczas gdy nowe nieprzewidziane okoliczności znowu wtrącają mnie w przepaść zwątpienia. Nie ma wątpliwości, że ja sam jestem jednym ogniwem tego niewidzialnego łańcucha, który coraz ciaśniej mnie krępuje”.

Córki naczelnika które właśnie przybyły, prosząc, abym udał się z nimi na przechadzkę, przerwały moje marzenia. Wstałem i udałem się za nimi. Rozmowa toczyła się w czystym hiszpańskim języku, bez żadnej mieszaniny *jerigonzy*, czyli narzecza cygańskiego. Podziwiałem wykształcenie ich umysłu i wesołą otwartość charakteru. Po przechadzce zastawiono wieczerzę, po czym wszyscy rozeszli się na spoczynek; ale tym razem nie pokazała się żadna z moich kuzynek.

DZIEŃ TRZYNASTY

Naczelnik Cyganów kazał mi przynieść obfite śniadanie i rzekł:

— Señor Alfonsie, zbliżają się nasi nieprzyjaciele, czyli wyraźniej mówiąc, straż celna. Słusznym jest, abyśmy im ustąpili pola bitwy. Znajdą tu paki dla nich przygotowane, reszta bowiem jest już w bezpiecznym miejscu. Posił się śniadaniem, a następnie ruszymy dalej w drogę.

Ponieważ na drugiej stronie doliny widać już było celników, posiłem się więc czym prędzej, a tymczasem cały obóz ruszał naprzód. Błądziliśmy z góry na górę, zapuszczając się coraz głębiej w pustynię Sierra Moreny. Nareszcie zatrzymaliśmy się w głębokim jarze, gdzie nas już oczekiwano i przygotowano obiad. Po zaspokojeniu głodu prosiłem naczelnika o dalszy ciąg historii jego życia, na co ten chętnie przystał i tak dalej mówił:

Dalszy ciąg historii Pandesowny

Zostawiłeś mnie całymi siłami przysłuchującego się zadziwiającemu opowiadaniu Giulia Romati, owóż więc towarzysz nasz tak dalej jął rozpowiadać swoje przygody:

Dalszy ciąg historii Giulia Romati

Znany charakter Zota sprawił, że zupełnie zaufałem jego przyrzeczeniom. Wróciłem niesłychanie zadowolony do mojej gospody i natychmiast posłałem po mulników. Wnet kilku ich przyszło i śmiało ofiarowało mi swoje usługi, rozbójnicy bowiem tak im, jako i ich zwierzętom nie wyrządzali żadnej krzywdy. Wybrałem spośród nich człowieka, który miał powszechnie dobrą sławę. Nająłem jednego muła dla siebie, drugiego dla mego służącego i dwa inne pod juki. Sam mulnik miał także swego muła i dwóch pieszych przewodników.

Nazajutrz o świcie wyruszyłem w drogę i zaledwie oddaliłem się o milę od miasta, gdy ujrzalem małe oddziały Zota, które zdawały się pilnować mnie z daleka i luzowały się z miejsca do miejsca. Tym sposobem, pojmujesz, że nie miałem się czego obawiać.

Podróż wiodła mi się wybornie i zdrowie z każdym dniem polepszało. Już byłem tylko o dwa dni od Neapolu, gdy nagle przyszła mi myśl, aby zboczyć z drogi i zwiedzić Salerno. Ciekawość ta łatwo dawała się usprawiedliwić; długo pracowałem nad historią odrodzenia sztuk, których Salerno we Włoszech było niegdyś kolebką. Wreszcie sam nie wiem, jaki fatalizm ciągnął mnie do przedsięwzięcia tej nieszczęsnej podróży.

Zjechałem z głównego gościńca w Monte Brugio i wzięwszy przewodnika z pobliskiej wioski zapuściłem się w okolicę najdzikszą, jaką tylko można sobie wyobrazić. W południe przybyłem do wpół rozwalonego budynku, który mój przewodnik nazywał gospodą, ale nie poznałem tego bynajmniej po przyjęciu, jakiego doznałem od gospodarza. W istocie

biedak ten zamiast ofiarować mi jakiś posiłek, błagał mnie, abym mu udzielił co z moich zapasów. Na szczęście miałem z sobą mięso na zimno, podzieliłem się więc z nim, z moim przewodnikiem i służącym, mulnicy bowiem zostali w Monte Brugio.

We dwie godziny potem opuściłem to nędzne schronienie i wkrótce spostrzegłem obszerny zamek położony na szczycie góry. Zapytałem mego przewodnika, jak się to miejsce nazywa i czy jest zamieszkanе. Odpowiedział mi, że w kraju nazywano go zwykle *Lo monte* albo też *Lo castello*, że zamek był zupełnie spustoszony i niezamieszkaný, ale że wewnątrz zbudowano kaplicę z kilkoma celami, gdzie franciszkanie z Salerno utrzymywali pięciu lub sześciu zakonników; przy tym dodał z wielką prostotą:

— Dziwne historie rozpowiadają o tym zamku, ale ja żadnej nie umiem na pamięć, gdyż jak tylko kto zacznie o tym mówić, natychmiast uciekam z kuchni i idę do mojej bratowej, Pepy, gdzie zwykle zastaję jednego z ojców franciszkanów, który mi daje swój szkaplerz do pocałowania.

Pytałem go dalej, czy będziemy przejeżdżali koło zamku. Odpowiedział mi, że niebawem dostaniemy się na ścieżkę prowadzącą przez środek góry.

Tymczasem niebo pokryło się chmurami i nad wieczorem zaryczała straszliwa burza. Jak na nieszczęście znajdowaliśmy się na pochyłości góry, które nie dawało nam żadnego schronienia; przewodnik oznajmił nam, że wie o znajdującej się w pobliżu obszernej jaskini, do której jednak droga była nader przykra. Postanowiłem skorzystać z jego rady, ale zaledwie zjechaliśmy między skały, gdy tuż obok nas uderzył piorun. Muł mój upadł, ja zaś stoczyłem się z wysokości kilku sążni; cudownym trafem zaczepiłem się o drzewo i czując, że jestem ocalony, zacząłem wołać na moich towarzyszy, ale żaden mi nie odpowiedział.

Błyskawice z taką szybkością następowały po sobie, że przy ich świetle zdołałem rozpoznać otaczające mnie przedmioty i stanąć na bezpieczniejszym miejscu. Postępowałem naprzód, chwytając się za drzewa i krzaki; tym sposobem dostałem się do małej jaskini, która jednak nie dotykała żadnej ścieżki i nie mogła być tą, o jakiej mi przewodnik wspominał. Ulewa, wicher, grzmoty i pioruny zwiększyły się w dwójnasób. Drżałem cały w przemoczonych moich sukniach i przez kilka godzin musiałem zostawać w tym nieznośnym położeniu. Nagle zdało mi się, że ujrzałem pochodnie migające na dnie wąwozu. Sądziłem, że to byli moi ludzie, jałem ich przyzywać i wkrótce usłyszałem krzyki odpowiedzi.

Niebawem postrzegłem młodego człowieka przyzwoitej postaci z kilku służącymi, z których jedni nieśli pochodnie, drudzy zaś zawiniątka z odzieżą. Młodzieniec uklonił mi się z głębokim uszanowaniem i rzekł:

— Panie Romati, należymy do księżniczki Monte Salerno. Przewodnik, którego pan wzięłeś w Monte Brugio, doniósł nam, że zabłąkałeś się w tych górach, przychodzimy więc po pana z rozkazu księżniczki, racz przywdziać te suknie i pójsz z nami do zamku.

— Jak to — odpowiedziałem — chcesz pan mnie zaprowadzić do tego opuszczonego zamku położonego na szczycie góry?

— Bynajmniej — odparł młodzieniec — ujrzysz pan przepyszny pałac, od którego zaledwie o dwieście kroków jesteście oddaleni.

Myślałem, że w istocie jaka neapolitańska księżniczka ma swój pałac w tych okolicach, ubrałem się więc i pośpieszyłem za moim młodym przewodnikiem. Wkrótce znalazłem się przed przysionkiem z czarnego marmuru, ponieważ jednak pochodnie nie oświecały reszty budynku, nie mogłem dostatecznie o nim sądzić. Młodzieniec opuścił mnie na dole schodów, wszedłem więc sam na górę i na pierwszym zakręcie spostrzegłem kobietę niezwyklej piękności, która mi rzekła:

— Panie Romati, księżniczka Salerno poleciła mi pokazać ci wszystkie piękności swej siedziby.

Odpowiedziałem, że sądząc o księżniczce po jej orszaku niewieścim, musiała ona przewyższać wszelkie wyobrażenie, jakie można było sobie o niej uczynić.

W istocie, przewodniczka moja była tak doskonałej piękności i tak wspaniałej postaci, że zaraz z początku pomyślałem, że kto wie, czyli¹²⁰ to nie była sama księżniczka; zauważyłem także, że nosi na sobie ubiór, jaki spostrzegamy na portretach z przeszłego

¹²⁰czyli — tu: konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

wieku, sądziłem jednak, że to był strój dam neapolitańskich, które upodobały sobie te odwieczne mody.

Weszliśmy naprzód do komnaty, gdzie wszystko było z lanego srebra. Posadzka składała się ze srebrnych kwadratów, jednych polerowanych, drugich nielśniących. Sufit był rzeźbiony, jak w dawnych zamkach. Nareszcie lamperie, oprawy obić, zwierciadła, ramy i stoły zadziwiała wykończeniem dłuta snycerskiego.

— Panie Romati — rzekła mniemana dama honorowa — zbyt długo zatrzymujesz się nad tymi drobnostkami; jest to tylko przedpokój przeznaczony dla pieszej służby księżniczki Monte Salerno.

Nic na to nie odpowiedziałem i weszliśmy do drugiej komnaty, podobnej kształtem do pierwszej, wyjąwszy, że wszystko, co tam było ze srebra, tu było złociste z ozdobami z tego cieniowanego złota, jakie tak wysoko ceniono przed pięćdziesięciu laty.

— Ta komnata — mówiła dalej młoda nieznajoma — należy do szlachty dworskiej, marszałka i innych urzędników naszego dworu; w pokojach księżniczki nie zobaczysz ani złota, ani srebra, tam panuje zupełna prostota: możesz to poznać już z tej sali jadalnej.

To mówiąc, otworzyła boczne drzwi. Weszliśmy do sali, której ściany pokrywał kolorowy marmur, u sufitu zaś naokoło biegł wieniec misternie wyrobiony z białego marmuru. W głębi, we wspaniałych kredensach stały naczynia z górskiego kryształu i czary z najkosztowniejszej indyjskiej porcelany.

Stąd wróciliśmy znowu do komnaty dworzan i przeszliśmy do sali bawialnej:

— Oto jest sala — mówiła dama — która bez wątpienia wzbudzi twój podziw.

Rzeczywiście, stanąłem jak osłupiały i począłem naprzód przypatrywać się posadzce, która była ułożona z lapis lazuli przekładanego twardymi kamieniami na kształt mozaiki florenckiej. Jedna tafła takiej mozaiki kosztuje kilkanaście lat pracy. Rysunek z dala przedstawiał jedną wielką arabeskę, ale przypatrzysz się bliżej szczegółom, spostrzec można było nieskończoną rozmaitość, która dodawała wdzięku całości. W istocie jakkolwiek rysunek wszędzie zdawał się jednakowy, tu jednak wyobrażał najpiękniejsze, różnobarwne kwiaty, ówdzie muszle połyskujące kolorami tęczy, tam znowu motyle, dalej kolibry. Ostatecznie najdroższe kamienie posłużyły do naśladowania tego, co natura ma najpowabniejszego. Środek tej wspaniałej posadzki przedstawiał ubranie kobiece z drogich kamieni otoczone sznurem wielkich pereł. Wszystko wydawało się w płaskorzeźbie jakby rzeczywiste, zupełnie tak jak w stolach florenckich.

— Panie Romati — zauważyła nieznajoma — jeżeli nad wszystkim będziesz tak długo się zastanawiał, nie skończymy nigdy.

Natenczas podniosłem oczy i spostrzegłem obraz Rafaela, który zdawał się być jego pierwszą myślą *Szkoły Ateńskiej*, który jednak piękniejszy był co do kolorytu, z powodu świetności olejnych farb.

Następnie ujrzałem Herkulesa u nóg Omfali; postać Herkulesa była pędzla Michała Anioła, w twarzy kobiety poznałem utwór Guida. Jednym słowem, każdy obraz w tej sali przewyższał w doskonałości wszystko, co dotąd widziałem. Obicie było z gładkiego, zielonego aksamitu, od którego barwy malowidła wybornie się odbijały.

Po obu stronach każdych drzwi stały dwa posągi nieco mniejszej niż zwykła postaci; było ich razem cztery. Jeden był to sławny *Amor* Fidiasza wykuty dla Fryne, drugi *Faun* tegoż sztukmistrza, trzeci prawdziwa *Wenus* Praksytelesa, której medycejska jest tylko kopia, czwarty był *Antinous* nadzwyczajnej piękności. Oprócz tego w oknach stały marmurowe grupy.

Naokoło salonu uszykowane były komody z szufladami, ozdobione nie brązem, lecz misternymi oprawami jubilerskimi obejmującymi kamee, jakie zaledwie można by znaleźć w królewskich gabinetach. Szuflady zawierały zbiory złotych metali ułożone w uczynym porządku.

— Tutaj to — rzekła moja przewodniczka — pani tego zamku przepędza poobiednie godziny, przeglądanie bowiem tych zbiorów nastęrcza tematu do rozmowy równie zabawnej jak pouczającej, ale pozostaje panu jeszcze wiele rzeczy do widzenia, pójdź więc za mną.

Wtedy weszliśmy do sypialni — była to ośmiokątna komnata z czterema alkowami, w każdej zaś stało obszerne, wspaniałe łóże. Nie było tu widać ani lamperii, ani obić,

ani sufitu. Z wytownym smakiem rozwieszony, pokrywał wszystko muślin indyjski haftowany w misterne wzory i tak cienki, że można go było wziąć za mgłę, którą uwięzła w lekką tkaninę sama Arachne.

— Po cóż te cztery łoża? — zapytałem.

— Ażeby można przenieść się z jednego na drugie, w razie gdy upał nie dozwala zasnąć — odpowiedziała piękna nieznajoma.

— Ale dlaczegóż te łoża są tak obszerne? — dodałem po chwili.

— Czasami księżniczka, gdy bezsenność ją trawi, ma zwyczaj przywoływania swoich kobiet. Ale przejdźmy do kąpieli.

Była to okrągła komnata wykładana perłową macicą ze szlakami z koralu. Dokoła sufitu sznur z wielkich pereł utrzymywał frędzle z klejnotów tejże samej wielkości i wody. Sufit składała jedna wielka szyba szklana, przez którą widać było pływające złocone rybki chińskie; zamiast wanny, w środku wprawiony był basen marmurowy, dokoła obłożony sztucznym mchem, pośród którego sterczały najrzadsze indyjskie muszle.

Na ten widok nie mogłem już powstrzymać oznak podziwienia i zawołałem:

— Ach, pani, raj ziemski niczym jest w porównaniu z tym cudownym mieszkaniem!

— Raj ziemski! — krzyknęła młoda kobieta przerażona i prawie z rozpaczą. — Raj! Czy mówiłeś co o raju? Proszę cię, panie Romati, nie wyrażaj się w ten sposób, usilnie cię o to proszę; teraz pójdz za mną.

Natenczas przeszliśmy do ptaszarni, napełnionej wszelkimi rodzajami ptaków zwrotnikowych i wszystkimi miłymi śpiewakami naszego klimatu. Zastaliśmy tam stół nakryty dla mnie samego.

— Jakże możesz pani sądzić — rzekłem do pięknej przewodniczki — aby ktoś mógł myśleć o jedzeniu w tym boskim pałacu? Widzę, że pani nie ma zamiaru dotrzymywać mi towarzystwa, z mojej strony nie odważę się sam zasiąść, chyba pod warunkiem, że pani raczysz opowiedzieć mi niektóre szczegóły o księżniczce, która posiada te wszystkie cuda.

Młoda kobieta wdzięcznie się uśmiechnęła, podała mi jadło, usiadła i zaczęła w te słowa:

— Jestem córką ostatniego księcia Monte Salerno...

— Jak to? Ty, pani?

— Chciałam rzec, księżniczka Monte-Salerno... ale nie przerywaj mi.

Historia księżniczki Monte Salerno

Książę Monte Salerno¹²¹, pochodzący z dawnych udzielnych książąt Monte Salerno, był grandem hiszpańskim, naczelnym wodzem wojsk, wielkim admirałem, wielkim koniuszym, wielkim marszałkiem dworu, wielkim łowczym, jednym słowem, łączył w swojej osobie wszystkie wielkie urzędy królestwa neapolitańskiego. Jakkolwiek sam zostawał w służbie królewskiej, jednakże miał na swoim dworze wiele szlachty, pomiędzy którą była i tytułowana. W liczbie tej ostatniej znajdował się margrabia Spinaverde, pierwszy dworzanin księcia, posiadający całe jego zaufanie, które wszelako podzielał z swoją małżonką margrabiną Spinaverde, pierwszą damą z orszaku księżnej. Miała wówczas dziesięć lat — chciałam rzec, że jedyna córka księcia Monte Salerno miała wówczas dziesięć lat, gdy umarła jej matka. Wtedy to oboje Spinaverde opuścili dom książęcy; mąż, ażeby zająć się ogólnym zarządem dóbr, żona zaś — moim wychowaniem. Zostawili w Neapolu najstarszą córkę imieniem Laura, w której, jak utrzymywano, kochał się sam książę. Matka jej i młoda księżniczka przybyły na mieszkanie do Monte Salerno. Chociaż niewiele zajmowano się wychowaniem młodej Elfridy, natomiast starano się zadość czynić wszelkim jej żądom; przyzwyczajano otaczając ją kobiety do słuchania najmniejszych moich skinień. —

— Skinień pani? — zawołałem.

— Nie przerywaj mi pan, już cię raz o to prosiłam — odparła, po czym tak dalej mówiła:

¹²¹Monte Salerno — w innym tłum. Mont-Salerno. [przypis edytorski]

Zachciało mi się wystawiać cierpliwość moich kobiet na próby wszelkiego rodzaju. Co chwila dawałam im przeciwne rozkazy, których zaledwie połowę były w stanie wypełnić, wtedy karałam je szczypaniem, drapaniem lub wbijaniem im szpilek w ręce i nogi. Niebawem wszystkie mnie porzuciły. Margrabina przysłała mi inne, ale i te nie mogły długo ze mną wytrzymać. Tymczasem mój ojciec ciężko zachorował i udaliśmy się do Neapolu. Ja mało go widywałam, ale oboje Spinaverde nie opuszczali go na chwilę. Nareszcie umarł i w testamencie nazaczył margrabiego jedynym opiekunem córki i zawiadowcą wszelkich ziemskich i ruchomych majątków.

Pogrzeb zatrzymał nas przez kilka tygodni, po czym wróciliśmy do Monte Salerno, gdzie znowu zaczęłam męczyć moje służące. Cztery lata upłynęły na tych niewinnych zatrudnieniach, które były dla mnie tym przyjemniejsze, że margrabina każdego dnia przyznawała mi słusność, zaręczając, że cały świat jest na moje usługi i że nie było dość srogiej kary dla tych, którzy nie chcieli mi być posłuszni.

Pewnego jednak dnia wszystkie moje służące naraz mnie opuściły, tak że wieczorem musiałam rozbierać się sama. Rozplakałam się ze złości i pobiegłam do margrabiny, która mi rzekła:

— Droga, miła księżniczko, osusz twoje piękne oczy, ja sama cię dziś rozbiore, jutro zaś przyprowadzę ci sześć kobiet, z których bez wątpienia będziesz zadowolona.

Nazajutrz, za moim przebudzeniem, margrabina przedstawiła mi sześć młodych i nader pięknych dziewcząt, które na pierwszy rzut oka sprawiły na mnie dziwne wrażenie. One same zdawały się być wzruszone. Ja pierwsza ochłonęłam z mego pomieszania, wyskoczyłam z łóżka, uściskałam je po kolei i zapewniłam, że nigdy nie będą ani bite, ani łajane. W istocie chociaż czasami niezgrabnie poczynały sobie z moim ubiorem lub ośmiały się mnie nie słuchać, nigdy się na nie nie gniewałam. —

— Ależ pani — rzekłem do księżniczki — kto wie, czy te dziewczęta nie były młodymi przebranymi chłopcami. —

Księżniczka przybrała dumną postawę i odparła:

— Panie Romati, proszę cię, abys mi nie przerywał — i po tych słowach tak dalek mówna.

W dniu, w którym skończyłam szesnaście lat, zapowiedziano mi znakomite odwiedziny. Byli to: sekretarz stanu, ambasador hiszpański i ksiązę Guadarrama. Ten ostatni przybywał prosić o moją rękę, pierwsi zaś towarzyszyli mu tylko dla poparcia jego prośby. Młody ksiązę był ujmującej postaci i nie mogę zaprzeczyć, że uczynił na mnie silne wrażenie. Wieczorem wyszliśmy wszyscy na przechadzkę do ogrodu. Zaledwie uczyniliśmy kilka kroków, gdy byk rozjuszony wyskoczył spomiędzy drzew i rzucił się prosto na nas. Ksiązę zabiegł mu drogę z płaszczem w jednej, ze szpadą zaś w drugiej ręce. Byk wstrzymał się na chwilę, wkrótce jednak poskoczył na księcia i padł przesyty jego żelazem. Zdało mi się, że winna jestem życie odwadze i zręczności młodego księcia, ale nazajutrz dowiedziałam się, że koniuszy jego naumyślnie przywiódł tam byka i że pan jego chciał tym sposobem wyświadczyć mi grzeczność wedle zwyczajów swego kraju. Natenczas zamiast czuć wdzięczność, rozgniewałam się za bojaźń, jakiej mnie nabawił, i odrzuciłam ofiarę jego ręki.

Postępek ten niesłuchanie podobał się mojej ochmistrzyni; korzystała z tej sposobności, aby dać mi poznać wszystkie zalety stanu wolnego i wystawiła mi straty, na jakie narażałam się zmieniając stan i nadając sobie pana. Wkrótce potem ten sam sekretarz stanu przyjechał do nas w towarzystwie innego ambasadora i panującego księcia Nudel-Hansberg. Zalotnik ten był wysoki, gruby, tłusty, blondyn, biały aż do siności i ciągle rozmawiał ze mną o majoratach, jakie posiadał w dziedzicznych państwach, ale mówiąc po włosku, strasznie zarywał z niemiecka¹²².

¹²²zarywał z niemiecka — mówił z niemieckim akcentem. [przypis edytorski]

Zacząłam naśladować jego wymowę i tymże samym akcentem zapewniłam go, że jego obecność była niezbędna w majoratach, które posiadał w państwach dziedzicznych. Niemiecki książę wyjechał dotknięty do żywego. Margrabina okryła mnie piaseczkami i ażeby tym pewniej zatrzymać mnie w Monte-Salerno, kazała wykonać wszystkie te piękne rzeczy, które tu podziwiałeś. —

— Zaprawdę, wybornie jej się udało — zawołałem — cudowny ten pałac słusznie może być nazwany rajem ziemskim.

Na te słowa księżniczka powstała z oburzeniem i rzekła:

— Panie Romati, już cię prosiłam, abys nie używał więcej tego wyrażenia — po czym zaczęła śmiać się, ale straszliwym i konwulsyjnym śmiechem, powtarzając ciągle — tak... rajem... ziemskim rajem... ma właśnie oczom mówić... o raju.

Scena ta poczyniała stawać się przykra; księżniczka na koniec przybrała dawną surową postać i groźnie na mnie spojrzawszy, rozkazała, abym udał się za nią.

Natenczas otworzyła drzwi i znaleźliśmy się w obszernych podziemiach, w głębi których połyskiwało jak gdyby srebrne jezioro, które w istocie było z żywego srebra. Księżniczka klasnęła w dłonie i spostrzegłem łódkę kierowaną przez złotego karła. Weszliśmy do łodzi i wtedy dopiero poznałem, że karzeł miał twarz ze złota, oczy diamentowe i usta z koralu. Jednym słowem, był to automat, który za pomocą małych wiosel krajał fale żywego srebra z niesłychaną zręcznością i pędził naprzód łódkę. Ten nowego rodzaju przewodnik wylądował z nami u stóp skały, która otworzyła się, i znowu weszliśmy do podziemia, gdzie tysiące innych automatów przedstawiło nam najdziwaczniejsze widowisko. Pawie roztaczały ogony wysadzone drogimi kamieniami, papugi z szmaragdowymi piórami ulatywały nad naszymi głowami, Murzyni z hebanu na złotych półmiskach przynosili nam wiśnie z rubinów i winogrona z szafirów — nieskończona ilość innych zadziwiających przedmiotów napełniała te cudowne sklepienia, których końca oko nie mogło dojrzeć.

Natenczas, sam nie wiem dlaczego, znowu wzięła mnie chętka powtórzenia tego nieszczęsnego porównania z rajem, aby przekonać się, jakie wrażenie słowo to sprawi tym razem na księżniczce. Ulegając więc niepoważnie ciekawości, rzekłem:

— W istocie można powiedzieć, że pani posiadasz raj na ziemi...

Księżniczka jednak najwdzięczniej mi się uśmiechnęła, mówiąc:

— Ażebyś lepiej mógł osądzić o przyjemnościach tego pobytu, przedstawię ci sześć moich służących.

Przy tych słowach dobyteła złoty klucz zza pasa i otworzyła ogromny kufer, pokryty czarnym aksamitem ze srebrnymi ozdobami. Gdy wieko odskoczyło, ujrzałem wychodzącego kościotrupa, który zbliżał się ku mnie w groźnej postawie. Dobyłem szpady, ale kościotrup, wyrwijając sobie lewą rękę, użył jej zamiast broni i z wściekłością na mnie napadł. Broniłem się dość dzielnie, gdy wtem drugi kościotrup wylał z kufra i wylamując żebro pierwszemu, z całej siły uderzył mnie nim w głowę. Pochwyciłem go za szyję, on obwinął mnie kościstymi rękoma i chciał powalić na ziemię. Nareszcie zdołałem go się pozbyć, ale tu trzeci kościotrup wywlókł się z kufra i złączył z dwoma pierwszymi. Za nim pokazały się jeszcze trzy inne. Wtedy nie mając nadziei wyjścia zwycięzcą z tak nierównej walki, padłem na kolana przed księżniczką i prosiłem ją o miłosierdzie.

Księżniczka rozkazała kościotrupom wrócić do kufra, po czym rzekła:

— Romati, pamiętaj, abys nigdy w życiu nie zapomniiał tego, co tu widziałeś.

W tej samej chwili ścisnęła mnie za ramię, uczułem się sparzony aż do kości i zemdlałem.

Nie wiem, jak długo zostawałem w tym stanie, na koniec obudziłem się i usłyszałem wokoło mnie pobożne śpiewy. Poznałem, że leżałem pośród obszernych zwalisk; chciałem stąd się wydostać i zaszedłem na wewnętrzny dziedziniec, gdzie ujrzałem kaplicę i mnichów śpiewających jutrznie. Po skończonych modlitwach, przeor zaprosił mnie do swojej celi. Poszedłem za nim i starając się zebrać moje zmysły, opowiedziałem mu wszystko, com widział tej nocy. Gdy skończyłem powieść, przeor rzekł:

— Synu mój, nie patrzyłeś¹²³, czyli¹²⁴ księżniczka nie zostawiła ci jakich znaków na ręku?

odwinąłem rękaw i w istocie spostrzegłem ramię oparzone i znaki pięciu palców księżniczki.

Natenczas przeor otworzył skrzynkę stojącą przy jego łóżku i wyjął z niej stary pergamin.

— Oto jest — rzekł — bulla naszego założenia, ona może ci objaśni dzisiejszą twoją przygodę.

Rozwinąłem pergamin i przeczytałem, co następuje:

„Roku Pańskiego 1503, dziewiątego lata panowania Fryderyka króla Neapolu i Sycylii, Elfrida Monte-Salerno, do ostatnich krańców posuwając bezbożność, głośno chępiła się z posiadania prawdziwego raju i wyraźnie zrzekała się tego, jaki nas czeka w przyszłym życiu. Tymczasem pewnej nocy z czwartku na Wielki Piątek trzęsienie ziemi pochłonęło jej pałac, którego zwaliska stały się piekielnym mieszkaniem, gdzie szatan, wróg rodzaju ludzkiego osadził chmarę złych duchów, które długo napastowały i napastują tysiącnymi obłędami odważających się przybliżyć do Monte-Salerno, a nawet prawowiernych chrześcijan zamieszkujących te okolice. Z tego powodu my, Pius III, naczelnik duchowieństwa etc. etc. upoważniamy do założenia kaplicy w samymże środku rzeczonych zwalisk...” itd., itd.

Nie pamiętam już końca bulli, pomnę tylko, że przeor zaręczył mi, że nagabywania stały się daleko rzadsze, że jednakowoż czasami się wydarzały, mianowicie zaś w nocy z czwartku na Wielki Piątek. Zarazem doradził mi, abym kazał zmówić kilkanaście mszy za duszę księżniczki i na jednej z nich sam był obecny. Posłuchałem jego rady i następnie udałem się w dalszą podróż, ale pamięć tej nieszczęsnej nocy zostawiła mi smutne wrażenie, którego nic nie zdoła wymazać, nadto ręka ciągle mocno mi dolega. Przy tych słowach Romati obnażył ramię, na którym spostrzeżliśmy oparzeliznę i ślady palców księżniczki.

Tu przerwałem naczelnikowi, mówiąc mu, że przeglądałem u kabalisty niektóre podania Happeliusa¹²⁵ i że w nich znalazł przygodę nader do tej podobną.

— To być może — odrzekł naczelnik — że Romati nauczył się swojej historii z tej książki, a nawet że całkiem ją zmyślił. Wszelako opowiadanie jego wielce przyczyniło się do podniecenia we mnie chęci do podróży i zwłaszcza nadziei doznania samemu równie nadzwyczajnych przygód, która zresztą zostało tylko nadzieją. Ale taka jest moc wrażeń odebranych w młodocianym wieku, że marzenia te długo zawracały mi głowę i nigdy nie zdołałem zupełnie się z nich otrząsnąć.

— Panie Pandesowna — rzekłem na to — czyliż nie dałeś mi do zrozumienia, że od czasu, jak żyjesz w tych górach, widziałeś rzeczy, które także można by nazwać cudownymi?

— W istocie, widziałem pewne rzeczy, które mi przypomniały historię Giulia Romati.

W tej chwili jeden z Cyganów przerwał naczelnikowi opowiadanie; zastawiono obiad, że zaś Pandesowna miał wiele do czynienia, wziąłem strzelbę i poszedłem na polowanie. Przedarłem się przez kilka pagórków, a gdy rzuciłem wzrokiem na dolinę rozciągającą się pod moimi stopami, zdało mi się, że poznał z daleka nieszczęsną szubienicę dwóch braci Zota. Widok ten podniecił moją ciekawość, przyśpieszyłem kroku i w istocie znalazłem się u wejścia do szubienicy, na której dawnym zwyczajem oba trupy wisiały. Ze zgrozą odwróciłem oczy i smutny wróciłem do naszego obozu. Naczelnik zapytał mnie, gdzie chodziłem, odpowiedziałem mu, że zapuściłem się aż do szubienicy dwóch braci Zota.

— Zastaleś ich obu wiszących? — rzekł Cygan.

¹²³patrzyłeś — daw. konstrukcja z partykulą -że-; znaczenie: czy nie patrzyłeś. [przypis edytorski]

¹²⁴czyli — daw. konstrukcja z partykulą -li; inaczej: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

¹²⁵Happellius Everhardus Guernerus, właśc. Eberhard Werner Happel (1647–1690) — niemiecki uczonec i pisarz, erudyta w wielu dziedzinach, autor dzieł fikcyjnych (powieści) oraz traktatów naukowych i publikacji popularyzatorskich z zakresu historii i polityki, nauk przyrodniczych, wiedzy o krajach azjatyckich itp.; dla ilustracji swych spostrzeżeń chętnie sięgał po anegdoty, scenki obyczajowe czy aforyzmy. [przypis edytorski]

— Jak to? — przerwałem. — Czy oni mają czasami zwyczaj odczepiać się?

— Bardzo często — rzekł naczelnik — zwłaszcza zaś w nocy.

Tych kilka słów pograżyło mnie w rozterce. Znowu więc byłem w sąsiedztwie dwóch przeklętych straszylek; czy zaś to były upiory lub też wymyślone na mnie strachy, zawsze mniemałem, że należało mi ich się obawiać. Smutek dręczył mnie przez resztę dnia, poszedłem spać bez wieczerzy i przez całą noc marzyłem tylko o widmach, upiorach, duchach, zmorach i wisielcach.

DZIEŃ CZTERNASTY

Cyganki przyniosły mi czekoladę i raczyły ze mną śniadać. Następnie znowu wziąłem strzelbę i nie pojmuję, jakie nieszczęsne roztargnienie zaprowadziło mnie do szubienicy dwóch braci Zota. Zastałem ich odczepionych. Wszedłem pod szubienicę i ujrzałem oba trupy leżące wzdłuż na ziemi, a między nimi młodą dziewczynę, w której poznałem Rebekę.

Obudziłem ją, jak można było najłagodniej, jednakowoż widok, którego nie mogłem zasłonić, wtrącił ją w stan niewypowiedzianej boleści. Dostała konwulsji, zaczęła płakać i zemdlą. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do pobliskiego źródła, tam skropiłem jej twarz wodą i stopniowo przywróciłem do zmysłów.

Nigdy nie byłbym odważył się powiedzieć jej, że zastałem ją pod szubienicą, ale ona pierwsza zaczęła o tym mówić.

— Dobrze to wiedziałam — rzekła — że milczenie twoje będzie miało dla nas zgubne skutki. Nie chciałem opowiedzieć nam twojej przygody i stałam się równie jak ty ofiarą tych przeklętych upiorów. Dotąd nie mogę jeszcze wytłumaczyć sobie wszystkich okropności tej nocy. Będę jednak starała się przypomnieć je sobie i zdam ci z nich sprawę, ale nie rozumiałbyś mnie, gdybym nie zaczęła od początku mego życia. —

Rebeka zamyśliła się przez chwilę i w te słowa zaczęła:

Historia Rebeki

Mój brat, opowiadając ci swoje przygody, zaznajomił cię z pewną częścią moich. Ojciec mój przeznaczał go na małżonka dla dwóch córek królowej Saby, co zaś do mnie, chciał, abym zaślubiła dwóch geniuszów przewodniczących konstelacji Bliźniąt.

Mój brat, dumny ze związku, jaki mu zapowiadano, podwoił zapał do nauk kabalistycznych. Ja doznałam zupełnie przeciwnego wrażenia; przestraszała mnie myśl zaślubienia dwóch naraz geniuszów i tak byłam tym przerażona, że nie mogłam ułożyć dwóch wierszy kabały. Każdego dnia odkładałam pracę na jutro i skończyłam na tym, że całkiem zapomniałam tej sztuki, równie trudnej jak niebezpiecznej.

Brat mój niebawem postrzegł moją opieszałość i obsypał mnie najprzykrzejszymi wymówkami. Przyrzekłam mu poprawę, nie myśląc jednak o dotrzymaniu obietnicy. Nareszcie zagroził mi, że oskarży mnie przed ojcem; zaklinałam go, aby mnie oszczędził, wtedy przyrzekł czekać jeszcze do soboty, ale ponieważ dotąd nic jeszcze nie uczyniłam, wszedł do mnie o północy, rozbudził i rzekł, że natychmiast wywoła cię mego ojca — straszliwego Mamuna.

Padłam mu do nóg, wzywałam jego litości, ale nadaremnie. Usłyszałam, jak wymawiał groźną formułę wynalezioną niegdyś Przez Bakowa z Endor. Natenczas na tronie z kości słoniowej ukazał się mój ojciec; wzrok jego zagniewany śmierć mi zadawał, myślałam, że nie przeżyję pierwszego wyrazu, jaki wyjdzie z ust jego. Przemówił jednak. Boże Abrahama i Jakuba! Wyrzekł straszliwe przekleństwo; nie powtórzę ci jego słów...

Tu młoda Izraelitka ukryła twarz w dłonie i zdawała się drżeć na samo wspomnienie tej okropnej sceny, nareszcie przyszła do siebie i tak dalej mówiła:

Nie słyszałam reszty mowy mego ojca, zemdląłam bowiem, zanim skończył. Odzyskawszy zmysły, spostrzegłam mego brata podającego mi księgę *Sefirot*. Myślałam, że znowu stracę przytomność; ale trzeba było poddać się wyrokowi. Mój brat, który dobrze wiedział, że należało wrócić ze mną do pierwszych początków, miał dość cierpliwości i jeden po drugim wszystkie mi je przypominał. Zaczęłam od składania sylab, następnie przeszłam do wyrazów i formuł. Powoli wzniosła ta nauka zupełnie mnie oczarowała.

Przepędzałam całe noce w gabinecie, który służył memu ojcu za obserwatorium i wychodziłam, dopiero gdy światło dzienne przerywało moje badania; wtedy upadałam ze znużenia. Mulatka moja, Zulejka, rozbierała mnie sama, nie wiedziałam kiedy. Po kilku godzinach spoczynku wracałam do zatrudnień, do których bynajmniej nie byłam stworzona, jak to sam wkrótce zobaczysz.

Znasz Zulejkę i zapewne zauważyłeś nadzwyczajną jej piękność. Oczy jej tchną słodyczą, usta umiła rozkoszny uśmiech, ciało zaś zadziwia doskonałością kształtów. Pewnego dnia, wracając z obserwatorium, gdy długo na próżno wołałam na nią, aby przysłała mnie rozebrać, weszłam do jej pokoju i ujrzałam ją przez pół wychyloną za okno, dającą znaki komuś na drugiej stronie doliny i ślącą namiętne pocałunki, w które zdawała się wkładać całą duszę.

Dotąd nie miałam żadnego pojęcia o miłości; wyrażenie tego uczucia po raz pierwszy uderzyło mój wzrok. Tak byłam przejęta podziwieniem, że stanęłam niewzruszona jak posąg. Zulejka odwróciła się: żywy rumieniec przebił orzechową barwę jej płci i rozlał się po całym jej ciele. Ja także zarumieniłam się i nagle zbladłam. Czułam, że odchodzę od zmysłów. Zulejka podbiegła, pochwyciła mnie w swoje objęcia, a serce jej bijące wraz z moim, przelało we mnie zapał, jaki krążył po jej żyłach.

Mulatka rozebrała mnie czym prędzej i gdy położyła mnie w łóżko, zdawała się oddać z większą rozkoszą niż kiedykolwiek. Wkrótce usłyszałam kroki mężczyzny wchodzącego do jej pokoju. Równie szybkim jak mimowolnym poruszeniem zerwałam się z łóżka, pobiegłam do drzwi i przyłożyłam oko do dziurki od klucza. Ujrzałam młodego Mulata Tantzai wnoszącego koszyk napełniony polnymi kwiatami. Zulejka pobiegła naprzeciw niego, wzięła pełne dłonie kwiatów i przycisnęła je do łona. Tantzai zbliżył się, aby oddychać ich zapachem, który mieszał się z westchnieniami jego kochanki. Zulejka zadrżała, dreszcz i mnie wskroś przejął, powiodła po nim błędnymi oczyma i padła w jego objęcia. Obląłam łzami moją pościel, łkania dech mi zatrzymywały i w rozmarzeniu boleści zawołałam:

— Ach moja sto dwudziesta prababko, której imię noszę, łagodna i czuła małżonko Izaaka, jeżeli z łona twego teścia, z łona Abrahama widzisz stan, w jakim się znajduję, ubłagaj cień Mamuna i powiedz mu, że jego córka niegodna jest zaszczytów, które dla niej przeznaczają!

Wołania te zbudziły mego brata; wszedł do mnie i myśląc, że jestem chora, dał mi uspokajające lekarstwo. Wrócił jeszcze w południe i znalazłszy, że puls bije mi gwałtownie, ofiarował się dalej za mnie prowadzić moje prace kabalistyczne. Z wdzięcznością przyjął tę ofiarę, gdyż sama do niczego nie byłam zdolna. Ku wieczorowi zasnęłam i miałam sny cał odmienne od tych, jakie dotąd mnie nawiedzały. Nazajutrz marzyłam na jawie, czyli raczej byłam tak roztargniona, że sama nie wiedziałam, co mówię. Brat mój często rzucał na mnie srogie spojrzenia i wywoływał na lica moje niewytlumaczalny rumieniec. Tym sposobem przeszło osiem dni.

Pewnej nocy, brat mój wszedł do mego pokoju: pod pachą trzymał księgę *Sefirot*, w rękę zaś szarfę z konstelacjami, na której wypisane było siedemdziesiąt dwie nazwy, jakie Zoroaster nadał konstelacji Bliźniąt.

— Rebeko — rzekł do mnie — Rebeko, wyjdź z tego stanu, który cię poniża. Czas jest, abyś spróbowała twej władzy nad istotami żywiołowymi i piekielnymi duchami. Ta szarfa z konstelacjami zabezpieczy cię przed ich natarczywością. Wybierz w okolicznych górach miejsce, które uznasz za najstosowniejsze do twoich działań i pomyśl, że cały twój los od nich zależy.

Po tych słowach brat mój wyprowadził mnie za bramę zamkową i zamknął za mną kratę.

Zostawiona sama sobie wezwałam całej odwagi na pomoc; noc była ciemna, stałam jak wryta w koszuli z bosymi nogami, rozpuszczonym włosiem i księgą w rękę. Zwróciłam kroki na górę, która zdawała mi się być najbliższa. Jakiś pasterz chciał mnie pochwycić, odepchnąłem go ręką, w której trzymałam księgę i padł trupem u mych nóg. Nie będzie to cię dziwiło, gdy się dowiesz, że okładka mojej księgi była wystrugana z drzewa arki, które miało własność niszczenia wszystkiego, czego tylko się dotykało.

Słońce zaczęło wstawać, gdy dostałam się na wierzchołek, który wybrałam do skutecznienia moich działań; nie mogłam jednak ich rozpocząć, jak dopiero nazajutrz o pół-

nocy. Schroniłam się do jaskini, gdzie zastałam niedźwiedzicę z kilkoma niedźwiadkami; rzuciła się na mnie, ale oprawa księgi i tym razem nie była bezskuteczna — zwierzę upadło u mych stóp. Wzdęte jej wymiona przypomniały mi, że umierałam z czczości, nie miałam zaś jeszcze żadnego geniusza, a nawet żadnego ducha błędnego na moje rozkazy. Postanowiłam korzystać ze sposobności i ugasić pragnienie mlekiem niedźwiedzicy. Ostatki ciepła, które zwierzę jeszcze w sobie zachowało, uczyniły mój pokarm mniej odrażającym, ale wtem niedźwiadki przyszyły dopominać się o swoją część. Wyobraź sobie, Alfonsie, szesnastoletnią dziewczynę, która nigdy dotąd nie opuściła domu, gdzie się była urodziła, nagle w tak okropnym położeniu. Wprawdzie miałam w ręku straszliwą broń, ale nie byłam przyzwyczajona jej używać, najmniejsza zaś nieuwaga mogła ją przeciw mnie obrócić.

Tymczasem spostrzegłam, że trawa nagle schła, powietrze rozżarzało się z gwałtownością i ptaki padały martwe w przelocie. Poznałam, że szatany uprzedzone o tym, co miało nastąpić, zaczynały się już zgromadzać. Pobliskie drzewo samo się zapaliło, buchnęło kłębami dymu, które zamiast wznieść się do góry, otoczyły moją jaskinię i pograżyły mnie w ciemnościach. Niedźwiedzica leżąca u mych nóg zdawała się ożywiać i oczy jej zabłyśły ogniem, który na chwilę rozproszył ciemność. Natenczas z paszczy jej wyskoczył zły duch pod postacią skrzydatego węża. Był to Nemrael, duch ostatniego stopnia, którego przeznaczano na moje usługi. Wkrótce usłyszałam rozmowę w języku egregorów, najznakomitszych strąconych aniołów i zrozumiałam, że uczynią mi zaszczyt towarzyszenia przy pierwszym moim wejściu w świat istot pośrednich. Mowa ta jest tą samą, w jakiej Henoch napisał pierwszą swoją księgę, dzieło, nad którym głęboko się zastanawiałam.

Nareszcie Semiarus¹²⁶, księżę egregorów przyszedł oznajmić mi, że czas już zacząć. Wyszedłam z jaskini, roztoczyłam wkoło moją szarfę z konstelacjami, otworzyłam księgę i głośno wymówiłam straszliwe zaklęcia, które dotychczas zaledwie odważałam się czytać po cichu.

Pojmujesz dobrze, że nie jestem w stanie opowiedzieć ci wszystkiego, co się ze mną działo, a nawet nie mógłbyś tego zrozumieć. Dodam tylko, że nabyłam dość silnej władzy nad duchami i że nauczono mnie środków zapoznania się z bliźniętami niebieskimi. Około tego czasu mój brat dostrzegł końce nóg córek Salomona. Czekałam, aż Słońce wejdzie w znak Bliźnięt; z kolei tego dnia, czyli¹²⁷ raczej tej nocy, wzięłam się do dzieła. Wyteżyłam wszystkie siły moje, wreszcie oświadczył mi sen, któremu nie mogłam się oprzeć.

Nazajutrz z rana, gdy Zulejka przyniosła mi zwierciadło, spostrzegłam stojące za sobą dwie ludzkie postacie — obróciłam się, ale nic nie ujrzała; rzuciłam znowu wzrok na zwierciadło i znowu ten sam obraz mi się przedstawił. Ostatecznie zjawisko to wcale nie było straszne. Widziałam dwóch młodzieńców, których postać nieco przewyższała zwykły wzrost ludzki. Barki ich były daleko szersze i trochę zaokrąglone, jak u kobiet; piersi także były wznioślejsze, toczono zaś ramiona wspierali na bokach w postawie, jaką widzimy w posągach egipskich. Błękitno-złote włosy spadały im w pierścieniach na szyje, nie mówię ci już o rysach ich twarzy; możesz sobie wyobrazić piękność półbożków, gdyż w istocie były to bliźnięta niebieskie, poznałam je po małych płomykach połyskujących nad ich głowami.

— Jakżeż byli ubrani ci półbożkowie? — zapytał Rebeke.

— Wcale nie byli ubrani — odrzekła — każdy z nich miał cztery skrzydła z których dwa wyrastały im z ramion i spływały na grzbiet, drugie zaś zataczały się wdzięcznie koło pasa. Jakkolwiek skrzydła te były przezroczyście¹²⁸, atoli iskry srebra i złota, którymi były przetykane, dostatecznie ich zasłaniały.

— Otóż są więc — rzekłam sama do siebie — dwaj niebiescy młodzieńcy, którym przeznaczona jestem za małżonkę. Nie mogłam wewnętrznym wstrzymać się od porównania ich z młodym Mulatem, który tak szczerze kochał Zulejkę, ale zapłonęłam się na tę

¹²⁶ *Semiarus* — w innym oprac. Semjasa. [przypis edytorski]

¹²⁷ *czyli* — czy też. [przypis edytorski]

¹²⁸ *skrzydła te były przezroczyście* — w innym wyd.: jak skrzydła much. [przypis edytorski]

myśl. Spojrzałam w zwierciadło i zdało mi się, że widziałam, jak półbożkowie rzucali mi zagniewane spojrzenia, jakby odgadli moje myśli i obrazili się, że śmiała mimowolnie poniżyć ich tym porównaniem.

Przez kilka następných dni lękałam się spojrzeć w zwierciadło. Nareszcie odważyłam się. Boskie bliźnięta z rękami założonymi na piersiach, łagodnymi i czułymi spojrzeniami rozproszyły moją bojaźń. Nie wiedziałam jednak, co im powiedzieć. Aby wycofać się z tego kłopotu, poszłam po jeden tom dzieł Edrisa, który wy nazywacie *Atlasem*. Jest to najpiękniejsza poezja, jaką posiadamy. Dźwięki wierszy Edrisa naśladują harmonię ciał niebieskich. Nie jestem dość obeznana z językiem tego autora, lękając się więc, czyim¹²⁹ źle nie przeczytała, ukradkiem spojrzałam w zwierciadło, aby przekonać się, jaki skutek wywieram na słuchaczy. Mogłam być zupełnie zadowolona. Thoaminowie spoglądali po sobie wzrokiem pełnym uznania dla mnie i czasami rzucali w zwierciadło spojrzenia, na widok których byłam mocno wzruszona.

W tej chwili brat mój wszedł do pokoju i znikło całe widzenie. Mówił mi o córkach Salomona, których widział tylko końce nóg. Widząc go wesołego, podzieliłam jego radość, tym bardziej, że czułam się przejęta nieznanym dotąd uczuciem. Wzruszenie wewnętrzne, towarzyszące zawsze działaniom kabalistycznym, ustąpiło miejsca słodkiemu rozmarzeniu, o którego rozkoszach dotąd nic nie wiedziałam.

Mój brat kazał otworzyć kratę zamkową, która była zamknięta od czasu mego wyjścia na górę i oddaliśmy się przyjemności przechadzki. Okolica wydała mi się czarowna, pola połyskiwały najświetniejszymi barwami. Spostrzegłam także w oczach mego brata pewien zapal, odmienny od tego, jaki w nim przedtem gorzał do nauk. Zapusciliśmy się w lasy pomarańczowy. On poszedł marzyć w swoją stronę, ja w swoją i powróciliśmy do wypełnienia czarownicymi myślami.

Zulejka, rozbierając mnie, przyniosła zwierciadło; spostrzegłszy, że nie byłam sama, kazałam je odnieść, przekładając sobie, obyczajem strusia, że sama nie widząc, nie będę widziana. Położyłam się i zasnęłam, ale wkrótce najdziwniejsze sny pochwyciły moją wyobraźnię. Zdawało mi się, że w przepaści niebios widziałam dwie świetne gwiazdy¹³⁰, które z kręgu zwierzyńcowego¹³¹ wspaniale się do mnie zbliżały. Nagle wystąpiły z kół i znowu się pokazały, prowadząc za sobą mgławicę z gwiazdozbioru Woźnicy¹³².

Trzy te niebieskie ciała razem przebiegały powietrzną drogę, po czym zatrzymały się i przybrały postać ognistego meteoru. Następnie wyblęły w trzech świetlnych pierścieniach i długo wirując z osobna, zestrzeliły się w jedno ognisko. Wtedy zmieniły się w wielką glorię, czyli światłokrąg otaczający tron z szafirów. Na tronie siedziały Bliźnięta, wyciągały do mnie ramiona i ukazywały miejsce, które miałam zająć między nimi. Chciałam do nich poskoczyć, ale w tej chwili zdało mi się, że Mulat Tanzai chwycił mnie za kibić i wstrzymywał. W istocie, uczułam mocne ściśnienie i nagle ocknęłam się.

Ciemność ogarniała moją komnatę, ale przez szczeliny drzwi ujrzałam światło w pokoju Zulejki. Posłyszałam jej westchnienia i sądziłam, że jest chora. Powinnam była ją zawołać, ale nie uczyniłam tego. Nie wiem, jaka nieszczęsna płochość sprawiła, że znowu pobiegłam do dziurki od klucza. Ujrzałam Zulejkę w objęciach kochanka, zaćmiło mi się w oczach i padłam zemdlna.

Gdy otworzyłam oczy, Zulejka i brat mój stali przy moim łóżku. Rzuciłam na pierwszą piorunujący wzrok i zabroniłam jej pokazywać mi się na oczy. Brat mój zapytał mnie o przyczynę tej srogości; zapłoniona opowiedziałam mu wszystko, co mi się wydarzyło. Odrzekł na to, że od wczoraj sam ich pozenił, że jednak bardzo żałuje, iż nie zdołał przewidzieć tego, co się stało. Wprawdzie tylko wzrok mój był wystawiony na szwank, atoli nadzwyczajna drażliwość Thoaminów mocno go niepokoiła. Co do mnie, postradałam wszystkie uczucia z wyjątkiem wstydu i wolałabym była umrzeć, aniżeli spojrzeć w zwierciadło.

¹²⁹czyim źle nie przeczytała — konstrukcja z partykulą -li- oraz przestawną końcówką czasownika; znaczenie: czy też źle nie przeczytałam. [przypis edytorski]

¹³⁰dwie świetne gwiazdy — chodzi tu o gwiazdy: Kastor i Polluks w konstelacji Bliźniąt. [przypis edytorski]

¹³¹krąg zwierzyńcowy — Zodiak. [przypis edytorski]

¹³²mgławicę z gwiazdozbioru Woźnicy — w wersji z 1804 r. mowa jest o „mglistym pasie Andromedy”; dokonana przez autora poprawka w wersji z 1810 r. przybliży obraz senny do rzeczywistości mapy nieba: Woźnica (Auriga) to gwiazdozbiór przecięty Drogą Mleczną (owym pasem), w sąsiedztwie gwiazdozbioru Bliźniąt. [przypis edytorski]

Brat mój bynajmniej nie znał moich stosunków z Thoaminami, ale wiedział, że nie byłam im obca, bacząc zaś, że oddawałam się coraz głębszemu smutkowi, lękał się, abym nie zaniechała rozpoczętych działań. Gdy słońce miało już wychodzić ze znaku Bliźniąt, uznał za potrzebne uprzedzić mnie o tym. Ocknęłam się jakby ze snu, zadrżałam na myśl niewidzenia więcej moich półbożków, rozłączenia się z nimi na jedenaście miesięcy, nie wiedząc nawet, jakie miejsce zajmuję w ich sercach i czy aby nie staję się zupełnie niegodna ich uwagi.

Postanowiłam pójść do obszernej komnaty zamkowej, gdzie wisiało weneckie zwierciadło sześciolokciowej wysokości¹³³, dla większej jednak pewności samej siebie, wzięłam księgę Edrisa¹³⁴ zawierającą poemat o stworzeniu świata. Usiadłam z daleka od zwierciadła i zaczęłam głośno czytać. Następnie, przerywając i podnosząc nagle głos, ośmieliłam się zapytać Thoaminów, czy byli świadkami tych wszystkich cudów. Wtedy zwierciadło weneckie odczepiło się z haka, na którym wisiało i stanęło przede mną. Ujrzałam Thoaminów; uśmiechali się do mnie z zadowoleniem i pochylili głowy na znak, że rzeczywiście byli obecni przy stworzeniu świata i że w istocie wszystko tak się odbyło, jak pisze Edris.

Tu odwaga we mnie wstąpiła, zamknęłam księgę i utopiłam wzrok w oczach moich boskich kochanków. Chwila tego zapomnienia mogła mnie drogo kosztować. Zbyt wiele jeszcze było we mnie ludzkiej natury, ażeby mogła znieść tak bliskie z nimi zetknięcie. Płomień niebieski błyskający w ich oczach zaledwie mnie nie spalił. Spuściłam wzrok i przyszedłszy nieco do siebie, jęłam czytać dalej, ale właśnie trafiłam na drugą pieśń, tę samą, gdzie wieszcz opisuje miłostki synów Elohima z córkami ludzi. Niepodobna dziś wyobrazić sobie sposobu, jakim kochano w pierwszych wiekach świata. Opisy te, których sama nie rozumiałam, często mnie zastanawiały. Wtedy oczy moje mimowolnie zwracały się ku zwierciadłu i zdawało mi się, że widziałam, jak Thoaminowie z coraz większą rozkoszą słuchali mego głosu. Wyciągali do mnie ramiona, zbliżali się do mego krzesła, roztaczali świetne skrzydła i trzepotali nimi nade mną. Gdy tak spostrzegałam w nich coraz gwałtowniejsze poruszenia, zakryłam dłonią oczy i w tej chwili uczułam na niej pocałunek równie jak na drugiej, którą trzymałam na księdze. Wtedy nagle usłyszałam, jak zwierciadło pękało w tysiąc drobnych kawałków. Zrozumiałam, że Słońce wyszło ze znaku Bliźniąt, które tym sposobem zasyłały mi pożegnanie.

Nazajutrz w innym zwierciadle ujrzałam, jak gdyby dwa cienie albo raczej dwa lekkie zarysy postaci boskich moich kochanków. W dzień potem wszystko znikło. Natenczas dla uprzyjemnienia tęsknoty nieobecności przepędzałam noce w obserwatorium i z okiem przyłożonym do teleskopu, śledziłam moich kochanków aż do ich zniknięcia. Już dawno byli pod widnokregiem, kiedy marzyłam, że jeszcze ich widzę. Nareszcie gdy ogon Raka zniknął przed moim wzrokiem, odchodziłam na spoczynek, a łóżko moje często było oblane mimowolnymi łzami, których przyczyny sama nie znałam.

Tymczasem brat mój, pełen miłości i nadziei, więcej niż kiedykolwiek oddawał się badaniu nauk tajemnych. Pewnego dnia przyszedł do mnie i rzekł, że niezawodne znaki, które spostrzegł na niebie, oznajmiły mu, że sławny adept od dwustu lat zamieszkujący piramidę Saofisa wyjechał do Ameryki i że dwudziestego trzeciego naszego miesiąca Tybi, o siódmej godzinie i czterdziestej drugiej minucie, będzie przejeżdżał przez Kordowę. Tegoż wieczora poszłam do obserwatorium i poznałam, że brat miał słuszność, ale rachunek mój dał mi nieco odmienny wynik. Brat mój utrzymywał, że jego dowodzenie jest prawdziwe, ponieważ zaś zwykł był mocno obstawać przy swoich zdaniach, chciał sam pojechać do Kordowy, ażeby mnie przekonać, że ja a nie on byłam w błędzie. Brat mój mógł skutecznie swoją podróż w tak krótkim czasie, jakiego potrzebuję na powiedzenie ci tych słów; ale chciał użyć przyjemności przechadzki i udał się przez góry, wybierając drogę, gdzie piękne widoki zapowiadały mu najwięcej rozrywki. Tym sposobem przybył do Venta Quemada. Kazał sobie towarzyszyć temu samemu duchowi, który ukazał mi się w jaskini. Polecił mu przynieść sobie wieczrę. Nemrael porwał ucztę przeorowi

¹³³zwierciadło sześciolokciowej wysokości — w wersji tekstu z 1804 r. wysokość lustra ma 9 stóp, w wersji z 1810 r. ma 12 stóp; dokonana przez Potockiego korekta ma na celu wprowadzenie liczby 12 wraz z jej symboliką; zmiana przez tłumacza na 6 łokci nie idzie za tym zamiarem autora. [przypis edytorski]

¹³⁴księgę Edrisa zawierającą poemat o stworzeniu świata — chodzi o pieśń z *Księgi Henocha*. [przypis edytorski]

benedyktynów i zaniósł ją do wenty. Następnie brat mój, nie potrzebując już Nemraela, odesłał go do mnie.

Byłam właśnie wtedy w obserwatorium i ujrzałam na niebie znaki, na widok których zdręźniałam o los mego brata. Kazałam Nemraelowi powrócić do wenty i na krok go nie odstępować. Poleciał i wkrótce przybył na powrót, mówiąc, że władza silniejsza od jego potęgi nie pozwoliła mu przedrzeć się do wnętrza gospody. Niespokojność moja doszła do najwyższego stopnia. Nareszcie ujrzałam cię przybywającego wraz z moim bratem. Dostrzegłam w twoich rysach spokój i pogodę, które mi dowiodły, że nie byłeś kabalistą. Ojciec mój zapowiedział mi, że jakiś śmiertelnik zgubny wpływ na mnie wyrwie.

Wkrótce inne kłopoty całkiem mnie zajęły. Brat mój opowiedział mi przygodę Paszeka i to co jemu samemu się przytrafiło, ale dodał z wielkim moim podziwieniem, że sam nie wiedział, z jakim rodzajem duchów miał do czynienia. Czekaliśmy nocy z najwyższą niecierpliwością, na koniec zapadła i wykonaliśmy najstraszliwsze zaklęcia. Wszystko było na próżno. Nie mogliśmy niczego dowiedzieć się ani o naturze dwóch istot, ani też czy mój brat rzeczywiście utracił swoje prawa do nieśmiertelności. Myślałam, że będziesz mógł nam dać niektóre objaśnienia, ale wierny nie wiem jakiemu tam słowu honoru, nic nie chciałeś powiedzieć.

Natenczas dla usłużenia mego brata i uspokojenia mu, postanowiłam sama przepędzić noc w Venta Quemada i wczoraj wyruszyłam w drogę. Późno już było w nocy, gdy przybyłam do wejścia do doliny. Zebrałam pewne wyziewy z których złożyłam błędny ognek i rozkazałam, aby mi przewodniczył. Jest to tajemnica zostająca w naszej rodzinie, za pomocą której Mojżesz, rodzony brat siedemdziesiątego trzeciego mego przodka, utworzył słup przyświecający Izraelitom na puszczy¹³⁵.

Mój błędny ognek wybornie się zapalił i zaczął ulatywać przede mną, wszelako nie obrał najkrótszej drogi. Spostrzegłam jego nieposłuszeństwo, ale nie zwracałam na nie zbytnej uwagi. Północ była, gdy stanęłam u celu. Przybywszy na podwórze wenty, spostrzegłam światło w środkowej izbie i usłyszałam harmonijną muzykę. Siadłam na kamiennej ławce i zaczęłam niektóre działania kabalistyczne, które jednak pozostały bez żadnego skutku. Wprawdzie muzyka czarowała mnie i rozrywała do tego stopnia, że w tej chwili nie mogę ci powiedzieć, czyli moje działania były dokładnie czynione i sądzę, że musiałam chybić w jakim ważnym punkcie. Na koniec byłam przekonana o ich nieomyślności i sądząc, że w gospodzie nie było ani duchów, ani szatanów, wywnioskowałam, że musieli tam być ludzie i oddałam się rozkoszy słuchania ich śpiewów. Głosem tym towarzyszył instrumentu strunowego, ale muzyka tak zgadzała się ze śpiewem, że żadna harmonia ziemiska nie może iść w porównanie z tym, co słyszałam.

Śpiewy te budziły we mnie rozkoszne myśli, o jakich dotąd nie miałam wyobrażenia. Długo przysłuchiwałam się im z ławki, ale na koniec trzeba było wejść, gdyż w istocie po to tylko przybyłam. Otworzyłam drzwi do środkowej izby i ujrzałam dwóch wysokich i kształtnych młodzieńców siedzących przy stole, jedzących, pijących i wyśpiewujących z całego serca. Ubiór ich był wschodni — na głowach mieli turbany, piersi i ramiona nagie, za pasami zaś błyskała im kosztowna broń. Dwaj nieznajomi, których wzięłam za Turków, powstali, podali mi krzesło, napełnili mi talerz i szklankę i znowu zaczęli śpiewać przy towarzyszeniu teorbenu, na którym kolejno przygrywali.

Uprzejmy ich sposób obejścia wzbudzał zaufanie. Głód mi nieco dokuczał, zaczęłam więc jeść, że zaś nie było wody, napiłam się więc wina. Natenczas przyszła mi chętka śpiewania z młodymi Turkami, którzy zdawali się uszczęśliwieni z mego głosu. Zanuciłam miłosną pieśń hiszpańską, odpowiedzieli mi podobnymi myślami na te same rymy. Zapytałam ich, gdzie nauczyli się po hiszpańsku.

— Jesteśmy rodem z Morei¹³⁶ — odpowiedział mi jeden z nich — i żeglarze z powołania, łatwo więc nauczyliśmy się języka portów, do których przybijamy: ale porzućmy miłosne śpiewy hiszpańskie, posłuchaj teraz narodowych naszych pieśni.

Cóż ci więcej powiem, Alfonsie; głos ich brzmiał melodią, która unosiła duszę przez wszystkie odcienia uczucia, a gdy rozczulenie dochodziło do najwyższego stopnia, niespo-

¹³⁵na puszczy (przestarz.) — na pustyni. [przypis edytorski]

¹³⁶Morea — jedno z określeń Peloponezu we wczesnym średniowieczu; nazwa ta nawiązuje do obfitości występowania drzew morwowych. [przypis edytorski]

dziewane dźwięki nagle powracały w szaloną wesołość. Jednakże nie dałam się obłąkać tym pozorom; spoglądałam bacznie na mniemanych marynarzy i zdawało mi się, że znalazła w nich nadzwyczajne podobieństwo z boskimi moimi Bliźniętami.

— Jesteście Turkami — rzekłam — urodzonymi w Morei?

— Bynajmniej — odpowiedział ten, który dotąd się jeszcze nie był odezwał — nie jesteśmy wcale Turkami, ale Grekami rodem ze Sparty, wylęgłymi z jednego jaja.

— Z jednego jaja?

— Ach, boska Rebeko — przerwał drugi — możesz¹³⁷ tak długo nas nie poznawać? Jestem Polluks, to zaś mój brat.

Poskoczyłam z krzesła i schroniłam się do kąta izby. Mniemane Bliźnięta przybrały kształty zwierciadlane i roztoczyły skrzydła. Czułam, że unosiły mnie w powietrze, ale szczęśliwym natchnieniem wymówiłam święte słowo, które ja i mój brat sami tylko znamy spomiędzy wszystkich kabalistów. Natychmiast zostałam strącona na ziemię. Upadek ten pozbawił mnie zmysłów i twoje dopiero starania mi je powróciły. Niezawodne uczucie przekonywa mnie, że nic nie straciłam z tego, com powinna była zachować, ale zmęczona jestem tymi wszystkimi nadzwyczajnymi zjawiskami. Boskie Bliźnięta! Nie jestem godna waszej miłości. Urodziłam się na zwyczajną śmiertelniczkę.

Na tych słowach Rebeka skończyła swoje opowiadanie i pierwszą moją myślą było, że drwiła ze mnie od początku do końca i że chciała tylko nadużywać mojej łatwowierności. Porzuciłam ją dość porywczo i zacząwszy rozmyślać nad tym, co słyszałam, tak sam do siebie mówiłam:

— Albo ta kobieta jest w spółce z Gomelezami i pragnie wystawić mnie na próbę i wymóc, ażebym przeszedł na muzułmańską wiarę, albo też dla innych jakich powodów chce wyrwać mi tajemnicę o moich kuzynkach; co zaś do tych ostatnich, bez wątpienia jeżeli nie są szatanami, w takim razie zostają w służbie Gomelezów.

Właśnie zajęty byłem tymi myślami, gdym spostrzegł, że Rebeka zakreślała koła w powietrzu i inne tym podobne czarodziejskie wydziwiania. Po chwili złączyła się ze mną i rzekła:

— Doniosłam bratu o miejscu mego pobytu i jestem pewna, że wieczorem tu przybędzie. Tymczasem pośpieszmy do obozu Cyganów.

Oparła się szczerze na moim ramieniu i przybyliśmy do starego naczelnika, który przyjął Żydówkę z oznakami głębokiego szacunku. Przez cały dzień Rebeka postępowała z wielką naturalnością i zdawała się zapominać o tajemniczych naukach. Gdy nad wieczorem brat jej przybył, odeszli razem, ja zaś udałem się na spoczynek. Ległszy w łóżku, rozmyślałem jeszcze nad opowiadaniem Rebeki, ale ponieważ pierwszy raz w życiu słyszałem o kabale, o adeptach i o znakach niebieskich, nie mogłem wynaleźć żadnego stanowczego zarzutu i w tej niepewności zasnąłem.

DZIEŃ PIĘTNASTY

Obudziłem się dość wcześnie i czekając na śniadanie, poszedłem na przechadzkę. Spostrzegłem z daleka kabalistę, który z siostrą prowadził żwawą rozmowę. Odwróciłem się, nie chcąc im przerywać, ale wkrótce ujrzałem, że kabalista dążył w stronę obozu, Rebeka zaś z pośpiechem ku mnie się zbliżała. Postąpiłem kilka kroków naprzeciw niej i razem udaliśmy się na przechadzkę, nie odzywając się prawie do siebie. Nareszcie piękna Izraelitka pierwsza przerwała milczenie i rzekła:

— Panie Alfonsie, uczynię ci zwierzenie, które nie będzie dla ciebie obojętne, jeżeli w każdym razie los mój nieco cię obchodzi. Porzucam raz na zawsze nauki kabalistyczne. Tej nocy głęboko rozmyślałam nad tym postanowieniem. I na cóż mi ta próżna nieśmiertelność, jaką mój ojciec chciał mnie obdarzyć? Czyliż i bez tego nie jesteśmy wszyscy nieśmiertelni? Czyliż nie mamy złączyć się razem w przybytku sprawiedliwych? Pragnę używać tego krótkiego życia, przepędzić go z prawdziwym małżonkiem, nie zaś z gwiaz-

¹³⁷możesz — konstrukcja z partykułą -że o znaczeniu pytającym; inaczej: czy masz; czybyś miała. [przypis edytorski]

dami. Chcę być matką, widzieć dzieci moich dzieci i potem, znudzona i syta życia, chcę zasnąć w ich objęciach i ulecieć na łono Abrahama. Co myślisz o tym zamiarze?

— Potwierdzam go z całej siły — odpowiedziałem — ale cóż na to brat twój powiada?

— Z początku — rzekła — uniósł się szalonym gniewem, ale następnie obiecał mi, że to samo uczyni, jeżeli będzie musiał wyrzec się córek Salomona. Zaczeka więc, dopóki słońce nie wejdzie w znak Panny i potem przedsięwzięcie nieodzowny zamiar. Tymczasem chciałby dowiedzieć się, co to były za upiory, które naigrawały się z niego w Venta Quemada i nazywały się Eminą i Zibeldą. Nie chciał sam zadawać ci względem nich pytań, utrzymuje bowiem, że nie wiesz więcej od niego. Tego wieczora jednak chce przywołać Żyda Wiecznego Tułacza, tego samego, którego widziałeś u pustelnika. Spodziewa się, że będzie mógł powziąć od niego niektóre wiadomości.

Podczas gdy Rebeka tak mówiła, zawiadomiono nas, że śniadanie jest już gotowe; zastawiono je w obszernej jaskini, dokąd pochowano także namioty, gdyż niebo zaczynało pokrywać się chmurami. Niebawem zagrzmiała straszna burza. Widząc, że jesteśmy skazani na przepędzenie reszty dnia w jaskini, prosiłem starego naczelnika, ażeby ciągnął dalej swoją historię, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Przypominasz — sobie panie Alfonsie historię księżniczki Monte Salerno, którą mi opowiadał Giulio Romati, mówiłem ci jakie uczyniła na mnie wrażenie. Gdy odeszliśmy na spoczynek, w pokoju przyświecał nam tylko słaby blask lampy. Lękałem się spoglądać na ciemne kąty izby, zwłaszcza zaś na pewną skrzynię, gdzie gospodarz zwykł był przechowywać swój owies i jęczmień. Zdawało mi się, że lada chwila ujrzę wychodzących z niej sześciu kościotrupów księżniczki. Zawinąłem się w moją kołdrę, ażeby nic nie widzieć i wkrótce zasnąłem.

Dzwonki mułów nazajutrz wcześniej mnie rozbudziły; jako jeden z pierwszych byłem na nogach. Zapomniałem i o Romatim i o księżniczce i myślałem tylko o rozkoszy z dalszego ciągu mojej podróży. W istocie, była ona nader przyjemna. Słońce, zakryte nieco chmurami, nie paliło nas nadzwyczajnie i mulnicy postanowili cały dzień jechać bez odpoczynku, zatrzymując się tylko przy studni Dos Leones, gdzie droga do Segowii łączyła się z gościńcem do Madrytu. Miejsce to zdobią piękne drzewa, dwa zaś lwy wyrzucające wodę do marmurowej wanny niemało przyczyniają się do podniesienia jego uroku.

Było już południe, kiedyśmy tam przybyli i zaledwie stanęliśmy na miejscu, gdy ujrzeliśmy wielu podróżnych ciągnących drogą od Segowii. Na pierwszym mule otwierającym pochod siedziała młoda dziewczyna, jak się zdawało, mego wieku, chociaż w istocie była nieco starsza.

Prowadzący jej muła *zagal* był to siedemnastoletni chłopiec, ale przystojny i dobrze ubrany, chociaż w zwykłej odzieży stajennych posługaczów. Za nimi postępowała kobieta w podeszłym wieku, którą można było wziąć za moją ciotkę Dalanosę, nie tak dla podobieństwa rysów, jak raczej ruchów i całej postaci, zwłaszcza zaś dla tego samego wyrazu dobroci rozlanego na jej twarzy. Służący zamykali pochod.

Ponieważ my przybyliśmy pierwsi, przeto zaprosiliśmy podróżnych do podzielenia naszego posiłku, który rozstawiano pod drzewami; kobiety przyjęły, ale ze smutkiem, szczególnie zaś młoda dziewczyna. Czasami spoglądała czule na młodego mulnika, który gorliwie jej usługiwał, na co leciwa dama patrzyła z politowaniem i łzami w oczach. Zauważyłem ich zmartwienie i rad bym był powiedzieć im coś pociesającego, ale nie wiedząc, jak zacząć, zajądałem w milczeniu.

Ruszyliśmy w drogę; dobra moja ciotka przysunęła się do starszej damy, ja zaś zbliżyłem się do młodej dziewczyny i widziałem, jak młody mulnik pod pozorem poprawiania siodła, dotykał się jej nogi lub ręki, czasami zaś całował jej stopę.

Po dwóch godzinach dostaliśmy się do Olmedo, gdzie mieliśmy zatrzymać się na nocleg. Ciotka moja kazała wynieść stolki przed drzwi gospody, gdzie zasiadła z towarzyszką podróży. Po chwili poleciała mi, abym kazał przynieść czekolady. Wszedłem do domu i poszukując naszych ludzi, znalazłem się w pokoju, gdzie ujrzałem młodą dziewczynę w objęciach swego mulnika. Oboje zalewali się rzewnymi łzami. Na ten widok mało mi serce nie pękło, rzuciłem się na szyję młodego mulnika i rozplakałem się prawie do szaleństwa. W tym momencie nadeszły obie damy. Moja ciotka, niesłychanie wzru-

szona, wyciągnęła mnie z pokoju i zapytała o przyczynę tych łez. Nie wiedząc, dlaczego płakaliśmy, nie umiałem jej na to odpowiedzieć. Gdy usłyszała, że płakałem bez żadnej przyczyny, nie mogła wstrzymać się od śmiechu. Tymczasem druga dama zamknęła się z młodą dziewczyną, usłyszeliśmy, jak szlochały razem i nie pokazały się aż do wieczery.

Biesiada nasza nie była ani długa, ani wesoła. Gdy zebrano ze stołu, ciotka moja obróciła się do leciwej damy i rzekła:

— Señora, niech mnie niebo uchowa od złych sądów o bliźnich, zwłaszcza zaś o tobie, która wydajesz się mieć duszę dobrą i prawdziwie chrześcijańską. Z tym wszystkim jednak miałam szczęście wieczerzania z panią i zawsze będę się tym szczyliła. Tymczasem oto mój synowiec widział, jak córka pani ścisnęła prostego mulnika, wprowadzie pięknego chłopca, z tej strony nie mam mu nic do zarzucenia, ale zdziwiłam się, zauważywszy, że pani nie znajdowałaś w tym nic nagannego. Bez wątpienia... nie mam żadnego prawa... ale mając zaszczyt wieczerzania z panią... przy tym droga do Burgos jest dość daleka...

Tu ciotka moja tak się zaplątała, że nigdy nie byłaby wybrnęła z kłopotu, gdyby druga dama, w sam czas jej przerywając, nie była rzekła:

— Tak jest, słuszne pani masz prawo, po tym co widziałas, pytać się o powody mego pobrażania. Powinna bym o nich zamilczeć, ale widzę, że nie przystoi, abym ukrywała przed panią, cokolwiek się mnie dotyczy.

To mówiąc, zacna dama dobyteła chustki, otarła oczy i zaczęła w te słowa:

Historia Marii de Torres

Jestem najstarszą córką don Emmanuela Noruña, ojdora¹³⁸ najwyższego sądu w Segowii. W osiemnastym roku życia zostałam poślubiona don Henrykowi de Torres, byłemu pułkownikowi wojsk hiszpańskich. Matka moja umarła na kilka lat wprzódy, ojca utraciliśmy we dwa miesiące po moim małżeństwie i przyjęliśmy do naszego domu młodszą moją siostrę, Elwirę, która wówczas miała dopiero czternasty rok, ale już na całą okolicę słynęła pięknnością. Puścizna po moim ojcu była prawie żadna. Co się tyczy mego męża, ten posiadał dość znaczne dobra, ale przez urządzenia familijne musiał dawać roczne pensje pięciu kawalerom maltańskim i płacić długi sześciu spokrewnionych z nami zakonnic, tak że ostatecznie dochód nasz zaledwie wystarczał na przyzwoite utrzymanie. Wszelako wsparcie roczne, przyznane przez dwór memu mężowi, polepszało nieco nasze położenie.

Było wówczas w Segowii wiele szlacheckich domów, które nie były zamożniejsze od naszego. Złączone wspólną korzyścią, wprowadziły zwyczaj ścisłej oszczędności. Rzadko kiedy jedni drugich odwiedzali, kobiety nie wyglądały przez okna, mężczyźni nie zatrzymywali się na ulicach. Grano wiele na gitarze, wdychano jeszcze więcej, gdyż to wszystko nic nie kosztowało. Fabrykanci sukna wigoniowego¹³⁹ żyli wystawnie, ale ponieważ nie byliśmy w stanie ich naśladować, przeto mściliśmy się, gardząc nimi i wysmiewając ich na wszystkie strony.

Im bardziej siostra moja podchodziła w lata, tym więcej gitar brzęczało na naszej ulicy. Niektórzy z grajków wdychali, podczas gdy inni brzdąkali lub też wdychali i brzdąkali zarazem.

Piękności miejskie usychały z zazdrości, ale ta, która była przedmiotem tych hołdów, bynajmniej nie zwracała na nie uwagi. Siostra moja prawie zawsze kryła się w swoim pokoju, ja zaś, aby nie okazać się niegrzeczną, siadałam w oknie i przemawiałam do każdego kilka wdzięcznych słów. Był to konieczny obowiązek, od którego nie mogłam się uwolnić, wszelako gdy ostatni brzdąkacz odchodził, zamykałam okno z niewypowiedzianą przyjemnością. Mąż mój i siostra czekali na mnie w jadalnym pokoju. Siadaliśmy do skromnej wieczerzy, którą ożywiałyśmy tysiącnymi żartami z zakochanych. Każdy dostawał swoją część i mniemam, że gdyby byli słyszeli, co o nich mówiono, nazajutrz żaden nie byłby powrócił. Rozmowy te nie były bardzo miłosierne, wszelako oddawaliśmy się im z taką rozkoszą, że często późno w nocy szliśmy dopiero na spoczynek.

Pewnego wieczora, gdy mówiliśmy o ulubionym przedmiocie, Elwira, przybrawszy poważną postać, rzekła:

¹³⁸oidor (hiszp.) — sędzia wojskowy. [przypis edytorski]

¹³⁹wigoniowy — wykonany z wigonii, tj. przędzy z sierści wigonia, najmniejszego z wielbłądotnych. [przypis edytorski]

— Czy uważałaś, moja siostrzo, że jak tylko wszyscy brzdąkacze odejdą z ulicy i zagaśnie światło w naszym bawialnym pokoju, słychać dwie lub trzy ballady¹⁴⁰ śpiewane raczej przez mistrza niż przez zwykłego dyletanta?

Mąż mój potwierdził te słowa i dodał, że sam już uczynił był tę samą uwagę. Przypomniałam sobie, że w istocie słyszałam coś podobnego, i zaczęliśmy żartować z mojej siostry i nowego jej kochanka. Jednakowoż zdało nam się, że przyjmowała te żarty z mniejszą wesołością niż zazwyczaj.

Nazajutrz, pożegnawszy brzdąkaczów i zamknąwszy okna, zgasila światło i zostałam w pokoju. Wkrótce usłyszałam głos, o którym siostra mi mówiła. Śpiewak zaczął od uczonej przygrywki, po czym zawiódł pieśń o rozkoszach tajemnicy, drugą o bojaźliwej miłości i potem nic już nie słyszałam. Wychodząc z pokoju, ujrzałam moją siostrę przysłuchującą się pode drzwiami. Udałam, że nic nie widzę, ale przy wieczerzy zauważyłam, że często wpadała w zadumę i roztargnienie.

Tajemniczy śpiewak codziennie powtarzał swoje serenady i tak przyzwyczaił nas do swoich pieśni, że dopiero wysłuchawszy go, siadaliśmy do wieczerzy. Stałość ta i tajemnica rozbudziły ciekawość Elwiry i wywarły na niej wrażenie. Śród tego dowiedzieliśmy się o przybyciu do Segowii nowej osoby, która mocno zajęła wszystkich. Był to hrabia Rovellas, wypędzony z dworu i jako taki nader ważny w oczach mieszkańców prowincji. Rovellas urodził się w Veracruz; matka jego, rodem Meksykanka, wniosła w dom jego ojca ogromny majątek, ponieważ zaś wówczas Amerykanie dobrze byli widziani u dworu, młody zatem kreol przebył morze w nadziei otrzymania tytułu granda. Możesz sobie wyobrazić, *señora*, że urodziwszy się w nowym świecie, niewiele miał pojęcia o zwyczajach starego. Pomimo to jednak olśniewał zbytkiem i sam nawet król raczył bawić się jego prostodusznością. Gdy atoli wszystkie jego dziwactwa pochodziły z wygórowanej miłości własnej, skończył na tym, że powszechnie się z niego śmiano.

Młodzi panowie mieli wówczas zwyczaj wybierania sobie dam swych myśli. Nosili ich barwy i w niektórych razach ich cyfry¹⁴¹, na przykład na turniejach, czyli tak zwanych *parejas*.

Rovellas, który był niesłychanie dumny, wywiesił cyfry księżniczki Asturii¹⁴². Królowi myśl ta bardzo się podobała, ale księżniczka, czując się mocno obrażona, posłała nadwornego alguazila, który aresztował hrabiego i zawiózł go do więzienia w Segowii. Po odsiedzeniu ośmiu dni w zamknięciu przeznaczono mu miasto za więzienie. Powód tego wygnania nie był nader szlachetny, wszelako hrabia wszystko umiał obracać na swoją korzyść. Z przyjemnością więc rozmawiał o swojej niełasce i dawał do zrozumienia, że księżniczka nie była obojętna na jego oświadczenia.

Rzeczywiście, Rovellas posiadał wszystkie rodzaje miłości własnej. Był przekonany, że umie wszystko i że każdy zamiar potrafi przyprowadzić do skutku, szczególnie zaś chełpił się ze sztuki zwalczania byków, śpiewania i tańca. Nikt nie był dość niegrzeczny, aby się z nim sprzeczać o dwa ostatnie przymioty, byki tylko nie okazywały tak wykwintnego wykształcenia. Wszelako hrabia przy pomocy swoich matadorów uważał się za niezwykłego.

Powiedziałam ci już, że domy nasze były zamknięte, z wyjątkiem pierwszych odwiedzin, które zawsze przyjmowaliśmy. Mój mąż był człowiekiem powszechnie poważanym, równie dla urodzenia, jako dla zasług wojskowych, Rovellas przeto uznał za stosowne zacząć od naszego domu. Przyjął go na balkonie, ów zaś stał na dworze, wedle zwyczajów naszego kraju, które kładą znaczny rozdział między nami a mężczyznami przychodzącymi nas odwiedzać.

Rovellas mówił wiele i z łatwością. Pośród rozmowy moja siostra weszła i usiadła przy mnie. Hrabia tak był zachwycony pięknnością Elwiry, że stanął jak skamieniały. Wyjął kilka wyrazów bez żadnego związku i następnie zapytał, jaka jest jej ulubiona barwa. Elwira odpowiedziała, że dotąd żadnej nie dała pierwszeństwa.

— Pani — przerwał hrabia — ponieważ oznajmiasz mi taką obojętność, z mojej strony wypada mi objawić smutek i kolor ciemny będzie odtąd jedyną moją barwą.

¹⁴⁰*ballady* — w innym oprac.: *segedille*. [przypis edytorski]

¹⁴¹*cyfry* — tu: inicjały. [przypis edytorski]

¹⁴²*księżniczka Asturii* — córka króla Hiszpanii, Filipa IV, Maria Teresa zw. Austriaczką (1638–1683), która w 1660 r. poślubiła Ludwika XIV, króla Francji. [przypis edytorski]

Moja siostra wcale nie przyzwyczajona do podobnych grzeczności, nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Rovellas wstał, pożegnał się z nami i odszedł. Tego jeszcze wieczora dowiedzieliśmy się, że wszędzie, gdzie był z odwiedzinami, o niczym nie mówił, jak tylko o piękności Elwiry, nazajutrz zaś doniesiono nam, że zamówił czterdzieści ciemnych liberii wyszywanych złotem i czarnym jedwabiem. Odtąd nie usłyszeliśmy więcej tkliwych wieczornych pieśni.

Rovellas, znając zwyczaj szlacheckich domów Segowii, który nie pozwalał często przyjmować, z pokorą poddał się swemu losowi i przepędzał wieczory pod naszymi oknami, razem z młodzieżą dobrze urodzoną, która wyświadczała nam ten zaszczyt. Ponieważ nie otrzymał godności granda, większa zaś część naszych młodych znajomych należała do kastylijskich *titolados*, panowie ci zatem uważali go za równego i stosownie z nim postępowali. Wszelako bogactwa nieznacznie odzyskały swoją przewagę. Wszystkie gitary milkły, gdy on grał i hrabia przewodził tak w rozmowie, jak i na koncertach.

Ta wyższość nie czyniła jeszcze zadość dumie Rovellasa; pałał niepowściągniętą chęcią potykania się z bykiem w naszej obecności i tańcowania z moją siostrą. Oświadczył nam więc z wielkim szumem, że kazał sprowadzić sto byków z Guadarramy, i otoczyć parkanem obszerny plac tuż obok amfiteatru, gdzie po skończeniu widowisk towarzystwo będzie mogło przepędzać noc na tańcach. Kilka tych słów uczyniło niesłychane wrażenie w Segowii. Hrabia postanowił wszystkim zawrócić głowy i jeżeli nie zniszczyć, to przynajmniej nadwerzężyć majątki wszystkich.

Zaledwie rozeszła się wieść o walce byków, gdy naraz ujrzano naszych młodych ludzi biegających jakby oszołomionych, uczących się postaw przyjętych w walkach, zamawiających bogate szaty i szkarłatne płaszcze. Sama odgadniesz, *señora*, co przez ten czas porabiały kobiety. Przymierzały wszystkie, jakie tylko miały, suknie i stroje na głowy, jednym słowem, sprowadzono modniarki i krawców, a kredyt zastąpił miejsce bogactw.

W dzień potem Rovellas o zwykłej godzinie przyszedł pod nasze okna i rzekł nam, że kazał przywieźć z Madrytu dwudziestu pięciu pasztetników i cukierników i prosił nas, abyśmy zawyrokowały o ich zdolnościach. W tej samej chwili wzrok nasz napęłnił się widokiem służących w ciemnej liberii szamerowanej złotem, którzy na złocistych tacach przynosili chłodne potrawy.

Nazajutrz powtórzyła się ta sama historia i mąż mój słusznie począł się gniewać. Nie uznawał za stosowne, aby drzwi naszego domu stały się miejscem publicznych schadzek. Raczyl poradzić się mnie w tej mierze; byłam, jak w ogóle zawsze, tego samego zdania, postanowiliśmy więc wyjechać do małego miasteczka Villaca, gdzie posiadaliśmy dom i grunta. Tym sposobem nawet łatwiej mogliśmy zastosować naszą teorię oszczędności, chybić kilka balów i widowisk hrabiego, a w następstwie oszczędzić kilka niepotrzebnych wydatków na stroje. Ponieważ jednak dom w Villaca wymagał naprawy, musieliśmy zatem odłożyć nasz wyjazd o trzy tygodnie. Jak tylko zamiar ten został ogłoszony, natychmiast Rovellas nie krył się z swoją boleścią, jako też z uczniami, którymi pałał ku mojej siostrze. Elwira tymczasem, jak mi się wydaje, zupełnie zapomniała o tkliwym wieczornym głosie, pomimo to jednak przyjmowała oświadczenia hrabiego z przyzwonością oziębłością.

Powinno być wspomnieć, że wówczas syn mój miał dwa lata — od tego czasu znacznie wyrósł, jak to *señora* widziałaś, on to bowiem jest tym młodym mulnikiem, który podróżuje z nami. Chłopiec ten, nazwany Lonzeto, był jedyną naszą pociechą, Elwira kochała go równie jak własna matka i mogę wyznać, że on nas tylko rozweselał, gdy byliśmy znudzone cklivymi oświadczeniami, jakie wyprawiano pod naszymi oknami.

Zaledwie postanowiliśmy udać się do Villaca, gdy Lonzeto zachorował na ospę. Łatwo pojąć naszą rozpacz; dnie i noc przepędzaliśmy przy jego łóżku, a przez cały ten czas tkliwy wieczorny głos znowu wyśpiewywał tęskne pieśni. Elwira płonila się, jak tylko śpiewak zaczynał przygrywać, pomimo to jednak gorliwie zajmowała się Lonzetem. Nareszcie wyzdrowiało drogie dziecko, okna nasze znowu otworzyły się dla wdychających, ale tajemniczy śpiewak umilkł.

Gdy tylko pokazałyśmy się w oknie, wnet Rovellas stawil się przed nami, oznajmil, że walka byków tylko z naszego powodu była spóźniona, i prosił, abyśmy naznaczyły dzień widowiska. Odpowiedziałyśmy na tę grzeczność jak należało. Nareszcie wyznaczono ów sławny dzień na następną niedzielę, która niestety zbyt wczesnie nadeszła dla biednego hrabiego.

Nie będę wdawała się w opisy szczegółów tego widowiska. Kto widział jedno, ma wyobrażenie o reszcie. Wiadomo jednakże, że szlachta nie potyka się tak, jak ludzie gminnego urodzenia. Panowie wjeżdżają konno i zadają bykowi jeden raz rejonem, czyli dzirytem, po czym powinni sami otrzymać jedno uderzenie, ale konie już są tak wyuczone, że cios rozjuszonego zwierzęcia zaledwie draśnie je po grzbiecie. Wtedy szlachetny przeciwnik ze szpadą w ręku zeskakuje z konia. Ażeby to się powiodło, trzeba mieć *toro franco*, czyli żeby byk był otwarty, nie zaś złośliwy. Tymczasem służba hrabiego przez zapomnienie wypuściła *toro marrajo*, który był przeznaczony do czego innego. Znawczy natychmiast poznali błąd, ale Rovellas był już w szrankach i nie było sposobu wycofania się. Udał, że nie spostrzega grożącego mu niebezpieczeństwa, zatoczył koniem i zadał bykowi raz dzirytem w prawą łopatkę, sam zaś przewinął rękę i pochylił ciało między rogi zwierzęcia, jak tego wymagały przepisy sztuki.

Zraniony byk udał, że ucieka ku drzwiom, ale zwracając się nagle, poskoczył na hrabiego i podniósł go na rogi z taką gwałtownością, że koń upadł na zewnątrz, jeździec zaś został w szrankach. Wtedy byk zawrócił na niego, zaczął rogiem kołnierz jego sukni, zakręcił nim w powietrzu i odrzucił go na drugą stronę placu walki. Po czym widząc, że ofiara wymknęła się jego wściekłości, jął szukać ją rozjuszonymi oczyma i nareszcie spostrzegłszy hrabiego leżącego prawie bez ducha, spoglądał nań z coraz wzrastającą złością, kopał ziemię nogami i bił biodra ogonem. W tej samej chwili jakiś młody człowiek wskoczył w szranki, pochwycił szpadę i płaszcz czerwony Rovellasa i stanął przed bykiem. Złośliwe zwierzę uczyniło kilka mylnych obrotów, które jednak nie oszukały nieznanego, nareszcie wściekły byk, pochyliwszy rogi do ziemi, uderzył na niego, wbił się na podstawioną mu szpadę i padł martwy u stóp zwycięzcy. Nieznajomy rzucił szpadę i płaszcz na byka, spojrzął na naszą łożę, skłonił się nam, wyskoczył ze szranków i znikł w tłumie. Elwira uściśnęła mnie za rękę i rzekła:

— Jestem pewna, że to nasz tajemniczy śpiewak.

Gdy naczelnik Cyganów kończył to opowiadanie, jeden z jego powierników przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności, prosił nas więc, abyśmy pozwolili odłożyć dalszy ciąg do jutra, i wyszedł zatrudniać się rządami swego małego państwa.

— W istocie — rzekła Rebeka — przykro mi, że przerwano naczelnikowi jego opowiadanie. Zostawiliśmy hrabiego leżącego w szrankach i jeżeli do jutra nikt go nie podniesie, lękam się, aby nie było za późno.

— Nie obawiaj się — przerwałem — i bądź pewna, że bogacza nie tak łatwo opuszczają; możesz zaufać jego służbie.

— Masz słuszość — mówiła Żydówka — wreszcie nie to mnie niepokoi, ale chciałabym dowiedzieć się nazwiska wybawcy i czyli¹⁴³ to jest ten sam tajemniczy śpiewak?

— Ależ zdawało mi się — zawołałem — że pani wiesz o wszystkim!

— Alfonsie — odparła — nie wspominaj mi więcej o naukach kabalistycznych, pragnę tylko to wiedzieć, co sama słyszę, i nie chcę znać innej nauki, jak tylko uszczęśliwienia tego, kogo pokocham.

— Jak to? Więc uczyniłaś już wybór?

— Bynajmniej, o nikim dotąd nie myślałam; nie wiem, dlaczego wyobrażam sobie, że człowiek mojej wiary z trudnością zdoła mi się podobać, nie zaślubię nigdy człowieka waszego wyznania, zostaje mi więc tylko jaki mahometanin. Powiadają, że mieszkańcy Tunisu i Fezu są nader piękni i przyjemni. Abym tylko znalazła człowieka z czułym sercem, niczego więcej nie wymagam.

— Ależ — dodałem — skąd ta odraza do chrześcijan?

— Nie pytaj mnie o to, wiedz tylko, że nie mogę zmienić wiary, chyba na mahomekańską.

Sprzeczałyśmy się jakiś czas tym sposobem, gdy jednak rozmowa zaczęła się rwać, pożegnałem młodą Izraelitkę i przepędziłem resztę dnia na polowaniu. Wróciłem dopiero na wieczór. Zastaliśmy wszystkich nader wesołych. Kabalista rozprawił o Żydzie Wiecznym Tułaczku; utrzymywał, że jest on już w drodze i niebawem przybędzie z głębi Afryki. Rebeka rzekła:

¹⁴³czyli — inaczej: czy też. [przypis edytorski]

— Panie Alfonsie, ujrzyś tego, który znał osobiście przedmiot twego ubóstwiania.

Słowa te Żydówki, mogły mnie zaplatać w niemiłą dla mnie rozmowę, zacząłem więc mówić o czym innym. Bylibyśmy szczerze pragnęli usłyszeć tego wieczora dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów, ale prosił nas o pozwolenie odłożenia jej na jutro. Udaliśmy się na spoczynek i zasnąłem nieprzerwanym snem.

DZIEŃ SZESNASTY

Śpiew koników polnych, tak żywy i bezustanny w Andaluzji, wczesnie rozbudził mnie ze snu. Powaby natury coraz silniej działały na moją duszę. Wyszedłem z namiotu, aby przyrzeć się połyskowi pierwszych promieni słońca, roztaczających się po niezmiernym widnokręgu. Pomyślałem o Rebecce:

„Ma słuszość — rzekłem sam do siebie — że przenosi rozkosze życia ludzkiego i materialnego nad czcze marzenia idealnego świata, do którego i tak prędeż czy później się dostaniemy. Czyliż ta ziemia nie przedstawia nam dość rozmaitych uczuć, rozkosznych wrażeń, ażeby używać ich podczas krótkiego naszego pobytu?”

Podobne uwagi zaprzątnęły mnie przez chwilę, po czym widząc, że wszyscy udawali się do jaskini na śniadanie, zwróciłem kroki w tę samą stronę. Posilaliśmy się jako ludzie oddychający powietrzem gór i po zaspokojeniu głodu, prosiliśmy naczelnika Cyganów, aby raczył dalej ciągnąć swoje opowiadanie, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Mówiłem wam, że przybyliśmy na drugi nasz nocleg od Madrytu do Burgos i że znajdowaliśmy się tam z młodą dziewczyną zakochaną w młodym chłopcu przebranym za mulnika, synu Marii de Torres. Ta ostatnia powiedziała nam, że hrabia Rovellas leżał prawie martwy na drugim końcu szranków, podczas gdy młody nieznajomy na przeciwnej stronie śmiertelnym ciosem ugodził byka gotującego się dobrać swoją ofiarę. Co dalej się stało, sama Maria de Torres wam opowie.

Dalszy ciąg historii Marii de Torres

Jak tylko straszliwy byk powalił się we własnej krwi, służba hrabiego poskoczyła mu na pomoc. Ranny nie dawał żadnego znaku życia; położono go na nosze i zanieiono do domu. Widowisko, jak można domyślić się, nie miało już racji bytu i każdy wrócił do siebie.

Tego samego wieczora, dowiedzieliśmy się, że Rovellas wyszedł z niebezpieczeństwa. Nazajutrz mąż mój posłał z zapytaniem o jego zdrowie. Paź nasz długo nie powracał, nareszcie przyniósł nam list zawarty w tych słowach:

„Señor Pułkowniku, don Henrique de Torres!

Przeczytawszy niniejsze, przekona się Wasza Miłość, że łaska Stwórcy raczyła mi pozostawić ostatki sił. Jednakowoż nieznośne boleści, jakich doznaję w piersiach, każą mi powątpiewać o zupełnym wyleczeniu.

Wiesz zapewne *señor* don Henrique, że Opatrzność obdarzyła mnie mnogimi dobrami tego świata. Pewną część takowych przeznaczam szlachetnemu wybacwcy, który narażał dni swoje dla ocalenia moich. Z reszty nie mogę uczynić lepszego użytku, jak składając ją u stóp nieporównanej Elwiry de Noruña. Racz więc, *señor*, oświadczyć jej ode mnie szczerze i prawe uczucia, jakie natchnęła temu, który może wkrótce stanie się garstką popiołu i prochu, ale któremu niebo pozwala jeszcze podpisywać się jako

Hrabia Rovellas, Margrabia de Vera Lonza y Cruz-Velada, dziedziczny komandor Tallaverde y Rio Floro, pan na Tolasquez y Riga Fuera y Mendez y Lonzos, y otros, y otros, y otros”.

Dziwi cię to, *señora*, że pamiętam tyle tytułów, ale żartami nazywaliśmy nimi moją siostrę tak, że nareszcie wyuczyliliśmy się ich na pamięć.

Skoro tylko mój mąż otrzymał ten list, przeczytał nam go i zapytał moją siostrę, co ma odpowiedzieć. Elwira odrzekła, że we wszystkim chce stosować się do rad mego męża, ale

przy tym dodała, że przymioty hrabiego mniej ją uderzyły niż wygórowana miłość własna, która przebijająca się w jego słowach i uczynkach.

Mój mąż doskonale rozumiał prawdziwe znaczenie tych słów i odpowiedział, że Elwira była jeszcze zbyt młoda, aby mogła cenić jego ofiary, że jednak łączyła swoje życzenia do tych, które zanoszono o jego wyzdrowienie. Hrabia bynajmniej nie przyjął tej odpowiedzi za odmowną, przeciwnie, wszędzie mówił o swoim małżeństwie z Elwirą jako o rzeczy zupełnie już ułożonej, my zaś tymczasem wyjechaliśmy do Villaca.

Dom nasz, na samym końcu miasteczka, jakby na wsi, był w czarującym położeniu. Wewnętrzne urządzenie odpowiadało widokowi. Na przeciwko naszego mieszkania stała chata wieśniacza ozdobiona ze szczególniejszym smakiem. Ganek ocieniała masa kwiatów, okna były wielkie i przezroczyste, w prawym rogu wznosiła się mała ptaszarnia, słowem, wszystko oddychało starannością i świeżością. Powiedziano nam, że domek ten został zakupiony przez pewnego labradora z Murcji. Rolnicy, których w naszej prowincji nazywają labradorami, należą do zamożnej klasy, pośredniej między szlachtą a włościanami.

Późno już było, gdy dostaliśmy się do Villaca. Zaczęliśmy od zwiedzenia naszego domu od strychu aż do piwnicy, po czym kazaliśmy wynieść krzesła przed drzwi i zasiedliśmy do czekolady. Mąż mój żartował z Elwiry, mówiąc o ubóstwie domu, w którym raczyła mieszkać przyszła hrabina Rovellas. Wkrótce potem ujrzeliśmy wracający z pola pług zaprzężony czterema potężnymi wołami. Krępy chłopak poganiał je, za nim zaś postępował młody człowiek z równego mu prawie wieku dziewczyną. Młody labrador miał szlachetną postawę i gdy zbliżył się do nas, poznałyśmy w nim z Elwirą wybawcę Rovellasa. Mąż mój nie zwracał na niego uwagi, ale siostra rzuciła mi spojrzenie, które doskonale rozumiałam. Młodzieniec uklonił nam się jak człowiek, który nie chce zabierać znajomości i wszedł do swego domku. Towarzyszka jego baczenie nam się przypatrywała.

— Piękna para, nieprawdaz? — rzekła nam *doña* Manuela, nasza gospodyni.

— Jak to: piękna para? — zawołała Elwira. — Więc to małżeństwo?

— Nie inaczej — odparła Manuela — i jeżeli mam prawdę powiedzieć, jest to związek zawarty przeciw woli rodziców. Jakaś porwana dziewczyna. Nikt tu o tym nie wątpi i zaraz poznaliśmy, że to nie są wieśniacy.

Mój mąż zapytał Elwirę, dlaczego się tak obruszyła i dodał:

— Mógłby kto mniemać, że to jest nasz tajemniczy śpiewak.

W tej chwili w domku na przeciwko usłyszeliśmy przygrywki na gitarze i głos, który potwierdził podejrzenia mego męża.

— Dziwna rzecz — rzekł — ale ponieważ jegomość ten jest żonaty, przeto serenady jego należały zapewne do jednej z naszych sąsiadek.

— W istocie — dodała Elwira — byłam pewna, że pieśni te były dla mnie.

Rozśmieliśmy się z tej prostoduszności i przestaliśmy o nim mówić. Przez sześć tygodni, które przepędziliśmy w Villaca, okiennice przeciwnego domku były ciągle zamknięte i nie widzieliśmy więcej naszych sąsiadów. Zdaje się nawet, że przed nami opuścili miasteczko.

Po upływie tego czasu dowiedzieliśmy się, że Rovellas przyszedł już nieco do zdrowia i że walki byków miały się znowu rozpocząć, wszelako bez osobistego uczestnictwa hrabiego. Wróciliśmy do Segowii, gdzie od razu wpadliśmy na same uroczystości, biesiady, widowiska i bale. Zabiegi hrabiego wzruszyły serce Elwiry i wesele odbyło się z niewidzianym dotąd przepychem.

We trzy tygodnie po ślubie hrabia dowiedział się, że położono koniec jego wygnaniu i że wolno mu pokazać się na dworze. Z radością mówił o wprowadzeniu tam mojej siostry. Wszelako przed wyjazdem z Segowii chciał dowiedzieć się nazwiska swego wybawcy, kazał więc ogłosić przez woźnego, że kto mu doniesie o miejscu pobytu nieznajomego torreadora, otrzyma w nagrodę sto sztuk złota, z których każda ważyła osiem pistołów. Nazajutrz odebrał następujący list:

„Panie hrabio!

Wielmożny Pan zadajesz sobie niepotrzebny trud. Zaniechaj zamiaru poznania człowieka, który ocalił ci życie, i poprzestań na przekonaniu, że zgubiłeś go na wieki”.

Rovellas pokazał ten list memu mężowi i rzekł mu dumnie, że pismo to musiało pochodzić od jakiego współzalatnika, że nie wiedział, iżby Elwira miała być z kim przedtem miłosne stosunki i że — w takim razie nigdy nie byłby pojął jej za żonę. Mój mąż prosił hrabiego, aby raczył być ostrożniejszy w swoich słowach i odtąd zerwał z nim wszelkie stosunki.

O wyjeździe na dwór zupełnie przestano myśleć. Rovellas stał się ponury i popędliwy. Cała jego miłość własna obróciła się w zazdrość, a zazdrość następnie w zatajoną gwałtowność. Mąż mój, opowiedziawszy mi treść bezimiennego listu, wywnioskował, że wieśniak z Villaca musiał być przebrany kochankiem. Posłaliśmy, by dowiedzieć się bliższych szczegółów, ale nieznajomy znikł, chatę zaś od dawna kto inny kupił. Elwira była przy nadziei, tailśmy więc przed nią powody zmiany uczuć jej małżonka. Dobrze ona je postrzegała, ale nie wiedziała czemu tę nagłą obojętność przypisać. Hrabia oświadczył, że chcąc zostawić żonę spokojniejszą, postanowił sam przenieść się do innego mieszkania. Widywał ją tylko w godzinach obiadowych, rozmowa wtedy ciężko się wlokła i prawie zawsze przybierała szyderczą barwę.

Gdy moja siostra zbliżała się do chwili rozwiązania, Rovellas wymyślił ważne sprawy, które powoływały go do Kadyksu, i w tydzień potem ujrzelśmy urzędowego posłańca, który oddał list Elwirze, prosząc ją, aby raczyła go przeczytać wobec świadków. Zebraliśmy się wszyscy i usłyszeliśmy co następuje:

„Pani!

Odkryłem twoje stosunki z don Sanchem de Peña Sombre. Od dawna domyślałem się zdrady, ale pobyt jego w Villaca przekonał mnie o twojej niegodziwości, niegrabnie pokrytej siostrą don Sancha, która udawała jego żonę. Bez wątpienia moje bogactwa dawały mi pierwszeństwo; nie będziesz ich jednak podzielała, gdyż już się więcej nie zobaczymy. Wszelako zapewnię twój los, chociaż nie uznam dziecka, które nosisz w twym łonie”.

Elwira nie doczekała końca tego pisma i przy pierwszych słowach padła zemdłona. Mój mąż tego wieczora pojechał, ażeby pomścić krzywdę mojej siostry. Rovellas tylko co wsiadł był na okręt i popłynął do Ameryki, Mój mąż zabrał się na drugi okręt, ale straszliwa burza obu ich pochłonięła. Elwira wydała na świat dziewczynę, którą widzisz tu ze mną i we dwa dni potem umarła. Jakim sposobem ja zostałam przy życiu, nie pojmuję tego, ale sądzę, że nadmiar mojej boleści dał mi siłę do zniesienia jej.

Nazwałam dziewczynkę Elwirą i starałam się o zapewnienie jej puścizny po ojcu. Powiedziano mi, że należało się udać do sądu meksykańskiego. Pisałam do Ameryki. Oznajmiono mi, że spadek został podzielony między dwudziestu pobocznych krewnych i że dobrze wiadano, że Rovellas nie chciał uznać dziecka mojej siostry. Cały mój dochód nie byłby wystarczyl na opłacenie dwudziestu kart procedury sądowej. Poprzestałam więc na potwierdzeniu w Segowii urodzenia i stanu Elwiry, sprzedałam nasz dom w mieście i wyjechałam do Villaca z moim blisko trzyletnim Lonzetem i Elwirą, która miała tyleż miesięcy. Największym moim zmartwieniem był widok przeciwnego domku, który przeklęty nieznajomy zamieszkiwał niegdyś wraz z nieszczęsną swoją miłością. Nareszcie przyzwyczaiałam się i dzieci moje stały się jedyną dla mnie pociechą.

Już blisko rok upływał od czasu, jak mieszkałam w Villaca, gdy pewnego dnia otrzymałam z Ameryki list następującej treści:

„Pani!

Niniejsze pismo przesyła ci nieszczęśliwy, którego pełna uszanowania miłość stała się przyczyną nieszczęść twojej rodziny. Szacunek, jaki miałem dla nieodżałowanej Elwiry, był może większy od miłości, której na pierwszy jej widok doznałem. Zaledwie więc wtedy ośmielałem się dać słyszeć mój głos i moją gitarę, gdy ulica była już pusta i nie miałem świadków mojej śmiałości.

Gdy hrabia Rovellas oświadczył się niewolnikiem wdzięków krępujących moją wolność, naówczas uznałem za stosowne, zataić w sobie najlżejsze iskierki płomienia, który mógł stać się zgubny dla Twojej siostry; dowiedziawszy się jednak, że miałyście panie przepędzić pewien czas w Villaca,

poważylem się nabyć mały domek i tam, ukryty za żaluzjami, spoglądałem na tę, do której nie ośmieliłem się nigdy przemówić, a tym mniej oświadczyć jej moje zapęły. Miałem przy sobie siostrę, która uchodziła za moją żonę dla usunięcia wszelkich pozorów mogących dać do zrozumienia, że byłem przebrany kochankiem. Niebezpieczna choroba mojej matki powołała nas w jej objęcia, a za moim powrotem Elwira nosiła już nazwisko hrabiny Rovellas. Oplakałem stratę dobra, na które wszakże nigdy nie byłbym się poważył podnieść oczu i poszedłem ukryć mój żal w puszczech drugiej połowy świata. Tam to doszła mnie wiadomość o niegodziwościach, jakich byłem niewinną przyczyną, i o występku, o który oskarżano moją miłość pełną czci i poszanowania. Oświadczam więc, że hrabia Rovellas haniebnie skłamał, utrzymując, że mój szacunek dla nieporównanej Elwiry mógł być przyczyną, dla której stałem się ojcem jego dziecięcia.

Oświadczam, że to jest fałsz i przysięgam na wiarę i zbawienie, nikogo innego nie pojąć za żonę, jak tylko córkę boskiej Elwiry. Będzie to dostateczny dowód, że ona nie jest moją córką. Na poświadczenie tej prawdy, klnę się Najświętszą Panną i drogocenną krwią Jej Syna, który oby mi towarzyszył w ostatniej godzinie.

Don Sancho de Peña Sombre

PS. Poleciłem potwierdzenie tego listu korregidorowi¹⁴⁴ z Acapulco i kilku świadkom, racz pani to samo kazać uczynić przez najwyższy sąd w Segowii”.

Zaledwie dokończyłam czytania tego listu, powstałam z miejsca, przeklinając don Sancha i jego miłość pełną poszanowania:

— Ach, niegodziwco — mówiłam — dziwaku, belzebubie, szatanie, lucyperze!! Dlaczegoż byk, którego zabiłeś w naszych oczach, raczej z ciebie nie dobył wnętrzości? Twój przeklęty szacunek spowodował śmierć mojej siostry i mego męża. Skazałeś mnie na życie łez i nędzy, a teraz przychodzisz żądać w małżeństwo dziesięciomiesięczne dziecko — niech cię niebo... niech cię piekło...

Wypowiedziawszy wszystko, co miałam na sercu, pojechałam do Segowii, gdzie kazałam potwierdzić list don Sancha. Przybywszy do miasta, znalazłam interesy nasze w jak najgorszym stanie. Wyplaty za dom sprzedany zatrzymano za roczne pensje, które dawał mi pięciu kawalerom maltańskim, wsparcie zaś pobierane przez mego męża dla mnie zupełnie ustało. Ułożyłam się ostatecznie z pięcioma kawalerami i sześcioma zakonnica mi tak, że za cały majątek został mi tylko w Villaca dom z przyległościami. Schronienie to stało się tym dla mnie droższe i powróciłam do niego z większą niż kiedykolwiek przyjemnością.

Zastałam dzieci zdrowe i wesołe, zachowałam kobietę, która miała o nie pierwsze starania, zresztą jeden służący i drugi chłopiec od pługa składali się na całą moją służbę. Tym sposobem żyłam bez zbytku, ale i bez nędzy. Urodzenie moje i urząd, jaki mąż mój zajmował, nadawały mi znaczenie w całym miasteczku i każdy, czym mógł, tym mi się przysługiwał. Tak minęło sześć lat — obym nigdy w życiu nie doznała była nieszczęśliwszych.

Pewnego dnia alkad naszego miasteczka przyszedł do mnie (wiedział on dobrze o szczególnym oświadczeniu don Sancha) i rzekł:

— Pozwól pani, abym ci powinszował świetnego małżeństwa, jakie oczekuje twoją siostrzenicę. Przeczytaj, pani, ten artykuł.

Don Sancho de Peña Sombre, wyświadczywszy królowi ważne przysługi, tak przez nabycie dwóch prowincji bogatych w miny srebra, położonych na północ nowego Meksyku, jako też przez roztropność, z jaką uśmierzył powstanie w Cuzco, zostaje wyniesiony do godności granda hiszpańskiego z tytułem hrabiego de Peña-Velez. W tej chwili Jego Królewska Mość raczyła go wysłać na Wyspy Filipińskie w stopniu generalnego gubernatora.

¹⁴⁴ *corregidor* — stanowisko w administracji Hiszpanii łączące w sobie obowiązki burmistrza i sędziego. [przebieg edytorski]

— Dzięki niech będą niebu — odpowiedziałam alkadowi; — Elwira jeżeli nie męża, to przynajmniej będzie miała opiekuna. Oby mógł szczęśliwie powrócić z wysp, być mianowany wicekrólem Meksyku i pomóc nam do odzyskania naszego majątku.

Życzenia moje we cztery lata potem zostały spełnione. Hrabia de Peña-Velez otrzymał godność wicekróla i wtedy napisałam do niego list, wstawiając się za moją siostrzenicą. Odpowiedział, że krzywdziłam go okrutnie, sądząc, że mógł zapomnieć o córce boskiej Elwiry, że nie tylko nie był winny podobnego zapomnienia, ale nadto uczynił już stosowne kroki u rządu meksykańskiego, że proces będzie trwał długo, że nie śmiał przyspieszać jego biegu, ponieważ pragnąc poślubić moją siostrzenicę, nie wypadało, ażeby dla własnej korzyści zmieniał zwyczaje sprawiedliwości. Poznałam, że don Sancho nie odstąpił od swego zamiaru.

Jakiś czas potem bankier z Kadyksu przysłał mi tysiąc sztuk złota, każda po osiem pistolew, nie chcąc powiedzieć, od kogo pochodziła ta suma. Domyśliłam się, że była to grzeczność wicekróla, ale nie chciałam przyjąć ani nawet dotknąć się tych pieniędzy i prosiłam bankiera, ażeby zostawił je u siebie.

Staralam się wszystkie te wypadki zachować w jak najściślejszej tajemnicy, ale ponieważ nie ma rzeczy, której by ludzie nie odkryli, dowiedziano się zatem w Villaca o zamiarach wicekróla względem mojej siostrzenicy i odtąd nie nazywano jej inaczej jak małą wicekrólową. Elwira miała wówczas jedenaście lat; bez wątpienia drugiej dziewczynie marnienia te byłyby zawróciły głowę, ale jej serce i umysł wzięły inny kierunek nieprzystępny próżności i dumie. Na nieszczęście za późno tylko spostrzegłam, że od dziecięcych lat nauczyła się wymawiać wyrazy kochania i miłości, przedmiotem zaś tych uczuć przedwczesnych był mały jej brat cioteczny, Lonzeto. Często myślałam o rozłączeniu ich, ale nie wiedziałam, co począć z moim synem. Napominałam moją siostrzenicę i zyskałam tyle tylko, że odtąd kryła się przede mną.

Wiesz, *señora*, że na prowincji, zabawa nasza składa się jedynie z czytania powieści lub nowel i deklamowania romansów z towarzyszeniem gitary. Posiadaliśmy w Villaca ze dwadzieścia tomów tej pięknej literatury i pożyczaliśmy je jedni drugim. Zakazałam Elwirze brać którąkolwiek z tych książek do ręki, ale gdy pomyślałam o zakazie, ona już większą ich część umiała na pamięć.

Dziwna rzecz, że mały mój Lonzeto miał umysł równie skłonny do romantyczności. Oboje rozumieli się doskonale i kryli przede mną, co nie przychodziło im z wielką trudnością, wiadomo bowiem, że co się tyczy tych rzeczy, matki i ciotki równie krótko widzą, jak mężowie. Dorozumiewałam się jednakowoż oszukaństwa i chciałam umieścić Elwirę w klasztorze, ale nie miałam na to dość pieniędzy. Pokazuje się, że bynajmniej nie uczyniłam tego, com była powinna, i mała dziewczyna zamiast być uszczęśliwiona z tytułu wicekrólowej, wyobraziła sobie zostać nieszczęśliwą kochanką, straszną ofiarą losu. Udzieliła tych pięknych myśli swemu bratu ciotecznemu i oboje postanowili bronić świętych praw miłości przeciw okrutnym wyrokom przeznaczenia. Trwało to przez trzy lata i tak skrycie, że ja niczego się nie domyślałam.

Pewnego dnia zaszłam ich w moim kurniku w jak najtragiczniejszych postawach. Elwira leżała na kojcu, trzymając chustkę i zalewając się rzewnymi łzami, Lonzeto na kolanach o dziesięć kroków od niej, również z całych sił płakał. Zapytałam ich, co tam porabiają — odpowiedzieli, że powtarzają scenę z romansu *Fuenderozas y Lindamora*.

Tym razem dorozumiałam¹⁴⁵ się wszystkiego i poznałam, że prawdziwa miłość zaczynała błyskać spod tych komedii. Udałam, że nie postrzegam niczego, ale czym prędzej poszłam do proboszcza, ażeby się poradzić, co mam czynić w tym wypadku. Proboszcz, zastanowiwszy się przez chwilę, rzekł, że napisze do jednego ze swoich przyjaciół, który będzie mógł wziąć Lonzeta do siebie, tymczasem zaś kazał mi odmawiać różaniec do Najświętszej Panny i dobrze drzwi zamykać od sypialnego pokoju Elwiry.

Podziękowałam mu za radę, zaczęłam odmawiać różaniec do Najświętszej Panny i zamykać drzwi od pokoju sypialnego Elwiry, ale na nieszczęście nie pomyślałam o oknie. Pewnej nocy posłyszałam szmer u mojej siostrzenicy, otworzyłam nagle drzwi i zastałam Lonzeta klęczącego u nóg Elwiry. Lonzeto poskoczył i padłszy z Elwirą do mych nóg, oświadczył mi, że pojął ją za żonę.

¹⁴⁵dorozumieć się — domyślić się. [przypis edytorski]

— Któż was pozenił? — zawołałam. — Jakież ksiądz dopuścił się tej niegodziwości?

— Wybacz, pani — odpowiedział Lonzeto z powagą — żaden ksiądz się w to nie mieszał. Pobraliśmy się pod wielkim kasztanem. Bóg natury przyjął nasze przysięgi, a rumiana zorza nas pobłogosławiła; świadkami naszymi były ptaszki śpiewające z rozkoszy na widok naszego szczęścia. Tak to, pani, zachwycająca Lindamora stała się małżonką mężnego Fuenderozasa, zresztą wszystko to jest wydrukowane.

— Ach, nieszczęśliwe dzieci — zawołałam — nie jesteście połączeni świętym związkiem i nigdy nim być połączeni nie możecie. Czyliż nie wiesz, hultaju, że Elwira jest twoją cioteczną siostrą?

Rozpacz tak gwałtowna mnie ogarnęła, że nie miałam nawet siły czynić im wyrzutów. Kazałam Lonzetowi wyjść z pokoju, sama zaś rzuciłam się na łóżko Elwiry i oblałam je gorzkimi łzami.

Gdy naczelnik Cyganów, domawiał tych słów, przypomniał sobie, że ma ważną sprawę do załatwienia, i prosił nas o pozwolenie odejścia. Po jego oddaleniu się Rebeka rzekła do mnie:

— Dzieci te mocno mnie zajmują. Miłość wydała mi się zachwycająca w rysach Mulata Tantzai i Zulejki, musiała być jednak daleko powabniejsza, gdy ożywiła pięknego Lonzeta i miłą Elwirę. Była to grupa Amora i Psyche.

— Szczęśliwe to porównanie — odpowiedziałem — wróży, że wkrótce uczynisz tyle postępu w nauce, której nauczał Owidiusz, jak w twoich badaniach nad księgami Enocha i Atlasa.

— Mniemam — dodała Rebeka — że nauka, o której mówisz, jest może niebezpieczniejsza od tych, którym dotąd się poświęcałam, i że miłość ma swoją stronę równie czarodziejską jak kabała.

— Co się tyczy kabały — rzekł Ben Mamun — oznajmiam wam, że Żyd Wieczny Tułacz tej nocy przebył Góry Armeńskie i że śpiesznym krokiem zbliża się do nas.

Cała magia tak mnie już była znudziła, że nie słuchałem, gdy zaczynało o niej rozmawiać. Oddaliłem się więc i poszedłem na polowanie. Wróciłem dopiero na wieczерze; naczelnik nie wiadomo gdzie wyszedł, zasiadłem więc do stołu z jego córkami. Kabalista ani jego siostra wcale się nie pokazali. To sam na sam z dwoma młodymi dziewczętami zmieszało mnie cokolwiek. Zdawało mi się jednak, że to nie one, ale moje kuzynki zaszczyliły mnie swymi odwiedzinami w namiocie; ale kto były te kuzynki, szatany czyli prawdziwe ziemianki, o tym w żaden sposób nie umiałem zdać sobie sprawy.

DZIEŃ SIEDEMNASTY

Spostrzegłszy, że wszyscy zbierali się do jaskini, poszedłem złączyć się z towarzystwem. Pośpieszono czym prędzej ze śniadaniem i Rebeka pierwsza zapytała naczelnika, co się dalej stało z Marią de Torres. Pandesowna nie dał się długo prosić i zaczął w te słowa:

Dalszy ciąg historii Marii de Torres

Wyplakawszy się długo na łóżku Elwiry, odeszłam do mego pokoju. Bez wątpienia zmartwienie moje byłoby mniej dotkliwe, gdybym mogła być kogo się poradzić, ale nie chciałam objawiać wstydu moich dzieci, sama zaś umierałam ze zgrzyoty, uważając się za jedyną przyczynę wszystkiego złego. Przez dwa dni ciągle nie mogłam zatamować łez; trzeciego dnia ujrzałam zbliżające się do nas mnóstwo koni i mułów; oznajmiono mi korregidora z Segowii. Urzędnik ten po pierwszym przywitaniu uwiadomił mnie, że hrabia de Peña-Velez, grand hiszpański i wicekról Meksyku przysłał mu list z rozkazem spieszego mi go doręczenia; szacunek zaś, jaki miał dla tego dygnitarza, był przyczyną, dla której postanowił osobiście przywieźć mi jego pismo. Podziękowałam mu, jak się należało, i otworzyłam list następującej treści:

„Pani!

Trzydzieści lat bez dwóch miesięcy dziś właśnie upływa, odkąd miałem zaszczyt oświadczyć Pani, że nigdy nie będę miał innej żony prócz Elwiry de Rovellas, która przysłała na świat na osiem miesięcy przed napisaniem tego

listu w Ameryce. Szacunek, jaki miałem wówczas dla jej osoby, powiększał się wraz z jej wdziękami. Miałem zamiar pośpieszenia do Villaca i rzucenia się do jej nóg, ale najwyższe rozkazy JKMości, poleciły mi zatrzymać się o pięćdziesiąt mil odległości od Madrytu. Teraz więc nie pozostaje mi nic, jak z niecierpliwością oczekiwać waszego przybycia na drodze z Segowii do Biskai.

Wierny sługa
Don Sancho hrabia de Peña-Velez”.

Pomimo całego zmartwienia, nie mogłam wstrzymać się od uśmiechu, czytając ten list pełen poszanowania od wicekróla. Korregidor przy tym wręczył mi kiesę, w której znajdowała się summa złożona przed laty u bankiera. Następnie pożegnał się ze mną, poszedł na obiad do alkada i wyjechał do Segowii. Co do mnie, przez ten czas stałam niewzruszona jak posąg, z listem w jednej, a kiesę w drugiej ręce. Jeszcze nie ochłonęłam była z podziwienia, gdy wszedł alkad, oznajmiając mi, że odprowadził korregidora do granicy posiadłości Villaca i że jest gotów na moje rozkazy, ażeby mi zamówić muły, mulników, przewodników, siodła, żywności, jednym słowem, wszystko, czego potrzeba było do podróży.

Zostawiłam alkada jego zatrudnieniom i dzięki jego gorliwości nazajutrz wybraliśmy się w drogę. Przepędziliśmy noc w Villa Verde i dziś stanęliśmy tutaj. Jutro przybędziemy do Villa Real, gdzie zastaniemy już wicekróla, jak zwykle, pełnego szacunku i poważania. Ale cóż mu powiem, nieszczęsna? Co on sam powie, widząc łzy biednej dziewczyny? Nie chciałam zostawić mego syna w domu z obawy, aby nie wzbudzić podejrzeń, nadto nie mogłam oprzeć się gorącym jego prośbom, by nam towarzyszyć. Przebrałam go za mulnika i Bóg tylko wie, co z tego wyniknie. Drżę, a zarazem pragnę, aby wszystko się wydało. Z tym wszystkim muszę widzieć wicekróla, muszę sama dowiedzieć się, co postanowił względem odzyskania puścizny Elwiry. Jeżeli moja siostrzenica nie zasługuje, aby być jego żoną, pragnę, aby potrafiła wzbudzić w nim zajęcie i pozyskać jego opiekę. Wszelako z jakim czołem, ja, w moim wieku, będę śmiała uniewinnić się przed nim z mojej opieszałości? W istocie, gdybym nie była chrześcijanką, przeniosłabym śmierć nad tę chwilę, która mnie czeka.

Na tym zacna Maria de Torres skończyła swoje opowiadanie i pogrążona w boleści zalała się potokiem łez. Ciotka moja dobyteła chustki i zaczęła płakać, ja także płakałam, Elwira rozsłochała się do tego stopnia, że trzeba było ją rozebrać i zanieść do łóżka. Wypadek ten sprawił, że wszyscy udaliśmy się na spoczynek.

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Położyłem się i natychmiast zasnąłem. Zaledwie zaczęło świtać, gdy uczułem, że mnie ktoś ciągnie za ramię. Ocknąłem się i chciałem krzyknąć:

— Cicho, nie podnoś głosu — szybko mi odpowiedziano — jestem Lonzeto. Elwira i ja wynaleźliśmy środek, który przynajmniej na kilka dni wydzwignie nas z kłopotu. Oto są suknie mojej kuzynki, włóż je na siebie, twoje zaś oddaj Elwirze. Moja matka jest tak dobra, że nam przebaczy. Co zaś do mulników i służących, którzy towarzyszyli nam od Villaca, ci nie będą mogli nas zdradzić; odeszli już wszyscy do domów, gdyż na ich miejsce wicekról przysłał nowych. Służąca Elwiry podziela nasze zamiary, ubieraj się więc czym prędzej i potem połóżysz się w łóżku Elwiry, ona zaś w twoim.

Nie miałem nic do zarzucenia zamiarowi Lonzeta, zacząłem się więc ubierać z jak największym pośpiechem. Miałem w ów czas dwunasty rok, byłem dość słuszny na moje lata i suknie czternastoletniej kastylianki wybornie mi przypadły, wiecie bowiem, że kobiety w Kastylii, ogólnie nie są tak słuszne jak andaluzki.

Przybrawszy suknie, poszedłem położyć się w łóżko Elwiry i wkrótce usłyszałem, jak mówiono jej ciotce, że marszałek wicekróla czeka na nią w gospodniej kuchni, która służyła za wspólną wszystkim izbę. Niebawem zawołano Elwirę; wstałem i poszedłem w jej miejsce. Ciotka jej wzniosła ręce ku niebu i padła na krzesło; ale marszałek, wcale tego nie widząc, przykląkł na jedno kolano, zapewnił mnie o głębokim poszanowaniu swego pana i wręczył pudełko z klejnotami. Przyjąłem je nader wdzięcznie i kazałem mu po-

wstać. Wtedy weszli dworzanie i służący z orszaku wicekróla, zaczęli mnie witać i wołać po trzykroć:

— *Viva la nuestra virreina!*

Na te okrzyki wbiegła moja własna ciotka wraz z Elwirą przebraną za chłopca; zaraz na progu dała Marii de Torres znaki porozumienia i litości, które znaczyły, że nie było co czynić, jak tylko poddać się naturalnemu biegowi wypadków.

Marszałek zapytał mnie, kim jest ta dama. Odpowiedziałam, że jest to znajoma moja z Madrytu, udająca się do Burgos w celu umieszczenia swego synowca w kolegium teatynów. Na te słowa marszałek prosił ją, aby raczyła przyjąć lektyki wicekróla. Moja ciotka prosiła o jedną dla swego synowca, który, jak utrzymywała, był słaby i zmęczony podróżą. Marszałek wydał stosowne rozkazy, po czym podał mi swoją rękę w białej rękawiczce i wsadził do lektyki. Otworzyłem pochód i cała karawana zaraz za mną ruszyła z miejsca.

Otóż nagle zostałem przyszlą wicekrólową z pudełkiem pełnym diamentów w rękach, niesiony przez dwa białe muły w złożonej lektyce i z dwoma koniuszymi, którzy galopowali przy moich drzwiczkach. W tym tak dziwnym położeniu dla chłopca mego wieku po raz pierwszy jałem zastanawiać się nad małżeństwem, rodzajem związku, którego dobrze jeszcze nie pojmowałem. Byłem jednak pewny, że wicekról nie ożeni się ze mną, nie pozostawało mi więc nic lepszego, jak przeciągać jego złudzenie i dać czas memu przyjacielowi Lonzetowi na wynalezienie jakiegoś środka, który by raz na zawsze wywiódł go z kłopotu. Mniemałem, że oddanie przysługi przyjacielowi było zawsze szlachetnym uczynkiem.

Jednym słowem, postanowiłem o ile możliwości udawać młodą dziewczynę i ażeby się do tego wprawić, zagłębiłem się w lektykę, uśmiechając się, spuszczać oczy i strojąc różne kobiece miny. Przypomniałem sobie także, że chodząc, powinienem być wystrzegać się stawiania zbyt szerokich kroków, jak w ogóle wszelkich zbyt swobodnych poruszeń.

Gdy tak zapuściłem się w te uwagi, nagle gęsty tuman kurzu oznajmił nam zbliżanie się wicekróla. Marszałek prosił, abym raczył wysiąść z lektyki i oprzeć się na jego ramieniu. Wicekról zeskoczył z konia, ukląkł na jedno kolano i rzekł:

— Racz, pani, przyjąć wyznanie miłości, która zaczęła się z twoim urodzeniem, a skończy z moją śmiercią.

Następnie pocałował mnie w rękę i nie czekając odpowiedzi, wsadził do lektyki, sam zaś dosiadł konia i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Gdy tak jechał obok moich drzwiczek i rzadko kiedy na mnie spoglądał, miałem czas przypatrzeć mu się do woli. Nie był to już ten młodzieniec, którego Maria de Torres znajdowała tak pięknym, gdy zabijał byka lub powracał z pługiem w Villaca. Wicekról mógł jeszcze uchodzić za przystojnego mężczyznę, ale cera jego, spalona przez zwrotnikowe skwary, bardziej zbliżała się do barwy czarnej niż do białej. Obwisłe brwi nadawały jego twarzy tak straszny wyraz, że nawet gdy chciał złagodzić go, rysy mimowolnie łamały mu się w przerażające kształty. Do mężczyzn przemawiał grzmiącym głosem, do kobiet zaś piszcząc tak cienko, że nie można było powstrzymać się od śmiechu. Gdy zwracał się do swoich ludzi, zdawało się, że dawał rozkazy całemu wojsku, do mnie zaś mówił, jak gdyby pytał o radę na chwilę przed bitwą.

Im więcej uwag czyniłem nad wicekrólem, tym bardziej byłem niespokojny. Przewidywałem, że gdy odkryje pleć moją, zapewne każe oćwiczyć mnie bez miłosierdzia i lękałem się tej chwili jak ognia. Nie potrzebowałem więc udawać bojaźliwego, gdyż w istocie cały drżałem i nie śmiałem na chwilę podnieść oczu.

Przybyliśmy do Valladolid. Marszałek padł mi rękę i zaprowadził do przeznaczonych dla mnie pokojów. Obie ciotki udały się wraz ze mną. Elwira także chciała wejść, ale odpędzono ją jako ulicznika. Co zaś do Lonzeta, ten wraz ze służbą pozostał w stajni.

Znalazłszy się sam na sam z ciotkami, padłem do ich nóg, zaklinając, aby mnie nie zdradzały, i przedstawiałem im srogie kary, na jakie ich gadatliwość mogła mnie wystawić. Myśl, że mogę być ćwiczony, pogrzyżała, moją ciotkę w rozpacz, połączyła więc swoje prośby z moimi; ale wszystkie te nalegania były niepotrzebne, Maria de Torres, równie jak my przestraszona, myślała tylko o spóźnieniu o ile możliwości ostatecznego rozwiązania wypadku. Oznajmiono, że obiad jest gotów. Wicekról przyjął mnie u drzwi jadalnego pokoju, zaprowadził na moje miejsce i siadając po prawej stronie, rzekł:

— Pani, dotychczasowe moje *incognito* zawiesza tylko moją wicekrólewską godność, ale jej nie znosi. Przebacz mi zatem, jeżeli považam się siadać po prawej stronie, ale tak samo czyni łaskawy monarcha, którego mam zaszczyt przedstawiać, względem najjaśniejszej królowej.

Następnie marszałek usadowił resztę osób wedle ich znaczenia, zachowując pierwsze miejsce dla pani de Torres.

Długo wszyscy jedli w milczeniu, gdy wtem wicekról przerwał je i zwracając się do pani de Torres, rzekł:

— Z przykrością widzę, że w jednym liście, który pani pisałaś do mnie do Ameryki, zdawałaś się powątpiewać, czy wypełnię obietnice uczynione ci przeze mnie przed trzynastoma laty i kilkoma miesiącami.

— W istocie, Jaśnie Oświecony Panie — odpowiedziała ciotka Elwiry — gdybym była spodziewała się tak niezawodnego wypełnienia obietnicy, starałabym się, aby moja siostrzenica mogła stać się godniejsza waszej miłości.

— Widać, że pani jesteś z Europy, gdyż w Nowym Świecie wszyscy dobrze wiedzą, że ja nie lubię żartować.

Po tych słowach rozmowa ustała i nikt więcej się nie odezwał. Gdy obiad się skończył, wicekról odprowadził mnie aż do drzwi moich pokojów, obie ciotki poszły dowiedzieć się, co się stało z Elwirą, której nakryto przy marszałkowskim stole, ja zaś zostałem z jej służącą, która odtąd przy mnie odbywała służbę. Wiedziała ona, że byłem chłopcem, posługiwała mi jednak z gorliwością, chociaż także niesłychanie bała się wicekróla. Dodawaliśmy sobie wzajemnie odwagi i jakoś czas nam ubiegał wesoło.

Ciotki wkrótce powróciły, ponieważ zaś wicekról oznajmił, że przez cały dzień nie będzie mnie widział, tajemnie więc wprowadziły Elwirę i Lonzeta. Wtedy wesołość stała się powszechna, śmieliśmy się z całego serca, tak że aż wreszcie ciotki zadowolone z chwili wytchnienia, musiały dzielić naszą radość.

Gdy wieczór już całkiem zapadł, usłyszeliśmy dźwięk gitary i spostrzegliśmy zakochanego wicekróla, który, zawinięty w ciemny płaszcz, krył się przez pół za sąsiednim domem. Głos jego, chociaż nie młodzieńczy, miał jednak wiele powabu, nadto wykształcił się jeszcze pod względem metody, co dowodziło, że wicekról i w Ameryce nie zaniedbywał muzyki.

Mała Elwira, znając dobrze zwyczaje niewieściej grzeczności, zdjęła jedną z moich rękawiczek i rzuciła ją na ulicę. Wicekról podniósł ją, pocałował i schował w zanadrze. Ale zaledwie wyświadczyłem mu tę łaskę, gdy zdało mi się, że sto różg więcej na mój rachunek przybędzie, skoro wicekról dowie się, jaką ja jestem Elwirą. Uwaga ta tak dalece mnie zasmuciła, że myślałem tylko o udaniu się na spoczynek. Elwira i Lonzeto ze łzami pożegnali się ze mną.

— Do jutra — rzekłem.

— Być może — odpowiedział Lonzeto.

Następnie położyłem się w tym samym pokoju, gdzie stało łóżko mojej nowej ciotki i zasunąwszy franki, zasnąłem.

Nazajutrz ciotka moja Dalanosa rozbudziła nas rano, mówiąc, że Lonzeto i Elwira uciekli w nocy i że nie wiadano, co się z nimi stało. Wiadomość ta gromem raziła biedną Marię de Torres. Co do mnie, myślałem sobie, że nie mogę nic lepszego uczynić, jak w miejsce Elwiry zostać wicekrólową Meksyku. —

Gdy naczelnik tak nam swoje przygody rozповідаł, jeden z jego ludzi przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności; wstał więc i prosił o pozwolenie odłożenia dalszego ciągu na dzień następny.

Rebeka z niecierpliwością uczyniła uwagę, że zawsze ktoś nam przerywa w miejscu najbardziej zajmującym, po czym rozmawiano o dość obojętnych rzeczach: kabalista oznajmił, że doszły go wieści o Żydzie Wiecznym Tułaczem, który przebył już Bałkany i wkrótce przybędzie do Hiszpanii. Ostatecznie nie wiem, co wszyscy przez cały ten dzień porabiali, przechodząc więc do następnego, który był daleko obfitszy w wypadki.

DZIEŃ OSIEMNASTY

Gdy obudziłem się ze świtem, przyszła mi chętka, by odwiedzić nieszczęsną szubienicę Los Hermanos w nadziei, że znowu tam znajdę jaką ofiarę. Przechadzka moja nie była nadaremna, w istocie bowiem znalazłem człowieka leżącego między dwoma wisielcami. Nieszczęśliwy zdawał się zupełnie pozbawiony uczucia, zeszywniał, wszelako dotknąwszy jego rąk, przekonałem się, że ma jeszcze w sobie resztki życia. Przyniosłem wody i skropiłem mu twarz, widząc jednak, że bynajmniej nie wraca do zmysłów, wziąłem go na plecy i wyniosłem z szubienicznego ogrodzenia. Powoli przyszedł do siebie, wlepił we mnie błędne oczy, potem nagle wyrывая się, zaczął uciekać w pole. Przez jakiś czas ścigałem go oczyma, spostrzegłszy jednak, że rusza w krzaki i łatwo może zablądzić w tej pustyni, sądziłem, że moim obowiązkiem jest pobiec za nim i zatrzymać go. Nieznajomy obrócił się, a widząc, że gonię go, jął tym prędzej uciekać, nareszcie zatoczył się, upadł i zranił się w głowę. Otarłem mu chustką ranę, po czym oddarłszy kawał własnej koszuli, owiązałem mu głowę. Nieznajomy nic mi nie rzekł, wtedy zachęcony tą uległością podałem mu rękę i zaprowadziłem do obozu Cyganów. Przez cały ten czas nie mogłem wydobyć z niego ani jednego słowa.

Przybywszy do jaskini, zastałem wszystkich już zebranych na śniadanie; zachowano dla mnie jedno miejsce, rozsunięto się dla nieznajomego, nie pytając wcale, kim jest i skąd przybywa. Takie są zwyczaje gościnności hiszpańskiej, którym nigdy nikt nie poważa się uchylać.

Nieznajomy jął zapijać czekoladę jak człowiek gwałtownie potrzebujący posiłku. Naczelnik Cyganów zapytał, czy to złodzieje go tak srodze zranili.

— Bynajmniej — odpowiedziałem — znalazłem tego jegomości zemdlącego pod szubienicą Los Hermanos; gdy tylko wrócił do zmysłów, natychmiast zaczął z całych sił uciekać w pole, wtedy w obawie, aby nie zablądził w zaroślach, pogoniłem za nim i właśnie miałem go schwytać, gdy upadł. Szybkość, z jaką uciekał, jest przyczyną, dla której tak się pokaleczył.

Na te słowa nieznajomy położył łyżeczkę i obracając się do mnie, rzekł z poważną miną:

— Mylnie się pan wyrażasz, co zapewne jest skutkiem błędnych zasad, jakich panu w młodości udzielano.

Możecie łatwo osądzić, jakie ta mowa sprawiła na mnie wrażenie. Pomiarkowałem się jednak i odpowiedziałem:

— Mości nieznajomy, śmiem panu zaręczyć, że od najmłodszych lat wpajano we mnie jak najlepsze zasady, które tym mi są potrzebniejsze, że mam zaszczyt być kapitanem w gwardii walońskiej.

— Mówiłem panu — przerwał nieznajomy — o zasadach, jakie powziąłeś względem przyśpieszonego biegu ciała po płaszczyznach pochyłych. Jeżeli bowiem chcesz pan mówić o moim upadku i dowieść jego przyczyn, powinieneś być zauważyć, że szubienica była umieszczona na miejscu wyniosłym, ja musiałem biec po płaszczyźnie pochyłej. Stąd należało uważać linię mego biegu jako hipotenuzę¹⁴⁶ trójkąta prostokątnego, którego podstawa równoległa jest z widnokregiem, kąt zaś prosty musiał być zawarty między tą podstawą a prostopadłą prowadzącą do wierzchołka trójkąta, czyli do spodu szubienicy. Wtedy mógłbyś pan być powiedzieć, że bieg mój przyśpieszony po płaszczyźnie pochyłej tak się miał do tej, którą obrałem, padając wzdłuż prostopadłej, jak ta sama prostopadła miała się do hipotenuzy. Ów bieg przyśpieszony, oceniony tym sposobem, sprawił, że upadłem, nie zaś podwojenie mojej szybkości. To jednak w niczym nie przeszkadza, że uważam pana za kapitana w gwardii walońskiej.

Po tych słowach nieznajomy wziął się znowu do swojej filizanki, zostawiając mnie w niepewności co do sposobu, w jaki miałem przyjąć jego dowodzenia, w istocie bowiem nie wiedziałem, czy prawdziwie mówił, czyli też chciał ze mnie zadrwić.

Naczelnik Cyganów, widząc, że dowodzenie nieznajomego tak mnie obruszyło, chciał nadać inny kierunek rozmowie i rzekł:

¹⁴⁶hipotenuza — przeciwprostokątna. [przypis edytorski]

— Ten szlachetny podróżny, który zdaje się wybornie znać geometrię, potrzebuje zapewne spoczynku; nie należy dziś zatem nalegać na niego, aby mówił, i jeżeli towarzystwo pozwoli, zastąpię jego miejsce i będę ciągnął dalej rzecz wczoraj zaczęta.

Rebeka odpowiedziała, że nic dla niej nie może być przyjemniejsze, więc naczelnik zaczął w te słowa:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Właśnie gdy nam wczoraj przerwano, opowiadałem, jak to ciotka Dalanosa przybiegła z oświadczeniem, że Lonseto uciekł z Elwirą przebraną za chłopca, i jaki przestrah na tę wieść nas ogarnął. Ciotka Torres, która naraz straciła syna i siostrzenicę, oddała się najgwałtowniejszej rozpacz. Ja zaś, opuszczony przez Elwirę, osądziłem, że nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zostać wicekrólową lub poddać się karze, której obawiałem się bardziej od śmierci. Właśnie zagłębiałem się nad tym okropnym położeniem, gdy marszałek oznajmił, że wszystko jest gotowe do podróży, i ofiarował mi ramię, chcąc mnie sprowadzić ze schodów. Tak miałem umysł nabity koniecznością zostania wicekrólową, że mimowolnym poruszeniem podniosłem się z powagą, wsparłem na ramieniu marszałka z postawą skromną, ale nie bez godności, na widok której biedne ciotki uśmiechnęły się pomimo całego ich zmartwienia.

Tego dnia wicekról nie galopował już przy moich drzwiczkach, ale zastaliśmy go w Torquemada przy drzwiach gospody. Łaska, jaką okazałem mu wczoraj, uczyniła go śmielszym; pokazał mi rękawiczkę schowaną na piersiach i wdzięcznie podając ramię wysadził z lektyki. W tej chwili skrycie porwał moją rękę i pocałował ją z zapalem. Nie mogłem wstrzymać się od doznania pewnego uczucia przyjemności, widząc, że sam wicekról tak się ze mną obchodził, gdy nagle przyszyły mi na myśl różgi, które zapewne miały nastąpić po tych wszelkich oznakach głębokiego poszanowania.

Zostawiono nas przez kwadrans w pokojach przeznaczonych dla kobiet, po czym zaprowadzono do stołu. Usiedliśmy tak jak wczoraj. Pierwsze danie przeszło w nieprzerwanym milczeniu, przy drugim jednak wicekról, obracając się do ciotki Dalanosy, rzekł:

— Dowiedziałem się o figlu, jaki pani wyplatał jej synowiec wraz z tym hultajem małym mulnikiem. Gdybyśmy byli w Meksyku, wkrótce miałbym już ich u siebie. Mimo wszystko jednak kazałem, aby puszczono się za nimi w pogoń. Jeżeli moi ludzie ich przytrzymają, synowiec pani zostanie uroczyście oćwiczony na podwórzu ojców teatynów, mały zaś mulnik przewietrzy się na galerach.

Na ten wyraz „galer” połączony z myślą o jej synu, pani de Torres natychmiast zemdląła, ja zaś, słysząc o różgach na podwórzu ojców teatynów, spadłem z krzesła.

Wicekról pomógł mi powstać z jak najwykwintniejszą grzecznością; uspokoiłem się nieco i o ile możliwości najwesielej czekałem końca obiadu. Gdy sprzątnięto ze stołu, wicekról zamiast odprowadzić mnie do moich pokojów, zawiódł nas troje pod drzewa na przeciwko gospody i posadziwszy na ławce, rzekł:

— Zdaje mi się, że panie przestraszyłyście się nieco mniemaną srogością, jaka przebija się w moim sposobie myślenia, a której nabyłem, wykonując różne obowiązki. Myślałem także, że dotąd znacie mnie tylko z kilku rysów mego charakteru, których nie domyślacie się ani powodów, ani następstw. Sądzę przeto, że rade usłyszycie historię mego życia i że wypada, abym wam ją opowiedział. Wtedy bez wątpienia, zawarłszy ze mną ściślejszą znajomość, pozbędziecie się tej trwogi, jaka was dziś tak nagle napadła.

Po tych słowach wicekról w milczeniu oczekiwał naszej odpowiedzi. Oświadczyliśmy mu żywą chęć poznania bliższych o nim szczegółów; podziękował nam i uradowany tymi oznakami zajęcia, tak zaczął:

Historia hrabiego Peña-Velez

Urodziłem się w pięknej okolicy otaczającej Grenadę w wiejskim domku, który mój ojciec posiadał nad brzegami czarującego Genilu. Wiadomo wam, że poeci hiszpańscy umieszczają w naszej prowincji teatr wszystkich scen pasterskich. Tak dobitnie przekonali nas, że klimat nasz powinien pomagać do rozwijania uczuć miłosnych, że nie ma grenadczyka, który by nie przepędził młodości swojej, a czasami i całego życia, na zalecaniu się i kochaniu.

Gdy młody człowiek u nas pierwszy raz wychodzi na świat, naprzód zaczyna od wyboru damy swoich myśli, jeżeli zaś ta przyjmuje jego hołdy, wtedy ogłasza się jej *embecevido*, czyli opętany jej wdziękami. Kobieta, przyjmując takową ofiarę, zawiera z nim milczącą umowę, na mocy której jemu wyłącznie powierza wachlarz i rękawiczki. Również daje mu pierwszeństwo, gdy idzie o przyniesienie jej szklanki wody, którą *embecevido* podaje na kolanach. Nadto szczęśliwy młodzian ma prawo galopowania przy jej drzwiczkach, ofiarowania wody święconej w kościele i kilka innych równie ważnych przywilejów. Mężowie wcale nie są zazdrośni o ten rodzaj stosunków, gdyż w istocie nie ma o co być zazdrośnym; naprzód dlatego, że kobiety żadnego z tych zalotników nie przyjmują u siebie, po wtóre że zawsze są otoczone ochmistrzyniami lub służebnymi. Jeżeli zaś mam prawdę powiedzieć, kobiety niewierne mężom zwykle dają komu innemu pierwszeństwo niż *embecewidom*. Udają się wtedy zazwyczaj do młodych kuzynków mających przystęp do domu, podczas gdy najbardziej zepsute wybierają kochanków w ostatnich klasach społeczeństwa.

Na tym stopniu stały zaloty w Grenadzie, gdy wyszedłem na świat, zwyczaj ten jednak wcale nie pociągnął mnie ku sobie, nie dlatego żeby miało mi zbywać na czułości, przeciwnie, serce moje więcej może niż czyje inne uległo wpływowi naszego klimatu i potrzeba kochania była pierwszym uczuciem, które ożywiło moją młodość. Wkrótce jednak przekonałem się, że miłość była zupełnie czym innym niż prostą wymianą czczych grzeczności przyjętą w naszym towarzystwie. Wymiana ta była zupełnie niewinna, ale w skutkach zajmowała serce kobiety człowiekiem, który nigdy nie miał posiadać jej osoby, i zarazem osłabiała uczucia dla tego, do kogo rzeczywiście należała. Rozdział ten oburzał mnie tym więcej, że miłość i małżeństwo uważałem zawsze za jedno. To ostatnie, ozdobione wszelkimi powabami miłości, stało się ukrytą i zarazem najdroższą z moich myśli, bóstwem mojej wyobraźni.

Nareszcie wyznam wam, że myśl ta owładnęła tak dalece wszystkimi władzami mojej duszy, że czasami zaczynałem prawić od rzeczy i z daleka można mnie było wziąć za prawdziwego *embecevido*.

Jeżeli wchodziłem do jakiego domu, zamiast zajmować się powszechną rozmową, wyobrażałem sobie natychmiast, że dom należał do mnie i umieszczałem w nim moją żonę. Ozdabiałem jej pokój najpiękniejszymi indyjskimi tkaninami, matami chińskimi i kościami perskimi, na których zdawało mi się, że widzę już ślady jej stóp. Wpatrywałem się również w sofę, na której, wedle mego mniemania, najczęściej lubiła siadać. Jeżeli wychodziła dla odetchnięcia świeżym powietrzem, znajdowała ganek umajony najwonnijszymi kwiatami i ptaszarnię napełnioną najrzadszym ptastwem. Co zaś do jej sypialni, zaledwie odważałem się marzyć o niej jak o świątyni, do której nawet moja wyobraźnia lękała się wkroczyć.

Gdy tak nawet w towarzystwie zatapiałem się w moich marzeniach, rozmowa szła zwykłym trybem, ja zaś należałem do niej, odpowiadając czasami bez związku na zapytania, jakie mi zadawano. Nadto odzywałem się zawsze cierpko, nie rad, że przerywano mi moje marzenia.

Tak dziwnym sposobem zachowywałem się, przyszedłszy gdzie w odwiedziny. Na przechadzkach ogarniało mnie równe szaleństwo: jeżeli miałem potok do przebycia, brnąłem w wodzie po kolana, zostawiając kamienie dla mojej żony, która wspierała się na moim ramieniu, wynagradzając te starania boskim uśmiechem. Dzieci kochałem do szaleństwa. Spotkawszy jakie, pożerałem je pieszczotami, moja żona zaś z niemowlęciem na ręku wydawała mi się arcydziełem stworzenia. —

To mówiąc, wicekról zwrócił się do mnie, rzekł z powagą i czułością zarazem:

— Pod tym względem nie zmieniłem dotąd uczuć i spodziewam się, że nieporównana Elwira nie przeprowadzi przez żyły swych dzieci nieczystej krwi obcego kochanka.

Wyrazy te zmieszały mnie więcej niż możecie sobie wyobrazić. Złożyłem ręce mówiąc:

— Jaśnie Oświecony Panie, racz nigdy nie wspominać mi o tych rzeczach, których wcale nie rozumiem.

— Mocno ubolewam, anielska Elwiro — odparł wicekról — że pozwoliłem sobie obrazić twoją skromność. Przystępuję teraz do dalszego ciągu mojej historii i przyrzekam nie wpadać więcej w podobne błędy.

W istocie tak dalej mówił:

Roztargnienia te sprawiły, że w Grenadzie uważano mnie za obłąkanego, jakoż w istocie towarzystwo niezupełnie się myliło. Wyraźniej mówiąc, wydawałem się obłąkany dlatego, że szaleństwo moje różne było od obłądu reszty grenadczyków; mógłbym zaś uchodzić za rozsądnego, gdybym był jawnie oświadczył się opętanym wdziękami której z moich współobywatelek. Ponieważ jednak podobne mniemania nie mają w sobie nic pochlebnego, postanowiłem przeto opuścić ojczyznę. Były jeszcze inne powody, które mnie do tego skłaniały. Chciałem być szczęśliwy z moją żoną i tylko przez nią szczęśliwy. Gdybym był ożenił się z jaką rodaczką, ta, stosownie do zwyczajów, musiałaby przyjąć hołdy jednego z *embecevidos*, który to stosunek, jak uważacie, bynajmniej nie zgadzał się z moim sposobem myślenia. Powziąwszy zamiar wyjechania, udałem się na dwór madrycki; ale i tam znalazłem te same mdłe grzeczności, pod innymi tylko nazwiskami. Miano *embecewidów*, które z Grenady przeszło dziś do Madrytu, nie było jeszcze wówczas znane. Damy dworu nazywały wybranych, chociaż nieszczęśliwych kochanków *cortejos*, innych zaś, z którymi surowiej się obchodziły i zaledwie wynagradzały ich raz na miesiąc uśmiechem, „galantami”. Pomimo to wszyscy bez różnicy nosili barwy ulubionej piękności i galopowali przy jej pojeździe, co każdego dnia taki kurz podnosiło w Prado, że niepodobna było mieszkać na ulicach przytykających tego czarownego miejsca przechadzki.

Nie miałem ani odpowiedniego majątku, ani dość wysokiego stopnia, ażeby zwrócić na siebie uwagę u dworu, wszelako znano mnie ze zręczności, jaką okazywałem w walkach byków. Król kilka razy przemówił do mnie, grandowie zaś uczynili mi zaszczyt poszukiwania mojej przyjaźni. Znałem się nawet z hrabią Rovellas, ale ten, pozbawiony przytomności, nie mógł mnie widzieć, gdy wyratowałem go od śmierci. Dwóch jego koniuszych dobrze wiedziało, kim byłem, ale snadź¹⁴⁷ wówczas zaprzątnięci byli czym innym, inaczej nie omieszkaliby żądać tysiąc sztuk złota nagrody, jaką hrabia przyrzekł temu, który mu odkryje nazwisko jego wybawcy.

Pewnego dnia, obiadując u ministra *Hacienda*, czyli skarbu, znalazłem się obok don Henryka de Torres, męża pani, który za swymi sprawami przybył do Madrytu. Po raz pierwszy miałem zaszczyt zbliżenia się do niego, ale postać jego wzniewała zaufanie, wkrótce więc naprowadziłem rozmowę na ulubiony przedmiot, to jest na miłość i małżeństwo. Zapytałem don Henryka, czyli damy w Segowii miały także swoich *embecevidos*, *cortejos* i *galanes*.

— Bynajmniej — odpowiedział. — Zwyczaje nasze nie wprowadziły dotąd osób tego rodzaju. Gdy kobiety nasze idą na promenadę zwaną *Zocodover*, zwykle przez pół są zasłonięte i nikt nie odważa się przystępować do nich, czy idą pieszo czy też jadą pojazdem. Nadto w domach naszych przyjmujemy tylko pierwsze odwiedziny, tak mężczyzn, jako i kobiet, ale natomiast wszyscy przepędzają wieczory na balkonach mało co wzniesionych nad ulicą. Mężczyźni wtedy zatrzymują się i rozmawiają ze znajomymi, młodzież zaś, zwiedziwszy jeden balkon po drugim, kończy wieczór przed domem, gdzie jest panna na wydaniu. Z tym wszystkim — dodał *don Henrique* — ze wszystkich balkonów Segowii, mój najliczniej bywa odwiedzany dla mojej szwagierki, Elwiry de Noruña, która do nieporównanych przymiotów mojej żony dołącza wdzięki, jakich nie ma drugich w całej Hiszpanii.

Mowa ta uczyniła na mnie silne wrażenie. Osoba tak piękna, obdarzona tak rzadkimi przymiotami i z kraju, gdzie nie było *embecewidów*, zdała mi się przeznaczoną przez niebo na moje uszczęśliwienie. Kilku segowczyków, z którymi rozmawiałam, jednomyślnie potwierdziło zdanie don Henryka o wdziękach Elwiry, postanowiłem więc osądzić je, ujrawszy na własne oczy.

Jeszcze nie opuściłem był Madrytu, gdy uczucia moje ku Elwirze osiągnęły poziom głębokiej namiętności, ale zarazem stosunkowo zwiększyły moją bojaźliwość. Przybywszy

¹⁴⁷ *snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

do Segowii, nie mogłem odważyć się pójść z odwiedzinami do pana de Torres lub innych osób, z którymi zapoznałem się w Madrycie. Pragnąłbym wstawienia się za mną kogoś trzeciego do Elwiry i uprzedzenia jej względem mnie, jako ja względem niej byłem już uprzedzony. Zazdrościłem tym, których rozgłosne imię lub świetne przymioty wszędzie poprzedzają, sądziłem bowiem, że jeżeli na pierwsze wejrzenie nie pozyskam przychylności Elwiry, wszelkie moje późniejsze starania będą bezużyteczne. Tak przepędziłem kilka dni w gospodzie, nie widząc nikogo. Nareszcie kazałam zaprowadzić się na ulicę, gdzie stał dom pana de Torres. Naprzeciwko spostrzegłem napis oznajmiający mieszkanie do najęcia. Pokazano mi izdebkę na poddaszu, zgodziłem ją za dwanaście realów na miesiąc, przybrałem nazwisko Alonza i powiedziałem, że przybyłem za sprawami handlowymi.

Tymczasem sprawy moje handlowe ograniczały się na spoglądaniu przez żaluzje moich okien, gdy wtem wieczorem spostrzegłem panią na balkonie w towarzystwie nieporównanej Elwiry. Mamże się przyznać? Z początku zdawało mi się, że widzę przed sobą pospolitą piękność, ale przypatrzywszy się bliżej, poznałem, że niewysłowiona harmonia jej rysów czyniła jej wdzięki zrazu mniej uderzającymi, wkrótce jednak olśniewała całym ich blaskiem, zwłaszcza gdy ją porównywano z inną kobietą. Pani sama byłaś wówczas nader piękna, wszelako muszę wyznać, że nie byłaś w stanie wytrzymać porównania z jej siostrą.

Z poddasza mego z rozkoszą przekonałem się, że Elwira była zupełnie obojętna na składane jej hołdy i że nawet zdawała się nimi znudzona. Z drugiej jednak strony, postrzeżenie to całkiem odjęło mi chęć pomnożenia tłumu jej wielbicieli, czyli ludzi, którzy ją nudzili. Postanowiłem spoglądać przez okno, dopóki nie nadarzy się lepsza sposobność zabrania znajomości i jeżeli mam prawdę powiedzieć, niecierpliwie oczekiwałem walk byków.

Przypominasz sobie pani, że wówczas nieźle śpiewałem, nie mogłem przeto wstrzymać się, żeby nie dać usłyszeć mego głosu. Gdy wszyscy kochankowie już poodchodzili, zstępowałem z poddasza i przy towarzyszeniu gitary, jak umiałem najlepiej, śpiewałem narodowe nasze pieśni. Powtarzałem to z kolei przez kilka wieczorów, nareszcie spostrzegłem, że oddalaliście się państwo dopiero po wysłuchaniu moich pieśni. Odkrycie to napełniło duszę moją niepojętym, słodkim uczuciem, które jednak dalekie było od nadziei.

Wtedy dowiedziałem się, że wygnano Rovellasa do Segowii. Rozpacz mnie ogarnęła, przez chwilę bowiem nie wątpiłem, że zakocha się w Elwirze, jakoż nie omyliły mnie moje przeczucia. Myśląc, że znajduje się jeszcze w Madrycie, oświadczył się publicznie kortehem siostry pani, przybrał jej barwy lub też takie, które być nimi rozumiał i ustroił w nie swoją służbę. Ze szczytu mego poddasza długo byłem świadkiem tej zuchwałej zarozumiałości i z rozkoszą przekonałem się, że Elwira sądziła o nim bardziej z osobistych jego przymiotów, niż z blasku, który go otaczał. Ale hrabia był bogaty, wkrótce miał otrzymać tytuł granda, cóż więc mogłem ofiarować równego podobnym korzyściom? Nic bez wątpienia. Byłem tak dalece tego pewny i przy tym kochałem Elwirę z tak zupełnym zaparciem się samego siebie, że w duszy sam nawet pragnąłem, żeby poszła za Rovellasa. Nie myślałem już więcej o zapoznaniu się i zaprzestałem moich czułych pieśni. Tymczasem Rovellas wyrażał swoją namiętność samymi tylko grzecznościami i nie czynił żadnego stanowczego kroku dla pozyskania ręki Elwiry. Dowiedziałem się nawet, że *don* Henrique zamierzał wyjechać do Villaca. Przyzwyczyłem się już do przyjemności mieszkania naprzeciw jego domu, chciałem więc na wsi zapewnić sobie też samą pociechę. Przybyłem do Villaca, podając się za rolnika z Murcji. Kupiłem domek naprzeciwko waszego i ozdobiłem go wedle mego smaku. Ponieważ jednak zawsze można po czymś poznać przebranych kochanków, przeto umyśliłem sprowadzić moją siostrę z Grenady i dla uniknięcia podejrzeń, udać ją za moją żonę. Urządziwszy to wszystko, wróciłem do Segowii, gdzie dowiedziałem się, że Rovellas miał zamiar wyprawienia wspaniałej walki byków. Ale przypominam sobie, że miałaś pani wówczas dwuletniego synka. Racz mi też powiedzieć, co się z nim stało?

Ciotka Torres, przypominając sobie, że ten synek był tym samym mulnikiem, którego wicekról przed godziną chciał posłać na galery, nie wiedziała, co odpowiedzieć i dobywszy chustki, zalała się łzami.

— Przebacz pani — rzekł wicekról — widzę, że odnawiam jakieś bolesne wspomnienie, ale dalszy ciąg mojej historii wymaga, abym mówił o tym nieszczęsnym dziecieniu. Pamiętasz pani, że zachorował wówczas na ospę; otaczałaś go pani najtkliwszymi staraniami i wiem, że Elwira także dnie i noce przepędzała przy łóżku chorego malca. Nie mogłem wstrzymać się od uwiadomienia pani, że był ktoś na świecie, kto podzielał wszystkie wasze cierpienia i co noc pod waszymi oknami wyśpiewywałem tęskne pieśni. Nie zapomniałaś pani o tym?

— Bynajmniej — odpowiedziała — pamiętam bardzo dobrze i wczoraj jeszcze wszystko to opowiadałam towarzysze mojej podróży.

Wicekról tak dalej mówił:

Całe miasto zajmowało się tylko chorobą Lonzeta jako główną przyczyną, dla której opóźniano widowiska, dlatego też gdy dziecko wróciło do zdrowia, radość była powszechna.

Nastąpiła wreszcie uroczystość, wszelako niedługo trwała. Pierwszy zaraz byk nielitościwie pokaleczył hrabiego. Utopiwszy szpadę w karku rozjuszonego zwierzęcia, rzuciłem wzrok na waszą lożę i ujrzałem, że Elwira pochyliwszy się ku pani, mówiła coś o mnie z wyrazem, który przejął mnie radością. Pomimo to zniknąłem w tłumie. Nazajutrz Rovellas, przyszedłszy nieco do sił, oświadczył się o rękę Elwiry; utrzymywano, że nie został przyjęty, on zaś dowodził przeciwnie, dowiedziawszy się jednak, że wyjeżdżacie do Villaca, poznałem, że hrabia chępił się według zwyczaju. Wyjechałem więc do Villaca, gdzie przyjąłem wieśniaczy sposób życia, chodziłem sam za plugiem lub też udawałem, gdyż w istocie chłopiec mój tym się zajmował.

Po kilku dniach pobytu, gdy wracałem za wołami do domu wsparty na ramieniu mojej siostry, która uchodziła za moją żonę, spostrzegłem panią wraz z Elwirą i twoim mężem. Siedzieliście przed domem waszym przy wieczerzy. Poznałyście mnie obie, ale ja wcale nie chciałem się zdradzić. Przyszła mi jednak złośliwa myśl powtórzenia wam niektórych pieśni, jakie wam śpiewałem podczas choroby Lonzeta. Czekałem tylko z ostatecznym oświadczeniem pewności, że Rovellas został odrzucony.

— Ach, Jaśnie Oświecony Panie — rzekła ciotka Torres — nie ma wątpienia, że byłbyś potrafił zająć Elwirę, jak również pewne jest, że odrzuciłaby rękę hrabiego. Jeżeli później poszła za niego, uczyniła to jedynie w myśli, że byłś żonaty.

— Widać, że Opatrzność — odparł wicekról — miała inne zamiary względem mojej niegodnej osoby. W istocie, gdybym był otrzymał rękę Elwiry, Chiriguanie, Assinibuanie i Apalasi¹⁴⁸ nie zostaliby nawróceni na wiarę chrześcijańską, a krzyż, znak naszego wybawienia, nie byłby zatknięty o trzy stopnie dalej na północ amerykańskich dzierżaw.

— Być to może — rzekła pani de Torres — ale za to mój mąż i moja siostra dotychczas by jeszcze żyli. Wszelako nie śmiem przerywać dalszego ciągu tak zajmującej historii.

Wicekról zebrał głos w te słowa:

W kilka dni po przybyciu waszym do Villaca, umyślny posłaniec z Grenady doniósł mi, że matka moja śmiertelnie zachorowała. Miłość ustąpiła miejsca synowskiemu przywiązaniu i opuściliśmy z moją siostrą Villaca. Matka moja chorowała przez dwa miesiące i oddała ducha w naszych objęciach. Oplakałem tę stratę, może zbyt krótko, i wróciłem do Segowii, gdzie dowiedziałem się, że Elwira była już hrabiną Rovellas.

Usłyszałem także, że hrabia przyrzekł sto sztuk złota nagrody temu, kto mu odkryje nazwisko jego wybawcy; odpowiedziałem mu bezimiennym listem i udałem się do Madrytu, prosząc o powierzenie mi jakiego urzędu w Ameryce. Otrzymałszy go, czym

¹⁴⁸ *Chiriguanie, Assinibuanie i Apalasi* — w innym tłum.: Assinipoelowie i Apalakowie-Chiricahua. [przypis edytorski]

prędzej wsiadłem na okręt. Pobyt mój w Villaca był tajemnicą znaną tylko mnie i mojej siostrze, ale służący nasi mają wrodzoną wadę szpiegostwa, która przenika wszelkie tajniki. Jeden z moich ludzi, który nie chciał udać się ze mną do Ameryki, wszedł w służbę Rovellasa; opowiedział służącej ochmistrzyni hrabiny całą historię kupna domu w Villaca i mego przebrania się za wieśniaka, służąca powtórzyła to samej ochmistrzyni, ta zaś dla zaskarżenia sobie łaski powiedziała wszystko hrabiemu. Rovellas, porównywając bezmiennosc mego listu, biegłość okazaną w walce byków i nagły mój wyjazd do Ameryki, wywnioskował, że musiałem być szczęśliwym kochankiem jego małżonki. Mocno przeraziłem się, słysząc o tym, co zaszło, przybywszy jednak do Ameryki, otrzymałem list następującej treści:

„Señor don Sancho de Peña Sombre!

Uwiadomiono mnie o stosunkach, jakie miałeś z niegodziwą, której odtąd zaprzeczam nazwiska hrabiny Rovellas. Jeżeli chcesz, możesz posłać po dziecię, które wkrótce się z niej narodzi. Co do mnie, wyjeżdżam natychmiast za tobą do Ameryki, gdzie spodziewam się widzieć cię po raz ostatni w mym życiu”.

List ten pogrążył mnie w rozpacz, wkrótce jednak boleść moja dobiegła ostatnich krańców, gdy dowiedziałem się o śmierci Elwiry, męża Pani i Rovellasa, którego chciałem przekonać o fałszu jego zarzutów. Uczyniłem jednak, co mogłem, dla zniweczenia potwarzy i uprawnienia rodu jego córki; nadto poprzysiągłem uroczyscie, gdy dziewczynka przyjdzie do lat pojąć ją za żonę. Po dopełnieniu tego obowiązku, osądziłem, że wolno mi było szukać śmierci, której religia nie pozwalała mi zadać samemu sobie. W Ameryce naówczas dziki lud sprzymierzony z Hiszpanami toczył wojnę z sąsiednim narodem. Udałem się tam i przyjęty zostałem od ludu. Dla pozyskania jednak, że tak rzekę, prawa obywatelstwa, musiałem pozwolić, ażeby wykłuto mi igłą na całym ciele kształt węża i żółwia. Głowa węża miała zaczynać się na prawym moim ramieniu, ciało szesnaście razy owijało się koło mojego i dopiero na wielkim palcu u prawej nogi kończyło ogonem. Podczas obrzędu dziki operator naumyślnie kłuł mnie do kości, próbując, czyli nie wydam surowo zakazanego krzyku boleści. Śród tych męczarni usłyszałem już z daleka wrzaski dzikich naszych nieprzyjaciół, podczas gdy nasi zawodzili śpiew za umarłych. Uwolniwszy się z rąk kapłanów, pochwyliłem maczugę i rzuciłem się w sam war boju. Zwycięstwo przechyliło się na naszą stronę, przynieśliśmy z sobą dwieście dwadzieścia czupryn, mnie zaś na placu bitwy jednomyślnie okrzyknięto kacykiem.

Po upływie dwóch lat dzięki pokolenia nowego Meksyku przeszły na wiarę Chrystusa i poddały się koronie hiszpańskiej.

Wiadoma wam zapewne reszta mojej historii. Osiągnąłem najwyższe zaszczyty, o jakich może zamarzyć poddany króla hiszpańskiego; ale muszę uprzedzić cię, zachwycająca Elwiro, że nigdy nie będziesz wicekrólową. Polityka gabinetu madryckiego nie pozwala, ażeby ludzie żonaci piastowali w Nowym Świecie tak wysoką władzę. Od chwili, w której raczysz zostać moją żoną, ja przestaję nosić tytuł wicekróla. Mogę tylko złożyć u stóp twych godność granda hiszpańskiego i majątek, o którego źródłach winienem ci jeszcze, jako o wspólnym na przyszłość, kilka słów napomknąć. Podbiwszy dwie prowincje północnego Meksyku, otrzymałem od króla pozwolenie na wyzyskiwanie jednej z najbogatszych kopalni srebra. W tym celu stowarzyszyłem się z pewnym spekulantem z Veracruz i w pierwszym roku otrzymaliśmy dywidendę wartości trzech milionów podwójnych piastrów, ponieważ jednak przywilej był na moje imię, dostałem więc sześćkroć sto tysięcy piastrów więcej od mego współnika.

— Pozwól pan — przerwał nieznajomy — suma przypadająca na wicekróla wynosiła milion osiemkroć sto tysięcy piastrów, na współnika zaś milion dwakroć sto tysięcy.

— Tak sędzę — odparł naczelnik Cyganów.

— Czyli wyraźniej mówiąc — rzekł nieznajomy — połowa sumy plus połowa różnicy: jasne jak dwa razy dwa cztery.

— Masz pan słuszność — odpowiedział naczelnik, po czym tak dalej ciągnął:

Wicekról, pragnąc dokładnie mnie uwiadomić o stanie swego majątku, rzekł:

— Na drugi rok zapuściliśmy się głębiej we wnętrzości ziemi i musieliśmy zbudować przejścia, studnie, galerie. Wydatki, które dotąd czwartą część wynosiły, powiększyły się o jedną ósmą, ilość zaś kruszcu spadła o jedną szóstą. —

Na te słowa geometra dobył z kieszeni tabliczki i ołówek, ale myśląc, że trzyma pióro, umoczył ołówek w czekoladzie, widząc jednak, że czekolada nie pisze, chciał otrzeć pióro o swój czarny kaftan i otarł je o suknię Rebeki. Następnie zaczął coś gryzmolić na swoich tabliczkach. Roześmieliśmy się z jego roztargnienia i naczelnik Cyganów tak dalej mówił:

— Na trzeci rok przeszkody jeszcze się powiększyły. Musieliśmy sprowadzić górników z Peru i daliśmy im piętnastą część przychodu, nie przypuszczając ich wcale do wydatków, które tego roku wzrosły o dwie piętnaste. Natomiast ilość kruszcu zwiększyła się o sześć razy i jedna czwarta więcej w porównaniu z ilością przeszłoroczną.

Tu zaraz dorozumiałem¹⁴⁹ się, że naczelnik chciał pobałamucić geometrze jego rachunki. W istocie, nadając swemu opowiadaniu formę zagadnienia, rzekł dalej:

— Odtąd pani, nasze dywidendy ciągle zmniejszały się o dwie siedmnaste. Ponieważ jednak umieszczałem na procent pieniądze zyskane na kopalniach i dołączałem do kapitału procenta od procentów, otrzymałem jako ostateczną sumę mego majątku pięćdziesiąt milionów piasstrów, którą składam u twych nóg wraz z moimi tytułami, sercem i ręką.

Tu nieznamy, ciągle pisząc na tabliczkach, powstał i udał się drogą, którą przybyliśmy do obozu; ale zamiast iść prosto, zboczył na ścieżkę prowadzącą do potoku, gdzie Cyganie czerpali wodę i wkrótce potem usłyszeliśmy plusk ciała wpadającego w potok.

Pobieglem mu na pomoc, rzuciłem się w wodę i pasując się z prądem, zdołałem wreszcie naszego roztargnionego wyciągnąć na brzeg. Dobyto z niego wodę, której się opił, rozpalono wielki ogień i gdy po długich staraniach geometra wrócił do zmysłów, wlepił w nas błędne oczy i rzekł słabym głosem:

— Bądźcie panowie przekonani, że majątek wicekróla wynosił sześćdziesiąt milionów dwadzieścia pięć tysięcy sto sześćdziesiąt jeden piasstrów, przypuszczając, że część wicekróla tak się zawsze miała do części jego współnika jak tysiąc osiemset do tysiąca dwustu, czyli jak trzy do dwóch.

To powiedziawszy, geometra wpadł w pewien rodzaj letargu, z którego nie chcieliśmy go budzić, sądząc, że potrzebuje spoczynku. Spał aż do szóstej wieczorem i zbudził się z letargu po to, aby jedna za drugą popełniać tysiące niedorzeczności.

Naprzód zapytał, kto wpadł w wodę. Gdy mu odpowiedziano, że on sam i że ja go wyratowałem, zbliżył się ku mnie z wyrazem najłagodniejszej grzeczności i rzekł:

— W istocie, nie myślałem, że umiem tak dobrze pływać; mocno mnie to cieszy, że zachowałem królowi jednego z najdzielniejszych oficerów, gdyż pan jesteś kapitanem w gwardii walońskiej, sam mi to powiedziałeś, a ja mam wyborną pamięć.

Towarzystwo parsknęło śmiechem, ale geometra bynajmniej się nie zmieszał i ciągle nas bawił swoimi roztargnieniami.

Kabalista również był zajęty i bezustannie tylko mówił o Żydzie Wiecznym Tułaczku, który miał mu udzielić niektórych wiadomości względem dwóch szatanów nazywających się Eminą i Zibeldą. Rebeka wzięła mnie pod rękę i zaprowadziwszy do miejsca, z którego głos nasz nie dochodził, rzekła:

¹⁴⁹dorozumieć się (daw.) — domyślić się, zrozumieć. [przypis edytorski]

— Drogi panie Alfonsie, zaklinam cię, powiedz mi twoje zdanie o tym wszystkim, co słyszałeś i widziałeś od czasu przybycia twego w te góry, i co myślisz o tych dwóch wisielcach, które wyrządzają nam tyle psot.

— Sam nie wiem, co mam odpowiedzieć na to zapytanie — odrzekłem. — Tajemnica, o którą troszczy się twój brat, jest mi zupełnie nieznaną. Co do mnie, przekonany jestem, że uspio no mnie za pomocą napoju i zaniesiono pod szubienicę. Wreszcie, sama mówiłaś mi o władzy, jaką Gomelezowie skrycie wywierają w tych okolicach.

— Tak jest — przerwała Rebeka — zdaje mi się, że chcą, abyś przeszedł na wiarę proroka i moim zdaniem powinieneś to uczynić.

— Jak to? — zawołałem. — Więc i ty jesteś ich współpracowniczką?

— Bynajmniej — odpowiedziała — ja mam własne widoki na cel; wszakże mówiłam ci, że nigdy nie pokocham żadnego z moich współwyznawców ani też chrześcijanina; ale złączmy się z towarzystwem, kiedy indziej pomówimy o tym obszerniej.

Rebeka poszła do brata, ja zaś udałem się w przeciwną stronę i zacząłem rozmyślać nad tym wszystkim, co widziałem i słyszałem; ale im więcej zagłębiałem się w moich myślach, tym mniej mogłem dojść w nich ładu.

DZIEŃ DZIEWIĘTNASTY

Całe towarzystwo wcześniej zebrało się do jaskini, sam tylko naczelnik nie przybył. Geometra był już zupełnie zdrow i przekonany, że on wydobył mnie z wody, spoglądał na mnie tym zajmującym wzrokiem, jakim zwykle patrzymy na tych, którym wyświadczylismy ważne przysługi. Rebeka zauważyła ten dziwny stan jego i mocno ją to bawiło. Po skończonym śniadaniu rzekła:

— Wiele straciliśmy na nieobecności naczelnika, gdyż umierałam z ciekawości dowiedzenia się, jakim sposobem przyjął ofiarę ręki i majątku wicekróla. Wszelako ten oto szlachetny nieznajomy będzie zapewne mógł wynagrodzić naszą stratę, opowiadając nam własne przygody, które muszą być nader zajmujące. Zdaje się, że poświęcał się naukom niezupełnie dla mnie obcym i bez wątpienia wszystko, cokolwiek odnosi się do takiego jak on człowieka, ma prawo do pilnej mojej uwagi.

— Nie sądzę — odparł nieznajomy — abyś pani miała poświęcać się tymże samym naukom, gdyż kobiety zwykle nie mogą zrozumieć pierwszych ich początków; ponieważ jednak przyjeśliście mnie z taką gościnnością, uwiadomienie was zatem o wszystkim, co się mnie tyczy, jest moim najświętszym obowiązkiem. Zacznę więc od oznajmienia, że nazywam się... że nazywam się...

— Jak to — rzekła Rebeka — byłżebyś pan do tego stopnia roztargniony, żeby zapomnieć swego własnego nazwiska?

— Bynajmniej — odpowiedział geometra — z natury mojej wcale nie jestem roztargniony, ale ojciec mój pewnego dnia, przez roztargnienie podpisał nazwisko brata zamiast swego, od razu stracił żonę, majątek i nagrodę za oddane krajowi usługi. Aby więc nie wpaść w podobny błąd, wypisałem moje nazwisko na tych oto tabliczkach i odtąd, ile razy mam podpisać się, wiernie je przepisuję.

— Ale kiedy my żądamy od pana — rzekła Rebeka — abyś nam powiedział, nie zaś podpisywał swoje nazwisko.

— W istocie, masz pani słuszność — odpowiedział nieznajomy i schowawszy tabliczki do kieszeni, zaczął w te słowa:

Historia geometry

Nazywam się don Pedro Velasquez. Pochodzę ze starożytnej rodziny margrabiów Velasquez którzy od wynalezienia prochu wszyscy służyli w artylerii i byli najbieglejszymi oficerami, jakich Hiszpania posiadała w tej broni. Don Ramiro Velasquez, naczelný dowódca artylerii za Filipa czwartego, wyniesiony został do godności granda przez jego następcę. Don Ramiro miał dwóch synów, obu żonatyh. Jakkolwiek starsza linia wyłącznie została przy tytule i majątku, atoli daleka od oddania się próżniactwu dworskih urzędów, ciągle przykładała się do szaczytnych prac, którym winna była swoje wyniesienie, i o ile możności zawsze i wszędzie starała się wspierać linię młodszą.

To trwało aż do Sancha, piątego księcia Velasquez, prawnuka najstarszego syna *don Ramira*. Ten zacny mąż, równie jak jego przodkowie, piastował godność naczelnego dowódcy artylerii, oprócz tego był gubernatorem Galicji, gdzie też zwykle przemieszkiwał. Ożenił się był z córką księcia Alby; małżeństwo to było równie dla niego szczęśliwe, jak zaszczytne dla całego naszego domu. Wszelako nadzieje *don Sancha* nie ze wszystkim się urzeczywistniły. Księżna miała tylko jedną córkę imieniem *Blanka*. Książę przeznaczył ją za żonę jednemu Velasquezowi z młodszej linii, na którą miała przenieść tytuł i majątek.

Ojciec mój, *don Henrique*, i brat jego, *don Carlos*, tylko co byli stracili swego ojca, który w tymże samym stopniu co książę Velasquez pochodził od *don Ramira*. Na rozkaz księcia sprowadzono obu do jego domu. Mój ojciec miał wówczas dwanaście lat, stryj zaś jedenaście. Sposoby ich myślenia zupełnie się różniły. Mój ojciec był poważny, zagłębiany w naukach i nadzwyczajnie czuły, podczas gdy brat jego *Carlos* lekkomyślny, trzpiotowaty, nie mógł jednej chwili wysiedzieć przy książce. *Don Sancho*, poznawszy te odmienne skłonności, postanowił, że mój ojciec będzie jego zięciem; żeby zaś serce *Blanki* nie uczyniło przeciwnego wyboru, wysłał *don Carlosa* do Paryża, gdzie ten miał pobierać wychowanie pod okiem hrabiego *Hereiry*, jego krewnego i posła naówczas we Francji.

Mój ojciec wybornymi swymi przymiotami, dobrocią serca i niezmordowaną pracą z każdym dniem więcej zyskiwał sobie przychylność księcia, *Blanka* zaś, wiedząc o uczynionym dla niej wyborze, coraz goręcej do niego się przywiązywała. Podzielała nawet upodobania młodego kochanka i z daleka postępowała za nim na drodze nauk. Wyobraźcie sobie młodego człowieka, którego znakomite zdolności ogarniały cały obszar nauk ludzkich, w wieku, gdy inni zaledwie przystępują do pierwszych początków; wyobraźcie sobie następnie tego samego młodego człowieka zakochanego w osobie równego z nim wieku, jaśniejącej niezwykle przymiotami umysłu, chciwiej zrozumienia go i szczęśliwej z powodzeń, które zdawała się z nim podzielać, a wtedy będziecie mieli lekkie pojęcie o szczęściu, jakiego mój ojciec kosztował w tej krótkiej epoce swego życia. I dlaczegoż *Blanka* nie miałaby go kochać? Stary książę pysznił się nim, cała prowincja poważała go i nie miał jeszcze dwudziestu lat, kiedy sława jego przekroczyła już granice Hiszpanii. *Blanka* kochała swego narzeczonego nawet miłością własną, *Henryk* zaś, który tylko dla niej oddychał, kochał ją całym sercem. Dla starego księcia miał prawie równe uczucie jak dla jego córki i często z żalem myślał o nieobecności brata swego *Carlosa*.

— Droga *Blanko* — mawiał do swojej kochanki — czyli nie znajdujesz, że do zupełnego szczęścia brak nam *Carlosa*? Mamy tu dość pięknych panien, które mogły by go usatkwować; wprawdzie jest on lekkomyślny, rzadko kiedy do mnie pisuje, ale słodka i rozumna kobieta wykształciłaby jego serce. Kochana *Blanko*, ubóstwiam cię, poważam twego ojca, ale ponieważ natura obdarzyła mnie bratem, dlategoż przeznaczenie tak długo nas rozdziela?

Pewnego dnia książę kazał przyzwać do siebie mego ojca i rzekł mu:

— *Don Henryku*, w tej chwili otrzymałem od króla, naszego najmiłościwszego pana, list, który pragnę ci przeczytać. Oto są jego słowa:

„Mój kuzynie!

Na ostatniej naszej radzie postanowiliśmy zażądać nowych planów i umocnić niektóre miejsca służące ku obronie naszego królestwa. Widzimy, że Europa dzieli się w zdaniach między systemami *Vaubana*¹⁵⁰ i *Cohorna*¹⁵¹. Racz użyć najbieglejszych oficerów do opracowania tego przedmiotu. Prześlij nam ich plany, a jeżeli znajdziemy takie, które potrafią nas zadowolić, autorowi powierzone zostanie ich wykonanie. Oprócz tego nasza królewska wspaniałość stosownie go wynagrodzi. Teraz polecamy was łasce Stwórcy i zostajemy przychylnym wam

¹⁵⁰*Vauban, Sébastien le Prestre de (1633–1707)* — marszałek Francji, ekonomista i inżynier wojskowy, autor dzieł z dziedziny fortyfikacji i twórca własnego systemu budowania i zdobywania twierdz (*Traktaty o zdobywaniu i obronie twierdz*, oryg. *Traité de l'attaque et de la défense des places*); w filozofii prekursor fizjokratyzmu (podkreślającego wartość pracy) i przeciwnik merkantylizmu. [przypis edytorski]

¹⁵¹*Cohorn, właśc. Menno van Coehoorn (1641–1704)* — holenderski inżynier wojskowy, twórca nowych technik fortyfikacyjnych, pomysłodawca innowacji w uzbrojeniu i sprzęcie używanym podczas oblężenia (m.in. wynalazł typ moździerza nazwany od jego nazwiska); konkurował z Sébastienem de Vauban. [przypis edytorski]

Królem”.

— Cóż więc — rzekł książę — czujesz¹⁵² w sobie kochany Henryku siłę wejścia w zapasy? Uprzedzam cię, że współzawodnikami twymi będą najbiedniejsi inżynierowie, nie tylko z Hiszpanii, ale z całej Europy.

Ojciec mój zamyslił się przez chwilę, po czym odpowiedział z pewnością:

— Tak jest, mości książę i chociaż wstępuję dopiero w ten zawód, jednak wasza książęca mość może mi zaufać.

— Dobrze więc — rzekł książę — staraj się wykonać twoją pracę, jak będziesz mógł najlepiej, a skoro skończysz, nic już nie opóźni waszego szczęścia. Blanka będzie twoja.

Możecie domyślić się, z jakim zapalem ojciec mój wziął się do pracy. Dnie i noce siedział nad stolikiem, gdy zaś zmęczony umysł gwałtem dopominał się wytchnienia, przepędzał ten czas w towarzystwie Blanki, rozmawiając o swoim przyszłym szczęściu i o rozkoszy, z jaką uściska za powrotem Carlosa. Tym sposobem cały rok upłynął. Narzeczcie poprzysyłało masę planów z różnych stron Hiszpanii i krajów Europy. Wszystkie były opieczętowane i złożone w kancelarii księcia. Mój ojciec poznał, że należało ostatecznie wykończyć swoją pracę i wydoskonalił ją do stopnia, o którym mogę wam tylko dać słabe wyobrażenie. Zaczynał od ustalenia głównych zasad zaczepki i odporu, dowodził, w czym Cohorn zgadzał się z tymi zasadami, w czym zaś od nich odstępował. Vaubana daleko wyżej stawiał nad Cohornem, wszelako przepowiadał, że jeszcze zmieni swój system, jakoż późniejszy czas potwierdził jego zdanie. Wszystkie te argumenty nie tylko potwierdzała uczona teoria, ale nadto szczegóły miejscowości, obliczenie wydatków i wyrachowania niepojęte nawet dla ludzi najbiedniejszych w nauce.

Mój ojciec, skończywszy ostatni wiersz swego dzieła, odkrył w nim jeszcze wiele niedokładności, których zrazu nie dostrzegł, cały więc drżący zaniósł rękopis księciu, który nazajutrz oddał mu go, mówiąc:

— Kochany synowcze, otrzymałeś pierwszeństwo, natychmiast prześlę twoje plany, ty zaś myśl tylko o twoim weselu, które się wkrótce odbędzie.

Mój ojciec padł do nóg księcia i rzekł:

— Jaśnie oświecony książę, racz pozwolić przyjechać memu bratu, szczęście moje bowiem nie będzie zupełne, jeżeli go nie uściskam po tak długim rozłączeniu.

Książę zmarszczył brwi i odpowiedział:

— Przewiduję, że Carlos będzie nam suszył głowy wychwalaniem wspaniałości dworu Ludwika XIV, ale ponieważ prosisz mnie o to, pošlę więc po innego!

Mój ojciec ucałował ręce księcia i poszedł do swojej narzeczonej. Odtąd nie zajmował się więcej geometrią i miłość zapełniała wszystkie chwile jego życia i władze jego duszy.

Tymczasem król, obstając mocno przy swoim zamiarze, rozkazał, aby przeczytano i zgłębiono wszystkie plany. Praca mego ojca jednomyślnie została przyjęta. Niebawem ojciec mój otrzymał list od ministra, w którym ten wyrażał mu najwyższe zadowolenie i z polecenia króla zapytywał, jakim by sposobem pragnął być wynagrodzony. W liście do księcia minister dawał do zrozumienia, że młody człowiek zapewne mógłby otrzymać stopień pierwszego pułkownika artylerii, gdyby go zażądał.

Mój ojciec zaniósł list księciu, który mu nawzajem swój przeczytał, wszelako oświadczył, że nie ośmieli się nigdy przyjąć stopnia, na który, według jego mniemania, dotąd nie zasłużył i błagał księcia, aby w jego imieniu chciał odpowiedzieć ministrowi.

Książę odmówił mu:

— Do ciebie — rzekł — minister pisał i ty powinieneś mu odpowiedzieć: bez wątpienia minister ma w tym swoje przyczyny, ponieważ zaś w liście do mnie pisanym nazywa cię młodym człowiekiem, zapewne młodość twoja zajęła króla, któremu chce przedstawić własnoręczny list młodzieńca pełnego nadziei. Zresztą potrafimy napisać ten list bez wielkiej zarozumiałości.

To mówiąc, książę siadł do stolika i zaczął pisać w te słowa:

„JW Panie!

Zadowolenie JK Mości oświadczone mi przez JW Pana jest nagrodą wystarczającą dla każdego dobrze urodzonego Kastylijczyka. Jednakowoż

¹⁵²czujesz — inaczej: czy czujesz. [przypis edytorski]

ośmielony Jego dobrocią, poważam się upraszać JK Mość o potwierdzenie mego małżeństwa z Blanką Velasquez, dziedziczką majątków i tytułów naszego domu.

Takowa zmiana stanu w niczym nie osłabi mojej gorliwości w służeniu krajowi i monarsze. Zbyt będę szczęśliwy, jeżeli kiedyś przez moją pracę, potrafię sobie zasłużyć na godność pierwszego pułkownika artylerii, którą wielu moich przodków z zaszczytem piastowało.

JW Pana etc.”.

Mój ojciec podziękował księciu za trud, jaki sobie zadał w napisaniu listu, poszedł do siebie, przepisał go słowo w słowo, ale w chwili, gdy miał go podpisywać, usłyszał głos wołający na podwórze:

— Don Carlos przyjechał! Don Carlos przyjechał!

— Kto? Mój brat? Gdzie jest? Niech go uściskam!

— Racz dokończyć list, don Henrique — rzekł mu goniec, który miał natychmiast wyjeżdżać do ministra. Mój ojciec, przepełniony radością z przybycia brata i naglony przez gońca, zamiast „Don Henrique” podpisał „Don Carlos Velasquez”, zapieczętował list i pobiegł przywitać się z bratem.

W istocie obaj bracia czule się uściskali, ale don Carlos, odskakując w tył, zaczął śmiać się na całe gardło i rzekł:

— Kochany Henryku, podobny jesteś jak dwie krople wody do Scaramuccia w komedii włoskiej. Kryza twoja obejmuje ci podbródek jak miska do golenia brody, pomimo to kocham cię zawsze; a teraz chodźmy do starego pocziwca.

Weszli razem do starego księcia, którego Carlos mało nie udusił w swych uściskach, według panującego wówczas zwyczaju na dworze francuskim, po czym rzekł do niego:

— Drogi wuju, tłusty wasz ambasador dał mi list do ciebie, ale postarałem się zgubić go u mego laziennika. Wreszcie mniejsza o to, Gramont, Roquelaure i wszyscy starzy serdecznie cię całują.

— Ależ mój drogi synowcze — przerwał książę — ja nie znam żadnego z tych panów.

— Tym gorzej dla ciebie — mówił dalej Carlos — są to bardzo przyjemni ludzie. Ale gdzież jest moja przysła bratowa? Musiała od tego czasu szalenie wypięknąć.

W tej chwili weszła Blanka. Don Carlos zbliżył się do niej poufale i rzekł:

— Boska moja bratowo, zwyczajnie nasze paryskie pozwalają nam całować piękne kobiety — i to mówiąc, pocałował ją w twarz z wielkim podziwieniem don Henryka, który widywał Blankę otoczoną zawsze orszakiem jej kobiet i nie ośmielił się nigdy pocałować jej w rękę.

Carlos powiedział jeszcze tysiąc niedorzecznych rzeczy, które szczerze zmartwiły don Henryka i zgrozą przejęły starego księcia. Nareszcie stryj rzekł mu surowo:

— Idź i przebierz się z twoich podróżnych sukni; tego wieczora mamy u nas bal. Pamiętaj, że co za górami uważają za grzeczność, to u nas uchodzi za zuchwalstwo.

— Drogi stryju — odpowiedział Carlos wcale niezmiuszony — ubiorę się w nowy strój, który Ludwik XIV wymyślił dla swoich dworzan, a wtedy przekonasz się, jak monarcha ten wielki jest na każdym kroku. Zamawiam moją piękną kuzynkę do sarabandy; jest to taniec hiszpański, ale zobaczycie, jak Francuzi go wydoskonalili.

Po tych słowach don Carlos wyszedł, nucąc jakąś arię Lully’ego. Brat jego, mocno zmartwiony tą lekkomyślnością, chciał uniewinnić go przed księciem i Blanką, ale na próżno, gdyż stary książę był już zbyt przeciw niemu uprzedzony, Blanka zaś nie brała mu tego za złe.

Gdy bal się rozpoczął, Blanka ukazała się wystrojona nie po hiszpańsku, ale z francuska. Zdziwiło to wszystkich, chociaż utrzymywała, że dziad jej, ambasador, przysłał jej tę suknię przez don Carlosa. Wszelako tłumaczenie to nie zadowoliło nikogo i zdziwienie panowało ogólne.

Don Carlos długo kazał na siebie czekać, nareszcie wszedł wystrojony wedle zwyczaju przyjętego na dworze Ludwika XIV. Miał na sobie niebieski kaftan, cały haftowany srebrem, szarfę i wypustki z również ozdobionego białego atlasu, gors i mankiety z koronek brabanckich, na koniec niezmiernej wielkości jasną perukę. Strój ten, wspaniały sam przez się, jeszcze świetniejszy się wydawał pośród biednych ubiorów, jakie ostatni

nasi królowie z domu austriackiego zaprowadzili w Hiszpanii. Nie noszono już nawet kryzy, która cokolwiek przynajmniej dodawała mu wdzięku i zastąpiono ją prostym kołnierzem, jakiego dziś używają alkazilowie i prawnicy. W istocie, jak to trafnie powiedział don Carlos, ubiór ten zupełnie przypominał Scaramuccia.

Nasz trzpiot, odróżniający się od młodzieży hiszpańskiej swoim strojem, jeszcze więcej odznaczył się sposobem, jakim wszedł na bal. Zamiast głębokiego ukłonu lub uczynienia komu jakiegokolwiek grzeczności, z przeciwnego końca sali zaczął krzyczeć na muzykantów:

— Hola, lotry! Uciszcie się!... Jeżeli mi będziecie co innego grać jak moją sarabandę, potłukę wam skrzypce na uszach!

Następnie porozdawał nuty, które z sobą był przywiózł, poszedł po Blankę i wyprowadził ją na środek sali, gdzie mieli razem tańcować. Mój ojciec przyznaje, że don Carlos nieporównanie tańcował, Blanka zaś, z natury nader zgrabna, tym razem przechodziła samą siebie. Po skończeniu sarabandy wszystkie damy powstały, aby powinszować Blance wdzięku, z jakim ją tańczyła. Wszelako chociaż do niej niby stosowały te grzeczności, przecież ukradkiem spoglądały na Carlosa, jak gdyby chciały mu dać poznać, że on był jedynym przedmiotem ich uwielbienia. Blanka pojęła doskonale ukrytą myśl i tajemne holdy kobiet podniosły w jej oczach zasługę młodego człowieka.

Przez cały czas balu, Carlos na chwilę nie opuścił Blanki, a skoro brat jego przybliżył się do nich, mówił mu:

— Henryku, mój przyjacielu, idź rozwiązać jakie zadanie algebraiczne, będziesz miał dość czasu nudzić Blankę, jak zostaniesz jej mężem.

Blanka niepowstrzymanym śmiechem podniecała te zuchwalstwa i biedny don Henryk cały zmieszany odchodził.

Gdy dano znak do wieczerzy, Carlos podał rękę Blance i zasiadł z nią na najwyższym rogu stołu. Książę zmarszczył brwi, ale don Henryk uprosił go, aby przebaczył na ten raz bratu.

Podczas wieczerzy don Carlos opowiadał towarzystwu o uroczystościach wyprawianych przez Ludwika XIV, nade wszystko zaś o balecie pod tytułem *Olimp miłości*, w którym sam monarcha grał rolę słońca, po czym dodał, że pamiętał ją wybornie i że Blanka byłaby zachwycająca w roli Diany. Rozdał więc wszystkim role i zanim wstano od stołu, balet Ludwika XIV był już zupełnie ułożony. Don Henryk opuścił bal; Blanka nie postrzegła nawet jego nieobecności. Nazajutrz z rana mój ojciec poszedł odwiedzić Blankę i zastał ją powtarzającą z Carlosem scenę nowego baletu. Tak upłynęły trzy tygodnie. Książę stawał się coraz kwaśniejszy, Henryk tłumił swoją boleść, Carlos zaś wygadrywał niestworzone rzeczy, które damy z towarzystwa uważały za wyroczenie.

Paryż i balety Ludwika XIV tak dalece zawróciły głowę Blance, że nie wiedziała, co się koło niej działo.

Pewnego dnia przy obiedzie książę otrzymał depeszę z dworu. Był to list od ministra zawarty w tych słowach:

„Jaśnie Oświecony Książę!

JK Mość, najmiłościwszy nasz pan, zgadza się na małżeństwo córki Waszej z don Carlosem Velasquez, nadto potwierdza mu tytuł granda i mianuje pierwszym pułkownikiem artylerii.

Najniższy sługa etc.”

— Co to ma znaczyć? — zawołał książę w największym gniewie. — Co w tym liście porabia imię Carlosa, wtedy gdy ja Henrykowi przeznaczyłem Blankę za żonę?

Mój ojciec prosił księcia, aby raczył cierpliwie go wysłuchać i rzekł:

— Nie wiem, mości książę, jakim sposobem imię Carlosa w tym liście wcisnęło się zamiast mego, ale jestem pewny, że brat mój wcale do tego nie należał. Ostatecznie nikt tu nie jest winny i widocznie ta zmiana nazwiska jest prostym wypadkiem wyroków Opatrzności. W istocie, sam książę zapewne raczyłeś już spostrzec, że Blanka nie ma ku mnie żadnej skłonności i że, przeciwnie, wcale nie jest obojętna dla Carlosa. Niechże więc jej ręka, osoba, tytuły i majątek jemu się dostaną. Ja zrzekam się wszystkich moich praw.

Książę obrócił się do córki i rzekł:

— Blanko! Blanko, miałaśbyś być istotnie tak lekkomyślna i zdraдлиwa?

Blanka rozplakała się, zemdlala i na koniec wyznała swoją miłość dla Carlosa.

Księżę w rozpaczy rzekł do mego ojca:

— Drogi Henryku, jeżeli brat twój wydarł ci kochankę, nie może jednak pozbawić cię godności pierwszego pułkownika artylerii, do której przyłączę pewną część mego majątku.

— Przebacz, księżę — odrzekł don Henryk — ale majątek twój w całości należy do twojej córki, co zaś do godności pierwszego pułkownika, król słusznie uczynił, oddając ją memu bratu, gdyż ja w terażniejszym stanie umysłu nie jestem zdolny piastować ani tego, ani innego stopnia. Pozwól, księżę, ażebym oddalił się w jakie święte schronienie, u stóp ołtarzy ukoił moją boleść i ofiarował ją temu, który tyle za nas wycierpiał.

Mój ojciec opuścił dom księcia, wstąpił do klasztoru kamedułów, gdzie przywdział habit nowicjusza. Don Carlos pojął Blankę, wesele jednak odbyło się bez żadnej świetności. Sam księżę nie był na nim obecny. Blanka, wtrąciwszy w rozpacz swego ojca, martwiła się nieszczęściami, jakich była powodem; Carlos nawet, pomimo zwykłej lekkomyślności, zmieszany był tym powszechnym smutkiem.

Wkrótce księżę zapadł na podagrę, która podchodziła mu do piersi i czując, że niewiele mu powstaje chwil do życia, posłał do kamedułów i żądał raz jeszcze widzieć kochanego swego Henryka. Alvarez, marszałek księżęcego domu, przybył do klasztoru i wypełnił dane mu polecenie. Kameduli, stosownie do reguły zabraniającej im mówić, nie odpowiedzieli ani słowa, ale zaprowadzili go do celi Henryka. Alvarez zastał go leżącego na słomie, okrytego łachmanami i przez pół ciała przykutego łańcuchem do ściany.

Mój ojciec poznał Alvareza i rzekł:

— Przyjacielu Alvarze, jak ci się podoba sarabanda, którą tańczyłem wczoraj? Sam Ludwik XIV był z niej zadowolony, szkoda tylko, że muzykanci niegodziwie grali. A Blanka co mówi o tym?... Blanka! Blanka! Nieszczęśliwy, odpowiadaj!...

Tu ojciec mój wstrząsnął łańcuchami, zaczął gryźć sobie ręce i wpadł w niepomiarkowany napad szaleństwa. Alvarez wyszedł, zalewając się łzami, i opowiedział księciu smutny widok, jaki się jego oczom przedstawił.

Nazajutrz podagra weszła księciu w żołądek i zwątpiono o jego życiu. Na chwilę przed śmiercią obrócił się do córki i rzekł:

— Blanko! Blanko! Henryk wkrótce się ze mną złączy. Przebaczymy ci: bądź szczęśliwa.

Ostatnie te jego słowa wpoily się w duszę Blanki i zaprawiły ją trucizną wyrzutów. Niebawem wpadła w głęboką melancholię.

Młody księżę niczego nie oszczędził dla rozweselenia swojej małżonki, ale nie mogąc nic wskórać, zostawił ją jej smutkowi, sprowadził z Paryża sławną zalotnicę, nazwiskiem Lajardin, po czym Blanka oddaliła się do klasztoru. Stopień pierwszego pułkownika artylerii nie był dla niego stosowny; przez jakiś czas starał się go sprawować, ale nie mogąc zaszczynie pełnić obowiązków, posłał królowi swoją dymisję i prosił go o jaki urząd przy dworze. Król ustanowił go wielkim szatnym koronnym: księżę wraz z Lajardin przeniósł się do Madrytu.

Mój ojciec przypędził trzy lata u kamedułów, podczas których zacni zakonnicy za pomocą najgorliwszych starań i anielskiej cierpliwości przywrócili go na koniec do zdrowia. Następnie udał się do Madrytu i poszedł do ministra. Wprowadzono go do gabinetu, gdzie dygnitarz odezwał się do niego w te słowa:

— Sprawa wasza, don Henryku, doszła do wiadomości króla, który mocno rozgniewał się na mnie za tę pomyłkę; szczęściem posiadałem jeszcze wasz list z podpisem don Carlosa. Oto go jeszcze mam, racz mi teraz powiedzieć, dlaczego nie podpisałeś własnego nazwiska?

Mój ojciec wziął list, poznał swoje pismo i rzekł:

— Przypominam sobie, JW Panie, że w chwili gdy podpisywałem ten list, doniesiono mi o przybyciu mego brata; radość doznana z tego powodu była zapewne przyczyną mojej pomyłki. Wszelako nie błąd ten winienem oskarżać o moje nieszczęścia. Gdyby nawet patent na pułkownika był wydany na moje nazwisko, nie byłbym w stanie piastować tej godności. Dziś odzyskałem dawne siły mego umysłu i czuję się zdolny do pełnienia obowiązków, jakie JK Mość wówczas mi naznaczała.

— Drogi Henryku — odparł minister — zamiary naszych fortyfikacji wpadły w wodę, a my na dworze nie zwykliśmy odświeżać zapomnianych rzeczy. Mogę ci jednak ofiarować posadę komendanta Ceuty. W tej chwili mam to tylko miejsce do rozporządzenia. Jeżeli jednak chcesz je przyjąć, musisz odjechać, nie widząc się z królem. Wyznaję, że urząd ten nie odpowiada twoim zdolnościom, nadto pojmuję, że w twoim wieku przykro jest osiedlać się na opuszczonej afrykańskiej skale.

— Ta to ostatnia przyczyna — odrzekł mój ojciec — powoduje mną, iż upraszam JW Pana o udzielenie mi tego miejsca. Spodziewam się, że porzucając Europę, wymknę się losowi, który mnie prześladowa; w drugiej części świata stanę się innym człowiekiem i pod wpływem przyjaźniejszych gwiazd odzyskam szczęście i spokój.

Mój ojciec, otrzymawszy nominację, zajął się przygotowaniami do podróży, wsiadł na okręt w Algesiras i szczęśliwie wylądował w Ceucie.

Cały przejęty radością stanął na obcej ziemi z uczuciem, jakiego doświadcza żeglarz, gdy staje w porcie po straszliwej burzy.

Nowy komendant naprzód usiłował dokładnie zbadać swoje obowiązki i wypełnianiu ich gorliwie się poświęcił; co zaś do fortyfikacji, nad tymi nie potrzebował pracować, wyspa bowiem przez samo swoje położenie przedstawiała dostateczną obronę przeciw napadom barbarzyńskim. Natomiast wszystkie siły swego umysłu zwrócił ku polepszeniu losu załogi i mieszkańców i pomnożeniu przyjemności ich życia. Sam odrzucił wszelkie materialne korzyści, jakimi zwykle nie gardził żaden z poprzedzających go dowódców. Cała osada ubóstwiała go też za to postępowanie. Oprócz tego mój ojciec troskliwie opiekował się więźniami stanu powierzonymi jego straży i często zbaczał z surowej drogi danych mu przepisów, bądź to ułatwiając im przesyłki listów do rodzin, bądź też następcząc im rozmaite rozrywki.

Gdy wszystko w Ceucie szło już wedle należytego porządku, mój ojciec znowu wziął się do pracy nad naukami ścisłymi. Dwaj bracia Bernouilli napełniali wówczas uczony świat odgłosem swych sprzeczek. Mój ojciec powierzchownie z nich żartował, w duszy jednak szczerze był nimi zajęty. Często mieszał się do walki, przesyłając bezimienne pisma, które jednemu z dwóch stronnictw dostarczały niespodziewanych posiłków. Gdy wielkie zagadnienie izoperymetryczne przedstawiono pod roztrząśnienie czterech najznakomitszych europejskich geometrów, mój ojciec przesłał im metody analizy, które można uważać za arcydzieła wynalazku; ale nikt nie przypuścił, żeby autor chciał być zachować *incognito*, i przypisywano je raz jednemu, to znow drugiemu bratu. Mylono się; mój ojciec lubił nauki, nie zaś sławę, jaką te przynoszą. Doznane nieszczęścia uczyniły go dzikim i bojaźliwym.

Jakob Bernouilli umarł w chwili, gdy miał odnieść stanowcze zwycięstwo, i plac boju został się przy jego bracie. Mój ojciec widział dobrze jego pomyłkę w uwzględnieniu dwóch tylko pierwiastków w liniach krzywych, wszelako nie chciał przedłużyć walki, która miotała całym uczonym światem. Tymczasem Mikołaj Bernouilli nie mógł spokojnie usiedzieć, wypowiedział wojnę margrabiemu de l'Hospital, roszcząc prawo do wszystkich jego odkryć, w kilka zaś lat potem uderzył nawet na Newtona. Przedmiotem tych nowych waśni była analiza rachunku różniczkowego, którą Leibniz wynalazł był w tym samym czasie, co i Newton, i którą Anglicy podnieśli do godności sprawy narodowej.

Tym sposobem mój ojciec przepędził najpiękniejsze lata swego życia na zapatrywaniu się z daleka na te wielkie walki, w których najznakomitsze ówczesne umysły stawały do boju z bronią tak ostrą, na jaką tylko geniusz ludzki mógł się zdobyć. Jednakowoż przy zamiłowaniu swoim do nauk ścisłych wcale nie zaniedbywał innych gałęzi umiejętności. Na skałach Ceuty znajdowało się mnóstwo zwierząt morskich, które w naturze swej nader zbliżają się do roślin i stanowią przejście między dwoma tymi królestwami. Mój ojciec miał zawsze kilka takowych pozamykanych w słojach i z upodobaniem zapatrywał się na cudowność ich organizmu. Oprócz tego zebrał znaczną bibliotekę ksiąg łacińskich lub tłumaczonych z łacińskiego, do których odwoływał się jako do źródeł historycznych. Uposażył się był w ten zbiór w zamiarze poparcia dowodami, wyciągniętymi z faktów, pryncypia prawdopodobieństwa rozwiniętych przez Bernouillego w jego dziele pod tytułem: *Ars coniectandi*.

Tak mój ojciec, żyjąc tylko myślą, przechodząc kolejno z badania do rozmyślenia, ciągle nie wychodził prawie od siebie: nadto, za pomocą nieustannego natężania umysłu,

zapominał o tej strasznej epoce swego życia, w której nieszczęścia przywały jego rozum. Czasami jednak serce domagało się swoich praw, co zwykle działo się nad wieczorem, gdy umysł jego był już zmęczony całodzienną pracą. Wtedy, nieprzyzwyczajony szukać rozrywek za domem, wstępował na swój belweder, spoglądał na morze i widnokrąg opierający się z dala na ciemnym pasku brzegów Hiszpanii. Widok ten przypominał mu dni sławy i szczęścia, gdy kochany od rodziny, ubóstwiany od kochanki, poważany od najznakomitszych w kraju mężów, z duszą rozplamioną młodzieńczym zapałem, rozjaśnioną światłem dojrzałego wieku, oddychał wszystkimi uczuciami stanowiącymi rozkosz życia i zagłębiał się nad zbadaniem prawd przynoszących zaszczyt umysłowi ludzkiemu. Później wspominał na brata porywającego mu kochankę, majątek, godność i zostawiającego go, obłąkanego, na garści słomy. Czasami chwycił za skrzypce i grał nieszczęsną sarabandę, która zjednała Carlosowi serce Blanki. Na głos tej muzyki zalewał się łzami i wtedy dopiero czuł ulgę na sercu. Tak przepędził piętnaście lat.

Pewnego dnia namiestnik królewski z Ceuty, pragnąc widzieć się z moim ojcem, wszedł do niego nieco późno i zastał go pogrążonego w zwykłej tęsknocie. Pomyślawszy przez chwilę, rzekł:

— Kochany nasz komendancie, racz posłuchać z uwagą kilku moich słów. Jesteś nieszczęśliwy, cierpisz, nie jest to tajemnicą, wszyscy o tym wiemy i moja córka wie to także. Miała pięć lat, gdy przybyłeś do Ceuty, i odtąd nie minął jeden dzień, żeby nie słyszała ludzi mówiących o tobie z uwielbieniem, gdyż w istocie jesteś bóstwem opiekuńczym naszej małej osady. Często mówiła do mnie: „Kochany nasz komendant dlatego tak cierpi, że nikt nie podziela jego zmartwień”. Don Henryku, daj się namówić, przyjdź do nas, to cię więcej rozerwie aniżeli te ciągle rachowanie wałów¹⁵³ morskich.

Mój ojciec pozwolił zaprowadzić się do Inezy de Ladonza, ożenił się z nią w sześć miesięcy potem, w dziesięć zaś po ich małżeństwie ja przyszedłem na świat. Gdy słaba moja osoba ujrzała światło słoneczne, mój ojciec wziął mnie na ręce i wznosząc oczy ku niebu, rzekł:

— O potęgę posiadająca nieskończoność za wykładnik, ostatni stopniu wszystkich postępów geometrycznych, Boże wielki, o to jeszcze jedno czule stworzenie rzucone w przestrzeń; jeżeli jednak ma być tak nieszczęśliwe jak jego ojciec, niech raczej dobro twoja napiętnuje go znakiem odejmowania.

Skończywszy tę modlitwę, mój ojciec uściskał mnie z radością, mówiąc:

— Nie, biedne moje dziecko, nie będziesz tak nieszczęśliwy, jak twój ojciec; poprzysiągłem na święte imię Boga, że nigdy nie każę uczyć cię matematyki, ale natomiast wyćwiczysz się w sarabandzie, baletach Ludwika XIV i wszystkich niedorzecznościach i zuchwalstwach, o jakich gdziekolwiek usłyszę.

Po tych słowach mój ojciec oblał mnie rzewnymi łzami i oddał akuszerce.

Proszę was teraz, abyście raczyli uważać na dziwne moje przeznaczenie. Mój ojciec zaprzysięga się, że nigdy nie będę uczył się matematyki, ale natomiast będę umiał tańcować. Tymczasem stało się zupełnie przeciwnie. Dziś posiadam głębokie wiadomości w naukach ścisłych, nigdy zaś nie mogłem nauczyć się, nie mówię sarabandy, która dziś już nie jest w modzie, ale żadnego innego tańca. W istocie nie pojmuję, jakim sposobem można spamiętać figury kontredansa. Żadna z nich nie tworzy się z jednego ogniska ani też podług stale przyjętych zasad, żadna nie może być przedstawiona przez formułę i nie mogę sobie wyobrazić, jakim sposobem znajdują się ludzie, którzy wszystkie umieją na pamięć.-

Gdy tak don Pedro Velasquez rozповідаł nam swoje przygody, naczelnik Cyganów wszedł do jaskini i rzekł, że sprawy hordy wymagają, by śpiesznie wyruszyć w podróż i zapuścić się w pasmo Alpuhary.

— Dzięki najwyższemu — odparł kabalista — tym sposobem prędzej jeszcze ujrzymy Żyda Wiecznego Tułacza; ponieważ zaś nie wolno mu odpoczywać, przeto uda się z nami w pochód i tym więcej skorzystamy z jego rozmowy. Widział on bardzo wiele rzeczy, niepodobna zaś jest mieć więcej od niego doświadczenia.

Następnie naczelnik Cyganów obrócił się do Velasqueza i rzekł:

¹⁵³wał (daw.) — tu: fala. [przypis edytorski]

— Wy zaś, *señor*, chcieli¹⁵⁴ pójść z nami czy też wolicie, aby wam dodano straż, która przeprowadzi was do najbliższego miasta?

Velasquez zastanowił się przez chwilę, po czym odpowiedział:

— Zostawiłem niektóre ważne papiery obok garści słomy, na której onegdaj spoczywałem, zanim obudziłem się pod szubienicą, gdzie mnie znalazł *señor*, który jest kapitanem w gwardii walońskiej. Racz laskawie posłać do Venta Quemada. Jeżeli nie odzyskam moich papierów, nie mam po co jechać dalej i muszę powracać do Ceuty. Przez ten czas, jeżeli pozwolisz, mogę podróżować z wami.

— Wszyscy moi ludzie są na pana rozkazy — rzekł Cygan — natychmiast poślę kilku do wenty, złączą się z nami na pierwszym noclegu.

Zebrano namioty, ruszyliśmy w pochód i ujechawszy cztery mile, roztasowaliśmy się na nocleg na jakimś pustym wierzchołku góry.

DZIEŃ DWUDZIESTY

Przepędziliśmy poranek w oczekiwaniu na ludzi, których naczelnik wysłał był po papiery Velasqueza do wenty i zdjeci mimowolną ciekawością, wpatrywaliśmy się w drogę, którą mieli powracać. Sam tylko Velasquez, znalazłszy na pochyłości skały kawał tablicy szyfrowej wygładzonej przez deszcz, pokrył ją cyframi, iksami i ipsylonami.

Napisawszy masę liczb, zwrócił się do nas i zapytał, dlaczego tak się niecierpliwimy. Odpowiedzieliśmy, że powodem tego są jego papiery, które nie przybywają. Odrzekł nam, że to niecierpliwienie się o jego papiery dowodziło dobroci naszych serc i że jak tylko pokończy swoje rachunki, przyjdzie niecierpliwic się razem z nami. Po czym dokończył swoich równań i zapytał, na co czekamy z dalszą podróżą.

— Ależ, mości geometro, don Pedro Velasquezie — rzekł kabalista — jeżeli sam nigdy się nie niecierpliwiłeś, musiałeś czasami stan ten spostrzegać w drugich?

— W istocie — odparł Velasquez — często zauważałem u drugich niecierpliwłość i zawsze sądziłem, że musi to być nieprzyjemne uczucie, wzrastające z każdą chwilą, ale tak, że nigdy nie można było dokładnie odznaczyć prawa tego postępu. Jednakowoż można ogólnie powiedzieć, że jest ono w stosunku przeciwnym do siły bezwładności. Stąd ja, będąc dwa razy trudniejszy od was do wzruszenia, dopiero za godzinę będę miał jeden stopień niecierpliwłości, wtedy gdy wy staniecie już na drugim. Rozumowanie to da się zastosować do wszystkich namiętności, które można uważać za siły poruszające.

— Zdaje mi się — rzekła Rebeka — że pan doskonale znasz sprężyny serca ludzkiego i że geometria jest najpewniejszą drogą do szczęścia.

— To poszukiwanie szczęścia — odparł Velasquez — według mego zdania może być uważane za rozwiązanie równania najwyższego stopnia. Znasz pani ostatni wyraz i wiesz, że jest wypadkiem wszystkich pierwiastków, ale zanim wyczerpiesz dzielniki, przychodzisz do liczby pierwiastków urojonej. Tymczasem dzień mija w ciągłej rozkoszy rachowania i obliczania. Tak samo jest z życiem: przychodzisz także do ilości urojonych, które brałaś za rzeczywistą wartość, ale tymczasem żyłaś, a nawet działałaś. Działanie zaś jest powszechnym prawem natury. W niej nic nie próżnuje. Zdaje ci się, że ta skała spoczywa, gdyż ziemia, na której leży, przedstawia oddziaływanie wyższe od jej ciśnienia; ale gdybyś pani mogła podłożyć nogę pod skałę, natychmiast przekonałabyś się o jej działalności.

— Ale uczucie nazywane miłością — rzekła Rebeka — czyliż także może być ocenione za pomocą rachunku? Tak na przykład zapewniają, że ścisłość pożycia zmniejsza miłość w mężczyznach, gdy tym czasem w kobietach ją powiększa. Możesz¹⁵⁵ pan mi to wytłumaczyć?

— Zagadnienie, które pani mi podajesz — odpowiedział Velasquez — dowodzi, że jedna z dwóch miłości bieży w postępie powiększającym, druga zaś w zmniejszającym. Tym sposobem musi znaleźć się taka chwila, w której kochankowie będą zupełnie równo, w tym samym stopniu się kochać. Odtąd kwestia wchodzi w teorię *de maximis et minimis* i zagadnienie może być wyobrażone pod postacią linii krzywej. Wymyśliłem nader przyjemne rozwiązanie dla wszelkich zagadnień tego rodzaju. Przypuśćmy na przykład, że x...

¹⁵⁴chcieli — inaczej: czy chcecie. [przypis edytorski]

¹⁵⁵możesz (daw.) — czy możesz. [przypis edytorski]

Gdy Velasquez właśnie przyszedł do tego miejsca swej analizy, spostrzeżono powracających z wenty wysłańców, którzy przynosili papiery. Velasquez wziął je, przejrzał z uwagą i rzekł:

— Odzyskałem wszystkie moje papiery, wyjąwszy jeden, który wprawdzie nie jest mi nader potrzebny, ale który mocno mnie zajmował podczas tej nocy zakończonej pod szubienicą. Mniejsza o to, nie chcę bynajmniej was zatrzymywać.

Ruszyliśmy w drogę i postępowaliśmy przez znaczną część dnia. Gdyśmy się zatrzymali, towarzystwo zebrało się w namiocie naczelnika i po wieczerzy prosiło go, aby raczył dalej ciągnąć opowiadanie swoich przygód, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Zostawiliście mnie z strasliwym wicekrólem, który mi rozpowiadał o stanie swego majątku.

— Pamiętam bardzo dobrze — rzekł Velasquez — majątek ten wynosił sześćdziesiąt milionów dwadzieścia pięć tysięcy sto sześćdziesiąt jeden piasstrów.

— Nie inaczej — odpowiedział Cygan, po czym tak dalej mówił:

Jeżeli wicekról przestraszył mnie w pierwszej chwili spotkania, uląknęłam się jeszcze bardziej, gdy mi oznajmił, że wykluto mu igłą węza, który owijał jego ciało szesnaście razy i kończył się na wielkim palcu u lewej nogi.

Nie uważałem więc na to wszystko, co mi mówił o swoim majątku, ale natomiast ciotka Torres zebrała całą odwagę i rzekła:

— Majątek wasz, jaśnie oświecony panie, jest zapewne wielki, ale też i dostatki tej oto młodej osoby muszą być znaczne.

— Hrabia Rovellas — odparł wicekról — rozrzutnością swoją głęboką szczerbę uczynił w swoim majątku i chociaż podjąłem się wszystkich kosztów procesu, nie mogłem jednak wydobyć więcej niż szesnaście plantacji w St. Domingo, dwadzieścia dwie akcje w kopalni srebra w St. Lugar, dwanaście w spółce filipińskiej, pięćdziesiąt sześć w Asiento i inne niektóre drobne przedmioty. Dziś więc cała suma wynosi zaledwie mniej więcej dwadzieścia siedem milionów podwójnych piasstrów.

Tu wicekról przyzwał swego sekretarza, kazał mu przynieść szkatułkę z kosztownego indyjskiego drzewa i ukląkłszy na jedno kolano, rzekł:

— Córkę zachwycająca matki, której nie przestałem dotąd uwielbiać, racz przyjąć owoc trzynastoletnich trudów, gdyż tyle czasu potrzebowałem na wydobywanie tego dobra z rąk twoich chciwych krewnych.

Z początku chciałem przyjąć szkatułkę z wdzięcznym uśmiechem, ale myśl, że u moich nóg klęczał człowiek, który rozbił tyle głów indyjskich, przy tym wstyd odgrywania roli przeciwnej mojej płci, nareszcie sam nie wiem jakie pomieszanie sprawiło, że ledwie nie postradałem zmysłów; ale ciotka Torres, której odwagę dziwnie podniosło dwadzieścia siedem milionów podwójnych piasstrów, pochwyliła mnie w objęcia i porywając szkatułkę, z poruszeniem może nieco zbyt niepowstrzymanej chciwości, rzekła do wicekróla:

— Jaśnie oświecony panie, ta młoda osoba nigdy nie widziała klęczącego przed sobą mężczyzny. Racz pozwolić, aby oddaliła się do swoich pokojów.

Wicekról pocałował mnie w rękę, następnie ofiarując ramię, zaprowadził do moich pokojów. Znalazłszy się sami, zamknęliśmy drzwi na dwa rygle i tu dopiero ciotka Torres oddała się uniesieniom najżywszej radości, całując po tysiąc razy szkatułkę i dziękując niebu za zapewnienie Elwirze nie tylko przyzwoitego, ale i świetnego losu.

Wkrótce potem zastukano do naszych drzwi i wszedł sekretarz wicekróla wraz z urzędnikiem sądowym. Spisali papiery znajdujące się w szkatułce i zażądali od ciotki de Torres świadectwa, że je odebrała. Co do mnie zaś, dodali, że ponieważ byłam małoletnia, podpis mój był wcale niepotrzebny.

Wtedy, gdy znowu zamknęliśmy się, rzekłem do obu ciotek:

— Wprawdzie los Elwiry jest już zabezpieczony, ale jakże wprowadzimy fałszywą pannę Rovellas do teatynów, prawdziwą zaś gdzie znajdziemy?

Zaledwie wymówiłem te słowa, gdy obie damy zaczęły gorzko narzekać. Ciotce Dalanosa zdawało się, że już mnie widzi w rękach oprawców, pani de Torres zaś drżała o swego syna i siostrzenicę na myśl o niebezpieczeństwach, jakie zagrażały biednym dzieciom błądzącym bez schronienia i pomocy. Wszyscy w głębokim smutku rozeszliśmy się na spoczynek. Długo marzyłem nad sposobami wydobycia się z kłopotu; mogłem uciec, ale wicekról natychmiast wysłałby za mną pogoń. Zasnąłem, nie znalazłszy żadnego środka, a tymczasem byliśmy tylko o jeden dzień oddaleni od Burgos.

Nazajutrz znowu nic nie wymyśliłem. Wsiadłem do lektyki, wicekról zaś jechał konno przy moich drzwiczkach, przeplatając zwykłą surowość rysów, sam nie wiem jakimi czułymi uśmiechami, których widok krew mi ziębił w sercu. Tak przybyliśmy do ocienionego źródła, gdzie zastaliśmy wieczerzę przygotowaną dla nas przez mieszczan z Burgos.

Wicekról wysadził mnie z lektyki, ale zamiast poprowadzić na miejsce, gdzie był stół nakryty, odłączył się od towarzystwa, posadził mnie w cieniu i siadłszy obok mnie, rzekł:

— Zachwycająca Elwiro, im więcej mam szczęście zbliżać się do ciebie, tym bardziej przekonywam się, że niebo przeznaczyło cię na ozdobienie wieczora życia burzliwego, poświęconego dla dobra kraju i sławy mego króla. Zapewniłem Hiszpanii posiadanie archipelagu filipińskiego, odkryłem połowę nowego Meksyku i przymusiłem do posłuszeństwa niespokojne plemiona Inkasów. Ciągłe tylko walczyłem o życie, z falami oceanu, zmiennością klimatu lub zjadliwymi wyziewami otwieranych przeze mnie kopalni. I któż mi wynagrodzi najpiękniejsze lata mego życia? Mogłem poświęcić je spoczynkowi, słodkim uniesieniom przyjaźni lub uczuciom stokroć jeszcze przyjemniejszym. Jakkolwiek potężny jest król Hiszpanii i Indii, przecież cóż może dla wynagrodzenia mnie uczynić? Ta jednak nagroda spoczywa w twoich rękach, nieporównana Elwiro. Jeżeli połączę los twój z moim, nic mi nie pozostanie do życzenia. Pędząc dni tylko na odkrywaniu nowych stron twojej pięknej duszy, będę szczęśliwy jednym twoim uśmiechem i przepęt-niony radością przy najmniejszym dowodzie przywiązania, jaki raczysz mi okazać. Obraz tej spokojnej przyszłości, która nastąpi po burzach, jakich w życiu doznałem, do tego stopnia mnie zachwyca, że postanowiłem tej nocy przyśpieszyć chwilę naszego połączenia. Teraz opuszczam cię, piękna Elwiro, jadę czym prędzej do Burgos, gdzie przekonasz się o skutkach mego pośpiechu.

To mówiąc, wicekról przykląkł, pocałował mnie w rękę, wskoczył na konia i w cwał pogonił ku Burgos. Nie potrzebuję opisywać wam stanu duszy, w jakim się znajdowałem. Oczekiwałem najnieprzyjemniejszych wypadków, które wszystkie kończyły się na niemiłosiernym oćwiczeniu mnie na podwórzcu ojców teatynów. Poszedłem złączyć się z dwiema ciotkami, które posilały się, chciałem opowiedzieć im nowe oświadczenia wicekróla, ale usiłowania moje były nadaremne. Nielitościwy marszałek naglił mnie do zajęcia miejsca w lektyce; musiałem mu być posłuszny.

Przybywszy do bram Burgos, zastaliśmy pazia przysłego mego małżonka, który nam oznajmił, że czekano na nas w pałacu arcybiskupim. Zimny pot, który wystąpił mi na czoło, upewnił mnie, że jeszcze żyję, gdyż zresztą bojaźń pogrzyła mnie w taki stan bezwładności, że dopiero stanąwszy przed arcybiskupem, przyszedłem do siebie. Prałat ten siedział w obszernym krześle naprzeciwko wicekróla. Duchowieństwo zasiadało niższe siedzenia, znaczniejsi mieszkańcy Burgos stali obok wicekróla, w głębi zaś komnaty spostrzegłem ołtarz przygotowany do obrzędów. Arcybiskup wstał, pobłogosławił mnie i pocałował w czoło.

Miotany tysiącnymi uczuciami, które dręczyły mnie wewnątrz, upadłem do nóg arcybiskupa i wtedy, jak gdyby natchniony nie wiem jaką przytomnością umysłu, zawołałem:

— Przewielebny ojcze, miej litość nade mną, ja chcę być zakonnica, tak jest, pragnę zostać zakonnica!

Po tym oświadczeniu, które obilo się o uszy całego zgromadzenia, uznałem za potrzebne zemdleć. Podniosłem się, ale znowu padłem w objęcia obu ciotek, które same ledwie mogły utrzymać się, tak dalece były wzruszone. Otworzywszy nieco oczy, ujrzałem, że arcybiskup w postawie pełnej uszanowania stał przed wicekrólem i zdawał się oczekiwać na jego zamiary.

Wicekról poprosił arcybiskupa, aby zasiadł na swoim miejscu i zostawił mu czas do namysłu. Arcybiskup usiadł i wtedy spostrzegłem twarz mego znakomitego wielbiciela,

która, surowsza niż kiedykolwiek, przybrała wyraz będący w stanie przestraszenia najśmielszych. Wtedy, dumnie kładąc kapelusz na głowę, rzekł:

— Moje *incognito* skończone: jestem wicekról Meksyku... arcybiskup niech raczy siedzieć na swoim miejscu.

Wszyscy powstali z uszanowaniem, wicekról tak dalej mówił:

— Czternaście lat dziś właśnie mija, panowie, jak bezczelni potwarcy roznieśli pogłoskę, jakobym ja był ojcem tej młodej osoby. Nie mogłem wówczas znaleźć innego środka zmuszenia ich do milczenia, jak poprzysiężenie, że gdy dojdzie stosownych lat, pojmę ją za żonę. Podczas gdy wzrastała we wdzięki i cnoty, król, łaskawy na moje usługi, podwyższał mnie od stopnia do stopnia i nareszcie zaszczyił godnością, która mnie zbliża do tronu. Nadszedł czas spełnienia mojej obietnicy, prosiłem króla o pozwolenie przybycia do Hiszpanii dla ożenienia się i rada madrycka odpowiedziała przychylnie, z warunkiem jednak, że tylko do chwili małżeństwa będę piastował wicekrólewską godność. Zarazem nie pozwolono mi jak o pięćdziesiąt mil zbliżyć się do Madrytu. Łatwo zrozumiałem, że należało mi wyrzec się albo małżeństwa, albo łaski monarszej, ale przyrzekłem święcie: nie było więc nad czym się zastanawiać. Ujrawszy zachwycającą Elwirę, zdało mi się, że niebo chciało mnie sprowadzić z drogi zaszczytów i obdarzyć nowym szczęściem spokojnych rozkoszy domowych, ale ponieważ to zazdrosne niebo wzywa do siebie duszę, której ludzie nie są godni, oddaję ją więc wam, każcie ją zawieźć do klasztoru Annonciady¹⁵⁶, gdzie niechaj natychmiast wstąpi do nowicjatu. Ja napiszę do króla, prosząc go o pozwolenie przybycia do Madrytu.

Po tych słowach straszliwy wicekról pożegnał ręką obecnych, ze srogim spojrzeniem wcisnął kapelusz na oczy i udał się do swojej karety, przeprowadzony przez arcybiskupa, urzędników, duchowieństwo i cały swój orszak. My zostaliśmy sami w komnacie oprócz kilku zakrystianów, którzy rozbierali ołtarz. Natenczas wciągnąłem obie ciotki do przyległej izby i poskoczyłem do okna w nadziei, że znajdę jaki sposób ucieczki i uniknięcia klasztoru.

Okno wychodziło na obszerne podwórze z wodotryskiem w środku. Spostrzegłem dwóch chłopców, oszarpanych i umierających ze znużenia, którzy gasili pragnienie. Poznałem na jednym z nich suknie, które oddałem był Elwirze i zarazem ujrzałem ją samą. Drugim oszarpanym chłopcem był Lonzeto. Krzyknąłem z radości. Czworko drzwi było w naszej izbie; pierwsze, które otworzyłem, wychodziły na schody prowadzące na podwórze, gdzie znajdowali się nasi włóczędzy. Czym prędzej pobiegłem po nich, a ciotka Torres ledwie że nie umarła z radości, ściskając swoje dzieci.

W tej chwili usłyszeliśmy arcybiskupa, który odprowadziwszy wicekróla, wracał, aby kazać mnie zawieźć do klasztoru Annonciady. Zaledwie miałem dość czasu, by rzucić się na drzwi i zamknąć je na klucz. Ciotka moja zawołała, że młoda osoba znowu wpadła w mdłości i nie może widzieć nikogo. Z pośpiechem drugi raz przemieniliśmy suknie, zawiązano głowę Elwirze, jak gdyby była zraniona się, padając, i zasłonięto jej tym sposobem dla większej niepoznaki całą prawie twarz.

Gdy wszystko było już w pogotowiu, wymknąłem się z Lonzetem. Arcybiskup już był wyszedł, ale zostawił swego sufragana, który zaprowadził do klasztoru Elwirę i panią de Torres. Ciotka Dalanosa udała się do gospody *Las Rosas*, gdzie mi nazaczyła była schadzki i gdzie najęła wygodne mieszkanie. Przez osiem dni cieszyliśmy się tylko szczęśliwym zakończeniem tej przygody i śmieliśmy się ze strachu, jakiego nas nabawiła. Lonzeto, który przestał już być mulnikiem, mieszkał z nami pod własnym nazwiskiem syna pani de Torres.

Ciotka moja kilka razy chodziła z odwiedzinami do klasztoru Annonciady. Ułożono, że Elwira zrazu okaże niepowściągniętą chęć zostania mniszką, że jednak ten zapal powoli będzie ostygł, że nareszcie opuści klasztor i wtedy udadzą się do Rzymu, prosząc o pozwolenie dla niej zaślubienia swego ciotecznego brata.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że wicekról przybył do Madrytu i przyjęty był z wielkimi zaszczytami. Król nawet raczył pozwolić mu na przeniesienie majątku i tytułów na imię synowca, syna tej samej siostry, którą był niegdyś przyprowadził do Villaca. Wkrótce potem odjechał na zawsze do Ameryki.

¹⁵⁶*Annonciady* — w innym oprac.: wizytek; w innym tłum.: Zwiastowania. [przypis edytorski]

Co do mnie, zdarzenia tej nadzwyczajnej podróży zwiększyły jeszcze lekkomyślne moje skłonności do włóczęgostwa. Ze wstrętem przemyślałem o chwili, w której mieli mnie zamknąć w klasztorze teatynów, ale ojciec mojej ciotki żądał tego, trzeba więc było po wszystkich zwłokach, na jakie tylko zdołałem się zdobyć, poddać się przeznaczeniu.

Gdy tak mówił naczelnik Cyganów, jeden z jego podwładnych przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności. Każdy z nas czynił swoje uwagi nad tak dziwną przygodą; ale kabalista przyrzekł nam daleko ciekawsze rzeczy, które usłyszymy od Żyda Wiecznego Tułacza, i zaręczył, że nazajutrz niezawodnie ujrzemy tę nadzwyczajną osobę.

DZIEŃ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ruszono w pochód, kabalista zaś, który na ten dzień zapowiedział nam był Żyda Wiecznego Tułacza, nie mógł powstrzymać swojej niecierpliwości. Wreszcie ujrzeliśmy na oddalonym wierzchołku człowieka, który szedł z niezwykle pośpiechem, nie zważając wcale na ścieżki.

— Widzicie go! — zawołał Uzeda. — Ach leniwiec, łotr niegodziwy! Przez osiem dni włókl się tu z Afryki.

Po chwili Żyd był o kilkadziesiąt kroków od nas. W tej jeszcze odległości kabalista z całej siły wołał do niego:

— Cóż więc? Mamże¹⁵⁷ jeszcze prawo do córek Salomona?

— Bynajmniej — odpowiedział Żyd — nie tylko straciłeś do nich wszelkie prawo, ale nawet całą władzę, jaką posiadałeś nad duchami wyższymi nad dwudziesty drugi stopień. Spodziewam się także, że niedługo pozbędziesz się i tej władzy, którą podstępnie osiągnąłeś nade mną.

Kabalista zadumał się na chwilę, po czym rzekł:

— Tym lepiej, pójdę za przykładem mojej siostry, kiedy indziej obszernie o tym pomówimy, tymczasem mości podróżny, rozkazuję ci, abyś szedł między mulem tego młodego człowieka i jego towarzysza, o którym historia geometrii z dumą kiedyś będzie wspominać. Opowiesz im historię twego życia, ale uprzedzam cię, wiernie i jasno.

Żyd Wieczny Tułacz z początku chciał się opierać, ale kabalista przemówił do niego kilka niezrozumiałych słów i nieszczęsny włóczęga tak zaczął mówić:

Historia Żyda Wiecznego Tułacza

Rodzina moja należy do liczby tych, które służyły wielkiemu kapłanowi Oniaszowi i za pozwoleniem Ptolomeusza Philometora zbudowały świątynię w niższym Egipcie. Dziad mój zwał się Hiskias. Gdy sławna Kleopatra zaślubiła brata swego, Ptolomeusza Dionizego, Hiskias wszedł w jej służbę jako nadworny jubiler, nadto miał zlecone zakupywanie drogich materii i strojów, następnie zaś główne zawiadywanie uroczystościami. Jednym słowem, mogę was zapewnić, że mój dziad zostawał w wielkim znaczeniu na dworze Aleksandryjskim. Nie mówię tego, ażebym się miał chwalić, na cóż mi się to może przydać? Już siedemnaście wieków, ba, więcej nawet, upływa, jak go straciłem, gdyż umarł czterdziestego pierwszego roku panowania Augusta, ja byłem wówczas nader młody i zaledwie mogę go zapamiętać, ale niejaki Dellius często mi opowiadał o tych wypadkach.

Tu Velasquez przerwał Żydowi, zapytując:

— Czyli¹⁵⁸ to był ten sam Dellius, muzyk Kleopatry, o którym Flawiusz i Plutarch często wspominają?

Żyd Wieczny Tułacz dał potakującą odpowiedź, po czym tak dalej mówił:

— Ptolomeusz, nie mogąc mieć dzieci z swoją siostrą, posądził ją o nieplodność i wyrzekł się jej po trzech latach małżeństwa. Kleopatra wyjechała do jednego z miast portowych nad Morzem Czerwonym. Dziad mój towarzyszył jej w tym wygnaniu i wtedy to nabył dla swojej pani owe sławne dwie perły, z których jedną rozpuściła i połknęła na uczcie wyprawionej przez Antoniusza.

¹⁵⁷ *mamże* — daw. konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy mam. [przypis edytorski]

¹⁵⁸ *czyli* — tu: daw. konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy też?, czyżby? itp. [przypis edytorski]

Tymczasem wojna domowa wybuchła we wszystkich częściach państwa rzymskiego. Pompejusz schronił się do Ptolemeusza Dionizego, który kazał mu ściąć głowę. Zdrada ta, mająca zapewnić mu łaskę Cezara, sprawiła wcale przeciwny skutek. Cezar pragnął powrócić Kleopatrze koronę. Mieszkańcy Aleksandrii stanęli w obronie swego króla z gorliwością jakiej w historii mało widzimy przykładów; ale gdy nieszczęsnym trafem monarcha ten utonął, nic już nie przeszkadzało zadośćuczynieniu żądzy panowania Kleopatry, która odwdzięczała się wdzięcznością bez granic.

Cezar, zanim opuścił Egipt, kazał Kleopatrze zaślubić młodego Ptolemeusza, który był jej bratem i szwagrem zarazem, jako młodszy brat Ptolemeusza Dionizego pierwszego jej małżonka. Książę ten miał wówczas dopiero jedenaście lat, Kleopatra była przy nadziei i dziecię jej nazwano Cezarionem, dla uniknięcia wszelkich wątpliwości względem jego pochodzenia.

Dziad mój, mając wówczas dwadzieścia pięć lat, postanowił wejść w związki małżeńskie. Było to może nieco za późno jak dla Żyda, ale miał nieprzewyżniony wstręt do posłubienia kobiety rodem z Aleksandrii, nie tak dlatego że Żydzi jerozolimscy uważali nas za odszczepieńców, atoli, według naszego zdania, jedna tylko świątynia powinna być istnieć na ziemi. Stronnictwo nasze utrzymywało, że nasza świątynia egipska założona przez Oniasza, jako niegdyś samarytańska, stanie się powodem odszczepienia, którego Żydzi obawiali się, niby nieuchronnej klęski ogólnej zatury. Takowe nabożne pobudki, niesmak towarzyszący wszelkim dworskim urządzeniom, sprawiły, że mój dziad postanowił oddalić się do świętego miasta i tam pojąć żonę. Śród tego przybył z całą rodziną do Aleksandrii, Żyd jerozolimski nazwiskiem Hillel. Córka jego Melea wpadła w oko memu dziadowi i wesele odbyło się z niesłychanym przepychem; Kleopatra i młody jej małżonek zaszczycili je swoją obecnością.

W kilka dni potem królowa kazała przywołać mego dziada i rzekła mu:

— Dowiaduję się w tej chwili, mój przyjacielu, że Cezar został mianowany dożywotnim dyktatorem. Los wyniósł tego pana zwycięzców świata na stopień, na jakim nikogo dotąd nie postawił. Nie wytrzymają z nim porównania ani Belus, ani Sezostrys, ani Cyrus ani nawet Aleksander. Szczycę się, że on jest ojcem mojego małego Cezariona. Dziecię to wkrótce skończy czwarty rok, pragnę więc, ażeby Cezar widział je i uściskał. Za dwa miesiące postanowiłam wyjechać do Rzymu, pojmujesz, że chcę uczynić wjazd godny królowej Egiptu. Ostatni z moich niewolników powinien być odziany w złociste szaty, wszystkie zaś moje sprzęty mają być ulane z szlachetnego kruszcu i wysadzone drogimi kamieniami. Co do mnie, każesz mi sporządzić suknie z najłżejszych tkanin indyjskich, za strój zaś nie chcę innych klejnotów prócz pereł. Weź wszystkie moje klejnoty, całe złoto znajdujące się w moich pałacach, nadto podskarbi mój wyliczy ci sto tysięcy talentów złota. Jest to cena dwóch prowincji, które sprzedałam królowi Arabów. Powróciwszy z Rzymu, potrafię mu je odebrać; teraz idź i pamiętaj, żeby za dwa miesiące wszystko było w pogotowiu.

Kleopatra miała wówczas dwadzieścia pięć lat, piętnastoletni brat jej, którego była przed czterema laty zaślubiła, kochał ją z niewypowiedzianą namiętnością. Dowiedziawszy się, że ma wyjechać, oddał się najgwałtowniejszej rozpaczycy, gdy zaś pożegnał królową i widział oddalający się okręt, wpadł w taki smutek, że lękano się o jego życie.

We trzy tygodnie potem Kleopatra wylądowała w porcie Ostii. Zastała tam już wspaniałe łodzie, które poholowały ją Tybrem i można rzec, że w tryumfie wjechała do tego miasta, gdzie inni królowie wchodzili zaprzężeni do wozów rzymskich hetmanów. Cezar, zarówno wdziękiem obyczajów jako wielkością ducha celując między resztą ludzi, przyjął Kleopatrze z niewypowiedzianą grzecznością, mniej jednak czule, niż się królowa tego spodziewała. Kleopatra ze swojej strony, więcej powodowana dumą niżeli przywiązaniem, mało uważała na tę obojętność i postanowiła dokładnie poznać Rzym. Obdarzona rzadką przenikliwością, wkrótce poznała niebezpieczeństwa, które groziły dyktatorowi. Mówiła mu o swoich przeczuciach, ale bohater nie był w stanie przypuścić do serca uczucia bojaźni. Kleopatra widząc, że Cezar nie zważa na jej przestrogi, zamierzyła o ile możności dla siebie wyciągnąć z nich jak największą korzyść. Przekonana była, że Cezar padnie ofiarą jakiego spisku i, że świat rzymski rozpadnie się wówczas na dwa stronnictwa.

Pierwsze z nich, przyjaciół wolności, miało za widomego naczelnika starego Cyce-rona, mędrka nadętego, który myślał, że dokonał wielkich rzeczy dlatego, że szumnie przemawiał do ludzi i który wdychał do spokojnego życia w swojej tuskulańskiej willi, z zachowaniem jednak wpływu przywiązanego do osobistości przywódców stronnictwa. Wszyscy ci ludzie pragnęli osiągnąć jakiś wielki cel, ale nie wiedzieli, jak sobie począć, nie mieli bowiem żadnej znajomości świata.

Drugie stronnictwo, przyjaciół Cezara, złożone z dzielnych wojowników, hucznie używających przyjemności życia, zadosyć czyniło swoim i korzystało z namiętności drugich.

Kleopatra niedługo wahała się nad wyborem, zastawiła sidła niewieściej zalotności na Antoniusza, gardziła zaś Cyce-ronem, który jej tego nigdy nie mógł przebaczyć, jak się możecie łatwo przekonać z listów jakie pisał wówczas do przyjaciela swego Attyka.

Królowa, wcale nie ciekawa rozwiązania zagadki, której poznała ukryte sprężyny, czym prędzej wróciła do Aleksandrii, gdzie młody małżonek przyjął ją z całym uniesieniem roz-płomienionego serca. Mieszkańcy Aleksandrii podzielali jego radość. Kleopatra zdawała się uczestniczyć w szczęściu, jakie sprawiło jej przybycie, zjednała sobie umysły wszystkich; ale ludzie bliżej ją znający dobrze widzieli, że cele polityczne były głównymi po-budkami tych oświadczeń, w których więcej było udawania niż prawdy. W istocie zaled-wie zabezpieczyła się względem mieszkańców Aleksandrii, wnet pośpieszyła do Memfis, gdzie ukazała się w stroju Izydy z krowimi rogami na głowie. Egipcjanie szaleli za nią; na-stępnie podobnymi sposobami umiała pozyskać przychyłność Etiopów, Nabatejczyków, Libijczyków i innych ludów opasujących Egipt.

Wreszcie królowa powróciła do Aleksandrii, a tymczasem zamordowano Cezara, woj-na domowa wybuchła we wszystkich prowincjach imperium. Odtąd Kleopatra stawała się coraz bardziej posepna, często się zamyślała, otaczający ją zaś poznali, że powzięła zamiar zaślubienia Antoniusza i zapanowania nad Rzymem.

Pewnego poranku mój dziad udał się do królowej i pokazał jej klejnoty świeżo spro-wadzone z Indii. Mocno się z nich ucieszyła, wychwalała smak mego dziada, jego gorli-wość w pełnieniu obowiązków i dodała:

— Drogi Hiskiasie, oto są banany przywiezione z Indii przez tych samych kupców z Serendib, od których otrzymałeś twoje klejnoty. Racz zanieść te owoce mojemu mło-demu małżonkowi i proś, aby je zjadł natychmiast przez miłość jaką ma ku mnie.

Mój dziad wypełnił to polecenie, a młody król mu rzekł:

— Ponieważ królowa zaklina mnie przez miłość, jaką mam ku niej, abym natychmiast zjadł te owoce, chcę, abys był świadkiem, że żadnego nie zostawię.

Ale zaledwie zjadł trzy banany, gdy nagle rysy boleśnie mu się połamały, wysadził oczy na wierzch głowy, krzyknął straszliwie i padł bez ducha na posadzkę. Mój dziad poznał, że użyto go za narzędzie okropnej zbrodni. Powrócił do domu, rozdarł swoje szaty, odział się workiem i głowę posypał popiołem.

W sześć tygodni potem królowa posłała po niego i rzekła:

— Wiadomo ci zapewne, że Oktawian, Antoniusz i Lepidus rozdzielili między sie-bie imperium rzymskie. Drogi mój Antoniusz otrzymał wschód w podziale, chciałabym więc wyjechać naprzeciw nowego władcy do Cylicji. W tym celu polecam ci, abys kazał zbudować okręt w kształcie muszli i wyłożyć go, tak zewnątrz jako i wewnątrz, perło-wą macicą. Pokład ma być otoczony misterną siatką złotą, przez którą będę mogła być widziana, gdy wystąpię pod postacią Wenery otoczonej gracjami i amorkami. Teraz idź i staraj się wypełnić moje rozkazy ze zwykłą ci pojętnością.

Mój dziad padł do nóg królowej, mówiąc:

— Pani, racz zważyć, że jestem hebrajczykiem i że wszystko, co się stosuje do bóstw greckich, jest dla mnie świętokradztwem, którego w żaden sposób nie mogę się dopuścić.

— Rozumiem — odparła królowa — żal ci mojego młodego małżonka. Boleść twoja jest słuszna i podzielam ją więcej, aniżeli się tego spodziewała. Hiskiaszu, widzę, że nie jesteś stworzony do życia dworskiego, uwalniam cię więc od pełnienia dotychczasowych twoich obowiązków.

Mój dziad nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, wrócił do siebie, zapakował swoje sprzęty i oddalił się do małego domku, który posiadał nad brzegami jeziora Mereotis. Tam gorliwie zajęł się ostatecznym ukończeniem swoich spraw, zawsze mając na myśli osiedlenie się w Jerozolimie. Wreszcie żył w najściślejszym odosobnieniu i nie przyjmował

żadnego z dawnych swoich dworskich znajomych, wyjąwszy jednego muzyka Delliusa, z którym zawsze łączyła go prawdziwa przyjaźń.

Tymczasem Kleopatra, kazawszy prawie taki sam zbudować okręt, o jakim mówiła, wylądowała w Cylicji, której mieszkańcy w istocie wzięli ją za Wenerę, Marek Antoniusz zaś, znajdując, że niezupełnie się mylili, odплыł z nią do Egiptu, gdzie związek ich odbył się z wspaniałością niepodobną do opisanania.

Gdy Żyd Wieczny Tułacz doszedł do tego miejsca swego opowiadania, kabalista mu rzekł:

— Dość tego na dzisiaj, mój przyjacielu, oto właśnie przybywamy na nocleg. Przepędzisz dzisiejszą noc, krążąc koło tej góry, jutro zaś znowu złączysz się z nami. Co się zaś tyczy tego, co miałem ci powiedzieć, odkładam to na później.

Żyd straszliwym wzrokiem spojrział na kabalistę i znikł w pobliskim wąwozie.

DZIEŃ DWUDZIESTY DRUGI

Wyruszyliśmy w drogę dość wcześnie i ujechawszy blisko dwie mile, ujrzyliśmy Żyda, który, nie każąc sobie powtarzać rozkazu, wsunął się między mego konia a muła Vela-squezowego i zaczął w te słowa:

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Kleopatra, zostawszy małżonką Antoniusza, pojęła, że dla zachowania jego serca, wypadło jej odgrywać rolę raczej Fryny niż Artemizy, czyli wyraźniej mówiąc, kobieta ta posiadała dziwną łatwość przechodzenia z charakteru zalotnicy do obejścia czulej, a nawet wiernej małżonki. Wiedziała, że Antoniusz z namiętnością oddawał się rozkoszy, niewyczerpanymi więc wynalazkami zalotności starała się go do siebie przywiązać.

Wnet dwór jął naśladować królewską parę, miasto naśladowało dwór, następnie cały kraj poszedł za miastem, tak że wkrótce Egipt stał się wielką widownią wszeteczeństwa. Bezwstyd ten dostał się nawet do niektórych osad żydowskich.

Mój dziad byłby już od dawna przeniósł się do Jerozolimy, ale Partowie właśnie tylko co byli zdobyli miasto i wypędzili Heroda, syna Antypasowego, którego później Marek Antoniusz ustanowił królem nad Judeą. Dziad mój, zmuszony do pozostania w Egipcie, sam nie wiedział, dokąd miał się schronić, gdyż jezioro Mereotis, pokryte gondolami, dzień i noc przedstawiało najbardziej gorszące widowiska. Nareszcie zniecierpliwiony, kazał zamurować okna wychodzące na jezioro i zamknął się u siebie z swoją żoną Me-leą i synem, którego nazwał Mardochejem. Drzwi jego otwierały się tylko dla wiernego przyjaciela Delliusa. Tym sposobem upłynęło kilka lat, podczas których Herod został mianowany królem Judei i mój dziad znowu wrócił do swego zamiaru osiedlenia się w Jerozolimie.

Pewnego dnia Dellius przyszedł do mego dziada i rzekł:

— Kochany przyjacielu, Antoniusz i Kleopatra wysyłają mnie do Jerozolimy, przychodzę więc zapytać cię, czy nie chcesz dać mi jakowych poleceń? Przy tym proszę cię o pismo do twego teścia Hillela, pragnę być jego gościem, chociaż przekonany jestem, że będą chcieli mnie zatrzymać na dworze i nie pozwolą, abym obrał mieszkanie u prywatnego człowieka.

Dziad mój, widząc człowieka jadącego do Jerozolimy, zalał się rzewnymi łzami. Dał Delliusowi list do swego teścia i powierzył mu dwadzieścia tysięcy darejkow, które przeznaczał na zakupienie najwspanialszego domu w całym mieście.

We trzy tygodnie potem Dellius powrócił i zaraz dał znać o sobie memu dziadowi, uprzedzając go, że dla ważnych spraw dworskich, przed pięcioma dniami nie będzie mógł go odwiedzić. Po upływie tego czasu przybył i rzekł:

— Przede wszystkim oddaję ci kontrakt kupna wspaniałego domu, który nabyłem od twego własnego teścia. Sędziowie opatrzyli to pismo swymi pieczęciami i pod tym względem możesz być zupełnie spokojny. Oto jest list od samego Hillela, który będzie mieszkał w domu do chwili twego przybycia i za ten czas zapłaci ci komorne. Co do szczegółów mojej podróży, wyznam ci, że niesłychanie jestem z niej zadowolony. Heroda nie było w Jerozolimie, zastałem tylko jego świekrę Aleksandrę, która pozwoliła mi wieszczak

z jej dziećmi, Marianną, małżonką Heroda, i młodym Arystobulem, którego przeznaczano na arcykapłana, ale który musiał ustąpić miejsca jakiemuś człowiekowi z najniższej klasy ludu. Nie mogę ci wypowiedzieć, do jakiego stopnia byłem zachwycony pięknoscią tych dwojga młodych ludzi. Arystobul zwłaszcza wygląda jak półbożek zstępujący na ziemię. Wyobraź sobie głowę najpiękniejszej kobiety na ramionach najkształtniejszego mężczyzny. Ponieważ od czasu mego powrotu o nich tylko mówię, Antoniusz przeto powziął zamiar sprowadzenia obojga na swój dwór. »Zapewne — rzekła Kleopatra — radzę ci, abyś to uczynił; sprowadź tu żonę króla judzkiego, a nazajutrz Partowie rozgoszczą się w samym środku rzymskich prowincji«. »W takim razie — odparł Antoniusz — pošlijmy przynajmniej brata, jeżeli prawda, że młodzieniec ten jest tak powabny, mianjungo go naszym podczaszym. Wiesz, że nie mogę cierpieć koło siebie niewolników i rad bym, aby moi paziowie należeli do pierwszych rodzin rzymskich, jeżeli już brakuje synów królów barbarzyńskich«. »Nic nie mam przeciwko temu — odpowiedziała Kleopatra — pošlijmy więc po Arystobula«.

— Boże Izraela i Jakuba — zawołał mój dziad — mamże wierzyć moim uszom? Asmonejczyk, czysta krew Machabeuszów, następca Arona, paziem u Antoniusza, nieobrzezańca lubującego się we wszelkiego rodzaju rozpuszcie? O Delliuszu, za długo żyłem na świecie, rozedrę moje szaty, odzieję się workiem i głowę posypię popiołem.

Mój dziad uczynił, jako rzekł. Zamknął się u siebie, oplakując nieszczęścia Syjonu i żywiąc się własnymi tylko łzami. Zapewne byłby upadł pod brzemieniem tych uderzeń, gdyby po kilku tygodniach Dellius nie był zapukał do jego drzwi, mówiąc:

— Arystobul już nie będzie paziem Antoniusza, Herod wyświęcił go na wielkiego kapłana.

Natenczas dziad mój otworzył drzwi, pocieszył się tą nowiną i wrócił znowu do dawnego trybu rodzinnego życia.

Wkrótce potem Antoniusz wyjechał do Armenii wraz z Kleopatram, która udała się w tę podróż w celu zagarnięcia Arabii skalistej i Judei. Dellius należał także do tej wyprawy i za powrotem opowiedział memu dziadowi wszystkie szczegóły. Herod kazał uwięzić Aleksandrę w jej pałacu za to, że chciała uciec wraz ze swym synem do Kleopatry, która była niesłychanie ciekawa poznania zachwycającego arcykapłana. Niejaki Kubion odkrył ten zamiar i Herod kazał utopić Arystobula w kąpieli. Kleopatra dopominała się o zemstę, ale Antoniusz odpowiedział, że każdy król jest panem u siebie. Wszelako dla uspokojenia Kleopatry darował jej kilka miast należących do Heroda.

— Następnie — dodał Dellius — zaszły inne znowu wypadki. Herod wydzierżawił od Kleopatry wydarte mu przez nią kraje. Dla załatwienia tych spraw udaliśmy się do Jerozolimy. Nasza królowa chciała nieco przyspieszyć zawarcie ugody, ale cóż, kiedy na nieszczęście Kleopatra ma już trzydzieści pięć lat, Herod zaś do szaleństwa kocha się w swojej dwudziestoletniej Mariannie? Zamiast wdzięcznej odpowiedzi na te zaloty, zebrał radę i wniósł zamiar uduszenia Kleopatry, zaręczając, że Antoniusz jest już nią znudzony i bynajmniej o to gniewać się nie będzie. Wszelako rada przełożyła mu, że jakkolwiek Antoniusz w duchu byłby z tego zadowolony, atoli nie odpuści sposobności pomszczenia się; jakoż w istocie, rada miała słusność. Powróciwszy do domu, znowu zastaliśmy niespodziewane nowiny. Oskarżono Kleopatram w Rzymie o oczarowanie Antoniusza. Sprawa nie jest jeszcze wytoczona, ale niebawem się rozpocznie. Cóż mówisz na to wszystko, drogi przyjacielu, trwaszże jeszcze w zamiarze przesiedlenia się do Jerozolimy?

— Byle nie w tej chwili — odrzekł mój dziad — nie umiałbym ukryć mego przywiązania do krwi Machabeuszów; z drugiej zaś strony jestem przekonany, że Herod niczego nie zaniedba do wygubienia jednego po drugim wszystkich Asmonejczyków.

— Ponieważ chcesz tu pozostać — rzekł Dellius — przeto daj mi w twoim domu schronienie. Od wczoraj porzuciłem dwór. Zamkniemy się razem i wtedy dopiero pokażemy się na świat, gdy cały kraj stanie się prowincją rzymską, co wkrótce zapewne nastąpi. Majątek mój, składający się z trzydziestu tysięcy darejków, oddałem w ręce twego teścia, który polecił mi wręczyć ci komorne z twego domu.

Dziad mój z radością przyjął zamiar swego przyjaciela Delliusa i odsunął się od świata bardziej niż kiedykolwiek. Dellius wychodził czasami, przynosił nowiny z miasta, przez resztę zaś czasu wykladał literaturę grecką młodemu Mardochejowi, który później stał się

moim ojcem. Często także czytano *Biblię*, dziad mój bowiem koniecznie pragnął nawrócić Delliusa. Wiecie dobrze, jak skończyli Kleopatra i Antoniusz. Zgodnie z przepowiednią Delliusa, zamieniono Egipt w prowincję rzymską, w naszym jednak domu odosobnienie tak dalece weszło w zwyczaj, że wypadki polityczne nie przyniosły żadnej odmiany w dotychczasowym sposobie życia.

Śród tego nie zbywało na ciągłych nowinach z Palestyny: Herod, który, zdawało się, że upadnie razem z opiekunem swoim, Antoniuszem, znalazł łaskę w oczach Augusta. Odzyskał utracone kraje, zdobył wiele nowych, przyszedł do posiadania wojska, skarbu, niezmiernych zapasów zboża, tak że zaczynano go już nazywać Wielkim. W istocie można by było, jeżeli nie wielkim, to przynajmniej mianować go szczęśliwym, gdyby kłótnie rodzinne nie były przyćmiły blasku tak świetnego przeznaczenia.

Jak tylko spokojność ustaliła się w Palestynie, mój dziad powrócił do zamiaru przesiedlenia się tam wraz z swoim drogim Mardochejem, który liczył wówczas trzynasty rok życia. Dellius także szczerze przywiązał się był do swego ucznia i wcale nie chciał go odstępować, gdy nagle przybył z Jerozolimy Żyd z listem zawierającym następujące wyrazy:

„Rabbi Sedekias syn Hillela, niegodny grzesznik i ostatni ze świętego Sanhendrynu faryzeuszów, Hiskiasowi, małżonkowi siostry jego Melei, pozdrowienie.

Zaraza, jaką grzechy Izraela ściągnęły na Jerozolimę, zabrała mego ojca i starszych moich braci. Są oni w tej chwili na łonie Abrahama i uczestniczą w nieśmiertelnej jego chwale. Oby niebo wytępiło saduceuszów¹⁵⁹ i tych wszystkich, którzy nie wierzą w zmartwychwstanie. Byłbym niegodny nazwiska faryzeusza¹⁶⁰, gdybym śmiało splamić ręce przywłaszczeniem cudzego dobra. Dlatego więc pilnie wyszukiwałem, azali ojciec mój nie pozostał komu winnym, usłyszawszy zaś, że dom, który zajmowaliśmy w Jerozolimie przez jakiś czas, należał do ciebie, udałem się do sędziów, ale nie znalazłem u nich nic takiego, co by ten domysł potwierdzić mogło. Dom bez zaprzeczenia do mnie należy. Oby niebo potępiło złych. Nie jestem saduceuszem.

Znalazłem także, że pewien nieobrzezaniec, nazwiskiem Dellius, umieścił był niegdyś u mego ojca trzydzieści tysięcy darejków, na szczęście jednak znalazłem wprawdzie nieco zamazany papier, który jednak mniemam, że musi być pokwitowaniem rzeczzonego Delliusa. Zresztą człowiek ten był stronnikiem Marianny i brata jej Arystobuła, a tym samym nieprzyjacielem naszego wielkiego króla. Oby niebo go potępiło wraz z wszystkimi złymi i saduceuszami.

Bywaj zdrow, kochany bracie, uściskaj ode mnie moją drogą siostrę, Meleę. Chociaż byłem bardzo młody, gdy ją poślubiłeś, atoli mam ją zawsze

¹⁵⁹saduceusz — członek stronnictwa rel.-polit. w Judei w staroż. Izraelu, zawiązanego w II w. p.n.e. wokół kapłanów Świątyni Jerozolimskiej wywodzących się z rodu mianowanego przez Salomona arcykapłana Świątyni, Sadoka (stąd nazwa saduceusze, hebr. *sedukim*); było to stronnictwo kapłańskie, arystokratyczne, mające oparcie w zamożnych warstwach społecznych, a jego członkowie stanowili większość w organach decyzyjnych. Politycznie byli zwolennikami hellenizacji, a później asymilacji do dominującej kultury rzymskiej i współpracy z Rzymem (dlatego po nieudanym antyrzymskim powstaniu 66–70 n.e. zelotów i zburzeniu świątyni przez Tytusa stronnictwo to, rozproszone, znikło). Religijnie stanowili reformatorski, oświecony odłam ówczesnego judaizmu, uznawali jedynie Torę, odrzucając tradycję ustną i nauczanie proroków, a także tendencje mistyczne, wiarę w istoty nadprzyrodzone poza Bogiem (anioły i demony), koncepcję zmartwychwstania oraz mesjanizm; oparta ściśle na Torze wiara saduceuszy nie uznawała koncepcji życia wiecznego, kary lub nagrody w życiu pośmiertnym: według saduceuszy dusza po śmierci odchodzi. Autorytetowi i przekonaniom saduceuszy przeciwstawiły się inne stronnictwa-bractwa działające w tym samym czasie, m.in. faryzeusze, esseńczycy, zeloci i chrześcijanie. Przedstawieni w Nowym Testamencie kapłani to właśnie przedstawiciele saduceuszy. [przypis edytorski]

¹⁶⁰faryzeusz (rel.) — członek jednego z żydowskich stronnictw-bractw religijnych w Judei, działającego w czasach Drugiej Świątyni, tj. od II w. p.n.e. do ok. 70 r. n.e.; faryzeusze byli najczęściej ludźmi świeckimi i wywodzili się z biedniejszych warstw społecznych (w przeciwieństwie do kapłańskiego bractwa saduceuszy), ich hebr. nazwa *peruszim* oznacza „tych, którzy się oddzielają”, ponieważ skupieni na ścisłym przestrzeganiu świątynnych reguł czystości, co miało na celu zbliżenie się do świętego Boga, faryzeusze separowali się od osób rytualnie nieczystych; studowali gorliwie Pismo święte dla uzyskania wskazówek postępowania, przez co uznawani byli za ekspertów w zakresie znajomości i interpretacji Pisma; stąd nazywano ich „uczonymi w Piśmie”. [przypis edytorski]

przytomną mojemu sercu. Zdaje mi się, że posąg, jaki wniosła w twój dom, przewyższa nieco część na nią przypadającą, atoli pomówimy o tym kiedy indziej. Bądź zdrow, kochany bracie, oby niebo mogło wykierować cię na prawdziwego faryzeusza”.

Dziad mój i Dellius, długo spoglądali po sobie z zadziwieniem, nareszcie ten ostatni pierwszy przerwał milczenie i rzekł:

— Otóż to są skutki odłączenia się od świata. Cieszymy się nadzieją spokoju, gdy tymczasem los inaczej zrząda. Ludzie uważają cię za umarłe drzewo, które stosownie do woli mogą ogołocić lub wykorzenieć, za robaka, którego wolno im zdeptać, słowem, za nieużyteczny ciężar na ziemi. Na tym świecie, trzeba być młotem albo kowadłem, bić lub ulegać. Żyłem w stosunkach przyjacielskich z kilkoma rzymskimi prefektami, którzy przeszli na stronę Oktawiana i gdybym nie był ich zaniedbał, nie śmiano by dziś mnie krzywdzić. Ale byłem znudzony światem, opuściłem go więc, aby żyć z cnotliwym przyjacielem, gdy oto zjawia się jakiś faryzeusz z Jerozolimy, wydziera mi moje dobro i mówi, że ma zamazany papier, który uważa za moje pokwitowanie. Dla ciebie strata nie jest tak ważna, dom twój stanowił zaledwo czwartą część twego majątku, ale ja od razu straciłem wszystko i bądź co bądź, sam udam się do Palestyny”.

Na te słowa nadeszła Melea. Uwiadomiono ją o śmierci ojca i dwóch starszych braci i zarazem opowiedziano niegodny postępek brata jej Sedekiasa. Wrażenia odbierane w samotności są zwykle nader silne. Do zmartwienia biednej dołączyła się jakaś nieznama choroba, która w przeciągu sześciu miesięcy zaprowadziła ją do grobu.

Dellius właśnie wybierał się do Judei, gdy wtem pewnego wieczora, wracając piechotą przez przedmieście Rakotis, został pchnięty nożem w piersi. Odwrócił się i poznał tego samego Żyda, który przyniósł list od Sedekiasa. Długo leczył się z tej rany, gdy zaś wyzdrowiał, odeszła mu chęć podróży do Palestyny. W tym bowiem razie pragnął przynajmniej zapewnić sobie wprzód opiekę możnych i rozmyślał nad sposobami przypomnienia się pamięci dawnych swoich opiekunów. Ale August miał także zasadę, że pozostawiał królów samowładcami w ich państwach, trzeba więc było wywiedzieć się, jak Herod jest usposobiony dla Sedekiasa i w tym celu postanowiono wysłać na zwiady do Jerozolimy człowieka wiernego i pojętogo.

We dwa miesiące wrócił posłaniec, donosząc, że szczęście Heroda z każdym dniem wzrasta, że biegly ten monarcha zarówno zjednywał sobie Rzymian, jak Żydów i że podczas gdy wznosił posągi Augustowi, ogłaszał zarazem zamiar odbudowania świątyni jerozolimskiej, podług daleko wspanialszego planu, co tak dalece zachwyciło lud, że niektórzy pochlebcy, zawczasu już okrzykiwali go Mesjaszem zapowiedzianym przez proroków.

Odgłos ten, mówił posłaniec, niesłychanie podobał się na dworze i utworzył już sektę. Nowych sekciarzy nazywają herodianami, na ich czele zaś stoi Sedekias.

Pojmujecie, że wieści te mocno zastanowiły mego dziada i Delliusa, ale zanim dalej pójdę, muszę wam powiedzieć, co nasi prorocy mówili o Mesjaszu.

Wyrzekłszy te słowa, Żyd Wieczny Tułacz nagle zamilkł i spojrzawszy na kabalistę wzrokiem pełnym wzgardy, rzekł:

— Synu nieczysty Mamuna, potężniejszy od ciebie adept, wzywa mnie na wierzchołek Atlasu. Bywaj zdrow.

— Kłamiesz — przerwał kabalista — ja mam sto razy więcej władzy od szejka Tarudantu.

— Straciłeś swoją władzę w Venta Quemada — odrzekł Żyd, spiesźnie uchodząc, tak że wkrótce straciliśmy go z oczu. Kabalista zmieszał się cokolwiek, ale zastanowiwszy się przez chwilę, rzekł:

— Upewniam was, że zuchwalec nie ma pojęcia o połowie formuł będących w mojej mocy i że dopiero pozna je swoim kosztem. Ale mówmy o czym innym. Panie Velasquez, czy dobrze uważałeś na całe jego opowiadanie?

— Bez wątpienia — odpowiedział geometra — bacznie przysłuchiwałem się jego słowom i znajduję, że wszystko, co mówił zupełnie zgadza się z historią. Tertulian wspomina o sekcie herodian.

— Miałżebyś¹⁶¹ pan być równie biegły w historii, jak w matematyce? — przerwał kabalista.

— Niezupełnie — rzekł Velasquez — wszelako, jak wam to już mówiłem, mój ojciec, który do wszystkiego zastosowywał wyrachowanie, sądził, że można go także użyć do nauki historii, mianowicie zaś do oznaczenia, w jakim stosunku prawdopodobieństwa zaszły wypadki stawiają się wobec do tych, które mogły zajść. Dalej nawet posuwał swoją teorię, sądził bowiem, że można wyobrażać czyny i namiętności ludzkie za pomocą figur geometrycznych.

Dla wyraźniejszego pojęcia podam wam przykład. Mój ojciec mówił tak. Antoniusz przybywa do Egiptu, miotają nim dwie namiętności: ambicja prowadząca go do panowania i miłość, która go od niego odciąga. Przedstawiam dwa te kierunki za pomocą dwóch linii AB i AC pod jakimkolwiek kątem. Linia AB, przedstawiająca miłość Antoniusza do Kleopatry, jest mniejsza od AC, ponieważ Antoniusz miał więcej ambicji niż miłości. Przypuszczam, że stosunek jest jak jeden do trzech. Biorę więc linię AB i przenoszę ją trzy razy w kierunku AC, po czym dopełniam równoległobok i prowadzę wypadającą przekątną, która przedstawi mi jak najdokładniej nowy kierunek sprawiony przez siły działające ku B i C. Przekątna ta zawsze będzie więcej się zbliżać ku linii AB. Jeżeli przypuścimy więcej miłości i przedłużymy nieco linię AB, przekątna zawsze będzie więcej zbliżała się ku AC. W razie zaś gdybyśmy nadali wyższość ambicji, jak na przykład u Augusta, przekątna zupełnie zbliżyłaby się ku C, gdyż nic by jej nie odciągało od AC. Ponieważ jednak namiętności wzrastają lub zmniejszają się postępowo, kształt zatem równoległoboku również musi ulegać odmianom i wtedy koniec wypadającej przekątnej z wolna przechodzi w linię krzywą, do której można by zastosować teorię dzisiejszego rachunku różniczkowego.

Wprawdzie mądry dawca mego życia uważał wszystkie te zagadnienia historyczne za przyjemne zabawki rozweselające samotność dni jego; gdy atoli dokładność rozwiązań zależała od pewności wiadomych, przeto mój ojciec, jak to już mówiłem, z gorliwą starannością zbierał wszelkie źródła historyczne. Skarb ten długo był dla mnie zamknięty, jak również książki geometryczne, ojciec mój bowiem pragnął, abym umiał tylko sarabandę, menueta i inne tym podobne niedorzeczności. Na szczęście dostałem się do szafy i wtedy dopiero oddałem się nauce historii.

— Pozwól pan, mości Velasquez — rzekł kabalista — ażebym powtórzył moje podziwienie, widząc go równie biegłym w historii, jak w matematyce; jedna bowiem z tych nauk zależy więcej od rozwagi, druga zaś od pamięci, tymczasem dwie te władze umysłu są względem siebie całkiem przeciwne.

— Ośmielałem się nie podzielać pańskiego zdania — odparł geometra. — Rozwaga dopomaga pamięci, porządkując zebrane przez nią materiały, tak że w usystematyzowanej pamięci każde pojęcie poprzedza zwykle możebne z niego wnioski. Wszelako nie przeczę, że tak pamięć, jako rozwaga mogą być skutecznie zastosowane tylko do pewnej liczby pojęć. Ja na przykład wybornie pamiętam wszystko, czego uczyłem się z nauk ścisłych, historii ludzi i natury, podczas gdy z drugiej strony często zapominam o chwilowych stosunkach z otaczającymi mnie przedmiotami, czyli wyraźniej mówiąc, nie widzę rzeczy podpadających mi pod oczy i nie słyszę wyrazów, które często krzyczą mi nad uszami. Stąd pochodzi, że niektórzy uważają mnie za roztargnionego.

— W istocie — rzekł kabalista — pojmuję teraz, jakim sposobem wpadłeś pan nówczas w wodę.

— Nie ma wątpliwości — mówił dalej Velasquez — że sam nie wiem, dlaczego znalazłem się w wodzie w chwili, gdy się tego najmniej spodziewałem. Wypadek ten jednak mocno mnie cieszy, tym bardziej, że podał mi sposobność ocalenia życia temu szlachetnemu młodzieńcowi, który jest kapitanem w gwardii walońskiej. Z tym wszystkim rad bym jak najrzadziej oddawać podobne przysługi, gdyż nie znam wrażenia mniej przyjemnego, jak gdy człowiek na czczo opije się wody.

Po kilku zdaniach podobnego rodzaju, przybyliśmy na miejsce naszego noclegu, gdzie zastaliśmy przyrządzoną wieczerzę. Zajadano smacznie, ale rozmowa powoli się wlokła, gdyż kabalista zdawał się być zafasowany. Po wieczerzy brat z siostrą długo między sobą

Nauka, Wiedza, Rozum,
Pamięć

¹⁶¹ miałżebyś (...) być — czy miałbyś być; czybyś miał być. [przypis edytorski]

rozmawiali. Nie chciałem im przerywać i odszedłem do małej jaskini, gdzie przygotowano mi posłanie.

DZIEŃ DWUDZIESTY TRZECI

Czas był zachwycający. Zerwaliśmy się o wschodzie słońca i po lekkim śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Około południa zatrzymaliśmy się i zasiedliśmy do stołu, czyli raczej do skórzanego obrusa rozesłanego na ziemi. Kabalista zaczął odzywać się z pewnymi zdaniem dowodzącymi, że niezupełnie był zadowolony ze swego napowietrznego świata. Po obiedzie znowu jął to samo powtarzać, aż wreszcie siostra jego, znalazłszy, że monologi te muszą nudzić towarzystwo, dla zmienienia tematu rozmowy, poprosiła Velasqueza, aby raczył dalej ciągnąć opowiadanie swoich przygód, co też ten uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii Velasqueza

Miałem zaszczyt wam opowiedzieć, jak przyszedłem na świat i jak mój ojciec, wzięwszy mnie w objęcia, zmówił nade mną modlitwę geometryczną i zaprzysiągł, że nigdy nie każe uczyć mnie matematyki. W sześć tygodni po moim urodzeniu mój ojciec ujrzał przybijający do portu mały statek, który zarzuciwszy kotwicę, wysłał do lądu szalupę. Niebawem wysiadł z niej starzec złamany wiekiem i odziany w strój właściwy dworzanom nieboszczyka księcia Velasqueza, to jest w zielony kaftan ze złotymi i czerwonymi wylogami i wiszącymi rękawami i szeroki pas ze szpadą na temblaku. Mój ojciec wziął teleskop i zdało mu się, że rozpoznał Alvareza. On to był w istocie. Staruszek już ledwo mógł chodzić. Mój ojciec wybiegł przeciw niemu aż do przystani, obaj padli sobie w objęcia i długo nie byli w stanie słowa przemówić z rozrzewnienia. Następnie Alvarez oznajmił, że przybywał od księżnej Blanki Velasquez, która od dawna zamieszkiwała klasztor urszulanek, i oddał mu list następującej treści:

„Señor don Henrique!

Nieszczęśliwa, która spowodowała śmierć własnego ojca i zniszczyła los tego, któremu niebo ją przeznaczyło, ośmiela się przypomnieć twojej pamięci.

Pogrążona w zgryzotach sumienia, oddałam się pokucie, której surowość miała skrócić kres. Alvarez przedstawił mi, że jeżeli umrę, zostawię księcia wolnym i że małżonek mój niechybnie wejdzie w powtarzalne związki, zapewne szczęśliwsze co do potomstwa niż ze mną; przeciwnie zaś, zachowując życie mogę przynajmniej zapewnić ci dziedzictwo naszego majątku. Uznałam słuszność tego zdania, zaprzestałam zbytecznych postów, porzuciłam włosiennicę i ograniczyłam moją pokutę do odosobnienia i modlitwy. Tymczasem księżę, oddany światowym rozkoszom, każdego prawie roku zapadał na zdrowiu i nieraz myślałam, że zostawi cię posiadaczem tytułów i majątków naszego domu; ale snadź niebo postanowiło zachować cię w ukryciu niezgodnym z twoimi znakomitymi zdolnościami.

Dowiedziałam się, że masz syna. Teraz jeżeli pragnę żyć, jedyną tego przyczyną jest chęć powrócenia mu korzyści, jakie z mojej winy utraciłeś. Tymczasem czuwałam tak nad jego, jako i nad twoim losem. Dobra alo-działne naszego domu od najdawniejszych czasów zawsze należały do linii młodszej, ponieważ jednak nie upominałeś się o nie, przyłączono je więc do majątków przeznaczonych na moje utrzymanie. Z tym wszystkim jest to twoja własność i Alvarez wręczy ci dochód z piętnastu lat, jak również odbierze polecenia twoje względem dalszego ich zarządu. Powody wypływające z niektórych cech charakteru księcia Velasquez nie pozwoliły mi znieść się¹⁶² z tobą wcześniej.

Żegnam cię, don Henrique; nie ma dnia, w którym bym nie wznosiła pokutniczego głosu i nie błagała nieba o błogosławieństwo dla ciebie i twojej szczęśliwej małżonki. Módl się także za mnie i nie odpowiadaj mi na list”.

¹⁶²znieść się z kim (daw.) — skontaktować się z kim; spotkać się z kim. [przypis edytorski]

Wspominałem wam już o władzy, jaką wspomnienia wywierały na umysł mego ojca, możecie więc pojąć, że list ten rozbudził je wszystkie razem. Blisko przez rok nie był wstanie zająć się ulubionymi zatrudnieniami; dopiero starania żony, przywiązanie, jakie miał do mnie, nade wszystko zaś wielkie ogólne rozwiązanie teorii równań, której geometrowie naówczas z zapałem się oddawali, zaledwie zdołały duszy jego powrócić się i spokojność. Zwiększenie jego dochodów pozwoliło mu pomnożyć księgozbiór i gabinet fizyczny, wkrótce nawet zdołał się urządzić małe obserwatorium zaopatrzone w dość dokładne narzędzia. Nie potrzebuję dodawać, że nie omieszkał zadość uczynić wrodzonej skłonności do dobrych uczynków. Zaręczam wam, że nie zostawiłem w Ceucie żadnego człowieka godnego politowania, gdyż ojciec mój zużywał całą działalność swego ducha na zabezpieczenie każdemu przyzwoitego utrzymania. Szczegóły, jakie mógłbym wam opowiedzieć, byłyby bez wątpienia zajmujące, ale nie zapominam, że przyrzekłem wam własną historię i nie powinienem zbaczać z wytkniętej raz linii.

O ile pamiętam, ciekawość była pierwszą moją namiętnością. W Ceucie nie ma ani koni, ani powozów, ani innych tym podobnych niebezpieczeństw dla dzieci, pozwalano mi zatem biegać po ulicach wedle upodobania. Zaspokajałem więc moją ciekawość, sto razy na dzień chodząc do portu i wracając do miasta, wchodziłem nawet do domów, do magazynów, arsenałów, pracowni, przypatrując się robotnikom, towarzysząc tragarzom, zatrzymując przechodzących, jednym słowem, mieszając się do wszystkiego. Ciekawość moja bawiła wszystkich, wszędzie z przyjemnością starano się zadość jej uczynić, tak jest, wszędzie, z wyjątkiem domu rodzicielskiego.

Mój ojciec kazał był zbudować na środku podwórza oddzielny pawilon, w którym umieścił księgozbiór, gabinet fizyczny i obserwatorium. Wzbroniono mi wejścia do tego pawilonu; z początku mało mnie to obchodziło, wkrótce jednak zakaz ten, zaostrzając moją ciekawość, był dzielnym bodźcem, który popchnął mnie na drogę nauk. Pierwszą nauką, której się oddałem, była część historii naturalnej, zwana konchologią. Mój ojciec często chodził nad brzeg morski w pewne miejsce otoczone skalami, gdzie podczas ciszy woda była przezroczysta jak zwierciadło. Tam śledził zwyczaje zwierząt morskich, skoro zaś trafiał na piękną muszlę, natychmiast zanosił ją do domu. Dzieci z natury są naśladowcami, mimowolnie więc stałem się konchologiem i długo zapewne byłbym w tej gałęzi pracował, gdyby raki, pokrzywy morskie i niedźwiadki nie były mi zbrzydliwym tego zatrudnienia. Porzuciłem historię naturalną i zająłem się fizyką.

Mój ojciec, potrzebując rzemieślnika do odmieniania, naprawy lub naśladowania narzędzi przesyłanych mu z Anglii, wyuczył tej sztuki jednego kanoniera, któremu natura udzieliła stosowne do tego zdolności. Prawie całe dnie przepędzałem w pracowni mechanika i powziąłem tam wiele wiadomości, ale cóż, gdy zbywało mi na pierwszej i najgłówniejszej. Nie umiałem ani czytać, ani pisać. Jednakże kończyłem już ósmy rok; ale ojciec mój powtarzał, że dość będzie, jeżeli nauczę się podpisywać własne nazwisko i tańczyć sarabandę. Był naówczas w Ceucie pewien ksiądz odesłany na pokutę z jakiegoś klasztoru. Wszyscy powszechnie go szanowali. Często przychodził nas odwiedzać. Zaczynając duchowny, widząc mnie tak zaniedbanego, przedstawił memu ojcu, że należało wyuczyć mnie przynajmniej religii, i podjął się tego obowiązku. Mój ojciec zgodził się i szanowny ksiądz Anzelm pod tym pozorem wyuczył mnie czytać, pisać i rachować. Czyniłem szybkie postępy, zwłaszcza zaś w arytmetyce, w której niebawem prześcignąłem mego mistrza.

Tym sposobem doszedłem dwunastego roku życia i jak na mój wiek posiadałem wiele wiadomości, wszelako strzegłem się występować z nimi przed moim ojcem, skoro bowiem czasami zapomniałem się, wnet spoglądał na mnie surowo, mówiąc:

— Ucz się sarabandy, mój synu, ucz się sarabandy i porzuć te inne rzeczy, które mogą tylko przyczynić ci nieszczęścia.

Natenczas matka moja dawała mi znak, abym milczał i zwracała rozmowę na inną tory.

Pewnego dnia, siedząc przy stole, gdy mój ojciec znowu namawiał mnie, abym poświęcał się Terpsychorze, ujrzelśmy wchodzącego człowieka około trzydziestoletniego, ubranego z francuska.

Złożył nam ze dwadzieścia ukłonów jeden za drugim, po czym chcąc wykrocić pirueta, potrafił służącego z wazą, która rozbiła się na drobne kawałki. Hiszpan byłby rozplynął się

w przeprosinach, cudzoziemiec jednak wcale się tym nie zmieszał. Wybuchnął śmiechem, a następnie oznajmił nam w zepsutej hiszpańskiej mowie, że nazywa się margrabia de Folencour, że zmuszony został opuścić Francję za zabicie człowieka w pojedynku i że prosi nas o udzielenie mu schronienia, dopóki jego sprawa nie będzie załatwiona.

Folencour jeszcze nie był ukończył swojej przemowy, gdy mój ojciec nagle porwał się od stołu i rzekł:

— Mości margrabio, jesteś pan człowiekiem, jakiego od dawna wyglądałem, racz uważać mój dom za własny, rozkazuj, jak ci się tylko podoba, w zamian zaś nie wzbraniaj się zająć trochę wychowaniem mego syna. Jeżeli z czasem stanie się do ciebie nieco podobny, uczynisz mnie najszcześniejszym z ojców.

Gdyby Folencour mógł był odgadnąć ukrytą myśl, jaką mój ojciec do tych słów przywiązywał, byłby zapewne szczerze się skrzywił; ale przyjął to oświadczenie dosłownie, zdał się być mocno z niego zadowolony i podwoił zuchwalstwa, zwracając uwagę na piękność mojej matki i podeszły wiek mego ojca, który pomimo to był uszczęśliwiony i ciągle wystawiał mi go za przykład.

Przy końcu obiadu mój ojciec zapytał margrabiego, czy byłby w stanie wyuczyć mnie sarabandy. Zamiast odpowiedzi nauczyciel mój parsknął głośnym śmiechem i gdy nareszcie ochłonął nieco z tej wielkiej radości, oświadczył nam, że od dwudziestu wieków nikt nie tańczy już sarabandy, ale menueta i gawota. Przy tych słowach dobył z kieszeni małe skrzypki, jakie zwykli nosić tancmistrze, i zaczął grać melodie tych dwóch tańców. Gdy skończył, mój ojciec rzekł mu z powagą.

— Mości margrabio, grasz pan na instrumencie obcym dla wszystkich dobrze urodzonych ludzi i mniemałbym, gdybym nie wiedział, z kim mam zaszczyt mówić, że jesteś tancmistrem z rzemiosła, wreszcie i w takim nawet razie, niesłychanie się cieszę z twego przybycia i dziękuję niebu, że raczyło wysłuchać moich życzeń. Proszę cię, abyś od jutra zaraz zajął się moim synem i wychował go na podobieństwo szlachcica z dworu francuskiego.

Folencour przyznał, że w istocie nieszczęścia familijne zmusiły go do oddawania się przez jakiś czas rzemiosłu tancmistrza, że jednak był człowiekiem dobrze urodzonym, a tym samym sposobnym na mentora młodzieńca należącego do znakomitej rodziny. Postanowiono więc, że od jutra zacznę brać lekcje tańca i światowego ułożenia; ale zanim przystąpię do opisu tego nieszczęsnego dnia, muszę wam opowiedzieć rozmowę, jaką tego samego wieczora mój ojciec miał z don Cadanzą, swoim teściem. Nigdy mi ona nie przyszła na myśl, ale w tej chwili całą ją sobie przypominam i zapewne radzi jej posłuchacie.

Tego dnia ciekawość zatrzymała mnie przy moim nowym nauczycielu, nie wybiegłem więc wcale na ulicę, pozostałem w domu i przechodząc obok gabinetu mego ojca, usłyszałem, jak podnosząc głos z uniesieniem mówił do teścia Cadanzy:

— Po raz ostatni, przestrzegam cię, kochany teściu, jeżeli nie zaprzestasz twoich tajemnych wycieczek i wysyłania posłańców w głąb Afryki, będę zmuszony zaskarżyć cię do ministra.

— Ależ mój zięciu — odpowiedział Cadanza — jeżeli pragniesz dowiedzieć się tajemnicy, możesz to skutecznie z wszelką łatwością. Moja matka pochodziła z Gomelezów, krew ich więc płynie w żyłach twego syna.

— Mości Cadanza — przerwał mój ojciec — ja tu rozkazuję w imieniu króla i nie mam nic wspólnego z Gomelezami i wszystkimi ich tajemnicami. Bądź pewny, że jutro jeszcze uwiadomię ministra o całej naszej rozmowie.

— Ty zaś — rzekł Cadanza — bądź pewny, że minister zabroni ci na przyszłość mieszać się w nasze sprawy.

Na tym skończyła się ich rozmowa. Tajemnica Gomelezów mocno mnie zajmowała przez resztę dnia i pewną część nocy, ale nazajutrz przekłety Folencour dał mi pierwszą lekcję tańca, która całkiem inaczej się skończyła, aniżeli mój ojciec tego sobie życzył. Skutkiem tej lekcji było, że mogłem nareszcie oddać się moim ulubionym matematycznym zatrudnieniom.

Gdy Velasquez domawiał tych słów, kabalista przerwał mu, mówiąc, że ma do pomówienia z siostrą o niektórych ważnych rzeczach. Rozeszliśmy się więc i każdy udał się w swoją stronę.

DZIEŃ DWUDZIESTY CZWARTY

Znowu zaczęliśmy błąkać się po Alpuharach, aż przybyliśmy wreszcie na spoczynek i posiliwszy się wieczną, prosiliśmy Velasqueza, aby raczył dalej opowiadać przygody swego życia, co też uczynił w tych słowach.

Dalszy ciąg historii Velasqueza

Mój ojciec chciał być obecny przy pierwszej mojej lekcji tańca i żądał, aby moja matka także mu towarzyszyła. Folencour, zachęcony tak pochlebny przyjęciem, zapomniał zupełnie, że przedstawił się nam jako markiz i zaczął od szumnej przemowy na pochwałę sztuki choreograficznej, którą nazywał wrodzonym mu talentem. Następnie zwrócił uwagę, że trzymam nogi do siebie i usiłował wytłumaczyć, że zwyczaj ten bynajmniej nie zgadza się z poczuciem własnej godności. Obróciłem więc palce na zewnątrz i próbowałem chodzić tym sposobem, ale Folencour wciąż nie był zadowolony i wymagał, żebym stąpał na palcach. Nareszcie, zniecierpliwiony, ujął mnie za rękę i chcąc ku sobie przybliżyć, popchnął tak gwałtownie, że nie mogąc utrzymać się na palcach, padłem na twarz i mocno się potłukłem. Folencour, zamiast mnie przeprosić, uniósł się niepohamowanym gniewem i zaczął używać wyrażeń, których nieprzyzwoitość sam lepiej byłby osądził, gdyby był umiał po hiszpańsku. Przyzwyczajony do powszechnej grzeczności mieszkańców Cauty, sądziłem, że nie należy bezkarnie puszczać takiej zniewagi. Postąpiłem więc ku memu i porwawszy jego skrzyпки, rozbiłem je w drobne kawałki, przysięgając, że żadnej nauki nie pragnę od człowieka tak źle wychowanego. Mój ojciec nie rzekł na to ani słowa, powstał w milczeniu, wziął mnie za rękę, zaprowadził do maleńkiej izdebki na końcu podwórza i zamknął drzwi za mną, mówiąc, że wyjdę z niej wtedy, gdy wróci mi znowu ochota do tańca.

Wychowany w zupełnej wolności, z początku nie mogłem przywyknąć do więzienia i długo gorzko płakałem. Cały we łzach obróciłem oczy ku jednemu kwadratowemu oknu znajdującemu się w izbie i zacząłem rachować szyby. Było ich dwadzieścia sześć na długość i tyleż na szerokość. Przypomniałem sobie lekcje arytmetyki ojca Anzelma, którego nauka nie wykraczała poza mnożenie.

Pomnożyłem wysokość kwadratów przez szerokość i z zadziwieniem ujrzałem, że wypadła mi prawdziwa liczba szyb. Ustały moje łkania i ukoila się boleść. Powtórzyłem obliczenie, opuszczając po jednym pasie kwadratów raz na wysokość, to znowu na szerokość. Zrozumiałem naówczas, że mnożenie jest tylko powtarzaniem dodawania i że powierzchnie da się równo mierzyć, tak jak długości. Wykonałem to samo doświadczenie na kamiennych flizach, którymi moja izdebka była wyłożona; i tym razem wypadek zadowolili mnie zupełnie. Wtedy nie myślałem już o płaczu, serce biło mi z radości, dziś nawet nie mogę o tym mówić bez wzruszenia.

Okolo południa matka moja przyniosła mi czarnego chleba i dzbanek wody; zaklinała mnie ze łzami w oczach, abym zgodził się na życzenia mego ojca i rozpoczął lekcje z Folencourem. Gdy skończyła swoją przemowę, pocałowałem ją z czułością w rękę, po czym prosiłem, aby mi przysłała papier i ołówek i nie troszczyła się więcej o mój los, gdyż — co do mnie — bynajmniej nie pragnąłem zmiany. Moja matka odeszła zadziwiona i dostarczyła mi żądanych przedmiotów. Wtedy oddałem się obliczeniom z niewypowiedzianym zapałem, przekonany, że co chwila dokonuję najważniejszych odkryć; w istocie, wszystkie te własności liczb były dla mnie prawdziwymi odkryciami, nie miałem bowiem dotąd o nich najmniejszego pojęcia.

Tymczasem głód zaczął mi doskwierać, rozłamałem chleb i spostrzegłem, że moja matka umieściła w nim kurczę pieczone i kawałek szynki. Ta oznaka dobroci powiększyła moją wesołość, z radością więc powróciłem do moich rachunków. Wieczorem przyniesiono mi świecę, więc pracowałem do późnej nocy.

Nazajutrz podzieliłem na połowę jeden bok kwadratu i ujrzałem, że mnożenie połowy przez połowę daje mi ćwierć; podzieliłem dalej ten sam bok na trzy części i otrzymałem

jedną dziewiątą; tak powziąłem pierwsze pojęcia o ułamkach. Upewniłem się jeszcze bardziej, pomnożywszy dwa i pół przez dwa pół, obok bowiem kwadratu z dwóch otrzymałem pas o powierzchni dwa i ćwierć.

Tym sposobem coraz dalej posuwałem moje badania i spostrzegłem, że mnożąc jakąś liczbę przez samą siebie i podnosząc wynik do kwadratu, otrzymuję ten sam wynik, co mnożąc ją trzykrotnie przez samą siebie.

Wszystkie moje odkrycia nie były wcale wyrażone algebraicznie, nie miałem bowiem o tej nauce żadnego pojęcia, ale wymyśliłem sobie osobne znaki, powzięte od kwadratów mego okna, które pomimo to zalecały się jasnością i wdziękiem

Na koniec szesnastego dnia moja matka, przyniosłszy mi obiad, rzekła:

— Drogie dziecię, przychodzę do ciebie z dobrą nowiną, odkryło się, że Folencour był zbiegiem, twój ojciec zaś, który nienawidzi zbiegostwa, kazał go wsadzić na okręt i odesłać do Francji. Spodziewam się, że wkrótce wyjdiesz z twego więzienia.

Przyjąłem te słowa z obojętnością, która zadziwiła moją matkę. Niebawem wszedł mój ojciec, potwierdził jej słowa i dodał, że napisał do swoich przyjaciół Cassiniego i Huygensa, prosząc o przysłanie mu nut i figur tańców najbardziej wziętych w Paryżu i Londynie. Wreszcie sam doskonale pamiętał sposób, w jaki brat jego Carlos wchodził do salonu, a ostatecznie tego przede wszystkim chciał mnie nauczyć.

Tak mówiąc, ojciec mój spostrzegł zwój papieru wyglądający mi z kieszeni i wziął go do rąk. Z początku mocno się zdziwił, widząc masę liczb, a zwłaszcza całkiem nieznaną mu znaki. Wytłumaczyłem mu je wraz ze wszystkimi moimi działaniami. Zdziwienie jego coraz wzrastało, ale dostrzegłem, że nie było mu zupełnie nieprzyjemne.

Mój ojciec, zważywszy cały postęp moich działań, rzekł:

— Mój synu, gdybym do tego okna, mającego 26 kwadratów, we wszystkich kierunkach dodał dwa na dole, chcąc zarazem zachować kształt kwadratu, ile by razem było kwadratów?

Odpowiedziałem bez wahania:

— Miałbym z boku i u góry dwa pasy każdy po 52 kwadraty, a nadto mały kwadrat o czterech kwadracikach w kącie dotykającym obu pasów.

Słowa te przejęły żywą radością mego ojca, którą jednak zdołał ukryć, po czym rzekł:

— Gdybym atoli dodał u dołu linię nieskończenie małą, jaki byłby kwadrat?

Zastanowiłem się przez chwilę i odpowiedziałem:

— Miałbym dwa pasy równie długie jak boki okna, ale nieskończenie wąskie, co zaś do kwadratu narożnego, ten byłby tak mały, że nie mogę żadnym sposobem sobie tego wyobrazić.

Tu mój ojciec upadł na krzesło, złożył ręce, wznosił oczy ku niebu i rzekł:

— Wielki Boże, on sam odgadł prawo dwumianu i jeżeli mu nie przeszkodzę, gotów odkryć cały rachunek różniczkowy!

Przełąknęłam się, widząc stan mego ojca, odwiązałam mu chustkę i zacząłam wołać o pomoc. Nareszcie wrócił do zmysłów i przycisnął mnie do serca, mówiąc:

— Moje dziecię, moje kochane dziecię, porzuć te rachunki, ucz się sarabandy, mój przyjacielu, ucz się lepiej sarabandy.

Już nie było nawet mowy o dalszym więzieniu. Tego samego wieczora obszedłem dokoła wały Ceuty i chodząc, ciągle powtarzałem: „On odgadł prawo dwumianu, on odgadł prawo dwumianu”. Mogę śmiało wyznać, że odtąd z każdym dniem czyniłem nowe postępy w matematyce. Mój ojciec zaprzysiągł, że nigdy nie będzie mnie jej uczył, ale pewnego dnia znalazłem przy łóżku *Arytmetykę ogólną* don Izaaka Newtona i o ile mi się zdaje, ojciec musiał umyślnie ją tam zostawić.

Czasami także znajdowałem otwarte drzwi do jego gabinetu i nigdy nie omieszkałem skorzystać z tej sposobności.

Niekiedy jednak ojciec mój wracał do dawnych swoich zamiarów, chciał znowu wykształcać mnie na człowieka światowego i kazał okręcać się na pięcie przy wchodzeniu do pokoju. Sam nucił jakąś arię, udawał, że nie widzi moich niezgrabnych ruchów, po czym zalewał się łzami, mówiąc:

— Moje dziecko, Pan Bóg nie stworzył cię na zuchwalca, dni twoje nie będą szczęśliwsze od moich.

W pięć lat po tej przygodzie matka moja zaszła w ciążę i porodziła córkę, którą nazwano Blanką, na pamiątkę pięknej, chociaż zbyt lekkomyślnej księżnej Velasquez. Jakkolwiek pani ta zabraniała memu ojcu pisać do niej, wypadło jednak donieść jej o przyjściu na świat córki. Wkrótce nadeszła odpowiedź, która odnowiła dawne blizny, ale mój ojciec znacznie już się postarzał i wiek stępił w nim żywość uczuć.

Następnie przepłynęło dziesięć lat, których jednostajności nie przerwał żaden wypadek. Życie moje i mego ojca, uprzyjemniały tylko nowe wiadomości, jakie z każdym dniem wzbogacały nasze umysły. Mój ojciec porzucił nawet dawny sposób postępowania ze mną; w istocie nie od niego nauczyłem się matematyki, on bowiem nie szczędził niczego, abym umiał sarabandę. Nie miał więc sobie nic do wyrzucenia i z przyjemnością, bez skrupułów, oddawał się rozmowie ze mną, zwłaszcza w przedmiotach nauk ścisłych. Rozmowy te zwykle podniecały moją gorliwość i podwajały pilność, ale zarazem, chłonąc całą moją uwagę, budziły we mnie skłonność do roztargnienia — jak to wam już mówiłem — stan zaś ten musiałem często zbyt drogo opłacać — jak to wam wkrótce opowiem — gdyż pewnego dnia, wyszedwszy z Ceuty, sam nie wiem, jakim sposobem znalazłem się pośród Arabów.

Siostra moja tymczasem z każdym dniem stawała się coraz piękniejsza i nabierała wdzięku i nic nie brakowałoby nam do szczęścia, gdybyśmy mogli zachować naszą matkę, ale rok temu nieubłagana choroba wydarła ją z naszych objęć. Mój ojciec przyjął wtedy do swego domu siostrę nieboszczki żony, donę Antonię de Poneras, kobietę dwudziestoletnią i owdowiałą od sześciu miesięcy. Była ona dzieckiem z drugiego małżeństwa mego dziada, don Cadanza, który wydawszy córkę za mąż, poczuł się nagle osamotniony i postanowił powtórnie się ożenić, ale po pięciu latach pożycia stracił i drugą żonę, która wydała na świat dziewczynkę o pięć lat młodszą ode mnie.

Moja młoda i piękna ciotka, wprowadziła się do mieszkania matki i poczęła trudnić się zarządkiem całego domu. Szczególniej troszczyła się o mnie i przynajmniej dwadzieścia razy dziennie wchodziła do mego pokoju, pytając, czy nie chcę czekolady, lemoniady lub czegoś podobnego.

Odwiedziny te często były mi nader nieprzyjemne, przerywały bowiem moje obliczenia. Jeżeli przypadkiem *doña* Antonia przez pół godziny mi nie przeszkadzała, zastępowała ją w tym służąca. Była to dziewczyna równego wieku ze swoją panią, tegoż samego humoru, a nazywała się Marika.

Wkrótce spostrzegłem, że siostra moja wcale nie lubi ani pani, ani służącej; podzielałem w tym względzie jej uczucia, których całą przyczyną z mojej strony było zniecierpliwienie natręctwem tych kobiet. Wprawdzie niewiele na tym traciłem, gdyż miałem zwyczaj, ile razy wchodziły, podstawić urojone wartości i dopiero po ich wyjściu wracałem do moich rachunków.

Pewnego dnia, gdy byłem zajęty obliczaniem logarytmów, Antonia weszła do mego pokoju, usiadła obok mnie i zaczęła szczebiotać tysiączne niedorzeczności, przeplatając swoją rozmowę czułymi wejrzeniami. Poznawszy, że tym razem zabiera się na długie posiedzenie, zatrzymałem moje obliczenia przy czwartej średniej proporcjonalnej, jąłem zastanawiać się nad naturą logarytmów i nad niesłychaną pracą, jakiej ułożenie tablic musiało wymagać od sławnego barona Nepera. Wtedy Antonia, pragnąc mi się sprzeciwić wstała, zakryła mi oczy swymi rękami i rzekła:

— Teraz spróbujemy, czy potrafisz dalej rachować, mości geometro.

Słowa te mojej ciotki zdały mi się prawdziwym wyzwaniem i lekceważeniem mojej nauki, ponieważ jednak w ostatnich czasach wiele zajmowałem się tablicami logarytmicznymi i umiałem je, jak to mówią, na pamięć, przyszła mi więc myśl rozłożenia na trzy czynniki liczby, której logarytmu szukałem. Znalazłem trzy takie, których logarytmy znałem, czym prędzej zatem dodałem je i nagle, wyrwijąc się z rąk Antonii, napisałem cały logarytm, także nie brakowało w nim ani jednej dziesiątki. Antonia mocno się tym rozgniewała i wyszła z pokoju, mówiąc z oburzeniem:

— Cóż to za głupcy te geometry.

Wprawdzie moja metoda z trudnością dawała się zastosować do liczb pierwszych, nie mniej była dowcipna i mogła w wielu wypadkach być przydatna. Nie pojmowałem, dlaczego ciotka moja nazwała mnie głupcem. Wkrótce potem przyszła jej służąca, która

także ją oświadczać mi jakieś grzeczności, ale byłem tak rozjątrzony słowami jej pani, że odprawiłem ją bez żadnej ceremonii.

Teraz zbliżam się do epoki mego życia, w której nadałem moim pojęciom nowy kierunek i zwróciłem je wszystkie do jednego celu. Spostrzeżenie w życiu każdego uczonego chwilę, w której silnie uderzony prawdą jakiejś zasady, oczekuje jej skutków i zastosowań i rozwija ją w porządną, właściwą mu system. Natenczas podwaja odwagę i pracę, wraca do punktu, z którego wyszedł i uzupełnia niedokładność pierwszych pojęć. Wtedy to zastanawia się nad każdą wiadomością, spogląda na nią ze wszystkich stron, następnie łączy je razem i porządkuje. Jeżeli nie uda mu się zbudować systemu albo też przekonać się o jego prawdziwości, przynajmniej porzuca go mędrzy niżeli wówczas, gdy doń przystępował i nabywa pewnych wiadomości, o których istnieniu dotąd wcale nie myślał. Nadeszła więc i dla mnie ta chwila zbudowania systemu, okoliczność zaś, która podała mi pierwszą myśl, była następująca.

Pewnego wieczora, gdy po wieczerzy kończyłem rozwiązanie nader zawilego zagadnienia, ujrzałem wchodzącą moją ciotkę Antonię¹⁶³, która mi rzekła:

— Mój synowcze, widok światła w twoim pokoju nie daje mi zasnąć, ponieważ więc matematyka jest nauką tak powabną, pragnę zatem, abyś mnie jej nauczył.

Nie mając nic lepszego do czynienia, przystałem na żądanie mojej ciotki. Wziąłem tablicę i wyłożyłem jej dwa zagadnienia Euklidesa; właśnie miałem przechodzić do trzeciego, gdy Antonia nagle, wyrwijając mi tablicę, zawołała:

— Nieznośny pedancie, czyliż matematyka dotąd nie nauczyła cię, jakim sposobem stworzenia boskie mnożą się na świecie?

Z początku wyrazy wydały mi się niedorzeczne, ale głębiej się zastanowiwszy, powziąłem myśl, że zapewne chciała mnie zapytać o formułę ogólną, odpowiadającą wszystkim trybom mnożenia używanym przez naturę, zaczawszy od cedru aż do najlichszej trawki i od wieloryba do żyjątek dostrzegalnych zaledwie za pomocą mikroskopu. Przypomniałem sobie zarazem uwagi, jakie niegdyś czyniłem nad różnaitością stopni pojęć każdego zwierzęcia, których wynalazłem pierwszą przyczynę, odnosząc się do wychowania, skłonności i rozradzania. Stopniowanie to pozwalało mi zastosowanie teorii o szeregach malejących i rosnących, co w następstwie sprowadzało cały system ponownie do zasad matematyki. Jednym słowem, wpadłem na myśl wynalezienia równania dającego się zastosować do całego państwa zwierzęcego, przypuszczając wszędy jednakowe czynniki rozmaitej wartości i stopnia działalności. Rozogniła się moja wyobraźnia, sądziłem, że potrafię oznaczyć matematyczne ogniwo i granicę każdego z naszych pojęć, czyli wyraźniej mówiąc, zastosować wyrachowanie do całego systemu natury. Dręczony takim natłokiem gwałtownych wrażeń uczulem potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem, wypadłem więc na wały i trzy razy je obiegłem, sam nie wiedząc, co czynię

Nareszcie ochłoniłem nieco; dzień poczynał już świtać, chciałem zapisać sobie niektóre wypadki i tak pisząc, wracałem, jak mi się zdawało, drogą do domu. Tymczasem stało się inaczej; zamiast pójść na prawo od miejskich przekopów, poszedłem na lewo i wlałem w fosę. Moje wnioski nie tylko były dla mnie jeszcze ciemnymi pojęciami, ale nadto żadnym sposobem nie mogłem odgadnąć, jak je przeniosę na tabliczki, gdyż mrok tak gęsty panował, że niepodobna było dojrzeć ani jednej cyfry. Pragnąłem czym prędzej wrócić do domu, podwoiłem więc kroku, myśląc zawsze, że idę prostą drogą. W tym przekonaniu dostałem się do wylomu, który sporządzono dla przeprowadzenia dział w chwili wycieczki i naraz znalazłem się za okopami.

Pomimo to bynajmniej nie spostrzegłem mojej pomyłki, ale nie zważając na otaczające mnie przedmioty, biegłem ciągle, gryzmołąc na tabliczkach i tak coraz dalej oddalałem się od miasta. Na koniec zmęczony usiadłem i cały oddałem się moim rachunkom.

Po pewnym czasie podniosłem oczy i ujrzałem się śród Arabów, że jednak znam trochę ich język dość używany w Ceucie, powiedziałem im przeto kim jestem i prosiłem, żeby mnie odprowadzili do mego ojca, który nie omieszką dać im sowity wykup. Wyraz „wykup” zawsze dobrze brzmi w uszach arabskich; otaczający mnie obrócili się

¹⁶³gdy po wieczerzy kończyłem rozwiązanie nader zawilego zagadnienia, ujrzałem wchodzącą moją ciotkę Antonię — w innym oprac. tegoż tłum.: gdy po wieczerzy kończyłem rozwiązanie nader zawilego zagadnienia z zakresu rachunku różniczkowego, ujrzałem wchodzącą ciotkę Antonię w samej tylko koszuli. [przypis edytorski]

z uśmiechem do naczelnika i zdawali się oczekiwać od niego odpowiedzi zapowiadającej im obfity zysk.

Szejka długo stał zamyślony i poważnie głaskał swoją brodę, po czym rzekł:

— Słuchaj, młody nazarejczyku, znamy twego ojca jako bogobożnego człowieka; słyszeliśmy także różne rzeczy o tobie. Powiadają, że jesteś równie dobry, jak twój ojciec, ale że pan Bóg pozbawił cię pewnej części twego rozumu. Niech cię to bynajmniej nie martwi. Bóg jest wielki i daje ludziom lub też odbiera im rozum, wedle swego upodobania. Szaleńcy są żywym dowodem potęgi boskiej i nicości rozumu ludzkiego. Szaleńcy, nie znając złego ani dobrego, przedstawiają nam oprócz tego dawny stan niewinności człowieka. Są oni na pierwszym stopniu świętości. Nazywamy ich marabutami, równie jak naszych świętych. Wszystko to jest w zasadach naszej wiary; zgrzeszylibyśmy więc, wymagając za ciebie okupu. Odprowadzimy cię do pierwszej hiszpańskiej forpoczty z wszelkim szacunkiem i czcią, jakie podobnym tobie ludziom przynależą.

Wyznam wam, że ta mowa szejka, zmieszała mnie do najwyższego stopnia.

— Jak to — rzekłem sam do siebie — miałbym w ślady Locka i Newtona przejść do ostatecznych granic pojęcia ludzkiego, wspierając zasady pierwszego na obliczeniach drugiego i stawiając śmiało kroki w przepaściach metafizyki na to, ażeby potem mnie osądzono za szaleńca? Zepchnięto do kategorii istot zaledwie należących do rodu człowieczego? Niech przepadną rachunek różniczkowy i wszystkie zagadnienia, do których przywiązywałem całą moją sławę.

To mówiąc porwałem miecz i rozbiłem tabliczki na drobne kawałki, następnie jeszcze bardziej rozżalony rzekłem:

— Mój ojcze, miałeś słuszność, gdy chciałeś uczyć mnie sarabandy i wszystkich zuchwałstw używanych przez ludzi poczciwych! — po czym jałem mimowolnie powtarzać niektóre poruszenia sarabandy, jak to zwykł był czynić mój ojciec, ile razy przypominał sobie dawne nieszczęścia.

Tymczasem Arabowie widząc, że potłukłem tabliczki, na których przed chwilą pisałem z taką gorliwością, zawołali z czcią i politowaniem:

— Bóg jest wielki! Chwała Panu i jego prorokowi! *Hamdullach! Allah kerim!*

Po czym wzięli mnie łagodnie za ręce i odprowadzili do pierwszej forpoczty hiszpańskiej.

Gdy Velasquez doszedł do tego miejsca, zdał się nam mocno przygnębiony i roz-targniony, spostrzegłszy więc, że z trudnością przyjdzie mu dalej ciągnąć opowiadanie, prosiliśmy, aby resztę odłożył na dzień następny.

DZIEŃ DWUDZIESTY PIĄTY

Podróżowaliśmy dalej przez piękne, ale opuszczone okolice. Obchodząc jedną górę, oddaliłem się od karawany i zdało mi się, że słyszę jęki w wydrążeniu nader zarosłej doliny, ciągnącej się pod drogą, na której wówczas się znajdowaliśmy. Jęki podwoiły się; zsiadłem z konia, przywiązałem go, dobyłem szpady i zapuściłem się w zarośla. Im bliżej podchodziłem, tym bardziej jęki zdawały się oddalać, nareszcie przybyłem na otwarte miejsce, gdzie znalazłem się pośród ośmiu do dziesięciu ludzi uzbrojonych w muszkiety i biorących mnie na cel.

Jeden z nich krzyknął, abym mu oddał szpadę; za całą odpowiedź poskoczyłem, chcąc go nią przeszyć na wylot, ale natenczas położył muszkiet na ziemi, jakby sam zdawał się na łaskę, i ofiarował mi kapitulację, wymagając ode mnie jakowychś obietnic. Odpowiedziałem, że nie będę ani kapitulował, ani nic obiecywał.

W tej chwili usłyszano krzyki podróżnych, którzy mnie przyzywali. Naczelnik — o ile się zdawało — bandy rzekł do mnie:

— Señor kawalerze, szukają cię, nie mamy czasu do stracenia, za pięć dni racz opuścić obóz i udać się drogą ku zachodowi. Spotkasz osoby, które mają ci powierzyć ważną tajemnicę. Jęki, jakie słyszałeś, były tylko fortelem użytym na sprowadzenie cię pośród nas. Nie zapominaj więc, abyś na czas się stawiał.

Po tych słowach, lekko mi się uklonił, gwizdnął i zniknął wraz z towarzyszami. Złączyłem się z karawaną, ale nie uznałem za potrzebne zdawać sprawę z mego spotkania. Przybyliśmy wcześniej na nocleg i po wieczerzy prosiliśmy Velasqueza, aby kończył swoje przygody, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii Velasqueza

Mówiłem wam, jakim sposobem, zwracając uwagę na ogólny porządek wszechświata, sądziłem, że wynalazł zastosowania rachunkowe nikomu przedtem nieznaną; powiedziałem wam następnie, jak ciotka moja Antonia dziwnym zapytaniem sprawiła, że myśli moje zebrały się niejako w jedno ognisko i uporządkowały w system. Nareszcie oznajmiłem, jak — przekonawszy się, że uważano mnie za szaleńca — z największej egzaltacji umysłu od razu spadłem na samo dno zwątpienia. Teraz wyznam wam, że stan tego osłabienia był długi i bolesny. Nie śmiałem podnieść oczu na ludzi; zdawało mi się, że bliźni moi spiknęli się, by mnie odepchnąć i poniżyć; z niesmakiem poglądałem na książki, które mi tyle przyjemnych chwil użyczyły, widziałem w nich tylko nawał czczych wyrażań. Nie dotykałem więcej tabliczek, nie rachowałem, rozprzęgły się nerwy mego mózgu, straciły całą dzielność i nie miałem siły do myślenia.

Ojciec spostrzegł stan mego zniechęcenia i dopytywał mnie o przyczynę. Długo opierałem się, nareszcie powtórzyłem mu mowę szejka arabskiego i opowiedziałem smutek dręczący mnie od chwili, w której po raz pierwszy nazwano mnie szaleńcem. Mój ojciec opuścił głowę na piersi i załżał się łzami. Po długim milczeniu zwrócił na mnie wzrok pełen politowania i rzekł:

— Ach, mój synu, ty uchodzisz tylko za szaleńca, a ja w istocie byłem nim przez trzy lata. Roztargnienie twoje i miłość moja dla Blanki nie są pierwszymi przyczynami naszych trosk; nieszczęścia nasze skądinąd pochodzą. Natura, niesłuchanie płodna i dziwaczna w swoich środkach, z upodobaniem gwałci najstarsze swoje zasady; z interesu osobistego tworzy dźwignię wszystkich czynności człowieka, z tym wszystkim jednak w masie ludzi płodzi tu i ówdzie wyjątki, u których samolubstwo zaledwie jest dostrzegalne, ci bowiem na zewnątrz siebie zwracają cały prąd ich myśli i dążeń. Jedni kochają się w naukach, inni w dobru ogółu, wynoszą odkrycia drugich, jak gdyby sami ich byli doszli, lub zbawienne dla państwa ustawy, jak gdyby sami z nich tylko korzystali. Zwyczaj ten zaparcia się samego siebie wpływa na ich przeznaczenie, nie mogą widzieć w ludziach narzędzi własnego szczęścia, a gdy los do nich kołace, nie pomyślą o otworzeniu mu drzwi. Mało kto potrafi zapomnieć o samym sobie; znajdziesz samolubstwo w radach, jakie ludzie ci będą udzielać, w przysługach, jakie ci wyświadczą, w związkach, jakich pragną, i przyjaźniach, jakie zawierają. Namiętni dla własnego interesu, choćby najbardziej oddalonego, obojętni są na wszystko, co ich nie dotyczy. Spotkawszy na drodze życia człowieka lekceważącego własny interes, nie mogą go zrozumieć, wmawiają w niego tysiące ukrytych przyczyn, odurzenie lub szaleństwo, odrzucają go od swego grona, upadlają i zasyłają na opuszczonej afrykańską skałę.

Synu mój, my obaj należymy do tego przeklętego plemienia, ale mamy i my nasze rozkosze, które muszę ci dać poznać. Niczego nie szczędziłem dla wykierowania cię na wietrznika i głupca, niebo jednak nie sprzyjało moim usiłowaniom i obdarzyło cię duszą tkliwą i oświeconym umysłem. Powiniennem więc odkryć ci przyjemności naszego życia, są one nieznaną i niebłyskotliwą, ale czystą i słodką. Jakże byłem szczęśliwy wewnętrznie, dowiedziawszy się, że don Izaak Newton pochwałił jedną z moich bezimiennych prac i chciał koniecznie poznać autora. Nie ujawniłem się, ale ośmielony do nowych usiłowań, wzbogaciłem mój umysł masą nieznaną mi dotąd pojęć, byłem nimi przepelniony, nie mogłem ich powstrzymać, wybiegłem, aby je ogłaszać skałom Ceuty, powierzałem je całej Naturze i składałem w ofierze mojemu Stwórcy. Wspomnienie moich cierpień mieszało do tych wzniosłych uczuć westchnienia i łzy, które także nie dręczyły mnie bez pewnej przyjemności. Przypominały mi one, że były około mnie nieszczęścia, które mogłem osłodzić, łączyłem się myślą z zamiarami Opatrzności, z dziełami ręki Stworzyciela, z postępek ducha ludzkiego. Mój umysł, moja osobistość, moje przeznaczenie nie przedstawiały mi się pod cząstkową postacią, ale wchodziły w skład jednej, wielkiej całości.

Tak upłynął wiek namiętności, po czym znowu znalazłem samego siebie. Tkliwe starania twojej matki, sto razy na dzień przekonywały mnie, że byłem jedynym przedmiotem

Dorosłość, Małżeństwo,
Rodzina, Dom, Szczęście

jej przywiązania. Mój duch, zamknięty sam w sobie, dał przystęp uczuciu wdzięczności, słodczy domowego pożycia. Drobne wypadki dziecinnych lat twoich i twojej siostry utrzymywały we mnie ogień najslodszych wzruszeń.

Dzisiaj, twoja matka żyje tylko w mym sercu i umysł mój, zwątlony wiekiem, nie może nic dorzucić do skarbcza wiedzy ludzkiej; atoli z radością spoglądam, jak ten skarbiec z każdym dniem się powiększa, i ścigam myślą postęp tego wzrostu: zajęcie wiążące mnie z ogólnym ruchem umysłowym nie pozwala mi myśleć o niedołężności, smutnej towarzysze mego wieku, i dotąd nie doznałem jeszcze nudy w życiu. Widzisz więc, mój synu, że i my mamy nasze radości i gdybyś był został wietrznikiem, jak tego pragnąłem, miałbyś także twoje zmartwienia.

Alvarez, będąc tutaj, mówił mi o moim bracie w sposób wzbudzający raczej politowanie niż zazdrość: „Książę — prawil — zna dwór doskonale, z łatwością rozplątuje wszelkie intrygi; ale ile razy chce sięgnąć po najwyższe zaszczyty, wnet poznaje, że brak mu skrzydeł do lotu. Był ambasadorem i powiadają, że reprezentował króla swego i pana z wszelką przyzwoitą godnością, ale przy pierwszej trudnej sprawie musiano go odwołać. Wiesz także, że należał do składu ministerium i pełnił swoje obowiązki nie gorzej od innego, ale pomimo wszelkich starań jego podwładnych, którzy o ile możliwości usiłowali oszczędzać mu pracy, nie mógł sobie dać rady i musiał złożyć urząd. W tej chwili nie ma żadnego znaczenia, ale posiada talent stwarzania mało ważnych sposobności, by zbliżyć się do monarchy i pokazywać przed światem, że jest w łasce. Z tym wszystkim, nuda go pożera; tyle ma środków uniknięcia jej, ale zawsze upada pod żelazną ręką dławiącego go potwora. Wprawdzie unika go, zajmując się wyłącznie samym sobą; ale to wygórowane samolubstwo uczyniło go tak drażliwym na najmniejszą przeciwność, że życie stało mu się ciężarem. Tymczasem częste choroby ostrzegły go, że ten jedyny przedmiot jego troskliwości może łatwo z rąk mu się wysliznąć i tą jedną myślą zatruiły wszystkie jego rozkosze”. — Oto jest prawie wszystko, co mi o nim mówił Alvarez, i z tego wniosłem, że w moim zapomnieniu może byłem szczęśliwszy aniżeli mój brat wśród wydartych mi dostatków. Co zaś do ciebie, kochany synu, mieszkańcy Ceuty uważają cię za trochę szalonego, jest to skutkiem ich ciemnoty; ale jeżeli kiedyś rzucisz się w świat, wtedy dopiero poznasz niesprawiedliwość ludzi i przeciwko tej powinieneś się uzbroić. Najlepszym może środkiem byłoby stawiać zniewagę przeciw zniewadze, oszczerstwo przeciw oszczerstwu, czyli, wyraźniej mówiąc, potykać się z niesprawiedliwością jej własną bronią; wszelako sztuka walczenia za pomocą niegodziwości nie jest udziałem ludzi naszego rodzaju. Gdy więc ujrzyś się przygniecionym, odsuń się, zamknij sam w sobie, karm twego ducha jego własnymi zapasami, a wtedy jeszcze doświadczysz szczęścia.

Słowa mego ojca sprawiły na mnie żywe wrażenie, odwaga znowu we mnie wstąpiła i znowu powróciłem do pracy nad moim systemem. Wtedy to zaczynałem już z każdym dniem stawać się coraz bardziej roztargniony. Rzadko kiedy słyszałem, co do mnie mówiono, wyjąwszy ostatnie wyrazy, które głęboko wrażały mi się w pamięć. Odpowiadałem logicznie, ale prawie zawsze godzinę lub dwie po zapytaniu. Często także szedłem, nie wiedząc gdzie, tak że miałbym słuszność, biorąc przewodnika jak dla ślepego. Roztargnienia te jednak trwały dopóty tylko, dopóki nie uporządkowałem mego systemu. Następnie im mniej zużywałem uwagi, tym mniej z każdym dniem wpadałem w roztargnienie i dziś śmiało mogę powiedzieć, że już zupełnie jestem wyleczony.

*

— Tak jest, prawie zupełnie — rzekł kabalista — pozwól pan, abym mu pierwszy tego powinszował.

— Szczerze panu dziękuję — odpowiedział Velasquez — gdyż zaledwie dokończyłem mój system, aliści nieprzewidziany wypadek taką zmianę sprawił w moim przeznaczeniu, że teraz trudno mi będzie, nie mówię: utworzyć system, ale niestety poświęcić nędzne dziesięć lub dwanaście godzin z rzędu jednemu obliczeniu. Krótko mówiąc, niebo chciało, abym został księciem Velasquez, grandem hiszpańskim i panem ogromnego majątku.

*

Cztery tygodnie mija, odkąd Diego Alvarez, syn tamtego Alvareza, przybył do Ceuty z listem od księżnej Blanki do mojego ojca. Pismo to zawierało następujące wyrazy:

„Señor don Enrique!

List ten uwiadomi cię, że Bóg zapewne wkrótce do siebie powoła księcia Velasquez. Prawa szlachty hiszpańskiej nie pozwalają, ażebyś dziedziczył po młodszym bracie, majątek zatem i tytuły spadają na twego syna. Zbyt jestem szczęśliwa, kończąc czterdziesty rok pokuty i mogąc przywrócić mu dostatki, których płochość moja ciebie pozbawiła. Ale w tej chwili oboje jesteśmy już u bram wieczystej chwały, ziemską nie może nas zajmować. Przebacz więc po raz ostatni grzesznej Blance i przyślij nam syna, którym cię niebo obdarzyło. Księżę, przy którego łożu jestem już od dwóch miesięcy, pragnie go widzieć.

Blanka Velasquez”.

Muszę wyznać, że list ten nappełnił radością wszystkich mieszkańców Ceuty, tak dalece kochano mnie i mego ojca, ja jednak dalekim byłem od podzielania powszechnej wesołości. Ceuta była dla mnie całym światem. wychodziłem z niej tylko myślą, ażeby gubić się w marzeniach, jeżeli zaś zapuszczałem kiedy wzrok za okopy na szerokie płaszczyzny zamieszkane przez Maurów, zapatrywałem się na nie jedynie jak na krajobraz. Skoro nie mogłem używać na nich przechadzki, obszerne okolice wydawały mi się stworzone tylko dla oczu. Oprócz tego mniemałem, że nie byłbym w stanie przesiedlić się do innego miejsca. W całej Ceucie nie było żadnego muru, na którym nie byłbym nagryzmoził jakiegoś równania, żadnego zakątka, gdzie nie byłbym oddawał się rozmyśleniom, których wyniki pieściły mój umysł. Wprawdzie czasami dokuczała mi moja ciotka Antonia i jej służąca Marika, ale cóż znaczyły te małe przykrości w porównaniu z roztargnieniami, na jakie byłem skazany. Bez długich rozmyślań, bez rachunków nie pojmowałem szczęścia dla siebie. Takie myśli przychodziły mi do głowy w chwili, gdy miałem opuszczać Ceutę.

Mój ojciec towarzyszył mi do samego brzegu i tam, kładąc ręce na mojej głowie i błogosławiąc mnie, rzekł:

— Synu mój, ujrysz Blankę, już ona nie jest tą zachwycającą pięknnością, która miała stanowić sławę i szczęście twego ojca. Ujrysz rysy poorane wiekiem, połamane pokutą, ale bo i dlategoż tak długo żałowała za błąd, który ojciec jej przebaczył? Co do mnie, nigdy nie miałem do niej żalu. Jeżeli nie służyłem królowi na zaszczytnym stanowisku, to zamiast tego przez czterdzieści lat pośród tych skał przyczyniłem się do szczęścia kilku uczciwych ludzi. Cała ich wdzięczność należy się Blance, często słyszeli o jej cnotach i wszyscy ją błogosławią.

Mój ojciec nie mógł więcej mówić, lzy tłumily mu słowa w piersiach. Wszyscy mieszkańcy Ceuty towarzyszyli memu odjazdowi, ze wszystkich oczu można było wyczytać smutek rozłączenia pomieszany z radością, jaką sprawiła wieść o tak świetnej przemianie mego losu.

Rozwinęliśmy żagle i nazajutrz wylądowaliśmy w porcie Algeciras, skąd udałem się do Kordowy, następnie zaś na nocleg do Andujar. Oberżysta tameczny rozpowiadał mi jakieś nadzwyczajne historie o duchach i upiorach, których wcale nie słuchałem. Przenocowałem u niego i nazajutrz wcześniej wybrałem się w drogę. Miałem z sobą dwóch służących, jeden jechał na przedzie, drugi postępował za mną. Uderzony myślą, że w Madrycie nie będę miał czasu do pracy, dobytek moich tabliczek i zająłem się zwykłymi wyrachowaniami, zwłaszcza zaś tymi, których brakowało jeszcze w moim systemie.

Jechałem na mule, którego równy i wolny krok sprzyjał temu zatrudnieniu. Nie pamiętam, ile czasu w ten sposób strawiłem, gdy nagle mój muł się zatrzymał. Ujrzałem się u stóp szubienicy obciążonej dwoma wisielcami, których twarze zdawały się wykrzywiać i napelniały mnie zgrozą. Obejrzałem się dokoła, ale nie ujrzałem żadnego z moich służących, jałem więc przyzywać ich z całej siły, lecz nadaremnie. Postanowiłem jechać dalej prostą drogą otwierającą się przede mną. Już noc dawno była zapadła, gdy przybyłem do obszernej i dobrze zbudowanej gospody, opuszczonej jednak i próżnej.

Umieściłem muła w stajni, sam zaś wszedłem do izby, gdzie znalazłem resztki wierzchy, mianowicie pasztet z kuropatw, chleb i flaszkę wina z Alikantu. Od Andujar nic

w ustach nie miałem, sądziłem więc, że potrzeba nadawała mi prawa nad pasztetem, który skądinąd pozostawał bez właściciela. Byłem także mocno spragniony, ugasiłem więc pragnienie, wprawdzie może nieco zbyt gwałtownie, gdyż wino uderzyło mi do głowy, ale spostrzegłem się poniewczasie.

W izbie stało dość porządne łóżko, rozebrałem się, położyłem i zasnąłem. Nagle, nie wiem, z jakiego powodu, obudziłem się i usłyszałem zegar bijący północ. Myślałem, że w pobliżu był jakiś klasztor, więc postanowiłem zwiedzić go nazajutrz.

Wkrótce potem doszedł mnie hałas z podwórza; sądziłem, że moi służący powrócili; ale jakież było moje zadziwienie, gdy ujrzałem wchodzącą moją ciotkę Antonię wraz z jej powiernicą Mariką. Ta ostatnia niosła latarnię z dwiema świecami, ciotka zaś moja trzymała zwój papierów w ręku.

— Kochany synowcze — rzekła do mnie — twój ojciec nas tu przysłał, abyśmy ci wręczyły te ważne papiery.

Wziąłem papiery i przeczytałem napis: *Wykazanie kwadratury koła*. Wiedziałem dobrze, że mój ojciec nigdy się nie zajmował tym czczym zagadnieniem. Zadziwiony rozwinąłem papiery, ale wnet z oburzeniem spostrzegłem, że mniemana kwadratura była znaną teorią Dinostrata, popartą dowodzeniem, w którym poznałem rękę mojego ojca, ale bynajmniej jego głowę. W istocie, spostrzegłem, że przytoczone dowody były tylko nędznymi paralogizmami.

Tymczasem moja ciotka, widząc, że nie było siedzenia w całej izbie, usiadła przy mnie. Byłem tak zmartwiony myślą, że mój ojciec mógł popaść w podobne błędy, że nie słuchałem tego wszystkiego, co mi mówiła. Mimowolnie odsunąłem się do ściany, podczas gdy Marika siadła w nogach, wspierając głowę na moich kolanach.

Wtedy odczytałem dowodzenie i czy to wino Alikantu uderzyło mi do głowy, czyli też miałem wzrok oczarowany, słowem, nie pojmuję, jak się to stało, ale znalazłem dowody mniej błędnymi, po trzecim zaś odczytaniu byłem zupełnie przekonany.

Przewróciłem arkusz i znalazłem pasmo cudownych formuł służących do kwadrutowania lub prostowania wszelkiego rodzaju linii krzywych, nareszcie ujrzałem zagadnienie izochronów rozwiązane za pomocą zasad geometrii elementarnej. Zadziwiony, uszczęśliwiony, odurzony nawet, za każdym rzutem oka wołałem:

— Tak jest, mój ojciec uczynił najważniejsze odkrycie!

— W takim razie — rzekła moja ciotka — powinienes mi podziękować za trud, jaki podjęłam, przebywając morze i przynosząc ci te papiery.

Uściskałem ją.

— A ja — przerwała Marika — czyliż także nie przebyłam morza?

Uściskałem i Marikę.

Towarzyszki moje tak silnie ujęły mnie w objęcia, że nie byłem w stanie im się wydrzeć, wprawdzie nie życzyłem sobie tego, gdyż naraz przejęły mnie dziwne uczucia, których dotąd nie znałem. Nowy zmysł obudził się we mnie i na próżno do wytłumaczenia go chciałem zastosować jakąkolwiek teorię. Pragnąłem zdać sprawę z doznawanych wrażeń, ale nie mogłem uchwycić żadnego pojęcia. Nareszcie uczucia moje rozwinęły się w pasmo geometrycznym postępowaniem biegnące w nieskończoność. Zasnąłem i ze zgrozą obudziłem się pod szubienicą, na której spostrzegłem dwóch wykrzywających się wisielców. Taka jest powieść mego życia, do której brak tylko teorii mego systemu, czyli zastosowań matematyki do ogólnego porządku wszechświata. Spodziewam się jednak, że kiedyś dam wam ją poznać, zwłaszcza zaś tej pięknej pani, która zdaje mi się, że ma popęd do nauk ścisłych, niezwykły osobom jej płci. —

Rebeka wdzięcznie odpowiedziała na tę grzeczność, po czym zapytała Velasqueza, co się stało z papierami, które mu jego ciotka była przyniosła.

— Nie wiem, gdzie się podziały — odrzekł geometra — nie znalazłem ich wcale pomiędzy papierami, jakie Cyganie mi przynieśli, i mocno żałuję, gdyż nie wątpię, że przejrawszy powtórnie to mniemane dowodzenie, byłbym natychmiast fałsz odkrył; ale jak to wam już mówiłem, krew grała we mnie zbyt gwałtownie; alikant, te dwie kobiety i nieprzewyciężona senność były zapewne przyczynami mego błędu. Co mnie jednak

zadziwia, to że pismo było ręki mego ojca, mianowicie zaś sposób pisania znaków jemu tylko właściwy.

Uderzyły mnie słowa Velasqueza, zwłaszcza gdy mówił, że nie mógł oprzeć się snowi. Domyślałem się, że musiano mu podać wino podobne do tego, które moje kuzynki przyprawiły mi w wencie podczas pierwszego naszego spotkania, lub też do trucizny, którą kazano mi wypić w podziemiu, a która w istocie była tylko napojem usypiającym.

Towarzystwo rozeszło się. Udając się na spoczynek, natrafiłem na wiele uwag, za pomocą których sądziłem, że zdołam naturalnym sposobem wytłumaczyć wszystkie moje przygody. Takimi myślami zajęty usnąłem.

DZIEŃ DWUDZIESTY SZÓSTY

Całą tę dobę poświęciliśmy spoczynkowi. Rodzaj życia naszych Cyganów i kontrabanda stanowiąca główny sposób ich utrzymania wymagały ciągłej, męczącej zmiany miejsca: z radością więc przepędziłem dzień tam, gdzie stanęliśmy na nocleg. Każdy zajął się nieco swoją powierzchownością, Rebeka nawet dodała niektóre ozdoby do swego stroju i można było rzec, że starała się stać przedmiotem roztargnienia młodego księcia, tym bowiem tytułem odtąd nazywaliśmy Velasqueza.

Wszyscy zeszli się na trawniku ocienionym pięknymi kasztanami i gdy spożyliśmy obiad bardziej wykwintny niż zazwyczaj, Rebeka rzekła, że skoro naczelnik Cyganów jest dziś mniej zatrudniony, możemy więc śmiało prosić go, aby opowiedział dalszą część swoich przygód. Pandesowna nie dał się długo prosić i zaczął w te słowa:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Wstąpiłem wtedy dopiero do szkół, jak wam już mówiłem, gdy wyczerpał wszelkie środki i pozory zwłoki, jakie tylko mogłem wymyślić. Z początku rad byłem, znalazłszy się pośród tylu towarzyszków mego wieku, ale ciągle podległość, w jakiej nas nauczyciele trzymali, wkrótce stała mi się nieznośna. Przyzwyczaiałem się do pieszczot mojej ciotki, do jej tkliwego pobjażania i pochlebiało mi to, gdy sto razy na dzień powtarzała, że mam najlepsze serce. Tu dobre serce na nic się nie przydało, trzeba było ciągle się pilnować lub czuć nad sobą jarzmo. Jednego i drugiego nienawidziłem. Stąd powstała we mnie nieprzewyciężona odraza do czarnych sukienek, którą zawsze okazywałem, płatając im mnóstwo rozmaitych figłów.

Byli między uczniami chłopcy, którzy mieli lepszą pamięć niż serce i którzy z przyjemnością donosili wszystko, co wiedzieli o towarzyszach. Utworzyłem związek przeciw nim i wybryki nasze tak były urządzone, że podejrzenie zawsze padało na tych, którzy go wzniecali. Ostatecznie czarne sukienki zaczęły niecierpieć nas wszystkich: tak oskarżonych, jako też donosicieli.

Nie będę wam rozповідаł małoważnych szczegółów o naszych szkolnych psotach, powiem wam tylko, że w przeciągu czterech lat, przez które ćwiczyłem moją wyobraźnię, figle moje przybierały coraz poważniejszą barwę, nareszcie wynalazłem myśl, zapewne dość niewinną samą w sobie, ale niegodziwą, zważywszy środki, jakich do skutecznego jej użyłem. Mało brakowało, a przypłaciłbym ten wynalazek kilkuletnim więzieniem lub też pozbawieniem wolności na całe życie. Rzecz była następująca:

Pomiędzy teatynami, którzy surowo się z nami obchodzili, żaden nie dał nam uczuć tyle srogości ile ojciec Sanudo, rektor pierwszej klasy. Duchowny ten nie był zły z natury, przeciwnie, był nawet może zbyt czuły i jego ukryte skłonności wcale nie zgadzały się z powołaniem duchownego, tak że Sanudo w trzydziestym roku życia nie zdołał jeszcze nad nimi zapanować.

Bez litości dla siebie samego, stał się nieubłagany dla drugich. Ciągłe poświęcenia, jakie składał na ołtarzu obyczajów, były godne tym większej pochwały, że zdawało się, iż sama natura stworzyła go do stanu całkiem przeciwnego temu, jaki sobie był obrał. Piękny, jak sobie tylko możecie człowieka wyobrazić, na wszystkich kobietach w Burgos sprawiał niesłychane wrażenie, ale Sanudo spotykając tkliwe niewieście wejrzenia spuszczał oczy, marszczył brwi i udawał, że ich nie widzi. Takim był przed laty teatyn ojciec Sanudo.

Tyle jednak zwycięstw zmęczyło jego ducha; zmuszony obawiać się kobiet, nie przedstawiał o nich myśleć i od dawna gnębiony nieprzyjaciel z coraz świeżymi siłami wystę-

powal przed jego wyobraźnią. Nareszcie gwałtownie zapadł na zdrowiu, długo potem nie mógł wrócić do sił, gdy zaś przyszedł do siebie, choroba zostawiła mu niewypowiedzianą drażliwość, objawiającą się zawsze pod postacią zniecierpliwienia. Gniewały go najmniejsze nasze wykroczenia, nasze wymówki lży mu z oczu wyciskały, odtąd ciągle tylko marzył i często chociaż wlepiął oczy w obojętny przedmiot, wzrok jego jednak przybierał tkliwy wyraz, gdy zaś przerywano mu chwile tego zachwycenia, bystro spoglądał, wszelako więcej boleśnie niż srogo.

My zaś zbyt wyuczyliliśmy się śledzić naszych zwierzchników, aby tak znaczna zmiana mogła być ujęć naszej uwagi, niepodobna nam jednak było domyślić się przyczyny, gdy nagle niespodziewany wypadek wskazał nam prawdziwą drogę.

Dla łatwiejszego zrozumienia mnie muszę zacząć nieco wyżej. Dwoma najznakomitszymi rodzinami w Burgos byli hrabiowie de Liria i margrabiowie de Fuen Castilla. Pierwsi należeli do tych, których w Hiszpanii nazywają *agraviados*, to jest pokrzywdzonymi przez nieudzielenie im zasłużonej godności granda. Pomimo to inni grandowie żyją z nimi poufale, jak gdyby w istocie należeli do ich klasy.

Naczelnikiem rodziny Liria był siedemdziesięcioletni starzec nader szlachetnego i uprzejmego sposobu obejścia. Miał dwóch synów, którzy mu poumierali i cały jego majątek spadł na młodą hrabiankę Liria, jedyną córkę jego najstarszego syna.

Stary hrabia, pozbawiony dziedziców swego nazwiska, przyrzekł był rękę wnuczki dziedzicowi margrabiów de Fuen Castilla, który przy tej okoliczności miał przybrać tytuł hrabiego de Fuen de Liria y Castilla. Związek ten ze wszech stron tak dobrany zgadzał się z wiekiem państwa młodych, z ich powierzchownością i charakterem. Oboje więc kochali się serdecznie i stary Liria lubował się, spoglądając na ich niewinną miłość, która przypominała mu szczęśliwe czasy jego młodości.

Przyszła hrabina de Fuen de Liria, chociaż mieszkała w klasztorze Annonciady, codziennie jednak chodziła na obiad do swego dziada i zostawała tam przez cały wieczór w towarzystwie swego narzeczonego. Miała wówczas przy sobie *dueñę mayor* nazwiskiem doña Klara Mendoza, kobietę trzydziestoletnią, nader zającą i wcale nie ponurą, gdyż stary hrabia nie lubił ludzi tego charakteru.

Codziennie panna de Liria z swoją *dueñą* przechodziły obok naszego kolegium, tędy bowiem wypadała im droga do pałacu, ponieważ zaś mieliśmy naówczas chwile wypoczynku, zwykle więc stawaliśmy w oknach lub też słysząc turkot ich powozu, wybiegaliśmy na ulicę.

Pierwsi, którzy przybiegali do okien, często słyszeli jak *doña* Mendoza mówiła do swojej towarzyszki:

— Spójrzjmy, czy nie ma pięknego teatyna.

Było to nazwisko nadane przez pleć niewieścią ojcu Sanudo. W istocie *dueña* patrzyła w niego jak w tęczę, co zaś do młodej hrabianki, ta rzuciła jednakowy wzrok na nas wszystkich, bardziej bowiem przypominaliśmy jej wiekiem margrabię de Fuez y Castilla, lub też starała się wyszukać dwóch krewnych, umieszczonych w naszym kolegium.

Sanudo wraz z innymi zbliżał się do okna, ale jak tylko postrzegł, że kobiety zwracały nań uwagę, zachmurzał czoło i odchodził z pogardą. Uderzyła nas ta sprzeczność: „Ostatecznie — mówiliśmy — jeżeli ma takie obrzydzenie do kobiet, po co ciśnie się do okna, jeżeli zaś pragnie je widzieć, dlaczego odwraca oczy?” Młody jeden uczeń nazwiskiem Veyras, pewnego razu rzekł mi, że Sanudo bynajmniej nie jest już jak dawniej nieprzyjacielem kobiet i że on musi się o tym przekonać. Ten Veyras był najlepszym moim przyjacielem w całym kolegium, czyli, wyraźniej mówiąc, dopomagał mi we wszystkich psotach, których często sam był wynalazcą.

W owym czasie pojawił się romans pod tytułem *Zakochany Fernando*. Autor tego dzieła odmalował w nim miłość tak żywymi barwami, że książka ta była nader niebezpieczna dla młodzieży i nasi przełożeni surowo jej zakazali. Veyras wystarał się o jeden egzemplarz i wsunął go w kieszeń, tak jednak, że widać było większą część. Sanudo spostrzegł i zabrał wzbronioną książkę. Zagroził Veyrasowi najsurowszą karą, jeżeliby kiedykolwiek dopuścił się podobnej winy; ale wieczorem zmyślił jakąś chorobę i nie pokazał się między nami. My zaś naumyślnie dopytywaliśmy się o jego zdrowie. Weszliśmy niespodzianie do jego pokoju i zastaliśmy go zagłębianego w lekturę niebezpiecznego *Fernanda*, z oczyma pełnymi łez, które dowodziły, ile przyjemności sprawiło mu czytanie tej książki.

Sanudo zmieszał się, udaliśmy, że tego nie spostrzegamy i wkrótce otrzymaliśmy nowy dowód wielkiej zmiany w sercu nieszczęśliwego duchownego.

Kobiety hiszpańskie pilnie przestrzegają obowiązków religijnych i za każdym razem wymagają tego samego spowiednika. Nazywają to: *buscar el su padre* Stąd pochodzi, że niektórzy złośliwi żartownisie, widząc dziecko w kościele, pytają czy nie przyszło *buscar el su padre*, to jest szukać swego ojca.

Mieszkancki Burgos rade byłyby spowiadały się przed ojcem Sanudo, ale posępny zakonnik oświadczył, że nie czuje się zdolny do kierowania sumieniem kobiet, wszelako nazajutrz po przeczytaniu nieszczęsnej książki jedna z najpiękniejszych kobiet z miasta prosiła księdza Sanudo, który natychmiast udał się do konfesjonału. Niektórzy ze znajomych winszowali mu dwuznacznie tej zmiany, ale Sanudo z powagą odpowiedział, że nie lęka się nieprzyjaciela, którego od tak dawna już pokonał. Być może, że szanowni ojcowie uwierzyli temu oświadczeniu, ale my, młodzież, wiedzieliśmy, czego się trzymać. Tymczasem Sanudo z każdym dniem coraz więcej zdawał się zajmować tajemnicami, które płeć piękna składała przed jego pokutnym trybunałem. Odtąd często zasiadał do spowiedzi, niektóre kobiety prędko odprowadzał, inne zaś zatrzymywał dłużej, zawsze jednak nie omieszkiał ujrzeć piękną hrabiankę i jej powabną ochmistrzynię, po czym gdy powóz przyjechał, odwracał wzrok z pogardą.

Pewnego dnia, gdy nie nauczywszy się lekcji, doświadczyliśmy całej srogości Sanuda, Veyras tajemniczo wziął mnie na stronę i rzekł:

— Czas jest, abyśmy zemścili się nad przeklętym pedantem za tyle srogich kar i pokut, jakimi zatruwa najpiękniejsze nasze dni. Wynałazłem doskonały figiel, ale trzeba by koniecznie wyszukać młodą dziewczynę podobną z kibici do hrabianki Liria. Wprawdzie Juanita, córka ogrodnika, gorliwie służy nam w psotach, ale do tej nie ma dość dowcipu.

— Kochany Veyrasie — odpowiedziałem — gdybyśmy nawet znaleźli młodą dziewczynę podobną z kibici do hrabianki de Liria, nie pojmuję, jakim sposobem nadamy jej te zachwycające rysy?

— Pod tym względem bądź spokojny — odrzekł mój towarzysz — wiesz, że kobiety nasze podczas postu zwykły nosić zasłony zwane *catafalcos*. Są to falbany z krepy, które spadając jedna na drugą, zasłaniają twarz jak gdyby najdoskonalszą maską. Juanita zawsze się przyda, jeżeli nie do przedstawienia, to przynajmniej do ubrania nowej hrabianki i jej ochmistrzyni.

Veyras tego dnia nic więcej nie powiedział, ale pewnej niedzieli ojciec Sanudo, siedząc w konfesjonale, ujrzał dwie kobiety okryte krepowymi zasłonami, z których jedna usiadła na ziemi, na macie według zwyczaju hiszpańskiego, druga zaś jako pokutnica przed nim uklękała. Ta, która wydawała się młodsza, chociaż przybyła do spowiedzi, nie mogła jednak powstrzymać się od gwałtownego płaczu i łkania. Sanudo, jak mógł, starał się ją uspokoić, ale ona ciągle powtarzała:

— Czcigodny ojcze, zlituj się nade mną, popełniłam grzech śmiertelny.

Sanudo rzekł jej, że dziś nie będzie w stanie otworzyć przed nią duszy i kazał powrócić nazajutrz. Młoda grzesznica oddaliła się, klękała przed ołtarzem, modliła się długo i gorąco, aż nareszcie wyszła z kościoła wraz z towarzyszką.

— Wszelako — rzekł Cygan, sam sobie przerywając — nie bez wyrzutów sumienia rozpowiadam wam te niegodziwe igraszki, których nawet młodość nasza nie zdoła uniewinnić i gdybym nie liczył na wasze pobłażanie, nigdy nie ośmieliłbym się dalej mówić.

Każdy powiedział, co mu się zdało najstosowniejsze do uspokojenia naczelnika, który tak dalej ciągnął swoje opowiadanie:

— Nazajutrz, o tej samej godzinie powróciły obie pokutnice. Sanudo od dawna ich oczekiwał. Młodsza znowu uklękała przy konfesjonale; była nieco spokojniejsza, jednak i tym razem nie obeszło się bez szlochów. Nareszcie srebrnym i dziewiczym głosem wyrzekła te słowa:

— Niedawno temu, czcigodny ojcze, jak serce moje, zgodne z obowiązkami, zda-
wało się na wieki ustalone na drodze cnoty. Przeznaczono mi młodego i szlachetnego
małżonka. Sądziłam, że go Kocham...

Tu znowu łkania się rozpoczęły, ale Sanudo świątobliwymi wyrazy uspokoił młodą
dziewczynę, która tak dalej mówiła:

— Nierozsądna ochmistrzyni zwróciła moją uwagę na zasługi człowieka, do którego
nigdy nie mogę należeć, o którym nigdy nie powinnam myśleć, z tym wszystkim jednak
nie jestem w stanie przezwyciężyć świątokradzkiej namiętności.

Wzmianka o świątokradztwie dała poznać Sanudowi, że chodziło o księdza, może
nawet o niego samego.

— Obowiązkiem twoim — rzekł drżącym głosem — jest ofiara z twojej miłości
złożona małżonkowi przeznaczonemu ci od rodziców.

— Ach, czcigodny ojcze — odrzekła — dlaczegoż nie jest on podobny do człowieka,
którego ukochałam? Dlaczegoż nie ma jego czulego, choć surowego wejrzenia, jego rysów
tak pięknych i szlachetnych, jego wyniosłej postaci?

— Moja panno — przerwał Sanudo — podobna mowa nie przystoi przy spowiedzi.

— Bo też to nie jest spowiedź — odpowiedziała młoda dziewczyna — ale wyznanie.

To mówiąc powstała zapłoniona, złączyła się z towarzyszką i razem wyszły z kościoła.
Sanudo ścigał je wzrokiem i przez cały dzień był zadumany. Nazajutrz zasiadł w kon-
fesjonale, ale nikt się nie pokazał, toż samo i następnego dnia. Trzeciej dopiero doby
pokutnica wróciła z ochmistrzą, uklękła przy konfesjonale i rzekła do Sanuda:

— Mój ojcze, zdaje mi się, że miałam tej nocy objawienie. Rozpacz i wstyd miały
moją duszę. Mój zły duch nastęrczył mi nieszczęsną myśl, porwałam sznurek i okręciłam
go koło szyi. W tej chwili zdało mi się, że ktoś wstrzymywał mi ręce, nagle światło oćmiło
mój wzrok i ujrzałam świętą Teresę, moją patronkę, stojącą przy moim łóżku. „Córko
moja — rzekła do mnie — wyspowiadaj się jutro przed ojcem Sanudo i proś go, aby ci
dał pukiel swoich włosów, który będziesz nosiła na sercu, a który natychmiast powróci
ci łaskę bożą”.

— Odejdź ode mnie — rzekł Sanudo — klęknij u stóp ołtarza i ze łzami błagaj niebo,
aby wyrwało cię z piekielnego obłądzenia. Z mojej strony będę modlił się, wzywając nad tobą
miłosierdzia boskiego.

Sanudo wstał, wyszedł z konfesjonatu i udał się do kaplicy, gdzie aż do wieczora
żarliwie się modlił.

Nazajutrz młoda grzesznica nie pokazała się, ochmistrzyni sama tylko przyszła, klękła
przed konfesjonalem i rzekła:

— Ach, mój ojcze, przychodzę błagać cię o pobłażanie dla młodej nieszczęśliwej,
której dusza bliska jest zatracenia. Utrzymuje ona, że nie przeżyje srogości, z jaką wczoraj
się z nią obszedłeś. Odmówiłeś jej, jak powiada, jakiejś relikwii, które posiadasz. Obląkał
się jej umysł i teraz myśli tylko o zakończeniu życia. Pójdź do siebie mój ojcze, przynieś
te relikwie, o które cię prosiła. Zaklinam cię, nie odmawiaj jej tej łaski.

Sanudo zakrył twarz chustką, wstał, wyszedł z kościoła i wkrótce powrócił. Trzymał
w ręku mały relikwiarz i rzekł, podając go ochmistrzyni:

— Weź, pani, ten kawałek czaszki naszego świętego założyciela. Bulla ojca świętego
przywiązuje do tych relikwii mnogie odpusty i skuteczniejszych żadnych nie mamy. Niech
wychowanica twoja nosi je na sercu i oby Bóg raczył jej dopomóc w powrocie na prostą
drogę.

Dostawszy relikwiarz do naszych rąk otworzyliśmy go w nadziei, że znajdziemy w nim
pukiel włosów, ale oczekiwania nasze były nadaremne. Sanudo, jakkolwiek czuły i łatwo-
wierny, może nawet nieco zbyt próżny, był jednak cnotliwy i nie chciał odstąpić od raz
powziętych zasad.

Po wieczornej lekcji Veyras go zapytał, dlaczego nie wolno księżom wstępować w zwią-
zki małżeńskie.

— Dla nieszczęścia na tym i może potępienia na tamtym świecie — odpowiedział
Sanudo, po czym z surowością zawołał: — Zakazuję ci raz na zawsze zadawać podobne
pytania!

Nazajutrz Sanudo nie poszedł do konfesjonatu. Ochmistrzyni dopytywała się o nie-
go, ale przysłał na swoje miejsce innego duchownego. Jużśmy byli zwątpili o skutku

naszych niegodziwych zamiarów, gdy wtem zdarzył się niespodziewany wypadek, który przewyższył nasze nadzieje.

Młoda hrabianka de Liria na krótki czas przed zamęciem z margrabią de Fuen y Castilla rozchorowała się na zgniłą gorączkę połączoną z nieustającą maligną. Całe miasto Burgos szczerze zajmowało się tymi dwoma znakomitymi domami i wieść o chorobie panny de Liria przeraziła wszystkich. Ojcowie teatyni także dowiedzieli się o tym, wieczorem zaś Sanudo otrzymał następujący list:

„Czcigodny ojcze!

Święta Teresa mocno jest rozgniewana, powiada, że oszukałeś mnie; również nie szczędziła gorzkich wyrzutów dla dońy Mendozy za to, że codziennie przechodziła ze mną obok kolegium teatynów. Święta Teresa kocha mnie daleko więcej niż ty. W głowie się kręci — doświadczam niewypowiedzianych boleści — umieram”.

List ten pisany był drżącą ręką i prawie nieczytelnie. U spodu dodano innym charakterem:

„Biedna moja chora pisze na dzień dwadzieścia podobnych listów. W tej chwili nie jest już w stanie wziąć pióra do ręki. Módl się za nami, szanowny ojcze. Oto jest wszystko, co ci mogę donieść”.

Sanudo nie mógł znieść tego ostatniego ciosu. Odurzony, pomieszany, zrywał się, wchodził, wychodził, pytał, czy radzi jesteśmy, że nam nie daje już lekcji, które zwykle były tak krótkie, że mogliśmy wycierpieć je bez nudów.

Nareszcie szczęśliwie minął kryzys i starania biegłych lekarzy ocaliły dni pięknej hrabianki de Liria. Chora z wolna powracała do zdrowia, Sanudo zaś otrzymał list następującej treści:

„Minęło niebezpieczeństwo, szanowny ojcze, ale choroba dotąd umysłu jeszcze nie opuściła. Młoda osoba co chwila może mi się wymknąć i zdradzić swoją tajemnicę. Racz pomyśleć, czylibyś nie mógł nas przyjąć w twojej celi. Dopiero koło jedenastej zamykają u was bramę, przybędziemy więc, jak tylko mrok zapadnie. Być może, że rady twoje więcej będą skutkowały niż relikwie. Jeżeli taki stan rzeczy potrwa dłużej, i ja dostanę pomieszania zmysłów.

Zaklinam cię w imię Boga, czcigodny ojcze, ratuj sławę dwóch znakomych domów”.

Słowa te tak dalece przeraziły Sanuda, że zaledwie zdołał trafić do własnej celi. Zamknął się, my zaś przyczailiśmy się przy drzwiach, aby usłyszeć, co z sobą pocznie. Naprzód zalał się rzewnymi łzami, po czym jął żarliwie się modlić. Następnie przywołał odźwiernego i rzekł mu:

— Gdyby jakie dwie kobiety przyszły dopytywać się o mnie, nie wpuścisz ich pod żadnym pozorem.

Sanudo nie przyszedł na wieczerzę, przepędził wieczór na modlitwie i około jedenastej usłyszał stukanie do drzwi. Otworzył, młoda dziewczyna wpadła do jego celi i wyrzuciła lampę, która natychmiast zagasła. W tej chwili dał się słyszeć głos przeora przyzywający Sanuda.

Gdy tak mówił naczelnik Cyganów, jeden z jego ludzi przyszedł zdawać mu sprawę z czynności hordy, ale Rebeka zawołała:

— Proszę cię, abys nie przerywał w tym miejscu twego opowiadania. Muszę dziś jeszcze dowiedzieć się, jak Sanudo wybrnął z tak drażliwego położenia.

— Pozwól pani — odrzekł Cygan — abym poświęcił kilka chwil temu człowiekowi, po czym będę mówił dalej.

Pochwaliliśmy jednogłośnie niecierpliwość Rebeki, Cygan zaś wyprawivszy człowieka, który go zatrzymywał, tak dalej swoją rzecz ciągnął:

Dał się więc słyszeć głos przeora przyzywający ojca Sanudo, który zaledwie miał czas zamknąć drzwi na klucz i udać się do swego przełożonego.

Ubliżyłbym waszej przenikliwości, sądząc, że jeszcze nie odgadliście, iż fałszywą Mendozą był Veyras, hrabianką zaś ta sama dziewczyna, którą chciał zaślubić wicekról Meksyku.

Znalazłem się więc od razu zamknięty w celi Sanuda, bez światła, nie pojmując, jakim sposobem rozwiąże się cała ta przygoda, która zupełnie inaczej potoczyła się, aniżeliśmy sobie życzyli. Przekonaliśmy się bowiem, że Sanudo był łatwowierny, ale nie słaby lub świętokradzki. Najstosowniej było zaniechać dalszych figlów i poprzestać na pierwszych. Małżeństwo panny de Liria zawarte w kilka dni potem i szczęście obojga małżonków byłyby dla Sanuda niewytłumaczonymi zagadkami i męczarnią na całe życie; ale pragnęliśmy być świadkami pomieszenia naszego nauczyciela, łamałem więc sobie głowę: czy należało zakończyć całą scenę głośnym wybuchem śmiechu czy też gorzką ironią. Właśnie wahałem się między tymi dwoma zamiarami, gdy usłyszałem, jak otwierano drzwi. Sanudo wszedł, a widok jego bardziej mnie zmieszał, niż się tego spodziewałem. Miał na sobie albę i stulę, w jednej ręce trzymał świeczniki, w drugiej hebanowy krucyfiks. Postawił świecznik na stole, ujął w obie ręce krucyfiks i rzekł:

— Señora, widzisz mnie tu odzianego w święte szaty, które powinny ci przypominać charakter duchowny cechujący moją osobę. Jako kapłan Boga Zbawiciela nie mogę lepiej wypełnić świętych obowiązków mego powołania, niż wstrzymując cię nad samym brzegiem przepaści. Szatan obłąkał twój umysł, szatan wlecze cię na manowce złego. Cofnij twoje kroki, powróć na drogę prawdy, którą los usypał ci kwieciami. Młody małżonek cię wzywa. Przedstawia ci go cnotliwy starzec, którego krew krąży w twych żyłach. Twój ojciec był jego synem; poprzedził on was obojga w krainie duchów czystych i stamtąd ukazuje ci drogę. Wznieś wzrok ku niebieskiemu światłu, wyrwij się z rąk kłamliwego ducha, który otumaniał twoje zmysły, zwracając je między sługi boże, wieczne jego nieprzyjaciele.

Sanudo wyrzekł wiele jeszcze podobnych zdań, które byłyby mnie nawróciły, gdybym był w istocie panną de Liria zakochaną w moim spowiedniku, ale cóż z tego, kiedy zamiast pięknej hrabianki stał przed nim mały łotr, osłoniony spódnicą i kwefem i niewiedzący, jak się to wszystko skończy. Sanudo nabrał tchu, po czym tak dalej mówił:

— Pójdź señora za mną, wszystko jest już przygotowane do twego wyjścia z klasztoru. Zaprowadzę cię do żony naszego ogrodnika i stamtąd pošlemy po Mendozę, ażeby przyszła po ciebie.

Po tych słowach otworzył drzwi, ja zaś natychmiast wyskoczyłem, chcąc czym prędzej uciec, jakoż powinienem był to uczynić, gdy wtem nie wiem jaki zły duch natchnął mnie, że odsłoniłem kwef i rzuciłem się na szyję naszego nauczyciela, mówiąc:

— Okrutny! Chcesz¹⁶⁴ być przyczyną śmierci nieszczęśliwej hrabianki?

Sanudo poznał mnie; z początku osłupiał, potem zalał się rzewnymi łzami i dając znaki najżywszej rozpacz, powtarzał:

— Boże, wielki Boże, zlituj się nade mną! Racz natchnąć mnie i oświecić na drodze zwątpienia! Panie w Trójcy jedyny, cóż mam teraz począć?

Litość zdjęła mnie na widok biednego nauczyciela w tym stanie, rzuciłem mu się do nóg, błagając go o przebaczenie i przysięgając, że z Veyrasem święcie dochowamy mu tajemnicę.

Sanudo podniósł mnie i zanosząc się od łez, rzekł:

— Nieszczęśliwy chłopcze, możesz¹⁶⁵ mniemać, żeby obawa okazania się śmiesznym mogła przyprowadzić mnie do tej rozpacz? To ty jesteś zgubiony i nad tobą ja płacę. Nie lękałeś się tego zbecześcić, co nasza wiara ma w sobie najświętszego. Wystawiłeś na szyderstwo święty trybunał pokuty, obowiązkiem moim jest zaskarżyć cię przed inkwizycją, gdzie więzienie i katusze będą twoim udziałem.

Po czym tuląc mnie do piersi z najżywszą czułością, dodał:

¹⁶⁴chcesz — inaczej: czy chcesz. [przypis edytorski]

¹⁶⁵możesz — inaczej: czy możesz. [przypis edytorski]

— Dziecię moje, jeszcze nie rozpaczaj; być może zdołam uzyskać to, iż nam zostawią twoje ukaranie, wprawdzie będzie ono okropne, ale nie wyrwie zgubnego wpływu na całe twoje życie.

To powiedziawszy, Sanudo wyszedł, zamknął drzwi na klucz i zostawił mnie w osłupieniu, które możecie sobie wyobrazić, a którego nie będę nawet starał się wam opisywać. Myśl o zbrodni dotąd nie przedstawiła się przed naszymi umysłami i uważaliśmy nasze świętokradzkie wynalazki za niewinne psoty. Zagrożające mi kary pograżyły mnie w odrętwienie, które nie pozwalało mi nawet płakać. Nie wiem, jak długo zostawałem w tym stanie, gdy drzwi się otworzyły. Ujrzałem wchodzącego prefekta z kilku zakonnikami i dwoma ludźmi, którzy ujęli mnie pod ręce i zaprowadzili przez nie wiem ile korytarzy do oddalonej izby. Rzucono mnie na podłogę i zatrzęsnięto za mną drzwi na podwójne rygle.

Niebawem powróciłem do zmysłów i zacząłem rozpatrywać się w moim więzieniu. Księżyc przez żelazne kraty okna oświecał izbę; spostrzegłem mury pokryte różnymi napisami pokreślonymi węglem i w kącie garść słomy.

Okno moje wychodziło na cmentarz. Trzy trupy owinięte w całuny i złożone na noszach leżały pod przysionkiem. Widok ten przestraszył mnie; nie śmiałem otworzyć oczu ani na izbę, ani na cmentarz.

Wkrótce usłyszałem stąpanie na cmentarzu i ujrzałem wchodzącego kapucyna z czterema grabarzami. Zbliżyli się do przysionku i kapucyn rzekł:

— To ciało margrabiego Valornez: umieścicie w izbie do balsamowania, co zaś do tych dwóch chrześcijan, wrzucicie ich w świeży dół wykopany wczoraj.

Zaledwie kapucyn dokończył mówić te słowa, usłyszałem przeciągły jęk i trzy ohydne widma pokazały się na murze cmentarza.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, człowiek, który pierwszy raz nam przeszkodził, znowu przyszedł zdawać mu sprawę z czynności, ale Rebeka, ośmielona poprzednim powodzeniem, odezwała się z powagą:

— Senor naczelniku, muszę się dziś koniecznie dowiedzieć, co znaczyły te trzy widma, inaczej przez całą noc nie zasnę.

Cygan przyrzekł zadość uczynić jej żądaniu; w istocie nieobecność jego krótko trwała; powrócił i tak dalej mówił:

Powiedziałem wam, że trzy ohydne widma pokazały się na parkanie cmentarza. Zjawiska te, wraz z towarzyszącym im przeciągłym jękiem, przeraziły czterech grabarzy i naczelnika ich, kapucyna. Wszyscy uciekli, krzycząc bez miłosierdzia. Co do mnie, także przeląknęłam się, ale z zupełnie odmiennym skutkiem, gdyż zostałam jakby przykuty do okna, odurzony i prawie bez zmysłów.

Ujrzałem wtedy, jak dwa widma zeskakiwały z parkanu na cmentarz i podawały ręce trzeciemu, które zdawało się złączyć z większą ostrożnością. Następnie pojawiły się inne widma i złączyły z pierwszymi, tak że ich było razem od dziesięciu do dwunastu. Natenczas widmo najbardziej ociężałe, które z trudnością zdołało zleźć z parkanu, dobyło latarnię spod białego całunu, zbliżyło się do przysionka i uważnie oglądając trzy trupy rzekło do towarzyszy:

— Moi przyjaciele, oto jest trup margrabiego Valornez; widzieliście, jak ze mną postąpili niegodni moi koledzy. Z tym wszystkim każdy z nich mówił jak głupiec, utrzymując, że margrabia umarł na puchlinę wodną w piersiach. Ja tylko jeden, ja, doktor Sangro Moreno miałem słusność, dowodząc, że to była *angina polyposa*, znana wszystkim uczonym lekarzom. Wszelako zaledwie wymówiłem nazwę *angina polyposa*, gdy widzieliście, jak się skrzywili moi szanowni koledzy, których nie mogę inaczej mianować jak osłami. Widzieliście, jak wzruszali ramionami, odwracali się do mnie tyłem, jak gdybym był niegodnym członkiem ich zgromadzenia. Ach, zapewne, doktor Sangro Moreno nie jest stworzony do ich towarzystwa. Oślarze Galicji i mulnicy Estremadury, oto są ludzie, którzy powinni by ich prowadzić i przekonywać. Jednak niebo jest sprawiedliwe. Przeszłego roku między bydłem panowała nadzwyczajna śmiertelność, jeżeli zaraza pokaże się i tego

roku, bądźcie pewni, że żaden z moich kolegów jej nie ujdzie. Natenczas doktor Sangro Moreno zostanie panem pola bitwy, wy zaś, drodzy moi uczniowie, zatkniecie na nim porzecz medycyny chemicznej. Widzieliście, jak ocaliłem hrabiankę Liria za pomocą prostej mieszaniny fosforu i antymonu. Półmetale i mądre ich kombinacje: oto są potężne środki mogące wystąpić do walki i zwyciężyć choroby wszelkiego rodzaju. Nie wiercie w skutki żadnych ziół lub korzeni, które dobre są tylko na paszę dla bydła i wszystkich moich kolegów.

Byliście świadkami, drodzy uczniowie, próśb, jakie zanosilem do margrabiny Valornez, aby mi tylko koniec lancetu pozwoliła zapuścić w jasnie wielmożny żołądek jej małżonka, ale margrabina, idąc za namowami moich nieprzyjaciół, wzbronila mi pozwolenia i musiałem szukać innych środków, zanim znalazłem możliwość złożenia oczywistych na moją stronę dowodów.

Ach, jakże gorzko żałuję, że jasnie wielmożny margrabia nie może być obecny przy dysekcji własnego ciała, z jakąż rozkoszą pokazałbym mu zarody hydatyczne i polipowe, zaczynające się w żołądku i rozchodzące po całym ciele aż do larynksu¹⁶⁶!

Ale co mówię? Skąpy ten kastylijczyk, obojętny na postęp nauki odmawia nam tego, czego sam wcale nie potrzebuje. Gdyby margrabia miał być najmniejszy pociąg do sztuki lekarskiej, byłby nam zapisał swoje płuca, wątrobę i wszystkie wnętrzości, które na nic już przydać mu się nie mogą. Ale nie, ani pomyślał o tym i teraz musimy z narażeniem życia gwałcić przybytek śmierci i klócić spoczynek umarłych.

Mniejsza o to, kochani uczniowie, im więcej napotykamy przeszkód, tym większą w przewyciężeniu ich zdobędziemy chwałę. Odwagi więc; czas już raz dopełnić tego wielkiego przedsięwzięcia. Po trzykrotnym gwizdnięciu towarzysze wasi pozostający z drugiej strony parkanu, podadzą drabinę i natychmiast porwiemy jasnie wielmożnego margrabiego; powinien on sobie wieszować, że zmarł na tak rzadką chorobę, jak również, że wpadł w ręce ludzi, którzy od razu ją poznali i oznaczyli właściwą nazwą.

Za kilka dni znowu tu powrócimy po pewnego znakomitego nieboszczyka zmarłego wskutek... ale sza, cicho, nie należy o wszystkim głośno mówić.

Gdy doktor skończył mowę, jeden z jego uczniów gwizdnął trzy razy i ujrzałem, jak spuszczano z parkanu drabinę. Następnie owiązano sznurami trupa margrabiego i przeciągnięto go na drugą stronę. Pozdejmowano drabiny i widma poznikały. Gdy zostałem sam, zacząłem szczerze śmiać się z pierwszej mojej bojaźni.

Tu muszę was uwiadomić o szczególnym sposobie grzebania umarłych używanym w niektórych klasztorach hiszpańskich i sycylijskich. Zwykle urządzają w tym celu małe, ciemne jaskinie, gdzie jednak sztucznie wydrążonymi otworami powietrze szparko dochodzi. Wtedy składają w nich te ciała, które pragną zachować od zniszczenia — ciemność chroni je od robaków, powietrze zaś wysusza. Po sześciu miesiącach otwierają jaskinię. Jeżeli operacja się uda, mnisi w uroczystej procesji idą donieść o tym rodzinie. Następnie ubierają ciało w kapucyński habit i umieszczają w podziemiach przeznaczonych, jeżeli nie dla zupełnie świętych nieboszczyków, to przynajmniej dla posądzonych o świętość.

W tych klasztorach orszak towarzyszy pogrzebowi tylko do bramy cmentarza, po czym braciszkwowie odbierają ciało i postępują z nim wedle rozkazu przełożonego. Zwykle ciało przynoszą wieczorem, przez noc przełożeni się naradzają, nad rankiem dopiero przystępują do pogrzebania, do wielu bowiem ciał sztuka zachowania nie da się zastosować.

Kapucyni chcieli zasuszyć margrabiego de Valornez i właśnie mieli się tym zająć, gdy widma rozproszyły grabarzy, którzy pokazali się dopiero przed świtem, postępując cichaczem i trzymając się jeden drugiego. Wtedy strach ogromny padł na nich, gdy ujrzeli, że ciało margrabiego znikło. Osądzili, że bez wątpienia diabeł musiał je porwać.

Niebawem zbiegli się wszyscy zakonnicy uzbrojeni w kropidła, kropiąc, egzorcyzmując, wrzeszcząc wniebogłosy. Co do mnie, padałem ze znużenia, rzuciłem się więc na słomę i wkrótce zasnąłem.

Nazajutrz pierwsza moja myśl była o karze, jaką mi gotowano i o sposobach uniknięcia jej. Veyras i ja tak dalece przyzwyczailiśmy się zakradać do spiżarni, że wdrapywanie się na mury przychodziło nam z wszelką łatwością. Umieiliśmy także wysadzać kraty z okien i zasadzać je na powrót bez żadnego śladu. Dobyłem noża z kieszeni i zacząłem wyjmować

¹⁶⁶larynks (z łac.) — przelyk. [przypis edytorski]

gwoździe z okna. Tym sposobem postanowiłem obruszyć jedną kratę. Pracowałem bez odetchnięcia aż do południa. Natenczas otworzyły się drzwi mego więzienia i poznałem twarz braciszka, który nam usługiwał w refektarzu. Podał mi kawał chleba i dzban wody i zapytał, czy nie potrzebuję czegoś więcej. Poprosiłem go, aby poszedł ode mnie do ojca Sanudo i zaklął go o udzielenie mi pościeli; słusznie bowiem było, ażebym wycierpiał karę, ale nie należało porzucać mnie w plugastwie.

Uznano rację mego wniosku, przysłano mi, czego żądałem i dołączono nawet jakieś mięso na zimno, ażebym nie zasłabł z wycieńczenia. Zapytałem, kiedy chciano rozpocząć moją karę. Braciszek odpowiedział mi, że nie wie, że jednak zwykle zostawiano trzy dni do rozważki. Nie potrzebowałem więcej i zupełnie się uspokoiłem.

Użyłem wody, którą mi przyniesiono do odwilżania muru i praca moja z szybkością postępowała. Trzeciego poranka krata z łatwością dała się wyjmować. Wtedy podarłem na szmaty koldrę i prześcieradła, uwiązałem linę, która wygodnie mogła służyć zamiast drabiny sznurowej i oczekiwałem nocy, aby skutecznie ucieczkę. W istocie, nie miałem czasu do stracenia, gdyż braciszek doniósł mi, że nazajutrz miał się rozpocząć proces sądu złożonego z teatynów pod przewodnictwem członka świętej inkwizycji.

Nad wieczorem znowu przyniesiono ciało okryte czarnym sukniem ze srebrnymi frędzlami; domyśliłem się, że musiał to być ten znakomity pan, o którym wspominał Sangro Moreno.

Noc już była zapadła, nastąpiło głębokie milczenie, wyjąłem kratę, przywiązałem drabinkę i miałem zaczynać schodzić, gdy spostrzegłem te same widma na murze. Byli to, jak możecie się domyślić, uczniowie doktora. Poszli prosto do znakomitego nieboszczyka, unieśli go, nie tykając wszakże sukna ze srebrnymi frędzlami. Skoro odeszli, otworzyłem okno i spuściłem się, jak najszczęśliwiej. Następnie chciałem oprzeć o mur pierwsze z brzegu tragi¹⁶⁷, by dostać się na drugą stronę.

Właśnie stawiałem nogę na pierwszym szczeblu, gdy posłyszałem, że otwierano bramę. Czym prędzej uciekłem do przysionka, położyłem się na noszach, przykryłem sukniem z frędzlami, podnosząc jednak jeden róg, abym mógł widzieć, co się dalej stanie.

Naprzód wszedł jakiś koniuszy, cały czarno ubrany, z pochodnią w jednej, a szpadą w drugiej ręce. Za nim postępowała służba odziana w żałobne szaty, nareszcie dama niezwyklej piękności, od głowy do stóp osłonięta czarną krepą.

Piękna zapłakana zbliżyła się o kilka kroków ode mnie i padła na kolana, w te słowa zaczęła gorzkie narzekania:

— O drogie szczątki najukochańszego z mężów, dlaczegoż nie mogę, jak druga Artemizja, ze łzami mymi pomieszać waszych popiołów? Napój ten krążyłby z moją krwią i ożywił to serce, które zawsze biło tylko dla ciebie, ukochany mężu; ale ponieważ wiara zabrania mi posłużenia ci za żywy grobowiec, pragnę przynajmniej wyrwać cię ogólnemu prochowi leżących tu nieboszczyków, pragnę każdego dnia rzewnymi łzami zlewać kwiaty wyrosłe na twoim grobie, gdzie ostatnie moje westchnienie wkrótce połączy nas razem. —

To powiedziawszy, dama obróciła się ku koniuszemu ze słowami:

— Don Diego, każ wziąć ciało twego pana i odnieść je do ogrodowej kaplicy.

Natychmiast czterech barczystych służących porwało nosze w myśli, że niosą umarłego, jakoż niezupełnie mylili się, gdyż w istocie byłem na pół umarły z przestachu.

Gdy Cygan doszedł do tej części swych przygód, dano mu znać, że sprawy hordy wymagały jego obecności. Opuścił nas i już go więcej tego dnia nie widzieliśmy.

DZIEŃ DWUDZIESTY SIÓDMY

Następnego dnia jeszcze zostaliśmy na miejscu. Cygan miał czas wolny; Rebeka skorzystała z pierwszej sposobności i prosiła o dalszą część przygód; naczelnik chętnie skłonił się do jej żądań i zaczął w te słowa:

¹⁶⁷tragi — nosze, tu: mary (do przenoszenia ciał zmarłych). [przypis edytorski]

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Podczas gdy mnie unoszono, wydarłem mały otwór w pokrywającym mnie suknie. Spostrzegłem, że dama wsiadła do czarno pokrytej lektyki, koniuszy jechał obok niej konno, służący zaś przemieniali się dla tym prędszego zdążania.

Wyszliśmy z Burgos, nie pamiętam przez którą bramę, i postępowaliśmy około godziny, po której zatrzymaliśmy się u wejścia do ogrodu. Zaniesiono mnie do pawilonu i złożono pośród wielkiej komnaty wybitej czarnym kirem i słabo oświetlonej kilkoma lampami.

— Don Diego — rzekła dama do swego koniuszego — zostaw mnie samą, pragnę sama płakać nad tymi ukochanymi szczątkami z którymi boleść moja wkrótce mnie połączy.

Gdy koniuszy odszedł, dama usiadła przede mną i rzekła:

— A tyranie, tu cię więc nareszcie twoja nieubłagana wściekłość doprowadziła! Popępiłeś nas bez wysłuchania: jakże teraz odpowiesz przed strasliwym trybunałem wieczności?

W tej chwili wpadła druga kobieta na kształt furii, z rozpuszczonym włosom i sztyyletem w ręku:

— Gdzie są — zawołała — zwłoki tego potwora pod ludzką postacią? Dowiem się, czy miał wnętrzności, rozerwę je, dobdę to nielitościwe serce, rozszarpie je własnymi rękami! Ha! Nadeszła chwila zemsty!

Osądziłem, że nadszedł czas oznajmienia tym paniom, z kim miały do czynienia. Wydobylem się spod sukna i padając do nóg drugiej damy, zawołałem:

— Pani, miej litość nad biednym studentem, który przed różgami skrył się pod to sukno!

— Nieszczęśliwy chłopcze — rzekła dama — cóż się stało z ciałem księcia Sidonii?

— Tej nocy — odpowiedziałem — przed kilkoma godzinami porwali go uczniowie doktora Sangro Moreno.

— Sprawiedliwe nieba! — przerwała dama — musiał poznać, że księżę został otruty! Jestem zgubiona!

— Nie lękaj się, pani — odpowiedziałem — doktor nigdy nie ośmielił się wyznać, że porywa trupy z cmentarza kapucynów, ci zaś ostatni, przypisując diabłu te sprawy, nie zechcą przyznać się, że szatan nabrał takiej mocy w ich świętym schronieniu.

Wtedy dama ze sztyyletem, spojrzawszy na mnie surowo, rzekła:

— Ale ty, chłopcze, kto nam zaręczysz, że potrafisz milczeć?

— Ja — odpowiedziałem — miałem być dziś sądzonym przez juntę teatynów pod przewodnictwem członka inkwizycji. Bez wątpienia byłbym skazany na tysiąc różg. Racz więc, pani, ukrywając mnie przed światem, zyskać pewność, że dochowam tajemnicy.

Dama ze sztyyletem zamiast dać odpowiedź, podniosła jedną deskę w kącie komnaty i dała mi znak, abym zszedł do podziemia. Posłuchałem jej rozkazu i podłoga zamknęła się za mną.

Schodziłem zupełnie ciemnymi schodami prowadzącymi do równie ciemnego podziemia. Zawadziłem o słup, poczułem łańcuchy pod ręką, nogami zaś namacałem kamień grobowy z krzyżem. Wprawdzie smutne te przedmioty bynajmniej nie zachęcały do snu, jednak byłem w owym szczęśliwym wieku, gdy znużenie przewycięża wszelkie inne względy. Rozciągnąłem się więc na tym grobowym marmurze i niebawem głęboko usnąłem.

Nazajutrz, obudzwszy się, spostrzegłem, że moje więzienie oświetla lampa zawieszona w pobocznym podziemiu, oddzielonym od mego żelazną kratą. Wkrótce dama ze sztyyletem pokazała się u kraty i złożyła koszyk nakryty serwetą. Chciała coś mówić, ale lży tamowały jej głos. Oddaliła się więc, dając mi znakami do zrozumienia, że miejsce to budziło w niej strasliwe wspomnienia. Znalazłem w koszu obfite zapasy i kilka książek. Różgi przestały mnie niepokoić, byłem pewny, że nie spotkam się z żadnym teatynem, dwie te zatem uwagi sprawiły, że dzień upłynął mi dość przyjemnie.

Następnego dnia młoda wdowa przyniosła mi posiłek, ta również chciała mówić, ale zabrakło jej siły, odeszła więc, nie mogąc wyrzec ani słowa.

Nazajutrz znowu powróciła, w jednej ręce trzymała koszyk, w drugiej zaś krucyfiks. Podąła mi koszyk przez kratę, po czym oparła krucyfiks o ścianę, uklękła i w te słowa zaczęła się modlić:

— Wielki Boże! Pod tym marmurem spoczywają zwłoki zamordowanej drogiej mi istoty. Dziś jest ona już zapewne między aniołami, których była obrazem na ziemi i błaga Twego miłosierdzia dla okrutnego zabójcy, dla tej, która zemściła się za jej śmierć i dla nieszczęśliwej, którą los przeznaczył na mimowolną współwinowajczynię i ofiarę tyłu okropności.

Po tych słowach dama cichym głosem, ale z wielką żarliwością modliła się dalej. Wreszcie powstała, zbliżyła się do kraty i uspokojona nieco, rzekła do mnie:

— Młody mój przyjacielu, powiedz, czy ci czego nie brakuje i w czym możemy ci usłużyć.

— Pani — odpowiedziałem — mam ciotkę, nazwiskiem Dalanosa, która mieszka obok teatynów. Rad bym, aby jej doniesiono, że znajduję się w bezpiecznym miejscu.

— Podobne zlecenie — rzekła dama — mogłoby nas narazić, przyrzekam ci jednak, że pomyślę nad sposobem uspokojenia twojej ciotki.

— Jesteś pani aniołem dobroci — mówiłem — i mąż, który uczynił cię nieszczęśliwą, musiał być potworem.

— Mylisz się, mój przyjacielu — odrzekła dama. — Książę Medina Sidonia był najlepszym i najłagodniejszym z ludzi.

Nazajutrz druga dama przyniosła mi posiłek. Tym razem wydała mi się mniej znękana lub też więcej panią samej siebie.

— Moje dziecko — rzekła — byłam osobiście u pani Dalanosa; widać, że ta kobieta kocha cię jak własnego syna. Czy nie masz już rodziców?

Odpowiedziałem, że w istocie w pierwszych dniach życia utraciłem matkę i że nieszczęśliwym trafem, wpadłszy w kałamarz mego ojca, zostałem na wieki wygnany z jego domu. Dama żądała, abym jej wytłumaczył te słowa. Opowiedziałem jej moje przygody, które wywołały uśmiech na jej usta.

— Zdaje mi się — rzekła — żem się roześmiała, co od dawna już mi się nie przytrafiło. I ja miałam syna, który spoczywa pod tym grobowcem. Rada bym w tobie go odzyskać. Byłam mamką księżny Sidonia, jestem bowiem wiejskiego pochodzenia, ale mam serce, które umie kochać i nienawidzić; wierzaj mi zatem, że osoby mego charakteru zawsze są coś warte.

Podziękowałam damie, zapewniając ją, że do grobu zachowam dla niej uczucia syna.

Tym sposobem upłynęło kilka tygodni i obie damy coraz bardziej do mnie się przyzwyczajały. Mamka postępowała ze mną jak z synem, księżna zaś była dla mnie prawdziwą siostrą. Ta ostatnia często kilka godzin przepędzała w podziemiu.

Pewnego dnia, gdy wydała mi się mniej smutna niż zwykle, ośmieliłem się prosić ją, aby mi opowiedziała swoje nieszczęścia. Długo opierała się, wreszcie uległa moim naleganiom i zaczęła w te słowa:

Historia księżnej Medina Sidonia

Jestem córką jedynaczką don Emmanuela de Val Florida, pierwszego sekretarza stanu, przed niedawnymi czasy zmarłego, a zaszczyconego względami nie tylko swego władcy, ale jak mi mówiono, kilku królów sprzymierzonych z naszym potężnym monarchą. Dopiero w ostatnich latach jego życia poznałam tego zacnego człowieka.

Przepędziłam młodość w Asturii, przy matce mojej, która rozłączywszy się z mężem po kilku latach małżeńskiego pożycia, mieszkała u swego ojca, margrabiego Astorgas, którego była jedyną dziedziczką.

Nie wiem, jakim sposobem matka moja straciła miłość swego małżonka, pamiętam tylko, że długie cierpienia jej życia wystarczały na odpokutowanie za najstraszliwsze przewinienia. Smutek ogarnął całą jej istotę. Łzy błyszczały w każdym jej spojrzeniu, boleść w każdym uśmiechu, snu nawet nie miała spokojnego. Łkania i westchnienia ciągle go przerywały.

Wszelako rozłączenie nie było zupełne. Moja matka często odbierała listy od swego męża i natychmiast przysyłała mu odpowiedzi. Dwa razy odwiedziła go w Madrycie, ale

serce małżonka było dla niej zamknięte na zawsze. Margrabina miała duszę tkliwą i potrzebującą kochania, całe więc przywiązanie zwróciła na ojca i uczucie to, podniesione aż do egzaltacji, osłodziło nieco gorycz długich jej zmartwień.

Co do mnie, nie umiem nazwać uczucia, jakie moja matka mi okazywała. Kochała mnie bez wątpienia, ale można było rzec, że lękała się mieszać do mego przeznaczenia. Nie tylko, że nie udzielała mi żadnych nauk, ale nie śmiała w niczym mi radzić. Być może, że doświadczając jakichś wyrzutów sumienia, nie czuła się godna do prowadzenia córki. Opuszczenie, w jakim od pierwszych lat życia zostawałam, byłoby zapewne pozbawiło mnie korzyści dobrego wychowania, gdybym nie miała przy sobie Giraldy¹⁶⁸, naprzód mamki, następnie mojej ochmistrzyni. Znasz ją, wiesz, że posiada duszę silną i umysł nader wykształcony. Niczego nie zaniedbała, aby tylko zapewnić mi szczęście na przyszłość, ale los nieublagany zawiódł jej nadzieje.

Mąż Giraldy, Pedro Giron¹⁶⁹, znany był jako człowiek charakteru dzielnego, ale dwuznacznego. Zmuszony porzucić Hiszpanię, popłynął do Ameryki i nie dawał o sobie żadnych wieści. Giralda miała z nim tylko jednego syna, który był moim mlecznym bratem. Było to dziecię nadzwyczajnej piękności, co spowodowało, że nazwano go Hermostem. Nieszczęśliwy, niedługo cieszył się życiem i tym nazwiskiem. Jedne piersi nas karmiły i często spoczywaliśmy w tej samej kołysce. Zżyłość wzrastała między nami aż do siódmego roku naszego życia. Wtedy Giralda osądziła, że nadszedł czas powiadomienia syna o różnicy naszych stanów, i o rozdziale, jaki los położył między nim a młodą jego przyjaciółką.

Pewnego dnia, gdyśmy zapuścili się w jakąś sprzeczkę dziecinną, Giralda przywołała swego syna i rzekła mu surowo:

— Proszę cię, abys nie zapominał, że panna de Val Florida jest twoją i moją panią i że oboje jesteście tylko pierwszymi służącymi jej domu.

Hermosto posłuchał tych słów; odtąd ślepo wypełniał wszelkie moje żądania, starał się nawet odgadywać je i uprzedzać. To nieograniczone posłuszeństwo zdawało się mieć dla niego niewypowiedziany urok, ja zaś cieszyłam się, widząc go tak dla siebie powolnym. Naówczas Giralda spostrzegła, że nowy ten sposób wzajemnego obejścia, narażał nas na inne niebezpieczeństwa, postanowiła więc rozłączyć nas, gdy tylko skończymy po trzynastu lat. Sądząc, że tym środkiem położy granice powstającemu uczuciu, przestała o nas myśleć i ku czemu innemu zwróciła uwagę.

Giralda, jak wiesz, kobieta z wykształconym umysłem, zawczasu zaznajomiła nas z dziełami kilku znakomitych autorów hiszpańskich i udzieliła nam pierwszych pojęć o historii; chcąc także wykształcić w nas rozsądek, kazała nam tłumaczyć się z tego, co czytaliśmy i pokazywała, jakim sposobem należy zastanawiać się nad wypadkami.

Zwykle dzieci, czytając historię, z namiętnością przywiązują się do osób odgrywających najświetniejsze role. W takich razach mój bohater natychmiast stawał się bohaterem mego towarzysza, gdy zaś zmieniałam przedmiot mego uwielbienia, Hermosto z tymże samym zapałem podzielał moje zdanie.

Przyzwyczaiłam się tak dalece do uległości Hermosta, że najmniejszy opór z jego strony byłby niesłychanie mnie zadziwił; ale nie było się czego lękać, ja sama musiałam ograniczyć moją władzę albo też przezornie jej używać.

Pewnego dnia zachciało mi się pięknej muszli, którą spostrzegłam na dnie czystej, ale głębokiej wody. Hermosto rzucił się i omal nie utonął. Drugiego razu złamała się pod nim gałąź, gdy chciał wybrać gniazdo, którego żądałam. Upadł na ziemię i mocno się potłukł. Odtąd z większą przezornością oświadczałam moje życzenia, ale zarazem znajdowałam, że pięknie było mieć taką władzę, a jednak jej nie nadużywać. Był to, jeżeli sobie dobrze przypominam, pierwszy przejaw mojej miłości własnej; odtąd, zdaje mi się, nieraz byłabym mogła czynić podobne spostrzeżenia.

Tak nam upłynął trzynasty rok życia. W dniu, w którym Hermosto go ukończył, matka rzekła mu:

¹⁶⁸ *Giralda* — w innym oprac. tegoż tłum.: Girona. [przypis edytorski]

¹⁶⁹ *Pedro Giron* — imię i nazwisko męża mamy panny de Val Florida dodane za innym oprac. tegoż tłum. [przypis edytorski]

— Synu mój, dziś obchodziliśmy trzynastą rocznicę twego urodzenia. Nie jesteś już dzieckiem i nie możesz tak poufale zbliżać się do twojej pani. Pożegnaj się z nią, jutro bowiem odjedziesz do Nawarry, do twego dziadka.

Giralda jeszcze nie była dokończyła tych słów, gdy Hermosito wpadł w gwałtowną rozpacz. Rozplakał się, zemdlął, odzyskał zmysły, aby znowu zalewać się łzami. Co do mnie, bardziej zajmowałam się kojeniem jego żalu aniżeli podzieleniem zmartwienia. Uważałam go za istotę zupełnie zależącą ode mnie, nie dziwiłam się więc jego rozpacz, ale bynajmniej nie okazałam mu wzajemności. Wreszcie byłam jeszcze zbyt młoda i zbyt przyzwyczajona do niego, aby jego nadzwyczajna piękność mogła być sprawić na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

Giralda nie należała do tych osób, które można było wzruszyć łzami, nie zważała więc na żal Hermosita i gotowała wszystko do planowanej podróży. Ale po dwóch dniach mulnik, któremu powierzyła była syna, przyszedł zafrasowany z oznajmieniem, że przechodząc przez las, odstąpił mulów na pięć minut i wróciwszy, nie znalazł więcej już jej syna, że wołał go i szukał na próżno i że bez wątpienia wilcy go pożarli. Giralda była więcej zdziwiona niż zmartwiona.

— Zobaczycie — rzekła — że mały łotr wkrótce do nas powróci.

W istocie, nie omyliła się. Niebawem ujrzelśmy naszego zbiega. Hermosito rzucił się matce do nóg, mówiąc:

— Urodziłem się, ażeby służyć paninie de Val Florida i umrę, jeżeli mnie od niej oddalą.

W kilka dni potem Giralda otrzymała list od męża, o którym dotąd nie miała żadnych wiadomości. Pisał do niej, że w Veracruz zebrał znaczny majątek, dodając, że rad by mieć syna przy sobie, jeżeli ten dotąd zostawał przy życiu. Giralda, pragnąc przede wszystkim oddalić syna, nie omieszkła skorzystać z tej sposobności. Hermosito, od chwili swego powrotu, nie mieszkał już w zamku, ale w małej wiosce, którą posiadaliśmy nad brzegiem morza. Pewnego poranka matka przyszła do niego i zmusiła go, że wsiadł do rybackiej łódki, której sternik zobowiązał się odwiedzić go do stojącego w pobliżu amerykańskiego okrętu. Hermosito wsiadł na okręt, ale podczas nocy rzucił się w morze i wplaw przypłynął do brzegu. Giralda gwałtem zmusiła go do powrotu. Były to poświęcenia, jakie czyniła własnemu obowiązkowi: łatwo było dostrzec, ile ją kosztowały.

Wszystkie te wypadki, które ci opowiadam, bardzo szybko po sobie następowały, po czym nastaly inne, daleko smutniejsze. Mój dziad rozchorował się; matka moja, od dawna trawiona powolną gorączką, zaledwie miała dość siły do pielęgnowania ostatnich jego chwil i oddała duszę wraz z duchem margrabiego Astorgas.

Lada dzień oczekiwano przybycia mego ojca do Asturii, ale król żadną miarą nie chciał go puścić od siebie i powiadają, że stan spraw państwa sprzeciwiał się jego oddaleniu. Margrabia de Val Florida w pochlebnych wyrazach napisał list do Girdaldy, polecając jej, aby mnie jak najspieszniej przywiozła do Madrytu. Mój ojciec przyjął w swoją służbę wszystkich domowników margrabiego Astorgas, którego byłam jedyną dziedziczką. Urządziwszy mi więc świetny orszak, wybrali się ze mną w drogę. Zresztą córka sekretarza stanu może być w całej Hiszpanii pewna jak najlepszego przyjęcia, honory zaś, jakie mi wszędzie po drodze oddawano, zrodziły w moim umyśle widoki dumy, które później postanowiły o całym moim losie.

Zbliżając się do Madrytu, inny rodzaj miłości własnej przygłuszył nieco to pierwsze uczucie. Uważałam, że margrabina de Val Florida kochała swego ojca do szaleństwa, szanowała go aż do uwielbienia, zdawała się żyć tylko dla niego, podczas gdy ze mną obchodziła się z pewną obojętnością. Teraz miałam także pozyskać dla siebie mego własnego ojca, przyrzekłam, że będę go kochała z całej duszy, chciałam nawet stać się koniecznym warunkiem do jego szczęścia. Nadzieja ta wbijała mnie w dumę, zapominałam o moim wieku, sądziłam, że jestem już dorosła, chociaż liczyłam dopiero czternasty rok życia.

Jeszcze byłam zajęta tymi rozkosznymi myślami, gdy powóz wjechał w bramę naszego pałacu. Ojciec mój przyjął mnie przy wejściu i okrył tysięcznymi pieszczotami. Niebawem rozkaz królewski wezwał go do dworu, odeszłam do moich pokojów, byłam jednak mocno wzruszona i przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Nazajutrz z rana mój ojciec kazał mnie przywołać do siebie; właśnie pił czekoladę i chciał, abym z nim śniadała. Po chwili rzekł mi:

— Kochana Eleonoro, tryb mego życia jest niewesoły i charakter mój od pewnego czasu nader zsmutniał, ponieważ jednak niebo ciebie mi powróciło, spodziewam się, że odtąd pogodniejsze dni zajaśnieją. Drzwi mego gabinetu stoją zawsze dla ciebie otworem, przychodź tu, kiedy zechcesz z jakąś niewieścią robotą. Mam drugi, oddzielny gabinet do narad i tajemnych prac. W przerwach między zatrudnieniami będę mógł z tobą rozmawiać i mam nadzieję, że słodycz tego nowego pożycia przypomni mi niektóre obrazy od tak dawna straconego domowego szczęścia.

To powiedziawszy, margrabia zadzwonił. Wszedł jego sekretarz z dwoma koszykami, z których jeden zawierał listy tego dnia nadeszłe, drugi zaś listy zadawnione, które czekały jeszcze odpowiedzi.

Przez godzinę zostawałam w gabinecie, po czym oddaliłam się i wróciłam w porze obiadu. Zastąpiłam kilku poufanych przyjaciół mego ojca, zatrudnionych również jak on sprawami największej wagi. Nie lękali się otwarcie o wszystkim przede mną mówić, prostoduszne zaś uwagi, jakie mieszałam do ich rozmów, często widocznie ich bawiły. Spostrzegłam, że zajmowały one mego ojca i mocno byłam z tego zadowolona. Nazajutrz, gdy tylko dowiedziałam się, że jest w swoim gabinecie, natychmiast posłam do niego. Pił czekoladę i rzekł mi z twarzą rozpromienioną:

— Dzisiaj mamy piątek, nadejdą listy z Lizbony.

Po czym zadzwonił na sekretarza, który przyniósł oba koszyki. Mój ojciec z niecierpliwością dobył papiery z pierwszego i wyjął list zawierający dwa arkusze: jeden ostemplowany, który oddał sekretarzowi, drugi zaś zwyczajny, który sam zaczął czytać z pośpiechem i zadowoleniem.

Podczas gdy zajmował się czytaniem, podjęłam kopertę i jęłam przypatrywać się pieczęci. Rozpoznałam złote runo zawieszona na książęcym płaszczu. Niestety, ten szumny herb miał kiedyś zostać moim. Nazajutrz przyszła poczta z Francji i tak dalej przez dni następne, ale żadna nie zajmowała tak żywo mego ojca, jak portugalska.

Gdy tydzień upłynął i nadszedł piątek, rzekłam wesoło do mego ojca, który siedział przy śniadaniu:

— Dzisiaj piątek, będziemy znowu mieli listy z Lizbony.

Następnie prosiłam, aby mi pozwolił zadzwonić i gdy sekretarz wszedł, pobiegłam do koszyka, dobyłam upragniony list i podałam go memu ojcu, który w nagrodę czule mnie uściskał.

Tym sposobem postępowałam przez kilka piątków. Nareszcie pewnego dnia ośmieliłam się zapytać mego ojca, co to za list, którego zawsze oczekiwał z taką niecierpliwością.

— Ten list — odpowiedział — jest od naszego posła w Lizbonie, księcia Medina Sidonia, mego przyjaciela, a nawet więcej jak dobroczyńcy, gdyż przekonany jestem, że jego los ściśle łączy się z moim.

— W takim razie — rzekłam — ten zacny książę ma także prawo i do mego szacunku. Rada bym go poznać. Nie pytam się, co pisze do ciebie tajemniczymi znakami, ale zaklinam cię, drogi ojcze, przeczytaj mi ten drugi list.

Na te słowa mój ojciec mocno się rozgniewał. Nazwał mnie zepsutym, samowolnym i pełnym przywidzeń dzieckiem. Dodał jeszcze wiele przykrych wyrazów. Następnie ułagodził się i nie tylko przeczytał, ale darował mi list księcia Medina Sidonia. Mam go dotąd u siebie na górze i przyniosę, gdy następnym razem przyjdę cię odwiedzić.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, dano mu znać, że sprawy hordy wymagały jego obecności, oddalił się więc i już tego dnia go nie widzieliśmy.

DZIEŃ DWUDZIESTY ÓSMY

Zebrałiśmy się wszyscy dość wcześnie na śniadanie. Rebeka widząc, że naczelnik nie jest pilnie zatrudniony, prosiła, aby dalej ciągnął opowiadanie, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

W istocie nazajutrz księżna przyniosła mi list, o którym poprzednio wspominała, następującej treści:

„Książę Medina Sidonia do margrabiego de Val Florida.

Znajdziesz kochany przyjacielu w tajemnych depeszach dalszy ciąg naszych układów. Pragnę jeszcze donieść ci, co się dzieje na tym dworze świętoszków i rozpustników, na którym skazany jestem przebywać. Jeden z moich ludzi ma odwieźć list do granicy, dlatego więc szerzej będę mógł się rozpisać.

Król don Pedro de Bragança ciągle obiera klasztory za widownię swoich miłostek. Porzucił teraz ksienię urszulanek dla przeoryszy wizytek.

J.K.Mość życzy sobie, abym mu towarzyszył w tych miłosnych wycieczkach, co też muszę czynić dla dobra naszej sprawy. Król rozmawia z przeoryszą, przegrodzony od niej nieprzelamaną kratą, która, jak powiadają, za pomocą ukrytych sprężyn zapada się pod dłoń potężnego monarchy.

My wszyscy, którzy mu towarzyszymy, rozchodzimy się po różnych klauzurach, gdzie nas przyjmują najmłodsze zakonnice. Portugalczycy mają szczególne upodobanie w rozmowie z zakonnicami, która jednak co do sensu podobna jest do śpiewu ptasząt w klatkach. Wszelako zajmująca bladość poświęconych dziewic, ich pobożne westchnienia, tkliwe przystosowania religijnego języka, ich prostoduszna nieświadomość i rozmarzone żądania, wywierają na młodych panach naszego dworu urok, jaki trudno im znaleźć w kobietach z towarzystwa lizbońskiego. Skądinąd, wszystko w tych schronieniach upaja duszę i zmysły. Powietrze tchnie balsamicznym zapachem kwiatów nagromadzonych koło obrazów świętych, oko za klauzurą spostrzeżga również przystrojone i dyszące wonnościami korytarze, dźwięki świeckiej gitary mieszają się z akordami poświęconych organów i osłaniają tkliwe gruchania młodzieży po obu stronach kraty. Takie zwyczaje panują w zakonach portugalskich.

Co do mnie, przez krótki czas tylko mogę wdawać się w te czule szaleństwa, niebawem namiętne wyrażenia miłości przywodzą mi na myśl obrazy zbrodni i zabójstwa. Przecież popełniłem jedno tylko zabójstwo, zamordowałem jednego tylko przyjaciela, człowieka, który tobie i mnie życie ocalił.

Rozpustne obyczaje wielkiego świata stały się przyczyną tych nieszczęsnych wypadków i skalaly mi serce w tym wieku wynurzenia, w którym dusza moja miała dać przystęp szczęściu, cnocie, a zapewne i czystej miłości. Ale namiętność ta nie mogła powstać pośród tak okropnych wrażeń. Ile razy słyszałem rozmowę o miłości, tyle razy zawsze zdało mi się, że krew występowała mi na dłonie.

Tymczasem czułem potrzebę kochania i to, co byłoby zrodziło miłość w mym sercu, przetworzyło się w uczucie ogólnej przychylności, którą starałem się dokoła rozpościerać.

Kochałem mój kraj, kochałem bliźnich, nade wszystko zaś kochałem ten pocziwy lud hiszpański, tak wierny królowi, wierze i danemu słowu. Hiszpanie odpłacili mi wzajemnością i dwór osądził, że zbyt mnie kochano. Odtąd na zaszczytnym wygnaniu, jak mogłem, służyłem krajowi i przyczyniałem się do szczęścia moich poddanych. Miłość ku ojczyźnie i ludzkości napelniła serce moje słodkimi uczuciami. Co do tej drugiej miłości, która miała ozdobić wiosnę mego życia, czegoż się od niej dziś mogę spodziewać? Postanowiłem zakończyć na sobie ród Medina Sidonia. Wiem, że córki pierwszych panów pragną połączenia ze mną, ale nie wiedzą, że ofiara mojej ręki jest niebezpiecznym podarunkiem. Mój sposób myślenia nie może zgodzić się z dzisiejszymi zwyczajami. Ojcowie nasi uważali swoje małżonki za skarbnice ich szczęścia i honoru. W starej Kastylii puginał i trucizna karały niewiarę. Bynajmniej nie ganię moich przodków, z drugiej strony, nie chciałbym ich naśladować; ostatecznie więc lepiej, że mój ród na mnie się skończy”.

Gdy mój ojciec doszedł do tego miejsca listu, zdawał się wahać i nie chciał dalej czytać, ale zaczęłam tak usilnie go prosić, że nie mógł oprzeć się moim naleganiom i tak dalej ciągnął:

„Cieszę się wraz z tobą ze szczęścia, jakie ci sprawia towarzystwo zachwycającej Eleonory, umysł w tym wieku musi przybierać czarujące kształty. To, co o niej piszesz dowodzi mi, że jesteś z nią szczęśliwy, co niemało przyczynia się do mego własnego szczęścia”.

Na te słowa nie mogłam wstrzymać mego uniesienia, rzuciłam się do nóg mego ojca, zaczęłam go ścisnąć, byłam przekonana, że stanowiłam jego szczęście. Myśl ta na wskroś przejmowała mnie niewysłowioną radością. Gdy przeszły pierwsze chwile uniesienia, zapytałam mego ojca, w jakim wieku jest książę Medina Sidonia.

— Jest on — rzekł — o pięć lat młodszy ode mnie, czyli ma trzydzieści pięć lat, ale należy on do ludzi, którzy, zdaje się, nigdy się nie starzeją.

Byłam właśnie w tym wieku, w którym młode dziewczęta wcale nie zastanawiają się nad latami mężczyzn. Chłopiec tak jak ja czternastoletni byłby mi się wydał dzieckiem niegodnym mojej uwagi. Mego ojca bynajmniej nie uważałam za starego, książę zaś mając pięć lat mniej, był w moich oczach młodzieńcem. Było to pierwsze pojęcie, jakie o nim powzięłam i później przyczyniło się ono wielce do postanowienia o moim losie.

Następnie zapytałam, co to były za morderstwa, o których książę wspominał. Na te słowa mój ojciec zmarszczył czoło i po kilku chwilach zastanowienia rzekł:

— Droga Eleonoro, są to wypadki zostające w ścisłym związku z moim rozłączeniem się z twoją matką. Wprawdzie nie powinienem ci o tym mówić, ale prędzej czy później własna twoja ciekawość zwróciłaby się w tym kierunku, zamiast więc domysłów nad przedmiotem równie śliskim, jak smutnym, wolę sam o wszystkim cię uwiadomić.

Po tej przemowie mój ojciec w te słowa opowiedział mi przygody swego życia:

Historia margrabiego de Val Florida

Wiesz dobrze, że ród Astorgas wygasł na twojej matce. Rodzina ta wraz z domem Val Florida należała do najstarszych w Asturii. Ogólne życzenie prowincji przeznaczało mi rękę panny Astorgas. Przyzwyczajeni zawczasu do tej myśli, powzięliśmy ku sobie wzajemne uczucia, które miały ustalić nasze małżeńskie szczęście. Różne jednak okoliczności opóźniły nasz związek, tak że ożeniłem się dopiero w dwudziestym piątym roku mego życia.

W sześć tygodni po naszym ślubie oświadczyłem mojej żonie, że ponieważ wszyscy moi przodkowie służyli w wojsku, przeto honor nakazywał mi iść za ich przykładem, i że wreszcie w garnizonach hiszpańskich daleko przyjemniej można pędzić życie aniżeli w Asturii. Pani de Val Florida odpowiedziała, że zawsze zgodzi się z moim zdaniem, ile razy będzie chodziło o honor naszego domu. Uradzono więc, że wstąpię do wojska. Napisałem do ministra i otrzymałem kompanię jazdy w pułku Medina Sidonia, który stał jako załoga w Barcelonie. Przybyliśmy i tam urodziła się, moje dziecko.

Wybuchła wojna — posłano nas do Portugalii, ażeby złączyć się z armią don Sancha de Saavedra. Wódz ten rozpoczął wojnę sławną potyczką pod Vila Marga. Nasz pułk, najsilniejszy wówczas w całej armii, odebrał rozkaz zniesienia kolumny angielskiej, która tworzyła lewe skrzydło nieprzyjaciela. Dwa razy natarliśmy bezskutecznie i już gotowaliśmy się do trzeciego natarcia, gdy nagle zjawił się między nami nieznajomy oficer w kwiecie wieku i okryty świetną bronią:

— Za mną — krzyknął — jestem pułkownik wasz, książę Medina Sidonia.

W istocie słusznie uczynił, że się nazwał, gdyż bylibyśmy go wzięli za anioła wojny lub jakiego księcia z niebieskiej armii, tak miał w sobie coś nadludzkiego.

Tym razem rozbiliśmy angielską kolumnę i sława tego dnia należała do naszego pułku. Mogę śmiało wyznać, że po księciu ja najdzielniej sobie poczynałem. Przynajmniej tak pochlebne świadectwo pozyskałem od mego naczelnika, który natychmiast uczynił mi zaszczyt prośbienia o moją przyjaźń. Nie była to czcza grzeczność z jego strony, staliśmy się prawdziwymi przyjaciółmi, chociaż książę nigdy nie dał uczuć mi, że był moim zwierzchnikiem, ani też ja, że byłem jego podwładnym. Zarzucają Hiszpanom pewną obojętność

w obejściu, wszelako tylko unikając poufałości, umiemy być dumni bez pychy i grzeczni bez nadskakiwania.

Zwycięstwo pod Vila Marga otworzyło wiele awansów. Książę został generałem, mnie zaś podwyższono na placu na podpułkownika i pierwszego adiutanta.

Dano nam niebezpieczne polecenie przeszkadzania nieprzyjacielowi w przejściu przez Duero. Książę zajął korzystne położenie i dość długo na nim się utrzymywał, nareszcie całe wojsko angielskie na nas uderzyło. Przewaga liczebna nie mogła zmusić nas do odwrotu, powstała okropna rzeź i nasza zguba była już nieodzowna, gdy wtem niejaki van Berg, dowódca kompanii wallońskich, przybył nam na pomoc z trzema tysiącami ludzi. Dokazał cudów waleczności i nie tylko wyrwał nas z niebezpieczeństwa, ale za jego sprawą otrzymaliśmy plac boju. Pomimo to nazajutrz złączyliśmy się z głównym korpusem armii.

Gdy tak cofaliśmy się razem z Wallonami, książę zbliżył się do mnie i rzekł:

— Kochany Val Florida, wiem, że liczba dwa najlepiej przystoi dla przyjaźni, nie można przekroczyć jej bez narażenia świętych praw tego uczucia, sądzę jednak, że ważna przysługa, jaką van Berg nam wyświadczył, zasługuje na wyjątek. Zdaje mi się, że wdzięczność nakazuje nam ofiarować mu naszą przyjaźń i przypuścić go na trzeciego do węzła, jaki nas łączy.

Podzieliłem zdanie księcia, który udał się do van Berga i złożył mu ofiarę naszej przyjaźni, z uroczyością odpowiadającą wadze, jaką przywiązywał do miana przyjaciela. van Berg zdziwił się niepomaha i rzekł:

— Wasza książęca mość wyświadczasz mi zbyt wielki zaszczyt, ale muszę uprzedzić go, że mam zwyczaj upijać się każdego dnia, gdy zaś nie jestem pijany, gram w grę jak można najgrubszą. Jeżeli zatem wasza książęca mość ma wstręt do podobnych zwyczajów, nie sądzę, aby nasz związek mógł być długotrwały.

Odpowiedź ta zmieszała księcia, po chwili jednak roześmiał się, zapewnił van Berga o swoim szacunku i użył całego kredytu, aby go jak najświetniej wynagrodzono. Van Berg jednak nade wszystko przekładał nagrody pieniężne. Król obdarzył go baronią Deulen, położoną w okręgu Malines; van Berg tego samego dnia sprzedał ją Walterowi van Dykowi, mieszczańcowi z Antwerpii i liwerantowi armii.

Rozłożyliśmy się na leże zimowe w Coimbrze, jednym z najznaczniejszych miast portugalskich. Pani de Val Florida przyjechała do mnie, lubiła żyć w świecie, otworzyłem więc dom dla zacniejszych oficerów armii. Wszelako książę i ja mało oddawaliśmy się przyjemnościom towarzystwa; ważne zatrudnienia cały nasz czas nam zajmowały.

Cnota była bożyszczem młodego Sidonii, dobro ogółu jego marzeniem. Zagłębialiśmy się razem w ustawy Hiszpanii i układaliśmy plany do zapewnienia jej pomyślności na przyszłość. Dla uszczęśliwienia Hiszpanów pragnęliśmy naprzód wpoić w nich miłość cnoty i odciągnąć ich od niepomiarkowanej chęci zysku, co bynajmniej nie wydawało się nam trudne. Chcieliśmy także wskrzesić dawny duch rycerstwa. Każdy Hiszpan miał być równie wierny małżonce, jak królowi i każdy powinien był mieć towarzysza broni. Ja połączyłem się już z księciem. Nie byliśmy oddaleni od mniemania, że świat będzie kiedyś mówił o naszym związku i że szlachetne umysły, postępując w nasze ślady, ułatwią i upewnią drogę cnoty.

Wstyd mi, kochana Eleonoro, mówić ci o podobnych dziwactwach, ale od dawna to już zauważano, że młodzież, w pierwszych latach życia zapuszczająca się w marzenia, wychodzi z czasem na pożytecznych, a nawet wielkich ludzi. Przeciwnie, młode katony, wystudzone jeszcze przed wiekiem, nie mogą nigdy wznieść się nad ścisłe rachunki własnej korzyści. Brak serca ścieśnia ich umysł i tworzy ich niezdolnymi tak na mężów stanu, jako też na użytecznych obywateli. Prawidło to nader mało ma wyjątków.

Tak przypuszczając wyobraźnię na manowce cnoty, ludziliśmy się nadzieją, że rozpoczniemy kiedyś w Hiszpanii wiek Saturna i Rei. Przez ten czas van Berg o ile możliwości zaprowadzał wiek złoty. Sprzedał baronię Deulen za osiemkroć sto tysięcy liwrow i przysiągł na słowo honoru, że nie tylko wyda te pieniądze przez dwa miesiące leż zimowych, ale nadto zaciągnie jeszcze sto tysięcy franków długu. Marnotrawny nasz Flamandczyk wyrachował następnie, że dla dotrzymania słowa należało mu wydawać dziennie tysiąc czterysta pistoletów, co było dość trudne w takim mieście jak Coimbra. Uląkł się, myśląc, że zbyt lekkomyślnie dał słowo, gdy mu zaś przekładano, że mógł użyć część pieniędzy na

wspomożenie biednych i uszczęśliwienie tylu ludzi, odpowiedział, że przysiągł wydać na siebie, nie zaś rozdawać, i że uczucie własnej godności nie pozwala mu najmniejszej części tych pieniędzy obrócić na dobrodziejstwa, gra nawet w to nie wchodziła, gdyż mógł wygrać, a pieniądze przegrane nie były wydanymi.

Tak trudne położenie zdawało się mocno trapić van Berga, przez kilka dni był roztrąniony, nareszcie wpadł na sposób, który miał ocalić jego honor. Zebrał, ile tylko mógł znaleźć, kucharzy, muzykusów, skoczków, komediantów i innych osób jeszcze weselszego rzemiosła. W dzień wyprawiał sutą biesiadę, wieczorem bal i widowisko, stawiał przed drzwiami maszty obfitości, a jeżeli pomimo wszelkich usiłowań, nie wydano tysiąca czterechset pistoletów, kazał resztę wyrzucać oknem, mówiąc, że podobny postępek wchodził w zakres marnotrawstwa.

Van Berg, uspokajając tak sumienie, odzyskał dawną wesołość; w istocie był to nader dowcipny człowiek i zręcznie umiał bronić wad, jakie wszędzie mu zarzucano. Te rozumowania, w których się był biegle wyćwiczył, nadawały błyskotliwość jego rozmowie i odróżniały go od nas, Hiszpanów, zwykle poważnych i milczących.

Van Berg często u mnie bywał wraz ze znacznymi oficerami armii, wszelako przychodził także w chwilach, gdy mnie w domu nie było. Wiedziałem o tym i bynajmniej się nie gniewałem, wyobrażałem sobie bowiem, że nieograniczone zaufanie przekona go, że wszędzie i o każdej godzinie dobrze był widziany. Ogół tymczasem innego był zdania i niebawem zaczęły krążyć wieści ubliżające mojej sławie. Do mnie żadna z nich nie doszła, książę jednak posłyszał je, wiedział, jak kochałem moją żonę i przez przyjaźń cierpiał za mnie.

Pewnego dnia książę udał się do pani de Val Florida, padł jej do nóg, zaklinając, aby nie zapomniała swoich obowiązków i nie widywała Van Berga sam na sam. Nie wiem, co mu na to odpowiedziano.

Następnie książę udał się do van Berga z zamiarem przełożenia mu w podobnym sposobie całego stanu rzeczy i zwrócenia go na drogę cnoty. Nie zastał go w domu. Powrócił po południu, w pokoju pełno było ludzi, ale van Berg sam siedział na uboczu; ponury i zapewne nieco pijany potrząsał kubkiem z kośćmi.

Książę zbliżył się do niego poufale i śmiejąc się zapytał, jak mu idą wydatki.

Van Berg rzucił na księcia zagniewane spojrzenie i odpowiedział:

— Wydatki moje przeznaczone są dla przyjemności mych przyjaciół, nie zaś niegodziwców, którzy mieszają się do tego, co do nich nie należy.

Kilka osób słyszało te słowa.

— Czy to do mnie ma się stosować? — rzekł książę. — Van Berg, racz natychmiast odwołać twoje lekkomyślne wyrazy.

— Nigdy nic nie odwołuję — odparł van Berg.

Książę ukląkł na jedno kolano, mówiąc:

— Van Berg, wyświadczyłeś mi znakomitą przysługę, dłączegóż teraz chcesz mnie zbezczęścić? Zaklinam cię, uznaj mnie za godziwego człowieka.

Van Berg odpowiedział nie wiem jaką zniewagą.

Książę powstał spokojnie, dobył sztyletu zza pasa i położywszy go na stole, rzekł:

— Zwyczajny pojedynek nie może załatwić tej sprawy. Jeden z nas musi umrzeć, a im prędzej to nastąpi, tym lepiej. Rzucajmy kości po kolei, kto więcej wyrzuci, weźmie sztylet i utopi go w sercu przeciwnika.

— Wyśmienicie — krzyknął van Berg — to dopiero nazywa się gruba gra, ale przysięgam, że jeżeli wygram, nie będę oszczędzał waszej książęcej mości.

Przerażeni widzowie stali na miejscu jakby skamieniali.

Van Berg wziął kubek i wyrzucił podwójną dwójkę.

— Do szatana — zawołał — coś mi się nie wieździe.

Z kolei książę potrząsał kośćmi i wyrzucił piątkę i szóstkę. Wtedy wziął sztylet i utopił go w piersiach van Berga, po czym obracając się ku widzom z tą samą zimną krwią, rzekł:

— Panowie, raczcie wyświadczyć ostatnią posługę temu młodzieńcowi, którego bohaterkie męstwo na lepszy los zasługiwało. Co do mnie, ruszam natychmiast do głównego audytora armii i oddaję się w ręce sprawiedliwości królewskiej.

Możecie wyobrazić sobie rozgłos, jaki ten wypadek powszechnie sprawił. Księcia nie tylko Hiszpanie kochali, ale nawet nieprzyjaciele nasi, Portugalczycy. Gdy wieść o tym

doszła do Lizbony, arcybiskup tego miasta, który jest zarazem patriarchą Indii, dowiedział, że dom, gdzie zatrzymano księcia w Coimbrze, należał do kapituły, że od najdawniejszych czasów uważany był za nietykalne schronienie, że przeto książę może spokojnie w nim przebywać, nie lękając się przemocy świeckiego ramienia. Książę nader był wzruszony okazywanym mu przywiązaniem, wszelako oświadczył, że nie chce korzystać z tego przywileju.

Audytor generalny zaczął wytaczać sprawę przeciw księciu, ale Rada Kastylii postanowiła koniecznie się wmieścić, następnie wielki marszałek Aragonii, którego urząd teraz właśnie zniesiono, utrzymywał, że sędzenie księcia jako urodzonego w jego prowincji i należącego do dawnych *ricos hombres*, do niego należy, słowem, wielu usilnie dobijało się o pierwszeństwo, każdy bowiem chciał go ocalić.

Pośród całej tej wrzawy, łamałem sobie głowę nad wynalezieniem przyczyny tego pojedynku. Nareszcie jakiś znajomy zlitował się i uwiadomił mnie o postępowaniu pani de Val Florida. Nie pojmuję, jakim sposobem wytłumaczyłem sobie, że moja żona mogła tylko mnie kochać. Przez kilka dni na chwilę nie mogłem przypuścić przeciwnego mniemania, na koniec pewne okoliczności zdarły nieco zasłonę z moich oczu, poszedłem więc do pani de Val Florida i rzekłem.

— Dowiedziałem się, że ojciec pani niebezpiecznie zasłabł; sądzą, że wypada, abys do niego pojechała, wreszcie córka nasza wymaga twoich starań i jak mniemam, odtąd osiądziesz pani na zawsze w Asturii.

Pani de Val Florida spuściła oczy i z pokorą przyjęła wyrok.

Wiesz, jak od tego czasu żyliśmy z twoją matką; miała ona tysiąc nieocenionych przymiotów, a nawet cnót, którym zawsze oddawałem sprawiedliwość.

Tymczasem proces księcia przybrał dziwny obrót. Oficerowie wallońscy podnieśli go do znaczenia ogólnej sprawy narodowej. Utrzymywali, że ponieważ grandowie hiszpańscy pozwalali sobie mordować Flamandczyków, wypadało im opuścić służbę hiszpańską. Hiszpanie nawzajem dowodzili, że to był pojedynek, nie zaś morderstwo. Rzeczy tak daleko szły, że król nakazał zwołać juntę złożoną z dwunastu Hiszpanów i dwunastu Flamandczyków, nie dla osądzenia księcia, ale raczej dla rozstrzygnięcia, czy śmierć van Berga należało uważać za zasługę wskutek pojedynku czy też morderstwa.

Oficerowie hiszpańscy głosowali naprzód i jak się można domyślić, zgodzili się za pojedynkiem. Jedenastu pierwszych Wallończyków było przeciwnego zdania, nie usprawiedliwiali swego sądu, przede wszystkim zaś najwięcej krzyczeli.

Dwunasty, który głosował ostatni, ponieważ był najmłodszy, dał się już zaszczytnie poznać w kilku sprawach honorowych. Nazywał się don Juan van Worden.

Tu przerwałem Cyganowi, mówiąc:

— Mam zaszczyt być synem tego samego van Wordena i spodziewam się, że w twoim opowiadaniu nic takiego nie usłyszę, coby mogło honor jego na szwank wystawić.

— Mogę zaręczyć — odrzekł Cygan — że wiernie powtórzę słowa margrabiego de Val Florida do jego córki.

Gdy kolej głosowania przyszła na don Juana van Wordena, zabrał głos i tak się wyraził:

— Panowie, sądzą, że dwie rzeczy oznaczają istotę pojedynku: naprzód wyzwanie lub też w braku tego spotkanie, po wtóre równość broni lub też w braku tej równowagi w sposobach zadania śmierci. Tak na przykład, człowiek uzbrojony strzelbą mógłby stanąć przeciw drugiemu uzbrojonemu króciwą pod warunkiem, ażeby pierwszy strzelał o sto kroków, drugi zaś o cztery, gdyby w każdym razie zgoda poprzednio już była nastąpiła, kto ma strzelać pierwszy. W obecnym wypadku jedna i ta sama broń służyła dla obu, nie można przeto już wymagać większej równości. Kości nie były fałszywe, więc przeciw równowadze w sposobie zadania śmierci nic niepodobna zarzucić. Na ostatek, wyzwanie było wyraźnie oświadczone i z obu stron przyjęte.

Wyznaję, że z przykrością widzę pojedynek, tę najszlachetniejszą walkę, zniżoną do losu gry hazardowej, rodzaju zabawy, której człowiek honorowy powinien używać z nadzwyczajnym umiarkowaniem: wszelako według zasad, jakie na początku przytoczyłem,

zdaje mi się niezaprzeczoną, że zajmująca nas obecnie sprawa była pojedyńkiem, nie zaś morderstwem. Tak mi nakazuje mówić moje przekonanie, jakkolwiek przykro mi, że takowe sprzeciwia się sposobowi widzenia moich jedenastu kolegów. Będąc zatem prawie pewnym, że popadnę w nieszczęście niełaski z ich strony, i pragnąc zarazem jak najłagodniejszymi środkami uprzedzić wyrazy ich niezadowolenia, upraszam, aby wszystkich jedenastu raczyło wyświadczyć mi zaszczyt wystąpienia ze mną do pojedynku, mianowicie sześciu z rana, pięciu po obiedzie.

Wniosek tego dowodzenia sprawił powszechną wrzawę, wszelako należało przyjąć za prośbienie. Pan van Worden ranil pierwszych sześciu, którzy stawili się z rana, następnie z pięcioma pozostałymi zasiadł do obiadu.

Po obiedzie, znowu wzięto się do broni. Pierwsi trzej zostali ranni przez pana van Worden, dziesiąty skaleczył go w ramię, jedenasty zaś przeszył go szpadą na wylot i zostawił na placu.

Biegły chirurg ocalił życie panu van Worden, ale nie myślano już ani o juncie, ani o procesie i król ułaskawił księcia Sidonię.

Odbyliśmy jeszcze jedną kampanię, zawsze jako ludzie honorowi, ale już nie z poprzednim zapalem. Pierwszy raz nieszczęście nas dotknęło. Księżę zawsze okazywał wiele szacunku dla odwagi i zdolności wojskowych van Berga. Wyrzucał sobie przesadzoną gorliwość o mój spokój, która stała się przyczyną tak smutnych wypadków. Nauczył się, że nie wystarczyło chcieć dobra, ale należało umieć je wykonywać. Co do mnie, podobnie do wielu małżonków, tłumilem w sobie boleść i tym więcej jeszcze cierpiałem. Odtąd przestaliśmy marzyć o naszych zamiarach uszczęśliwienia Hiszpanii.

Tymczasem nastał pokój, księżę postanowił podróżować; przebiegliśmy więc razem Włochy, Francję i Anglię. Po powrocie szlachetny mój przyjaciel wszedł do Rady Kastylji, mnie zaś przy tej samej Radzie powierzono urząd sekretarza. Podróże i kilka ubiegłych lat zrzuciły znaczne zmiany w umyśle księcia. Nie tylko, że odstąpił od rozmarzonych obłądów swojej młodości, ale nawet przezorność stała się ulubioną jego cnotą. Garnął się do dobra publicznego nie z szaleństwem, ale jeszcze z namiętnością, wiedział bowiem, że niepodobna było wszystkiego razem dokonać, że trzeba było wprzód przygotować umysły, o ile możliwości zaś ukrywać własne środki i cel. Do tego stopnia posuwał przezorność, że w Radzie zdawał się nigdy nie mieć własnego zdania i iść za cudzym, tymczasem towarzysze przemawiali jego własnymi słowy. Staranność, z jaką księżę osłaniał swoje zdolności przed wzrokiem publicznym, tym bardziej je wykrywała. Hiszpanie odgadli go i pokochali. Dwór począł mu zazdrościć. Ofiarowano księciu ambasadę w Lizbonie. Wiedział, że nie wolno mu było odmówić, przyjął więc ale pod warunkiem, że ja zostanę sekretarzem stanu.

Odtąd nie widziałem go więcej, ale serca nasze zawsze żyją razem.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca swego opowiadania, dano mu znać, że sprawy hordy wymagały jego obecności. Skoro się oddalił, Velasquez zabrał głos i rzekł:

— Jakkolwiek całą uwagę zwracam na słowa naszego naczelnika, nie mogę przecie schwytać w nich najmniejszego związku. W istocie nie wiem, kto mówi, a kto słucha. Tu margrabia de Val Florida opowiada córce swoje przygody, która opowiada je naczelnikowi, który nam znowu je opowiada. To istny labirynt. Zawsze zdawało mi się, że romanse i inne dzieła podobnego rodzaju winny być pisane w kilku kolumnach, na kształt tablic chronologicznych.

— Masz słusność señor — odpowiedziała Rebeka — i tak na przykład w jednej kolumnie czytano by, że pani de Val Florida oszukuje swego męża, w drugiej zaś ujrzano by, czym ten wypadek go uczynił, co bez wątpienia rzuciłoby wielkie światło na całe opowiadanie.

— Wcale nie to chciałem powiedzieć — rzekł Velasquez — ale oto jest na przykład księżę Sidonia, którego charakter mam zgłębiać, gdy tymczasem widziałem go już umarłego. Czyliż nie lepiej by było zacząć od wojny portugalskiej, wtedy w drugiej kolumnie ujrzałbym doktora Sangro-Moreno zastanawiającego się nad sztuką lekarską. Tym sposobem nie dziwiłbym się, widząc, że jeden płata drugiego.

— Zapewne — przerwała Rebeka — ciągle niespodzianki zmniejszają zajęcie tej powieści, nigdy nie można zgadnąć, co po czym nastąpi.

Naówczas ja zabrałem głos i rzekłem, że podczas wojny portugalskiej mój ojciec był jeszcze nader młody i że nie można dość nadziwić się roztropności, jaką okazał w sprawie księcia Medina Sidonia.

— Nie ma co mówić — rzekła Rebeka — gdyby twój ojciec nie był się pojedynkował z jedenastoma oficerami, mogłoby być przyjąć do sprzeczki, słusznie zatem uczynił, że ją uprzędził.

Wydało mi się, że Rebeka drwiła z nas wszystkich. Odkryłem w jej charakterze coś szyderczego i wątpiącego. Pomyślałem, że kto wie, czy nie mogłaby nam opowiedzieć przygód całkiem odmiennych od historii niebieskich bliźniąt i postanowiłem kiedyś ją o to zapytać. Tymczasem nadeszła godzina rozstania i każdy odszedł w swoją stronę.

DZIEŃ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Zebrałiśmy się dość wcześnie i Cygan, mając czas wolny, tak dalej ciągnął powieść o swoich przygodach:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Księżna Sidonia, opowiedziawszy mi historię swego ojca, przez kilka dni wcale się nie pokazała, natomiast Giralda przynosiła mi koszyk. Od niej to dowiedziałem się, że dzięki wpływowi wuja matki załatwiono moją sprawę. Ostatecznie księża radzi byli, że od nich się wymknął. Wyrok świętej inkwizycji wspominał tylko o nierozwadze i o dwuletniej pokucie, nazwisko moje nawet oznaczono tylko początkowymi zgłoskami. Giralda uwiadomiła mnie także, że ciotka moja Dalanosa życzyła sobie, abym ukrywał się przez dwa lata, podczas których ona sama wyjedzie do Madrytu i tam zajmie się zarządem wioski, jaką ojciec wyznaczył na moje utrzymanie. Zapytałem Giralde, czyli¹⁷⁰ myślała, że będę zmuszony przepędzić te dwa lata w podziemiu. Odpowiedziała mi, że nie mogę nic stosowniejszego uczynić i że wreszcie jej własne bezpieczeństwo wymagało tej ostrożności.

Nazajutrz sama księżna przyszła, ku wielkiej mojej radości, daleko więcej ją lubiłem od jej dumnej mamki. Chciałem także dowiedzieć się o dalszym ciągu jej przygód. Prosiłem, aby mi go opowiedziała, co też uczyniła w te słowa:

Dalszy ciąg historii księżnej Medina Sidonia

Podziękowałam memu ojcu za zaufanie, z jakim zaznajomił mnie z najważniejszymi wypadkami swego życia. Następnego piątku znowu wręczyłam mu list od księcia Sidonii. Nie czytał mi go, ani też późniejszych, które odtąd odbierał, ale często mawiał o swoim przyjacielu, ta bowiem rozmowa najwięcej go zajmowała.

Wkrótce potem odwiedziła mnie kobieta w podeszłym wieku, wdowa po pewnym oficerze. Ojciec jej był wasalem księcia, ona zaś dopominała się o małą wioskę zależącą od jego majątku. Nigdy dotąd nikt mnie nie prosił o wstawiennictwo. Sposobność ta pochlebila mojej miłości własnej. Napisałem prośbę, w której dość jasno i dokładnie wyluszczyłam wszystkie prawa biednej wdowy. Zaniósłam tę pracę memu ojcu, który bardzo był z niej zadowolony i posłał ją księciu. Wyznam ci, że się tego spodziewała. Księżę przychylił się do żądania wdowy i napisał mi list pełen grzeczności, unosząc się nad moim rozumem nad wiek rozwiniętym.

Później znowu znalazłam sposobność pisania do niego i znowu odebrałam list, w którym zachwycał się moim dowcipem, jakoż w istocie cały czas obracałam na kształcenie mego umysłu, w czym Giralda dzielnie mi dopomagała. Gdy pisałam ten list, kończyłam właśnie piętnaście lat życia.

Pewnego dnia właśnie znajdowałam się w gabinecie mego ojca, gdy nagle usłyszała hałas na ulicy i okrzyki gromadzącego się ludu. Pobiegłam do okna i ujrzałam mnóstwo ludzi zgiełkliwe tłoczących się i prowadzących jakby w tryumfie złoconą karetę, na której poznałam herby książąt Medina Sidonia. Tłum dworzan i paziów poskoczył ku drzwicom i spostrzegłam wychodzącego mężczyznę nader przyjemnej postaci w kastylijskim stroju, który na naszym dworze właśnie wyszedł z mody. Miał na sobie krótki płaszcz,

¹⁷⁰czyli (daw.) — konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

krzyż, pióro u kapelusza, największego zaś blasku jego ubiorowi dodawało złote runo wysadzone diamentami, zawieszona na piersiach. Mój ojciec także zbliżył się do okna.

— Ach to on — zawołał — spodziewałem się, że przyjedzie.

Odeszłam do moich pokojów i poznałam księcia dopiero nazajutrz, później jednak co dzień go widywałam, gdyż prawie nie wychodził z domu mego ojca.

Dwór wezwał księcia dla spraw wielkiej wagi. Chodziło o uspokojenie wzburzenia, jakie nowy pobór podatków spowodował w Aragonii. Książę, będąc niesłychanie lubianym, przybył ze strony królewskiej i umiał pogodzić życzenie dworu z korzyścią mieszkańców. Zapytano go, jakiej żąda nagrody. Odpowiedział, że pragnie jakiś czas odetchnąć powietrzem ojczyzny. Książę, człowiek szczerzy i otwarty, bynajmniej nie taił przyjemności, jakiej doświadczał w moim towarzystwie, dlatego też prawie ciągle byliśmy razem, podczas gdy inni przyjaciele mego ojca zajmowali się wraz z nim sprawami państwa.

Sidonia przyznał mi się, że był nieco skłonny do zazdrości, czasami nawet gwałtowny; w ogóle mówił mi tylko o sobie lub o mnie, o mnie lub o sobie, gdy zaś taki rodzaj rozmowy zawiąże się między mężczyzną a kobietą, stosunki wkrótce stają się coraz ściślej-
sze. Wcale więc nie zdziwiłam się, gdy pewnego dnia ojciec, zawoławszy mnie do swego gabinetu, oświadczył, że książę prosi o moją rękę.

Odpowiedziałam, że nie żądam czasu do namysłu, przewidując bowiem, że książę może sobie upodobać córkę swego przyjaciela, zawczasu zastanowiłam się nad jego sposobem myślenia i różnicą wieku między nami.

— Wszelako — dodałam — grandowie hiszpańscy zwykli szukać związków w równych im rodzinach, jakimże okiem będą spoglądali na nasze połączenie, być może nawet, że przestaną mówić *ty* do księcia, co jest pierwszym dowodem ich niechęci.

— Jest to także uwaga, którą uczyniłem księciu — rzekł mój ojciec — ale odpowiedział mi na to, że pragnie tylko twego zezwolenia, o resztę zaś sam się postara.

Sidonia był w pobliżu, wszedł z bojaźliwą postawą, dziwnie odbijającą od wrodzonej mu dumy. Widok ten wzruszył mnie i niedługo czekał na zezwolenie. Tym sposobem dwóch uszczęśliwiłam, gdyż mój ojciec nie posiadał się z radości. Giralda także podzielała nasze szczęście.

Nazajutrz książę zaprosił na obiad grandów znajdujących się podówczas w Madrycie i gdy wszyscy zebrali się i zasiedli, odezwał się do nich w te słowa:

— Albo, do ciebie się zwracam, uważam cię bowiem za pierwszego spomiędzy nas, nie dlatego, żeby ród twój był zacniejszy od mego, ale przez szacunek dla pamięci bohatera, którego nazwisko nosisz. Przesąd czyniący nam zaszczyt wymaga, abyśmy wybierali małżonki pomiędzy córkami grandów, i bez wątpienia gardziłbym tym, który by zawarł niestosowny związek przez miłość bogactw lub też dla zadośćuczynienia występnej namiętności. Przypadek, o którym pragnę wam mówić, jest całkiem odmiennego rodzaju. Wiecie dobrze, że Asturyjczycy uważają się za równie dobrze, a czasami nawet za lepiej urodzonych niż sam król. Jakkolwiek zdanie to pod pewnym względem jest przesadzone, wszelako nie podpada wątpliwości, że mają prawo uważać się za najlepszą szlachtę z całej Europy. Najczystsza krew asturyjska krąży w żyłach Eleonory de Val Florida, że już nie wspomnę o znanych powszechnie znakomitych jej przymiotach. Utrzymuję zatem, że podobny związek może tylko zaszczyt przynieść rodzinie każdego granda hiszpańskiego, kto zaś jest przeciwnego zdania, niech podniesie tę rękawicę, którą rzucam pośród zgromadzenia.

— Ja podnoszę — rzekł książę Alba — wszakże aby ci ją oddać wraz z życzeniami szczęścia z tak zaszczytnego związku.

To mówiąc uściśkał księcia, co też reszta grandów za nim powtórzyła. Mój ojciec opowiadając mi to zdarzenie, dodał głosem nieco smutnym:

— Zawsze w nim ta sama rycerskość, oby tylko mógł się odmienić z dawnej gwałtowności. Droga Eleonoro, zaklinam cię, staraj się nigdy w niczym go nie obrazić.

Wyznałam ci, że w swoim charakterze miałam pewną skłonność do dumy, ale ta niepewściągiona żądza wielkości opuściła mnie, gdy tylko ją zaspokoiliłam. Zostałam księżną Sidonia i serce moje napełniło się najslodszymi uczuciami. Książę w domowym pożyciu był najprzyjemniejszym z ludzi, kochał mnie bez granic, okazywał ciągle jednostajną dobroć, niewyczerpaną łagodność, czułość w każdej chwili i wtedy anielska jego

duśza odbijała się w rysach jego twarzy. Czasami tylko, gdy posępna myśl je zmarszczyła, nabierały straszliwego wyrazu. Naówczas, drżąc, mimowolnie przypominałam sobie mordercę Van Berga.

Mało jednak rzeczy mogło go rozgniewać, we mnie zaś wszystko go uszczęśliwiała. Lubił patrzeć na moje zatrudnienia, słuchać, gdy coś mówiłam, i zgadywał najskrytsze moje myśli. Sądziłam, że niepodobieństwem było, aby mógł więcej mnie kochać, ale przyjsie na świat naszej córeczki podwoiło jeszcze jego miłość i uzupełniło nasze szczęście.

W dniu, w którym powstałam ze słabości, Giralda przyszła do mnie i rzekła:

— Kochana Eleonoro, jesteś żoną i matką, jednym słowem, jesteś szczęśliwa; moje obowiązki zaś gdzie indziej mnie wzywają. Postanowiłam wyjechać do Ameryki.

Chciałam ją zatrzymać.

— Nie — rzekła — moja obecność jest tam konieczna.

W kilka dni potem odjechała¹⁷¹.

Giralda pełniła przy mnie obowiązki *dueñy mayor*. Dano mi na jej miejsce doñę Mencję, trzydziestoletnią kobietę, jeszcze dość piękną, która miała umysł dość wykształcony i stąd często przebywała w naszym towarzystwie. W tych razach zwykle postępowała jak gdyby była zakochana w moim mężu. Śmiałam się z tego, on zaś bynajmniej nie zwracał na to uwagi. Z resztą doña Mencja starała mi się przypodobać, a nade wszystko dokładnie mnie poznać. Często kierowała rozmowę na dość wesołe przedmioty lub opowiadała mi miejskie plotki, tak że nieraz musiałam nakazać jej milczenie. Karmiłam sama moją córkę i na szczęście odłączyłam ją przed strasznymi wypadkami, o których się dowiesz. Pierwszym ciosem, jaki we mnie uderzył, była śmierć mego ojca, który złożony dokuczliwą i gwałtowną chorobą, wyzionął ducha w moich objęciach, błogosławiąc nas oboje i nie przewidując gorzkich chwil, jakie nas czekały.

Wkrótce potem wybuchły zaburzenia w Biskai. Posłano tam księcia, ja zaś towarzyszyłam mu aż do Burgos.

Posiadamy majątki we wszystkich prowincjach Hiszpanii i domy we wszystkich miastach, tu jednak mieliśmy tylko letni dom o milę od miasta położony, ten sam, w którym się obecnie znajdujesz.

Księżę zostawił mnie z całym moim orszakiem i pojechał na miejsce swego przeznaczenia. Pewnego dnia, wracając do domu, usłyszałam hałas na podwórzu. Doniesiono mi, że schwymano złodzieja, że zraniono go kamieniem w głowę, ale że był to tak piękny chłopiec, jakiego nie było w świecie drugiego. W tej chwili kilku służących przyniosło go do mych nóg i poznałam Hermosita.

— Nieba! — zawołałam — to nie jest złodziej, ale uczciwy chłopiec, wychowany w Astorgas u mego dziada.

Następnie obracając się do marszałka dworu, kazałam mu wziąć biedaka do siebie i jak najtroskliwiej go pielęgnować. Zdaje mi się nawet, że powiedziałam, że to był syn Giraldy, ale nie przypominam sobie dokładnie.

Nazajutrz doña Mencja doniosła mi, że młody chłopiec, trawiony gorączką, w malinie często o mnie wspomina i mówi rzeczy nader czułe i namiętne.

Odpowiedziałam, że jeżeli kiedykolwiek poważy się wspominać o czymś podobnym, natychmiast każe ją wypędzić.

— Zobaczymy — rzekła.

Zabroniłam jej pokazywać mi się na oczy. Nazajutrz przysłała prosić o łaskę, padła mi do nóg i przebaczyła.

¹⁷¹ W kilka dni potem odjechała — po tym zdaniu w innym oprac. tegoż tłumaczenia znajduje się jeszcze ciąg dalszy tegoż akapitu i dwa kolejne, tu opuszczone:

„Z jej odjazdem skończyły się szczęśliwe lata mojego życia. Przedstawiłam ci ów okres nieziemskiej szczęśliwości; nie trwał on długo, gdy szczęście tak wielkie jak nasze zapewne nie może spotykać ludzi za życia. Braknie mi sił, by dziś opowiedzieć ci moje niedole. Żegnaj, młody przyjacielu, jutro znowu mnie ujrzysz.

Opowiadanie młodej księżnej mocno mnie zaciekało. Pragnęłam poznać jego dalszy ciąg i dowiedzieć się, jakim sposobem tak wielkie szczęście mogło przemienić się w niedolę. Wnet jednak moje myśli wzięły odmienny obrót. Przypominałam sobie słowa Girony, która sądziła, że zdołam wytrwać przez dwa lata w zamknięciu. Nie było to bynajmniej moim zamiarem i zacząłem obmyślać ucieczkę.

Nazajutrz znowu księżna przyniosła mi pożywienie. Miała zaczerwienione oczy, jak gdyby wiele płakała. Jednakże oświadczyła, że czuje się na siłach, by opowiadać dzieje swych nieszczęść, i zaczęła w te słowa:” [przypis edytorski]

W tydzień potem siedziałam sama, gdy weszła Mencja, wspierając Hermosita, nie-
słuchanie osłabionego.

— Rozkazałaś mi pani przyjść — rzekł drżącym głosem.

Spojrzałam z zadziwieniem na Mencję, ale nie chcąc sprawiać przykrości synowi Gi-
raldy, kazałam mu podać krzesło o kilka kroków ode mnie.

— Drogi Hermosito — rzekłam — przez ten czas twoja matka nigdy nawet nie
wspominała przede mną twego nazwiska, chciałabym więc teraz dowiedzieć się, co ci się
przytrafiło od czasu naszego rozłączenia.

Hermosito zabrał głos i przestając co chwila z osłabienia, tak zaczął mówić:

Historia Hermosita

Ujrawszy nasz statek pod pełnymi żaglami i wiedząc, że straciłem wszelką nadzieję
dostania się do brzegu, jałem rozmyślać nad okrucieństwem lub raczej nad szczególną
surowością, z jaką matka wypędziła mnie od siebie i w żaden sposób nie mogłem odgad-
nąć przyczyn. Powiedziano mi, że jestem w twojej, pani, służbie, służyłem ci więc z całą
gorliwością, na jaką mogłem się zdobyć. Posłuszeństwo moje było bez granic. Dlaczegoż
zatem wypędzono mnie, jak gdybym popełnił największą winę? Im więcej się nad tym
zastanawiałem, tym mniej mogłem zrozumieć.

Piątego dnia naszej podróży znaleźliśmy się pośród eskadry don Fernanda Arudez.
Kazano nam przepływać z tyłu admirałskiego okrętu. Na wzniosłym balkonie, złożonym
i przystrojonym mnogimi chorągwiami, spostrzegłem don Fernanda bogato ubranego
i ozdobionego kilkoma orderami. Orszak oficerów otaczał go z poszanowaniem. Admirał
przyłożył tubę do ust, zapytał, czy nie spotkaliśmy kogo w drodze i kazał płynąć dalej.
Minawszy go, kapitan naszego okrętu rzekł:

— Widzieliście admirała, dziś jest margrabią, a jednak zaczął od takiego chłopca
okrętowego jak ten, który oto zamiata pokład.

Gdy Hermosito doszedł do tego miejsca, kilka razy rzucił niespokojny wzrok na Men-
cję. Domyśliłam się, że nie chciał tłumaczyć się w jej obecności, wyprawiałam ją zatem
z pokoju. Radziłam się w tym jedynie mojej przyjaźni dla Giraldy i myśl, że mogę wpaść
w podejrzenie nie przeszła mi nawet przez głowę. Gdy Mencja wyszła, Hermosito tak
dalej mówił:

Zdaje mi się, że czerpiąc pierwszy pokarm życia z jednego z toba, pani, źródła, jedna-
kowo wykształciłem z toba duszę, tak że nie mogłem myśleć, tylko o tobie, przez ciebie
lub o tym, co ciebie dotyczyło. Kapitan powiedział mi, że don Fernand stał się margra-
bią z chłopca okrętowego, wiedziałem, że twój ojciec także był margrabią, zdało mi się
więc, że nie było w świecie nic piękniejszego nad ten tytuł i zapytałem, jakim sposobem
don Fernand go pozyskał. Kapitan wytłumaczył mi, że postępował od stopnia do stop-
nia i wszędzie odznaczał się świetnymi czynami. Odtąd postanowiłem wejść do służby
morskiej i zacząłem wprawiać się w bieganiu po masztach. Kapitan, któremu mnie po-
wierzone, o ile możliwości sprzeciwiał się temu, ale nie chciałem go słuchać i byłem już
dość dobrym majtkiem, gdy przybyliśmy do Veracruz. Dom mego ojca leżał nad brzegiem
morza. Przybiliśmy doń szalupę. Mój ojciec przyjął mnie otoczony czeredą młodych Mu-
latek, kazał mi je kolejno uściskać. Niebawem rozpoczęły tańce, wabiły mnie tysięcznymi
sposoby i tak przepędziłem pierwszy wieczór w domu ojcowskim.

Nazajutrz *corregidor* z Veracruz oznajmił memu ojcu, że nie wypadało przyjmować syna
do domu podobnie urządzonego i że powinien być umieszczyć mnie w kolegium teatynów.
Mój ojciec, acz z żalem, musiał przecie być posłuszny.

W kolegium ojciec rektor dla zachęcenia do nauki często nam powtarzał, że margra-
bia Campo Salez, naówczas drugi sekretarz stanu, także był niegdyś biednym studentem,
a zawdzięczał wyniesienie swoje pilności do nauk. Widząc, że i na tej drodze można
było zostać margrabią, przez dwa lata pracowałem z niezwykłą gorliwością. Tymczasem
przeniesiono *corregidora* z Veracruz, następcą zaś jego był człowiekiem mniej surowych

zasad. Mój ojciec odważył się na odebranie mnie do domu. Znowu zostałem wystawiony na płochę młodych Mulatek, które dręczyły mnie wszelkimi sposobami. Bynajmniej nie rozlubowałem się w tych szaleństwach, atoli nauczyłem się wielu nowych dla mnie rzeczy i teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego mnie oddalono z Astorgas.

Wtedy to cały mój sposób myślenia uległ okropnej zmianie. Nieznane uczucia, rozwijając się w mej duszy, obudziły we mnie wspomnienia niewinnych zabaw moich lat dzieciennych. Myśl o utraconym szczęściu, o łąkach i ogrodach w Astorgas, które z tobą, pani, przebiegałem, pomieszane wspomnienia tysiącznych dowodów twojej dobroci, razem zwały się na mój umysł. Nie mogłem oprzeć się tylu nieprzyjaciołom, wpadłem w stan moralnego i fizycznego rozprężenia. Lekarze utrzymywali, że dostałem trawiącej gorączki; co do mnie, nie uważałem się za chorego, ale często do tego stopnia wpadałem w obłęd, że spostrzegałem przedmioty wcale przed mymi oczyma nieistniejące.

Ty to, pani, najczęściej w widzeniach przedstawiałaś się rozmarzonej mojej wyobraźni, nie taką, jaką dziś cię widzę, ale jaką cię opuściłem. W nocy nagle zrywałem się z pościeli i widziałem, jak biała i promienista ukazywałaś mi się w mglistej oddali. Gdy wyszedłem z miasta, wrzawa dalekich wiosek i szmer pól powtarzały mi twoje imię. Czasami zdawało mi się, że przesuwająca się po płaszczyźnie przed moim wzrokiem, gdy zaś wznosiłem oczy ku niebu, błagając go o zakończenie moich męczarni, widziałem obraz twój pławiący się w obłokach.

Zauważyłem, że zwykle najmniej cierpiał w kościele, zwłaszcza modlitwa dodawała mi ulgi. Skończyłem na tym, że całe dnie przepędzałem w świętych schronieniach. Pewien zakonnik osiwił na modlitwach i pokucie zbliżył się raz do mnie i rzekł:

— Synu mój, serce twoje przepelnia miłość, której świat ten nie jest godnym; pójdź do mojej celi, tam ci pokażę ścieżki do rajów. Poszedłem za nim i ujrzałem gwoździe, włosienicę, dyscypliny i tym podobne narzędzia męczeństwa, na których widok wcale się nie przeląkałem, żadne bowiem cierpienia nie mogły iść w porównanie z moimi. Zakonnik przeczytał mi kilka kart z *Żywotów świętych*. Prosiłem go o pożyczenie mi książki do domu i przez całą noc oddawałem się czytaniu. Nowe myśli zawładnęły moim umysłem, widziałem we śnie otwarte niebiosy i aniołów, którzy wprowadzili twoją postać mi przypominali.

Dowiedziano się naówczas w Veracruz o twoim zamęczeniu z księciem Sidonia. Od dawna miałem zamiar poświęcenia się stanowi duchownemu, całe moje szczęście pokładałem w modleniu się za twoje szczęście w tym i zbawienie w przyszłym życiu. Pobożny mój przewodnik powiedział mi, że rozwiążność zakradła się do wielu amerykańskich klasztorów, i poradził mi, abym się udał na nowicjat do Madrytu.

Uwiadomiłem o tym zamiarze mego ojca: od dawna już nie podobała mu się moja pobożność, wszelako nie śmiejąc otwarcie mnie z tej drogi sprowadzać, prosił, abym czekał na mający wkrótce nastąpić przyjazd mojej matki. Odpowiedziałem mu, że nie miałem już rodziców na ziemi i że niebo było jedyną moją rodziną. Nic mi na to nie odrzekł. Następnie poszedłem do korregidora, który pochwalił mój zamiar i kazał mnie odwiedzić do najpierwszego okrętu.

Przybywszy do Bilbao, dowiedziałem się, że moja matka tylko co odpłynęła do Ameryki. Miałem, jak to już mówiłem, listy polecające do Madrytu; gdy przejeżdżałem przez Burgos powiedziano mi, że pani mieszka w okolicach tego miasta, pragnąłem więc raz jeszcze cię ujrzeć, zanim na zawsze wyrzeknę się świata. Zdawało mi się, że jeżeli raz cię jeszcze zobaczę, z tym większym zapalem będę mógł modlić się za ciebie.

Udałem się więc drogą do waszego domu, wszedłem na pierwszy dziedziniec, myśląc, że znajdę którego z dawnych twoich służących, słyszałem bowiem, że zatrzymałaś przy sobie cały dwór z Astorgas. Chciałem dać mu się poznać i prosić go, aby mnie umieścił w takim miejscu, z którego będę mógł widzieć cię wsiadającą do karety. Pragnąłem ciebie, pani, ujrzeć, sam wcale się nie pokazując.

Tymczasem sami tylko nieznanymi przechodzili i już nie wiedziałem, co z sobą począć, gdy ujrzałem jedne drzwi od domu odemknięte. Wszedłem do pokoju całkiem próżnego, następnie zdało mi się, że spostrzegłem kogoś znajomego. Wszedłem, gdy wtem zniecka uderzono mnie kamieniem w głowę. Ale widzę, że opowiadanie moje sprawiło na pani żywe wrażenie.

— Mogę ci zaręczyć — mówiła dalej księżna — że obłąkanie Hermosita wzbudziło tylko litość we mnie, ale gdy zaczął mówić o ogrodach w Astorgas, o zabawkach naszych lat dzieciennych, wspomnienie o szczęściu, jakiego wówczas kosztowałam, myśl o terazniejszym moim szczęściu i jakaś obawa przyszłości, jakieś uczucie miłe i tęskne razem, ścisnęły mi serce i czułam, że łzy płynęły mi po twarzy.

Hermosito powstał, zdaje mi się, że chciał pocałować kraj mojej sukni, ale kolana pod nim zadrżały, głowa opadła na moje nogi i ramiona silnie okrążyły moją kibić.

W tej chwili rzuciłam wzrok na stojące naprzeciw zwierciadło i ujrzałam Mencję i księcia, ale rysy tego ostatniego przybrały tak straszliwy wyraz, że zaledwie mogłam go poznać.

Krew mi się ścisnęła w żyłach, znowu podniosłam oczy na zwierciadło, ale tym razem nic nie ujrzałam. Wszystko znikło. Wyrwałam się z rąk Hermosita, zawołałam Mencję, kazałam jej, aby miała staranie o tego chłopca, który nagle zemdlął i odeszłam do moich pokojów. Widzenie to jednakże nabawiło mnie mocnej niespokojności.

Nazajutrz posłałam dowiedzieć się o zdrowie Hermosita. Odpowiedziano mi, że już go nie ma w domu.

We trzy dni potem, gdy miałam kłaść się do łóżka, Mencja przyniosła mi list od księcia, zawierający te tylko słowa:

„Czyn, co ci poleci dona Mencja. To ci rozkazuje twój małżonek i sędzia”

Mencja zawiązała mi oczy chustką, poczułam, jak porwano mnie za ręce i zaprowadzono do tego tu podziemia. Posłyszałam szcęk łańcuchów. Zerwałam chustkę i ujrzałam Hermosita przykutego za szyję do słupa, na którym się wspierasz. Oczy miał zamknięte i twarz niezmiernie bladą.

— Tyżes to, pani — rzekł mi po chwili umierającym głosem — nie mogę mówić, nie dają mi wody i język schnie mi do podniebienia. Męczarnie moje niedługo potrważą; jeżeli pójdę do nieba, będę się modlił za ciebie.

W tej chwili wystrzał dał się słyszeć z tego oto otworu w ścianie, kula strzaskała Hermositowi ramię.

— Wielki Boże — zawołał — przebac moim katom.

Drugi wystrzał zagrzmiął z tego samego miejsca, ale nie widziałam skutku, gdyż straciłam przytomność.

Odzyskawszy zmysły, znalazłam się wśród moich kobiet, które zdawały się o niczym nie wiedzieć, oznajmiły mi tylko, że Mencja dom opuściła.

Nazajutrz z rana koniuszy przyszedł i doniósł mi od księcia, że pan jego tej nocy z tajemnym poleceniem wyjechał do Francji i że nie wróci aż za kilka miesięcy.

Tak zostawiona samej sobie, przyzwałam odwagę w pomoc, zostawiłam moją sprawę najwyższemu sędziemu i oddałam się wychowaniu mojej córki.

Po trzech miesiącach zjawiała się Giralda. Przybywała z Ameryki i była w Madrycie, gdzie szukała syna w klasztorze, w którym miał odprawiać nowicjat. Nie znalazłszy go tam, pojechała do Bilbao i za śladami Hermosita dostała się do Burgos. Lękając się smutnych wybuchów, opowiedziałam jej część prawdy; rozżalona, potrafiła wydrzeć mi całą tajemnicę. Znasz przykry i gwałtowny charakter tej kobiety. Wściekłość, rozpacz, najstraszniejsze uczucia, jakie mogą opanować duszę, miały kolejno jej umyślem. Ja byłam zbyt nieszczęśliwa, abym mogła ją pocieszać.

Pewnego dnia Giralda, porządkując w swoim pokoju, odkryła w ścianie tajne drzwiczki i dostała się aż do podziemia, gdzie natychmiast poznała słup, do którego przywiązano jej syna. Znać było jeszcze ślady krwi. Wpadła do mnie w stanie najokropniejszego obłąkania. Odtąd często zamykała się w swoim pokoju, ale mniemam, że musiała przesiadywać w podziemiu i roić jakieś zamiary zemsty.

W miesiąc potem oznajmiono mi o bliskim przybyciu księcia. Oczekiwałam go spokojnie. Wszedł poważnie, popieścił się z dzieckiem, po czym kazał mi usiąść i siadł obok mnie.

— Pani — rzekł — długo zastanawiałem się, jak mam z tobą postąpić, namyśliłem się, aby w niczym nie zaprowadzać odmiany. Będą ci usługiwać w moim domu z tym

samym jak dotąd szacunkiem, będziesz na pozór odbierała ode mnie dowody tego samego przywiązania; ale wszystko to będzie trwało tylko dopóki córka twoja nie dojdzie szesnastu lat.

— Skoro zaś moja córka dojdzie szesnastu lat, cóż się ze mną stanie? — zapytałam księcia.

W tej chwili Giralda przyniosła czekoladę, nagle przyszła mi myśl o truciznie, ale książę nie dał mi czasu do namysłu i szybko rzekł:

— Skoro twoja córka skończy szesnasty rok, zawołam ją do siebie i tak się do niej odezwę: „Twoje rysy, moje dziecię, przypominają mi twarz kobiety, której historię ci opowiem. Piękna jak anioł, zdawała się mieć duszę jeszcze piękniejszą, ale cóż z tego, kiedy udawała tylko cnotliwą. Tak doskonale umiała przybierać różne powierzchowności, że dzięki tej sztuce zawarła jedno z najświetniejszych małżeństw w Hiszpanii. Pewnego dnia, gdy mąż musiał oddalić się, kazała sprowadzić ze swojej prowincji małego nędznika. Przypomnieli sobie dawne miłości i padli sobie wzajemnie w objęcia. Tą niegodziwą obłudnicą jest twoja matka”. Następnie wypędzę cię z mojej posiadłości i pójdiesz płakać na grobie twojej matki, która nie była poczciwsza od ciebie.

Niesprawiedliwość tak dalece zatwardziła już moje serce, że mowa ta nie uczyniła na mnie najmniejszego wrażenia. Wzięłam dziecię na ręce i odeszłam do mego pokoju.

Na nieszczęście zapomniałam o czekoladzie, książę zaś, jak się później dowiedziałam, od dwóch dni nic nie jadł. Filiżanka stała przed nim, porwał ją i wychylił duszkiem, po czym odszedł do siebie. W pół godziny później posłał po doktora Sangro-Moreno i kazał, aby oprócz niego nikogo nie wpuszczano.

Udano się do doktora, ale wyjechał był na wieś dla przeprowadzenia jakiejś dyssekcji, pojechano za nim, ale już go tam nie było, szukano go u wszystkich jego pacjentów, nareszcie we trzy godziny przybył i znalazł księcia trupem.

Sangro-Moreno, z wielką uwagą zastanawiał się nad ciałem księcia, wpatrywał się w paznokcie, oczy, język, kazał przynieść od siebie mnóstwo flaszek i zaczął czynić jakieś doświadczenia. Następnie przyszedł do mnie i rzekł:

— Mogę panią zapewnić, że książę umarł wskutek mieszaniny żywicy narkotycznej z metalem gryzącym. Wszelako obowiązki krwawego trybunału nie do mnie należą, zostawiam więc sprawę tę Najwyższemu Sędziemu w niebie. Przed światem ogłaszę, że książę skończył na uderzenie krwi.

Inni lekarze przyszedli i potwierdzili zdanie Sangro-Morena.

Kazałam przywołać Giralde i powtórzyłam jej słowa doktora. Pomieszenie jej zdradziło ją.

— Otrułaś mego małżonka — rzekłam — jakimże prawem chrześcijanka mogła dopuścić się podobnej zbrodni?

— Jestem chrześcijanką — odrzekła — to prawda, ale jestem także i matką i gdyby ci zamordowano własne dziecko, kto wie, czyli¹⁷² nie stałabyś się okrutniejsza od rozjuszonej tygrysy?

Uczyniłam jej uwagę, że mogła mnie także otruć.

— Bynajmniej — odpowiedziała — patrzyłam przez dziurkę od klucza i byłabym natychmiast wpadła, gdybyś się była dotknęła filiżanki.

Następnie przyszedli kapucyni, domagając się ciała księcia dla zabalsamowania go. Na poparcie żądania przynieśli własnoręczny rozkaz arcybiskupa, niepodobna więc było im się opierać.

Giralda, która dotąd okazywała dość odwagi, nagle przelekkła się i zmieszala. Drżała, ażeby balsamując ciało nie odkryto śladów trucizny, i usilne jej prośby skłoniły mnie do tej nocnej wycieczki, której jestem winna przyjemność posiadania cię w moim domu.

Nadęta moja mowa na cmentarzu miała za cel oszukanie służących, spostrzegłszy zaś, że zamiast ciała ciebie tu przynieśliśmy, aby nie wyprowadzać ich z błędu, musieliśmy obok kaplicy ogrodowej pochować wypchaną lalkę.

Pomimo tych ostrożności Giralda dotąd jeszcze nie jest spokojna, mówi ciągle o powrocie do Ameryki i pragnie cię tu zatrzymać, dopóki nie przedsięwzięmie jakiego sta-

¹⁷²czyli (daw.) — konstrukcja z partycułą -li; inaczej: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

nowczego środka. Co do mnie, niczego się nie lękam i jeżeli mnie powołają przed sąd, szczerze wyznam wszystko. Zresztą uprzedziłam o tym Giralde.

Niesprawiedliwość i okrucieństwa księcia pozbawiły go mojej miłości i nigdy nie mogłabym żyć z nim razem. Jedynym moim szczęściem jest moja mała córeczka; nie lękam się o jej los. Tytuły i mnogie dostatki spadną kiedyś na nią, nie potrzebuję więc troszczyć się o jej przyszłość.

Oto jest wszystko, o czym chciałeś się dowiedzieć, mój młody przyjacielu. Giralda wie, że uwiadamiam cię o wszystkim i utrzymuje, że nie należy zostawiać cię w niepotrzebnych domysłach. Ale duszno mi w tym podziemiu, muszę pójść na górę, odetchnąć świeżym powietrzem.

Skoro księżna odeszła, rzuciłem wzrok dokoła i w istocie znalazłem, że widok mego podziemia był nader smutny; grób młodego męczennika i słup, do którego był przywiązany, dodawały jeszcze posępności. Dobrze mi było w tym więzieniu, dopóki obawiałem się teatynów, ale teraz, skoro wiedziałem, że sprawa była załatwiona, pobyt mój zaczął mi być nieznośny. Bawiło mnie zaufanie Giraldy, która postanowiła trzymać mnie tu przez dwa lata. W ogóle obie kobiety tak mało znały się na rzemiośle strażników, że zostawiały otworem drzwi od podziemia, sądząc zapewne, że oddzielająca mnie krata była nieprzewycięzoną przeszkodą. Tymczasem ułożyłem już sobie plan nie tylko ucieczki, ale całego postępowania przez dwa lata, które przeznaczono mi na pokutę. W krótkich słowach opowiem wam moje zamiary.

Podczas mego pobytu w kolegium teatynów często zastanawiałem się nad szczęściem, jakiego zdawali się kosztować niektórzy mali żebracy, zasiadający u drzwi naszego kościoła. Ich los wydawał mi się daleko przyjemniejszy od mojego. W istocie, podczas gdy ja usychałem nad książkami, nie mogąc nigdy zadowolić moich nauczycieli, te szczęśliwe dzieci nędzy biegały po ulicy, grały w karty na schodach przysionku i pląciły sobie kasztanami. Czasami biły się do upadłego i nikt im nie przerywał tej rozrywki, tarzały się w piasku i nikt nie zmuszał ich do mycia, rozbierały się na ulicy i prały koszule przy studni. Możnaż było przyjemniej żyć na świecie?

Myśli o podobnym szczęściu zajmowały mnie podczas mego pobytu w podziemiu i osądziłem, że najlepiej będzie, jeżeli raz wydostawszy się z więzienia, przez dwa lata pokuty obiorę stan żebraka. Wprawdzie byłem dość wykształcony i można było po mowie odróżnić mnie od moich towarzyszków, ale spodziewałem się, że łatwo potrafię przejąć ich zwyczaje i następnie po dwóch latach powrócić do moich. Jakkolwiek myśl ta była nieco dziwna, przecież w położeniu, w jakim się znajdowałem, nie mogłem wpaść na lepszą.

Powziąwszy takie postanowienia, złamałem ostrze noża i zacząłem pracować nad przepiłowaniem kraty. Przez pięć dni męczyłem nad jednym prętem. Sprzątałem starannie proch z kamienia i zasadzałem żelazo na powrót, tak że niepodobna było niczego się domyślić.

W dniu, w którym dokończyłem pracę, gdy Giralda przyniosła mi koszyk, zapytałem, czy nie lęka się, aby nie odkryto przypadkiem, że żywi jakiegoś nieznajomego chłopca w podziemiu.

— Wcale nie — odpowiedziała — zasuwa, którą się tu dostałeś wychodzi do osobnego pawilonu, którego drzwi kazałam zamurować pod pozorem, że przywodzi księżnie na pamięć bolesne wspomnienia, przejście zaś, którym przychodzimy do ciebie, prowadzi do mego sypialnego pokoju i zakryte jest kobiercem.

— Musi jednak być zabezpieczone żelaznymi drzwiczkami?

— Bynajmniej — odrzekła — drzwi są dość lekkie, ale starannie ukryte, a wreszcie wychodząc, zamykam mój pokój na klucz. Są tu jeszcze i inne podziemia podobne do tego i jak mniemam, przed nami musiał tu mieszkać niejeden zazdrośnik i popełnić niejedną zbrodnię.

To mówiąc, Giralda chciała odejść.

— Dlaczegoż, pani, już wychodzisz? — zapytałem.

— Nie mam czasu do stracenia — odrzekła — księżna skończyła dziś szósty tydzień żałoby i pragnie udać się na przechadzkę.

Dowiedziałem się, czego chciałem i nie zatrzymałem więcej Giraldy, która wyszła i tym razem nie zamykając drzwi za sobą. Czym prędzej napisałem do księżnej list

z przeprosinami, położyłem go na kracie, następnie wyjąłem pręt i wszedłem do pierwszego podziemia, potem ciemnym korytarzem dostałem się do jakichś zamkniętych drzwi. Usłyszałem turkot powozu i tętent kilku koni; wniosłem stąd, że księżna musiała wraz z mamką wyjechać z willi.

Zacząłem wylaamywać drzwi. Spróchniałe deski niedługo opierały się moim usiłowaniom. Naówczas dostałem się do pokoju mamki, wiedząc zaś, że zamknęła drzwi na klucz, osądziłem, że mogę bezpiecznie udzielić sobie chwili wypoczynku.

Przejrzałem się w zwierciadle i uznałem, że powierzchowność moja wcale nie odpowiadała stanowi, jaki miałem obrać. Wziąłem węgiel z komina, przyćmiłem nieco bladej mojej cery, następnie porozdzierałem koszulę i suknie, zbliżyłem się do okna i ujrzałem, że wychodzi na ogród, miły niegdyś panom domu, w obecnej jednak chwili zupełnie opuszczony.

Otworzyłem okno, spostrzegłem, że żadne inne nie wychodziło na tę stronę, przedział nie był wysoki, mogłem być skoczyć, ale wolałem użyć prześcieradeł Giraldy; wylazłem na jakąś starą altanę, stamtąd wdrapałem się na mur i wydobyłem na czyste pole, szczęśliwy, że oddycham wolnym powietrzem i pozbywam się teatynów, inkwizycji, księżnej i jej mamki.

Spostrzegłem z daleka Burgos, ale puściłem się w przeciwną stronę i niebawem przybyłem do nędznej karczmy; pokazałem gospodyni monetę¹⁷³, którą od dawna już miałem zawiniętą w papierze i powiedziałem, że chciałem od razu całą u niej wydać. Na te słowa roześmiała się i przyniosła mi za podwójną wartość chleba i cebuli. Posiliwszy się, poszedłem do stajni i zasnąłem, jak zwykle człowiek zasypia w szesnastym roku życia.

Przybyłem do Madrytu bez żadnej zasługującej na wzmiankę przygody. Przede wszystkim przebiegłem place i ulice, szukając miejsca jak najkorzystniejszego dla mego powołania.

Przechodząc przez ulicę Toledo, spotkałem dziewczynę niosącą flaszkę z atramentem. Zapytałem, czy przypadkiem nie wraca od pana Avadero.

— Nie — odpowiedziała — idę od don Filipa del Tintero Largo.

Przekonałem się, że znano mego ojca zawsze pod tym samym nazwiskiem i że dotąd zajmuje się tymi samymi rzeczami.

Jednakowoż należało pomyśleć o wyborze miejsca. Ujrzałem pod przysionkiem kościoła świętego Rocha kilku łotrów mego wieku, których powierzchowność przypadła mi do gustu. Zbliżyłem się do nich, mówiąc, że przybyłem z prowincji, aby polecić się miłosierdziu boskiemu, że jednak została mi garstka miedziaków, którą chętnie złożę do wspólnej kasy, jeżeli takową posiadają. Słowa te sprawiły na słuchaczach miłe wrażenie, odpowiedzieli mi, że w istocie posiadają małą wspólną kasę, złożoną tymczasowo u przekupki kasztanów na rogu ulicy.

Zaprowadzili mnie tam, po czym wrócili do przysionku i zaczęli grać w chapankę. Podczas gdy z całą uwagą oddawaliśmy się tej zabawce, jakiś dobrze ubrany jegomość zdawał się nam kolejno bacznie przyglądać. Już mieliśmy krzyknąć mu jakieś głupstwo, gdy uprzedził nas i zawołał mnie, rozkazując, abym szedł za nim. Zaprowadził mnie w ciasną uliczkę i rzekł:

— Moje dziecko, wybrałem ciebie spośród twoich towarzyszy, dlatego że twarz twoja zapowiada więcej od innych rozumu, tego zaś potrzeba do polecenia, jakie masz spełnić. Słuchajże więc z uwagą. Ujrzysz tu wiele przechodzących kobiet, jednakowo ubranych w czarne aksamitne suknie i mantyle z czarnymi koronkami, które tak doskonale zasłaniają im twarze, że niepodobna żadnej rozpoznać. Na szczęście wzory aksamitu i koronek są rozmaite, tym więc sposobem łatwo iść śladem pięknych nieznanomych. Jestem kochankiem pewnej młodej osoby, która, o ile mi się zdaje, ma niejaką skłonność do niestałości, postanowiłem zatem stanowczo się przekonać. Oto masz dwie próbki aksamitu i dwie koronek. Jeżeli spostrzeżesz dwie kobiety, których suknie odpowiadają tym próbkom, będziesz uważał, czy wejdą do kościoła lub też do tego oto domu naprzeciwko, należącego do kawalera Toledo. Naówczas przyjdiesz zdać mi sprawę do kupca win na rogu ulicy. Masz tymczasem jedną sztukę złota, dostaniesz drugą, jeżeli dobrze się sprawisz.

¹⁷³monetę — w innym oprac.: dwadzieścia realów. [przypis edytorski]

Podczas gdy nieznajomy to mówił, bacznie mu się przypatrywałem i zdało mi się, że wyglądał bardziej na męża niż na kochanka. Przyszły mi na myśl okrucieństwa księcia Sidonii i lękałem się zgrzeszyć, poświęcając uczucia miłości czarnym podejrzeniom hymenu. Postanowiłem więc spełnić tylko połowę polecenia, to jest donieść zazdrośnikowi, gdyby dwie kobiety weszły do kościoła, w przeciwnym jednak razie chciałem je same uprzedzić o grożącym im niebezpieczeństwie.

Powróciłem do towarzyszków, powiedziałem im, aby grały, nie zwracając na mnie uwagi i położyłem się za nimi, rozslawszy przed sobą próbki aksamitu i koronek.

Wkrótce mnóstwo kobiet zaczęło wstępować parami, nareszcie zbliżyły się dwie, na których poznałem suknie wskazane mi przez niegodziwego. Obie kobiety udały, że wscho-
dzą do kościoła, ale zatrzymały się pod przysionkiem, obejrzały dokoła, czy kto za nimi nie idzie, po czym szybko przebiegły ulicę i weszły do domu na przeciwko.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, przysłano po niego i musiał odejść. Wtedy Velasquez zabrał głos i rzekł:

— W istocie obawiam się tej historii, wszystkie przygody Cygana zaczynają się po prostu i słuchacz sądzi, że wkrótce dopatry się końca. Tymczasem nic z tego; jedna historia rodzi drugą, z której wywija się trzecia, coś na kształt tych resztek ilorazów, które w pewnych przypadkach można rozdrobnić aż do nieskończoności. Na zatrzymanie atoli różnego rodzaju postępów są sposoby, tu jednak za całą sumę tego wszystkiego, co nam Cygan opowiadał, mogę tylko otrzymać niepojętą gmatwaninę.

— Pomimo to — rzekła Rebeka — słuchasz go pan z wielką przyjemnością, gdyż zdaje mi się, że miałeś zamiar prosto udać się do Madrytu, a tymczasem niepodobna ci nas opuścić.

— Dwa powody skłaniają mnie do zostania w tych miejscach — odrzekł Velasquez — naprzód, zacząłem ważne rachunki, które pragnę tu skończyć, po wtóre, wyznam pani, że w towarzystwie żadnej kobiety nie doświadczyłem takiej przyjemności, ile w twoim, czyli wyraźniej mówiąc, jesteś pani jedyną kobietą, z którą rozmowa sprawia mi przyjemność.

— Mości książę — odpowiedziała Żydówka — rada bym, aby ten drugi powód stał się kiedyś pierwszym.

— Mało zapewne na tym zależy — rzekł Velasquez — czy myślę o pani przed lub po geometrii, inna rzecz wprawia mnie w kłopot. Dotąd nie znam nazwiska pani, muszę go oznaczyć cyfrą X lub Z, jakie w algebrze nadajemy zwykle wartościom nieznanym.

— Nazwisko moje — rzekła Żydówka — jest tajemnicą, którą chętnie powierzyłabym twojej uczciwości, gdybym się nie lękała skutków twego roztargnienia.

— Nie lękaj się, pani — przerwał Velasquez. — Za pomocą częstego używania substancji w rachunkach przyzwyczaiłem się zawsze jednym sposobem oznaczać te same wartości. Skoro więc raz nadam ci jakie nazwisko, później, pomimo najszerszej chęci, nie bédziesz w stanie go odmienić.

— Dobrze więc — rzekła Rebeka — nazywaj mnie zatem Laurą Uzeda.

— Jak najchętniej — odparł Velasquez — albo też piękną Laurą, uczoną Laurą, zachwycającą Laurą, gdyż wszystko to są wykładniki twojej ogólnej wartości.

Gdy tak między sobą rozmawiali, przyszła mi na pamięć obietnica, jaką dałem rób-
nikowi, że go odwiedzę o czterysta kroków na zachód od obozu. Wziąłem szpadę i gdy oddaliłem się o tę prawie odległość od obozu, usłyszałem wystrzał z pistoletu. Skierowa-
łem kroki w stronę lasu, skąd wystrzał pochodził, i znalazłem ludzi, z którymi miałem do czynienia. Naczelnik ich rzekł do mnie:

— Witaj señor kawalerze, widzę, że umiesz dotrzymać słowa i nie wątpię, że jesteś równie odważny. Widzisz ten otwór w skale, prowadzi on do podziemi, gdzie oczekują cię z najżywszą niecierpliwością. Spodziewam się, że nie zawiedziesz położonego w tobie zaufania.

Wszedłem do podziemia, zostawiwszy nieznajomego, który wcale za mną nie zdą-
żał. Postąpiwszy kilka kroków naprzód, usłyszałem łoskot za sobą i spostrzegłem, jak ogromne głazy zawały wejście za pomocą niepojętego mechanizmu. Słaby promyk świa-
tła wdzierający się przez rozpadlinę w skale ginął w ciemnym korytarzu. Pomimo jednak ciemności, łatwo postępowałem, droga bowiem była gładka i spadzistość niewielka. Nie

Flirt, Nauka, Kobieta

męczyłem się więc bynajmniej; ale sądzę, że niejeden człowiek na moim miejscu byłby doznał obawy, zapuszczając się tak bez celu we wnętrzości ziemi. Postępowałem przez dobre dwie godziny ze szpadą w jednej ręce, z drugą zaś wyciągniętą dla zabezpieczenia się przeciw uderzeniom. Nagle powietrze zadrgało obok mnie i usłyszałem cichy, harmonijny głos, który mi szeptał do ucha:

— Jakim prawem śmiertelnik odważa się wkraczać do państwa gnomów?

Drugi głos, równie łagodny, odpowiedział:

— Być może przychodzi wydrzeć nam nasze skarby.

Pierwszy głos mówił dalej:

— Gdyby chciał rzucić szpadę, zbliżyłybyśmy się do niego.

Z kolei ja zabrałem głos i rzekłem:

— Czarujące gnomidy, które jeżeli się nie mylę, poznają po głosie, nie wolno mi rzucać szpady, ale wetknąłem ostrze w ziemię, śmiało więc możecie się przybliżyć.

Podziemne bóstwa ujęły mnie w objęcia, wszelako tajemnym uczuciem odgadłem, że to były moje kuzynki. Żywe światło, które nagle ze wszech stron wytrysło, przekonało mnie, że się nie pomylił. Zaprowadziły mnie do jaskini ozdobionej węgłowiami i wyłożonej świetnymi kruszcami połyskującymi tysiącnymi barwami opalu.

— Cóż — rzekła Emina — czy rad jesteś z naszego spotkania? Żyjesz teraz w towarzystwie młodej Izraelitki, której rozum dorównuje wdziękowi.

— Mogę ci zaręczyć — odpowiedziałem — że Rebeka nie sprawiła na mnie żadnego wrażenia, ale ile razy was widzę, zawsze z niespokojnością myślę, że już was więcej nie ujrzę. Chciano we mnie wmówić, że jesteście nieczystymi duchami, wszelako nigdy temu nie dałem wiary. Wewnętrzny jakiś głos zapewniał mnie, że jesteście istotami mego rodzaju, stworzonymi do miłości. Powszechnie utrzymują, że nie można kochać prawdziwie jak tylko jedną kobietę: jest to błąd bez wątpienia, gdyż ja kocham was obie zarówno. Serce moje bynajmniej was nie rozdziela, obie razem wspólnie nad nim panujecie.

— Ach! — zawołała Emina — otóż to krew Abencerragów mówi przez ciebie, ponieważ możesz kochać razem dwie kobiety. Przyjmij więc świętą wiarę, która pozwala na wielożeństwo.

— Być może — przerwała Zibelda — że wówczas, zasiadłbyś na tronie w Tunisie. Gdybyś widział ten czarowny kraj, seraje Bardo i Manuby, ogrody, wodotryski, rozkoszne łaźnie i tysiące młodych niewolnic daleko od nas piękniejszych.

— Nie mówmy — rzekłem — o tych królestwach, które słońce oświeca, jesteśmy teraz w sam nie wiem jakiej otchłani, ale jakkolwiek graniczymy z piekłem, możemy przecie znaleźć tu rozkosze, które, powiadają, że prorok obiecuje swoim wybranym.

Emina tęsknie się uśmiechnęła, po chwili jednak spojrzała na mnie czułymi oczyma. Zibelda zarzuciła mi rękę na szyję.

DZIEŃ TRZYDZIESTY

Obudziwszy się, nie znalazłem już moich kuzynek. Niespokojny, obejrzałem się dokoła i spostrzegłem przed sobą długą, oświetloną galerię, domyśliłem się, że to była droga, którą powinienem był postępować. Ubrałem się czym prędzej i po półgodzinnym pochodzie przybyłem do krętych schodów, którymi wedle upodobania mogłem albo wydostać się na powierzchnię ziemi, albo pogrążyć w jej wnętrzościach. Obrąłem tę drugą drogę i zaszedłem do podziemia, gdzie ujrzałem grobowiec z białego marmuru, oświetlony czterema lampami i starego derwisza, który odmawiał przy nim pacierze.

Starzec obrócił się do mnie i rzekł łagodnym głosem:

— Witaj nam, señor Alfonsie, od dawna czekamy już na ciebie.

Zapytałem go, czy to nie są czasy podziemia Kassar-Gomelezu.

— Nie mylisz się, szlachetny nazarejczyku — odrzekł derwisz. — Grób ten zawiera w sobie sławną tajemnicę Gomelezów; ale zanim uwiadomię cię o tym ważnym przedmiocie, pozwól, abym ci ofiarował lekki posiłek. Będziesz dziś potrzebował wszystkich sił twego umysłu i ciała, a być może — dodał złośliwie — że to ostatnie domaga się wypoczynku.

Miłość, Kochanek

Po tych słowach starzec zaprowadził mnie do sąsiedniej jaskini, gdzie znalazłem czysto zastawione śniadanie. Gdy posiliłem się, mój gospodarz prosił mnie, abym posłuchał z uwagą i rzekł:

— Señor Alfonsie, nie jest mi obcym, że piękne twoje kuzynki uwiadomiły cię o historii twoich przodków i o wadze, jaką ci przywiązywali do tajemnicy Kassar Gomelezu. W istocie, nic w świecie nie może być tak ważnego. Człowiek posiadający naszą tajemnicę, z łatwością mógłby skłonić do posłuszeństwa całe narody i być może założyć nawet uniwersalną monarchię. Z drugiej jednak strony, potężne te i niebezpieczne środki w nierozsądnych rękach na długo mogłyby zniszczyć porządek zaprowadzony w posłuszeństwie. Prawa od wielu wieków rządzące nami postanowiły, że tajemnica może być odkryta tylko ludziom z krwi Gomelezów i to wtedy, gdy mnogie próby przekonają o niezłomności i prawości ich sposobu myślenia. Wypada także żądać złożenia uroczystej przysięgi, popartej całą siłą form religijnych. Wszelako znając twój charakter, poprzestaniemy na twoim słowie honoru. Ośmielam się więc prosić cię o zaręczenie słowem honoru, że nigdy nikomu nie wyjawisz tego, co tu zobaczysz lub usłyszysz.

Zdało mi się w pierwszej chwili, że będąc w służbie króla hiszpańskiego, nie powinienem dawać mego słowa, nie dowiedziawszy się wprzód, czyli¹⁷⁴ nie ujrzę w tej jaskini rzeczy, które by sprzeciwiały się jego godności. Napomknąłem o tym derwiszowi.

— Twoja przezorność, señor, jest na miejscu — odpowiedział derwisz — ramię twoje należy do króla, któremu służysz, ale tu znajdujesz się w podziemnych okolicach, gdzie jego władza nigdy się nie przedarła. Krew, z której pochodzisz także wkłada na ciebie obowiązki, nareszcie słowo honoru, jakiego od ciebie wymagam, jest tylko dalszym ciągiem tego, które dałeś twoim kuzynkom.

Poprzestałem na tym rozumowaniu, aczkolwiek nieco szczegółowym, i dałem słowo, którego ode mnie żądano.

Natenczas derwisz popchnął jedną ścianę grobowca i pokazał mi schody prowadzące do głębszych jeszcze podziemi.

— Zejdź tędy — rzekł — ja nie potrzebuję ci towarzyszyć, wszelako wieczorem przyjdę po ciebie.

Zszedłem więc i ujrzałem rzeczy, które z prawdziwym szczęściem bym wam opowiedział, gdyby dane słowo honoru nie kładło temu nieprzewyciężonej przeszkody.

Stosownie do obietnicy, derwisz przyszedł po mnie wieczorem. Wyszliśmy razem i przybyliśmy jeszcze do innej jaskini, gdzie nam zastawiono wieczerzę. Stół umieszczony był pod złotym drzewem wyobrażającym rodowód Gomelezów. Drzewo rozrastało się na dwie główne gałęzie, z których jedna, przeznaczona dla Gomelezów mahometanów, zdawała się rozkwitać całą siłą roślinności; druga zaś, Gomelezów chrześcijan, widocznie schła i najeżała długie i groźne ciernie. Po wieczerzy derwisz rzekł:

— Nie dziw się nad różnicą, jaką spostrzegasz między tymi dwoma głównymi gałęziami. Gomelezowie wierni prawom proroka otrzymali korony w nagrodę, podczas gdy drudzy żyli nieznanymi i zajmowali różne mało ważne urzędy. Żadnego z tych drugich nigdy nie przypuszczono do świadomości naszej tajemnicy i jeżeli gwoli tobie¹⁷⁵ uczyniono wyjątek, winien to jesteś szczególnej zasłudze, jaką sobie zjednałeś, pozyskując przychylność dwóch księżniczek z Tunisu. Pomimo to masz dotąd słabe tylko pojęcie o naszej polityce; gdybyś chciał przejść do drugiej gałęzi, do tej, która kwitnie i z każdym dniem coraz bujniej kwitnąć będzie, wtedy miałbyś czym zadowolić swoją miłość własną i mógłbyś przedsięwziąć olbrzymie zamiary.

Chciałem odpowiedzieć, ale derwisz nie dał mi wyrzec jednego słowa i tak dalej mówił:

— Wszelako należy ci się pewna część dóbr twojej rodziny i pewna nagroda za trudy, jakie podjąłeś w przybyciu do tego podziemia. Oto jest weksel na Estebana Moro, najbogatszego bankiera z Madrytu; suma zdaje się wynosić tylko tysiąc realów, ale jedno tajemne pociągnięcie pióra czyni ją nieograniczoną i dadzą ci na twój podpis, ile sam zażadasz. Teraz pójdiesz tymi krętymi schodami i gdy naliczysz trzy tysiące pięćset stopni, dostaniesz się do pomieszczenia o nader niskim sklepieniu, gdzie musisz przeczłogać się

¹⁷⁴czyli (daw.) — czy też, czy aby. [przypis edytorski]

¹⁷⁵gwoli tobie (daw.) — dla ciebie. [przypis edytorski]

pięćdziesiąt kroków, a wtedy znajdziesz się pośród zamku Al-Kassar, czyli Kassar-Gomelez. Dobrze uczynisz, jeżeli tam przenocujesz, nazajutrz zaś u stóp góry łatwo spostrzeżesz obóz Cyganów. Żegnam cię, drogi Alfonsie, oby święty nasz prorok raczył oświecić cię i ukazać drogę prawdy.

Derwisz uściskał mnie, pożegnał i zamknął drzwi za mną. Musiałem co do słowa wypełnić jego polecenia. Drapiąc się pod górę, często zatrzymywałem się dla nabrania oddechu, nareszcie ujrzałem nad sobą gwiaździste niebo. Położyłem się pod rozwalonym sklepieniem i zasnąłem.

DZIEŃ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Obudziwszy się, spostrzegłem w dolinie obóz Cyganów i poznałem po panującym w nim ożywieniu, że mieli się ku pochodowi, aby znowu rozpocząć swe błędne wędrówki. Pospieszyłem złączyć się z nimi. Spodziewałem się mnogich zapytań względem mojej nieobecności przez te dwie noce, ale nikt się do mnie nie odezwał, tak dalece przygotowania do odjazdu zajmowały każdego.

Skoro wszyscy dosiedliśmy koni, kabalista rzekł:

— Dzisiaj mogę was zapewnić, że do woli nasycimy się rozmową Żyda Wiecznego Tułacza. Nie straciłem całej władzy, jak to zuchwalec śmiał utrzymywać. Już był blisko Tarudantu, gdy zmusiłem go do powrotu. Opiera się moim rozkazom i idzie, jak może najwolniej, ale mam środki przyspieszenia jego kroków.

To mówiąc, dobył z kieszeni książkę, zaczął wymawiać jakieś barbarzyńskie formuły i wkrótce na wierzchołku góry spostrzegliśmy starego włóczęgę.

— Widzicie go? — krzyknął Uzeda. — Łotr! Leniwiec! Zobaczycie, jak się z nim przywitam.

Rebeka jęła wstawiać się za winnym i kabalista, zda się, ochłonął z gniewu, wszelako gdy Żyd zbliżył się ku nam, Uzeda nie mógł powstrzymać się od uczynienia mu żwawych wyrzutów w języku dla mnie niezrozumiałym. Następnie rozkazał mu kroczyć obok mego konia i ciągnąć dalej opowiadanie swoich przygód od miejsca, w którym był je zaprzestał. Nieszczęśliwy wędrowiec pochylił głowę i tak zaczął:

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Mówiłem wam, że utworzyła się w Jerozolimie sekta herodian, która utrzymywała, że Herod był mesjaszem; nadto obiecałem uwiadomić was o ukrytym znaczeniu, jakie Żydzi przywiązywali do tego wyrazu. Powiem wam więc, że „mesjasz” znaczy po hebrajsku „namaszczony, pomazany olejem” — „*christos*” zaś jest greckim tłumaczeniem tego nazwiska. Jakub, obudziwszy się po sławnym swoim widzeniu, rozlał olej na kamień, na którym głowa jego spoczywała i nazwał to miejsce *Bethel*, czyli: „Dom Boga”. Możecie przekonać się u Sanchuniatona¹⁷⁶, że Uranos wynalazł *betyle*, czyli ożywione kamienie. Wierzono naówczas, że Duch Święty natychmiast napełniał wszystko, cokolwiek było poświęcone przez pomazanie.

Zaczęto namaszczać królów i mesjasz stał się jednoznacznikiem króla. Gdy Dawid mówi o mesjaszu, siebie samego ma wówczas na widoku, jak to można poznać z drugiego jego psalmu. Skoro jednak królestwo żydowskie — rozdzielone, a następnie zajęte przez obcych — stało się igraszką sąsiednich mocarstw, zwłaszcza zaś gdy lud zaprowadzono do niewoli, prorocy co sił zaczęli go pocieszać, mówiąc, że przyjdzie dzień, w którym z pokolenia Dawidowego narodzi się król. Ten upokorzy dumę Babilonu i w tryumfie wywiedzie Żydów z niewoli. Najwspanialsze gmachy z łatwością przedstawiały się natchnieniu proroków, stąd też nie omieszkali zabudowywać przyszłe Jeruzalem, by stało się godne przyjęcia w swych murach tak potężnego króla, z świątynią, której by nie brakowało nic, coby tylko mogło podnieść w oczach ludu poszanowanie wiary. Żydzi, chociaż do słów ich nie przywiązywali wielkiej wagi, z przyjemnością jednak słuchali proroków. W istocie, niepodobna było wymagać, aby się gorąco zajmowali wypadkami, które miały dopiero nastąpić dla praprawników ich wnuków.

¹⁷⁶*Sanchuniaton* — Fenicjanin, autor trzech zaginionych dzieł w języku fenickim, zachowanych tylko we fragmentach i w greckich streszczeniach (w *Praeparatio Evangelica* Euzebiusza), stanowiących jedyne źródło dotyczące religii fenickiej. [przypis edytorski]

Zdaje się, że pod panowaniem Macedończyków zupełnie zapomniano o prorokach, dlatego też w żadnym Machabeuszu nie widziano mesjasza, chociaż ci wyzwolili kraj z niewoli u cudzoziemców. Żadnego też z ich potomków, którzy nosili tytuł królewski, nie przepowiedzieli prorocy.

Inaczej wszakże działo się za panowania starego Heroda. Dworzanie tego władcy, wyczerpawszy przez czterdzieści lat wszystkie pochlebstwa uprzyjemniające mu życie, wmówili w niego nareszcie, że jest mesjaszem zapowiedzianym przez proroków. Herod, zniechęcony do wszystkiego oprócz najwyższej władzy, której z każdym dniem coraz więcej pragnął, uznał zdanie to za jedyny środek przekonania się, którzy z poddanych prawdziwie byli mu wierni.

Przyjaciele jego więc utworzyli sektę herodian, których naczelnikiem był oszust Sedekias, młodszy brat mojej babki. Pojmujecie, że ani mój dziad, ani Delliusz nie myśleli już o przesiedleniu się do Jerozolimy. Kazali ukuć małą skrzynkę z miedzi i zamknęli w niej kontrakt sprzedaży domu Hillela, rewers jego na trzydzieści tysięcy darejków wraz z cesją, którą Delliusz zeznał na rzecz ojca mego, Mardocheja. Następnie przyłożyli pieczęcie i postanowili nie myśleć o tym, dopóki okoliczności nie przybiorą przyjaźniejszego dla nich obrotu.

Herod umarł i Judea stała się pastwą najopłakańszych waśni. Trzydziestu naczelników stronnictw kazało się namaścić i ogłosić Mesjaszami. W kilka lat potem Mardochej zaślubił córkę jednego z sąsiadów i ja, jedyny owoc ich związku, przyszedłem na świat w ostatnim roku panowania Augusta. Dziad mój chciał osobiście odprawić uroczystość obrzezania i rozkazał w tym celu przygotować wspaniałą ucztę; ale, przyzwyczajony do odosobnienia i skolatany wiekiem, wskutek tych zachodów wpadł w chorobę, która w kilka tygodni zaprowadziła go do grobu. Wyzionął ducha w objęciach Delliusa, polecając mu, aby starał się zachować dla nas skrzynkę miedzianą i nie pozwolił, iżby niegodziwiec spokojnie używał owoców swej zbrodni. Moja matka, której połóg nie odbył się szczęśliwie, o kilka tylko miesięcy przeżyła swego teścia.

W owym czasie Żydzi mieli zwyczaj przybierania nazwisk greckich lub perskich. Nazwano mnie Ahaswerem¹⁷⁷. Pod tym to nazwiskiem roku 1603 w Lubece dałem się poznać Antoniemu Kolterusowi, jak się można o tym przekonać z pism Duduleusa¹⁷⁸; toż samo miano nosiłem także roku 1710 w Cambridge, jak tego dowodzą dzieła uczonego Tenzeliusa¹⁷⁹.

— *Señor Ahaswerze* — rzekł Velasquez — wspominają także o tobie w „*Theatrum Europeum*”¹⁸⁰.

— Być może — odpowiedział Żyd — gdyż prawie powszechnie jestem znany od czasu, gdy przysłała chętką kabalistom przyzywania mnie z głębi afrykańskich pustyń.

Naówczas zabrałem głos i zapytałem Żyda, dlaczego szczególnie upodobał sobie te puste okolice.

¹⁷⁷*Ahaswer* a. *Ahaswerus* — w Biblii imię odnoszące się do: władcy babilońskiego w *Księdze Estery* (męża Estery), władcy perskiego w *Księdze Ezdrasza*, ojca Dariusza Meda, władcy medyjskiego, w *Księdze Daniela* oraz do związanego z Nabuchodonozorem władcy lub urzędnika medyjskiego w *Księdze Tobiasza*; przez porównanie ze źródłami greckimi Ahaswerusa (szczególnie bohatera *Księgi Daniela*) można utożsamić z perskim władcą Kserksesem. Tu: odwołanie do jednej z wersji legendy o Żydzie Wiecznym Tułaczem, w której jego prawdziwe imię miało brzmieć Ahaswerus, choć biblijny odpowiednik nie jest nawet Żydem i nic w biblijnych źródłach nie odpowiada treści tej legendy; jest to również imię, którym posłużył się Immanuel Kant, odwołując się do legendy o Żydzie Wiecznym Tułaczem w tekście pt. *Jedyny możliwy argument na poparcie wykazania istnienia Boga* (niem. *Der einzig mögliche Beweisgrund zu einer Demonstration des Daseins Gottes*, 1763). [przypis edytorski]

¹⁷⁸*Duduleus* — Chrisostomus Duduleus Westfalus, autor publikacji rozwijającej mit o Ahaswerusie; w swym dziele zaświadczał m.in. uroczyście, że Ahaswerus był widziany przez wielu świadków w 1601 r. w Lubece i w tym samym mniej więcej czasie w Revel w Livorni (tj. Infantach) i w Krakowie w Polsce; deklaracja ta, kończąca dzieło, datowana jest właśnie z Revel, 1 sierpnia 1613 r. [przypis edytorski]

¹⁷⁹*Tenzelius*, właśc. *Andreas Tenzel* — XVII-wieczny autor ksiąg o tematyce medycznej, fizyko-chemicznej oraz filozoficznej; jego prace zebrane zostały wydane w 1753 r. w Lipsku pt. *Medizinisch - philosophisch und sympathetische Schriften - Medicina Diastatica und Scripta Gemina* [przypis edytorski]

¹⁸⁰„*Theatrum Europeum*” — periodyk historyczny ziem germanofońskich, wydawany z inicjatywy Matthäusa Meriana, szwajcarsko-niemieckiego miedziorytnika; był wydawany w latach 1633–1738; ukazało się 21 numerów. [przypis edytorski]

— Dlatego, że nie spotykam w nich ludzi — odrzekł Żyd — jeżeli zaś czasem spotkam zabłąkanego wędrowca lub jaką kafryjską rodzinę, wtedy znając legowiska lwicy karmiącej swoje dzieci, prowadzę ją na zdobycz i z rozkoszą patrzę, jak ich w moich oczach rozdziera.

— *Señor Ahaswerze* — przerwał Velasquez — zdajesz mi się być człowiekiem niegodziwego sposobu myślenia.

— Mówiłem wam — dodał kabalista — że to jest największy łotr w świecie.

— Gdybyś tak jak ja żył osiemnaście przeszło wieków — odparł włóczęga — pewno nie byłbyś lepszy ode mnie.

— Spodziewam się żyć dłużej i daleko uczciwiej — rzekł kabalista — ale zostawmy te niepotrzebne przygryzki i słuchajmy dalszych jego przygód. —

Żyd nie odpowiedział ani słowa i tak dalej mówił:

Stary Dellius pozostał przy moim ojcu, na którego tyle trosk od razu się zważyło. Żyli więc razem w naszym schronieniu, gdy tymczasem Sedekias, przez śmierć Heroda pozbawiony opieki, niespokojnie o nas się dopytywał. Obawa naszego przybycia do Jerozolimy bezustannie go dręczyła. Postanowił zatem poświęcić nas dla dobra swego spokoju i wszystko zdawało się sprzyjać jego zamiarom, gdyż Dellius ociemniał, mój ojciec zaś, będąc do niego szczerze przywiązany, odosobnił się bardziej niż kiedykolwiek. Tak upłynęło sześć lat.

Pewnego dnia doniesiono nam, że jacyś Żydzi z Jerozolimy zakupili sąsiedni dom i że koło naszego schronienia snuje się mnóstwo ludzi, którym źle z oczu patrzy i którzy wyglądają na rozbójników. Mój ojciec, z natury lubiący w samotność, korzystał z tej okoliczności i wcale się nie pokazywał.

Tu jakiś zgiełk przerwał opowiadanie Tułacza, który skorzystał ze sposobności i znikł nam z oczu. Wkrótce przybyliśmy na nocleg, gdzie zastaliśmy już przygotowany i zastawiony posiłek. Jedliśmy, jak na podróżnych przystało i gdy sprzątnięto obrus, Rebeka, zwracając się do Cygana rzekła:

— Jeżeli się nie mylę, w chwili gdy nam przerwano, mówiłeś, że dwie kobiety, upewniwszy się, że nikt ich nie śledzi, szybko przebiegły ulicę i weszły do domu kawalera Toledo.

Naczelnik Cyganów, widząc, że życzyliśmy sobie usłyszeć dalszy ciąg jego przygód, zaczął w te słowa:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Dościągnąłem obie kobiety, właśnie gdy wchodziły na schody, i pokazawszy im próbki oraz opowiedziawszy, jakie polecenie dał mi zazdrośnik, dodałem:

— Teraz wejdźcie, panie, naprawdę do kościoła, ja tymczasem pobiegnę po mniemanego kochanka, który, zdaje mi się, jest mężem jednej z was. Skoro was zobaczy, nie chcąc zapewne, abyście wiedziały, że was śledził, odejdzie, a wtedy będziecie mogły pójść, gdzie wam się podoba.

Nieznajome usłuchały mojej rady, ja zaś pobiegłem do kupca win i doniosłem zazdrośnikowi, że obie kobiety rzeczywiście przybyły do kościoła. Poszliśmy razem i wtedy pokazałem mu dwie suknie podobne do próbek, które trzymałem w ręku.

Zdawał się jeszcze powątpiewać, ale wtem jedna z kobiet odwróciła się i jak gdyby nienaumyślnie uchyliła nieco zasłony. Wnet radość małżeńska rozlała się po rysach zazdrośnika, wkrótce wmieszał się między tłum i wyszedł z kościoła. Wybiegłem za nim na ulicę, podziękował mi i dał jeszcze jedną sztukę złota. Sumienie nie pozwalało mi jej przyjąć, ale nie chcąc się zdradzić, musiałem schować ją do kieszeni. Ściąłem go wzrokiem, następnie poszedłem po dwie kobiety i odprowadziłem je do domu kawalera. Młodsza chciała mi dać sztukę złota.

— Przebacz, pani — rzekłem — sumienie nakazywało mi zdradzić twego mniemanego kochanka, gdyż poznałem w nim męża, ale nieuczciwe byłoby przyjmować z obu stron zapłatę.

Wróciłem do przysionku św. Rocha i pokazałem dwie sztuki złota. Moi towarzysze krzyknęli z podziwienia. Często poruczano im podobne zlecenia, ale nigdy nikt ich tak sownie nie wynagradzał. Zniosłem złoto do wspólnej kasy, chłopcy poszli za mną, chcąc nacieszyć się zadziwieniem przekupki, która w istocie nie posiadała się na widok tylu naraz pieniędzy. Oświadczyła, że nie tylko da nam tyle kasztanów, ile sami zechcemy, ale że nadto zaopatrzy się w małe kielbaski i wszystko, czego potrzeba do smażenia. Nadzieja takiej biesiady ogarnęła radością naszą czeredę, ja tylko jej nie podzielałem i postanowiłem wyszukać sobie lepszego kucharza. Tymczasem napelniliśmy kieszenie kasztanami, wróciliśmy do przysionka św. Rocha. Posiliwszy się, każdy zawinął się w swój płaszcz i zasnął.

Nazajutrz jedna z wczoraj spotkanych kobiet zbliżyła się do mnie i wręczyła mi list, mówiąc, abym czym prędzej zaniósł go do kawalera. Poszedłem i oddałem pismo jego kamerdynerowi. Wkrótce wprowadzono mnie do pokoju. Powierzchność kawalera Toledo z samego początku sprawiła na mnie przyjemne wrażenie. Natychmiast zrozumiałem, dlaczego miał łaski u kobiet. Był to młodzieniec nader powabnej postaci. Nie potrzebował uśmiechać się, gdyż wesołość przebijała się w każdym rysie jego twarzy, przy tym jakiś wdzięk towarzyszył wszystkim jego poruszeniom, można było tylko zarzucić mu pewną lekkość w obyczajach, co bez wątpienia byłoby mu szkodliwem u kobiet, gdyby każda nie była przekonana, że potrafi ustalić¹⁸¹ najbardziej płochego mężczyznę.

— Mój przyjacielu — rzekł kawaler — znam już twój dowcip i uczciwość, chcesz wejść do mojej służby?

— Nie mogę żadnym sposobem z tej łaski korzystać. Urodziłem się szlachcicem i nie powinienem przyjmować służalczych obowiązków. Obrałem stan żebracki, gdyż ten bynajmniej nie čmi szlacheckiego klejnotu¹⁸².

— Wyśmienicie — odrzekł kawaler — ta odpowiedź godna jest prawdziwego Kastylijczyka. Powiedźże mi, co mogę dla ciebie uczynić?

— *Señor* kawalerze — odpowiedziałem lubię mój stan, ponieważ jest zaszczytny i daje mi środki do życia, ale przyznam się, że często nie mam co w usta włożyć. Jeżeli więc pan możesz mi pozwolić, abym jadał z twymi ludźmi, będę to uważał za największe dla siebie szczęście.

— Z największą chęcią — rzekł kawaler — w dniach, gdy przyjmuję u siebie kobiety, zwykle odsyłam służących i gdyby wówczas szlachecki twój klejnot pozwolił ci usługiwać nam do stołu...

— Skoro pan będziesz ze swoją kochanką — odpowiedziałem — natenczas z przyjemnością mogę usługiwać, gdyż stając się panu użytecznym, uszlachetniam tym sposobem mój postępek.

To powiedziawszy, pożegnałem kawalera i udałem się na ulicę Toledo. Zapytałem o dom don Avadora, ale nikt nie umiał mi odpowiedzieć. Wtedy zapytałem o don Filipa del Tintero Largo. Pokazano mi balkon, na którym ujrzałem człowieka poważnej postaci, palącego cygaro i — jak się zdawało — liczącego dachówki pałacu księcia Alby. Jakkolwiek głos natury żywo w mym sercu za nim przemówił, atoli nie mogłem wstrzymać się od podziwienia na widok takiego zbytku powagi w ojcu, a natomiast braku jej w synu. Sądziłem, że natura lepiej byłaby uczyniła, rozdzielając tę powagę między dwóch, wszelako przysłała mi myśl, że należało za wszystko dziękować Bogu i poprzestając na tym wniosku, wróciłem do towarzyszy. Poszliśmy spróbować kielbasek u przekupki, które tak dalece mi zasmakowały, że zupełnie zapomniałem o obiedzie u kawalera.

Nad wieczorem spostrzegłem obie kobiety wchodzące do jego domu. Widząc, że dość długo tam bawiły, poszedłem dowiedzieć się, zali nie potrzebowano moich usług, ale właśnie w tej chwili wychodziły. Przemówiłem kilka dwuznacznych słów do piękniejszej, która za całą odpowiedź uderzyła mnie lekko wachlarzem po twarzy. Wkrótce potem zbliżył się do mnie młody człowiek wyniosłej postawy, z krzyżem maltańskim wyszytym na płaszczu. Reszta jego odzienia wskazywała podróznego. Zapytał mnie, gdzie mieszka kawaler Toledo. Odpowiedziałem, że mogę go zaprowadzić. Nie znaleźliśmy nikogo w przedpokoju, otworzyłem więc drzwi i wszedłem z nim razem do głównej komnaty.

¹⁸¹ustalić — tu: ustatkować, przywiązać tylko do siebie. [przypis edytorski]

¹⁸²nie čmi szlacheckiego klejnotu — nie przynosi ujmy szlachcicowi. [przypis edytorski]

Szlachcic, Honor, Sługa,
Żebrak

Kawaler Toledo zdziwił się niepomalu¹⁸³.

— Co widzisz — zawołał — tyżes to, mój kochany Aguilarze?! Przybyłeś do Madrytu, jakże jestem szczęśliwy! Cóż się tam dzieje na Malcie? Co porabia wielki mistrz? Wielki komtur, przeor nowicjatu? Drogi przyjacielu, niechże cię uściskam! Kawaler

Aguilar odpowiedział na te oświadczenia z równą czułością, wszelako z daleko większą powagą. Osądziłem, że dwaj przyjaciele zechcą wieczerzać razem. Znalazłem w przedpokoju nakrycie i pobiegłem czym prędzej po wieczerzę. Gdy stół już był zastawiony, kawaler Toledo kazał mi przynieść od piwniczego dwie butelki musującego wina francuskiego. Spełniłem jego rozkaz i wysadziłem korki.

Śród tego obaj przyjaciele powiadomili się wzajemnie o wielu dotyczących ich wypadkach, przypomnieli sobie mnóstwo wspólnych wspomnień, po czym Toledo, zabrawszy głos, tak rzekł:

— Nie pojmuję, jakim sposobem, obdarzeni całe przeciwnymi charakterami, możemy żyć z sobą w tak ściśle przyjaźni? Ty posiadasz wszystkie cnoty, ja zaś pomimo to kocham cię, jak gdybyś był największym w świecie rozpustnikiem. W istocie, słów tych czynem dowodzę, gdyż dotąd z nikim nie zaprzyjaźniłem się w Madrycie i ty jesteś jedynym moim przyjacielem, chociaż z drugiej strony, prawdę mówiąc, nie jestem równie stały w miłości.

— Czy zawsze masz te same zasady względem kobiet? — przerwał Aguilar.

— Niezupełnie — odparł Toledo — dawniej jak można najszybciej porzucałem jedną kochankę dla drugiej, teraz zaś przekonałem się, że tym sposobem tracę zbyt wiele czasu i zwykle rozpoczynam nowy związek, zanim zerwę pierwszy, podczas gdy w dali upatruję już trzeci.

— Tak więc — rzekł Aguilar — nigdy nie chcesz wyrzec się tej przeklętej lekko-myślności?

— Ja nie — odpowiedział Toledo — ale lękam się, czy ona mnie nie opuści. Kobiety madryckie mają w swym charakterze coś tak naglącego, tak nieodczepnego, że często mimowolnie człowiek staje się bardziej moralny, aniżeli by tego sobie życzył.

— Nie rozumiem zupełnie twoich słów — rzekł Aguilar — wreszcie nie ma w tym nic dziwnego, nasz zakon jest wojskowy, ale zarazem duchowny, my ślubujemy równie jak mnichy i księża.

— Zapewne — dodał Toledo — lub jak kobiety, gdy przysięgają na wierność małżonkom.

— I któż z nas wie — rzekł Aguilar — czyli za złamanie przysięgi nie czeka go straszna kara na tamtym świecie?

— Mój przyjacielu — mówił Toledo — wierzę w to wszystko, w co chrześcijanin powinien wierzyć, ale zdaje mi się, że zachodzi tu pewne nieporozumienie; jakże na przykład chcesz, ażeby żona ojdora Uscariza miała być smażona w ogniu przez całą wieczność za to, że dziś jedną godzinę ze mną przepędziła?

— Wiara naucza nas — rzekł Aguilar — że są inne jeszcze miejsca pokuty.

— Chcesz mówić o czyszceniu — odpowiedział Toledo. W ten najzupełniej wierzę, doświadczyłem go bowiem za życia, kiedyś się kochał w tej niegodziwej Inezie z Nawarry, najdziwaczniejszym, najbardziej wymagającym i najzazdrośniejszym stworzeniu, jakie kiedykolwiek w życiu spotkałem, ale też odtąd zarzekłem się na wieki bogiń teatralnych. Ale ja rozprawiam, a ty ani jesz, ani pijesz, ja wypróżniłem całą butelkę, a twój kieliszek jeszcze pełny, o czym myślisz? O czym tak dumasz?

— Dumalem — rzekł Aguilar — nad słońcem, które dziś widziałem.

— Nie mogę ci tego zaprzeczyć — przerwał Toledo — gdyż ja także je widziałem.

— Dumalem także nad tym — dodał Aguilar — czy jutro je zobaczę.

— Nie wątpię o tym, zwłaszcza jeżeli mgły nie będzie.

— Nie zaręczaj z taką pewnością, gdyż może być, że nie dożyję jutrzejszego dnia.

— Muszę wyznać — rzekł Toledo — że przywozisz nam z Malty niezbyt pocieszające myśli jak do stołu.

— Człowiek zawsze pewny jest śmierci — przerwał Aguilar — ale nigdy nie wie, kiedy ostatnia chwila nań przypadnie.

¹⁸³niepomalu (daw.) — niemało. [przypis edytorski]

— Słuchaj no — rzekł Toledo — przyznaj się, skąd wyciągnąłeś te przyjemne zdania? Musiał to być jakiś piekielnie nudny śmiertelnik, który cię nimi napoił. Czy często zapraszacie go u was na wieczerzę?

— Mylisz się — rzekł Aguilar — dzisiejszego poranku spowiednik mój mówił mi o tym.

— Jak to — zawołał Toledo — przyjeżdżasz do Madrytu i tego samego dnia idziesz do spowiedzi? Czyżbyś przybył tu dla pojedynku?

— Właśnie dlatego poszedłem do spowiedzi.

— Mniejsza o to — rzekł Toledo — ja sam od dawna nie trzymałem już szpady w ręku i jeżeli chcesz, mogę służyć ci za świadka.

— Mocno żałuję — odpowiedział Aguilar — ale właśnie ty jesteś jednym człowiekiem, którego nie mogę prosić o wyświadczenie mi tej przysługi.

— Sprawiedliwe nieba! — krzyknął Toledo. — Znowu więc rozpoczęłeś ową niešťczęsną kłótnię z moim bratem?

— Nie inaczej, mój przyjacielu — odparł Aguilar — ksiąźę Lerma nie chciał zgodzić się na złożenie mi usprawiedliwienia, jakiego od niego wymagałem, dziś więc wieczorem mamy bić się przy pochodniach, nad brzegami Manzanaresu, pod wielkim mostem.

— Wielki Boże! — zawołał Toledo w najwyższej boleści. — Mamże dziś wieczorem stracić brata lub przyjaciela?

— Być może obu — odrzekł ponuro Aguilar — wyzwaliśmy się na śmiertelny bój; zamiast szpad zgodziliśmy się na krótkie miecze i pugiwały w lewym ręku. Wiesz, że broń ta jest straszna.

Toledo, którego tkliwa dusza łatwo przejmowała wszelkie wrażenia, z najhuczniejszej wesołości od razu wpadł w najpośępniejszą rozpacz.

— Przewidywałem twoją boleść — rzekł Aguilar — i dlatego nie chciałem widzieć się z tobą, ale głos z nieba dał mi się słyszeć i rozkazał, abym cię ostrzegł o karach, jakie nas czekają w przyszłym życiu.

— Ach — zawołał Toledo — proszę cię, nie myśl wcale o moim nawróceniu.

— Jestem tylko żołnierzem — rzekł Aguilar — nie umiem mówić z ambony, ale powinienem słuchać głosu boskiego.

W tej chwili zegar uderzył jedenastą. Aguilar uściskał przyjaciela i rzekł:

— Posłuchaj, Toledo — tajemne przeczucie ostrzega mnie, że zginę, pragnę jednak, ażeby śmierć moja przydała się ku twemu zbawieniu. Opóźnię walkę aż do północy. Natenczas uważaj pilnie: jeżeli umarli mogą jakimś sposobem dać się słyszeć żyjącym, w takim razie bądź przekonany, że przyjaciel twój nie omieszka zapewnić cię o istnieniu tamtego świata. Upprzedzam cię tylko, uważaj dobrze: o samej północy.

To mówiąc, Aguilar uściskał jeszcze raz przyjaciela i wyszedł.

Toledo rzucił się na łóżko, zalewając się łzami, ja zaś wyszedłem do przedpokoju, ciekawy, jak się to wszystko skończy.

Toledo wstawał, spoglądał na zegarek, po czym znowu padał na łóżko i płakał. Noc była ciemna, tylko migotania dalekich błyskawic przedzierały się czasami przez szpary okiennic. Burza coraz się zbliżała i okropności jej powiększały jeszcze pośępnosć naszego położenia. Północ uderzyła i z ostatnim dźwiękiem usłyszeliśmy trzy stuknięcia w okiennicę.

Toledo otworzył okiennicę, mówiąc:

— Czy zginąłeś?

— Zginąłem — odpowiedział grobowy głos.

— Czy jest czyściec na tamtym świecie? — zapytał Toledo.

— Jest i ja w nim już siedzę — odrzekł tenże sam głos, po czym usłyszeliśmy długi, bolesny jęk.

Toledo padł twarzą na ziemię, następnie porwał się, wziął płaszcz i wyszedł. Udałem się za nim; zwróciliśmy się drogą ku Manzanaresowi, ale jeszcze nie doszliśmy byli do wielkiego mostu, gdy ujrzeliśmy czeredę ludzi, z których niektórzy nieśli pochodnie. Toledo poznał swego brata.

— Nie masz potrzeby iść dalej — rzekł mu ksiąźę Lerma — jeżeli nie chcesz potknąć się o trupa twego przyjaciela.

Toledo padł bez zmysłów. Widząc, że był w rękach swoich ludzi, powróciłem do mego przysionku i zacząłem rozmyślać nad tym wszystkim, czego byłem świadkiem. Ojciec Sanudo nieraz wspominał mi o czyścicu, i nowe to zapewnienie nie sprawiło na mnie nadzwyczajnego wrażenia. Zasnąłem zwykłym, twardym snem.

Nazajutrz pierwszym człowiekiem, który wszedł do kościoła św. Rocha, był Toledo, ale tak blady i zmęczony, że zaledwie mogłem go poznać. Długo modlił się, wreszcie zażądał spowiednika.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, przerwano mu dalsze opowiadanie, musiał nas zatem opuścić i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

DZIEŃ TRZYDZIESTY DRUGI

O wschodzie słońca, puściliśmy się w dalszą drogę i zagłębili w ostatnie doliny pasma. Po godzinie podróży spostrzegliśmy Żyda Ahaswera, który zbliżył się do nas i wszedłszy między mnie a Velasqueza tak dalej opowiadał swoje przygody.

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Pewnego dnia oznajmiono nam rzymskiego urzędnika sądowego. Wprowadzono go i dowiedzieliśmy się, że mój ojciec został oskarżony o zbrodnię stanu, ponieważ chciał wydać Egipt w ręce Arabów. Po odejściu Rzymianina, Dellius rzekł do mego ojca:

— Kochany Mardocheju, nie masz potrzeby się usprawiedliwiać, gdyż każdy jest przekonany o twojej niewinności, chcą ci tylko zabrać połowę twego mienia; najlepiej więc uczynisz, jeżeli oddasz ją dobrowolnie.

Dellius miał słuszną rację, sprawa ta kosztowała nas połowę naszego majątku.

Następnego roku mój ojciec, wychodząc pewnego poranku z domu, spostrzegł przed drzwiami pobitego człowieka, który zdawał się jeszcze oddychać; kazał go więc przenieść do domu i chciał przywrócić do życia, gdy wtem ujrzał kilku ludzi z sądu i sąsiadów w liczbie ośmiu, którzy zaprzysięgli, że widzieli, jak mój ojciec zabijał tego człowieka. Mój ojciec przesiedział sześć miesięcy w więzieniu i wyszedł, pozbywszy się drugiej połowy swego majątku, czyli wszystkiego, co nam zostawało.

Pozostawał mu jeszcze dom, ale zaledwie wrócił do niego, gdy nagle dom jego niegodziwych sąsiadów zajął się ogniem. Było to w nocy. Sąsiedzi dostali się do jego mieszkania, zabrali, co mieli pod ręką, i podłożyli płomień tam, gdzie go jeszcze nie było.

O wschodzie słońca zamiast naszego domu ujrzelśmy kupę popiołów, po których czołgał się ślepy Dellius wraz z moim ojcem, unoszącym mnie w objęciach i oplakującym swoje nieszczęście.

Gdy pootwierano sklepy, mój ojciec wziął mnie za rękę i zaprowadził do piekarza, który dotychczas dostarczał nam chleba. Człowiek ten, zdjęty litością, dał nam trzy chleby. Wróciliśmy do Delliusa. Ten nam opowiedział, że podczas naszej nieobecności, jakiś nieznajomy, którego nie mógł poznać po głosie, rzekł mu:

— Ach Delliuszu! Oby wasze nieszczęścia spadły na głowę Sedekiasa! Przebacź tym, których niegodziwiec użył za narzędzia swej zbrodni. Zapłacono nam, abyśmy was wymordowali, ale my pomimo to zostawiliśmy was przy życiu. Oto masz: przez jakiś czas będziecie mieli z czego żyć.

Przy tych słowach nieznajomy wręczył mu kiesę z pięćdziesięcioma sztukami złota.

Ta niespodziewana pomoc rozradowała mego ojca. Wesoło rozeszła na popiołach na wpół spalony kobierzec, położył na nim trzy bochenki chleba i poszedł przynieść wody w czerepie roztluczonego naczynia. Miałem wówczas siedem lat i pamiętam, że dzieliłem tę chwilę wesołości z moim ojcem i udałem się razem z nim do studni. Za to też przy śniadaniu nie zapomniano o mnie.

Zaledwie zaczęliśmy pożywać naszą biesiadę, gdy spostrzegliśmy małego chłopczykę w moim wieku, który ze łzami prosił nas o kawałek chleba.

— Jestem — rzekł nam — synem żołnierza rzymskiego i syryjskiej kobiety, która umarła, wydając mnie na świat. Żony żołnierzy tej samej kohorty i przekupki karmiły mnie po kolei. Zapewne musiały dodawać do pokarmu inne jakie pożywienie, gdyż, jak widzicie, żyję na świecie. Tymczasem ojciec mój, wysłany przeciw pewnemu pasterskiemu

pokoleniu, poległ wraz ze wszystkimi towarzyszami. Wczoraj zjadłem ostatni kawałek chleba, który mi zostawiono, zebrałem więc po mieście, ale znalazłem wszystkie drzwi i okna zamknięte. Wy jednak nie macie ani drzwi, ani domu, spodziewam się zatem, że mnie nie odepchniecie.

Stary Dellius, który nigdy nie omieszkał korzystać ze sposobności udzielenia komu moralnej nauki, rzekł:

— Nie ma więc na świecie tak nędznego człowieka, który by nie był w stanie wyświadczyć bliźniemu przysługę, równie jak nie ma tak potężnego, który by nie potrzebował pomocy drugich. Tak jest, moje dziecię, witaj nam i podzielaj naszą ubogą strawę. Jak się nazywasz?

— Germanus — odpowiedział chłopiec.

— Oby ci Bóg długich lat użyczył! — rzekł Dellius.

Jakoż w istocie ten rodzaj błogosławieństwa stał się prawdziwą przepowiednią, gdyż dziecię to długo żyło i dotychczas nawet żyje w Wenecji, gdzie znają je pod nazwiskiem hrabiego St. Germain.

— Znam go dobrze — przerwał Uzeda — posiada on niektóre wiadomości kabalistyczne.

Po czym Żyd Wieczny Tułacz tak dalek mówił:

Po śniadaniu Dellius zapytał mego ojca, czy zbrodniarze wylamali także drzwi od piwnicy.

Mój ojciec odpowiedział, że drzwi były zamknięte jak przed pożarem i że płomień nie mógł przedrzeć się nawet do sklepienia pokrywającego piwnicę.

— Dobrze więc — rzekł Dellius — weź zatem z kiesy, którą mi dano, dwie sztuki złota, najmij robotników i wybuduj chatę nad sklepieniem; może przydadzą się jakie szczątki naszego dawnego domu.

Stosownie do rady Delliusa, znaleziono kilka belek i desek nieuszkodzonych, złożono je, jak było można, nakryto gałęziami palmowymi, wewnątrz wysłano matami i tym sposobem urządzono nam dość wygodne schronienie. Natura nie wymaga więcej w naszym szczęśliwym klimacie — najłżejszy pozór dachu wystarcza pod tak czystym niebem, jak również najprostszy pokarm jest najzdrowszy. Słusznie więc można powiedzieć, że my nie obawiamy się u nas takiej nędzy, jak wy w waszych krajach, których jednak klimat nazywacie umiarkowanym.

Podczas gdy zajmowano się sporządzeniem nam mieszkania, Dellius kazał zanieść swoją matę na plac publiczny, usiadł na niej i zaczął grać na fenickiej cytrze, następnie zaśpiewał jedną pieśń, którą był niegdyś ułożył dla Kleopatry. Jego głos, aczkolwiek siedemdziesięcioletni, zgromadził jednak mnóstwo słuchaczy, którzy z przyjemnością mu się przysłuchiwali. Po skończonym śpiewie rzekł do otaczających:

— Obywatele Aleksandrii, dajcie jałmużnę biednemu Delliusowi, którego wasi ojcowie znali jako pierwszego muzyka Kleopatry i ulubieńca Antoniusza.

Po tych słowach mały Germanus obniósł dokoła glinianą miseczkę, w którą każdy wrzucił swój datek.

Dellius postanowił sobie raz tylko na tydzień śpiewać i zebrać. Tego dnia zwykle tłum się koło niego zgromadzał i rozchodził, obdarzywszy go wprzód hojną jałmużną. Winniśmy byli to wsparcie nie tylko głosowi Delliusa, ale także jego rozmowie ze słuchaczami, wesołej, pouczającej i przeplatanej opowiadaniem różnych ciekawych wydarzeń. Tym sposobem pędziliśmy dość wygodne życie, wszelako mój ojciec, znękan tyłoma nieszczęściami, zapadł nagle w ciężką chorobę i w przeciągu roku rozstał się z tym światem. Naówczas zostaliśmy na łasce Delliusa i musieliśmy żyć z tego, co nam przynosił jego głos, już i tak dość stary i bezdzwięczny. Następnej zimy dokuczliwy kaszel i słabość piersi, pozbawiły nas tego jedyne ratunku. Na szczęście odziedziczyłem mały spadek po dalekim krewnym zmarłym w Pelusium. Suma wynosiła pięćset sztuk złota, a chociaż to nie była trzecia część przypadającego na mnie dziedzictwa, atoli Dellius zapewnił mnie,

że ubogi nie powinien się być niczego spodziewać od sprawiedliwości i że najlepiej czyni, gdy poprzestaje na tym, co mu z łaski raczyła udzielić. Pokwitował więc w moim imieniu, ale tak dobrze umiał zarządzić pieniędzmi, że mieliśmy z czego żyć przez cały czas mojej małoletności.

Mimo wszystko Dellius nie zaniedbywał wychowania mego, jak również małego Germanusa. Po kolei zostawaliśmy przy nim. Gdy służba przypadała na mego towarzysza, ja uczęszczałem do małej żydowskiej szkółki w sąsiedztwie, w dniach zaś, w których ja byłem przy Delliusu, Germanus chodził na nauki do pewnego kapłana Izidy, nazwiskiem Cheremon. Następnie powierzono mu noszenie pochodni przy tajemnicach tej bogini i pamiętam, że często z zajęciem przysłuchiwałem się jego opowiadaniom o tych uroczystościach.

Gdy Żyd Wieczny Tułacz doszedł był do tego miejsca swego opowiadania, przybyliśmy na nocleg i wędrowiec nasz, korzystając ze sposobności, przepadł gdzieś w górach.

Nad wieczorem zebraliśmy się wszyscy, Cygan zdawał się być wesoły, Rebeka znowu więc zaczęła mu się przybliżać, dopóki nie zaczął mówić w te słowa:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Kawaler Toledo bez wątpienia licznymi grzechami musiał być obciążyć swoje sumienie, gdyż długo zatrzymywał spowiednika. Nareszcie powstał cały zapłakany i wyszedł z kościoła, dając oznaki najgłębszej skruchy. Mijając przysionek, spostrzegł mnie i dał znak, abym szedł za nim.

Dzień zaledwie świtał i na ulicach nie było prawie nikogo. Kawaler wziął pierwsze muły, które spotkał do najęcia, i wyjechaliśmy z miasta. Uczyniłem mu uwagę, że jego służący będą się niepokoić, widząc, że tak długo nie powraca.

— Bynajmniej — odpowiedział — uprzedziłem ich, żaden nie będzie na mnie czekał.

— Señor kawalerze — rzekłem naówczas — pozwól, abym uczynił jeszcze jedną uwagę. Głos słyszany wczoraj powiedział ci to, co mogłeś sam łatwo znaleźć w pierwszym lepszym katechizmie. Wypowiadałeś się i zapewne nie odmówiono ci rozgrzeszenia. Teraz możesz zaprowadzić niejaki zmiany w twoim postępowaniu, ale nie widzę znowu potrzeby obarczania się niewczesnymi zgryzotami.

— Ach, mój przyjacielu — odpowiedział kawaler — kto raz słyszał głos umarłych, ten zapewne niedługo pobędzie między żyjącymi.

Zrozumiałem wówczas, że mój opiekun myślał o rychłej śmierci, że nabił sobie tym głowę, postanowiłem więc nie opuszczać go oni na chwilę.

Dostaliśmy się na mało uczęszczaną drogę, która biegła wśród dzikiej okolicy i zawiodła nas do bramy klasztoru kamedułów. Kawaler zapłacił mulników i zadzwonił. Jakiś mnich pokazał się u furty, kawaler wymienił swoje nazwisko i prosił o pozwolenie na przepędzenie kilku tygodni w tym schronieniu. Zaprowadzono nas do pustelni położonej na końcu ogrodu i oznajmiono za pomocą znaków, że dzwonek uprzedzi nas o godzinie ogólnej schadzki do refektarza. W celi znaleźliśmy pobożne książki, którymi kawaler wyłącznie odtąd się zajmował. Co do mnie, zaznajomiłem się z jednym kamedułą, który łowił ryby na wędkę, przyłączyłem się do niego i zatrudnienie to było jedyną moją rozrywką.

Pierwszego dnia nie uskarżałem się na milczenie, stanowiące jedną z głównych reguł zakonu kamedułów, ale trzeciego nie mogłem już dłużej wytrzymać. Kawaler tymczasem z każdym dniem stawał się coraz posępniejszy i bardziej milczący, nareszcie zupełnie przestał mówić.

Już od ośmiu dni przebywaliśmy w klasztorze, gdy pewnego dnia ujrzałem przybywającego jednego z moich towarzyszy z przysionka św. Rocha. Powiedział mi, że widział, jak wsiadaliśmy na najęte muły i że spotkawszy później tego samego mulnika dowiedział się o miejscu naszego schronienia; doniósł mi zarazem, że zmartwienie z powodu mojej nieobecności rozproszyło całą czeredę i że on sam wszedł do służby pewnego kupca z Kadyksu, który leżał chory w Madrycie i wskutek smutnego przypadku, mając połamane ręce i nogi, nie mógł obejść się bez chłopca do usług.

Odpowiedziałem mu, że nie mogę już dłużej znieść pobytu u kamedułów i prosiłem go, aby chociaż na kilka dni zastąpił mnie przy kawalerze.

— Chętnie bym to uczynił — rzekł — ale lękam się opuścić mego kupca, nadto wiesz, że przyjęto mnie pod przysionkiem św. Rocha, niedotrzymanie więc słowa mogłoby zaszkodzić całemu towarzystwu.

— W takim razie ja zastąpię cię u kupca — dodałem z powagą, zresztą taką miałem władzę nad moimi towarzyszami, że malec nie śmiał dłużej mi się opierać.

Zaprowadziłem go do kawalera, któremu powiedziałem, że ważne sprawy powoływały mnie na kilka dni do Madrytu i że na ten czas zostawiam mu towarzysza, za którego ręczę tak jak za drugiego siebie. Kawaler nie odrzekł ani słowa, ale dał mi znakami do zrozumienia, że przystaje na zamianę.

Pobiegłem więc czym prędzej do Madrytu i udałem się natychmiast do gospody wskazanej mi przez mego towarzysza; ale tam powiedziano mi, że kupiec kazał się przenieść do pewnego sławnego lekarza mieszkającego przy ulicy św. Rocha. Odnalazłem go z łatwością, powiedziałem kupcowi, że przychodzę na miejsce mego towarzysza Chiquito, że nazywam się Avarito i że będę pełnił z równą wiernością też same obowiązki.

Dano mi przychylną odpowiedź, ale zarazem uwiadomiono, że powinienem natychmiast iść spać, gdyż przez kilka nocy będę musiał czuwać przy chorym. Położyłem się więc i wieczorem stawilem się do służby. Zaprowadzono mnie do chorego, którego znalazłem rozciągniętego na łóżku w nader przykrym położeniu i niemogącego poruszać żadnym członkiem oprócz lewej ręki. Był to młody człowiek zajmującej postaci i zresztą zdrów wewnątrz, gdyby potrzaskane kości nie nabawiały go nieznośnych bólów. Starłem się dać mu zapomnieć o jego cierpieniach, zabawiając go i rozweselając wszelkimi sposobami. To postępowanie tak dalece przypadło mu do smaku, że pewnego dnia zgodził się na opowiedzenie mi swoich przygód i zaczął w te słowa:

Historia Lopeza Soareza

Jestem jedynym synem Gaspara Soareza, najbogatszego kupca z Kadyksu. Mój ojciec, człowiek surowy i nieugięty, chciał, abym wyłącznie oddał się zatrudnieniom kupieckim i nie myślał nawet o rozrywkach, na jakie zwykle pozwalają sobie synowie bogatszych kupców z Kadyksu. Starając się we wszystkim zadowalać mego ojca, rzadko kiedy chodziłem do teatru, w niedziele zaś nigdy nie należałem do tych rozrywek, jakimi w ogóle zabawiają się towarzystwa wielkich miast handlowych.

Ponieważ jednak umysł potrzebuje wypoczynku, szukałem go zatem w czytaniu tych przyjemnych, ale niebezpiecznych książek, które znane są pod nazwą romansów. Powoli zasmakowałem w nich i mimowolna tkliwość oswładnęła moim umysłem, ale wychodząc rzadko na miasto i wcale prawie nie widując kobiet, nie znajdowałem sposobności rozporządzenia moim sercem. Tymczasem mój ojciec miał pewne sprawy do załatwienia na dworze hiszpańskim, postanowił więc, że zwiedzę Madryt i oświadczył mi swój zamiar. Z radością przyjąłem tę nowinę, uszczęśliwiony z możliwości odetchnięcia wolnym powietrzem i zapomnienia choć na chwilę o kratach naszego kantoru oraz pyle naszych magazynów.

Gdy wszystko było już gotowe do podróży, mój ojciec kazał mnie przywołać do swego gabinetu i odezwał się w te słowa:

— Mój synu, jedziesz do miasta, gdzie kupcy nie mają tyle znaczenia, co w Kadyksie, powinni więc zachowywać się poważnie i przyzwoicie, ażeby nie poniżyć stanu, który ich zaszczyca, tym bardziej, iż on najdzielniej przyczynia się do pomyślności ich ojczyzny i prawdziwej siły monarchy. Oto są trzy prawidła, według których będziesz postępował pod karą mego gniewu:

Naprzód zakazuję ci wdawać się w rozmowy ze szlachtą. Panowie myślą, że czynią nam zaszczyt, gdy raczą do nas kilka słów przemówić. Jest to błąd, w którym nie należy ich zostawiać, gdyż zaszczyt nasz bynajmniej nie ma nic wspólnego ze stosunkami, w jakie moglibyśmy z nimi wejść.

Po wtóre, rozkazuję ci, abyś nazywał się po prostu „Soarez” nie zaś „don Lope Soarez”: tytuły żadnemu kupcowi nie dodają blasku. Cała jego miłość własna winna polegać na rozległości jego stosunków i przezorności w przedsięwzięciach.

Po trzecie, zakazuję ci raz na zawsze dobywać szpady; zwyczaj ją upowszechnił, nie zabraniam ci więc nosić tej broni. Powinieneś jednak pamiętać, że honor kupca zależy na rzetelności w dotrzymywaniu zobowiązań, dlatego to nie chciałem, abyś kiedykolwiek uczył się szermierstwa.

Jeżeli przekroczysz przeciw któremukolwiek z tych trzech prawideł, narazisz się na mój gniew; w razie jednak wystąpienia przeciw czwartemu wystawisz się już nie na gniew, ale na przekleństwo moje, mego ojca i mego dziada, który jest twoim pradziadem i zarazem pierwszym sprawcą naszych dostatków. Idzie tu o to, abyś nigdy nie wchodził w związku z domem braci Moro, bankierów królewskich.

Bracia Moro słusznie używają powszechnego szacunku i zapewne dziwisz się ostatnim moim słowom, ale daleko więcej się zadziwisz, skoro się dowiesz, jakie zarzuty dom nasz im stawia. Muszę zatem w kilku słowach objaśnić ci całą naszą historię.

Historia rodziny Soarez

Pierwszym z naszej rodziny, który doszedł do majątku, był Iñigo Soarez. Spędziwszy młodość na przebywaniu różnych mórz, przystąpił ze znacznym udziałem do spółki wydobywającej kopalnię Potosi, a następnie założył dom handlowy w Kadyksie.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca, Velasquez dobył tabliczki i zaczął coś na nich zapisywać. Widząc to, naczelnik zwrócił się do niego i rzekł:

— Książę zapewne życzy sobie przedsięwziąć jaki zajmujący rachunek, lękam się więc, aby dalsze moje opowiadanie mu nie przeszkodziło.

— Bynajmniej — odparł Velasquez — właśnie zajmuję się twoim opowiadaniem. Być może, że ten pan Iñigo Soarez spotka w Ameryce kogoś, kto mu opowie historię kogoś drugiego, kto także będzie miał historię do opowiedzenia. Aby zatem dojść ładu, wymyśliłem rubryki podobne do tych, jakie używają do oznaczenia postępów geometrycznych. Racz więc nie zważać na mnie i ciągnąć twoją rzecz dalej.

Cygan tak dalej mówił:

— Iñigo Soarez, pragnąc założyć dom handlowy, szukał przyjaźni pierwszych kupców i bankierów hiszpańskich. Rodzina Moro używała wówczas niezmiernej wziętości, uwiadomił ją więc o zamiarze wejścia z nią w stosunki. Otrzymał od nich przyzwolenie i aby rozpocząć interesy, zażądał pieniędzy z Antwerpii i wystawił na nich weksel na Madryt, ale jakież było jego oburzenie, gdy odesłano mu jego weksel zaprotestowany. Następną pocztą otrzymał list pełen wymówek. Rodriguez Moro pisał mu, że będąc sam w St. Ildefonso u ministra, nie mógł osobiście odebrać weksla, że pierwszy jego buchalter, niezawiadomiony o stosunkach, obawiał się przyjąć weksel, że jednak nie ma zadośćuczynienia, jakiego z najszczerzą chęcią by się nie podjął.

Ale obraza już nastąpiła; Iñigo Soarez zerwał wszelkie stosunki z rodziną Moro i umierając, polecił synowi, aby nigdy nie ważył się wdawać z nią w interesy.

Ojciec mój, Ruiz Soarez, długo był posłuszny rodzicielskim rozkazom, ale liczne bankructwa, które zmniejszyły ilość domów handlowych, zmusiły go mimowolnie do wejścia w stosunki z rodziną Moro. Wkrótce gorzko tego pożałował. Mówiłem ci, że mieliśmy pewien udział w eksploatacji kopalni Potosi i tym sposobem, otrzymując znaczną ilość sztab srebra lub złota, zwykle wypłacaliśmy nasze rachunki. W tym celu posiadaliśmy skrzynie, każda na sto funtów srebra, czyli ogólnej wartości dwóch tysięcy siedemset pięćdziesięciu bitych piastrow. Te skrzynie, z których niektóre mogłeś jeszcze widzieć, okute były żelazem i opatrzone ołowianymi plombami z cyfrą naszego domu. Każda skrzynia miała swój numer. Zwyczajnie szły do Indii, wracały do Europy, płynęły do Ameryki a nikt ich nie otwierał i każdy z przyjemnością wypłatę nimi przyjmował. W samym nawet Madrycie doskonale je znano. Tymczasem jakiś kupiec, mając uskutecznić znaczne wypłaty domowi Moro, zaniósł cztery z tych skrzyń do pierwszego buchaltera, który nie tylko że je otworzył, ale nadto kazał sprawdzić próbę srebra.

Gdy wieść o tak krzywdzącym postępowaniu doszła do Kadyksu, mój ojciec wpadł w niepohamowany gniew. Wprawdzie następną pocztą otrzymał list z usprawiedliwieniami-

mi od Antonio Moro, syna Rodrigueza; ten pisał mu, że dwór zavezwał go do Valladolid, że po powrocie dopiero dowiedział się o nierozsądnym postępku swego buchaltera, który, będąc cudzoziemcem niedawno przybyłym, nie miał jeszcze czasu poznać zwyczajów hiszpańskich.

Mój ojciec bynajmniej nie zadowolili się tymi wymówkami, zerwał wszelkie stosunki z domem Moro i umierając, zakazał mi wdawać się z nimi w jakiegokolwiek interesy.

Długo święcie dochowywałem jego rozkazów i dobrze mi z tym było, nareszcie nieprzewidziane okoliczności znowu połączyły mnie z domem Moro. Zapomniałem lub raczej na chwilę zaniechałem rad mego ojca i zobaczysz, jakem na tym wyszedł.

Interesy z dworem powołały mnie do Madrytu, gdzie zapoznałem się z pewnym Livardezem; który dawniej utrzymywał dom handlowy, teraz zaś żył z procentu od znacznych sum poumieszczanych po różnych miejscach. Człowiek ten miał w swoim charakterze coś dla mnie przyciągającego. Już byliśmy z sobą dość ściśle zaprzyjaźnieni, gdy dowiedziałem się, że Livardez jest wujem Sancha Moro, naówczas naczelnika rodziny.

Powinienem był natychmiast zerwać z nim wszelkie związki, ale ja, przeciwnie, jeszcze ściślej się z nim połączyłem. Pewnego dnia Livardez oznajmił mi, że wiedząc, z jaką biegłością prowadziłem handel z Wyspami Filipińskimi, postanowił sposobem komandyty umieścić u mnie milion. Przełożyłem mu, że jako wuj Sansza jemu raczej powinien być powierzyć swoje kapitały; ale opowiedział mi na to, że nie rad z krewnymi wchodzi w interesy pieniężne. Nareszcie przekonał mnie, co mu przyszło z tym większą łatwością, że w samej rzeczy tym sposobem nie zawiązywałem żadnych stosunków z domem Moro. Wróciwszy do Kadyksu, dodałem jeden okręt do dwóch moich, które corocznie do wysp wysyłałem i przestałem o nich myśleć. Następnego roku biedny Livardez umarł i Sanszo Moro napisał mi, że znalazłszy w papierach dowód jako wuj jego umieścił u mnie milion, prosi o śpieszny zwrot tej sumy. Może należało zawiadomić go o warunkach naszej umowy i o spółce komandytowej, ale nie chcąc mieć żadnej styczności z tym przeklętym domem, natychmiast odesłałem milion.

Po dwóch latach okręty moje wróciły i podoiły kapitał włożony w ładunek. Winienem więc był zapłacić dwa miliony nieboszczykowi Livardezowi. Mimowolnie zatem musiałem napisać do braci Moro, że miałem dwa miliony na ich rozkazy. Odpowiedzieli mi na to, że przed dwoma laty kapitał był zaciągnięty do ksiąg i że wcale nie chcieli słyszeć o tych pieniądzach.

Pojmujesz, mój synu, jak silnie uczułem tę krwawą krzywdę, wyraźnie bowiem chcieli podarować mi dwa miliony. Radziłem się kilku negocjantów z Kadyksu, którzy jakby na złość przyznali słusność moim przeciwnikom, dowodząc, że ponieważ dom Moro przed dwoma laty pokwitował mnie z kapitału, nie miał zatem żadnego prawa do zyskanego dziś procentu. Ofiarowałem złożyć własnoręczne mowy przekonujące, że kapitał Livardeza rzeczywiście znajdował się na okrętach, że gdyby te były zatone, byłbym miał prawo żądać zwrotu oddanego miliona; ale widziałem, że samo nazwisko Moro walczyło przeciw mnie i że gdybym był zwołał juntę z pierwszych negocjantów, ich sąd nie byłby dla mnie przychylny.

Udałem się do adwokata, który powiedział mi, że ponieważ bracia Moro zażądali zwrotu miliona bez pozwolenia ich zmarłego wuja, ja zaś użyłem go wedle żądania tegoż wuja, rzeczony zatem kapitał istotnie znajdował się dotąd u mnie, milion zaś przed dwoma laty zaciągnięty w księgi domu Moro, był innym milionem, niemającym z drugimi żadnego stosunku. Adwokat poradził mi, abym zapozwał braci Moro przed sąd sewilski. Poszedłem za jego radą i wytoczyłem im proces, który ciągnął się przez sześć lat i kosztował mnie przeszło sto tysięcy piasstrów. Pomimo to przegrałem we wszystkich instancjach i dwa miliony u mnie pozostały.

Z początku chciałem obrócić je na jaki zakład dobroczynny, ale obawiałem się, aby zasługa nie spadła w pewnej części na przeklętych braci Moro. Dotychczas nie wiem jeszcze, co pocznę z tymi pieniędzmi, każdego jednak roku, sumując bilans kredytu i debetu, umieszczam w pierwszym dwa miliony mniej. Widzisz zatem mój synu, że mam stanowcze powody, dla których zakazuję ci wszelkich styczności z domem braci Moro.

Gdy Cygan kończył te słowa, przysłano po niego i każdy z nas odszedł w swoją stronę.

DZIEŃ TRZYDZIESTY TRZECI

Ruszyliśmy w pochód i wkrótce spostrzegliśmy Żyda, który złączył się z nami i tak dalej opowiadał swoje przygody.

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Wzrastaliśmy więc nie pod oczyma zacnego Delliusa, który ich nie miał, ale pod opieką jego roztropności i przewodnictwem jego mądrych rad. Odtąd osiemnaście wieków upłynęło, a wiek mój dziecinny jest jedynym, o którym z przyjemnością wspominam.

Kochałem Delliusa jak własnego ojca i szczerze przywiązałem się do mego towarzysza Germana. Często jednakże z tym ostatnim wiodłem żwawe spory, zwłaszcza w przedmiocie religijnym. Napojony surowymi zasadami synagogi, ciągle mu powtarzałem:

— Twoje bałwany mają oczy, ale nie widzą, mają uszy, ale nie słyszą, złotnik je ułaj i myszy się w nich gnieźdzą.

Germanus odpowiadał mi zawsze, że nie uważano wcale bałwanów za bogów i że nie miałem żadnego pojęcia o religii Egipcjan.

Słowa te, często powtarzane, wzbudziły we mnie ciekawość; prosiłem Germana, aby namówił kapłana Cheremona do udzielenia mi kilku nauk jego religii, co musiało nastąpić pod tajemnicą, gdyż w razie gdyby synagoga była o tym posłyszała, niezawodnie byłbym ściągnął na siebie przekleństwo. Cheremon bardzo kochał Germana, przystał na jego prośbę i następnej nocy udałem się do altany przytykającej do świątyni Izidy. Germanus przedstawił mnie Cheremonowi, który posadziwszy mnie obok siebie, złożył ręce, na chwilę pogrążył się w myślach i w języku dolnoegipskim, który doskonale rozumiałem, zaczął odmawiać następującą modlitwę.

Modlitwa egipska

Wielki Boże, ojciec wszystkich,
Święty Boże, który objawiasz się twoim,
Jesteś świętym, który wszystko stworzył słowem.
Jesteś świętym, którego natura jest obrazem.
Jesteś świętym, którego nie natura stworzyła.
Jesteś świętym potężniejszym od wszelkiej potęgi.
Jesteś świętym wyższym od wszelkiej wyniosłości.
Jesteś świętym lepszym od wszelkiej pochwały.
Przyjm łaskawie ofiarę mego serca i słów moich.
Jesteś niewysłowiony, a milczenie jest twoim głosem.
Wytepiłeś błędy przeciwne prawdziwej świadomości.

Utwierdź mnie, daj mi siłę i pozwól przystąpić do Twojej łaski tym, którzy pogrążeni są w nieświadomości, jak równie tym, którzy poznali Cię i są przez to moimi braćmi a twoimi dziećmi.

Wierzę w Ciebie i głośno to wyznaję.

Wznoszę się do życia i do światła.

Pragnę uczestniczyć w Twojej świętości, ty bowiem zapaliłeś we mnie tę żądzę.

Gdy Cheremon odmówił swoją modlitwę, obrócił się do mnie i rzekł:

— Widzisz, moje dziecko, że my, równie jak wy, uznajemy jedyne Boga, który słowem swoim stworzył świat. Modlitwa, jaką słyszałeś, wyciągnięta jest z Pimanderu¹⁸⁴, księgi, którą przypisujemy trzykroć wielkiemu Thotowi¹⁸⁵, temu samemu, którego dzieła

¹⁸⁴*Pimander*, właśc. *Pojmander* (z gr. Ποιμάνδρης) — dosł.: pasterz mężów, przewodnik; nie jest to tytuł księgi, lecz imię boga w pismach hermetycznych; występuje w *Corpus Hermeticum*, gdzie *Pojmander* określane jest jako „umysł suwerenny” (gr. ὀρθρὰν θεϊκισμοῦς), rozum Absolutu. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*Thot* (mit. egip.) — bóg-stwórca, bóg mądrości, związany z Księżycem, przedstawiany z głową ibisa (a. pawiana); opiekun nauki, piśmiennictwa, matematyki, kalendarzy, patron gwiazdnych podróży oraz poezji; mag, lekarz bogów oraz ludzi, uznawany za twórcę egipskiej *Księgi Umarłych*, wynalazca pisma hieroglificznego. [przypis edytorski]

obnaszamy uroczyście w naszych procesjach. Posiadamy dwadzieścia sześć tysięcy zwojów przypisywanych temu filozofowi, który miał żyć przed dwoma tysiącami lat. Ponieważ jednak tylko naszym kapłanom wolno je przepisywać, być może zatem, że większa część dodatków wychodzi spod ich pióra. Wreszcie we wszystkich pismach Thota, przebija się ciemna i dwuznaczna metafizyka, którą można na różne sposoby tłumaczyć. Poprzestaną więc na wyłożeniu ci powszechnie przyjętych dogmatów i najwięcej zbliżających się do zasad Chaldejczyków.

Religie, równie jak wszystkie rzeczy tego świata, ulegają ciągłemu i powolnemu działaniu, które bezustannie usiłuje odmienić ich formy i istotę, tak że po kilku wiekach ta sama religia przedstawia wierze ludzkiej całkiem odmienne zasady, alegorie, których myśli ukrytej niepodobna odgadnąć, lub dogmaty, w które ogół wierzy zaledwie przez połowę. Nie mogę zatem zaręczyć, że cię nauczę dawnej religii, której uroczyste obchody możesz widzieć przedstawione na płaskorzeźbach Ozymandiasa w Tebach, wszelako powtórzę ci nauki moich mistrzów tak, jako wykładam je moim uczniom.

Przede wszystkim uprzedzam cię, abys nigdy nie przywiązywał się ani do obrazu, ani do godła, lecz abys wnikał w myśl w nich ukrytą. Tak na przykład, il przedstawia to wszystko, co jest materialne. Bożek siedzący na liściu lotosowym i płynący po ile wyobraża myśl, która spoczywa na materii, wcale jej nie dotykając. Jest to godło, jakiego użył wasz prawodawca, gdy mówił, że „Duch Boży unosił się nad wodami”. Utrzymują, że Mojżesz był wychowany przez kapłanów z miasta On, czyli Heliopolis, jakoż w istocie wasze obrzędy bardzo zbliżają się do naszych. Równie jak wy, my także mamy rodziny kapłańskie, proroków, zwyczaj obrzezania, wstręt do wieprzowiny i wiele tym podobnych punktów wspólnych.

Gdy Cheremon domawiał tych słów, jeden z kapłanów Izdy uderzył godzinę oznaczającą północ. Mistrz oznajmił nam, że pobożne obowiązki wzywają go do świątyni, ale że możemy nazajutrz wieczorem powrócić.

— Wy sami — dodał Żyd Wieczny Tułacz — wkrótce przybędziecie na nocleg, pozwólcie więc, abym odłożył na jutro dalszą część mojej historii.

Po odejściu włóczęgi zacząłem zastanawiać się nad jego słowami i zdało mi się, że odkryłem w nim wyraźną chęć osłabienia u nas zasad naszych religii, a tym samym popierania zamiarów tych, którzy pragnęli, abym moją przemienił. Wszelako dobrze wiedziałem, co honor nakazywał mi w tym względzie, i byłem mocno przekonany o bezskuteczności wszelkich usiłowań tego rodzaju.

Tymczasem przybyliśmy na spoczynek i posiliwszy się jak zwykle, korzystaliśmy z wolnego czasu naczelnika i prosiliśmy go, aby dalej raczył opowiadać, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Gdy tak młody Soares uwiadomił mnie o historii swojej rodziny, zdawał się być zmorzony snem, ponieważ zaś wiedziałem, jak bardzo spoczynek był mu potrzebny do odzyskania zdrowia, prosiłem go więc, aby odłożył dalszy ciąg swych przygód na noc następną. W istocie spał dość dobrze. Następnej nocy wydał mi się znacznie zdrowszy, atoli nie mógł jeszcze zasnąć, prosiłem go więc, aby ciągnął dalej opowiadanie i biedny chory tak zaczął mówić.

Dalszy ciąg historii Lopeza Soares

Powiedziałem ci, że mój ojciec zabronił mi przybierać tytuł „don”, dobywać szpady i wdawać się ze szlachtą, nade wszystko zaś wchodzić w jakiekolwiek stosunki z rodziną Moro. Mówiłem ci także o niepowściągniętym popędzie, jaki miałem do czytania romansów. Wbiłem więc sobie dobrze w pamięć przestrogi mego ojca, po czym obszedłem wszystkich księgarzy Kadyksu, aby zaopatrzyć się w ten rodzaj dzieł, z których, zwłaszcza w podróży, obiecywałem sobie niewypowiedzianą przyjemność.

Nareszcie wsiadłem na mały statek kupiecki i muszę wyznać, że z radością opuściłem naszą suchą, spaloną i zakurzoną wyspę. W drodze nie mogłem dość nacieszyć się widokiem kwicistych brzegów Andaluzji, wpłynąłem do Gwadalkiwiru i wylądowałem w Sewilli.

Religia, Historia, Czas,
Nauczyciel

Czarujące okolice między Sewillą a Kordową, malownicze położenia gór Sierra Morena, pasterskie obyczaje mieszkańców Manczy, wszystko, co widziałem, dodawało wdzięku ulubionym moim książkom. Roztkliwiałem moją duszę, karmiłem ją wymarzonymi i tęsknymi uczuciami tak dalece, że przybywszy do Madrytu, kochałem się już szalenie, chociaż nie znałem jeszcze przedmiotu moich uwielbień.

Stanąwszy w stolicy, zatrzymałem się Pod Krzyżem Maltańskim. Południe wybiło i niebawem zastawiono mi obiad, następnie zacząłem rozkładać moje rzeczy, jak to zwykli czynić podróżni zaraz po wprowadzeniu się do nowego mieszkania. Śród tego usłyszałem jakiś szmer przy zamku od drzwi. Poskoczyłem i otworzyłem nieco gwałtownie, ale opór, jakiego doznałem przekonał mnie, że musiałem kogoś potrącić. W istocie, ujrzałem za drzwiami człowieka dość porządnie ubranego, który nosi sobie z krwi ocierał.

— *Señor don Lopez* — rzekł mi nieznajomy — dowiedziałem się na dole w gospodzie o przybyciu zacnego syna znakomitego Gaspara Soareza i przychodzę złożyć mu moje uszanowanie.

— Mości panie — odpowiedziałem — jeżeli po prostu chciałeś wejść do mnie, byłbym, otwierając, nabił ci guza na głowie, ale to podrapanie nosa dowodzi, że zapewne musiałeś go pan trzymać przy zamku.

— Wyśmienicie — zawołał nieznajomy — podziwiam pańską przenikliwość. Nie mogę utaić, że pragnąc zaznajomić się z panem, chciałem zawczasu powziąć niejaki wyobrażenie o pańskiej powierzchowności i byłem w zachwyceniu na widok szlachetnej postawy, z jaką chodziłeś po pokoju i układałeś twoje rzeczy.

Po tych słowach nieznajomy wcale nieproszony wszedł do mnie i tak dalej mówił:

— *Señor don Lopez!* Widzisz we mnie znakomitego potomka rodziny Busqueros ze starej Kastylii, której nie należy mieszać z innymi Busquerosami rodem z Leonu. Co do mnie, znany jestem pod nazwiskiem don Roque Busqueros¹⁸⁶, ale odtąd pragnę szczyć się tylko moim poświęceniem dla jaśnie wielmożnego pana.

Przypomniałem sobie naówczas przestrogi mego ojca i rzekłem:

— *Señor don Roque*, muszę ci wyznać, że Gaspar Soarez, którego jestem synem, żegnając się ze mną, zabronił mi raz na zawsze przybierania tytułu „don” oraz rozkazał, abym nigdy nie wdawał się z żadnym szlachcicem. Stąd, pojmujesz *señor*, że niepodobna mi będzie korzystać z jego łaskawej dla mnie uprzejmości.

Na te słowa Busqueros przybrał poważną postać i rzekł:

— Wyrazy te waszej wielmożności stawiają mnie w nader przykrym położeniu, albowiem mój ojciec, umierając, jak najuroczyściej rozkazał mi, abym zawsze dawał tytuł „don” znakomitym kupcom i o ile możliwości szukał ich towarzystwa. Widzisz zatem *señor don Lopez*, że tylko kosztem mego posłuszeństwa dla mego ojca możesz słuchać rozkazów twego i im bardziej będziesz mnie unikał, tym bardziej ja, jako dobry syn, muszę usiłować narzucać ci się z moją osobą.

Busqueros zmieszał mnie tą uwagą, tym bardziej że mówiąc, przybrał srogą postać, a ojcowski zakaz dobywania szpady nie pozwalał mi zarazem wszcząć kłótni.

Tymczasem don Roque znalazł na moim stole ósmaki, czyli sztuki złota ważące po osiem dukatów holenderskich.

— *Señor don Lopez* — rzekł — właśnie zbieram podobne sztuki złota i pomimo całej usilności dotąd nie miałem bitych z tego roku. Pojmujesz, co to jest namiętność do zbiorów i mniemam, że sprawię ci przyjemność, dając ci sposobność zobowiązania mnie, czyli raczej przypadek szczególniejszy ci ją podaje, gdyż posiadam takowe sztuki z pierwszych lat, w których się pojawiły, i tylko brakowało mi z dwóch tych lat, które w tej chwili na nich spostrzegam.

Ofiarowałem przybyszowi żądane sztuki złota z tym większym pośpiechem, że myślałem, iż potem natychmiast odejdziesz; ale don Roque wcale tego nie uczynił i wracając do dawnej surowej postaci, rzekł:

— *Señor don Lopez*, zdaje mi się, że nie wypada, abyśmy jedli z jednego talerza lub co chwila podawali sobie kolejno łyżkę albo widelec. Każę przynieść drugie nakrycie. To mówiąc, Burqueros wydał stosowne rozkazy, zasiedliśmy do stołu i wyznam, że rozmo-

¹⁸⁶ *Busqueros* — nazwisko znaczące tyle co: Wścibiński. [przypis edytorski]

wa mego nieproszonego gościa była dość zabawna, tak że gdyby nie myśl przełamania ojcowskich rozkazów, z przyjemnością byłbym go widywał przy moim stole.

Busqueros wyszedł natychmiast po obiedzie, ja zaś, przeczekawszy upał, kazałem się zaprowadzić na Prado. Z zadziwieniem spoglądałem na piękne położenie tego miejsca, z najwyższą jednak niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której będę mógł zwiedzić Buen Retiro. Ta samotna przechadzka sławna jest w naszych romansach i sam nie wiem, jakie przecucie zapowiadało mi, że wejdę tam niezawodnie w jakieś miłosne stosunki.

Widok tego zachwycającego ogrodu oczarował mnie więcej niż ci to mogę wypowiedzieć. Byłbym długo tak stał pogrążony w marzeniach, gdyby jakiś świecący przedmiot, leżący na uboczu, między gęstymi krzewami, nie był zwrócił mojej uwagi. Podniosłem go i spostrzegłem portret przywiązany do kawałka złotego łańcuszka. Portret ten wyobrażał bardzo przystojnego młodego mężczyznę — na drugiej stronie była plecionka z włosów przedzielona złotym paskiem, na którym wyczytałem napis: „Wiecznie twój, moja najdroższa Inezo”. Schowałem klejnot do kieszeni i kontynuowałem moją przechadzkę.

Wróciwszy następnie na to samo miejsce, zastałem dwie kobiety, z których jedna, młoda i nadzwyczaj piękna, cała zafrasowana z wielką bacznością szukała czegoś na ziemi. Z łatwością odgadłem, że chodziło jej o zgubiony portret. Zbliżyłem się więc do niej z uszanowaniem i rzekłem:

— Pani, zdaje mi się, że znalazłem przedmiot, którego szukasz, wszelako roztropność nie pozwala mi oddać go, zanim pani kilkoma słowami nie raczysz dowieść swoich praw własności do znalezionej przeze mnie rzeczy.

— Powiem zatem panu — odpowiedziała piękna nieznajoma — że szukam portretu z kawałkiem łańcuszka złotego, którego resztę trzymam w ręku.

— Ale — dodałem — czy nie było jakiego napisu na portrecie?

— Był — odrzekła nieznajoma, nieco się zapłoniwszy — wyczytałeś pan w nim, że nazywam się Inez i że oryginał tego portretu jest „wiecznie mój”. Teraz spodziewam się, że pan zechcesz mi go oddać.

— Nie mówisz mi pani — rzekłem — jakim sposobem szczęśliwy ten śmiertelnik wiecznie do pani należy.

— Uważałam za swój obowiązek — odparła piękna nieznajoma — zadośćuczynić pańskiej przeczności, nie zaś zadawać jego ciekawość, i nie pojmuję, jakim prawem zadajesz mi pan podobne zapytania.

— Moja ciekawość — odpowiedziałem — może więcej zasługiwałaby na nazwę zajęcia. Co zaś do prawa, na mocy którego śmiem pani zadawać podobne zapytania, pozwolę sobie uczynić uwagę: że oddający zgubiony przedmiot zwykle otrzymują przyzwoitą nagrodę. Ja błagam panią o tę tylko, która może uczynić mnie najniezwyklejszym z ludzi.

Młoda nieznajoma zachmurzyła czoło i rzekła:

— Zbyt pan jesteś porywczy jak na pierwsze spotkanie, nie jest to bynajmniej sposób otrzymania drugiego; wszelako mogę zaspokoić ciekawość pańską w tym względzie. Portret ten...

W tej chwili Busqueros wyszedł niespodzianie z bocznej ścieżki i zbliżywszy się do nas poufale, rzekł:

— Winszuję pani, że zaznajomiłaś się z zacnym synem najbogatszego negocjanta z Kadyksu.

Na te słowa rysy twarzy mojej nieznajomej przybrały wyraz najwyższego oburzenia.

— Sądzę, że nie dałam powodu — rzekła — aby nieznajomi śmieli do mnie przemawiać.

Następnie zwracając się do mnie, dodała:

— Racz pan oddać mi portret, który znalazłeś.

To powiedziawszy, wsiadła do karety i zniknęła nam z oczu.

W tej chwili przysłano po Cygana, który prosił nas o pozwolenie odłożenia na jutro dalszego ciągu swojej historii. Gdy odszedł, piękna Żydówka, którą odtąd nazywaliśmy Laurą, zwracając się do Velasqueza, rzekła:

— Cóż myślisz, mości książe, o rozmarzonych uczuciach młodego Soareza? Czy kiedykolwiek w życiu zastanowiłeś się choć przez chwilę nad tym, co nazywają miłością?

— System mój — odpowiedział Velasquez — obejmuje całą naturę, a tym samym musi zawierać wszelkie uczucia, jakie ta umieściła w sercu ludzkim. Zgłębiłem je wszystkie i oznaczyłem, szczególnie zaś udało mi się co do miłości, gdyż odkryłem, że można było z wszelką łatwością wyrażać ją za pomocą algebry, a jak wiesz pani, kwestie algebraiczne ulegają rozwiązaniom, które nic nie pozostawiają do żądania. W istocie, przypuśćmy, że miłość jest rzeczywistą wartością oznaczoną znakiem *więcej*, nienawiść, jako przeciwległa miłości, podpadnie wyrażeniu przez znak *mniej*, obojętność zaś, jako uczucie żadne, będzie równała się *zeru*.

Jeżeli następnie pomnożę miłość przez miłość, czyli powiem, że kocham miłość albo lubię kochać miłość, wypadną mi zawsze wartości dodatnie: *więcej* bowiem przez *więcej* daje zawsze *więcej*. Z drugiej strony, jeżeli nienawidzę nienawiści, wchodzę tym samym w uczucia miłości, czyli w ilości dodatnie, albowiem *mniej* przez *mniej*, daje *więcej*.

Natomiast jeżeli nienawidzę nienawiści nienawiści, wkraczam w uczucia przeciwne miłości, to jest w wartości odjemne, szescian bowiem z *mniej*, daje *mniej*.

Co do iloczynów miłości przez nienawiść lub nienawiści przez miłość, te są zawsze odjemne, zupełnie jak *więcej* przez *mniej* lub *mniej* przez *więcej* dają zawsze *mniej*. W istocie bowiem, czy to nienawidzę miłości lub też kocham nienawiść, wiecznie pozostaję w uczuciach przeciwnych miłości. Czy masz, piękna Lauro, co do zarzucenia temu dowodzeniu?

— Nic zupełnie — odpowiedziała Żydówka — owszem, jestem przekonana, że nie ma kobiety, która by nie uległa podobnemu rozumowaniu.

— Wcale by mnie to nie cieszyło — odparł Velasquez — gdyż ulegając tak śpiesznie, straciłaby następstwo moich równań, czyli wniosków wynikających z moich zasad. Tymczasem postępuję dalej w moim dowodzeniu. Ponieważ więc miłość i nienawiść mają się do siebie zupełnie jak wartości dodatnie do ujemnych, wypada zatem, że zamiast nienawiści mogą napisać *mniej miłość*, co wszelako nie należy uważać za to samo, co obojętność, która w istocie równa się zeru.

Teraz wpatrz się dobrze w postępowanie dwojga kochanków. Kochają się, nienawidzą, później nienawidzą nienawiści, którą żywili do siebie, dalej kochają się więcej niż kiedykolwiek, dopóki ujemny czynnik nie zamieni wszystkich ich uczuć na nienawiść. Niepodobna zatem nie poznać w tych przemianach działających kolejno potęg dodatnich i odjemnych. Na koniec powiadają ci, że kochanek zamordował swoją kochankę i sama nie wiesz, co o tym myśleć, czy to jest wypadek miłości czy też nienawiści. Tak samo w algebrze: przychodzisz do liczb urojonych, ilekroć w pierwiastkach z *mniej X* wykładniki są parzyste.

Dowodzenie to do tego stopnia jest prawdziwe, że często widzisz, jak miłość zaczyna się przez pewien rodzaj odrazy, małą wartość odjemną, którą możemy wyrazić przez *mniej B*. Odrza ta sprowadzi kłótnię, którą oznaczymy przez *mniej C*. Wypadek dwóch tych liczb będzie *więcej BC*, czyli wartością rzeczywistą, jednym słowem uczuciem miłości.

Tu chytra Żydówka przerwała Velasquezowi, mówiąc:

— Mości książę, jeżeli dobrze cię zrozumiałam, najlepiej byłoby wyrazić miłość za pomocą rozwinięcia potęg ($A - X$) przypuszczając A daleko mniejszym od X .

— Zachwycająca Lauro — rzekł Velasquez — odgadujesz moje myśli. Tak jest, czarowna kobieto, formuła dwumianu wynalezionego przez kawalera *don* Newtona, powinna nam przewodniczyć w badaniach nad sercem ludzkim, jak w ogóle we wszystkich naszych wyrachowaniach.

Po tej rozmowie rozłączyliśmy się; ale łatwo było spostrzec, że piękna Żydówka wywarła silne wrażenie na umyśle i sercu Velasqueza. Ponieważ on równie jako i ja pochodził z Gomalczów, nie wątpiłem, że chciano użyć wpływu zalotnej kobiety, dla namówienia go do przejścia na wiarę proroka. Dalszy ciąg pokaże, że nie myliłem się w moich wnioskach.

DZIEŃ TRZYDZIESTY CZWARTY

O wschodzie słońca dosiedliśmy koni. Żyd Wieczny Tułacz, nie sądząc, abyśmy mogli tak wcześnie się wybrać, znacznie się był oddalił. Długo czekaliśmy na niego, wreszcie pokazał się, zabrał zwykłe miejsce obok mnie i tak zaczął mówić:

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Symbole nigdy nam nie przeszkadzały wierzyć w jednego Boga wyższego nad wszystkich. Pisma Thota nie pozostawiają w tym względzie żadnej wątpliwości. Oto jest ich treść:

„Jeden ten Bóg trwa niewzruszenie w odosobnieniu swojej jedności. Nic innego, nawet rozum, nie może się z nim połączyć.

On jest swoim własnym ojcem, swoim własnym synem i jedynym ojcem Boga. On jest dobrem, jest źródłem wszystkich pojęć i wszystkich pierwiastkowych¹⁸⁷ istot.

Ten Bóg jeden i jedyny tłumaczy się sam z siebie, ponieważ wystarcza samemu sobie. On jest zasadą, Bogiem bogów, monadą jedności, początkiem istnienia, a ponieważ był przed pojęciem, przeto nosi nazwisko Noetarchy¹⁸⁸”.

— Widzicie zatem moi przyjaciele — mówił dalej Cheremon — że niepodobna mieć o bóstwie wznioślejszych pojęć od naszych, ale sądziliśmy, że będzie nam wolno ubóstwić pewną część przymiotów Boga i stosunków jego z nami, czyli podnieść niektóre osoby do godności bóstwa.

Tak na przykład: myśl bożą nazywany „*Emeth*”, gdy zaś takowa słowami się wyobraza, nazywamy ją „*Toth*”, czyli przekonaniem, lub też „*Armeth*”¹⁸⁹, to jest wykładem.

Skoro myśl boża, zawierająca prawdę, schodzi na ziemię i wprowadza w działanie siłę płodności, wówczas nazywa się „*Amun*”. Gdy ta sama myśl ujawnia się poprzez sztukę, wówczas nazywamy ją „*Ptah*”, czyli wulkanem; gdy zaś pokazuje się w niesłychanej dobroczynności, nosi nazwisko *Ozyrysa*.

Uważamy Boga za jedność, wszelako nieskończona ilość dobroczynnych stosunków, jakie raczy mieć z nami, sprawia, że pozwalamy sobie bez ubliżania jego czci, uważać go za istotę zbiorową, gdyż w istocie jest on zbiorowy i nieskończenie rozmaity w przymiotach, jakie w nim spostrzegamy.

Co się tyczy duchów, wierzymy, że każdy z nas ma ich dwóch przy sobie, to jest złego i dobrego. Dusze bohaterów najbliższe są natury tych duchów i przewodniczą w szeregu dusz.

Bogowie, co do swej istoty, mogą dać się przyrównać do eteru, bohaterowie i duchy do powietrza, zwyczajne zaś dusze mają już w sobie coś ziemskiego. Opatrzność boską przyrównujemy do światła, które zapelnia wszystkie przestrzenie między światami. Dawne podania prawią nam także o potęgach anielskich, czyli posłanniczych, których obowiązkiem jest oznajmiać rozkazy Boga, i o innych potęgach jeszcze wyższego stopnia, które Żydzi helleńscy nazwali archontami lub archaniołami.

Ci spośród nas, którzy poświęcili się kapłaństwu, są przekonani, że otrzymali władzę sprowadzania obecności bogów, duchów, aniołów, bohaterów i dusz. Wszelako nie mogą wykonać tych teurgii bez naruszenia ogólnego porządku wszechświata. Gdy bogowie schodzą na ziemię, słońce i księżyc skrywają się na jakiś czas przed wzrokiem śmiertelnych.

Archaniołowie otoczeni są jaśniejszym światłem niż aniołowie. Dusze bohaterów mają mniej blasku aniżeli aniołów, jednakże więcej niż dusze zwykłych śmiertelników, które są na skutek działania materii osłonięte cieniem.

Książęta zwierzynka niebieskiego przedstawiają się pod nader wspaniałymi postaciami; nadto rozróżniamy masę szczególnych okoliczności towarzyszących ukazywaniu się rozmaitych istot i służących do odróżniania jednych od drugich. Tak na przykład: złe duchy można poznać po złośliwych wpływach, jakie się w ślad za nimi ciągną.

Co do bałwanów, wierzymy, że jeżeli wyrabiamy je pod pewnymi wróżbami niebieskimi lub też z pewnymi uroczystościami teurgicznymi, naówczas możemy ściągnąć na nie niejake cząstki istoty boskiej. Jednakowoż sztuka ta jest tak zwodnicza i niegodna prawdziwej świadomości Boga, że zwykle zostawiamy ją kapłanom daleko niższego stopnia aniżeli ten, do którego mam zaszczyt należeć.

¹⁸⁷ *pierwiastkowy* (daw.) — pierwszy, początkowy. [przypis edytorski]

¹⁸⁸ *Noetarcha* — w innym oprac. tegoż tłum.: Ojciec Bytu. [przypis edytorski]

¹⁸⁹ *Emeth* (...) *Toth* (...) *Armeth* — w innym oprac. tegoż tłum.: Emeph, Thot, Ermeth. [przypis edytorski]

Bóg

Dusza, Konflikt
wewnętrzny

Bóg, Dusza, Duch, Anioł,
Obraz świata

Kapłan

Skoro któryś z naszych kapłanów wywołuje bogów, pod pewnym względem uczestniczy w ich istocie. Wszelako nie przestaje być człowiekiem, ale tylko natura boska przenika go do pewnego stopnia i łączy się w pewnym punkcie z Bogiem. Znalazłszy się w takim stanie, z łatwością może rozkazywać duchom nieczystym, czyli ziemskim i wypędzać je z ciał, które opętały. Czasami nasi kapłani, mieszając kamienie, ziola i pierwiastki zwierzęce, tworzą mieszaninę godną na ofiarę dla bogów, atoli prawdziwym węzłem łączącym kapłana z bóstwem jest modlitwa.

Wszystkie te obrzędy i dogmaty, jakie wam wyłożyłem, przypisujemy wcale nie Thotowi, czyli trzeciemu Merkuremu, który żył za Ozymandiasa, ale prorokowi Bitysowi, który żył na dwa tysiące lat przedtem i wytłumaczył zasady pierwszego Merkurego; atoli, jak to wam już mówiłem, czas wiele dodał, przemienił, tak że nie sądzę, aby ta dawna religia miała się dostać do nas w pierwotnym jej składzie. Na koniec, jeżeli mam już wam wszystko powiedzieć, nasi kapłani czasami odważają się grozić własnym bogom i wtedy podczas ofiary tak się wyrażają: „Jeżeli nie spełnicie mego żądania, odsłonię najskrytsze tajniki Izydy, wyjaśnię tajemnice otchłani, zdruzgocę skrzynię Ozyrysa i rozsypię jego członki”.

Wyznam wam, że wcale nie pochwalam tych formuł, od których nawet Chaldejczycy zupełnie się wstrzymują.

Gdy Cheremon doszedł był do tego miejsca swojej nauki, jeden z niższych kapłanów uderzył w dzwon na północ, ponieważ jednak i wy także zbliżacie się do miejsca waszego noclegu, pozwólcie zatem, abym odłożył na jutro dalszy ciąg mego opowiadania.

Żyd Wieczny Tułacz oddalił się, Velasquez zaś zapewnił nas, że nic nie dowiedział się nowego i wszystko to można było znaleźć w księdze Jamblicha¹⁹⁰.

— Jest to dzieło — dodał — które czytałem z wielką uwagą i nigdy nie mogłem pojąć, jakim sposobem krytycy, którzy uważali za wiarygodny list Porfiriusza do Anebona Egipcjanina, nie przyznawali tego odpowiedzi, jaką Abamon udzielił był Porfiriuszowi. Ja mniemam przeciwnie, że Porfiriusz znalazł tylko w jedno w swoim dziele odpowiedź Abamona i dodał niektóre własne uwagi nad filozofami greckimi i Chaldejczykami.

— Ktokolwiek to był Anebon czy Abammon — rzekł Uzeda — mogę zaręczyć, że Żyd mówił wam szczerą prawdę.

Przybyliśmy na nocleg i po wieczery Cygan, mając czas wolny, tak dalej jął rozpowiadać:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Młody Soarez opowiedziawszy mi, jak skończyło się pierwsze jego spotkanie w Buen Retiro, nie mógł oprzeć się snowi, którego w istocie gwałtownie do odzyskania sił potrzebował. Wkrótce zasnął głęboko, następnej jednak nocy w te słowa prowadził:

Dalszy ciąg historii Lopeza Soarez

Opuściłem Buen Retiro z sercem przepelnionym miłością dla pięknej nieznamomej i oburzeniem przeciw Busquerowi. Nazajutrz, a była to właśnie niedziela, sądziłem, że spotkam w którymś kościele przedmiot moich marzeń. Przebiegłem trzy nadaremnie, wreszcie znalazłem ją w czwartym. Poznała mnie, po mszy wyszła z kościoła i przechodząc, zbliżyła się ku mnie, mówiąc półgłosem:

— To był portret mego brata.

Już była znikła, a ja stałem jeszcze jak przykuty na moim miejscu, oczarowany tymi kilkoma słowami, które usłyszałem, byłem bowiem przekonany, że obojętność nie byłaby jej poddała tej uspokajającej mnie myśli.

Wróciwszy do gospody, kazałem przynieść sobie obiad, w nadziei, że tym razem uniknę mego nieproszonego gościa, ale wraz z pierwszym daniem wszedł Busqueros, krzycząc na całe gardło:

¹⁹⁰Jamblich (ok. 250–326) — filozof grecki, urodzony w Chalkis w Syrii, gdzie założył własną, neoplatońską szkołę filozoficzną po odbyciu nauk u biskupa Laodycei Anatola oraz u Porfiriusza w Rzymie; jako filozof późnej starożytności starał się nadać nową teoretyczną podbudowę pogańskiemu politeizmowi. Główną księgą Jamblicha jest *Zbiór nauk pitagorejskich w 10 księgach*. [przypis edytorski]

— *Señor don Lopez*, odmówiłem na dwadzieścia zaproszeń i przychodzę do ciebie. Oświadczyłem ci przecież, że jestem zupełnie oddany na twoje usługi.

Wzięła mnie chętka powiedzenia czegoś nieprzyjemnego memu natrętowi, ale przypomniałem sobie zakaz mego ojca dobywania szpady, musiałem więc mimowolnie unikać klótni.

Busqueros kazał sobie przynieść nakrycie, zasiadł i obracając się do mnie z uradowaną twarzą, rzekł:

— Przyznaj *señor don Lopez*, że wybornie popisałem się wczoraj. Niby niechcący uprzedziłem młodą osobę, że jesteś synem jednego z najbogatszych negocjantów Kadyksu. Wprawdzie udała ona gniew niepomohowany, ale to tylko dlatego, aby cię przekonać, że bogactwa nie sprawiają na jej sercu żadnego wrażenia. Nie wierz temu *señor don Lopez*. Jesteś młody, przystojny, masz rozum, ale pamiętaj, że w każdej twojej miłostce złoto ci nie zaszkodzi. Ze mną na przykład rzecz ma się inaczej. Gdy mnie kochają, to tylko dla mnie, i nigdy nie wzbudziłem namiętności, w której by zwracano uwagę na mój majątek.

Busqueros długo jeszcze wygadywał podobne niedorzeczności, wreszcie zjadłszy obiad, odszedł. Nad wieczorem udałem się do Buen Retiro, wszelako z tajemnym przeczuciem, że tym razem nie spotkam mojej nieznajomej. W istocie nie przyszła, natomiast zastałem tam Busquera, który przez cały wieczór już mnie nie odstąpił.

Nazajutrz znowu przyszedł na obiad i wychodząc, oświadczył mi, że wieczorem zjedzie się ze mną w Buen Retiro. Odpowiedziałem, że mnie tam nie zastanie, będąc zaś przekonany, że nie zaufa memu słowu, nad wieczorem skryłem się do pewnego sklepu przy drodze do Buen Retiro i po chwili spostrzegłem Busquera, który śpieszył na miejsce schadzki, gdzie gdy mnie nie znalazł, niebawem wrócił cały zafrasowany. Wtedy sam czym prędzej udałem się do Buen Retiro i przeszedłszy się kilka razy po głównej alei, spostrzegłem moją piękną nieznajomą. Zbliżyłem się do niej z uszanowaniem, które, o ile mogłem zauważyć, dość jej się podobało, nie wiedząc jednakże, czy mam jej podziękować za to, co mi powiedziała w kościele. Ona sama, znać, chciała wywieść mnie z kłopotu, gdyż przybrała ton żartobliwy i rzekła:

— Utrzymujesz pan, że należy się przyzwoita nagroda temu, który znalazł stracony przedmiot i dlatego znalazłszy ten portret, chciałeś dowiedzieć się, jakie mam stosunki z jego oryginałem. Teraz znasz je pan, nie pytaj się zatem o nic więcej, chyba żebyś znowu znalazł jaką rzecz do mnie należącą, gdyż wówczas bez wątpienia znowu rościłbyś prawo do nowych nagród. Wszelako nie wypada, aby nas widziano przechadzających się razem. Żegnaj pana, ale nie zabraniam mu zbliżyć się do mnie, ile razy będziesz miał mi coś do powiedzenia.

To mówiąc, nieznajoma wdzięcznie mi się skłoniła, odpowiedziałem jej na to głębokim ukłonem, po czym oddaliłem się do sąsiedniej, równoległej alei, spoglądając często na tę, którą tylko co porzuciłem.

Nazajutrz z rana, zajęty powstającym we mnie uczuciem i rozmyślając nad jego postępami, osądziłem, że może nie jest bardzo daleka ta chwila, w której piękna Ineza da mi prawo pisania do niej; ponieważ zaś nigdy w życiu nie pisałem miłosnych listów, zdało mi się, że powinienem być wprawić się nieco w styl. Wziąłem więc pióro do ręki i napisałem list następującej treści:

„Lopez Soares do Inezy ***

Ręka moja, drżąca zgodnie z bojaźliwym uczuciem, obawia się kreslić te wyrazy. W istocie cóż mogą one przedstawić? Jakież śmiertelnik zdoła pisać, idąc za głosem miłości? Gdzież pióro, które godnie go na papier przeniesie?

Chciałbym w niniejszym liście zebrać wszystkie myśli moje, ale cóż, gdy one uciekają przede mną; błądzą zapewne po ścieżkach Buen Retiro, zatrzymują się na piasku, który ślady stóp twoich zatrzymał, i nie mogą się stamtąd oderwać.

Czyliż w istocie ten ogród naszych królów jest tak piękny, jak mi się wydaje? Nie — bez wątpienia urok jest w moich oczach, a ty, Pani, jesteś jedyną jego przyczyną. Czyliż miejsca te byłyby tak opuszczone, gdyby inni widzieli w nich te piękności, jakie ja za każdym krokiem odkrywam?

W tym ogrodzie trawnik świeżej zielenieje, jaśmin tchnie bardziej balsamicznym zapachem i krzewy, pod którymi przeszłaś, zazdrosne swego miłosego cienia, z większą siłą opierają się palącym promieniom słońca. A przecież tylko przeszłaś pod nimi, cóż się więc stanie z sercem, w którym, Pani, zostaniesz na wieki?”

Dokończywszy ten list, odczytałem go i spostrzegłem w nim pełno niedorzeczności — dlatego też nie chciałem ani go oddać, ani odesłać. Tymczasem, niby dla przyjemnego złudzenia zapieczętowałem go i podpisałem: „Do pięknej Inezy”, po czym wrzuciłem go do szuflady.

Gdy to uczyniłem, przyszła mi chętć wyjścia na przechadzkę. Przebiegłem ulicę Madrytu i przechodząc obok gospody pod Białym Lwem, pomyślałem, że dobrze uczynię, jeżeli tu zjem obiad i tym sposobem uniknę przekłętogo natręta. Jakoż kazałem sobie dać obiad i następnie wróciłem do mojej gospody.

Otworzyłem szufladę, gdzie leżał mój list miłosny, i wprawiło mnie w wielkie zdziwienie, że już go tam nie znalazłem. Pytałem moich służących, którzy powiedzieli mi, że wyjąwszy Busquera nikt więcej u mnie nie był. Nie wątpiłem, że on go zabrał i byłem bardzo niespokojny, co z nim pocznie.

Nad wieczorem nie poszedłem prosto do Buen Retiro, ale skryłem się do tego samego sklepu, który mi już służył poprzednio. Wkrótce spostrzegłem karetę pięknej Inezy i Busquera biegnącego za nią z całych sił i pokazującego list, który trzymał w ręku. Łotr tak krzyczał i wywijał rękami, że zatrzymano karete, a wtedy oddał list do rąk własnych. Następnie karetka potoczyła się ku Buen Retiro, Busqueros zaś poszedł w przeciwną stronę.

Nie mogłem przewidzieć końca tej przygody i z wolna zdążyłem ku ogrodowi. Zastałem tam już piękną Inezę siedzącą wraz ze swoją towarzyszką na ławce przypartej do altany. Dała mi znak, abym zbliżył się, kazała usiąść i rzekła:

— Chciałam kilka słów z panem pomówić. Naprzód proszę cię, abys raczył mi powiedzieć, dlaczego napisałeś mi te wszystkie niedorzeczności i następnie dlaczego użyłeś do oddania mi ich tego człowieka, którego zuchwalstwo, jak wiesz, już raz mi się nie podobało?

— Nie mogę zaprzeczyć — odrzekłem — że ja ten list pisałem, wszelako nigdy nie miałem zamiaru wręczenia go pani. Napisałem go jedynie dla własnej przyjemności i schowałem go do szuflady, z której wykradł go ten niegodziwiec Busqueros, który od czasu mego przybycia do Madrytu, jak zły duch ciągle mnie ściga.

Ineza zaczęła śmiać się i odczytała mój list z twarzą dość zadowoloną.

— Nazywasz się pan Lopez Soares? Czy jesteś pan krewnym owego bogatego Soareza, negocjanta z Kadyksu?

Odpowiedziałem, że jestem jego synem. Ineza wszczęła rozmowę o rzeczach obojętnych i udała się ku swojej karcie. Zanim wsiadła do powozu, rzekła:

— Nie wypada, abym zatrzymywała przy sobie podobne niedorzeczności, oddaję je panu pod warunkiem jednak, abys ich nie zgubił. Być może, że się jeszcze kiedy o nie zapytam. Oddając mi list, Ineza ścisnęła mnie lekko za rękę.

Dotychczas nigdy żadna kobieta nie ścisnęła mnie za rękę. Wprawdzie znałem podobne przykłady z romansów, ale czytając, nie mogłem sobie dostatecznie wyobrazić rozkoszy, jaka z takiego uściśnięcia wynikała. Znalazłem zachwycającym ten sposób wyrażania uczuć i wróciłem do domu jako najszczęśliwszy z ludzi.

Nazajutrz Busqueros znowu uczynił mi zaszczyt obiadowania ze mną.

— No cóż — rzekł — list doszedł swego przeznaczenia? Widzę po twarzy pańskiej, że sprawił pożądane wrażenie.

Musiałem wyznać, że byłem mu winien pewną wdzięczność.

Nad wieczorem poszedłem do Buen Retiro. Zaraz przy wejściu spostrzegłem Inezę, która poprzedzała mnie o pięćdziesiąt kroków. Była sama, służący tylko szedł za nią z daleka. Obróciła się, później szła dalej i upuściła wachlarz. Podjąłem go czym prędzej. Przyjęła go z wdzięcznym uśmiechem i rzekła:

— Obiecałam panu przyzwoitą nagrodę, ile razy tylko powrócisz mi jaki stracony przedmiot. Usiądźmy na tej ławce i zastanówmy się nad tą ważną sprawą.

Zaprowadziła mnie do tej samej ławki, na której ją wczoraj widziałem i tak dalej mówiła:

— Gdy odniosłeś mi pan zgubiony portret, dowiedziałeś się, że należy do mego brata, o czymże teraz chcesz się dowiedzieć?

— Ach pani — odpowiedziałem — pragnę dowiedzieć się, kto pani jesteś, jak się nazywasz i od kogo zależy?

— Mógłbyś pan myśleć — rzekła Ineza — że twoje bogactwa mnie zaślepiły, ale pozbędziesz się tej myśli, gdy usłyszysz, że jestem córką człowieka równie bogatego jak twój ojciec: bankiera Moro.

— Sprawiedliwe nieba! — zawołałem. — Mamże wierzyć moim uszom? Ach pani, jestem najniezwyklejszym z ludzi; nie wolno mi myśleć o tobie pod karą przekleństwa mego ojca, mego dziada i mego pradziada Inniga Soarez, który przebywszy wiele mórz, założył dom handlowy w Kadyksie. Teraz śmierć mi tylko pozostaje!

W tej chwili głowa don Busquera przedarła się przez altanę, do której nasza ławka była przyparta i pokazując się między mną a Inezą, rzekła:

— Nie wierz mu, pani, on tak zawsze czyni, gdy chce się kogo pozbyć. Niedawno, mało dbając o moją znajomość, dowodził, że ojciec zakazał mu wdawać się ze szlachtą, teraz lęka się obrazić swego pradziada Inniga Soarez, który przebywszy wiele mórz założył dom handlowy w Kadyksie. Nie trać pani odwagi. Te małe krezusy zawsze z trudnością chwytają za haczyk, ale prędzej czy później przychodzi na nich kolej.

Ineza powstała w najwyższym oburzeniu i wróciła do swojej karety.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca swego opowiadania, przerwano mu i już go więcej nie widzieliśmy.

DZIEŃ TRZYDZIESTY PIĄTY

Wsiedliśmy na konie, zapuściliśmy się znowu w góry i po godzinnym pochodzie, spostrzegliśmy Żyda Wiecznego Tułacza. Zajął zwykłe miejsce i tymi słowy opowiadał dalej swoje przygody.

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Następnej nocy szanowny Cheremon przyjął nas ze zwykłą mu dobrocią i tak zaczął mówić:

— Obfitość przedmiotów, jakie wczoraj wam wykladałem, nie pozwoliła mi mówić o powszechnie przyjętym przez nas dogmacie, który jednak większej jeszcze wziętości używa pomiędzy Grekami z powodu rozgłosu, jaki mu nadał Plato. Chcę wam mówić o wierze w Słowo, czyli w mądrość boską, którą my nazywamy raz „*Mander*”, to znowu „*Meth*”, a też czasami „*Thot*”, to jest przekonaniem.

Jest jeszcze inny dogmat, o którym muszę was uwiadomić, a który wprowadził jeden z trzech Thotów, nazwany *Trismegistą* czyli trzykroć wielkim, ponieważ pojmował bóstwo jako podzielone na trzy wielkie potęgi, mianowicie na samego Boga, któremu nadał nazwisko ojca, następnie na Słowo i Ducha.

Takie są nasze dogmaty. Co do zasad, są one równie czyste, zwłaszcza dla nas, kapłanów. Wykonywanie cnoty, post, modlitwa powinny stanowić tryb naszego życia.

Pokarmy roślinne, które spożywamy, nie zapalają w nas krwi i z większą łatwością pozwalają nam pokonywać nasze namiętności. Kapłani Apisa wystrzegają się wszelkich stosunków z kobietami.

Taką jest dziś nasza religia. Oddała się ona od dawnej w wielu ważnych punktach, zwłaszcza we względzie metempsychozy, która dziś mało ma zwolenników, chociaż przed siedmiuset laty, gdy Pitagoras zwiedzał nasz kraj, była powszechnie przyjęta. Nasza dawna mitologia często także wspomina o bogach planetarnych, inaczej nazywanych rządca, wszelako dziś zaledwie niektórzy wróżbici horoskopów trzymają się tej nauki.

Mówiłem wam już, że religie, jak wszystkie inne rzeczy, zmieniają się na świecie.

Pozostaje mi objaśnić wam nasze święte tajemnice; wkrótce o wszystkim się do wiecie. Naprzód bądźcie przekonani, że gdybyście nawet do nich należeli, nie bylibyście mędrsi co do początków naszej mitologii. Otwórzcie historyka Herodota, on należał do

naszych tajemnic i za każdym krokiem szczyli się tym, a jednak czynił poszukiwania nad pochodzeniem bogów greckich, jak taki, który by nie miał w tym względzie jaśniejszych pojęć od reszty ludzi. To, co on nazywa świętą mową, nie miało żadnej styczności z historią. Były to, jak Rzymianie nazywali, *turpiloquentia*, czyli bezwstydne mowy. Każdy nowy adept zwykle musi wysłuchać opowiadania obrażającego ogólnie przyjętą przystojność. W Eleusis mówią mu o Baubie, który przyjmował u siebie Ceres, we Frygii zaś o miłostkach Bachusa. W Egipcie wierzymy, że ta bezwstydność jest godłem oznaczającym nikczemność istoty materii i więcej nic w tej wierze nie wiemy.

Pewien znakomity konsularny mąż, nazwiskiem Cycero, w ostatnich czasach napisał książkę o naturze bogów. Wyznaje tam, że nie wie, skąd Italia przyjęła swoją wiarę, a jednak był wieszczkiem¹⁹¹, a tym samym wiedzącym o wszystkich tajemnicach religii rzymskiej. Nieświadomość, przebijająca się we wszystkich dziełach pisarzy wtajemniczonych, dowodzi wam, że nic nie skorzystalibyście na poznaniu tajemnic naszej wiary. Wszystkie one sięgają nader odległej epoki. Możecie oglądać uroczysty pochód Ozyrysa na płaskorzeźbie Ozymandiasa. Cześć Apisa i Mnewisa wprowadził do Egiptu Bachus przed trzema tysiącami lat.

Wtajemniczenie nie rzuca żadnego światła ani na początek wiary, ani na historię bogów, ani nawet na myśl w symbolach ukrytą, jednakże zaprowadzenie tajemnic potrzebne było dla rodzaju ludzkiego. Człowiek mający sobie ważne winy do zarzucenia lub który zmasał swe ręce zabójstwem, staje przed kapłanami tajemnie, wyznaje winy i odchodzi oczyszczony za pośrednictwem wody. Przed ustanowieniem tego zbawienego obrzędu, społeczeństwo odpychało od siebie ludzi niemogących przystępować do ołtarzów, a którzy następnie z rozpaczycy stawali się rozbójnikami.

W misteriach Mitry podają adeptowi chleb i wino i ucztę tę nazywają Eucharystią. Grzesznik, pogodzony z Bogiem, zaczyna nowe życie, uczciwsze od tego, jakie dotąd prowadził.

Tu przerwałem Żydowi, czyniąc mu uwagę, że zdawało mi się, jakoby Eucharystia wyłącznie należała do religii chrześcijańskiej. Naówczas Velasquez zabrał głos i rzekł:

— Przebacz mi, ale słowa Żyda Wiecznego Tułacza zgadzają się zupełnie z tym, co sam czytałem w pismach św. Justyna męczennika, który dodaje nawet, że złe duchy tylko mogły wprzód wprowadzić obrzęd, do jakiego sami chrześcijanie mają wyłączne prawo. Racz więc, señor Żydzie, mówić dalej.

Żyd Wieczny Tułacz tak dalej ciągnął swoje opowiadanie.

— Tajemnice — rzekł Cheremon — mają jeszcze jedną uroczystość wszystkim wspólną. Gdy bóg jaki umrze, grzebią go, płaczą nad nim przez kilka dni, po czym bóg z wielką wszystkich radością zmartwychwstaje. Niektórzy utrzymują, że symbol ten wyobraża słońce, ale popolicie widzą w nim ziarna powierzone ziemi.

Oto jest wszystko, mój młody Izraelito — dodał kapłan — co ci mogę powiedzieć o naszych dogmatach i obrzędach. Widzisz więc, że wcale nie jesteśmy bałwochwalcami, jak to nam wasi prorocy często zarzucali, ale wyznam ci, że sądzę, iż ani moja, ani twoja religia nie wystarcza już dla ludzkości. Rzuciwszy wzrok dokoła, wszędy spostrzegamy jakąś niespokojność i popęd do nowości.

W Palestynie lud tłumem wychodzi na puszcze, ażeby słuchać nowego proroka, który chrzci wodą z Jordanu. Tu znowu widzicie terapeutów, czyli uzdrowicieli-magów, którzy do naszej mieszały wiarę Persów. Młody Apolloniusz przechodzi z miasta do miasta ze swymi jasnymi włosami i udaje Pitagoresa; kuglarze podają się za kapłanów Izdy; porzucono już dawną cześć bogini, opustoszały jej świątynie i kadzidla przestały dymić na jej ołtarzach.

¹⁹¹wieszczkiem — augurem. [przypis edytorski]

Gdy Żyd Wieczny Tułacz kończył te słowa, spostrzegł, że zbliżamy się do miejsca noclegu i przepadł gdzieś w wąwozie.

Wziąłem na stronę księcia Velasqueza i rzekłem mu:

— Pozwól, abym zapytał cię: co myślisz o rzeczach, które nam Żyd Wieczny Tułacz opowiada? Mniemam, że nie należy nam wszystkiego słuchać, większa bowiem część tych rzeczy sprzeciwia się wierze, jaką wyznajemy.

— *Señor Alfonsie* — odparł Velasquez — to uczucie pobożności przynosi ci zaszczyt w oczach każdego myślącego człowieka. Wiara moja, śmiem to utrzymywać, jest bardziej oświecona od twojej, chociaż równie gorąca i czysta. Najlepszy tego dowód masz w moim systemie, o którym kilkakrotnie ci wspominałem, a który jest tylko szeregiem uwag nad bóstwem i jego nieskończoną mądrością. Sądzę zatem, *señor Alfonsie*, że to, czego ja spokojnie słucham, możesz także słuchać z czystym sumieniem.

Odpowiedź Velasqueza uspokoiła mnie zupełnie, wieczorem zaś Cygan, mając wolny czas, tak dalej ją opowiadać swoje przygody.

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Młody Soarez, opowiedziawszy mi smutną swoją przygodę w ogrodzie Buen Retiro, nie mógł oprzeć się ogarniającemu go snowi, zostawiłem go więc w spokoju; ale następnej nocy, gdy znowu przyszedłem czuwać przy nim, prosiłem go, aby względem dalszych wydarzeń raczył zadowolić moją ciekawość, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii Lopeza Soarez

Ciągle byłem przepełniony miłością dla Inezy i, jak możesz domyślić się, oburzeniem przeciw Busquerowi. Pomimo to jednak nazajutrz razem z wazą zjawił się nieznośny narzęć. Zaspokoiwszy pierwszy głód, rzekł:

— Pojmuję, *señor don Lopez*, że w twoim wieku nie masz ochoty do małżeństwa, ale przyznam, że dziwnym wydało mi się z twojej strony pokładanie za wymówkę młodej dziewczynie obawę gniewu twego pradziada Inniga Soarez, który przebywszy wiele mórz założył dom handlowy w Kadyksie. Twoje szczęście, *don Lopez*, że przecie naprawiłem jakoś całą rzecz.

— *Señor don Roque* — odpowiedziałem — racz przydać jeszcze jedną przysługę do tych, jakie mi wyświadczyłeś: nie chodź dziś wieczorem do Buen Retiro. Jestem przekonany, że piękna Ineza wcale tam nie przyjdzie, jeżeli zaś ją zastanę, bez wątpienia nie będzie chciała słowa do mnie przemówić. Jednakowoż muszę usiąść na tej samej ławce, na której wczoraj ją widziałem, oplakiwać tam moje nieszczęście i narzekać do woli.

Don Roque przybrał zagniewaną minę i rzekł:

— Słowa, jakie *señor don Lopez* do mnie wyrzekłeś, mają w sobie coś nader obrażającego i mogą naprowadzić mnie na myśl, że poświęcenie moje nie miało szczęścia przypadnięcia ci do smaku. Wprawdzie mógłbym wygodnie pozwolić ci samemu narzekać i oplakiwać twoje nieszczęścia, ale z drugiej strony, piękna Ineza mogłaby nadejść, a jeżeli mnie tam nie będzie, kto wówczas naprawi twoje niedorzeczności? Nie, *señor don Lopez*, zbyt jestem oddany twoim sprawom, ażebym miał ci być w tym posłuszny.

Don Roque wyszedł natychmiast po obiedzie, ja zaś przeczekalem upał i udałem się drogą ku Buen Retiro, ale wprzód nie omieszkałem skryć się na jakiś czas w moim sklepiku. Busqueros zjawił się niebawem, poszedł mnie szukać do Buen Retiro i nie znalazłszy swego amfitriona, wrócił i udał się, jak sądziłem, drogą do Prado. Naówczas opuściłem moją kryjówkę i poszedłem w te same miejsca, w których doznałem już tyle rozkoszy i zmartwień. Usiadłem na wczorajszej ławce i zacząłem gorzko płakać.

Nagle uczułem, że ktoś uderzył mnie w ramię. Mniemałem, że to Busqueros i odwróciłem się z gniewem, gdy wtę spostrzegłem Inezę uśmiechającą się z anielskim wdziękiem. Usiadła obok mnie, kazała oddalić się swojej towarzysze i tak zaczęła mówić:

— Kochany Soarezie, rozgniewałam się wczoraj na ciebie, gdyż nie zrozumiałam, dlaczego mówiłeś mi o twoim dziadzie i pradziadzie, ale zasięgnąwszy bliższych wiadomości, dowiedziałam się, że już prawie od wieku dom wasz nie chce mieć żadnych stosunków z naszym i to dla nader błahych, jak utrzymują, powodów. Jeżeli jednak z twojej strony zachodzą trudności, i mnie na nich nie zbywa. Mój ojciec od dawna już rozporządził

mną i lęka się, abym nie przedsięwzięła zamiarów małżeńskich przeciwnych jego widokom. Dlatego zabrania mi często wychodzić i bywać w Prado, a nawet w teatrze. Czasami tylko, gdy mam gwałtowną potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem, zmuszony tym pozwala mi przyjeżdżać tu z moją ochmistrzynią i to dlatego, że mało kto tu przychodzi, może więc być o mnie zupełnie spokojny. Przyszłym moim małżonkiem jest pewien magnat neapolitański, nazwiskiem księżę Santa-Maura. Zdaje mi się, że pan ten pragnie tylko mego majątku dla podratowania swego. Zawsze czułam nieprzewyciężony wstręt do tego związku i uczucie to powiększyło się jeszcze od chwili, gdy cię poznałam. Mój ojciec jest to człowiek nieugiętego sposobu myślenia, wszelako pani d'Avaloz, jego najmłodsza siostra, ma wielką nad nim władzę. Kochana ta ciotka nader jest do mnie przywiązana, nie cierpi zaś neapolitańskiego księcia. Mówiłam jej o tobie, pragnie cię poznać, odprowadź mnie więc do mego powozu, a przy bramie ogrodowej znajdziesz jednego ze służących pani d'Avaloz, który cię do niej zawiedzie.

Słowa zachwycającej Inezy, przepełniła mnie radością i tysiące czarownych nadziei ogarnęło mają duszę. Odprowadziłam Inezę do karety, po czym udałam się do jej ciotki. Miałem szczęście spodobać się pani d'Avaloz, wracałam do niej przez następne dni o tej samej godzinie i zawsze zastawałam u niej piękną jej siostrzenicę.

Szczęście moje trwało przez sześć dni. Siódmego dowiedziałem się o przybyciu księcia Santa-Maura. Pani d'Avaloz kazała mi nie tracić odwagi, służąca zaś z jej domu w tajemnicy oddała mi list następującej treści:

„Ineza Moro do Lopeza Soarez.

Nienawistny człowiek, któremu mnie przeznaczono, przybył do Madrytu; orszak jego cały nasz dom zapełnia. Pozwolono mi oddać się w głąb mieszkania, z którego okno wychodzi na uliczkę Augustianów. Okno nie jest zbyt wysoko, będziemy więc mogli parę chwil z sobą pomówić. Muszę zawiadomić cię o niektórych rzeczach ważnych dla naszego szczęścia. Przyjdź, jak tylko noc zapadnie”.

Otrzymałem ten list o piątej, słońce zachodziło o dziewiątej, pozostawało mi więc jeszcze cztery godziny, z którymi nie wiedziałem co począć. Postanowiłem udać się do Buen Retiro. Widok tych miejsc pogrążał mnie zawsze w słodkich marzeniach, na których, sam nie wiedząc kiedy, spędzałem długie godziny. Już przeszedłem się był kilka razy po ogrodzie, gdy z daleka spostrzegłem wchodzącego Busquera. Z początku chciałem wdrapać się na stojący w pobliżu sękaty dąb, ale nie starczyło mi sił, zląłem więc na ziemię, usiadłem na ławce i śmiało oczekiwałem nieprzyjaciela.

Don Roque, zadowolony z siebie jak zawsze, zbliżył się do mnie ze zwykłą poufałością i rzekł:

— No cóż, *señor don Lopez*? Zdaje mi się, że piękna Ineza Moro zmiękczy nareszcie twego pradziada Inniga Soareza, który przebywszy wiele mórz, założył dom handlowy w Kadyksie. Nie odpowiadasz mi, *señor don Lopez*; dobrze więc, ponieważ chcesz milczeć, usiądę obok ciebie i opowiem ci moją historię, w której znajdziesz niektóre zadziwiające zdarzenia.

Postanowiłem spokojnie wycierpieć mego natręta aż do zachodu słońca, zostawiłem mu przeto wszelką wolność i don Roque zaczął w te słowa:

Historia don Roque Busquera

Jestem jedynym synem don Błażeja Busquera, najmłodszego syna najmłodszego brata innego Busquera, który także pochodził z młodszej linii. Mój ojciec miał zaszczyt służenia królowi przez trzydzieści lat jako *alférez*, czyli podoficer w pułku piechoty, widząc jednakże, że pomimo uporczywości nigdy nie dosłuży się stopnia podporucznika, porzucił służbę i zamieszkał w mieście Alazuelos, gdzie ożenił się z młodą szlachcianką, której wuj, kanonik, zostawił był sześćset piasstrów dożywotniego dochodu. Jestem jedynym owocem tego związku, który nie trwał długo, ojciec bowiem odumarł mnie, właśnie gdy kończyłem ósmy rok życia.

Tak zostałem na opiece mojej matki, która jednak niewiele o mnie dbała, i będąc zapewne przekonana, że dzieci potrzebują wiele ruchu, od rana do wieczora pozwalała mi biegać po ulicy, wcale się o mnie nie troszcząc. Innym dzieciom w moim wieku nie

pozwalano wychodzić, kiedy chciały, ja więc odwiedzałem je jak najczęściej. Rodzice ich przyzwyczaili się do moich odwiedzin i w końcu wcale na mnie nie zważali. Tym sposobem nabrałem zwyczaju o każdej godzinie wchodzić do każdego domu naszej miejsciny.

Mając umysł dziwnie spostrzegawczy, ciekawie śledziłem najmniejsze szczegóły gospodarstwa naszych mieszczan i opowiadałem o nich potem mojej matce, która przysłuchiwała się temu z wielkim upodobaniem. Muszę nawet wyznać, że jej to mądrym radom winien jestem ów szczęśliwy talent mieszania się do cudzych spraw, choć często nie widzę w tym żadnej dla siebie korzyści. Był także czas, kiedy myślałem, że sprawię wielką przyjemność mojej matce, jeżeli będę uwiadomiał sąsiadów o tym, co u nas się dzieje. Skoro więc kto ją odwiedził lub rozmawiała z kimkolwiek, natychmiast biegłem o wszystkim powiadomić całe miasto. Wszelako rozgłos ten wcale nie przypadł jej do smaku i niebawem porządne oćwiczenie nauczyło mnie, że należało tylko przynosić nowiny, nie zaś wynosić je z domu.

Po upływie pewnego czasu spostrzegłem, że sąsiedzi powszechnie kryją się przede mną. Mocno mnie to ubodło i przeszkody, jakie mi stawiano, tym więcej rozjątrzyły moją ciekawość. Wynajdowałem tysiące sposobów, aby tylko móc zajrzeć do wnętrza ich mieszkań, cienkie zaś budowy, z jakich składała się nasza miejscina, sprzyjały moim zamiarom. Sufity były z desek źle spojonych, nocami więc dostawałem się na poddasza, wierciłem świdrem dziury i tak nieraz wysłuchałem niejedną ważną domową tajemnicę. Naówczas biegłem do mojej matki, opowiadałem jej wszystko, ona zaś powtarzała nowiny przed sąsiadami, ale zawsze przed każdym z osobna.

Domyślano się, że ja przynosiłem mojej matce te wiadomości, z każdym dniem coraz bardziej mnie nie cierpiano, wszystkie domy były dla mnie zamknięte, ale wszystkie szpary pootwierane; wtedy, skulony gdzieś na poddaszu, przebywałem wśród moich współobywateli, obywając się bez ich zaproszenia, przyjmowali mnie mimowolnie i wbrew ich chęciom zamieszkiwałem ich domy na kształt szczura. Drugi wspólny przymiot miałem z tym zwierzęciem ten, że zakradałem się do spiżarni i wedle możliwości napoczywałem zapasy.

Gdy skończyłem osiemnaście lat, matka moja oświadczyła mi, że już czas, abym obrał sobie jakiś zawód. Dawno już uczyniłem wybór. Postanowiłem zostać prawnikiem, aby tym sposobem zyskać sposobność poznania tajników rodzin i mieszania się do ich spraw. Pochwalono mój zamiar i odesłano mnie na nauki do Salamanki.

Cóż to za różnica między wielkim miastem a miejsciną, w której po raz pierwszy ujrzałem światło dzienne. Cóż to za szerokie pole dla mojej ciekawości, ale zarazem jaki ogrom przeszkód! Domy były kilkupiętrowe, szczelnie na noc pozamykane i jak gdyby mnie na złość, mieszkańcy drugich i trzecich pięter otwierali na noc okna dla świeżego powietrza. Poznałem na pierwszy rzut oka, że sam niczego nie dokonam i że trzeba mi dobrać sobie godnych towarzyszy do wspierania mnie w tak niebezpiecznych przedsięwzięciach.

Zacząłem uczęszczać na kursy prawne i przez ten czas badałem charaktery moich współuczniów, ażeby zbyt lekkomyślnie nie obdarzać ich zaufaniem. Nareszcie znalazłem czterech, o których sądziłem, że posiadali żądane przymioty, zebrałem ich więc i z początku chodziliśmy, tylko hałasując trochę po ulicach, nareszcie, gdy osądziłem, że byli dostatecznie przygotowani, rzekłem do nich:

— Drodzy przyjaciele, czy nie podziwiacie śmiałości, z jaką mieszkańcy tego miasta przez całą noc zostawiają otwarte okna. Cóż więc, czy dlatego że wznieśli się o dwadzieścia stóp nad nasze głowy, mają mieć prawo stroić sobie drwinki z uczniów uniwersytetu? Sen ich krzywdzi nas, a ich spokojność nam dolega. Postanowiłem naprzód zbadać, co się u nich dzieje, następnie pokazać im, do czego jesteśmy zdolni.

Słowa te przyjęto oklaskami, chociaż nie wiedziano jeszcze, jakie są moje zamiary. Wtedy wytłumaczyłem się jaśniej:

— Kochani przyjaciele — rzekłem — naprzód trzeba postarać się o drabinę przynajmniej na piętnaście stóp wysoką. Trzech z was, zawiązawszy się w płaszcz, będzie mogło nieść ją z łatwością, powinni tylko spokojnie postępować, jak gdyby szli jeden za drugim, wybierać stronę ulicy mniej oświetloną i trzymać drabinę od ściany. Gdy będziemy chcieli użyć drabiny, oprzemy ją o okno i podczas gdy jeden z nas wdrapie się na wysokość dogodną do obejrzenia mieszkania, drudzy rozstawią się w pewnej odległości, by czuwać

Prawnik

nad bezpieczeństwem całego przedsięwzięcia. Powziąwszy raz wiadomości o tym, co się dzieje w górnych krainach, zastanowimy się nad dalszym postępowaniem.

Zgodzono się jednomyślnie na mój zamiar. Kazałem sporządzić lekką, ale mocną drabinę i gdy tylko była skończona, natychmiast wzięliśmy się do dzieła. Wybrałem dom przyzwoitej powierzchowności, którego okna nie były bardzo wysoko. Przystawiłem drabinę i wlałem tak, aby tylko głowę moją można było spostrzec z wnętrza mieszkania.

Księżyc jasno oświetlał cały pokój, pomimo to w pierwszej chwili nic nie mogłem rozpoznać, wkrótce jednak spostrzegłem w łóżku człowieka, który wpatrywał się we mnie błędnymi oczyma. Bojaźń, jak się zdawało, odjęła mu mowę, po chwili jednak odzyskał ją i rzekł:

— Straszliwa i krwawa głowo, przestań mnie ścigać i nie wyrzucaj mi mimowolnego morderstwa.

Gdy don Roque domawiał tych słów, zdało mi się, że słońce chyli się już ku zachodowi, nie mając zaś z sobą zegarka, zapytałem go o godzinę.

To zapytanie obruszyło nieco Busquera, zmarszczył czoło i rzekł:

— Mniemam, don Lopez Soarez, że gdy przyzwoity człowiek ma zaszczyt opowiadać ci swoją historię, wtedy nie należy przerywać mu w najbardziej zajmującym miejscu, chyba że chcesz mu dać poznać, że jest, jak to my Hiszpanie nazywamy, *pesado*, czyli nudziarzem. Nie myślę, aby podobny zarzut mógł się do mnie stosować i dlatego ciągnę moją rzecz dalej.

Widząc, że sprawiłem wrażenie krwawej i straszliwej głowy, nadałem rysom mojej twarzy jak można najokropniejszy wyraz. Mój nieznamy, nie mógł wytrzymać, wyskoczył z łóżka i uciekł z pokoju. Wszelako nie był sam. Młoda jakaś kobieta obudziła się, wyciągnęła spod kołdry dwa śnieżne ramiona i spostrzegłszy mnie, wstała, zamknęła drzwi na klucz, po czym dała mi znak, abym wszedł. Drabina była nieco za krótka, wsparłem się więc na ozdobach architektonicznych i postawiwszy śmiało nogę, wskoczyłem do pokoju. Młoda kobieta, przypatrzawszy mi się bliżej, poznała swoją omyłkę, ja także spostrzegłem, że nie byłem tym, na którego czekali. Tymczasem kazała mi usiąść, okryła się szalem i usiadłszy o kilka kroków ode mnie rzekła:

— Muszę panu wyznać, że czekałam na jednego z moich krewnych, z którym miałam pomówić o pewnych sprawach dotyczących naszej rodziny, i pojmujesz pan, że jeżeli miał wejść oknem, zapewne nie byłby tego uczynił bez nader ważnych powodów. Co zaś do pana, nie mam zaszczytu znać go i nie rozumiem przyczyny, dla której przychodzisz do mnie w godzinie niewłaściwej do oddawania odwiedzin.

— Nie miałem zamiaru — odrzekłem — wchodzić do pani pokoju, chciałem tylko wnieść moją głowę do wysokości okna, aby się dowiedzieć, jak to mieszkanie wygląda.

Naówczas uwiadomiłem gospodynię o moich upodobaniach, zajęciach, młodości i o spółce, jaką zawarłem z czterema towarzyszami, którzy mieli dopomagać mi w przedsięwzięciach.

Młoda kobieta słuchała mnie z wielką uwagą, po czym rzekła:

— Opowiadanie pana wraca mi mój szacunek. Masz pan słuszność, nic nie ma w świecie przyjemniejszego, jak wiedzieć, co się dzieje u drugich. Od pierwszych lat mego życia zawsze miałam to przekonanie. Teraz niepodobna mi dłużej tu pana zatrzymywać, ale spodziewam się, że nie po raz ostatni go widzę.

— Zanim pani obudziłaś się — rzekłem — małżonek twój uczynił mi zaszczyt wzięcia mojej twarzy za krwawą i straszliwą głowę, która przychodziła wyrzucać mu mimowolne morderstwo. Racz więc pani z kolei uczynić mi zaszczyt opowiedzenia mi tych okoliczności.

— Pochwalam tę ciekawość — odrzekła — przyjdź więc pan jutro o godzinie piątej wieczorem do wielkiego ogrodu. Zastaniesz mnie tam z jedną z moich przyjaciółek. Teraz żegnam pana.

Młoda kobieta z niepospolitą grzecznością odprowadziła mnie do okna, zląłem po drabinie i połączyłem się z moimi towarzyszami, którym wiernie wszystko opowiedziałem. Nazajutrz o godzinie piątej wieczorem udałem się do wielkiego ogrodu.

Gdy tak Busqueros mówił, zdało mi się, że słońce zupełnie już zachodzi, zniecierpliwiony więc rzekłem:

— *Señor don Roque*, zaręczam ci, że ważna sprawa nie pozwala mi dłużej pozostać, sądzę przeto, że będziesz mógł z wszelką łatwością skończyć twoją historię za pierwszym razem, gdy zechcesz uczynić mi zaszczyt przyjścia do mnie na obiad.

Busqueros, przybrał tym razem jeszcze więcej zagniewaną minę i rzekł:

— Wyraźnie przekonywam się, *señor don Lopez*, że chcesz mnie obrazić; w takim razie lepiej uczynisz, mówiąc mi otwarcie, że uważasz mnie za bezwstydnego gadułę i nudziarza; ale nie, *señor don Lopez*, nie mogę przypuścić, abys miał tak źle o mnie sądzić, prowadzę więc dalej moje opowiadanie.

— Zastałem już w wielkim ogrodzie wczorajszą moją znajomą z jedną z jej przyjaciółek, wysoką, młodą i wcale niebrzydka kobietą. Usiedliśmy na ławce i młoda kobieta, pragnąc, abym ją bliżej poznał, tak zaczęła opowiadać szczegóły swego życia.

Historia Frasquety Salero

Jestem najmłodszą córką zacnego wojskowego, który tak dalece zasłużył się krajowi, że po jego śmierci przyznano całkowity żołd jego żonie. Moja matka, będąc rodem z Salamanki, wróciła do rodzinnego miasta z moją siostrą Dorotą i ze mną, którą nazywano wówczas Frasquetą. Posiadała była niegdyś mały dom w oddalonej części miasta, kazała go wyporządzić zewnątrz i wewnątrz, osiedliśmy w nim i żyliśmy z oszczędnością odpowiadającą zupełnie skromnej powierzchowności naszego mieszkania.

Moja matka nie pozwalała nam uczęszczać ani do teatru, ani na walki byków lub publiczne przechadzki. Sama też nie bywała u nikogo i nie przyjmowała żadnych odwiedzin. Nie mając przeto żadnej zabawy, prawie całe dni przepędzałam w oknie. Będąc z natury nader skłonna do grzeczności, skoro tylko jaki porządnie ubrany mężczyzna przechodził przez naszą ulicę, wnet ścigałam go wzrokiem lub spoglądałam na niego tak, ażeby myślał, że obudził we mnie pewne zajęcie. Przechodzący zwykle nie byli nieczuli na te oznaki grzeczności. Niektórzy składali mi głębokie ukłony, inni rzucali na mnie podobne memu wejrzenia, wszyscy zaś prawie wracali na naszą ulicę, jedynie aby mnie raz jeszcze ujrzyć. Gdy moja matka czasami spostrzegała te umizgi, wnet wołała na mnie:

— Frasqueta! Frasqueta! Co tam dokazujesz? Bądź skromna i poważna jak twoja siostra, inaczej nigdy nie znajdziesz męża.

Moja matka myliła się, gdyż moja siostra dotąd jeszcze jest panną, ja zaś już przeszło od roku mam męża.

Nasza ulica była bardzo pusta i rzadko kiedy miałam przyjemność widzieć przechodzących, których powierzchowność mogłaby zwrócić moją uwagę. Wszelako pewna okoliczność sprzyjała moim zamiarom. Tuż pod naszymi oknami stała kamienna ławka pod ogromnym drzewem, tak że chcący mnie widzieć, mogli bezpiecznie na niej usiąść, nie wzbudzając żadnego podejrzenia.

Pewnego dnia jakiś młody człowiek, daleko wykwintniej ubrany od tych, których dotąd widziałam, usiadł na ławce, wyjął książkę z kieszeni i zaczął czytać, atoli skoro tylko mnie spostrzegł, porzucił czytanie i odtąd oczu ze mnie nie spuszczał. Nieznajomy powracał następnego dnia i pewnego razu zbliżył się do mego okna, jak gdyby czegoś szukał, i rzekł:

— Czy pani nic nie upuściłaś?

Odpowiedziałam mu, że nie.

— Tym gorzej — przerwał — gdybyś pani bowiem była upuściła ten krzyżyk, który nosisz na szyi, byłbym go podniósł i z radością zabrał z sobą do domu. Posiadając cośkolwiek, co do ciebie, pani, należało, byłbym sobie wyobraził, że nie jestem ci tak obojętny jak inni ludzie, którzy siadają na tej ławce. Wrażenie, jakie pani sprawiłaś na moim sercu, może zasługuje, abys mnie trochę odróżniła od tłumu.

W tej chwili weszła moja matka, nie mogłam więc nic odpowiedzieć, ale odwiązałam zrzęcznie krzyżyk i upuściłam go na ulicę.

Nad wieczorem, spostrzegłam dwie panie ze służącym w bogatej liberii. Usiadły na ławce, zdjęły mantyle, naówczas jedna z nich dobytek kawałek papieru, rozwinęła go, wyjęła mały krzyżyk złoty i rzuciła na mnie nieco złośliwe spojrzenie. Byłam przekonana, że młody człowiek poświęcił tej kobiecie pierwszy dowód mojej życzliwości; gwałtowny gniew mnie opanował, tak że przez całą noc nie zmrużyłam oka. Nazajutrz obłudnik znowu usiadł na ławce i z wielkim zadziwieniem spostrzegłam, że dobytek z kieszeni kawałek papieru, rozwinął, wyjął krzyżyk i zaczął go całować.

Nad wieczorem ujrzałam dwóch służących ubranych podobnie jak wczoraj. Przynieśli stół, nakryli go, po czym odeszli i wrócili z lodami, oranżadą, czekoladą, ciastami i innymi lakościami. Wkrótce pokazały się te same dwie panie, zasiadły na ławce i kazały podać sobie przyniesione rzeczy.

Moja matka i siostra, które nigdy nie wyglądały oknem, nie mogły tym razem oprzeć się ciekawości, zwłaszcza słysząc brzęk talerzy i szklanek. Jedna z tych kobiet, spostrzegłszy je w oknie i znalazłszy postać mojej siostry ujmującą, zaprosiła je do podwieczorku, dodając tylko, aby raczyły kazać wynieść kilka krzesel.

Matka chętnie przyjęła zaprosiny, kazała wynieść krzesła na ulicę, my zaś, poprawiwszy nieco nasze ubrania, poszliśmy podziękować pani, która okazała się dla nas tak grzeczna. Zbliżywszy się do niej, spostrzegłam, że bardzo była podobna do mego młodego nieznajomego i wniosłam stąd, że musiała być jego siostrą, że zapewne brat mówił jej o mnie, dał jej mój krzyżyk i że dobra siostra przyszła wczoraj pod nasze okna, jedynie aby mnie zobaczyć. Wkrótce spostrzeżono, że brakuje łyżek, wyprawiono więc moją siostrę; po chwili zabrakło serwet, matka moja chciała mnie posłać, ale młoda dama mrugnęła na mnie, więc odpowiedziałam, że nie będę potrafiła ich znaleźć, i matka moja musiała pójść sama. Skoro tylko odeszła, rzekłam do nieznajomej:

— Zdaje mi się, że pani masz brata, nadzwyczaj do niej podobnego.

— Bynajmniej — odpowiedziała — tym bratem, o którym pani mówisz, jestem ja sam, ale posłuchaj mnie z uwagą. Mam drugiego brata, nazwiskiem książę San Lugar, ja zaś wkrótce mam zostać księżniczką d'Arcos, gdyż zaślubiam dziedziczkę tego tytułu. Nienawidzę mojej małżonki, wszelako gdybym nie przystał na ten związek, powstałyby w mojej rodzinie okropne sceny, do których nie mam najmniejszego pociągu. Nie mogąc rozrządzać moją ręką wedle własnej skłonności, postanowiłem zachować serce dla kogoś bardziej godnego miłości aniżeli księżniczka d'Arcos. Nie sądzę pani przeto, abym chciał mówić o rzeczach ubliżających twojej sławie, ale ani pani, ani ja nie porzucamy Hiszpanii, przypadek może nas połączyć, w razie zaś gdyby nam go zabrakło, potrafię wynaleźć inne sposoby. Matka twoja wkrótce powróci, racz pani tymczasem przyjąć ten diamentowy pierścień na dowód, że nie skłamałem, mówiąc o moim urodzeniu. Zaklinam cię pani, nie odmawiaj tego upominku, który rad bym, aby wiecznie przypominał mnie twojej pamięci.

Matka moja wychowywała mnie w surowych zasadach, wiedziałam, że nie należało od nieznajomych przyjmować podarunków, ale pewne uwagi, jakie uczyniłam naówczas, a które teraz sobie przypominam, spowodowały, że wzięłam pierścień. Moja matka tymczasem powróciła z serwetami, a moja siostra z łyżkami. Nieznajoma pani była nader uprzedzająca tego wieczoru i rozeszliśmy się wszyscy zadowoleni z siebie wzajemnie. Nazajutrz, równie jak następnych dni, powabny młodzieniec nie pokazał się więcej pod mymi oknami. Zapewne pojechał zaślubić księżniczkę d'Arcos.

Pierwszej niedzieli po tym wypadku, pomyślałam, że prędzej czy później odkryją u mnie pierścień, będąc więc w kościele udałam, że znalazłam go pod nogami i pokazałam mojej matce, która rzekła, że bez wątpienia musiał to być kawałek szkła oprawny w tombak, zaleciła mi jednak, abym go schowała do kieszeni. Jubiler mieszkał w naszym sąsiedztwie, pokazano mu pierścień; ocenił go na osiem tysięcy pistołów. Cena tak znaczna uszczęśliwiła moją matkę, namawiała mnie zatem, abym go ofiarowała św. Antoniemu Padewskiemu jako szczególnemu opiekunowi naszej rodziny lub też sprzedała na posag dla nas obu z siostrą.

— Przebac mi, droga mamó — odpowiedziałam — ale naprzód wypada ogłosić, że znalazłyśmy pierścień, nie wymieniając jego wartości. Jeżeli prawdziwy posiadacz zjawi

się, oddamy mu zgubę, w przeciwnym zaś razie moja siostra, równie jak św. Antoni Padewski, nie mają doń żadnego prawa, ja bowiem znalazłam pierścień i do mnie on wyłącznie należy.

Moja matka nic mi na to nie odrzekła.

Ogłoszono w Salamance uwiadomienie o znalezionym pierścieniu, zachowano tajemnicę o jego wartości i jak możesz łatwo odgadnąć, nikt się nie zgłosił.

Młodzieniec, od którego otrzymałam tak kosztowny podarunek, sprawił żywe wrażenie na moim sercu i przez osiem dni wcale nie pokazywałam się w oknie. Później jednak wróciłam do dawnego zwyczaju i jak przedtem całe dni przepędzałam, wyglądając na ulicę.

Kamienną ławkę, na której młody książę siadywał, zajmował naówczas jakiś tłusty jegomość, zawsze jednostajny i spokojny. Spostrzegł mnie w oknie i zdało mi się, że wcale go ten widok nie cieszył. Odwrócił się, ale widać, że i wtedy niepokoiłam go, gdyż chociaż mnie nie widział, często obracał się z niespokojnością. Wkrótce odszedł, dając mi uczuć wzrokiem całe oburzenie, jakie go na mój widok przejmowało, ale nazajutrz powrócił i powtórzył te same dziwactwa. Na koniec dopóty się kręcił i obracał, aż wreszcie zażądał mojej ręki.

Moja matka z radością przyjęła jego oświadczenia i rozkazała mi dać mu przychylną odpowiedź. Byłam posłuszna. Zamieniłam nazwisko z Frasquety Salero na doñy Franciszki Cornandez i wprowadziłam się do domu, w którym widziałeś mnie pan wczoraj. Zostawszy żoną don Cornaneda, zajęłam się wyłącznie jego szczęściem. Niestety, zamiary moje zbyt mi się powiodły. Po trzech miesiącach pożycia, znalazłam go szczęśliwszym, niżeli chciałam, i co gorsza, wpoiliam w niego przekonanie, że on także mnie uszczęśliwia.

Z wyrazem takiego zadowolenia wcale nie było mu do twarzy, nadto odstręczał mnie od mego i coraz bardziej niecierpliwił. Na szczęście błogi ten stan trwał niedługo.

Pewnego dnia Cornandez, wychodząc z domu, spostrzegł małego chłopca, który trzymał papier w ręku i zdawał się szukać kogoś. Chcąc go wybawić z kłopotu, wziął od niego list i przeczytał napis: „Do zachwycającej Frasquety”. Cornandez skrzywił się tak, że mały poseł uciekł ze strachu, po czym zaniósł do siebie szacowny ten dowód i przeczytał, co następuje:

Możeż to być, żeby ani moje bogactwa, ani moje męstwo, ani nazwisko nie zwróciły na siebie twojej uwagi? Jestem gotów na wszelkie wydatki, wszelkie czyny, wszelkie przedsięwzięcia, aby tylko zyskać choć jedno Twoje spojrzenie. Ci, którzy obiecali usłużyć mi, zawiedli mnie bez wątpienia, gdyż nie otrzymałem od ciebie żadnego znaku porozumienia. Wszelako tym razem, postanowiłem użyć wrodzonej mi śmiałości; odtąd nic mnie już nie zatrzyma, gdyż skoro chodzi o namiętność, gwałtowny mój sposób myślenia w samym początku nie zna ani miary, ani wędzidła. Lękam jednej tylko rzeczy, to jest twojej obojętności.

Hrabia Penna-Flor.

Wyrazy tego listu rozproszyły natychmiast całe szczęście, jakiego kosztował mój małżonek. Stał się niespokojny, podejrzliwy, nie pozwalał mi wychodzić, chyba z jedną z naszych sąsiadek, którą polubił dla przykładowej jej pobożności.

Jednakowoż Cornandez nie śmiał wspominać mi o swoich męczarniach, nie wiedział bowiem, jak daleko rzeczy zaszły z hrabią Penna Flor ani też czy wiedziałam co o jego ku mnie zapalach. Niebawem tysiączne okoliczności coraz bardziej zwiększały jego niespokojność. Pewnego razu znalazł drabinkę opartą o mur ogrodowy, drugi raz jakiś niezajomy wkradł się cichaczem do domu. Tymczasem pod moimi oknami brzmiały ciągle serenady i muzyka tak zniechęcona przez zazdrośników. Nareszcie hrabia Penna Flor nieco się uspokoił. Pewnego dnia udałam się z moją nabożną sąsiadką do Prado, gdzie zabawiłyśmy dość późno i prawie same chodziłyśmy po głównej alei. Hrabia zbliżył się do nas, wyraźnie oświadczył mi swoją namiętność, dodał, że musi zdobyć moją wzajemność lub zginać, nareszcie porwał mnie za rękę i sama nie wiem, czego ten szaleniec nie byłby się dopuścił, gdybyśmy nie zaczęły z całych sił krzyczeć.

Wróciliśmy do domu w najżywszej niespokojności. Nabożna sąsiadka oznajmiła memu mężowi, że za żadne skarby nie chce ze mną wychodzić i że szkoda, iż nie mam brata, który by mógł obronić mnie przeciw natarczywości hrabiego, kiedy własny mąż tak mało troszczy się o moją spokojność; że wprawdzie religia zabraniała zemsty, że jednak cześć tkliwej i wiernej żony zasługuje na większą opiekę i że na koniec hrabia Penna Flor zapewne dlatego tak postępuje, ponieważ wie o niedołączności don Cornandeza.

Następnego nocy mój mąż, idąc ciasną uliczką, którą często przechodził wracając do domu, spostrzegł dwóch ludzi, z których jeden uderzał w mur szpadą niezmiernie długości, drugi zaś mówił mu:

— Wyśmienicie, *señor* don Ramiro, jeżeli tak będziesz sobie poczynił z zacnym hrabią Penna Flor, niedługo będzie on postrachem braci i mężów.

Nienawistne nazwisko Penna Flor, zwróciło uwagę Cornandeza, przycisnął się w kącie i słuchał dalej z uwagą.

— Kochany przyjacielu — odpowiedział człowiek z długą szpadą — nietrudno by mi było położyć koniec miłosnym wyprawom hrabiego Penna Flor. Nie pragnę wcale go zabić, ale tylko nauczyć, aby tu więcej nie powracał. Nie na próżno nazywają don Ramira Caramanę pierwszym pojedyńkarzem w Hiszpanii, lękam się tylko skutków mego pojedynku. Gdybym mógł dostać gdzie sto dublonów, pojechałbym przepędzić jakiś czas na wyspach.

Dwaj przyjaciele długo jeszcze rozmawiali o tym samym przedmiocie, nareszcie mieli już odejść, gdy mój mąż wyszedł z kryjówki, zbliżył się do nich i rzekł:

— Mości panowie, jestem jednym z tych małżonków, którym hrabia Penna Flor zakłóca szczęście domowe. Gdybyście byli mieli zamiar zgładzenia go z tego świata, nie byłbym mieszał się do waszej rozmowy, ale ponieważ chcecie mu dać tylko małą naukę, z przyjemnością ofiaruję wam sto dublonów, których potrzebujecie dla udania się na wyspy. Raczcie tu zaczekać, zaraz wam przyniosę pieniądze.

W istocie, wyrzekłszy te słowa, poszedł do domu i powrócił ze stoma dublonami, które wręczył straszliwemu don Ramirowi Caramanza.

We dwa dni potem wieczorem usłyszeliśmy gwałtowne stukanie do naszego domu. Otworzono i ujrzeliśmy urzędnika sądowego z dwoma alguacilami. Urzędnik w te słowa odezwał się do mego męża:

— Przez wzgląd na pana przyszedł tu w nocy, pragnąc, aby nasz widok nie zaszkodził pańskiej sławie i nie przstraszył sąsiadów. Idzie tu o hrabiego Penna Flor, którego wczoraj zamordowano. Dowiedzieliśmy się z listu, który, jak mówią, wypadł z kieszeni jednego z morderców, że poświęciłeś pan sto dublonów w celu zachęcenia ich do zbrodni i ułatwienia im ucieczki.

Mój mąż odpowiedział z przytomnością umysłu, o którą nigdy nie byłabym go poradziła. Nigdy w życiu nie widziałem hrabiego Penna Flor. Dwóch ludzi, wcale mi nieznanych, przyszło do mnie wczoraj z wekslem na sto dublonów, który przeszłego roku wystawiłem w Madrycie, musiałem go więc zapłacić. Jeżeli pan żądasz, natychmiast pójde po weksel.

Urzędnik dobył list z kieszeni i rzekł:

— Czytaj pan: „Jutro odpływamy na San Domingo z dublonami pocziwego Cornandeza”.

— Prawda — odparł mój mąż — są to zapewne owe dublony za weksel. Wystawiłem go na okaziciela, nie miałem więc prawa odmawiać wypłaty ani też dopytywać się o nazwisko z nim przychodzącego.

— Należę do sądu kryminalnego — rzekł urzędnik — i nie powinienem mieszać się do spraw handlowych. Żegnaj cię, *señor* Cornandez, przebac, żeśmy cię niepokoiли.

Jak to panu już mówiłam, zdziwiła mnie ta nadzwyczajna przytomność umysłu mego małżonka, chociaż nieraz już zauważyłam, że objawiał prawdziwy geniusz, ile razy chodziło o jego własną korzyść lub nietykalność osoby. Po pierwszym przestraszeniu, zapytałam kochanego Cornandeza, czy w istocie kazał zamordować hrabiego Penna Flor. Z początku zapierał się, nareszcie przyznał, że dał sto dublonów zbirowi Caramanzie, wszelako nie za zabicie, ale tylko za upuszczenie mu trochę zbyt gwałtownej krwi.

— Jednak myśl o przyczynieniu się do morderstwa ciąży mi na sumieniu. — dodał. — Postanowiłem odprawić pielgrzymkę do św. Jakuba z Komposteli lub może i dalej, aby tylko pozyskać więcej odpustów.

Wyznanie to mego męża, poprzedziło, że tak powiem, najbardziej zadziwiające i najnadzwyczajniejsze wypadki; odtąd bowiem każdej prawie nocy pokazywało mu się jakieś straszliwe zjawisko i zakłócało spokój już i tak nadwerężonego sumienia. Nieszczęśliwe dublony, zawsze wychodziły na plac. Czasami wśród ciemności słyszano ponury głos wymawiający te słowa: „Oddam ci twoje sto dublonów”, po czym następował brzęk, jak gdyby kto liczył pieniądze.

Pewnego wieczora służąca spostrzegła w kącie beczułkę napelnioną dublonami, włożyła w nią rękę, ale znalazła tylko kupę suchych liści, które nam wraz z beczułką przyniosła.

Nazajutrz wieczorem mój mąż, przechodząc przez pokój słabo oświetlony promieniem księżycy, ujrzał w kącie głowę ludzką na półmisku; przestraszony uciekł z pokoju i opowiedział mi cały wypadek. Poszłam sama i znalazłam drewnianą głowę od jego peruki, którą przypadkiem postawiono na miedniczce od golenia brody. Nie chcąc wieść z nim sporów i pragnąc zarazem utrzymać w nim tę ciągłą niespokojność, zaczęłam przeraźliwie krzyczeć i upewniłam go, że widziała krwawą i straszliwą głowę.

Odtąd ta sama głowa pokazywała się prawie wszystkim mieszkańcom naszego domu i tak dalece przerażała mego męża, że lękałam się o jego rozum. Nie potrzebuję panu mówić, że wszystkie te zjawiska były mego wynalazku. Hrabia Penna Flor był, jak to mówią, osobą moralną, wymarzoną dla niepokojenia Cornandeza i wyleczenia go z dotychczasowego stanu własnego zadowolenia. Urzędnicy sprawiedliwości, równie jak zbiry byli służącymi księcia d’Arcos, który natychmiast po ślubie przybył do Salamanki.

Tej nocy postanowiłam nowym sposobem przestraszyć mego męża, nie wątpiłam bowiem, że natychmiast ucieknie z pokoju do swojej modlitwni, wtedy miałam zamiar zamknąć drzwi na klucz i oknem wpuścić do siebie księcia. Nie obawiałam się, aby mój mąż go spostrzegł, chociażby drabina była przystawiona do ściany, gdyż każdego wieczora pilnie zamykaliśmy dom, klucz zaś chowałam pod poduszkę. Nagle zjawiłeś się pan w oknie, mąż mój znowu był przekonany, że głowa hrabiego Penna Flor przychodzi wymawiać mu dane sto dublonów.

Nareszcie pozostaje mi napomknąć kilka słów o tej nabożnej i przykładnej sąsiadce, która wzbudziła w moim mężu tak nieograniczone zaufanie. Niestety! Ta sąsiadka, którą widziałeś razem ze mną wchodzącą, jest to sam książę, przebrany w niewieście suknie; tak jest, sam książę, który mnie kocha nad życie, może dlatego, że dotąd nie jest jeszcze pewny mojej wzajemności.

Na tych słowach Frasqueta skończyła swoje opowiadanie, książę zaś zbliżył się do mnie i rzekł:

— Señor Busqueros, nie darmo ci zaufaliśmy, idzie tu o przyspieszenie wyjazdu Cornandeza, chcemy nadto, aby nie poprzestał na pielgrzymce, ale ażeby przez jakiś czas odpokutował w którym ze świętych miejsc. Do tego potrzebuję ciebie i czterech uczniów, którzy zostają pod twymi rozkazami. Wytlumaczę ci mój zamiar.

Gdy Busqueros domawiał tych słów, spostrzegłem z przestachem, że słońce już zaszło i że mogę spóźnić się na schadzkę naznaczoną mi przez zachwycającą Inezę. Przerwałem mu więc dalszy ciąg i zaklinałem, aby raczył odłożyć na jutro uwiadomienie mnie o zamiarach księcia d’Arcos. Busqueros odpowiedział mi ze zwykłym zuchwalstwem, wtedy nie mogąc już powściągnąć gniewu, zawołałem:

— Niegodziwy natręcie, wydrzyj więc to życie, które mi zatruwasz, albo broń twego!

To mówiąc dobyłem szpady i zmusiłem mego przeciwnika, żeby to samo uczynił.

Ponieważ mój ojciec nigdy nie pozwalał mi dobywać szpady, nie wiedziałem więc, jak sobie z nią poczynać. Naprzód zacząłem obracać młyńca, który z początku zdziwił don Busquera. Wkrótce jednak przeciwnik mój złożył się z niepospolitą zrećznością i przeszył mi rękę, a nawet zranił w ramię. Szpada wypadła mi z ręki, upadłem zalany krwią, wszelako

najbardziej dręczyła mnie niemożność stawienia się na umówioną godzinę i dowiedzenia się rzeczy, o których piękna Ineza chciała mnie uwiadomić.

Gdy Cygan doszedł był do tego miejsca, odwołano go dla spraw hordy. Po jego odejściu Velasquez rzekł smutnie:

— Przewidywałem, że historie Cygana będą ciągle wysuwać się jedna z drugiej. Frasqueta Salero opowiedziała swoją historię Busquerowi, ten Lopezowi Soarez, który znowu opowiedział ją Cyganowi. Spodziewam się, że na koniec powie nam co się stało z piękną Inezą, jeżeli jednak jeszcze wetknie jaką nową historię, pogniewam się z nim, jako Soarez pogniewał się z Busquerem. Sądzę atoli, że nasz opowiadacz dziś już do nas nie powróci.

W istocie Cygan nie pokazał się więcej i niebawem rozeszliśmy się na spoczynek.

DZIEŃ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Ruszyliśmy w pochód. Żyd Wieczny Tułacz wkrótce złączył się z nami i tak dalej ciągnął opowiadanie swoich przygód.

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Nauki mądrego Cheremona, były daleko dłuższe od wyciągu, jaki wam uczyniłem. Ogólnym ich wnioskiem było, że pewien prorok, imieniem Bitys, dowiódł w swoich dziełach istnienia Boga i aniołów i że drugi prorok, nazwany Thot, osłonił te pojęcia ciemną metafizyką, która zdawała się tym wznioślejsza.

W teologii tej Bóg, którego nazywano Ojcem, czczony był jedynie przez milczenie: wszelako gdy chciano wyrazić, jak dalece sam sobie wystarcza, mówiono, że jest swoim własnym ojcem i własnym synem. Czczono go także pod postacią syna i wtedy nazywano „rozumem bożym” lub „Thotem”, co znaczy po egipsku „przekonanie”.

Na koniec, ponieważ spostrzegano w naturze ducha i materię, poczytywano zatem pierwszy za wynik z Boga i przedstawiano go pływającego po ile, jak to wam już gdzie indziej powiedziałem. Twórca tej metafizyki zwany był „po trzykroć wielkim”. Plato, który przepędził osiemnaście lat w Egipcie, wprowadził do Greków teorię o słowie, za co uzyskał od nich przydomek boskiego.

Cheremon utrzymywał, że wszystko to nie istniało zupełnie w duchu dawnej religii egipskiej, że ta zmieniła się, gdyż w ogóle zmiana leżała w naturze każdej religii. Zdanie jego pod tym względem wkrótce potwierdziły wypadki zaszłe w synagodze aleksandryjskiej.

Nie byłem jedynym Żydem, który badał teologię egipską, inni także zasmakowali w niej, zwłaszcza zaś oczarował ich duch enigmatyczny, który panował w całej ich literaturze, a który zapewne pochodził z pisma hieroglificznego i z zasady egipskiej nieprzysiężania się do symbolu, ale do myśli w nim ukrytej.

Nasi rabinowie aleksandryjscy pragnęli także mieć zagadki do rozwiązywania i wyobrażili sobie, że pisma Mojżesza, jakkolwiek przedstawiają opowiadanie faktów i rzeczywistą historię, były wszelako pisane z tak boską sztuką, że obok myśli dziejowej ukrywały jeszcze drugą, tajemniczą i alegoryczną. Niektóry z mędrców naszych wyjaśnili tę myśl ukrytą z przenikliwością, która im zaszczyt w owym czasie przyniosła, jednakże ze wszystkich rabinów najwięcej odznaczył się Filon. Długie badania nad Platonem wprawiły go w rzucanie fałszywego światła na ciemności metafizyki, stąd też nazywano go Platonem synagogi.

Pierwsze dzieło Filona obejmowało rzecz o stworzeniu świata, szczególnie zaś zastanawiało się nad własnościami liczby siedem. W piśmie tym autor nazywa Boga ojcem, co zupełnie wchodzi w zakres teologii egipskiej, nie zaś stylu *Biblii*. Znajdujemy tam również, że wąż jest alegorią rozkoszy i że historia kobiety stworzonej z żebra mężczyzny jest także alegoryczna.

Tenże sam Filon, napisał drugie dzieło o snach, gdzie mówi, że Bóg ma dwie świątynie: jedną na tym świecie, której kapłanem jest słowo boże; drugą zaś duszę czystą i wyrozumowaną, której kapłanem jest człowiek. W książce swojej o Abrahamie Filon jeszcze wydatniej wyraża się w duchu egipskim, gdyż mówi:

„Ten, którego pismo święte nazywa *będącym* (czyli tym, który *jest*), w istocie jest ojcem wszystkiego. Z dwóch stron otaczają go potęgi bytu, najdawniejsze i najściślej z nim związane, mianowicie potęga twórcza i potęga rządząca. Jedna nazywa się Bogiem, druga Panem. Takim sposobem wielka istność złączona z tymi potęgami przedstawia nam raz pojedynczy kształt, drugi raz potrójny: pierwszy, gdy dusza zupełnie oczyszczona wznosi się nad wszystkie liczby, nawet nad liczbę dwa, tak bliską jedności, i gdy przechodzi nareszcie w wyrażenie oderwane, proste i szczytne; drugi kształt, potrójny, przedstawia się duszy niezupełnie jeszcze przypuszczonej do wielkich tajemnic”.

Tenże Filon, który tak się rozplatonował aż do utraty oglądu rzeczy i rozumu, jest tym samym, który później był posłem przy cesarzu Klaudyuszu. Używał on wielkiej powagi w Aleksandrii i prawie wszyscy hellenizujący Żydzi, porwani urokiem jego stylu i popędem, jaki wszyscy dudzie mają do nowości, przyjęli jego naukę, tak dalece że wkrótce byli tylko, że tak powiem, Żydami z nazwiska. Księgi mojżeszowe stały się dla nich pewnym rodzajem tła, na którym przetykali według upodobania własne alegorie i tajemnice, zwłaszcza zaś mit potrójnego kształtu.

W owej epoce Żydzi Esseńczycy już byli utworzyli dziwaczne ich stowarzyszenie. Nie żenili się i nie posiadali żadnych majątków. Wszystko należało do ogółu. Nareszcie ze wszech stron ujrzano powstające nowe religie, mieszaniny judaizmu i magizmu, mieszaniny sabeizmu i platonizmu, wszędzie zaś masy przesądów gwiazdarskich. Dawne religie zewsząd waliły się ze swych posad.

Gdy Żyd Wieczny Tułacz kończył te słowa, znaleźliśmy się niedaleko miejsca spoczynku, porzucił nas więc i przepadł gdzieś w górach. Nad wieczorem Cygan, mając czas wolny, tak dalej ciągnął swoje opowiadanie.

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Młody Soarez, opowiedziawszy mi historię swego pojedynku z Busquerem, uczuł się zmorzony snem, zostawiłem go więc w spokoju, nazajutrz zaś zapytawszy, co się dalej stało, taką otrzymałem odpowiedź:

Dalszy ciąg historii Lopeza Soareza

Busqueros, zraniwszy mnie w ramię, rzekł, że prawdziwym szczęściem jest dlań ta nowa sposobność okazania mi swego poświęcenia. Rozdarł moją koszulę, owiązał mi ramię, okrył płaszczem i zawiódł do chirurga. Ten opatrzył mi rany, sprowadził powóz i odwiózł mnie do domu. Busqueros kazał wnieść sobie łóżko do przedpokoju. Nieszczęsny skutek moich usiłowań pozbycia się natręta odstręczył mnie od podejmowania nowych i poddałem się memu losowi. Nazajutrz dostałem gorączki, jaką zwykle nawiedza rannych. Busqueros zawsze okazywał równą gorliwość i na chwilę mnie nie opuszczał. Czwartego dnia mogłem nareszcie z przewiazaną ręką wyjść na ulicę. Piątego dnia po obiedzie wszedł do mnie służący od pani d'Avalos i przyniósł list, który Busqueros natychmiast pochwycił i czytał, co następuje:

„Ineza Moro do Lopeza Soarez.

Dowiedziałam się, kochany Soarez, że miałeś pojedynek i zostałeś ranny w ramię. Możesz sobie wyobrazić, ile na tym cierpiałam. Teraz jednak idzie o użycie ostatecznych środków. Chcę, aby mój ojciec zastał cię u mnie. Przedsięwzięcie jest śmiałe, ale mamy za sobą ciotkę d'Avaloz, która nam dopomoże. Zaufaj człowiekowi, który wręczy ci ten list — jutro już będzie za późno”.

— *Señor don Lopez* — rzekł nienawistny mi Busqueros — widzisz, że w tym razie nie możesz obejść się beze mnie. Każde podobne przedsięwzięcie z natury swojej do mnie należy. Uważałem cię zawsze za zbyt szczęśliwego, że potrafiłeś zjednać sobie moją przyjaźń, atoli dziś więcej niż kiedykolwiek poznasz całą jej wartość. Ach, przez świętego Rocha, mego patrona, gdybyś był pozwolił mi dokończyć moją historię, byłbyś zobaczył, co uczyniłem dla księcia d'Arcos, ale przerwałeś mi i to jeszcze tak gwałtownym sposobem. Wreszcie nie skarżę się, gdyż rana, jaką ci zadałem, pozwoliła mi dać nowe dowody mego dla ciebie poświęcenia. Teraz, *señor don Lopez*, błagam cię tylko o jedną laskę. Nie

mieszaj się do niczego, póki nie nadejdzie stanowcza chwila. Tymczasem żadnej gadaniny, żadnego zapytania! Zaufaj mi, *señor don Lopez*, zaufaj!

To powiedziawszy, Busqueros wyszedł do drugiego pokoju z powiernikiem panny Moro. Długo szeptali coś między sobą, wreszcie Busqueros sam powrócił, niosąc w rękę pewien rodzaj planu wyobrażającego uliczkę Augustianów.

— Oto jest — rzekł — koniec ulicy, która prowadzi do dominikanów. Tam będzie stał służący dony Moro wraz z dwoma ludźmi, za których mi ręczy. Ja zacznę się na przeciwnym końcu ulicy z moimi wybranymi przyjaciółmi, którzy są także twoimi, *señor don Lopez*. Nie, nie, myślę się, tu będzie ich dwóch tylko, reszta obsadzi tylne drzwiczki, aby nie uniemożliwić przejście tamtędy ludziom księcia Santa Maura.

Sądziłem, że plany te nadawały także mnie prawo objawienia mego zdania. Chciałem dowiedzieć się, co ja przez ten czas będę porabiał, ale Busqueros powstał na mnie¹⁹² opryskliwie i rzekł:

— Żadnej gadaniny, *don Lopez*, żadnych pytań! To są nasze warunki, jeżeli ty o nich zapomniłeś, ja dobrze je pamiętam.

Przez resztę dnia Busqueros ciągle wchodził i wychodził. Wieczorem nastąpiło to samo. Raz dom sąsiedni był za nadto oświetlony, to znowu pokazywali się na ulicy jacyś podejrzeni ludzie lub nie spostrzeżono umówionych znaków. Czasami Busqueros przychodził sam, zwykle jednak przysyłał z uwiadomieniem jednego ze swoich powierników. Nareszcie przyszedł po mnie i wymógł, żebym udał się za nim. Możesz domyślić się, jak mi serce biło. Myśl, że gwałcę ojcowskie rozkazy, przyczyniała się do mego pomieszenia, wszelako miłość brała górę nad innymi uczuciami.

Busqueros, wchodząc w uliczkę Augustianów, pokazał mi drzwi, przy których pełnili wartę jego przyjaciele, i dał hasło.

— W razie gdyby kto obcy tędy przechodził — rzekł do mnie — moi przyjaciele udadzą, że kłócą się między sobą, tak więc chcąc nie chcąc, będzie musiał zawrócić. Teraz — dodał — jesteśmy już u celu. Oto drabina, po której dostaniesz się na górę. Widzisz, że mocno jest oparta o cegły. Ja będę uważał na znaki, a skoro zaklaszczę w ręce, zaczniesz wstępować.

Ale któż by mógł sądzić, że po tych planach i przygotowaniach Busqueros pomylił okna. Uczynił to jednak i zobaczysz, co z tego wynikło.

Skoro tylko posłyszałem znak, chociaż z przewiązanym ramieniem, natychmiast zacząłem wstępować, opierając się na jednym ręku. Dostawszy się na górę, nie znalazłem według przyrzeczenia otwartej okiennicy. Ośmieliłem się więc zastukać, wsparty tylko na nogach. W tej chwili jakiś człowiek gwałtownie otworzył okno, uderzając mnie okiennicą. Straciłem równowagę i ze szczytu drabiny spadłem na cegły leżące na dole. Złamałem sobie w dwóch miejscach ramię już zranione, potrzaskałem nogę, którą zaczępiłem między szczelblami, drugą wywichnąłem i pokaleczyłem się od karku aż do krzyżów. Człowiek, który otworzył okiennicę, życzył sobie zapewne mojej śmierci, gdyż zawołał:

— Ty nie żyjesz już, przyjacielu?

Bąłem się, aby nie zechciał mnie dobić, więc odpowiedziałem, że nie żyję.

Po chwili odezwał się ten sam głos:

— Czy jest czyściec na tamtym świecie?

Ponieważ cierpiałem niewypowiedziane boleści, odrzekłem przeto, że jest i że już się w nim znajduję. Następnie zdaje mi się, że straciłem przytomność.

Tu przerwałem Soarezowi i zapytałem go, czy była tego wieczora burza.

— Bez wątpienia — odpowiedział — grzmiało, łyskało się i być może, że dlatego Busqueros pomylił okna.

— Co słyszę — zawołałem zdziwiony — to jest więc nasza dusza czyścicowa! Nasz biedny Aguilar!

To mówiąc, wybiegłem jak strzała na ulicę. Dzień zaczynał świtać; nająłem muły i czym prędzej pośpieszyłem do klasztoru kamedułów. Znalazłem kawalera Toledo leżącego krzyżem przed świętym obrazem, położyłem się obok niego, a ponieważ u kamedułów nie wolno głośno mówić, zbliżyłem się więc do jego ucha i opowiedziałem mu całą

¹⁹²powstał na mnie — tu: sprzeciwił mi się, zwrócił się przeciw mnie. [przypis edytorski]

historię Lopeza Soarez. Z początku kawaler Toledo leżał niewzruszony, po chwili jednak obrócił się i rzekł mi do ucha:

— Kochany Avarito, jak ci się zdaje, czy żona oidora Uscaritza kocha mnie jeszcze i czy została mi wierna?

— Niezawodnie — odpowiedziałem — ale cicho, nie gorszmy tych zacnych pustelników. Módl się pan jak zazwyczaj, ja tymczasem pójdę powiedzieć, że skończyliśmy już naszą pokutę.

Przeor usłyszawszy, że kawaler pragnie wrócić do świata, pożegnał go, niemniej jednak chwając jego pobożność.

Gdy tylko wydobyliśmy się z klasztoru, kawaler natychmiast odzyskał dawną wesołość. Mówiłem mu o Busquerze, powiedział mi na to, że znał go, że był to szlachcic z orszaku księcia d'Arcos uchodzący za najnieznośniejszego człowieka w całym Madrycie.

Gdy tak Cygan mówił, jeden z jego podwładnych przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności i już go więcej nie ujrzelśmy.

DZIEŃ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Następny dzień poświęciliśmy spoczynkowi. Śniadanie było obfitsze i lepiej przyrządzone. Zeszliśmy się wszyscy. Piękna Żydówka przyszła ustrojona z większą starannością, ale zachody te były zbyteczne, jeżeli czyniła to w celu przypodobania się księciu. Wcale bowiem nie postać jej go oczarowała. Velasquez widział w Rebecie kobietę odznaczającą się od innych większą głębokością pojęć i umysłem wykształconym, zwłaszcza na naukach ścisłych.

Rebeka od dawna pragnęła odkryć sposób myślenia księcia względem religii, sama bowiem nienawidziła chrystianizmu i wchodziła do spisku, za pomocą którego chciała nakłonić nas do przejścia na wiarę proroka. Zaczepiła go więc na pół poważnie, na pół żartobliwie i zapytała go, czy w swojej religii nie znalazł takiego równania, którego niepodobna mu było rozwiązać.

Na wzmiankę o religii Velasquez zachmurzył czoło, ale widząc, że prawie żartem zadawano mu pytanie, z twarzą nie bardzo wesołą zastanowił się przez chwilę, po czym odpowiedział tymi słowy:

— Widzę, dokąd pani dążysz, zadajesz mi pytanie geometryczne, odpowiem więc, wspierając się na zasadach tej wzniosłej nauki.

— Chcąc oznaczyć nieskończoną wielkość, piszę ósemkę poziomą ∞ i dzielę ją przez jedność; przeciwnie, jeżeli pragnę oznaczyć nieskończoną małość, piszę jednostkę i dzielę ją przez takąż ósemkę. Wszelako znaki te używane w rachunkach nie dają mi żadnego pojęcia o tym, co chcę wyrazić. Nieskończona wielkość jest to niebo ze swymi gwiazdami podniesione do nieskończonej potęgi. Nieskończona małość jest to nieskończony pierwiastek z najmniejszej części atomu. Oznaczam więc nieskończoność, ale jej jednak nie pojmuję.

Jeżeli zatem nie mogę pojąć, nie mogę wyrazić, ale zaledwie tylko mogę oznaczyć lub raczej z daleka wskazać nieskończoną małość i nieskończoną wielkość, jakimże sposobem wyrażę to, co jest zarazem nieskończenie wielkie, nieskończenie mądre, nieskończenie dobre i jest twórcą wszelkich nieskończoności?

Tu Kościół przybywa mojej geometrii na pomoc. On przedstawia mi wyrażenie trzech zawartych w jednostce, nie niszcząc tej ostatniej. Cóż mogę zarzucić przeciw temu, co przechodzi moje pojęcie? Muszę się poddać.

Nauka nigdy nie prowadzi do niedowiarstwa, ciemnota nas tylko w nim pogrąża. Człowiek ciemny, aby tylko co dzień widział jaką rzecz, wnet mniema, że ją rozumie. Prawdziwy badacz natury wiecznie postępuje pośród zagadek; ciągle zajęty zgłębianiem, pojmuje zawsze przez pół, uczy się wierzyć w to, czego nie rozumie, i tak zbliża się do świątyni wiary. Don Newton i don Leibnitz, byli prawowiernymi chrześcijanami, a nawet teologami, obaj jednak przyjęli tajemnicę liczb, chociaż nie mogli jej pojąć.

Gdyby byli urodzili się w naszym wyznaniu, byłiby równie przyjęli drugą tajemnicę nie mniej niepojętą, a która polega na możliwości ścisłego połączenia człowieka z jego

Stwórcą. Zagadnienia tego nie popiera żaden oczywisty fakt, ale przeciwnie, przedstawia same tylko niewiadome, chociaż z drugiej strony przekonuje nas o zupełnej różnicy między człowiekiem a innymi pojęciami odzianymi w materię. Jeżeli bowiem człowiek rzeczywiście jest jedyny w swoim rodzaju na tej ziemi, jeżeli dowodnie przekonani jesteśmy, że różni się od całego królestwa zwierzęcego, natenczas łatwiej przypuścimy możliwość połączenia się jego z Bogiem. Raz tak przygotowani, zajmijmy się na chwilę siłą pojmowania, jaka może znajdować się w zwierzętach.

Zwierzę chce, pamięta, wnioskuje, waha się, na koniec przystępuje do czynu. Zwierzę myśli, ale bynajmniej nie swoją myślą, i to stanowi siłę pojętności podniesioną do drugiego stopnia. Zwierzę nie mówi: „Jestem istotą myślącą”. Abstrakcja ta, tak mało jest dlań przystępna, że nigdy nie widziano zwierzęcia, które by miało najmniejsze pojęcie o liczbach. Liczby jednak należą do najprostszych abstrakcji.

Sroka nie opuszcza swego gniazda, dopóki jest przekonana, że człowiek znajduje się w jej pobliżu. Chciano przekonać się o rozległości jej siły pojmowania. Pięciu strzelców weszło do kryjówki. Wyszli jeden po drugim i sroka nie porzuciła gniazda dopóki nie ujrzała piątego wychodzącego. Skoro strzelcy przyszli w sześciu lub siedmiu, sroka nie mogła się doliczyć lub też odlatywała za piątym. Stąd strzelcy wniesli, że sroka umiała liczyć tylko do pięciu. Mylili się — sroka zatrzymała obraz zbiorowy pięciu ludzi, ale bynajmniej ich nie policzyła. Rachować jest to odrywać liczbę od rzeczy. Widzimy nieraz szarlatanów pokazujących małe konie, które uderzają nogą tyle razy, ile jest pików lub trefli na karcie, nie zauważamy jednak, że to skinienie pana do tego ich pobudza.

Zwierzęta nie mają zatem żadnego pojęcia o liczeniu. Ta więc abstrakcja najprostsza ze wszystkich może być uważana za granicę siły pojmowania u zwierząt.

Nie ma wątpliwości, że inteligencja u zwierząt często zbliża się do naszej. Pies z łatwością poznaje pana domu, jego przyjaciół lub obojętnych. Pierwszych lubi, drugich zaledwo znosi. Nienawidzi ludzi, którym źle z oczu patrzy, miesza się, kręci, obawia. Spodziewa się i wstydzi, gdy go schwytają na wzbronionym uczynku. Pliniusz mówi, że wyuczono słonie tańcować i że wypatrzone raz, jak przy świetle księżycy powtarzały lekcję.

Pojętność zwierząt dziwi nas, o ile jest zastosowana do pojedynczych wypadków. Wykonują dane im rozkazy, unikają rzeczy wzbronionych, jak w ogóle wszystkiego, czego użycie sprawia im cierpienie. Wszelako nie mają ogólnego, oderwanego pojęcia o dobru lub szczegółowego pojęcia o tym albo owym czynie. Nie mogą dzielić czynów na dobre i złe. Abstrakcja ta jest daleko trudniejsza od abstrakcji liczbowej, ponieważ zaś niepodobna im zdobyć się na mniej, nie ma przyczyny, dla której potrafiłyby więcej.

Świadomość jest w pewnej części dziełem człowieka, gdyż to, co uważają w jednym kraju za dobre, w drugim poczytują za złe. W ogóle świadomość, a raczej sumienie, ostrzega o tym, co abstrakcyjne myślenie tym lub owym sposobem oznaczyło jako złe. Zwierzęta nie są w stanie podnieść się do podobnej abstrakcji. Nie mają zatem sumienia, nie mogą iść za jego popędem, nie zasługują więc ani na nagrodę, ani na karę, chyba na takie, które im zadajemy dla naszego, nigdy zaś dla ich własnego pożytku.

Widzimy stąd, że człowiek jest jedyny w swoim rodzaju na ziemi, na której wszystko inne wchodzi do ogólnego systemu. Człowiek sam umie myśleć własną myślą, umie myśleć abstrakcyjnie i uogólniać liczne przymioty. Tym samym zdolny jest do położenia zasługi lub wyrządzenia krzywdy: albowiem abstrakcyjne myślenie, uogólnianie i rozróżnianie zła i dobra wyrobiło w nim sumienie.

Jednakże dlaczego człowiek posiada przymioty odróżniające go od innych zwierząt? Tu przez analogię dochodzimy do wniosku, że jeżeli wszystko na świecie ma założony pewien cel, sumienie nie może być bez celu dane człowiekowi.

Tym sposobem rozumowanie prowadzi nas do pierwotnej religii natury — ta zaś dokąd nas wiedzie, jeżeli nie do tego samego celu, dokąd i religia objawiona, to jest do przyszłej nagrody lub kary. Ile razy zaś iloczyn jest ten sam, mnożne i mnożniki nie mogą być rozmaite.

Z tym wszystkim rozumowanie, na jakim religia natury się zasadza, często jest niebezpieczną bronią, raniącą tego, kto jej używa. Jakiejże cnoty nie chciano potępić za pomocą rozumowania lub przeciwnie, jakiej nie próbowano usprawiedliwić zbrodni! Czy-

Sumienie, Kondycja ludzka,
Zwierzę

liż Opatrzność wieczna mogła wystawiać na szwank los społeczeństwa moralnego albo też zdawać go na łaskę sofistyki? Bez wątpienia — nie; wiara więc, wsparta na zwyczajach powziętych od dziecinnnych lat, na miłości dzieci ku rodzicom, na potrzebach serca, przedstawia człowiekowi podstawę daleko pewniejszą od rozumowania. Zwątpiono nawet o sumieniu, tej najważniejszej różnicy oddzielającej nas od zwierząt; sceptycy chcieli sobie uczynić z niego igraszkę. Usiłowali wmówić, jakoby człowiek w niczym nie różnił się od tysiąca innych istot pojmujących, odzianych materią i zaludniających kulę ziemską. Ale na przekór im człowiek czuje w sobie sumienie, kapłan zaś przy poświęceniu mówi mu: „Bóg jedyny zstępuje na ten ołtarz i łączy się z tobą”. Wtedy człowiek przypomina sobie, że nie należy do natury zwierzęcej: wchodzi w samego siebie i znajduje sumienie.

Jednakowoż, powiesz mi, nie idzie tu wcale o dowiedzenie, że religia natury prowadzi do tego samego celu, co i religia objawiona. Jeżeli jesteś chrześcijaninem, powinienes wyznawać tę ostatnią i wierzyć w cuda, o jakich ci prawi.

Za pozwoleniem, oznaczmy naprzód różnicę między religią natury a objawioną.

Podług teologa Bóg jest twórcą religii chrześcijańskiej; podług filozofa także, ponieważ wszystko, co się dzieje, pochodzi z woli boskiej; ale teolog wspiera się na cudach, które są wyjątkami w ogólnych prawach natury i tym samym nie przypadają do smaku filozofowi. Ten ostatni, jako badacz natury, mniema, że Bóg, twórca naszej świętej religii, chciał ją uzasadnić jedynie na powszechnych prawach natury, nie wyłamując się z tychże praw raz przez siebie stworzonych i rządzących światem moralnym i materialnym.

Tu różnica nie jest jeszcze tak znaczna, wszelako filozof pragnie daleko wydatniej odznaczyć się od teologa. Stąd mówi mu: „Ci, którzy widzieli cuda na własne oczy, mogli z łatwością im uwierzyć. Zasługa wiary tobie się należy jako urodzonemu o osiemnaście wieków później; jeżeli jednak wiara jest zasługą, dostatecznie dowiodłeś twojej, czy cuda te rzeczywiście miały miejsce, czy też święta tradycja podała je do twojej wiadomości. Skoro zaś sposób wystawiania na próbę jest ten sam, zasługa równie musi być jednaka”.

Tu znowu teolog przestaje się bronić i mówi do badacza natury: „Ależ tobie samemu kto odkrył prawa natury? Skąd wiesz, czy cuda zamiast być wyjątkami, nie są raczej objawami nieznanymi tobie fenomenów? Nie możesz bowiem powiedzieć, że znasz dokładnie te prawa natury, do których odwołujesz się od wyroków religii. Te promienie twego wzroku, które podciągnąłeś pod prawa optyki, jakim sposobem wszędzie przedzierają się, nigdzie się nie krzyżując, gdy przeciwnie, spotkawszy zwierciadło, wracają, jak gdyby odbiły się o jakie ciało sprężyste? Dźwięki równie się krzyżują, a echo jest ich obrazem. W ogóle można je podciągnąć pod prawa zastosowane do promieni optycznych, chociaż są raczej trybami, podczas gdy promienie zdają się nam ciałami. Ty jednak nie wiesz tego, gdyż ostatecznie nic nie wiesz”.

Badacz natury musi przyznać, że nic nie wie, wszelako dodaje: „Jeżeli nie jestem w stanie określić cudu, ty, panie teologu, nie masz prawa odrzucać świadectwa ojców kościoła, którzy przyznają, że nasze dogmaty i tajemnice istniały już w religiach przedchrześcijańskich. Ponieważ więc nie weszły do tych poprzednich religii za pomocą objawienia, musisz zatem zbliżyć się do mego zdania i przyznać, że można było te same dogmaty ustalić bez przyczyny cudów. Wreszcie — mówi badacz — oto jest ostateczne moje przekonanie o początku chrystianizmu: świątynie starożytnych były po prostu jatkami, bogowie ich bezwstydnymi rozpustnikami, ale niektórzy prawdziwie oświeceni ludzie mieli zasady daleko czystsze i składali ofiary mniej odrażające. Filozofowie oznaczali Bóstwo nazwiskiem *Theos*, nie wymieniając ani Jowisza, ani Saturna. Rzym podbił naówczas ziemię i przypuszczał ją do swoich bezceństw. Mistrz boski zjawił się w Palestynie, zaczął nauczać miłości bliźniego, pogardy bogactw, zapomnienia krzywd, poddania się woli Ojca, który jest w niebie. Ludzie prości towarzyszyli mu podczas jego pobytu na ziemi. Po jego śmierci zesłi się wraz z innymi oświeconszymi ludźmi i wybrali z obrzędów pogańskich to, co najlepiej przystawało dla nowej wiary. Nareszcie ojcowie kościoła zabłysnęli z kazalnicy wymową bez porównania bardziej przekonującą od tej, jaką dotąd słyszano z mównic. Takim sposobem, za pomocą środków na pozór ludzkich, chrystianizm utworzył się z tego, co było najczystsze w religiach pogańskich i żydowskiej.

Tak to jednak zawsze spełniają się wyroki Opatrzności. Stwórca światów mógł bez wątpienia ognistymi głoskami wypisać swoje święte prawa na gwiazdzistym niebie, ale nie uczynił tego. Skrył w dawnych tajemnicach ziarna doskonalszej religii, zupełnie tak

jak w żółdziej ukrywa las, który będzie kiedyś oceniał naszych potomków. My sami, aczkolwiek nie wiemy o tym, żyjemy przecie wśród przyczyn, nad skutkami których potomność będzie się zdumiewać. Dlatego to nazywamy Boga Opatrznością, w przeciwnym bowiem razie nazywalibyśmy go tylko potęgą”.

Tak, na kształt linii znanych pod nazwą asymptot, zdania filozofa i teologa mogą, nigdy nie spotykając się, coraz bardziej się zbliżać aż do odległości mniejszej od wszelkiej, jaką możemy sobie wyobrazić, czyli że ich różnica będzie mniejsza od wszelkiej różnicy możliwej do oznaczenia i od wszelkiej ilości mogącej być ocenioną. Skoro zatem nie jestem w stanie ocenić różnicy, jakim prawem odważę się występować z moim zdaniem przeciw przekonaniom moich braci i kościoła? Czyliż mogę krzawić moje powątpiewania pośród wiary, którą oni wyznają i którą przyjęli za podstawę ich moralności? Nie — bez wątpienia, nie mam tego prawa, poddaję się więc sercem i duszą. Don Newton i don Leibniz, jak powiedziałem, byli chrześcijanami, a nawet teologami. Ostatni wiele zajmował się połączeniem kościołów. Co do mnie, nie powinienem był wymieniać się po tych wielkich mężach. Badam teologię w dziełach stworzenia, ażeby wynaleźć nowe powody wielbienia Stwórcy.

To powiedziawszy, Velasquez zdjął kapelusz, przybrał zamyśloną minę i wpadł w marzenie, które można było wziąć za zachwyty ascetyczny. Rebeka nieco się zmieszała, ja zaś zrozumiałem, że dla chcących osłabić w nas zasady religii i namówić do przejścia na wiarę proroka sprawa będzie równie trudna, a raczej niepodobna z Velasquezem, jak i ze mną.

DZIEŃ TRZYDZIESTY ÓSMY

Spoczynek poprzedzającego dnia pokrzepił nasze siły. Ruszyliśmy w drogę z większą odwagą. Żyd Wieczny Tułacz nie pokazał się dnia wczorajszego, gdyż nie mając prawa ani na chwilę pozostać na miejscu, mógł nam opowiadać tylko wtedy, gdy sami byliśmy w drodze. Zaledwie jednak ujechaliśmy ćwierć mili, zjawił się; zajął zwykle miejsce między mną a Velasquezem i zaczął w te słowa:

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Dellius starzał się, a czując zbliżającą się ostatnią godzinę, przywołał mnie i Germanusa i kazał nam kopać w piwnicy tuż przy drzwiach, mówiąc, że znajdziemy tam małą skrzynkę spiżową, którą mieliśmy mu przynieść. Wykonaliśmy jego rozkazy, znaleźliśmy i przynieśli¹⁹³ mu skrzynkę.

Dellius dobył klucza, który miał zawieszony na szyi, otworzył skrzynkę i rzekł nam:

— Oto są dwa pergaminy opatrzone podpisami i pieczęciami. Pierwszy zapewni ci, mój synu, posiadanie najpiękniejszego domu w Jeruzolimie, drugi to rewers na trzydzieści tysięcy darejków i procenty od tyłu lat urosłe.

Naówczas opowiedział mi historię dziada mego Hiskiasa i wuja Sedekiasa, po czym dodał:

— Człowiek ten chciwy i podły żyje dotąd, co dowodzi, że wyrzuty sumienia nie zabijają. Moje dzieci, skoro ja żyć przestanę, udajcie się do Jeruzolimy, wszelako nie dawajcie się poznać, dopóki nie znajdziecie opiekunów, a może najlepiej byłoby zaczekać, aż Sedekias umrze, co dzięki jego podeszłemu wiekowi zapewne wkrótce nastąpi. Tymczasem będziecie mogli żyć z pięciuset darejków. Znajdziecie je zaszyte w mojej poduszce, która nigdy na chwilę mnie nie odstępuje. Zresztą, drogi mój uczniu, mam ci tylko jedną radę do udzielenia. Żyj zawsze uczciwie, a za to będziesz miał wieczór życia spokojny. Co do mnie, umrę, jakom żył, to jest śpiewając: będzie to, jak mówią, łabędzi śpiew.

Homer, ślepy równie jak ja, ułożył hymn do Apollina, oznaczającego to słońce, którego równie jak i ja nie widział. Przed laty podłożyłem był¹⁹⁴ hymn ten pod muzykę, zacząć więc pierwszą strofę, ale wątpię, abym mógł dokończyć ostatniej.

Życie jako wędrówka,
Droga, Słowo, Żyd

Śpiew, Śmierć

¹⁹³znaleźliśmy i przynieśli — znaleźliśmy i przynieśliśmy. [przypis edytorski]

¹⁹⁴podłożyłem był — [przypis edytorski]

To mówiąc, Dellius zawiódł hymn zaczynający się od słów: „Witaj szczęśliwa Latono”, ale zaledwie doszedł do „Delos, jeżeli chcesz, aby syn mój zamieszkiwał twoje brzegi” — głos jego osłabł, pochylił głowę na moje ramię i wyzionął ducha.

Długo oplakiwaliśmy naszego przyjaciela, wreszcie udaliśmy się do Palestyny i dwunastego dnia po wyjściu z Aleksandrii stanęliśmy w Jerozolimie. Dla większego bezpieczeństwa odmieniliśmy nazwiska. Ja przybrałem miano Antypa, Germanus zaś kazał się nazywać Glaphrysem. Zatrzymaliśmy się w nędznej gospodzie na zewnątrz miasta i prosiliśmy o wskazanie nam mieszkania Sedekiasa. Natychmiast nam je pokazano. Był to najpiękniejszy dom w całej Jerozolimie, prawdziwy pałac, godny mieścić w sobie syna królewskiego. Najęliśmy małą izdebkę u szewca, który mieszkał naprzeciwko Sedekiasa. Ja prawie ciągle siedziałem w domu, Germanus biegał po mieście i zbierał nowiny.

W kilka dni po naszym przybyciu wbiegł do mnie i rzekł:

— Kochany przyjacielu, mam dla ciebie dobrą wiadomość. Potok Cedron tuż za domem Sedekiasa rozlewa się we wspaniałe jezioro. Starzec zwykł tam przepędzać całe wieczory w jaśminowej altanie. Już musi tam być, chodź, zobaczysz twego prześladowcę.

Poszedłem za Germanem i przybyliśmy nad brzeg potoku naprzeciw pięknego ogrodu, gdzie ujrzałem śpiącego starca. Usiadłem naprzeciw niego i zacząłem mu się przypatrywać. Jakże sen jego odmienny był od Delliuszowego. Śnać¹⁹⁵ trapiące sny straszliwie go niepokoiły, gdyż wzdrygał się co chwila.

— Ach, Delliuszu — zawołałem — zaprawdę, mądrze radziłeś mi, abym żył uczciwie.

Germanus uczynił też samą uwagę.

Gdyśmy się tak zastanawiali, spostrzeżliśmy obiekt, na widok którego zapomnieliśmy o wszystkich naszych uwagach. Była to młoda dziewczyna, najwięcej szesnastoletnia, nadzwyczajnej piękności, którą podwyższał jeszcze bogaty ubiór. Perły i łańcuchy wysadzone kosztownymi kamieniami zdobiły jej ręce, szyję, ramiona i nogi. Na sobie miała lekką tunikę lnianą, przetykaną złotem. Germanus pierwszy krzyknął:

— To istna Wenus!

Ja zaś mimowolnym poruszeniem padłem przed nią na kolana. Młoda piękność spostrzegła nas i nieco się zmieszała, wkrótce jednak uspokoiła się, wzięła wachlarz z pawich piór i zaczęła owiewać głowę starca dla ochłodzenia go i przedłużenia mu snu.

Germanus dobył książkę, którą przyniósł był¹⁹⁶ z sobą i udał, że czyta, ja zaś, że go słucham, podczas gdy zajmowaliśmy się wyłącznie tym, co się działo w ogrodzie.

Starzec ocknął się; po kilku zapytaniach, jakie zadał młodej dziewczynie, poznaliśmy, że miał wzrok osłabiony i że nie mógł dostrzec nas w naszej kryjówce, co nas mocno ucieszyło, postanowiliśmy bowiem jak najczęściej tu wracać.

Sedekias odszedł, wspierając się na młodej dziewczynie, my zaś powróciliśmy do domu. Nie mając innego zatrudnienia, wdaliśmy się w rozmowę z naszym szewcem, który nam powiedział, że Sedekias nie ma żyjącego syna, że cały jego majątek spada na córkę jednego z jego synów, że ta młoda wnuczka nazywa się Sara i że dziadek nadzwyczajnie ją kocha.

Gdyśmy odeszli do naszej izdebki, Germanus rzekł:

— Kochany przyjacielu, przychodzi mi myśl skończenia od razu sporu twego z Sedekiasem. Musisz ożenić się z jego wnuczką, w przyprowadzeniu jednak tego zamiaru do skutku potrzeba wielkiej przeczności.

Pomysł ten bardzo mi się podobał; długo rozmawialiśmy o wnuczce Sedekiasa i przez całą noc o niej tylko marzyłem.

Nazajutrz i następnych dni o tej samej porze wracałem nad potok. Zawsze widywałem w ogrodzie piękną Sarę ze swoim dziadkiem lub samą, a chociaż nie przemówiłem do niej ani słowa, nie wątpiałam jednak, że wiedziała, dla kogo tam przychodziłem. —

Gdy Żyd Wieczny Tułacz, domawiał tych słów, przybyliśmy na miejsce spoczynku i nieszczęśliwy włóczęga przepadł gdzieś w górach.

¹⁹⁵śnać a. *śnadź* (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

¹⁹⁶przyniósł był (daw. forma) — czas zaprzeszy; inaczej: przyniósł wcześniej, uprzednio przyniósł. [przypis edytorski]

Rebeka nie zagadywała już księcia o religię, ponieważ chciała jednak poznać to, co nazywała jego systemem, schwyciła pierwszą sposobność i zarzuciła go zapytaniami.

— Pani — odparł Velasquez — jesteśmy jako ślepi, którzy potykając się o rogi niektórych domów, znają końce kilku ulic, wszelako nie należy pytać ich o plan całego miasta. Ponieważ jednak nastajesz na mnie, będę usiłował dać ci pewne pojęcie o tym, co zowiesz moim systemem, co zaś ja sam nazywam raczej sposobem zapatrywania się na rzeczy.

Wszystko zatem, co nasze oko obejmuje, cały widnokrąg rozciągający się u stóp gór, nareszcie całą naturę dostrzegalną za pomocą naszych zmysłów możemy podzielić na materię martwą i organiczną. Materia organiczna różni się od martwej organami, należy jednak zupełnie do niego i składa się z tych samych pierwiastków. Tak więc moglibyśmy znaleźć w tej skale lub w tym trawniku takie same pierwiastki, z jakich pani się składasz. W istocie, masz pani wapno w swoich kościach, krzemionkę w ciele, alkalia w żółci, żelazo w krwi, sól w łzach. Części tłuszczowe składają się z kombinacji materii palnych z pewnymi pierwiastkami powietrza. Nareszcie, gdyby panią wsadzono do pieca chemicznego, można by cię sprowadzić do stanu flaszeczki szklanej; gdyby zaś dodano do ciebie metalicznego wapna, otrzymalibyśmy w wypadku piękny materiał do teleskopu.

— Przedstawiasz mi książkę zachwycający obraz — rzekła Rebeka — proszę cię, raz mówić dalej.

Velasquez mniemał, że sam nie wiedząc kiedy, powiedział jakąś grzeczność pięknej Żydówce, uchylił więc z wdziękiem kapelusza i tak ciągnął dalej:

— Widzimy w pierwiastkach martwych materii niepohamowany popęd, jeżeli nie do organizmu to przynajmniej do kombinacji. Pierwiastki łączą się, rozdzielają, aby znowu łączyć z innymi. Przybierają pewne kształty; myślano by, że stworzone są do bytu organicznego, wszelako same przez się nie mogą się organizować i bez iskry zapładniającej nie zdołają przejść do innego rodzaju kombinacji, którego ostatecznym wypadkiem jest życie.

Podobnie jak fluid magnetyczny, życie, spostrzegamy tylko w jego skutkach. Pierwszym skutkiem jest zatrzymanie w ciałach organicznych fermentacji wewnętrznej, które nazywamy zepsuciem. Zaczyna się ono w ciałach organicznych, skoro tylko życie je opuści.

Życie długo może ukrywać się w płynie, jak na przykład w jajku lub też w materii stałej, i stąd dopiero rozwija się w przyjaznych okolicznościach.

Życie krąży po wszystkich częściach ciała, nawet w płynach, we krwi, która psuje się, dobytą z naszych żył.

Życie jest w naczyniach żołądka, które zachowują go od wpływu soku gastrycznego, rozpuszczającego ciała martwe dostające się do żołądka.

Życie przechowuje się mniej więcej długo w członkach oddzielonych od reszty ciała. Nareszcie życie użycza własności twórczych. Nazywamy to tajemnicą poczęcia, która tak jest dla nas niepojęta, jak prawie wszystko w naturze.

Istoty organiczne dzielą się na dwa wielkie rodzaje: pierwszy podczas spalania wydzielą alkalia stałe, drugi obfituje w alkalia lotne. Rośliny wchodzą do pierwszego rodzaju, zwierzęta do drugiego.

Są zwierzęta, które co do budowy organizmu zdają się być niższe od wielu roślin. Takie są ameby, które można ujrzyć pływające po morzu, lub wodnice, które włożą owcom w mózgi.

Są inne, daleko wyższe organizmy, w których jednak niepodobna jasno rozpoznać to, co nazywamy wolą. Tak na przykład gdy zwierzę koralowe rozwiera swoją pokrywę dla połknięcia małych żyjątek, którymi się karmi, możemy mniemać, że poruszenie to jest skutkiem jego budowy, jak to widzimy w kwiatkach, które zamykają się na noc, we dnie zaś obracają ku słońcu.

Rodzaj woli polipa wyciągającego ramiona można dość słusznie przyrównać do woli dziecka nowo narodzonego, które chce, choć jeszcze nie myśli. Wola bowiem u dzieci poprzedza myśl i jest bezpośrednim wypadkiem potrzeby lub cierpienia.

W istocie, przygnieciony jaki członek naszego ciała chce koniecznie rozciągnąć się i zmusza nas do wypełnienia jego woli. Żołądek często opiera się sposobowi utrzymania, jaki mu przepisują. Gruczoły ślinowe wzbierają na widok pożądaney strawy; podniebienie

zaczyna lechtać, tak że często rozum zaledwie z trudnością może zapanować. Gdybyśmy sobie wyobrazili człowieka, który by przez długi czas nie jadł, nie pił, leżał ze skurczonymi członkami, słowem, nie wypełniał żadnej funkcji organicznej, zobaczylibyśmy naówczas, że różne części jego ciała nastęrczały by mu jednocześnie rozmaite chęci.

Wola takowa, pochodząca bezpośrednio z potrzeby, zarówno znajduje się w polipie dorosłym, jak w nowo narodzonym dziecku. Są to pierwsze pierwiastki wyższej woli, która następnie rozwija się w miarę doskonalenia się organizmu. Wola w dziecku nowo narodzonym zapewne poprzedza myśl, ale bardzo nieznacznie, myśl zaś ma także swoje pierwiastki, o których wspomnę kiedy indziej.

Gdy Velasquez rozwijał tak swoje pojęcia, przerwano mu dalsze dowodzenie. Rebeka oświadczyła księciu całą przyjemność, z jaką go słuchała i odłożono na następny dzień dalszy ciąg nauki, która mnie także mocno zajmowała.

DZIEŃ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

O wschodzie słońca ruszyliśmy w dalszą drogę. Żyd wkrótce się z nami złączył i tak ciągnął swoje opowiadanie.

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Podczas gdy całą duszą oddawałem się marzeniom o pięknej Sarze, Germanus, którego moje zamiary mało co obchodziły, przepędził kilka dni na słuchaniu nauk pewnego mistrza nazwanego Jozue, który stał się później sławnym pod nazwiskiem Jezusa. Jezus albowiem po grecku znaczy to samo co Jehoszuah po hebrajsku, jak możecie przekonać się o tym z przekładu Siedemdziesięciu. Germanus chciał nawet udać się za swoim mistrzem do Galilei, atoli myśl, że może stać mi się użytecznym, zatrzymała go w Jerozolimie.

Pewnego wieczoru Sara zdjęła swoją zasłonę i chciała zawiesić ją na gałęziach drzewa balsamowego, ale w tej samej chwili wiatr pochwycił lekką tkaninę i podwiewając ją, zaniósł na środek Cedronu. Rzuciłem się w fale potoku, porwałem zasłonę i zaczepiłem ją na krzaku od strony ogrodu. Sara rzuciła mi łańcuszek złoty, który zdjęła z szyi. Pocałowałem go z uszanowaniem i wpław dostałem się na drugą stronę potoku.

Plusk wody, obudził starego Sedekiasa. Chciał dowiedzieć się, co zaszło. Sara zaczęła mu opowiadać zdarzenie, starzec postąpił parę kroków naprzód, myśląc, że stoi tuż przy ogrodzeniu: tymczasem wszedł na skałę, gdzie nie postawiono żadnego płotu z powodu gęstych krzewów, które go zastępowały. Noga pośliznęła mu się, rozchyliły się krzewy i Sedekias stoczył się w potok. Rzuciłem się za nim, schwyciłem go i wyniosłem na brzeg. Wszystko to stało się w jednej chwili.

Sedekias odzyskał przytomność i widząc się w moich objęciach, zrozumiał, że winien mi jest życie. Zapytał mnie, kim jestem.

— Żydem z Aleksandrii — odpowiedziałem — nazywam się Antyp, nie mam ani ojca, ani matki, nie wiedząc zatem, co począć, przybyłem szukać szczęścia w Jerozolimie.

— Ja ci zastąpię ojca — rzekł Sedekias — odtąd będziesz mieszkał w moim domu.

Przyjąłem zaproszenie, nie wspominając wcale o towarzyszu, który nie wziął mi tego za złe i sam zamieszkał u naszego szewca. Takim sposobem wszedłem do domu mego najzaciętszego wroga i z każdym dniem zyskiwałem coraz większy szacunek człowieka, który byłby mnie zamordował, gdyby się był dowiedział, że większa część jego majątku prawem dziedzictwa do mnie należała. Sara ze swojej strony codziennie okazywała mi coraz większą przychylność.

Wymiana pieniędzy odbywała się wówczas w Jerozolimie prawie tak samo, jak dziś jeszcze odbywa się na wchodzie. Jeżeli będziecie w Kairze lub w Bagdadzie, zobaczycie u drzwi meczetów ludzi siedzących na ziemi, i trzymających na kolanach małe stoliki z szufladą na boku, do zsypywania odrachowanych pieniędzy. Przy nich leżą worki ze srebrem i złotem, które otwierają dla żądających tego lub owego rodzaju pieniędzy. Wymieniaczy tych nazywają dziś *sarafami*. Wasi ewangeliści mianowali ich *trapezytami* z powodu kształtu stolików, o których wam mówiłem.

Prawie wszyscy wymieniacze jerozolimscy pracowali na rachunek Sedekiasa, on zaś porozumiewał się z dzierżawcami i celnikami rzymskimi dla podnoszenia lub zniżania według własnej woli takiego rodzaju pieniędzy, jaki mu zapowiadał największą korzyść.

Zrozumiałem wkrótce, że najlepszym sposobem pozyskania łaski mego wuja było dokładne poznanie pieniężnych obrotów i pilne baczenie na podwyższanie lub zniżanie się ich wartości. Zamiar mój tak dalece mi się powiódł, że po dwóch miesiącach we wszystkich sprawach tego rodzaju zasięgano mego zdania.

Okolo tego czasu rozeszła się pogłoska, jakoby Tyberiusz miał w całym państwie nakazać powszechne przetopienie pieniędzy. Srebrne zwłaszcza miały więcej nie krążyć, ale zamierzano zlać je w sztaby i odesłać do skarbcza monarchy. Nie wynalazłem wcale tej pogłoski, ale sądziłem, że wolno mi było rozsiewać ją, możecie więc wyobrazić sobie, jakie wrażenie sprawiła na wszystkich jerozolimskich wymieniaczach. Sam Sedekias nie wiedział, co wobec tego począć i łamał sobie głowę, jaką decyzję powinien podjąć.

Mówiłem wam już, że na całym wschodzie wymieniacze zasiadają u drzwi meczetów, w Jerozolimie mieliśmy nasze kantory w samej świątyni, która była tak obszerna, że sprawy, jakie w jednym jej kącie załatwialiśmy, bynajmniej nie mieszały służb bożych. Od kilku dni wszelako taki przestрах padł na wszystkich, że żaden wymieniacz się nie pokazał. Sedekias nie pytał mnie o zdanie, ale zdawał się chcieć je wyczytać z moich oczu.

Nareszcie, gdy sądziłem, że wartość pieniędzy srebrnych znacznie już była spadła, przedstawiłem plan mój starcowi. Słuchał mnie z uwagą, długo zdawał się zastanawiać i namyślać, nareszcie rzekł:

— Kochany Antypie, mam w mojej piwnicy dwa miliony złotych sesterceji, jeżeli potrafisz nimi stosownie do twego planu zarządzić, Sara jest twoja.

Nadzieja pozyskania ręki pięknej Sary i widok złota, zawsze dla Żyda ponętny, pogrążyły mnie w zachwyceniu, które jednak nie przeszkodziło mi natychmiast wybiec na ulicę w celu zadania śmiertelnego ciosu srebrnej monecie. Germanus z całych sił mi dopomagał. Przekupiłem także kilku kupców, którzy za moją namową wzbraniali się sprzedawać towary za srebro. W krótkim czasie rzeczy do tego doszły stopnia, że mieszkańcy Jerozolimy zniechęcili srebrne pieniądze; naówczas przekonani, że uczucie to jest już dostatecznie silne, przystąpiliśmy do wykonania zamiaru.

Następnego dnia kazałem zanieść do świątyni całe nasze złoto w zakrytych naczyniach miedzianych, zarazem oznajmiłem, że Sedekias, mając do skutecznego znaczne wypłaty w srebrze, powziął zamiar zakupienia dwóchkroć stu tysięcy uncji srebra i ofiaruje uncję złota za dwadzieścia pięć srebra. Zyskiwaliśmy na tym obrocie przeszło sto od sta.

Natychmiast lud ze wszech stron zaczął się cisnąć i niebawem wymieniłem połowę mego złota. Nasi służący co chwila odnosili srebro, tak że powszechnie mniemano, iż zaledwie dotąd utargowałem dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy sesterceji. Wszystko szło przewybornie i byłbym niezawodnie podwoił majątek Sedekiasa, gdyby jakiś faryzeusz nie przyszedł nam oznajmić...

Gdy Żyd Wieczny Tułacz doszedł do tego miejsca swego opowiadania, obrócił się do Uzedy i rzekł:

— Potężniejszy od ciebie kabalista wzywa mnie gdzie indziej.

— Zapewne — odparł kabalista — nie chcesz nam opowiedzieć wrzawy, jaka wszczęła się w świątyni i razów, które otrzymałeś.

— Starzec z góry Libanu wzywa mnie — rzekł Żyd i zniknął nam z oczu.

Wyznam, że nie bardzo się tym zmartwiłem i nie życzyłem sobie jego powrotu, gdyż domyślałem się, że człowiek ten był oszustem doskonale znającym historię, a który pod pozorem opowiadania własnych przygód mówi nam rzeczy, których jako prawowierni chrześcijanie nie powinniśmy byli słuchać.

Śród tego przybyliśmy na miejsce spoczynku i Rebeka znowu zaczęła prosić księcia, aby raczył dalej wyklądać swój system. Velasquez zamyślił się przez chwilę, po czym jął mówić w te słowa:

— Staralem się wczoraj dać wam poznać pierwiastki woli i to jak poprzedza ona myśl. Następnie zamierzaliśmy mówić o pierwiastkach myśli. Jeden z najgłębszych filozofów starożytnych wskazał nam prawdziwą drogę, po której trzeba postępować w badaniach metafizycznych, ci zaś, którzy sądzą, że do jego odkryć nowe dodali, według mego zdania nie uczynili żadnego kroku naprzód.

Dawno już przed Arystotelesem, wyraz, pojęcie, idea, znaczył u Greków obraz i stąd poszło nazwanie bożyszczka — *idola*. Arystoteles, rozpatrzywszy się dobrze w tych pojęciach, poznał, że wszystkie rzeczywiście pochodzą od obrazu, czyli od wrażenia sprawionego na naszych zmysłach. Tu widzimy przyczynę, dla której geniusz najbardziej twórczy nie jest w stanie stworzyć czegokolwiek. Mitologowie złączyli popiersie człowieka z kadłubem konia, ciało kobiety z ogonem ryby, odjęli cyklopom jedno oko, Briarejowi dodali ramiona, ale nic nowego nie stworzyli, twórczość bowiem nie jest w mocy człowieka. Od Arystotelesa powszechnie przyjęto zasadę, że to tylko jest w myśli, co wprzód przechodzi przez zmysły.

Za naszych jednak czasów, powstali filozofowie, którzy uważali się za daleko głębszych i mówili: „Przyznajemy, że duch nie mógłby wyrobić w sobie zdolności bez pośrednictwa zmysłów, ale gdy zdolności te raz się już rozwiną, duch pojmuje rzeczy, które nigdy nie miały żadnej styczności ze zmysłami, jak na przykład: przestrzeń, wieczność lub prawdy matematyczne”.

Przyznam się, że wcale nie pochwalam tej nowej teorii. Abstrakcja zdaje mi się tu zbyt naciągnięta. Chcąc abstrahować, trzeba odejmować. Jeżeli więc w myśli odejmę od mego pokoju wszystko, co się w nim znajduje, aż do powietrza, wtedy pozostanie mi czysta przestrzeń. Jeżeli od pewnego przedziału czasu odejmę początek i koniec, mam pojęcie o wieczności. Jeżeli od istoty myślącej odejmę ciało, mam pojęcie o aniołach. Jeżeli od linii odejmę w myśli ich szerokość, aby tylko zastanawiać się nad ich długością i płaszczyznami, jakie w sobie zamykają, otrzymam pierwsze zasady Euklidesa. Jeżeli odejmę człowiekowi jedno oko i dodam mu wzrostu, będę miał postać cyklopa. Wszystko to są obrazy zatrzymane za pośrednictwem zmysłów. Jeżeli nowi mędracy przedstawiają mi jedną abstrakcję, której nie potrafię sprowadzić do odejmowania, natychmiast staję się ich uczniem. Tymczasem będę ściśle trzymał się starego Arystotelesa.

Wyraz „idea”, „pojęcie”, „obraz” nie odnosi się wyłącznie do tego, co sprawia wrażenie na naszym wzroku. Dźwięk uderza nasze ucho i daje nam pojęcie należące do zmysłu słyszenia. Zęby cierpną nam od cytryny i tym sposobem nabywamy pojęcia o kwasie.

Wszelako zauważcie, że można sprawić na naszych zmysłach wrażenie wtedy nawet, gdy rzeczywisty przedmiot nie znajduje się przed naszymi oczyma. Skoro wspomną nam o ugryzieniu cytryny, na samo pojęcie ślina idzie nam do ust i zęby cierpną. Przeraziła muzyka długo brzmi nam w uszach. W teraźniejszym stanie fizjologii nie możemy dostatecznie wytłumaczyć snu i marzeń w nim doświadczanych, wszelako dorozumiewamy się, że poruszenia naszych organów, niezawisłe od naszej woli, stawiają je w tymże samym stanie, w jakim znajdowały się podczas wrażenia odebranego za pomocą zmysłów, czyli inaczej mówiąc, podczas powzięcia idei.

Stąd także wypada, że zanim dalej postąpimy w naukach fizjologicznych, możemy teoretycznie uważać pojęcia za wrażenia sprawione na naszym mózgu, wrażenia, do których organa mogą dochodzić bądź w obecności, bądź w nieobecności przedmiotu. Zauważcie, że gdy myślimy o przedmiocie, wrażenie jest mniej żywe, w stanie jednak gorączkowym może być równie silne jak to pierwsze, odebrane za przyczyną zmysłów.

Po tym paśmie określeń i wniosków nieco trudnym do natychmiastowego ogarnięcia, spróbujemy rzucić na ten przedmiot nowe światło.

Zwierzęta składem swego organizmu zbliżające się do człowieka i okazujące jaką taką pojętność, wszystkie, o ile sędzę, mają organ zwany mózgiem. Przeciwnie zaś, w zwierzętach zbliżających się do roślin niepodobna nam wysledzić tego organu.

Rośliny żyją, nawet niektóre poruszają się. Pomiędzy zwierzętami morskimi są natomiast takie, które, podobnie jak większość roślin, nie mogą poruszać się z miejsca na miejsce. Widziałem inne znowu zwierzęta morskie, które poruszają się zawsze jednakowo, na kształt naszych płuc, jak gdyby zupełnie nie miały żadnej woli.

Zwierzęta lepiej uorganizowane posiadają wolę i pewną siłę pojmowania, ale sam tylko człowiek używa władzy abstrahowania.

Wszelako nie wszyscy ludzie posiadają tę władzę. Dezorganizacja systemu gruczołowego pozbawia tej siły chorych na wole górali. Z drugiej strony, brak jednego lub dwóch zmysłów niesłychanie utrudnia abstrahowanie. Głuchoniemi, którzy przez brak mowy podobni są do zwierząt, z trudnością mogą chwycić pojęcia abstrakcyjne; pokazując im

jednak pięć lub dziesięć palców, kiedy bynajmniej nie chodzi o palce, daje się im pojęcie o liczbach. Widzą modlitwę, pokłony i nabierają pojęcia o bóstwie.

Ociemniali przedstawiają w tym względzie daleko mniej trudności, posiadają bowiem dar mówienia, to wielkie narzędzie ludzkiej inteligencji, i rozumieją od razu podane im pojęcia oderwane. Z drugiej strony niemożność oddawania się roztargnieniu, nadaje ociemniałym szczególniejszą zdolność do kombinacji.

Jeżeli jednak wyobrazicie sobie nowo narodzone dziecię, zupełnie ociemniałe i głuchonieme, możecie być przekonani, że nigdy nie będzie ono zdolne do pojmowania żadnych pojęć abstrakcyjnych. Jedynymi pojęciami, jakie powźmie, będą te, do których przyjdzie za pośrednictwem powonienia, smaku lub dotyku. Człowiek taki będzie nawet mógł marzyć o podobnych pojęciach. Jeżeli użycie czegoś wyrządzi mu szkodę, a nie zbywa mu na pamięci, na drugi raz potrafi się powstrzymać. Atoli nie przypuszczam, aby jakimkolwiek sposobem można wpoić w jego umysł abstrakcyjne pojęcie o złu. Nie będzie miał sumienia, świadomości, nie zasłuży więc nigdy ani na nagrodę, ani na karę. Gdyby popełnił morderstwo, sprawiedliwość nie miałaby prawa wymierzenia mu kary. Oto są więc dwa duchy, dwie części tchnienia boskiego, ale skądże powstaje w nich tak znaczna różnica, chociaż idzie tylko o brak dwóch zmysłów?

Daleko mniejszy przedział, aczkolwiek nader jeszcze wielki, odróżnia Eskimosa¹⁹⁷ lub Hotentota¹⁹⁸ od człowieka z wykształconym umysłem. Jakaż jest przyczyna tego przedziału? Nie jest to brak jednego lub więcej zmysłów, ale raczej znaczniejsza ilość pojęć i kombinacji. Człowiek, który obejrzał całą ziemię oczami podróżników, który widział

Nauka, Książka

w dziejach wszystkie ważne wypadki, rzeczywiście ma w głowie mnóstwo obrazów, których nie posiada wieśniak, jeżeli zaś kombinuje swoje pojęcia, zbliża je i porównuje, natenczas mówimy, że ma wiedzę i rozum.

Don Newton miał zwyczaj ciąglego kombinowania pojęć i w mnóstwie, jakie nagromadził, znajduje się kombinacja jabłka upadającego i Księżyca przytwierdzonego w swojej orbicie do Ziemi.

Stąd wniosłem, że różnica między rozumami polega na ilości obrazów i łatwości ich kombinowania, czyli mówiąc wyraźniej: jest wprost proporcjonalna do liczby obrazów i do łatwości ich kombinowania. Tu jeszcze na chwilę poproszę was o baczną uwagę.

Rozum

Zwierzęta, których organizm jest całkiem nieorganizowany, nie mają zapewne ani woli, ani pojęć. Poruszenia ich, jak czułodrzewu, są mimowolne. Możemy wszelako przypuścić, że gdy polip z słodkiej wody wyciąga ramiona, by pochłonąć robaczki i połyka takie, które więcej mu się podobają od drugich, wtedy nabiera pojęcia o złu i dobru lub tym, co lepsze. Jeżeli zaś ma władzę odrzucania złych robaczek, musimy przypuścić, że nie brak mu woli. Pierwszą zatem wolą była potrzeba, która zmusiła go do wyciągnięcia ramion, połknięte zaś żyjątka dały mu dwa lub trzy pojęcia. Odrzucić jedno żyjątko, a połknąć drugie — należy do wolnego wyboru, który wypłynął z jednego lub kilku pojęć.

Zastosowawszy to samo dowodzenie do dziecka, zobaczymy, że pierwsza jego wola pochodzi bezpośrednio z potrzeby. Ta właśnie wola zmusza je do przytknięcia ust do piersi matki, ale skoro tylko skosztowało pokarmu, natychmiast nabiera pojęcia, zmysły jego otrzymują inne wrażenie i tak nabywa jednego pojęcia, drugiego, trzeciego itd.

Pojęcia zatem można tak samo policzyć, jak widzieliśmy, że można było je kombinować. Stąd wynika, że rachunek lub raczej zasady kombinacji dałyby się do nich zastosować.

Nazywam kombinacją układ niezależnie od ustawienia, na przykład AB jest tą samą kombinacją co BA. Dwie przeto litery dają tylko jedną kombinację.

¹⁹⁷*Eskimos*, właśc. *Inuita* — członek grupy rdzennych mieszkańców obszarów arktycznych i subarktycznych Grenlandii, Kanady, Alaski i Syberii; ludy eskimo-aleuckie dzielą się na dwie główne grupy: Jugytów (używających języków yupik) oraz właśnie Inuitów (używających języków Inuktitut); daw. nazwa Eskimosi obecnie uważana jest przez wiele osób na Grenlandii i w Kanadzie za obraźliwą, gdyż wywodzi się ją od wyrażenia „zjadacze surowego mięsa”, natomiast *inuk* w językach Inuitów znaczy „osoba”, zaś *inuit*: „ludzie”. [przypis edytorski]

¹⁹⁸*Hotentota*, właśc. *Khoikhoi* a. *KhoeKhoe* — grupa etniczna rdzennych mieszkańców pld. Afryki, prowadzących koczowniczy tryb życia, żyjących na terytoriach kontynentu od ok. 30 tys. lat; nazwa stanowi transkrypcję własnego określenia grupy, oznaczającego: „ludzie-ludzie”, tj. „prawdziwi ludzie”. [przypis edytorski]

Trzy litery, wzięte po dwie, mogą dać się ułożyć, czyli kombinować, trzema sposobami. Czwarty jest, gdy wszystkie trzy stawiamy razem.

Cztery litery, wzięte po dwie, dają sześć kombinacji, wzięte po trzy — cztery, wzięte razem — jedną, czyli w ogóle jedenaście.

Następnie:

pięć liter daje razem 26 kombinacji

sześć — 57 kombinacji

siedem — 120 kombinacji

osiem — 247 kombinacji

dziewięć — 502 kombinacji

dziesięć — 1013 kombinacji

jedenaście — 2036 kombinacji

Widzimy więc, że każde nowe pojęcie podwaja liczbę kombinacji, czyli że kombinacje pięciu pojęć tak się mają do kombinacji dziesięciu pojęć, jak 26 do 1013, czyli jak 1 do 39.

Wcale nie jest moim zamiarem obliczać rozum za pomocą tego materialnego rachunku, chciałem tylko wykazać ogólne zasady wszystkiego, co jest zdolne do kombinacji.

Powiedzieliśmy, że różnica między rozumami była wprost proporcjonalna do ilości pojęć i łatwości ich kombinowania. Możemy zatem wyobrazić sobie skalę wszystkich tych rozmaitych rozumów. Przypuśćmy, że na szczycie skali stoi *don* Izaak Newton, którego rozum przedstawiałoby sto milionów, na dole zaś chłop alpejski, którego rozum wyobrazi sto tysięcy. Pomiedzy dwoma tymi liczbami możemy umieścić nieskończoność średnich proporcjonalnych, które będą oznaczały rozumy wyższe od chłopskiego, niższe zaś od geniuszu *don* Newtona.

W tej skali znajdzie się i mój rozum, i pani. Własnościami umysłów znajdujących się u góry będą: do odkryć *don* Newtona przydawanie nowych, pojmowanie ich, uchwycenie pewnej części i zawładnięcie umiejętnością kombinowania.

Tak samo można sobie wyobrazić skalę zstępującą w dół, która by zaczynała się od chłopca oznaczonego przez sto tysięcy, schodziła do umysłów oznaczonych przez szesnaście, jedenaście, pięć i nareszcie kończyła na istotach mających cztery pojęcia i jedenaście kombinacji, nareszcie trzy pojęcia i cztery kombinacje.

Dzieci mające cztery pojęcia i jedenaście kombinacji nie umie jeszcze odrywać myśli, wszelako pomiędzy tą liczbą a stoma tysiącami znajdzie się rozum złożony z pewnej ilości pojęć z ich kombinacjami, których wypadkiem będą pojęcia abstrakcyjne. Do tego to złożonego rozumu nigdy nie dochodzą zwierzęta ani też dzieci głuche i ociemniałe. To — dla braku wrażeń, zwierzęta — dla braku kombinacji.

Najprostszym pojęciem abstrakcyjnym jest to, które stosuje się do liczb. Polega ono na abstrahowaniu od przedmiotów ich własności liczbowych. Zanim je sobie przyswoi, dziecko nie doszło jeszcze do pojęć abstrakcyjnych, ale tylko do odejmowania za pośrednictwem analizy własności, która zresztą także jest w pewnym sensie abstrahowaniem. Dziecko dochodzi pierwszego pojęcia abstrakcyjnego powoli i dopiero przeszedłszy przez pierwszą abstrakcję, przystępuje do kombinacji pojęć.

Zatem ta skala poziomów inteligencji, od najmniejszego aż do najwyższego, składa się z jakościowo identycznych szczebli, na które składa się liczba pojęć i tworzonych z nich według zasad kombinacji. Są to zawsze te same elementy.

Stąd wynika, że siły pojmowania rozmaitych stopni można uważać za rzeczywiście należące do jednego rodzaju, zupełnie tak, jak najbardziej zawikłany rachunek nie jest niczym innym, jeno pasmem dodawań i odejmowań. Toż samo możemy powiedzieć o każdym zagadnieniu matematycznym. Jeżeli nie posiada luk, jest w gruncie rzeczy pasmem abstrakcji, poczynając od najprostszych, a kończąc na najwyższych i najtrudniejszych.

Velasquez dodał jeszcze kilka podobnych porównań, a Rebeka udała, że je jak najdokładniej pojmuje, tak że oboje rozeszli się nawzajem z siebie zadowoleni.

DZIEŃ CZTERDZIESTY

Obudziłem się wcześniej i wyszedłem z namiotu, aby ochłodzić się świeżym powietrzem poranka. Velasquez i Rebeka wyszli w tymże samym celu.

Zwróciliśmy nasze kroki ku wielkiej drodze dla przekonania się, czy nie przejeżdżają jacy podróżni. Przyszedłszy do wąwozu wijącego się między dwoma skałami, postanowiliśmy usiąść.

Niebawem spostrzegliśmy karawanę, która zbliżała się ku wąwozowi i przeciągnęła o pięćdziesiąt stóp pod skałami, na których się znajdowaliśmy. Im bardziej podróżni ci ku nam się zbliżali, tym większą wzbudzali w nas ciekawość. Czterech Indian otwierało pochód. Za całe odzienie mieli długie koszule obszyte koronkami. Słomiane kapelusze z pękami piór okrywały ich głowy. Wszyscy uzbrojeni byli w długie strzelby. Dalej postępowało stado wigoni¹⁹⁹; na każdym z nich siedziała małpa. Potem na dzielnych koniach ciągnął orszak Murzynów, dobrze uzbrojonych. Za nimi jechało dwóch mężczyzn w podeszłym wieku na przepysznych rumakach andaluzyjskich. Obaj starcy owinięci byli w płaszcze z błękitnego aksamitu, na których z daleka błyszczał krzyż Calatravy. Za nimi ośmiu wyspiarzy moluckich nosło chiński palankin, w którym siedziała młoda kobieta w bogatym hiszpańskim stroju. Młody człowiek na dziarskim rumaku wdzięcznie kroczył obok drzewiczek jej palankinu.

Dalej ujrzeliśmy młodą osobę leżącą, a nawet omdlałą, w lektyce; obok niej jechał na mule ksiądz, który skrapiał jej twarz święconą wodą i jak się zdawało, odprawiał egzorcyzmy. Pochód zamykał wreszcie długi szereg ludzi wszystkich odcieni, zaczawszy od czarno-hebanowego aż do oliwkowego, białego bowiem wcale nie było.

Dopóki karawana mijala nas, nie mieliśmy czasu zapytać, kim są ci ludzie, skoro jednak ostatni przeszedł, Rebeka rzekła:

— W istocie, warto by się dowiedzieć, co to za jedni.

Gdy Rebeka czyniła tę uwagę, spostrzegłem jednego człowieka z karawany, który pozostał był w tyle. Odważyłem się zejść ze skały i pobiegłem za maruderem. Ten padł przede mną na kolana i cały drżąc z przestachu, rzekł:

— *Señor* złodzieju, zlituj się, nie zabijaj szlachcica, który chociaż urodził się pośród kopalń złota, grosza jednak nie ma przy duszy.

Odpowiedziałem mu na to, że wcale nie jestem złodziejem i że chcę tylko dowiedzieć się, kim są te znakomite osoby, które tylko co przeszły.

— Jeżeli tylko o to idzie — rzekł Amerykanin, powstając — chętnie zadowolę pańską ciekawość. Wdrapmy się na tę wysoką skałę; z niej będziemy mogli wygodnie widzieć całą drogę, jaką karawana ciągnie przez dolinę. Na przedzie widzisz *señor* tych ludzi dziwnie ubranych, którzy otwierają pochód. Są to górale z Cuzco i Quito, strażnicy tych pięknych wigoni, które pan mój ma zamiar ofiarować najjaśniejszemu królowi Hiszpanii i Indii.

Murzyni są, lub raczej byli, niewolnikami mego pana, ale że ziemia hiszpańska nie cierpi równie niewoli, jak kacerstwa, od chwili, gdy ci czarni stanęli na tej świętej ziemi, używają takiej samej wolności, jako pan i ja.

Ten pan w podeszłym wieku, którego *señor* widzisz na prawo, jest to hrabia Peña Velez, siostrzeniec sławnego wicekróla tegoż nazwiska i grand pierwszej klasy. Ten drugi, starszy od niego wiekiem, jest to margrabia Torres-Rovellas, syn margrabiego Torres i małżonek ostatniej dziedziczki rodziny Rovellas. Obaj ci panowie żyli zawsze w najściślejszej przyjaźni, którą utwierdzi jeszcze małżeństwo młodego Peña Velez z córką jedy-naczką margrabiego Torres-Rovellas.

Widzisz stąd tę zachwycającą parę. Młodzieniec głaszcząc ręką wspinającego się rumaka, narzeczona zaś siedzi w palankinie, który król Borneo darował był przed laty nieboszczykowi wicekrólowi de Peña Velez.

Natomiast ostatniej dziewczyny, tej leżącej w lektyce, nad którą ksiądz odmawia pacierze, równie jak pan, nie znam. Wczoraj przez nierozmyślną ciekawość poszedłem do jakiejś szubienicy stojącej tuż przy wielkiej drodze. Znalazłem tam tę młodą dziewczynę leżącą między dwoma wisielcami, zacząłem więc wołać na resztę towarzystwa, chcąc im pokazać tę osobliwość. Hrabia, mój pan, widząc, że dziewczyna jeszcze oddycha, kazał ją zanieść na miejsce naszego noclegu, postanowił nawet przeczekać jeszcze jeden dzień, aby można było lepiej doglądać chorej. W istocie, nieznamoma zasługuje na te starania,

¹⁹⁹wigoni a. wikunia (łac. *Vicugna vicugna*) — gatunek południowoamerykańskiego, roślinożernego ssaka parzystokopytnego, najmniejszy przedstawiciel rodziny wielbłądowatych, protoplasta alpaki, spokrewniony z lamą; żyje w Andach, w małych stadach rodzinnych; wizerunek wikunii znajduje się w herbie Peru. [przypis edytorski]

gdź jest nadzwyczajnie piękna. Dziś odważono się umieścić ją w lektyce, ale biedaczka co chwila upada na siłach i omdlewa.

Ten dworzanin, który postępuje za lektyką, jest to *don* Alvar Massa Gordo, pierwszy kuchmistrz, a raczej marszałek dworu hrabiego. Obok niego widzisz pasztetnika Lemadę i Lecho, cukiernika.

— Dziękuję ci, *señor* — rzekłem — mówisz mi daleko więcej, niż chciałem wiedzieć.

— Nareszcie — dodał — ten, który zamyka pochód i ma zaszczyt mówienia z panem, jest *don* Gonzalw de Hierro Sangre, szlachcic peruwiański, pochodzący od Pizarrów i Almagrów i dziedzic ich dzielności.

Podziękowałem znakomitemu Peruwiańczykowi i złączyłem się z moim towarzystwem, któremu powtórzyłem zebrane wiadomości. Wróciliśmy do obozu i powiedzieliśmy naczelnikowi Cyganów, że spotkaliśmy jego małego Lonzeta i córkę tej pięknej Elwiry, której miejsce zajął był niegdyś przy wicekrólu. Cygan odrzekł nam, iż wie, że od dawna mieli zamiar opuścić Amerykę, że przeszłego miesiąca wylądowali w Kadyksie, że wyjechali stamtąd w przeszłym tygodniu i przepędzili dwie noce nad brzegiem Gwaldalkiwiru, niedaleko szubienicy braci Zota, przy której znaleźli młodą dziewczynę leżącą między dwoma wisielcami. Następnie dodał:

— Zdaje mi się, że ta młoda dziewczyna nie ma żadnego związku z Gomelezami; ja w każdym razie zupełnie jej nie znam.

— Jak to? — zawołałem zdziwiony — ta dziewczyna nie jest narzędziem Gomelezów, a jednak znaleziono ją pod szubienicą? Miałyby te harce piekielnych duchów być prawdziwe?

— Kto wie? Może się nie mylisz — odparł Cygan.

— Trzeba by koniecznie — rzekła Rebeka — przez kilka dni zatrzymać tu tych podróżnych.

— Myślałem o tym — odpowiedział Cygan — i tej nocy jeszcze każę im skrać połowę ich wigoni.

DZIEŃ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Taki sposób zatrzymywania podróżnych wydał mi się nieco dziwaczny, chciałem nawet przedłożyć w tym względzie naczelnikowi pewne moje uwagi; ale Cygan o wschodzie słońca kazał zwinąć obóz i poznałem po głosie, jakim wydawał rozkazy, że rady moje pozostały bez skutku.

Tym razem posunęliśmy się tylko o kilka staj, do miejsca, które musiało być niegdyś ulec trzęsieniu ziemi, gdyż spostrzegliśmy ogromną skałę prawie na dwoje rozłupaną. Zjedliśmy obiad, po czym każdy odszedł do swego namiotu.

Nad wieczorem udałem się do naczelnika, posłyszałem bowiem w jego namiocie nadzwyczajną wrzawę. Zastałem tam dwóch Amerykanów i potomka Pizarrów, który z gwałtowną natarczywością dopominał się o oddanie mu wigoni. Naczelnik słuchał go cierpliwie, pokora ta jednak ośmielała *señora* Hierro Sangra tak, że jeszcze głośniej zaczęła wrzeszczeć, nie szczędząc przydomków: łotra, złodzieja, rozbójnika i tym podobnych. Natenczas naczelnik gwizdnął przeraźliwie i w jednej chwili namiot napęłnił się uzbrojonymi Cyganami. Na ten niespodziewany widok *señor* Hierro Sangre coraz bardziej spuszczał z tonu, a wreszcie tak zaczął drzeć, że zaledwie można było dosłyszeć, co mówi. Naczelnik, widząc, że się uspokoił, podał mu przyjaźnie rękę i rzekł:

— Wybacz, dzielny Peruwianinie, pozory przemawiają przeciw mnie i pojmuję słuszny twój gniew, ale pójdz tymczasem do margrabiego Torres Rovellas i zapytaj go, czy nie przypomina sobie pewnej pani Dalanosy, której siostrzeniec, powodowany jedynie grzecznością, podjął się zostać wicekrólową Meksyku w miejsce panny Rovellas. Jeżeli dotąd nie zapomniał o nim, prosz go, aby raczył zaszczyścić nas swymi odwiedzinami.

Don Gonzalw de Hierro Sangre zachwycony, że nie gorzej skończył się wypadek, który zaczynał go mocno niepokoić, przyrzekł co do słowa wypełnić dane mu polecenie. Po jego odejściu Cygan rzekł do mnie:

— Dawnymi czasy margrabia Torres Rovellas miał szczególnie upodobanie do romanowości, trzeba zatem przyjąć go w miejscu, które mogłoby mu się podobać.

Weszliśmy w rozpadlinę skały, ocienioną z obu stron gęstymi zaroślami i nagle uderzył mnie widok przyrody całkiem odmienny od tych, jakie dotychczas widziałem. Ostre skały, tu i ówdzie poprzerywane kwiecistymi pagórkami, otaczały jezioro ciemnozielonej i przezroczystej wody. Gdzie tylko skały zachodziły w wodę, drobne ścieżki wykute w kamieniu prowadziły z jednego pagórka na drugi. W innych miejscach woda wpływała do jaskiń podobnych do tych, jakie zdobyły wyspę Kalipso. Były to czarowne schronienia, upał nigdy tam nie dochodził i orzeźwiająca kąpiel zdawała się wzywać przechodnia. Głębokie milczenie oznaczało, że od dawna żaden człowiek w te miejsca się nie przedarł.

— Oto jest — rzekł naczelnik — mała prowincja mego państwa, w której przepędziłem kilka lat życia, jeżeli nie najszcześniejszych, to przynajmniej najmniej burzliwych. Ale wkrótce zapewne przybędą dwaj Amerykanie; zobaczmy, czy nie ma jakiego schronienia, gdziebyśmy mogli z przyjemnością ich oczekiwać.

Po tych słowach weszliśmy wszyscy do jednej z najpowabniejszych jaskiń i niebawem spostrzeżliśmy zbliżających się obu starców.

— Może²⁰⁰ to być — rzekł jeden z nich — abym po tylu latach znowu spotykał człowieka, który w młodości mojej wyświadczył mi tak ważną przysługę? Często dopytywałem się o ciebie, donosiłem ci nawet o sobie, podczas gdy znajdowałeś się jeszcze przy kawalerze Toledo, ale odtąd...

— Tak jest, odtąd — przerwał stary naczelnik — trudniej było mnie wynaleźć; dziś jednak, gdy znowu jesteśmy razem, spodziewam się, że uczynisz mi *señor* zaszczyt przepędzenia kilku dni w tym schronieniu. Sądzę, że oo trudach tak męczącej podróży wypoczynek nie będzie zbyteczny.

— W istocie, jest to zaczarowana okolica — rzekł margrabia.

— Za taką przynajmniej uchodzi — odpowiedział Cygan. — Za panowania Arabów nazywano to miejsce: *Ifrít hamami*, czyli Diabelską Łażnią, dziś okolica nosi nazwę: *La Frita*. Mieszkańcy Sierra Moreny lękają się do niej zbliżyć i wieczorami opowiadają sobie tysiączne o niej dziwaczne przygody. Zdało mi się, że nie mam przyczyny wyprowadzać ich z błędu, dlatego prosiłbym nawet, aby większa część waszego orszaku pozostała zewnątrz doliny, tam, gdzie roztasowałem mój własny obóz.

— Z największą chęcią — odrzekł margrabia — pozwól tylko, abym wyjął spod tego prawa moją córkę i przyszłego mego zięcia.

Za całą odpowiedź naczelnik skłonił się głęboko i posłał swoich ludzi dla przeprowadzenia rodziny i kilku służących margrabięgo.

Podczas gdy Cygan oprowadzał swoich gości po dolinie, Velasquez podjął kamyk i rzekł:

— Nie ma wątpliwości, że w każdej z naszych hut szklanych można by topić ten kamyk bez przymieszania obcej materii. Jesteśmy tu w kraterze dawno wygasłego wulkanu. Z wnętrza tego przewróconego stożka możemy dojść jego głębokości i obrachować siłę zużytą na jego wydrążenie. Warto się nad tym głębiej zastanowić.

Velasquez zadumał się przez chwilę, dobył tabliczek, zaczął coś na nich pisać, po czym dodał.

— Mój ojciec miał nader jasne pojęcie o wulkanach. Podług niego, siła odśrodkowa rozwijająca się w ognisku wulkanu jest daleko większa od siły bądź pary wodnej, bądź też prochu strzelniczego i stąd wnosił, że ludzie przyjdą kiedyś do poznania płynów, których działanie wytłumaczy im większą część zjawisk natury.

— Mniemasz pan zatem — rzekła Rebeka — że wulkan wydrążył to jezioro?

— Nie inaczej — odparł Velasquez — skład kamienia i kształt jeziora dostatecznie nam tego dowodzą. Podług objętości przedmiotów, jakie spostrzegam na przeciwnym brzegu, przypuszczam, że średnica jeziora wynosi około trzydziestu sążni²⁰¹; ponieważ zaś pochyłość wewnętrzna ma siedemdziesiąt stopni, wnoszę, że ognisko musiało znajdować się na 413 sążni głębokości, z czego wypadnie nam wstrząśnienie dziewięciu milionów, siedemkroć trzydzieści cztery tysiące czterysta pięćdziesiąt pięć sążni kwadratowych materii. Powiedziałem zaś już, że siły natury dotąd nam znajome w jakiegokolwiek ilości zebrane nie byłyby w stanie sprawić podobnego skutku.

²⁰⁰może to być — konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż; inaczej: czy może to być; czyż może to być. [przypis edytorski]

²⁰¹sążeń — daw. miara długości, wynosząca ok. 180 cm. [przypis edytorski]

Rebeka chciała odpowiedzieć na to dowodzenie, gdy wtem wszedł margrabia z swoją rodziną; ponieważ zaś rozmowa ta nie byłaby równie dla wszystkich zajmująca, naczelnik przeto, chcąc położyć koniec matematycznym zagłębianiom Velasqueza, rzekł do swego gościa:

— Kiedym cię znał, *señor*, byłeś piękny jak anioł i tkliwy jak młoda dziewczyna. Związek twój z Elwirą musiał być pasmem niewypowiedzianych rozkoszy. Zrywałeś różę na drodze życia, nie tykając wcale cierni.

— Niezupełnie — odrzekł margrabia. — Wprawdzie uczucia tklive może pochłonęły zbyt wielką część mego życia, ale z drugiej strony, ponieważ nie zaniedbałem żadnego obowiązku uczciwego człowieka, mogę zatem śmiało przyznać się do moich słabości. Usiedliśmy w miejscu nader przyjaznym do romansowych opowiadań i jeżeli chcecie, dam wam poznać historię mego życia

Całe towarzystwo z rozkoszą przyjęło oświadczenie margrabiego, który zaczął w te słowa:

Historia margrabiego Torres Rovellas

Gdy wszedłeś do teatynów, mieszkaliśmy, jak wiesz, niedaleko ciotki twojej Dalanosy. Matka moja często chodziła odwiedzać siostrzenicę swoją Elwirę, ale nigdy mnie z sobą nie brała. Elwira wstąpiła do klasztoru, udając chęć zostania zakonnice i nie wypadało, aby przyjmowała odwiedziny młodego chłopca. Tak więc wystawieni byliśmy na wszystkie dolegliwości rozłączenia, które o ile możności osładzaliśmy sobie jak najczęstszymi listami. Matka moja zwykle je odnosiła, chociaż zawsze wzdragała się, utrzymując, że nie tak łatwo było otrzymać dyspensę z Rzymu i że według zasad dopiero po uzyskaniu takowej mieliśmy prawo pisywania do siebie. Pomimo jednak tych skrupułów, nie zaprzestała noszenia listów i przynoszenia mi odpowiedzi. Co się tyczy majątku Elwiry, nikt nie śmiał go ruszyć, gdyż od chwili jej obłóczyn miał przejść na poboczną linię rodziny Rovellas.

Ciotka twoja mówiła mojej matce o swoim wuju teatynie jako o biegłym i rozsądnym człowieku, który mógł jej poradzić względem pozyskania dyspensy. Matka moja z wdzięcznością podziękowała twojej ciotce i napisała do ojca Santez, który uznał sprawę tę za nader ważną i zamiast odpowiedzi sam przybył do Burgos z pewnym radcą nuncjatury.

Ten ostatni przybrał zmyślane nazwisko z powodu tajemnicy, jaką chciano osłonić całą tę sprawę. Postanowiono, że Elwira przez sześć miesięcy zostanie w nowicjacie, po których, gdy pokaże się, że ominęła ją chęć do powołania zakonnego, będzie tylko mieszkała w klasztorze jako osoba wysokiego stanu z przyzwoitym orszakiem, to jest z kobietami wraz z nią zamkniętymi, nadto że będzie miała osobny dom zewnątrz klasztoru, zbyt kłopotliwie urządzone, osadzone służbą zupełnie tak, jak gdyby go zamieszkiwała. Osobne pokoje przeznaczone były dla mojej matki, która wkrótce się do nich przeniosła, i dla kilku prawników zajmujących się szczegółami opieki. Ja tymczasem miałem udać się z nauczycielem do Rzymu, radca zaś niebawem miał wyjechać za nami. Ten ostatni jednak zamiar nie przyszedł do skutku, gdyż uznano mnie za zbyt młodego, abym śmiał prosić o dyspensę, i dwa lata upłynęły, zanim opuściłem Burgos.

Podczas tych dwóch lat każdego dnia widywałem za klauzurą Elwirę, resztę zaś czasu poświęcałem na pisanie do niej listów lub czytanie romansów, z których po większej części czerpałem myśli do moich oświadczeń miłosnych. Elwira czytywała te same książki i w tymże duchu mi odpowiadała. W ogóle do całej tej korespondencji, niewiele zużyliśmy naszych własnych myśli, ale nasze uczucia były prawdziwe albo raczej prawdziwie mówiąc, czuliśmy silny, wzajemny ku sobie pociąg. Krata dzieląca nas podniecała naszą miłość, krew wrzała w nas całym ogniem młodości tak, że mogę powiedzieć, iż oboje byliśmy na pół obłąkani.

Nadszedł czas wyjazdu. Chwila pożegnania była okropna. Nie wyuczyliśmy się ani też nie udawaliśmy naszej boleści. Elwira zwłaszcza była w przerażającym stanie; lękano się o jej zdrowie. Ja z większą odwagą nosiłem moje cierpienia, które rozrywki podróży więcej jeszcze uśmierzały. Wiele także byłem winien mojemu mentorowi, który wcale nie zakrawał na pedanta wydobytego z pyłu szkolnego, ale przeciwnie, był dawnym wojskowym i jakiś czas nawet przepędził na dworze w Madrycie. Nazywał się *don* Diego Santez

i był bliskim krewnym teatyna tegoż nazwiska. Człowiek ten, równie przenikliwy jak obeznany ze zwyczajami świata, starał się tysiącnymi sposobami sprowadzić mój umysł na drogę prawdy, ale usiłowania jego nie bardzo mu się udawały.

Przybyliśmy do Rzymu i natychmiast udaliśmy się do monsignora Ricardi, wysokiego urzędnika, mającego znaczny wpływ, szczególnie zaś dobrze widzianego u ojców jezuitów, którzy podówczas rej wodzili w Rzymie. Monsignor Ricardi, człowiek dumnej i wyniosłej postaci, z wielkim krzyżem diamentowym na piersiach, przyjął nas dość uprzejmie i oznajmił, że zna powód, dla którego przyjechaliliśmy do Rzymu, że sprawa nasza wymagała tajemnicy i że nie powinniśmy zbyt wiele bywać w towarzystwie.

— Wszelako — dodał — słusznie uczynicie, często do mnie przychodząc. Zajęcie, jakie wam będę okazywał, zwróci powszechną na was uwagę, unikanie zaś rozrywek światowych pokaże skromność, której powszechny widok będzie mógł wiele wam pomóc. Ja tymczasem wybadam usposobienie umysłów Świętego Kolegium dla waszej sprawy.

Poszliśmy za radą Ricardeggo. Z rana zwiedzałem starożytności Rzymu, wieczory zaś przepędzałem w willi, którą nasz opiekun posiadał niedaleko pałacu letniego Barberinich. Margrabina Paduli przyjmowała gości. Była to młoda wdowa, która mieszkała u Ricardeggo, nie mając bliższych krewnych. Tak przynajmniej ludzie mówili, prawdy bowiem nikt nie wiedział, gdyż Ricardi był rodem z Genui, mniemany zaś margrabia Paduli umarł w zagranicznej służbie.

Młoda wdowa posiadała wszelkie przymioty, jakich potrzeba było do uprzyjemnienia domowego pożycia. Z ujmującą postacią łączyła grzeczność dla wszystkich, nieprzekraczającą jednak granic najściślejszej godności. Wszelako zdało mi się, że spoglądała na mnie bardziej przyjaznym okiem niż na drugich i okazywała mi pewną przychylność, która zdradzała się w szczegółach niepostrzegalnych dla reszty towarzystwa. Poznałem te tajemne uczucia, jakimi wszystkie romanse są przepelnione, i żalowałem pani Paduli, że zwracała swoje zapęły do człowieka, który żadnym sposobem nie mógł jej odplącać wzajemnością. Pomimo to chętnie wdawałem się w rozmowę z margrabiną i rozprawiałem z nią o ulubionym moim przedmiocie, to jest o miłości, o różnych sposobach kochania, o różnicy między uczuciem a namiętnością, między stałością a wiernością. Gdy zgłębiałem jednak ważne to zagadnienie z piękną Włoszką, nigdy myśl mi nie przyszła, żebym mógł jakimkolwiek sposobem stać się niewierny Elwirze. Listy moje do Burgos zawsze ten sam cechował zapach.

Pewnego dnia udałem się do willi bez mego mentora. Nie zastawszy Ricardeggo, zwróciłem kroki do ogrodu i zaszedłem do jaskini osłoniętej gęstymi drzewami jaśminu i akacji. Zastałem tam margrabinę pograżoną w głębokim dumaniu, z którego wyrwał ją szelest, jaki wchodząc sprawilem. Żywe zadziwienie, które za moim wejściem wybiegło jej na lica, dało mi prawie do zrozumienia, że ja byłem jedynym przedmiotem jej marzeń. Ocknęła się jednak, posadziła mnie obok siebie i zaczęła zwykłym we Włoszech zapytaniem:

— *Lei a girato questa mattina?* Czy chodziłeś pan na przechadzkę tego poranku?

Odpowiedziałem, że byłem na *corso*, gdzie widziałem wiele pięknych kobiet, między którymi najpiękniejsza była margrabina Lepari.

— Nie znasz więc pan piękniejszej? — zapytała moja sąsiadka.

— Wybacz, pani — odpowiedziałem — znam w Hiszpanii pewną młodą osobę daleko piękniejszą.

Odpowiedź ta, musiała sprawić przykrość margrabinie, gdyż znowu utonęła w dumania, spuściła piękne oczy i wzrok pełen smutku utkwiała w ziemi. Dla rozerwania jej zacząłem zwykłą rozmowę o uczuciach miłosnych, natenczas podniosła na mnie omdlejące spojrzenie i rzekła:

— Doświadczyłeś pan kiedy tych uczuć, które tak wybornie umiesz malować?

— Bez wątpienia — zawołałem — stokroć nawet żywszych, stokroć bardziej tkliwych i to właśnie dla osoby, o której nadzwyczajnej piękności pani wspominałem.

Zaledwie domówiłem tych słów, gdy twarz margrabinę pokryła się śmiertelną blednością, padła na ziemię jak gdyby bez duszy. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się widzieć kobiety w podobnym stanie i sam nie wiedziałem, co począć; szczęściem spostrzegłem dwie służące na drugim końcu ogrodu, pobiegłem więc i posłałem je na ratunek ich pani.

Następnie wyszedłem z ogrodu, rozmyślając nad szczególnym tym zdarzeniem, podziwiając nade wszystko potęgę miłości i jak jedna jej iskierka, padając na serce, mogła stać się przyczyną nieopisanych męczarni. Żał mi było margrabiny, wyrzucałem sobie, że stałem się powodem jej cierpienia, wszelako nigdy sobie nie wyobrażałem, abym mógł, tak dla Włoszki jako dla jakiegokolwiek innej kobiety w świecie, zapomnieć o Elwirze.

Nazajutrz poszedłem do willi, ale mnie nie przyjęto. Pani Paduli była mocno cierpiąca; jakoż w Rzymie głośno mówiono o jej chorobie, lękano się nawet o jej życie, ja zaś znowu dręczyłem się myślą, że stałem się niewinną przyczyną jej nieszczęścia.

Piątego dnia po tym wypadku ujrzałem wchodzącą do mnie młodą dziewczynę, osłoniętą mantylą, która jej całą twarz zakrywała. Nieznajoma rzekła mi tajemniczym głosem:

— *Signor forestiero*, pewna umierająca kobieta pragnie koniecznie cię widzieć, pójdz za mną.

Domyśliłem się, że chodziło o panią Paduli, nie śmiałem jednak opierać się życzeniom konającej. Powóz czekał na mnie na końcu ulicy, wsiadłem doń z zawołowaną dziewczyną i przybyliśmy do willi.

Tylnymi ścieżkami dostaliśmy się do ogrodu, weszliśmy do jakiejś ciemnej alei, stamtąd przez długi korytarz i kilka równie ciemnych pokojów przybyliśmy do komnaty margrabiny. Pani Paduli podała mi śnieżną rękę, powiodła po mnie łzawymi oczyma i drżącym głosem przemówiła kilka słów, których z początku dosłyszeć nawet nie mogłem. Spojrzałem na nią. Jakże jej pięknie było z tą bladością. Wewnętrzne cierpienia konwulsyjne łamały jej rysy, na ustach jednak ulatywał anielski uśmiech. Ta sama kobieta, przed kilkoma dniami tak zdrowa i wesoła, dziś chyliła się już do grobu. Ja więc byłem owym niegodziwym, który podciął ten kwiat w samym rozkwicie, ja miałem wtrącić w przepaść tyle wdzięków — na tę myśl serce ścięło mi się lodem, niewypowiedziany żal mnie ogarnął, pomyślałem, że może kilkoma wyrazami mogę jej życie ocalić, padłem więc przed nią na kolana i przycisnąłem jej rękę do moich ust.

Margrabina pochyliła głowę nade mną; krucze pierścienie jej włosów rozsypały się po mojej twarzy, pędzony niepojętym uczuciem wyznałem, że ją kocham. Sam nie wiem kiedy, zapomniałem o Elwirze, a chociaż myśl o niej czasami wracała do mego serca, z drugiej jednak strony nie mogłem pozwolić umrzeć margrabinie. W istocie, nie widziałem w życiu tak czarującej kobiety.

— Boże miłości — zawołała Włoszka — ten, którego kochałam, powraca mi życie.

Uszczęśliwiony nadzieją powrotu do zdrowia, już sam nie wiem, co mówiłem, duma z wszechmocności moich uczuć ogarnęła całą moją istotę, jedne oświadczenia ścigały drugie, odpowiadałem niepytany i pytałem, nie czekając odpowiedzi. Margrabina widocznie odzyskiwała siły. Tak przepędziłem cztery godziny, gdy służąca przysłała nam dać znać, że czas się rozłączyć.

Odszedłem do powozu przeprowadzony przez moją przewodniczkę, która rzucała na mnie, równie jak jej pani, płomienne wejrzenia. Byłem przekonany, że dobra dziewczyna tym sposobem wyrażała mi swoją wdzięczność za przywrócenie zdrowia jej pani i uszczęśliwiony moim powodzeniem, uściskałem ją z całego serca. W istocie wdzięczność młodej dziewczyny musiała być bez granic, gdyż oddała mi równie serdeczny uścisk.

Zaledwie jednak wsiadłem do powozu, gdy myśl, że zdradzam Elwirę, zaczęła niewypowiedzianie mnie dręczyć.

— Elwiro — zawołałem — moja luba Elwiro, zdradziłem cię!... Nie jestem cię godny!... Przekłęta niech będzie chwila, w której dałem się namówić na przywrócenie zdrowia margrabinie!

Tak wypowiedziałem wszystko, co się zwykle mówi w podobnych wypadkach i wróciłem do domu z mocnym postanowieniem niepowracania więcej do margrabiny.

Gdy gość nasz domawiał tych słów, Cyganie przyszli po rozkazy do naczelnika, który poprosił dawnego przyjaciela, aby raczył odłożyć na jutro dalszy ciąg opowiadania i sam odszedł.

DZIEŃ CZTERDZIESTY DRUGI

Nazajutrz zebraliśmy się wszyscy do tej samej jaskini i margrabia widząc, że z niecierpliwością pragnęliśmy dowiedzieć się o dalszym ciągu jego przygód, zaczął w te słowa:

Dalszy ciąg historii margrabiego Torres Rovellas

Mówiłem wam już o wyrzutach, jakie mnie dręczyły na myśl o sprzeniewierzeniu się Elwirze. Nie wątpiłem, że służąca margrabiny zjawi się nazajutrz, aby mnie znowu zaprowadzić do swojej pani, ale przyrzekłem sobie jak najgorzej ją przyjąć. Wszelako, ku wielkiemu memu podziwieniu, Sylwia ani nazajutrz, ani następnych dni wcale się nie pokazała. Nareszcie po ośmiu dniach przyszła wystrojona bardziej, niżeli powabna jej postać tego potrzebowała. Dawno już spostrzegłem, że służąca piękniejsza była od pani.

— Sylwio — rzekłem — idź sobie ode mnie, z twojej to przyczyny sprzeniewierzyłem się zachwycającej kobiecie, którą kocham w Hiszpanii. Oszukałaś mnie. Myślałem, że idę do konającej, tymczasem zawiodłaś mnie do kobiety, która oddychała tylko miłością. Chociaż serce moje jest niewinne, jednak sumiennie nie mogę tego o samym sobie powiedzieć.

— Mój młody cudzoziemcze — odrzekła Sylwia — uspokój się, jesteś niewinny, nigdy w życiu nie spotkałam niewinniejszego od ciebie, ale nie myśl, żebym chciała zaprowadzić cię do mojej pani, przed którą Ricardi w tej chwili podobne twoim powtarza przysięgi.

— Ricardi? Jej wuj? — zawolałem.

— Bynajmniej, Ricardi nie jest jej wujem, chodź ze mną, wszystko ci wytłumaczę.

Zdjęty ciekawością, poszedłem za Sylwią, wsiedliśmy do powozu, przybyliśmy do willi, weszliśmy do ogrodu, po czym piękna posłanniczka zaprowadziła mnie do swego pokoju, prawdziwej izdebki garderobianej, zdobnej w słoiki z pomadą, grzebienie i tym podobne przybory do strojów. W głębi stało śnieżnobiałe łóżeczko, spod którego wyglądała para pantofelków nader małego rozmiaru. Sylwia zdjęła rękawiczki, mantylę i powiodła po mnie roztkliwionymi oczyma.

— Wstrzymaj się — zawolałem — takim samym sposobem pani twoja przed tygodniem zmusiła mnie do oświadczeń miłosnych.

— Pani moja — odrzekła Sylwia — ucieka się do gwałtownych środków, bez których ja potrafię się obejść.

To mówiąc, otworzyła szafę, dobytek owoców, ciast, butelkę wina, postawiła to wszystko na stole, który przysunęła do sofy i rzekła:

— Wybacz, piękny Hiszpanie, że nie mogę ofiarować ci krzesła, ale tego poranku zabrano mi ostatnie, służące zaś zwykle nie mają wielkiego zbytku w sprzętach. Siadaj zatem obok mnie i racz przyjąć to małe śniadanie, które z całego serca ci podaję.

Nie mogłem odrzucić tak wdzięcznej ofiary, usiadłem więc obok Sylwii, zacząłem jeść owoce i pić wino, po czym prosiłem ją, aby mi opowiedziała historię swej pani, co też uczyniła w tych słowach:

Historia monsignora Ricardi i Laury Cerelli znanej pod nazwiskiem margrabiny Paduli

Ricardi, najmłodszy syn znakomitej rodziny, popierany przez wuja swego, który był generałem jezuitów, wcześniej wszedł do służby i niebawem pozyskał znaczny urząd. Ujmująca postać i fioletowe pończochy szczególne wówczas wywierały wrażenie na wszystkich kobietach rzymskich. Ricardi nie omieszkiał korzystać z swoich powabów i postępując za przykładem swoich konfratrów, tak dalece nadużył światowych uciech, że w trzydziestym roku życia wszystkie go znudziły i zapragnął zająć się sprawami kraju. Pomimo to nie wyrzekł się zupełnie kobiet, ale wolałby był wejść w trwalsze i spokojniejsze stosunki miłosne. Nie wiedział jednak, jak sobie poczuć. Przez jakiś czas był *cavaliere servente* najpiękniejszych pań rzymskich, ale piękne panie zaczęły go dla młodszych zalotników opuszczać, wreszcie znudziły go już te ciągle nadskakiwania, zmuszające do nieustannych kręceń się i biegań. Inne kobiety także przedstawiały mu niewygodne strony, nie znając bowiem stosunków towarzystwa, nie można było wiedzieć, o czym z nimi mówić.

Pośród tych niepewności Ricardi powziął zamiar, który przed nim i po nim niejednemu już wpadł na myśl. Postanowił wynaleźć małą dziewczynkę, oddać ją na wychowanie i tym sposobem nadać swemu życiu jakieś zajęcie. W istocie, cóż można było porównać z rozkoszą codziennego spoglądania na młodą osobę, w której wdzięki umysłu rozwijały się razem z powabami ciała? Jakież szczęście pokazywać jej samemu świat, towarzystwo, zachwycać się jej spostrzeżeniami, śledzić pierwszy przeblysłk uczucia, wpajając w nią swoje przekonania, jednym słowem, utworzyć z niej, że tak powiem, zwierciadło odbijające wszystkie własne marzenia. Ale cóż później począć z taką kobietą? Wielu żeni się dla wydobycia się z kłopotu. Ricardi nie mógł tego uczynić. Śród tych chytrych zamiarów nie zaniedbywał chęci posunięcia się na wyższy stopień. Jeden z jego krewnych, audytor w Świętym Kolegium, spodziewał się czerwonego kapelusza i wtedy obiecał mu ustąpić swego miejsca. Trzeba było jednak cztery, a może i pięć lat poczekać, Ricardi zatem osądził, że tymczasem może wyjechać do swojej ojczyzny, a nawet podróżować.

Pewnego dnia, gdy Ricardi przechadzał się po ulicach Genui, zaczepiła go młoda dziewczyna z koszykiem pomarańcz i z szczególnym wdziękiem prosiła, aby raczył kilka od niej kupić. Ricardi rozpustniczą dłonią odsłonił źle uczesane włosy spadające po obu stronach twarzy dziewczynki i odkrył rysy niezwyklej piękności. Zapytał małą przekupkę, czy ma jeszcze rodziców. Odpowiedziała, że ma tylko matkę, bardzo biedną, nazwiskiem Bastiana Cerelli. Ricardi kazał się do niej zaprowadzić, wymienił swoje nazwisko i oznajmił wdowie, że ma daleką krewną nader miłosierną, która z upodobaniem oddaje się wychowaniu młodych dziewcząt i wyposażaniu ich, po czym dodał, że postara się umieścić u niej małą Laurę.

Matka uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— Nie znam krewniej pańskiej, która zapewne musi być zacną damą, wszelako słyshałam już o pana dobroczynności i z chęcią powierzam mu moją córkę. Nie wiem, czy niebo zyska w niej jedną więcej owieczkę, wszelako wydobędziesz ją pan z nędzy, która jest nieznośniejsza od wszelkich występków.

Ricardi chciał zawrzeć umowę, mocą której zobowiązywał się wyznaczyć dożywotnią pensję matce, ale ta nie chciała nic przyjąć, mówiąc, że nie godzi się brać pieniędzy, że jednak z wdzięcznością przyjmie każdy podarunek, gdyż przede wszystkim trzeba żyć, głód zaś często jej zasnąć nie dawał.

Tegoż samego dnia Ricardi oddał Laurę na wychowanie jednemu ze swoich klientów. Natychmiast wymyło jej ręce migdałową maścią, zawinięto włosy w pierścienie, na szyi zawieszono perły, ramiona obrzucono koronkami. Dziewczynka, przejrawszy się w zwierciadło, nie mogła się poznać, od pierwszego jednak dnia domyśliła się przyszłości i śmiało postanowiła iść za przeznaczeniem.

Tymczasem Laura miała rówieśniczki i rówieśników, którzy, nie wiedząc, co się z nią stało, mocno się o nią niepokoiili. Najzawziętym w odszukaniu jej był Cecco Bascone, czternastoletni dzielny chłopiec, syn wyrobnika, na zabój zakochany w małej przekupce pomarańcz, którą często widywał bądź na ulicy, bądź też u nas w domu, był bowiem naszym krewnym. Mówię naszym, gdyż także nazywam się Cerelli i mam zaszczyt być stryjeczną siostrą mojej pani.

Tym więcej niepokoiiliśmy się o naszą kuzynkę, że nie tylko nigdy nam o niej nie wspomiano, ale nawet zakazano wymawiania jej imienia. Ja zwykle trudniłam się szyciem grubej bielizny, Cecco zaś biegał z posyłkami po porcie, zanim podroślszy, mógł zajmować się przenoszeniem towarów. Skończywszy dzienną pracę, chodziłam do niego pod przysionek jednego kościoła i tam gorzkimi łzami we dwoje oplakiwaliśmy los biednej Laury. Pewnego wieczora Cecco rzekł do mnie:

— Przychodzi mi wyborna myśl. Przez wszystkie te dni deszcz ulewny padał i pani Cerelli na krok nie wychodziła z domu, jak tylko jednak nastanie pogoda, jestem przekonany, że nie wytrzyma i jeżeli mała znajduje się w Genui, pójdzie ją odwiedzić. Wtedy z daleka pobiegnę za nią i tak dowiemy się, gdzie Laurę schowano.

Pochwaliłam ten zamiar. Nazajutrz wypogodziło się. Poszłam do pani Cerelli, spostrzegłam, jak wyciągała ze starej szafy jeszcze starszą mantylę i czym prędzej pośpieszyłam uprzedzić Cecca. Zaczailiśmy się i wkrótce ujrzelśmy wychodzącą panią Cerelli. Cichaczem postępowaliśmy za nią na drugi koniec miasta i widząc, że weszła do jakiegoś

domu, znowu skryliśmy się w sąsiedniej bramie. Po jakimś czasie pani Cerelli wyszła i udała się do siebie. Wchodzimy do domu, wbiegamy na schody, skaczemy jedno przez drugie, otwieramy drzwi do przepysznego mieszkania i na środku pokoju spostrzegamy Laurę. Rzucam się jej na szyję, ale Cecco wyrzywa mnie z jej objęć i zaczyna ją czule ścisnąć. W tej chwili otwierają się drzwi od przyległego pokoju i wchodzi Ricardi. Na nasz widok zapalił się gniewem, porwał kij i zaczął bić nas z całych sił; nie dość mu tego było, zawołał jeszcze służących, którzy wpadli również uzbrojeni w kije i wybiwszy nas bez miłosierdzia, wypchnęli na ulicę, dostatecznie przekonując nas w ten sposób, że powinniśmy zaprzestać dalszych poszukiwań naszej kuzynki. Cecco zaciągnął się jako chłopiec okrętowy na maltańskim okręcie i już więcej o nim nie słyszałam, ja zaś nie porzuciłam wcale chęci złączenia się z Laurą, ale przeciwnie, poprzysięgam dopiąć mego zamiaru.

Służyłam w kilku domach, nareszcie dostałam się do margrabiego Ricardi, brata tego znajomego. Mówiono tam wiele o pani Paduli i nie pojmowano, gdzie monsignor Ricardi wynalazł tę krewną. Długo cała rodzina nie mogła wywieść się o szczegółach, nareszcie, czego panowie nie potrafili, tego dokonała ciekawość służących. Zaczęliśmy z naszej strony czynić poszukiwania i niebawem odkryliśmy, że mniemana margrabina była tą samą Laurą Cerelli. Margrabia przykazał nam dochowanie tajemnicy i posłał mnie do brata, uprzedzając go, aby zachował wszelką ostrożność, jeżeli nie chce ściągnąć na siebie nader nieprzyjemnych skutków.

Wszelako nie obiecałam ci rozpowiadać własnych przygód i nie powinnam mówić ci jeszcze o margrabinie Paduli, kiedy dotąd znasz tylko Laurę Cerelli umieszczoną na wychowaniu u klienta monsignora Ricardi. Niedługo tam zabawiła, wkrótce przeniesiono ją do pobliskiego małego miasteczka, gdzie Ricardi często ją odwiedzał i zawsze powracał coraz więcej zadowolony z swego dzieła.

Po dwóch latach Ricardi wyjechał do Londynu. Podróżował pod przybranym nazwiskiem i podawał się za kupca włoskiego. Laura mu towarzyszyła i uchodziła za jego żonę. Zawiózł ją do Paryża i do innych wielkich miast, gdzieby go nie tak łatwo można było poznać. Laura z każdym dniem stawała się miłsza, ubóstwiała swego dobroczyńcę i czyniła go najszcześliwszym z ludzi. Tak przeminęło pięć lat z szybkością błyskawicy. Krewny Ricardego miał otrzymać kapelusze i naglił go do jak najspiesniejszego powrotu do Rzymu. Ricardi zawiózł swoją lubą do włości, które posiadał niedaleko Gorycji. Nazajutrz po przybyciu rzekł do niej:

— Muszę pani oznajmić nowinę, jak sądzę, dość zajmującą. Jesteś wdową po margrabi Paduli, który przed niedawnymi czasami umarł w służbie cesarskiej. Oto są papiery potwierdzające moje słowa. Paduli był naszym krewnym. Spodziewam się, że nie odrzucisz pani moich prośb, że raczysz przyjechać do Rzymu i przyjąć schronienie w moim domu.

W kilka dni potem Ricardi wyjechał.

Nowa margrabina, zostawiona swoim własnym myśleniem, zaczęła zastanawiać się nad charakterem Ricardiego, nad swymi z nim stosunkami i nad dalszym, najkorzystniejszym dla siebie postępowaniem. Po upływie trzech miesięcy mniemany wuj zawiadzał ją do siebie, gdzie go znalazła jaśniejszego całym blaskiem nowego urzędu. Pewna część tego blasku spadła i na nią i zewsząd ciśnięto się do niej z hołdami. Ricardi oznajmił rodzinie, że przyjął do siebie wdowę Paduli, krewną Ricardich po kądzieli.

Margrabia Ricardi nigdy nie słyszał, żeby Paduli był margrabią, nie słyszał także, żeby Paduli był żonaty. Rozpoczął więc w tym względzie poszukiwania i wysłał mnie do nowej margrabiny dla zalecenia jej jak największej ostrożności. Odbylam podróż morzem, wylądowałam w Civitavecchia i udałam się do Rzymu. Stałam przed margrabiną, która wyprawiła służących i padła w moje objęcia. Zaczęliśmy przypominać sobie nasze dziecińskie lata, moją matkę, jej matkę, kasztany, które jadałyśmy razem, nie zapomnieliśmy też o małym Cecco: opowiedziałam, jak biedny chłopiec zaciągnął się na maltański okręt i przepadł gdzieś bez wieści. Laura, rozczulona, zalała się łzami, tak że zaledwie zdołałam ją uspokoić. Prosiła mnie, abym nie dała poznać się Ricardemu, jak również abym nie wspominała o moim pochodzeniu z Genui, gdyby zaś monsignor zwrócił uwagę na moją wymowę, ażebym powiedziała, że jestem Sabaudką. Następnie umieściła mnie przy sobie jako pannę służącą.

Laura przez piętnaście dni ciągle była równie wesoła i rozmowna, wkrótce jednak stała się ponura, zamyślona i zniechęcona do wszystkiego. Ricardi nadaremnie usiłował podobać się wszelkimi sposobami, nie mógł jednak powrócić jej dawnej żywości.

— Kochana Lauro — rzekł pewnego dnia — powiedz, na czym ci tu zbywa? Porównaj twój teraźniejszy stan z tym, z jakiego cię wydobyłem.

— Któż cię prosił, abys mnie z niego wydobywał? — odparła Laura z największą gwałtownością. — Tak jest, żałuję teraz dawnej mojej nędzy. Cóż ja tu pocznę między tymi wszyslkimi damami z wielkiego świata? Wolalabym otwarte zniewagi od ich dwuznacznych grzeczności. Ach, moje łachmany! Jakże teraz płaczę za wami! Nie mogę bez łez pomyśleć o moim czarnym chlebie, moich kasztanach i o tobie, drogi Cecco, który miałeś mnie zaślubić, jak tylko wyrośniesz na wyrobnika. Z tobą byłabym doznała może nędzy, ale nigdy trosk, zgryzot i nudy; księżniczki byłyby mi zazdrościły mego losu!

— Lauro! Lauro! Co znaczy ta mowa? — zawołał Ricardi.

— Są to wyrazy natury — odrzekła Laura — która stworzyła kobietę na córkę, żonę i matkę, nie zaś na to, aby w pogardzie samej siebie wlokła dni pełne smutku i zgryzot.

To mówiąc, wyszła do drugiego pokoju i drzwi za sobą na klucz zamknęła. Ricardi zmieszał się; przedstawił był panią Paduli jako swoją siostrzenicę i teraz drżał, myśląc, że nierozważna w chwili szalu, może odkryć prawdę i zniszczyć jego widoki na przyszłość. Przy tym kochał niegodziwą, był zazdrosny, słowem, nie wiedział, jak wyrwać się zewsząd otaczającemu go nieszczęściu.

Nazajutrz Ricardi, cały drżący, wszedł do pokoju Laury i z najrozkoszniejszym zadziwieniem był jak najmilej przyjęty.

— Przebac mi, drogi wuju — rzekła — kochany mój dobroczyńco, jestem niewdzięcznicą, niezashugującą, by żyć na świecie. Jestem dziełem twoich rąk, ty wykształciłeś mój umysł, winnam ci wszystko, wybac dziwactwu, które bynajmniej nie pochodziło z serca.

Tak nastąpiła zgoda. W kilka dni potem Laura rzekła do Ricardego:

— Nie mogę być z tobą szczęśliwa. Zbyt jesteś panem w tym domu, wszystko tu do ciebie należy; jestem tu zupełnie twoją niewolnicą. Ten lord, który przychodzi do ciebie, darował Biance Capuzzi najpiękniejszy majątek z księstwa Urbino. Oto jest prawdziwie szlachetny człowiek! Ja zaś jestem pewna, że gdybym prosiła cię o tę małą baronię, w której przepędziłam trzy miesiące, bez wątpienia byś mi jej odmówił. Jednakowoż jest to zapis twego wuja Cambiasiego i możesz nim według upodobania rozrządzać.

— Chcesz mnie więc opuścić — rzekł Ricardi — kiedy tak pragniesz niezawisłego losu?

— Chcę cię więcej kochać — odparła Laura.

Ricardi nie wiedział, czy dać, czy odmówić; kochał, był zazdrosny, lękał się, aby Laura nie zdradziła jego tajemnicy; z drugiej jednak strony, nie chciał uczynić się od niej zawisłym. Laura czytała w jego duszy i byłaby przyprowadziła go do ostateczności, ale Ricardi miał niezmierny wpływ w Rzymie i na jedno jego słowo czterech zbirów byłoby schwyciło siostrzenicę i zawiozło na długą pokutę do jakiego klasztoru.

Ta obawa wstrzymywała Laurę, aby jednak postawić na swoim, udała niebezpiecznie chorą. Właśnie rozmyślała nad tym zamiarem, gdy wszedłeś do jaskini.

— Jak to — zawołałem cały zdziwiony — nie o mnie więc dumiała?

— Nie, moje dziecię — rzekła Sylwia — dumiała o zyskowej baronii z dwoma tysiącami skudów rocznego dochodu. Nagle przyszła jej myśl jak najspieszniejszego udania chorej, a nawet umierającej. Wprawiła się już, powtarzając po aktorkach, które widziała w Londynie, i chciała przekonać się, czyli potrafi cię omamić. Widzisz więc, mój młody Hiszpanie, że wpadłeś w zastawioną siatkę, wszelako nie możesz się skarżyć na koniec komedii, ani też moja pani. Nigdy nie zapomnę, jak byłeś piękny, gdy cały omdlewający wychodziłeś od Laury, wspierając się na moim ramieniu. Odtąd czuję, mój luby, że i ja kocham cię nad życie!

Cóż mogę wam więcej powiedzieć? Wysłuchałem Sylwii, pomieszany, ogłuszony i niepojmujący, jak można było w jednej chwili rozwiąć komuś wszystkie złudzenia. Ale Sylwia była tak piękna, czarne jej oczy błyskały tak przenikliwym ogniem, śnieżne jej łono tak

rozkosznie wznosiło się, miotane gwałtownym uczuciem, że sam nie wiem, jak przepędziłem resztę czasu; dość, że gdy Sylwia odprowadzała mnie do powozu, nie mogłem wytłumaczyć sobie, czy należało dręczyć się nowymi wyrzutami, czy też wcale o nich nie myśleć.

Gdy margrabia doszedł do tego miejsca swojej powieści, Cygan, mając ważne sprawy do załatwienia, prosił go, aby raczył dalszy ciąg odłożyć nazajutrz.

DZIEŃ CZTERDZIESTY TRZECI

Zebrano się jak zazwyczaj i margrabia, widząc wszystkich oczekujących w milczeniu, zaczął w te słowa:

Dalszy ciąg historii margrabiego Torres Rovellas

Mówiłem wam, jak sprzeniewierzywszy się dwa razy Elwirze, za pierwszym doznałem bolesnych wyrzutów sumienia, za drugim zaś nie wiedziałem, czy znowu mam je sobie czynić, czy też wcale o nich nie myśleć. Zresztą mogę wam zaręczyć, że zawsze jednako-wo kochałem moją kuzynkę i równie płomienne pisywałem do niej listy. Mentor mój, pragnąc wyleczyć mnie z romansowości, pozwalał sobie czasami na postęпки, które wychodziły nieco z zakresu jego powołania. Udając, że o niczym nie wie, często wystawiał mnie na pokusy, którym nigdy nie zdołałem się oprzeć; wszelako miłość moja dla Elwiry była zawsze jednakowa i z niecierpliwością wyglądałem chwili udzielenia mi przez kancelarię apostolską dyspensy na małżeństwo.

Nareszcie pewnego dnia Ricardi kazał przywołać mnie i Santeza. Postawa jego była uroczysta, rozpozgodził jednak czoło i rzekł z łagodnym uśmiechem:

— Sprawa wasza jest załatwiona, chociaż nie bez wielkich trudności. Wprawdzie dość łatwo udzielamy dyspensy dla innych krajów katolickich, ale inaczej rzecz się ma z Hiszpanią, gdzie wiara jest czystsza i zasady jej ściślej zachowywane. Pomimo to Jego Świątobliwość, zważając na liczne pobożne fundacje, jakie rodzina Rovellas zaprowadziła w Ameryce, zważając nadto, że błąd obojga dzieci był skutkiem nieszczęść rzeczzonej rodziny, nie zaś owocem rozpustnego wychowania, Jego Świątobliwość, powtarzam, rozwiązał węzły pokrewieństwa, jakie was między sobą łączyły. Będą one zarówno rozwiązane w niebie; jednakowoż, dla niezachęcania tym przykładem młodzieży do wpadania w podobne błędy i dla zadośćuczynienia świętym prawom pokuty, nakazane wam jest nosić na szyi różaniec o stu ziarnach i przez trzy lata codziennie go odmawiać. Oprócz tego macie wystawić kościół dla teatynów z Veracruz. Teraz mam zaszczyt złożyć tobie, mój młody przyjacielu, jako też przyszłej margrabinie, życzenia wszelkich pomyślności i szczęścia.

Możecie wyobrazić sobie moją radość. Czym prędzej pobiegłem po *breve* Jego Świątobliwości i we dwa dni potem wyjechaliśmy z Rzymu.

Pędziliśmy dzień i noc, wreszcie stanęliśmy w Burgos. Ujrzałem Elwirę, która przez ten czas jeszcze wypiękniała. Pozostawało nam tylko prosić dwór o potwierdzenie naszego małżeństwa; ale Elwira była już panią swego majątku, nie zbywało nam więc na przyjacielach. Otrzymaliśmy upragnione potwierdzenie, do którego dwór dołączył dla mnie tytuł margrabiego Torres Ravellas. Odtąd zajęto się wyłącznie sukniami, strojami, klejnotami i wszystkimi kłopotami, tak rozkosznymi dla młodej dziewczyny mającej zostać małżonką. Tkliwa jednak Elwira mało zwracała uwagi na te przygotowania i zajmowała się tylko szczęściem swego narzeczonego. Nadeszła wreszcie chwila naszego związku. Dzień wydawał mi się nieznośnie długi, obrzęd albowiem miał odbyć się dopiero wieczorem w kaplicy letniego domu, który posiadaliśmy niedaleko od Burgos.

Przechadzałem się po ogrodzie dla zagłuszenia trapiącej mnie niespokojności, następnie usiadłem na ławce i zacząłem zastanawiać się nad moim postępowaniem, tak mało godnym tego anioła, z którym wkrótce miałem na wieki się połączyć. Przypominając sobie wszystkie popełnione sprzeniewierzenia, naliczyłem aż do dwunastu. Natenczas zgrzyzoty znowu owładnęły moją duszą i gorzko sam na siebie wyrzekając, rzekłem:

— Nieszczęśliwy niewdzięczniku, pomyślałeś o skarbie, jaki ci przeznaczono? O tej boskiej istocie, która wzdycha i oddycha tylko dla ciebie, która kocha cię nad życie i zapewne do kogo innego słowa nawet nie przemówiła?

Podczas tego gwałtownego monologu, usłyszałem jak dwie garderobiane Elwiry usiadły na ławce przypartej do przeciwnej strony altany, w której siedziałem, i zaczęły między sobą żwawą rozmowę. Pierwsze zaraz słowna zwróciły całą moją uwagę.

— Cóż więc, Manuelo — rzekła jedna z dziewczyn — nasza pani musi bardzo cieszyć się, że będzie mogła kochać naprawdę i dać prawdziwe dowody miłości, zamiast tych drobiazgowych oznak przychylności, jakie tak hojnie rozdawała zalotnikom u kraty?

— Mówisz zapewne — odrzekła druga — o tym nauczycielu gitary, który całował ją ukradkiem w rękę, udając, że uczy ją, jak przebierać palcami po strunach.

— Wcale nie — odpowiedziała pierwsza — mówię tu o tuzinie miłostek, wprawdzie niewinnych, ale którymi nasza pani bawiła się i na swój sposób do nich zachęcała. Naprzód mały akademik, nauczyciel geografii (o, ten kochał się szalenie, dała mu też za to pęk włosów, tak, że nie wiedziałam, jak jej warkocz ułożyć, gdy przyszłam ją czesać). Później ten wygadany intendent, który zawsze mówił o stanie jej majątków i zawiadamiał ją o szczegółach zarządu. Ten nie darmo tak przysiadł, obsypywał naszą panią pochwałami i upajał pochlebstwami. Dała mu też za to swój portret rysowany na cieniu, kilka razy przez kratę rękę do pocałowania, a co kwiatów i bukietów nawzajem sobie posyła!

Nie przypominam sobie w tej chwili dalszej rozmowy, ale mogę was zapewnić, że do tuzina ani jednego nie zabrakło. Rozpacz mnie ogarnęła. Doznałem był od Elwiry oznak miłości nader niewinnych, mogę nawet powiedzieć dziecinnych igraszek, ale Elwira, jaką sobie wyobrażałem, nie powinna była pozwolić sobie nawet na pozór sprzeniewierzenia. Teraz wyznaję, że rozumowanie moje było zupełnie niedorzeczne. Elwira od pierwszych lat życia mówiła tylko o miłości. Należało mi zatem zrozumieć, że zamilowana w rozmowie o tym przedmiocie, nie tylko ze mną będzie o nim rozmawiała. Nigdy nie byłbym uwierzył temu postępowaniu, ale przekonany na własne uszy, pogrążyłem się w smutku i rozpacz.

Wtem dano mi znać, że wszystko już było gotowe. Wszedłem do kaplicy z twarzą bladą, niespokojną, która zdziwiła moją matkę i przeraziła moją narzeczoną. Sam ksiądz zmieszał się i nie wiedział, czy ma nas pobłogosławić. Wszelako pożenił nas i mogę wam śmiało wyznać, że nigdy gorąco oczekiwany dzień tak źle nie odpowiedział na związane z nim nadzieje.

Widok jednak czarującej Elwiry powoli rozproszył chmurę trosk, jaka osiadła mi na czole. Moja młoda żona była tak piękna, tak ujmującym wzrokiem na mnie spoglądała, że wkrótce zapomniałem o niedawnych moich udęczeniach i całą duszą oddałem się nowemu dla mnie szczęściu.²⁰²

Nazajutrz oboje byliśmy weseli, ja zwłaszcza nie przypuszczałem do serca najłżejszego cienia zmartwienia. Ludzie, którzy żyli dłużej na świecie, wiedzą, że nie ma szczęśliwszych chwil nad te, które przynosi nam młoda, kochająca małżonka. Co do mnie, dziś jeszcze za powrót dni takich z rozkoszą oddałbym i sławę, i zaszczyty, i dostatki. Ale człowiek raz tylko w życiu jest młody.

Przyjaciele nasi przez jakiś czas zostawili nas samym sobie, po pierwszych jednak chwilach uniesienia powrócili, starając się rozbudzić w nas chęć dostąpienia zaszczytów.

Hrabia Rovellas spodziewał się być niegdyś otrzymać tytuł granda, my więc, według zdania naszych przyjaciół, powinni byliśmy doprowadzić jego zamiar do skutku. Nie tyle dla nas samych winniśmy byli to uczynić, jak raczej dla dzieci, którymi niebo miało nas w przyszłości obdarzyć. Mogliśmy później tego żałować, a zawsze lepiej jest zawczasu oszczędzić sobie wyrzutów. Byliśmy w wieku, w którym ludzie zwykli postępować za radami otoczenia, pozwoliliśmy więc zawieść się do Madrytu.

²⁰²Widok jednak czarującej Elwiry (...) i całą duszą oddałem się nowemu dla mnie szczęściu. — w innym oprac. tegoż tłumaczenia akapit ten brzmi:

W nocy było inaczej. Bożek małżeństwa, zapaliwszy swoje pochodnie, osłonił nas welonem pierwszych rozkoszy. Wszystkie miłostki uleciały Elwirze z pamięci, a nieznanne dotychczas uniesienie wypełniło jej serce miłością i wdzięcznością. Cała należała do swego małżonka. [przypis edytorski]

Wicekról, dowiedziawszy się o naszych zamysłach, napisał za nami list pełen najusilniejszych poleceń. Z początku pozory zdawały się nam sprzyjać, ale były to tylko pozory, które niebawem przybrały zwodnicze kształty dworskie i nigdy się nie urzeczywistniły.

Zawiedzione nasze nadzieje martwiły przyjaciół naszego domu i na nieszczęście moją matkę, która byłaby wszystko oddała na świecie, aby tylko ujrzeć swego małego Lonzeta grandem hiszpańskim. Wkrótce biedna kobieta wpadła w trawiącą gorączkę i poznała, że niewiele już pozostawało jej do życia. Natenczas pomyślawszy naprzód o zbawieniu duszy, przede wszystkim pragnęła zostawić dowody wdzięczności uczciwym mieszkańcom miasteczka Villaca, którzy tak nas kochali, gdy byliśmy w biedzie. Zwłaszcza rada była coś uczynić dla alkada i dla proboszcza. Matka moja nic nie miała swego, ale Elwira z chęcią postanowiła dopomóc jej w tak szlachetnych celach i posłała im dary przewyższające chęci mojej matki.

Dawni nasi przyjaciele, dowiedziawszy się o szczęściu, jakie ich spotkało, przybyli do Madrytu i otoczyli łoże swej dobrodziejki. Matka moja porzucała nas szczęśliwych, bogatych i jeszcze kochających się nawzajem. Ostatnie jej chwile były pełne słodyczy. Spokojnie zasnęła snem wiecznym i w tym jeszcze życiu odebrała pewną część nagród, na jakie zasługiwała przez swoje cnoty, a zwłaszcza niewypowiedzianą dobroć.

Niedługo potem spadły na nas nieszczęścia. Dwóch synów, jakimi Elwira mnie obdarzyła, po krótkiej chorobie zeszło z tego świata. Wtedy tytuł granda przestał już nas nęcić, zaprzestaliśmy dalszych zabiegów i postanowiliśmy udać się do Meksyku, gdzie stan naszych interesów wymagał naszej obecności. Zdrowie margrabiny było znacznie nadwężone i lekarze utrzymywali, że podróż morską może ją do sił powrócić. Wybraliśmy się więc w drogę i po dziesięciodniowej żegludze, która w istocie wywarła nader zbawienny wpływ na zdrowie margrabiny, wylądowaliśmy w Veracruz. Elwira przybyła do Ameryki nie tylko zupełnie zdrowa, ale piękniejsza niż kiedykolwiek.

Zastaliśmy w Veracruz jednego z pierwszych oficerów wicekróla, wysłanego nam na powitanie i dla przeprowadzenia nas do Meksyku. Człowiek ten wiele opowiadał nam o wspaniałości hrabiego Peña Velez i o miłosnych obyczajach, jakie panowały na jego dworze. Wiedzieliśmy już o niektórych szczegółach przez stosunki z Ameryką. Zaspokoiwszy zupełnie dumę, wicekról rozniecił w sobie gwałtowną skłonność do kobiet i nie mogąc być szczęśliwym w małżeństwie, szukał pociechy w ujmującym i grzecznym obejściu z kobietami, jakim przed laty odznaczało się towarzystwo hiszpańskie.

Niedługo bawiliśmy w Veracruz i odbyliśmy podróż do Meksyku z wszelkimi wygodami. Jak wiecie, stolica ta leży pośród jeziora; noc już była zapadła, gdy przybyliśmy na brzeg. Wkrótce spostrzegliśmy ze sto łodzi ozdobionych kagańcami. Najwspanialsza wysunęła się naprzód, przybiła do lądu i ujrzeliśmy wychodzącego z niej wicekróla, który zwracając się do mojej żony, rzekł:

— Cóрко nieporównana kobiety, której nie przestałem dotąd uwielbiać, sądziłem, że niebo wyrwało cię mojemu sercu, ale Bóg litościwy raczył zostawić światu najpiękniejszą jego ozdobę, za co składam mu dzięki. Pójdź, piękna Elwiro, zdobądź nasze krainy, które odtąd nie będą miały czego zazdrościć dumnej Europie.

Wicekról uczynił uwagę, że Elwira tak dalece się zmieniła, że nigdy nie byłby jej poznał.

— Wszelako — dodał — pamiętam cię daleko młodszą i nie powinnaś się dziwić, że krótkowzroczny śmiertelnik w róży nie poznaje pączka.

Następnie uczynił mi zaszczyt uściskania mnie i wprowadził nas oboje do swojej gondoli.

Po półgodzinnej, żegludze przybiliśmy do pływającej wyspy, która za pomocą sztucznego wymysłu przedstawiała widok prawdziwego ostrowu pokrytego pomarańczowymi drzewami i mnóstwem innych krzewów. Wyspę tę można było popychać na różne strony jeziora i tak cieszyć się coraz nowym widokiem. W Meksyku często można zobaczyć podobnego rodzaju budowy, nazwane *chinampas*. Pośród wyspy stał okrągły budynek rześisto oświetlony i brzmiący z daleka huczną muzyką. Wkrótce spostrzegliśmy za kagańcami pozawieszane litery monogramu Elwiry. Zbliżając się do brzegu, ujrzeliśmy dwie czerechy mężczyzn i kobiet odzianych w przepyszne, ale dziwaczne stroje, na których żywe barwy rozmaitych piór walczyły o blask z najdroższymi klejnotami.

— Pani — rzekł wicekról — jedną z tych grup składają sami Meksykanie. Ta piękna kobieta na czele, jest to margrabina Montezuma, ostatnia tego wielkiego nazwiska, które nosili niegdyś władcy tego kraju. Polityka gabinetu madryckiego zabrania jej uwieczniać te prawa, które wielu Meksykanów dotąd uważa za prawowite, natomiast jest ona królową naszych rozrywek, jedyny to hołd, jaki wolno jej składać. Mężczyźni w drugiej grupie mieniają się Inkami peruwiańskimi, którzy dowiedziawszy się, że córka słońca wylądowała w Meksyku, przychodzą palić jej ofiary.

Podczas gdy wicekról osypywał moją żonę podobnymi grzecznościami, bacznie w nią się wpatrywałem i zdało mi się, że spostrzegłem w jej oczach jakiś niepojęty blask, wyblęśły z iskry miłości własnej, która od siedmiu lat naszego pożycia nie miała dotąd czasu się rozżarzyć. W istocie, pomimo całych naszych bogactw nie mogliśmy nigdy postawić się na czele towarzystwa madryckiego. Elwira zajęta moją matką, dziećmi, zdrowiem, nie miała sposobności błyszczeć, podróż jednakże razem ze zdrowiem powróciła jej dawną piękność. Umieszczona na pierwszym szczeblu nowego społeczeństwa, jak mi się zdało, objawiła skłonność do nabierania przesadnego pojęcia o sobie i zwracania na siebie powszechnej uwagi.

Wicekról mianował Elwirę królową Peruwiańczyków, po czym rzekł do mnie:

— Jesteś bez wątpienia pierwszym poddanym córki słońca, ale ponieważ wszyscy dziś przebraliśmy się, raczysz przeto aż do końca balu poddać się prawom drugiej władczyni.

To mówiąc, przedstawił mnie margrabinie Montezuma i złożył moją rękę w jej dłoni. Weszliśmy w zgiełk balu, obie czeredy zaczęły tańcować i wzajemne ich współzawodnictwo ożywiło uroczystość.

Postanowiono przedłużyć maskaradę aż do końca pory roku, zostałem więc poddanym dziedziczki Meksyku, podczas gdy moja żona wadała swoimi z ujmującym wdziękiem, który zwrócił na siebie moją uwagę. Muszę jednak opisać wam córkę kacyków, czyli raczej dać wam niejaki pojęcie o jej powierzchowności, gdyż nie byłbym w stanie słowami oddać tego dzikiego wdzięku i tego bystrego wyrazu, z jakim namiętna jej dusza co chwila przebijała się na jej twarzy.

Taskala Montezuma, urodziła się w górzystej okolicy Meksyku i nie miała wcale płci oliwkowej, jaką odznaczają się mieszkańcy nizin. Przezrocystą jej cerę podwyższał blask czarnych oczu nieporównanej piękności. Rysy jej, mniej wydatne niż u Europejczyków, nie były spłaszczone, jak to widzimy u szczepu amerykańskiego. Taskala przypominała go tylko ustami nieco pełnymi, ale zachwycającymi, ile razy przelotny uśmiech na nich wykwiwał. Co do jej kibici, nic wam nie mogę powiedzieć, zdaję się całkiem na waszą wyobraźnię albo raczej na marzenia malarzy chcących odmalować Dianę lub Atalantę. Wszystkie jej ruchy miały w sobie coś szczególnego, mimowolnie przebijał się w nich gwałtowny poryw namiętności, hamowany silną wolą. Spokojność nie wydawała się w niej spoczynkiem i odkrywała ciągle wewnętrzne wzruszenie.

Krew Montezumów zbyt często przypominała Taskali, że była urodzona do panowania nad szeroką częścią świata. Zbliżywszy się do niej, spostrzegano naprzód dumną postawę obrażonej królowej; ale zaledwie otworzyła usta, wnet słodkie spojrzenie zachwycało tego, którego odpowiedź jej wkrótce miała oczarować. Gdy wchodziła w podwoje wicekróla, zdawało się, że z oburzeniem spoglądała na równych sobie, ale niebawem wszyscy widzieli, że nie miała sobie równej. Serca pochopne do uczuć poznawały w niej władczynię, tłum się około niej cisnął. Taskala w istocie była królową i przyjmowała hołdy jako z prawa jej należące.

Pierwszego zaraz wieczoru uderzył mnie ten wyniosły sposób jej myślenia. Chciałem powiedzieć jej jakąś grzeczność, stosowną do charakteru jej przebrania i do godności pierwszego poddanego, jaką mnie wicekról zaszczycił, ale Taskala bardzo źle przyjęła moje oświadczenia i rzekła:

— Korona balowa może tylko tym się podobać, których urodzenie nie powołało do tronu.

To mówiąc, rzuciła wzrok na moją żonę. Elwirę w tej chwili otaczali Peruwiańczycy i służyli jej na klęczkach. Duma i radość wprawiły ją w zachwycenie, zawstydziłem się za nią i tego samego wieczoru mówiłem z nią w tym względzie. Zimno przyjęła moje uwagi i z obojętnością odpowiadała na moje oświadczenia miłosne. Miłość własna weszła do jej duszy i zastąpiła miejsce prawdziwego kochania.

Upojenie, jakie sprawia kadzidło pochlebstwa, z trudnością da się rozproszyć, z Elwirą zaś sprawa była niepodobna do dokonania. Cały Meksyk rozdzielił się na wielbicieli jej doskonałej piękności i nieporównanych wdzięków Taskali. Dni Elwiry mijały w napawaniu się powodzeniami dnia wczorajszego i cieszenia się nadzieją dni następnych. Z zamkniętymi oczyma leciała w przepaść rozrywek wszelkiego rodzaju, chciałem ją zatrzymać, ale nadaremnie; ja sam czułem się popychany, ale w przeciwnym kierunku i daleko od kwiecistych ścieżek, po jakich przelatywała moja małżonka.

Miałem wówczas niespełna trzydzieści lat. Byłem w wieku, w którym uczucia mają całą świeżość młodzieńczą, namiętności zaś są w pełnym rozkwicie siły męskiej. Miłość moja, zrodzona przy kolebce Elwiry, na chwilę nie wyszła z dzieciennych lat, umysł zaś jej, karmiony szaleństwami romansowymi, nigdy nie miał czasu dojrzeć. Mój rozum nie o wiele ją wyprzedzał, wszelako tyłem już był postąpił, że z łatwością mogłem widzieć, jak pojęcia Elwiry obracały się wokół drobnostek, małych próżności, czasami nawet małych obmów, słowem, pozostawały w tym ciasnym widnokręgu, w którym częściej charakter niż rozum wstrzymuje kobietę. Wyjątki w tym rodzaju są rzadkie, mniemałem nawet, że wcale ich nie ma, ale przekonałem się, że jest inaczej, poznawszy Taskalę. Żadna zazdrość, żadne współzawodnictwo nie znalazły przystępu do jej serca. Cała jej pleć miała równe prawa do jej przychylności i ta, która najwięcej przynosiła jej zaszczytu pięknnością, wdziękami lub uczuciami, najsilniejsze w niej obudzała zajęcie. Rada by była widzieć wszystkie kobiety obok siebie, zasłużyć na ich zaufanie i pozyskać przyjaźń. O mężczyznach mówiła rzadko i to z wielką powściągliwością, chyba że szło o pochwałę jakiego szlachetnego uczynku. Wtedy wyrażała swoje podziwienie szczerze i z zapalem. Zresztą najwięcej rozmawiała o przedmiotach ogólnych i wtedy tylko ożywała się, gdy mówiła o pomyślności Meksyku i zapewnieniu szczęścia jego mieszkańcom. Był to ulubiony jej przedmiot, do którego wracała, ile razy zdarzała się po temu sposobność.

Wielu ludzi zapewne gwiazda ich, a raczej sposób myślenia, przeznacza na pędzenie życia pod prawami tej płci, która musi rozkazywać, kiedy nie może być posłuszną. Bez wątpienia, ja do tych ludzi należę. Byłem pokornym wielbicielem Elwiry, następnie uległym jej małżonkiem, ale sama rozluźniła moje więzy małocенności, jaką zdawała się do nich przywiązywać.

Bale i maskarady jedne po drugich następowały i prąd towarzystwa, że tak powiem, przywiązał mnie do osoby Taskali. Wprawdzie serce więcej mnie przywiązywało i pierwszą zmianą, jaką w sobie spostrzegłem, był polot mojej myśli i wzniosłość ducha. Sposób mego myślenia nabrał więcej siły, wola dzielności. Czułem potrzebę urzeczywistnienia moich uczuć w czynie i pozyskania wpływu na losy moich bliźnich.

Prosiłem i otrzymałem posadę. Urząd powierzony mi podawał kilka prowincji pod mój zarząd; spostrzegłem krajowców gnębionych przez lud zwycięski i stanąłem w ich obronie. Powstali przeciw mnie potężni nieprzyjaciele, popadłem w niełaskę ministerium, dwór zaczął mi zagrażać, postawiłem dzielny opór, Meksykanie mnie kochali, Hiszpanie szanowali, co mnie jednak najwięcej uszczęśliwiała, to zajęcie, jakie wzbudziłem w sercu ukochanej kobiety. Wprawdzie Taskala postępowała ze mną zawsze z tą samą, a może nawet większą powściągliwością, ale wzrok jej szukał mego, spoczywał na nim z upodobaniem i odwracał się z niespokojnością. Mało do mnie mówiła, nie wspominała o tym, co czyniłem dla Amerykanów, ale ile razy zwracała ku mnie mowę, głos jej drżał, wyrazy tamowały się w piersiach, tak że najobojętniejsza rozmowa mimowolnie sprawiała na mnie wrażenie powstającej zażyłości. Taskala sądziła, że znalazła we mnie duszę podobną do swojej. Myliła się, to jej własna dusza przelała się w moją, dodawała mi natchnienia i prowadziła na drodze czynów. Mnie samego ogarnęły złudzenia o sile mego charakteru. Marzenia moje stały się rozmyślaniami, pojęcia o szczęściu Ameryki przybrały kształt szalonych zamiarów, rozrywki nawet stroiły się w barwę bohaterstwa. Ścigałem w lasach jaguary i pумы, sam godziłem na te dzikie zwierzęta. Najczęściej jednak zapuszczałem się w dalekie wąwozy pośród samotnych odgłosów, jedyne powierników miłości, z którą nie śmiałem się zwierzyć tajemnie uwielbianej kobiecie.

Taskala odgadła mnie, ja także sądziłem, że zablęśł mi promyk nadziei i mogliśmy łatwo zdradzić się przed oczyma przenikliwego ogółu. Na szczęście uniknęliśmy powszechnej uwagi. Wicekról miał ważne sprawy do załatwienia, które przecięły pasmo uroczysto-

ści, jakim on sam i za nim cały Meksyk zapamiętało się oddawał. Każdy naówczas przyjął tryb życia mniej rozrywkowy. Taskala oddaliła się do domu, który posiadała na północ od jeziora Tezenu. Z początku zacząłem dość często ją odwiedzać, nareszcie przychodziłem co dzień. Nie mogę wytłumaczyć wam obopólnego naszego obejścia. Z mojej strony była to cześć posunięta prawie do fanatyzmu, z jej zaś święty ogień, którego płomień żywiła w zadumie i milczeniu.

Wyznanie wzajemnych uczuć ulatywało nam na ustach, ale nie śmieliśmy go wymówić. Stan ten był czarujący, poiliśmy się jego rozkoszą i lękaliśmy się w czymkolwiek go zmienić.

Gdy margrabia doszedł do tego miejsca, odwołano Cygana dla spraw jego hordy i musieliśmy do następnego dnia odłożyć zaspokojenie naszej ciekawości.

DZIEŃ CZTERDZIESTY CZWARTY

Zebrałiśmy się wszyscy w milczeniu i margrabia, zasiadłszy, tak zaczął mówić.

Dalszy ciąg historii margrabiego Torres Rovellas

Mówiłem wam o mojej miłości do zachwycającej Taskali, odmalowałem wam jej postać i duszę, dalszy ciąg mojej historii najlepiej da ją wam poznać.

Taskala była przekonana o prawdzie naszej świętej wiary, ale zarazem miała głębokie poszanowanie dla pamięci swych ojców i w tak pomieszany sposób widzenia rzeczy ułożyła sobie osobny raj, który nie był w niebie, ale w jakiejś pośredniej krainie. Podzielała nawet do pewnego stopnia zabobony swoich rodaków, wierzyła, że znakomite cienie królów jej pokolenia wśród ciemnych nocy schodziły na ziemię i odwiedzały dawny cmentarz położony w górach. Taskala za nic w świecie nie byłaby tam poszła w nocy. Czasami jednak chodziliśmy tam w dzień i długie spędzaliśmy godziny. Tłumaczyła mi hieroglify wyryte na grobowcach jej przodków i objaśniała je podaniami, w których była nader biegła.

Znaliśmy już większą część napisów i postępując dalej w naszych poszukiwaniach, wynajdowaliśmy nowe, które oczyszczaliśmy z mchu i cierniów je pokrywających. Pewnego dnia Taskala pokazała mi krzak akantowy i rzekła, że miał on tu swoje znaczenie, gdyż ten, który go posadził, powziął wprzód zamiar sprowadzenia zemsty niebios na cienie nieprzyjaciół i że dobrze uczynię wytepiając tę złowrogą roślinę. Wziąłem siekiere z rąk idącego za nami Meksykanina i wyciąłem nieszczęsny krzak. Wtedy spostrzegliśmy kamień pokryty hieroglifami, jakich dotąd nigdy jeszcze nie widzieliśmy.

— Napis ten — rzekła Taskala — położony został już po zajęciu naszego kraju, Meksykanie naówczas mieszały hieroglify z niektórymi głoskami alfabetu, jakie przejęli byli od Hiszpanów. Napisy ówczesne łatwiejsze są do czytania.

W istocie, zaczęła czytać, ale za każdym wyrazem, coraz większa boleść malowała się w jej rysach, nareszcie padła bez zmysłów na głaz, który przez dwa wieki ukrywał powód jej nagłego przerażenia.

Przeniesiono Taskalę do domu, odzyskała nieco przytomność, ale nie mogła związać dwóch myśli razem i ciągle gadała od rzeczy. Powróciłem do domu w najgwałtowniejszej rozpaczy i nazajutrz otrzymałem list następującej treści:

„Alonzo, ażeby napisać te kilka słów, musiałam zebrać wszystkie siły i myśli moje. Pismo to wręczy ci stary Xoaz, dawny mój nauczyciel mowy ojców moich. Zaprowadź go do kamienia, który wczoraj wynaleźliśmy, i proszę, aby ci wytłumaczył napis. Wzrok mój miesza się, gęsta mgła pokrywa moje oczy. Alonzo, straszliwe widziadła snują się pomiędzy nami — Alonzo — już cię tracę z oczu”.

Xoaz ten był jednym z teoksychów, czyli pochodził z dawnych kapłanów. Zaprowadziłem go na cmentarz i pokazałem nieszczęsny kamień. Przepisał hieroglify i zaniósł je do siebie. Poszedłem do Taskali, ale maligna jej nie odstępowała, spojrzała na mnie błędnymi oczyma i nie mogła mnie poznać. Nad wieczorem gorączka nieco spadła, wszelako lekarz prosił mnie, abym do chorej nie chodził.

Nazajutrz Xoaz przyniósł mi tłumaczenie meksykańskiego napisu w następujących słowach:

„Ja, Koatril, syn Montezumy, złożyłem tu ciało nikczemnej Aksyny²⁰³, która poświęciła serce i ojczyznę niegodziwemu Kortezi, naczelnikowi rozbójników morskich. Duchy moich przodków, które zstępujecie tu wśród ciemnych nocy, duchy, które przyzywam rękami sposzczonymi krwią ofiar ludzkich, duchy moich przodków, przywróćcie na chwilę te zwłoki do życia i zadajcie im najstraszliwsze męczarnie konania. Duchy moich przodków, wysłuchajcie mego głosu, wysłuchajcie moich przekleństw. Spójrzycie na moje dłonie dymiące jeszcze krwią ofiar ludzkich!

Ja Koatril, syn Mentezumy, jestem ojcem; córki moje błądzą po lodowiskach dalekich gór. Piękność jest dziedzicznym przymiotem zacnego ich rodu. Duchy moich przodków, jeżeli kiedykolwiek córka Koatрила lub córka jego córki albo jego syna, jeżeli kiedykolwiek która kobieta z mego rodu odda serce i wdzięki zdradliwemu zdobywcy, jeżeli między kobietami z mojej krwi znajdzie się druga Aksyna, duchy moich przodków, zstępujące tu wśród ciemnych nocy, ukarźcie ją najstraszliwszymi męczarniami. Zstąpcie wśród ciemnej nocy pod postacią płomiennych żmij, poszarpcie jej ciało, rozwlecźcie po całej ziemi i wtedy niech każda cząstka doznaje osobno boleści śmiertelnego konania. Zstąpcie wśród ciemnej nocy pod postacią sępów z żelaznymi dziobami rozżarzonymi w ogniu, podrzyjcie jej ciało, rozproszcie je w powietrznym przestworzu, i wtedy niech każda cząstka osobno doznaje boleści śmiertelnego konania. Duchy moich przodków, jeżeli nie wypełnicie żądania, wzywam przeciw wam potęgę bogów, których nie przestaję napawać krwią z ofiar ludzkich. Oby wam wtedy zadali podobne męczarnie! Wyrylem to przekleństwo ja: Koatril, syn Montezumy i posadziłem na grobie krzak Meskusksaltry”.

Mało brakowało, aby napis ten czynił na mnie podobne wrażenie, jakie sprawił na Taskali. Chciałem przekonać Xoaza o niedorzeczności zabobonów meksykańskich, ale wkrótce spostrzegłem, że nie należało zaczepiać go z tej strony. Starzec pokazał mi inny sposób, jakim mogłem wnieść pociechę do duszy mojej kochanki.

— Nie ma wątpliwości — rzekł do mnie — że duchy królów zstępują na ten cmentarz i że posiadają władzę zadawania męczarni tak żywym, jako i umarłym, zwłaszcza jeżeli kto ich zawezwie za pomocą zaklęć podobnych do tych, jakie *señor* widziałeś wyryte na kamieniu. Są przecież okoliczności mogące osłabić te straszliwe skutki. Naprzód, wyciąłeś, *señor*, złowrogi krzew zasadzony na tym nieszczęsnym grobie, następnie, cóż *señor* masz wspólnego z dzikimi towarzyszami Korteza? Opiekuj się dalej Meksykanami i bądź przekonany, że mamy środki na uspokojenie duchów, a nawet straszliwych bogów, czczonych niegdyś w Meksyku, których wasi kapłani nazywają szatanami.

Poradziłem Xaozowi, aby tak otwarcie nie wynurzał swoich przekonań religijnych, w duchu zaś postanowiłem korzystać z wszelkich sposobności wyświadczenia przysługi krajowcom. Niebawem takowe mi się nastęrczyły. Wybuchło powstanie w prowincjach zdobytych przez wicekróla. Wprawdzie był to tylko słuszny opór przeciw uciskom, sprzeciwiającym się nawet zamiarom dworu, ale nieubłagany wicekról bynajmniej na to nie zważał, stanął na czele wojska, wkroczył do nowego Meksyku, rozproszył zbiegowiska i wziął w niewolę dwóch kacyków, których przeznaczył na ścięcie w stolicy Nowego Świata. Właśnie miano czytać im wyrok, gdy wystąpiłem na środek izby obradnej, położyłem ręce na oskarżonych i wymówiłem te wyrazy: *Los ioco por parte de el Rey* — „dotykam ich w imieniu króla”.

Starożytna ta formuła prawa hiszpańskiego takiej jeszcze do dzisiejszego dnia używa więzioci, że żaden trybunał nie poważy się jej oprzeć i wstrzymuje wykonanie każdego wyroku. Używający wszelako tej formuły odpowiada za nią własną osobą. Wicekról miał prawo wymierzenia na mnie tej samej kary, jaką mieli ponieść dwaj oskarżeni. Nie

Przekleństwo

²⁰³Aksyna — w innym oprac. tegoż tłumaczenia: Marina. [przypis edytorski]

omieszkiał skorzystać ze swego przywileju, postąpił ze mną z całą srogością i kazał wtrącić do więzienia, gdzie ubiegły mi najśłodsze chwile mego życia.

Pewnej nocy, a w ciemnym moim podziemiu noc była wieczna, spostrzegłem na końcu długiego korytarza słabe i blade światło, które coraz ku mnie się zbliżając, oświetliło mi zachwycające rysy Taskali. To czarowne zjawisko w jednym oka mgnieniu zamieniło moje więzienie w raj niewypowiedzianego szczęścia. Zapomniałem o doznanych cierpieniach, nieznana rozkosz przeniknęła całą moją istotę. Piękna Meksykanka przystąpiła do mnie i rzekła:

— Alonzo, cnotliwy Alonzo, zwyciężyłeś. Cienie moich ojców są zadowolone. To serce, którego żaden śmiertelnik nie miał posiadać, stało się twoim i jest nagrodą za poświęcenia, jakich nie przestajesz podejmować dla osłodzenia losu moim nieszczęśliwym rodakom.

Zaledwie Taskala domówiła tych słów, padła w moje objęcia bez czucia i prawie bez duszy. Przypisywałem wypadek ten nadzwyczajnemu wzruszeniu, ale niestety przyczyna była zupełnie inna i daleko niebezpieczniejsza. Zgroza, jakiej doświadczyła na cmentarzu, gorączka trawiąca, w którą następnie była zapadła, doprowadziły ją do tego stanu.

Jednakowoż Taskala otworzyła oczy i niebiańska jasność zdawała się zmieniać moje podziemie w promieniejący szczęściem pobyt. Miłości, bożku starożytnych, którzy czcili cię, ponieważ żyli wedle praw natury, boska miłości, nigdy w Pafos ani w Knidos potęga twoja nie okazała się tak dzielna, jak w tym posępnym więzieniu Nowego Świata! Podziemie moje stało się twoją świątynią, słup, do którego byłem przykuty, twoim ołtarzem, łańcuchy zaś — wieńcami.

Urok ten dotąd się jeszcze nie rozproszył, dotąd tkwi jeszcze w moim sercu wychłodzonym przez lata i gdy myśl moja, kołysana wspomnieniami, chce przenieść się w krainę ulud przeszłości, nie zatrzymuje się na pierwszych chwilach miłosnych uniesień z Elwirą, ani na zapędach namiętnej Laury, ale przylega do wilgotnych murów więzienia.

Powiedziałem wam, że wicekról uniósł się na mnie niepohamowanym gniewem. Gwałtowność jego sposobu myślenia przemogła w nim uczucie sprawiedliwości i przyjaźni, jaką miał ku mnie. Wyprawił lekki okręt do Europy i posłał raport oskarżający mnie o poduszczanie buntów w Meksyku. Zaledwie jednak okręt wyruszył, gdy słuszność wzięła górę w sercu wicekróla i począł z innego punktu zapatrywać się na moją sprawę. Gdyby nie obawa zadania fałszu samemu sobie, byłby wysłał drugi raport, całkiem przeciwny pierwszemu, wyprawił atoli natychmiast drugi okręt z depeşami, które powinny były złagodzić surowość poprzedzających.

Rada madrycka, dość powolna we wszystkich postanowieniach, miała czas otrzymać drugi raport, nareszcie przysłała odpowiedź taką, jakiej można było spodziewać się po najbieglejszej roztropności. Wyrok rady zdawał się być wynikiem nieubłaganej srogości, skazywał na śmierć buntowników, ale zarazem, trzymając się ściśle wyrażen, przedstawiał nieprzebyte trudności w wynalezieniu tychże buntowników, wicekról zaś otrzymał tajemne polecenia zabraniające mu ich wyszukiwania. Ogłoszono nam pierwszą część wyroku, która zadała ostateczny cios chwiejącemu się zdrowiu Taskali. Nieszczęśliwa wpadła w suchoty, gorączka, zrazu powolna, niebawem jednak coraz gwałtowniej się rozwijająca...

Rozżalony starzec nie mógł więcej mówić, łkania stłumiły mu głos w piersiach, oddalił się, chcąc dać upust łzom, my zaś pozostaliśmy pogrążeni w uroczystym milczeniu. Każdy z osobna ubolewał nad losem pięknej Meksykanki.

DZIEŃ CZTERDZIESTY PIĄTY

Zebrałiśmy się o zwykłej godzinie i prosiliśmy margrabiego, aby raczył dalej opowiadać, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii margrabiego Torres Rovellas

Mówiąc wam o nielase, w którą popadłem, nie wspominałem ani słowa, co przez ten czas porabiała moja żona. Elwira z początku sprawiła sobie kilka sukien z ciemnych materii, następnie odjechała do klasztoru, którego klauzura od razu zmieniła się w salon

do przyjmowania gości. Wszelako moja żona pokazywała się tylko z chustką w rękę i rozpuszczonymi włosami. Dowody tak niezmiennego przywiązania mocno mnie wzruszyły. Jakkolwiek uniewinniony, atoli tak z powodu formalności prawnych, jako też powolności wrodzonej Hiszpanom, musiałem jeszcze cztery miesiące przesiedzieć w więzieniu. Skoro tylko odzyskałem wolność, natychmiast udałem się do klasztoru margrabiny i przywiozłem ją do domu, gdzie powrót jej uświetnił wspaniały bal — ale jaki bal! Sprawiedliwe nieba!

Taskali już nie było. Najobojętniejsi ze łzami w oczach ją wspominali. Możecie wyobrazić sobie moją boleść. Odchodziłem od zmysłów i nic do koła siebie nie spostrzegałem. Na szczęście nowe, pochlebne dla mnie uczucie wyrwało mnie z tego oplakanego stanu. Człowiek pierwszej młodości, obdarzony szczęśliwymi skłonnościami pała chęcią odznaczenia się. W trzydziestym roku życia pragnie wziętości, później szacunku i poważania. Osiągnąłem popularność, ale zapewne bym jej nie pozyskał, gdyby wiadano, jak dalece miłość mną powodowała. Tymczasem przypisywano moje postęпки rzadkim cnotom popartym niepospolitą dzielnością charakteru. Do tego przyłączył się pewien rodzaj zapалу, jakiego zwykle nie szcędzą dla tych, którzy przez jakiś czas kosztem własnego bezpieczeństwa zajmowali publiczną uwagę.

Popularność otaczająca mnie w Meksyku dała mi poznać wysokie przekonanie, jakie o mnie powzięto i pochlebne jej hołdy wyrwały mnie z głębokiej rozpaczy, w jakiej byłem pogrążony. Czulem, że nie zasługiwałem jeszcze na tak powszechny szacunek, ale postanowiłem okazać się go godny. Tak, gdy znękani zmartwieniem widzimy tylko posępną przyszłość przed nami, nagle Opatrzność, pieczołowita o nasze losy, rozpala niespodziewane światła, które znowu rozświecają nam drogę żywota.

Powziąłem więc zamiar zasłużenia sobie we własnym przekonaniu na ten szacunek, jakim mnie otaczano. Otrzymałem udział w zarządzie kraju i wykonywałem moje obowiązki z czynną i dla wszystkich równą sprawiedliwością. Atoli stworzony byłem dla miłości. Taskala żyła dotąd w mym sercu, choć mi bolesną pustkę w życiu zostawiła. Postanowiłem ją zapełnić.

Przeszedłszy trzydziesty rok, można jeszcze doznać silnego przywiązania, a nawet wzbudzić je, ale biada człowiekowi, który w tym wieku chce mieszać się do młodzieńczych igraszek miłości. Wesołość nie ulatuje mu już na ustach, tkliwa radość nie błyszczy w oczach, mowa nie nagina się do tych czarownych niedorzeczności, szuka sposobów podobania się, a chociaż zręczniejsz umie używać środków, choć pojmuje i wybornie tłumaczy miłość, pomimo to jednak płocha i złośliwa czereda całym polotem skrzydeł ucieka od niego i szuka młodzieńczego grona.

Nareszcie, jeżeli mam wam powiedzieć niepoetycznie, nie zbywało mi na kochankach, które odpłacały mi wzajemnością, ale czułość ich zwykle miała inne widoki na celu i jak możecie domyślić się, często opuszczała mnie dla młodszych. Takowe postępowanie bodło mnie czasami, ale nigdy nie martwiło. Jedne lekkie więzy zmieniałem na drugie, nie bardziej ciężkie i śmiało wyznam, że w stosunkach tych więcej doznałem rozkoszy niż zmartwienia.

Moja żona zaczynała czterdziesty rok życia; hołdy jeszcze ją otaczały, ale były one bardziej wynikiem szacunku; tłum cisnął się do rozmowy z nią, ale nie ona już była tej rozmowy przedmiotem. Świat jeszcze jej nie opuszczał, chociaż dla niej cały wdzięk już postradał.

Śród tego wicekról umarł. Moja żona zwykle przyjmowała w jego domu, teraz zapragnęła u siebie mieścić gości. Lubilem jeszcze wówczas towarzystwo kobiet, z przyjemnością zatem pomyślałem, że byłem szedł o jedno piętro niżej, zawsze je znajdę. Margrabina stała się dla mnie jak gdyby nową znajomością, odkryłem w niej nowe przymioty i znowu promyk szczęścia oświecił moje życie.

Elwira zaszła w ciążę i obdarzyła mnie tym ukochanym dziecięciem, które towarzyszy mi w tej podróży. Późny jednak połóg wywarł zgubny wpływ na jej zdrowie. Rozniemogła się i wpadła w trawiącą gorączkę, która zaprowadziła ją do grobu. Nowy ten cios znowu pogrążył mnie w niewypowiedzianej boleści. Margrabina była pierwszą moją kochanką i ostatnią przyjaciółką. Związki krwi nas łączyły, winieniem jej był mój majątek, moje znaczenie; tyle razem przyczyn do oplakiwania jej straty. Tracąc Taskalę, otoczony jeszcze

Kobieta, Starość,
Przemijanie

byłem wszystkimi złudzeniami życia. Margrabina zostawiła mnie samego, bez pociechy i w stanie znękania, z którego nic nie mogło mnie wyrwać. Czas jednak zbliżył nieco moje rany. Wyjechałem do moich majątków, zamieszkałem u jednego z moich wasalów, którego córka, zbyt młoda jeszcze, aby miała zważać na wiek, opromieniła jesień dni moich ostatnimi błyskami szczęścia.

Nareszcie wiek ściał lodem prąd moich zmysłów, ale czułość nie opuściła mego serca. Przywiązanie do mojej córki żywiej drga we mnie od wszystkich dawnych namiętności. Jedynym i ostatnim moim życzeniem jest widzieć ją szczęśliwą i umrzeć na jej rękach. Nie mogę żalić się, drogie dziecię z swojej strony odpłaca mi jak najszczerzą wzajemnością. Los jej jest już zapewniony, okoliczności jej sprzyjają, zdaje mi się, że zabezpieczyłem jej przyszłość, o ile można zabezpieczyć ją komu na ziemi. Spokojnie, choć nie bez żalu rozstanę się z tym światem, na którym, jak każdy człowiek, doznałem wiele smutku, ale i szczęścia.

Oto jest cała historia mego życia. Lękam się, aby was nie znudziła, tym bardziej, że widzę tego oto señora, który od pewnego już czasu wołał oddać się jakimś rachunkom.

Starość, Ojciec, Dziecko

W istocie, Velasquez dobył tabliczki i pilnie coś obliczał.

— Przebac mi, *señor* — odpowiedział nasz matematyk — opowiadanie twoje żywo mnie zajęło i na chwilę nie odwróciłem od niego uwagi. Postępując za tobą po drodze twego życia i widząc, jak za każdym krokiem, który czyniłeś naprzód, jedna i taż sama działająca namiętność utrzymywała cię wśród twego losu i wspierała jeszcze przy schyłku twego istnienia, zdawało mi się, że spoglądałem na linię krzywą, która biegnąc około swej osi wedle raz danego jej prawa, zatrzymywała się przez chwilę koło środka tej osi, nareszcie zniżala, stosunkowo do siły, z jaką podnosiła się w górę.

— W istocie — odparł margrabia — sądziłem, że można było z przygód moich wyciągnąć naukę moralną, ale nigdy nie myślałem, aby dałyby się one ułożyć w matematyczne równanie.

— Nie idzie tu o twoje, *señor*, przygody — rzekł Velasquez — ale o życie ludzkie w ogólności, ale o dzielność fizyczną i moralną wzrastającą z wiekiem, zatrzymującą się na chwilę, potem zstępującą, a tym samym identyczną z innymi siłami, czyli podległą tym samym prawom, to jest pewnemu stosunkowi między liczbą lat a miarą dzielności wznieconej przez stan duszy. Pragnę dokładniej się wytłumaczyć. Przypuśćmy, że przestrzeń życia jest wielką osią elipsy, że wielka ta oś dzieli się na dziewięćdziesiąt lat wyznaczonych do przeżycia, że nareszcie połowa małej osi została podzielona na piętnaście równych odcinków. Zauważcie teraz, że odcinki małej osi, wyobrażające stopnie dzielności, nie są wartościami tej samej natury co części wielkiej osi, oznaczające lata, że są jedynie czynnikami. Z natury więc elipsy wynika, że otrzymamy linię krzywą, bystro się naprzód podnoszącą, zatrzymującą na chwilę prawie w miejscu, następnie zniżającą w stosunku proporcjonalnym do wcześniejszego podnoszenia.

Uznajmy więc chwilę przyjścia na świat za początek układu współrzędnych, gdzie X i Y równają się jeszcze zeru. Rodzisz się, señor, i po upływie jednego roku jednostka na twojej rzędnej wynosi $31/10$. Następnie jednostki na rzędnej nie będą już stale wzrastać o $31/10$. Stąd różnica od zera do istoty zaledwie jękającej o pierwiastkach pojęć jest daleko znaczniejsza od każdej innej.

Człowiek w dwóch, trzech, czterech, pięciu, sześciu, siedmiu latach ma za jednostki swojej dzielności $44/10$, następnie $54/10$, $62/10$, $69/10$, $75/10$, $80/10$, różnice wynoszą więc: $13/10$, $10/10$, $8/10$, $7/10$, $6/10$, $5/10$.

Wartość na rzędnej dla lat cztertnastu wynosi $109/10$, a suma różnic w całym drugim siemioleciu to tylko $39/10$. W cztertnastym roku życia człowiek zaczyna być dopiero młodzieńcem, jest nim jeszcze w wieku lat 21, suma jednak różnic przez te siedem lat wynosi tylko $18/10$, od 21 zaś do 28 roku — $12/10$. Przypominam wam, że moja krzywa linia wyobraża tylko życie tych ludzi, których namiętności są umiarkowane i którzy są najdzielniejsi, przeszedłszy czterdziesty rok i zbliżając się do czterdziestego piątego. Dla ciebie *señor*, w którego życiu miłość była głównym czynnikiem, największą wartość na rzędnej powinien był przypisać przynajmniej o dziesięć lat wcześniej, tak między trzydziestym a trzydziestym piątym rokiem życia. Musiałeś atoli wznosić się stosunkowo szybciej.

W istocie, największa twoja wartość na rzędnej przypadła na 35 rok, buduję więc twoją elipsę na wielkiej osi z podziałem na 70 części. Stąd też wynik na rzędnej dla czterestu lat, który u człowieka umiarkowanego wynosiłby $109/10$, u ciebie wynosi $120/10$; dla 21 lat zamiast $127/10$ u ciebie wynosi $137/10$. Natomiast w 42 roku życia człowiek umiarkowany nadal podnosi swoją dzielność, *señor* zaś już ją zniżasz.

Racz na chwilę jeszcze skupić całą twoją uwagę. W 14 roku życia kochasz młodą dziewczynę, przeszedłszy 21 lat życia, stajesz się najlepszym z mężów. W 28 roku pierwszy raz wyraźnie się sprzeniewierzasz, ale kobieta, którą kochałeś, ma wzniosłą duszę, ogarnia zapalem twoją i w 35 roku zaszczytnie występujesz na widownię społeczeństwa. Wkrótce jednak przychodzi ci popęd do miłostek, doznany już w 28 roku, którego wynik na rzędnej równa się temu dla 42 lat.

Następnie znowu stajesz się dobrym mężem, jakim byłeś w 21 roku, dla którego wynik na rzędnej równa się temu dla 49 lat. Nareszcie wyjeżdżasz do jednego z twoich wasali, gdzie zapalasz się miłością ku młodej dziewczynie, takiej, jaką kochałeś w 14 roku życia, którego wynik na rzędnej równa się temu dla 56 lat. Upraszam cię jednak, mości margrabi, abys nie myślał, że dzieląc wielką oś twojej elipsy na siedemdziesiąt części, ograniczam twoje życie tylko do tej liczby lat. Przeciwnie, możesz bezpiecznie żyć dziewięćdziesiąt, a nawet więcej, ale w takim razie elipsa będzie inną krzywą, zastosowaną do teorii linii zwanej łańcuchową.

To mówiąc, Velasquez powstał, strasznie wywijał rękami, porwał szpadę, zaczął kreślić nią linie na piasku i zapewne byłby nam wyłożył całą teorię linii krzywych zwanych łańcuchowymi, gdyby margrabia, równie jak i reszta towarzystwa, mało ciekawa dowodzeń naszego matematyka, nie był poprosił o pozwolenie udania się na spoczynek. Sama tylko Rebeka pozostała. Velasquez bynajmniej nie zważał na odchodzących, dość mu było pięknej Żydówki, jął więc przed nią dalej wykladać swój system. Długo mu się przysłuchiwałem, aż nareszcie zmęczony masą naukowych wyrażen i liczb, do których nigdy nie miałem szczególniejszego upodobania, nie mogłem oprzeć się snowi i poszedłem na spoczynek. Velasquez ciągle dalej rozprawił.

DZIEŃ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Meksykanie, którzy dłużej już z nami pozostawali, aniżeli zamierzeli, postanowili nareszcie nas opuścić. Margrabia usiłował namówić naczelnika Cyganów, aby udał się wraz z nimi do Madrytu i zaczął wieść życie bardziej odpowiednie swemu urodzeniu, ale Cygan nie chciał żadnym sposobem przystać. Prosił nawet margrabiego, aby nigdy o nim nie wspominał i szanował tajemnicę, którą osłaniał swoje istnienie. Podróżni oświadczyli przysłuszeniu księciu Velasquezowi cały szacunek, jaki mieli dla niego, i uczynili mi zaszczyt żądania mojej przyjaźni.

Odprowadziliśmy ich do końca doliny i długo ścigaliśmy wzrokiem odjeżdżających. Gdy wracałem, przyszło mi na myśl, że kogoś brakowało w karawanie; przypomniałem sobie dziewczynę znaną pod nieszczęsną szubienicą Los Hermanos, zapytałem więc naczelnika, co się z nią stało i czy w istocie była to znowu jakaś nadzwyczajna przyгода, jakieś sprawy przeklętych piekielników, którzy tak nam się dali we znaki. Cygan sztydersko uśmiechnął się i rzekł:

— Tym razem mylisz się, *señor* Alfonsie, ale taka jest natura ludzka, raz zasmakowawszy w cudowności, chętnie rada by najprostsze wypadki życia pod nią podciągnąć.

— Masz słusność — przerwał Velasquez — do tych pojęć także można zastosować teorię postępów geometrycznych, których pierwszym wyrazem będzie ciemny zabobonnik, ostatnim zaś alchemista lub astrolog. Między dwoma tymi wyrazami znajdzie się jeszcze wiele miejsca na mnóstwo przesądów ciężących nad ludzkością.

— Nie mam nic przeciw temu dowodzeniu — rzekłem — ale to wszystko nie wyjaśnia mi jeszcze, kim była nieznaną dziewczyna.

— Posłałem jednego z moich ludzi — odpowiedział Cygan — dla dowiedzenia się o niej szczegółów. Doniesiono mi, że była to biedna sierota, która po śmierci kochanka dostała pomieszania zmysłów i nie mając nigdzie przytułku, żyje z dobroczynności podróżnych lub miłosierdzia pasterzów. Zwyczajnie samotnie błądzi po górach i śpi tam, gdzie ją noc zaskoczy. Zapewne więc tym razem zaszła pod szubienicę Los Hermanos i nie

pojmując okropności miejsca, jak najspokojniej zasnęła. Margrabia, zdjęty litością, kazał ją pielęgnować, ale wariatka, przyszedłszy do sił, wymknęła się spod straży i przepadła gdzieś w górach. Dziwi mnie, że dotąd nigdzie jej nie spotkaliście. Biedaczka skończyła na tym, że zsunie się gdzieś ze skały i marnie zginie, chociaż przyznam się, że nie ma co żałować tak nędznego życia. Czasami pasterze, rozpaliwszy w nocy ognisko, widzą ją nagle zjawiającą się u ognia. Wtedy Dolorita, tak się bowiem ta nieszczęsna nazywa, siada spokojnie, wpatruje się bystrym wzrokiem w jednego z nich, nagle zarzuca mu ręce na szyję i woła go nazwiskiem zmarłego kochanka. Z początku uciekali od niej, ale dziś przyzwyczaili się i bezpiecznie pozwalają jej błądzić, a nawet dzielą z nią strawę.

Gdy tak Cygan mówił, Velasquez tymczasem ją dowodził o siłach sobie przeciwnych, pochłaniających jedna drugą, o namiętności, która po długiej walce z rozumem, zniszczyła go nareszcie i — uzbrojona berłem niedorzeczności — sama rozsiadła się w mózgu. Co do mnie, zdziwiłem się, słysząc te słowa Cygana, byłem bowiem pewny, że nie zaniedba korzystać z okoliczności i znowu uraczy nas sążnistą historią. Być może, że jedynym powodem skrócenia przygód Dolority, było zjawienie się Żyda Wiecznego Tułacza, który bystrym krokiem obiegał górę. Kabalista zaczął wymawiać jakieś straszliwe zaklęcia, ale Żyd długo na nie nie zważał, nareszcie, jak gdyby tylko przez grzeczność dla towarzystwa, zbliżył się do nas i rzekł do Uzedy:

— Skończone twoje panowanie, straciłeś władzę, której okazałeś się niegodnym. Straszliwa przyszłość cię oczekuje.

Kabalista roześmiał się na całe gardło, ale śnać jego śmiech nie szedł z serca, gdyż prawie błagającym głosem w nieznanym języku zaczął przemawiać do Żyda.

— Dobrze — odparł Ahaswer — dziś jeszcze, dziś ostatni raz, już mnie nigdy nie ujrzysz.

— Mniejsza o to — rzekł Uzeda — zobaczymy, co się stanie później, tymczasem stary zuchwalcze, korzystaj z chwili naszej przechadzki i ciągnij dalej twoje opowiadanie. Już my potrafimy się przekonać, czy szejk Tarudantu ma więcej władzy ode mnie. Wreszcie znam powody, dla których nas unikasz i bądź pewny, że je wszystkim wyjawię.

Nieszczęśliwy włóczęga spojrzawszy zabójczym wzrokiem na kabalistę. Widząc jednak, że nie zdoła mu się oprzeć, wszedł wedle zwyczaju między mnie a Velasqueza i po chwili milczenia tak zaczął mówić:

Dalszy ciąg historii Żyda Wiecznego Tułacza

Wspomniałem wam, jak wtedy właśnie, gdy miałem osiągnąć najgorętszy cel moich życzeń, powstała wrzawa w świątyni, jak przypadł do nas jakiś faryzeusz i nazwał mnie oszustem. Jak to się zwykle czyni w podobnych wypadkach, odpowiedziałem mu, że jest oszczercą i że jeżeli natychmiast sam się nie wyniesie, każę go moim ludziom za drzwi wyrzucić.

— Dość już tego — zawołał faryzeusz, obracając się do obecnych — niegodziwy ten saduceusz oszukuje was. Rozsiał fałszywą pogłoskę, aby wzbogacić się waszym kosztem, korzysta z waszej łatwowierności, ale czas już zedrzyć z niego larwę²⁰⁴. Aby wam dowieść prawdy słów moich, ofiaruję każdemu dwa razy większą ilość złota za uncję srebra.

Tym sposobem faryzeusz zyskiwał jeszcze dwadzieścia pięć od sta, ale lud, uniesiony chęcią zysku, zaczął tłumnie garnać się do niego i okrzykiwać go dobroczyńcą miasta, podczas gdy dla mnie nie szczędził najostrzejszych przymówek. Powoli rozjątrzyły się umysły, od słów przyszło do czynnej zwady i w mgnieniu oka taki hałas powstał w świątyni, że jeden drugiego nie mógł zrozumieć. Widząc, że się zanoszą na straszną burzę, czym prędzej odesłałem ile mogłem srebra i złota do domu, zanim jednak służący zdołali wszystko unieść, lud, uniesiony wściekłością, rzucił się na stoły i zaczął rozrywać pozostałe pieniądze. Nadaremnie usiłowałem stawić jak najdzielniejszy opór, siła przeciwna znacznie przemagała. W jednej chwili świątynia zamieniła się w pole boju. Nie wiem, na czym byłoby się skończyło, może nie byłbym uszedł z życiem, krew bowiem lała mi się z głowy, gdy wtem wszedł Prorok Nazarejski ze swymi uczniami. Nigdy nie zapomnę tego groźnego i uroczyściego głosu, który w jednej chwili uśmierzył wrzawę. Czekaliśmy, za kim się odezwie. Faryzeusz był przekonany, że wygra sprawę, ale prorok powstał na oba

²⁰⁴larwa (daw.) — maska. [przypis edytorski]

stronnictwa i zaczął wyrzucać im świętokradztwo, bezczeszczenie przybytku Pańskiego i to, że wzgardzili Stwórcą dla dobra diabelskiego. Słowa jego sprawiły silne wrażenie na zgromadzonych, świątynia coraz napelniała się ludem, między którym wielu było zwolenników nowej nauki, obie strony poznały, że źle wyjdą na wmieszaniu się trzeciego. W istocie nie myliliśmy się, gdyż okrzyk: „precz ze świątyni!” dał się słyszeć jak gdyby z jednej piersi. Lud tym razem nie baczył już na własną korzyść, ale, uniesiony fanatycznym zapalem, począł wyrzucać stoliki i wypychać nas za drzwi. Znalazłszy się na ulicy, ciżba coraz się zwiększała, ale lud większą zwracał uwagę na Proroka niż na nas, korzystając przeto z ogólnego zamieszania, chyłkiem, bocznymi uliczkami dopadłem do domu. Zastałem przy drzwiach służących naszym uciekającym z ocalonymi pieniędzmi. Za jednym rzutem oka na worki poznałem, że jakkolwiek spełżyły moje nadzieje na zysk, straty jednak nie było żadnej. Na tę myśl odetchnąłem.

Sedekias o wszystkim już wiedział. Sara z niespokojnością wyglądała mego powrotu, widząc mnie skrwawionego, zbladła i rzuciła mi się na szyję. Starzec długo spoglądał w milczeniu, trząsł głową, jak gdyby szukał jakiejś myśli, nareszcie rzekł:

— Przyrzekłem, że Sara będzie twoja, jeżeli podwoisz powierzone ci pieniądze. Cóżes z nimi uczynił?

— Nie moja wina — odpowiedziałem — jeżeli nieprzewidziany wypadek zniszczył moje zamiary, broniłem twego dobra z narażeniem własnego życia. Możesz obliczyć twoje pieniądze, nic nie straciłeś, owszem, są nawet pewne zyski, o których wszelako nie warto wspominać w porównaniu z tymi, jakie nas oczekiwały.

Tu nagle szczęśliwa myśl przysłała mi do głowy, postanowiłem wszystko od razu rzucić na szalę losu i dodałem:

— Jeżeli jednak chciałeś, aby dzień dzisiejszy był dniem zysku, mogę innym sposobem zapełnić szczerbę.

— Jak to? — zawołał Sedekias. — Rozumiem, że zapewne znowu przez jakieś przedsięwzięcia, które tak udadzą się jak ostatnie.

— Bynajmniej — odpowiedziałem — sam się przekonasz, czyli²⁰⁵ wartość, jaką ci zaofiaruję, jest rzeczywista.

To mówiąc, śpiesznie wybiegłem i po chwili wróciłem, niosąc moją miedzianą skrzynkę pod pachą. Sedekias bacznie na mnie spoglądał, uśmiech nadziei przeleciał na ustach Sary, ja tymczasem otworzyłem skrzynkę, wyjąłem znajdujące się w niej papiery i rozdarszy je na połowę, podałem starcowi. Sedekias w jednej chwili poznał, o co chodziło, ścisnął konwulsyjnie papiery w rękę, wyraz niewypowiedzianego gniewu wybiegł mu na lica, powstał, chciał coś mówić, ale słowa uwięzły mu w piersiach. Los mój miał się rozstrzygnąć, padłem do nóg starcowi i zacząłem oblewać je rzewnymi łzami.

Na ten widok Sara uklękła koło mnie i sama nie wiedząc dlaczego, cała zapłakana jęła całować dziadka po rękach. Starzec zwiesił głowę na piersi, tysiące uczuć krzyżowało się w jego duszy, w milczeniu darł papiery na drobne kawałki, wreszcie zerwał się i śpiesznie wyszedł z izby. Zostaliśmy sami, pogrążeni w najboleśniejszej niepewności, ja przyznam się, że straciłem wszelką nadzieję, po tym jednak co zaszło, poznałem, że nie powinienem był dłużej zostawać w domu Sedekiasa. Spojrzałem raz ostatni na zapłakaną Sarę i wyszedłem, gdy nagle ujrzałem w przysionku krzątanie się i ciżbę. Zapytałem o przyczynę, odpowiedziano mi z uśmiechem, że ja mniej od kogokolwiek powinienem był czynić podobne zapytania.

— Wszakżeż to — dodano — Sedekias wydaje za ciebie swoją wnuczkę i kazał, aby czym prędzej pospieszono z przygotowaniem do wesela.

Możecie sobie wyobrazić, jak z rozpaczą od razu przeszedłem do stanu nieopisanego szczęścia. W kilkanaście dni potem pojąłem Sarę za żonę. Brakowało mi tylko, aby przyjaciel uczestniczył w tak świetnej zmianie mego losu; ale Germanus, porwany nauką Proroka Nazarejskiego, należał także do tych, którzy wyrzucali nas z świątyni; pomimo więc przyjaźni, jaką miałem dla niego, musiałem zerwać z nim wszelkie stosunki i odtąd zupełnie straciłem go z oczu.

Po doświadczeniu tylu przeciwności zdawało mi się, że zacznę kosztować spokojnego życia, tym bardziej, że odrzekłem się wekslarstwa, które tak niebezpiecznie dało mi się

²⁰⁵czyli — tu: daw. konstrukcja z partykulą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

już we znaki. Chciałem żyć z mego majątku, aby jednak czasu nie trawić na próżno, postanowiłem wypożyczać pieniądze. W istocie nie zbywało mi na żądających, ciągnąłem znaczne zyski, Sara z każdym dniem coraz więcej uprzyjemniała mi życie, gdy wtem nagły wypadek zmienił dotychczasowy stan rzeczy. Ale słońce już zachodzi, zbliża się dla was godzina spoczynku, mnie zaś wzywa potężne zaklęcie, któremu oprzeć się nie mogę. Jakież dziwne uczucia przejmują moją duszę: miałaby to być koniec moich cierpień? Żegnam was.

To mówiąc, włóczęga znikł w pobliskim wąwozie. Zdziwiły mnie ostatnie jego słowa, zapytałem o znaczenie ich kabalistę.

— Wątpię — odrzekł Uzeda — abyśmy usłyszeli dalszą część przygód Żyda. Łotr ten zwykle, ile razy dochodzi do epoki, w której za znieważenie Proroka skazany został na wieczną pielgrzymkę, znika i już żadna siła nie potrafi go na powrót przywołać. Ostatnie jego wyrazy wcale mnie nie zdziwiły. Od niejakiego czasu sam spostrzegam, że włóczęga znacznie się podstarzał, ale przecież do śmierci go to nie doprowadzi, gdyż w takim razie cóż by stało się z waszym podaniem?

Widząc, że kabalista chce wpaść na drogę uwag, których nie wypadało słuchać prawowiernym katolikom, uciałem dalszą rozmowę, oddaliłem się od reszty towarzystwa i sam wróciłem do mego namiotu.

Niebawem wszyscy powrócili, jednak nie udali się zaraz na spoczynek, gdyż długo jeszcze słyszałem głos Velasqueza rozwijającego przed Rebeką jakieś matematyczne dowodzenie.

DZIEŃ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Nazajutrz Cygan oznajmił nam, że oczekiwał nowego dowozu towarów i dla bezpieczeństwa umyślił jakiś czas w tym miejscu przepędzić. Z przyjemnością przyjęliśmy tę nowinę, niepodobna bowiem było w całym paśmie Sierra Moreny wynaleźć czarowniejsze położenie. Z rana zapiłem się z kilku Cyganami na polowanie w góry, wieczorem zaś wróciwszy, złączyłem się z resztą towarzystwa i słuchałem dalszego opowiadania naczelnika, który zaczął w te słowa:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Wróciłem do Madrytu z Toledem, który szczerze obiecywał sobie wynagrodzić czas stracony w klasztorze kamedułów. Przygody Lopeza Soarez żywo go zajęły, przez drogę opowiedziałem mu bliższe szczegóły, kawaler bacznie im się przysłuchiwał, nareszcie rzekł:

— Wchodząc niejako w nową epokę życia po pokucie, należałoby zacząć je od świadczenia komu dobrego uczynku. Żał mi tego biednego młodzieńca, który bez przyjaciół, znajomych, chory, opuszczony, a do tego zakochany, sam nie wie, jak sobie dać radę w obcym mieście. Avarito, zaprowadzisz mnie do Soareza, być może, że mu się na co przydam.

Zamiar ten ze strony Toleda bynajmniej mnie nie zdziwił, od dawna już bowiem miałem sposobność przekonać się o jego szlachetnym sposobie myślenia i skwapliwości do niesienia pomocy drugim.

W istocie, przyjechawszy do Madrytu, kawaler natychmiast udał się do Soareza. Poszedłem za nim. Zaraz na samym wejściu dziwny nas uderzył widok. Lopez leżał w najgwałtowniejszej gorączce. Oczy miał otwarte, ale nic nie widział, czasami tylko błędny uśmiech przelatywał mu po spiekłych ustach, śnać marzył wtedy o ukochanej Inezie. Tuż przy nim w obszernym krześle siedział Busqueros, ale także nie obejrzał się, nawet gdyśmy wchodzili. Zbliżyłem się do niego i poznałem, że spał. Toledo przystąpił do sprawy nieszczęść biednego Soareza i targnął go za ramię. *Don Roque* ocknął się, przetarł oczy, wytrzeszczył je i zawołał:

— Co widzisz, *señor don Jose* tutaj? Wczoraj miałem zaszczyt spotkać w Prado jaśnie oświeconego księcia Lermę, który pilnie mi się przyglądał, zapewne chciał się ze mną bliżej poznać. Jeżeli jego księżęca moc potrzebuje moich usług, racz *señor* oświadczyć zacnemu swemu bratu, że każdej chwili gotów jestem na jego rozkazy.

Toledo powstrzymał potok słów Busquera, któremu nie przewidywał końca, i zapytał go:

— Nie o to tu teraz chodzi, przyszedłem dowiedzieć się, jak się ma chory i czyli²⁰⁶ czego nie potrzebuje?

— Chory ma się źle — odpowiedział *Don Roque* — przede wszystkim zaś potrzebuje zdrowia, pociechy i ręki pięknej Inezy.

— Co do pierwszego — przerwał Toledo — pójdę natychmiast po lekarza mego brata, który jest jednym z najbieglejszych w Madrycie.

— Co drugiego — dodał Busqueros — nic mu *señor* nie pomożesz, gdyż nie wrócisz życia jego ojcu, względem zaś trzeciego, mogę zapewnić, że nie szczędzę zachodów, aby przyprowadzić ten zamiar do skutku.

— Jak to? — zawołałem. — Umarł ojciec *don Lopeza*?

— Tak jest — odpowiedział Busquero — wnuk tego samego *Iníga Soareza*, który przebywszy wiele mórz, założył dom handlowy w Kadyksie. Chory miał się już daleko lepiej i wkrótce zapewne byłby zupełnie odzyskał siły, gdyby odebrana wiadomość o śmierci sprawcy jego życia nie była go powtórnie rzuciła na łożo. Ponieważ jednak *señor* — mówił dalej Busqueros, zwracając mowę do Toledo — szczerze zajmujesz się losem mego przyjaciela, pozwól, abym ci towarzyszył w wyszukaniu lekarza i zarazem ofiarował moje usługi.

To mówiąc, obaj wyszli, ja zaś sam zostałem przy chorym. Długo wpatrywałem się w blade jego oblicze, na które cierpienia w tak krótkim czasie w zmarszczkach wybiegły i w duchu przeklinałem natręta jako przyczynę wszystkich nieszczęść Soareza. Chory usnął, wstrzymywałem oddech, aby mimowolnym poruszeniem nie przerwać mu chwili spoczynku, gdy wtem zastukano do drzwi. Zniecierpliwiony, wstałem i na palcach pomykając się ku drzwiom poszedłem otworzyć. Spostrzegłem niemłodą już, ale nader przyjemnej postaci kobietę, która widząc, że kładę palec na ustach na znak milczenia, kazała mi, abym wyszedł do niej do sieni.

— Mój młody przyjacielu — rzekła do mnie — nie mógłbyś mi powiedzieć, jak się ma dzisiaj *señor Soarez*?

— Zdaje mi się, że niedobrze — odpowiedziałem — ale w tej chwili usnął i mam nadzieję, że sen go nieco pokrzepi.

— Mówiono mi, że jest mocno cierpiący — ciągnęła dalej nieznajoma — i pewna osoba, która szczerze się nim zajmuje, prosiła mnie, abym sama przekonała się o stanie jego zdrowia. Bądź tak grzeczny i jak się przebudzi, oddaj mu ten bilecik. Jutro przyjdę sama dowiedzieć się, czy mu lepiej.

Przy tych słowach dama znikła, ja zaś schowałem bilecik do kieszeni i wróciłem do izby.

Po chwili wrócił Toledo z lekarzem. Zacny kapłan *Eskulapa* przypomniał mi z postaci doktora *Sangre Moreno*; stanął nad chorym, pokiwał głową, po czym dodał, że w tej chwili za nic nie może ręczyć, że jednak pozostanie przez całą noc przy Soarezie i że nazajutrz będzie w stanie udzielić ostatecznej odpowiedzi. Toledo uścisnął go przyjacielsko, polecił, aby nie szczędził wszelkich starań i wyszliśmy razem, obiecując sobie, każdy w duszy, powrócić nazajutrz ze świtem. W drodze opowiedziałem kawalerowi o odwiedzinach nieznajomej kobiety; wziął ode mnie bilecik i rzekł:

— Jestem pewny, że to jest pismo pięknej Inezy, jutro, jeżeli Soarez będzie zdrowszy, możemy mu je oddać. W istocie rad bym połową życia okupić szczęście tego młodego człowieka, któremu zadałem tyle cierpień. Ale już jest późno, my także po naszej podróży potrzebujemy wypoczynku. Chodź, prześpisz się u mnie.

Z chęcią przyjąłem zaproszenie człowieka, do którego coraz silniej zacząłem się przywiązywać i posiliwszy się wieczną, niebawem twardym snem zasnąłem.

Nazajutrz poszliśmy do Soareza. Po twarzy lekarza poznałem, że sztuka odniosła zwycięstwo nad niemocą. Chory był jeszcze bardzo osłabiony, ale poznał mnie i szczerze powitał. Toledo opowiedział mu, jakim sposobem stał się przyczyną jego potłuczenia, zapewnił, że użyje wszelkich środków, aby mu w przyszłości wynagrodzić doznane boleści i prosił, aby odtąd raczył uważać go za przyjaciela. Soarez wdzięcznie przyjął tę ofia-

²⁰⁶czyli (daw.) — tu: czy aby, czy może. [przypis edytorski]

rę i osłabioną rękę podał kawalerowi. Toledo wyszedł do drugiego pokoju z lekarzem; wtedy, korzystając ze sposobności, oddał Soarezowi bilecik. Słowa w nim zawarte zapewne były najlepszym lekarstwem, gdyż Lopez siadł na łóżku, lzy puściły mu się z oczu, przycisnął pismo do serca i głosem przerywanym łkaniami rzekł:

— Wielki Boże, więc nie opuściłeś mnie, nie jestem przecie sam jeden na świecie. Ineza, moja droga Ineza, nie zapomniała o mnie, ona mnie kocha! Ta zacna pani d'Avaloz sama była, aby dowiadywać się o moje zdrowie.

— Tak jest, *señor* Lopez — odpowiedziałem — ale przez miłość boską, uspokój się, nagłe wzruszenie mogłoby ci zaszkodzić.

Toledo usłyszał ostatnie moje słowa, wszedł więc z lekarzem, który zalecił choremu przede wszystkim spoczynek, przepisał mu chłodzące napoje i obiecawszy powrócić wieczorem, oddalił się. Po chwili drzwi otworzyły się i ujrzeliśmy wchodzącego Busquera.

— Brawo! — zawołał. — Wyśmienicie, nasz chory, jak widzę, jest dziś daleko zdrowszy! Tym lepiej, wkrótce bowiem będziemy musieli rozwinąć całą naszą czynność. W mieście rozchodzi się pogłoska, że córka bankiera w tych dniach wychodzi za mąż za księcia Santa Maura. Niech sobie gadają, co chcą; zobaczymy, kto postawi na swoim. Spotkałem właśnie w gospodzie Pod Żłotym Jeleniem pewnego dworzanina z orszaku księcia i dałem mu lekko uczuć, że nie mieli tu po co przyjeżdżać.

— Bez wątpienia — przerwał Toledo — i ja mniemam, że *señor* Lopez nie powinien tracić nadziei, atoli w takim razie pragnąłbym, abyś waszec nie mieszał się do niczego.

Kawaler wyrzekł te słowa z przyciskiem, *Don* Roque śnać nie śmiał mu nic odpowiedzieć, zauważyłem tylko, że z przyjemnością spoglądał na Toleda żegnającego się w tej chwili z Soarezem.

— Piękne słówka do niczego nas nie doprowadzą — rzekł *don* Roque, gdyśmy zostali sami — tu trzeba działać i to jak najśpieszniej.

Gdy natręt domawiał tych słów, usłyszałem stukanie do drzwi. Domyśliłem się, że pani d'Avaloz, szepnąłem więc do ucha Soarezowi, aby wyprawił Busquera tylnymi drzwiami, ale ten oburzył się na te słowa i rzekł:

— Tu trzeba działać, powtarzam, jeżeli zaś to są odwiedziny mające styczność z główną naszą sprawą, ja muszę być przy nich obecny albo przynajmniej słyszeć całą rozmowę z drugiego pokoju.

Soarez rzucił błagalny wzrok na Busquera, który widząc, że chory mocno sobie nie życzy jego obecności, wszedł do pobocznej izby i ukrył się za drzwiami. Pani d'Avaloz niedługo bawiła, z radością powitała powrót Soareza do zdrowia, zapewniła go, że Ineza nie przestała o nim myśleć ani go kochać, że na jej prośby przysłała go odwiedzić i że na koniec Ineza, niespokojna o niego, dowiedziawszy się o nowym nieszczęściu, jakie nań spadło, postanowiła tego wieczora odwiedzić go z ciotką i słowami pociechy i nadziei dodać mu odwagi do przecierpienia przeciwności losu.

Po odejściu pani d'Avaloz Busqueros wpadł znowu do pokoju i rzekł:

— Co słyszałem? Piękna Ineza chce nas odwiedzić dzisiejszego wieczora. Otóż to jest dopiero prawdziwy dowód miłości. Biedna dziewczyna nie myśli nawet, że tym nierozważnym postępkim może zgubić się na wieki, ale my tu za nią pomyślimy. *Señor don* Lopez, biegnę do moich przyjaciół, rozstawię ich na czatach i każę, aby nikogo z obcych nie wpuszczali do domu. Bądź spokojny, ja całą sprawę biorę na siebie.

Soarez chciał mu coś odpowiedzieć, ale *don* Roque wyskoczył jak oparzony. Widząc, że zanoszą się na nową burzę i że Busqueros znowu zamyslał wypłatać jakiego figla, nie mówiąc ani słowa choremu, pobiegłem czym prędzej do Toleda i opowiedziałem mu wszystko, co zaszło. Kawaler zachmurzył czoło, zamyslił się i kazał, abym wrócił do Soareza i zapewnił go, że użyje wszelkich środków dla zapobieżenia niedorzecznościom natręta. Wieczorem usłyszeliśmy turkot zatrzymującego się powozu. Po chwili weszła Ineza ze swoją ciotką. Nie chcąc także być natrętny, cichaczem wysunąłem się za drzwi, gdy wtem z dołu doszedł mnie hałas. Zbiegłem i ujrzałem Toleda wiodącego żywą sprzeczkę z jakimś nieznajomym.

— Mości panie — mówił cudzoziemiec — zaręczam panu, że potrafię tu wejść. Moja narzeczona naznacza sobie w tym domu schadzki miłosne z jakimś mieszczaninem z Kadyksu, wiem o tym z pewnością. Przyjaciół tego niegodziwca Pod Żłotym Jeleniem w obecności marszałka mego dworu werbował jakichś urwiszów, którzy mieli mu dopomagać w pilnowaniu, ażeby kto nie spłoszył pary gołąbków.

— Przebacz, *señor* — odpowiedział Toledo — ale żadnym sposobem nie mogę pozwolić ci wejść do tego domu. Nie zaprzeczam, że przed chwilą weszła tu młoda kobieta, ale jest to jedna z moich krewnych, której nikomu ubliżyć nie dozwolę.

— Kłamstwo — krzyknął nieznajomy — kobieta ta jest Inezą Moro i moją narzeczoną.

— *Señor* nazwałeś mnie kłamcą — rzekł Toledo. — Nie wnikiem, czy masz słuszność czy też nie, ale ubliżyłeś mi i zanim krok stąd postąpisz, raczysz dać mi zadośćuczynienie. Jestem kawaler Toledo, syn księcia Lermy.

Nieznajomy uchylił kapelusza i odparł:

— Książę Santa Maura gotów jest na twoje, *señor*, rozkazy.

To mówiąc, odrzucił płaszcz i dobył szpady. Latarnia zawieszona nad drzwiami rzucała blade światło na walczących, ja przytulilem się do ściany, oczekując końca tej nieszczęsnej przygody. Nagle książę wypuścił szpadę z ręki, schwycił się za piersi i padł jak długi. W tej chwili, jak na szczęście, lekarz księcia Lermy przychodził odwiedzić Soareza. Toledo przyprowadził go do księcia i z niespokojnością zapytał, czy rana jest śmiertelna.

— Bynajmniej — odrzekł lekarz — kaźcie go tylko jak najspieszniej przenieść do domu i opatrzyć, za kilkanaście dni będzie zdrow, spada wcale nie tknęła płuc. — To mówiąc, podał rannemu orzeźwiający sok, Santa Maura otworzył oczy, wtedy kawaler przystąpił do niego i rzekł:

— Mości książę, nie myliłeś się, piękna Ineza jest tutaj, u młodego człowieka, którego kocha nad życie. Po tym co pomiędzy nami zaszło, sądzę, że wasza książęca mość jesteście zbyt szlachetny, abys chciał zmuszać młodą dziewczynę do zawarcia związku przeciwnego jej sercu.

— *Señor* kawalerze — odparł słabym głosem Santa Maura — nie godzi mi się powątpiewać o prawdzie słów twoich, wszelako dziwi mnie, że piękna Ineza sama nie uprzedziła mnie, iż serce jej nie jest już wolne. Kilka słów z jej ust lub kilka liter jej ręką napisanych...

Książę chciał mówić dalej, ale powtórnie omdlał, odniesiono go do domu, Toledo zaś pobiegł na górę donieść Inezie, czego wymagał jej zalotnik dla zostawienia jej w spokoju i zrzeczenia się jej ręki. Cóż mam wam więcej powiedzieć, sami domyślcie się końca przygody. Soarez, zapewniony o miłości kochanki, szybko powracał do zdrowia. Stracił ojca, ale natomiast pozyskał przyjaciela i żonę, ojciec bowiem Inezy, niepodzielający nigdy nienawiści, jaką pałał ku niemu nieboszczyk Gaspar Soarez, z chęcią zezwolił na ich połączenie. Państwo młodzi natychmiast po ślubie wyjechali do Kadyksu. Busqueros odprowadzał ich o kilka mil za Madryt i potrafił wyłudzić od nowożeńca za mniemane przysługi kieszę złota. Co do mnie, sądziłem, że los nigdy nie zetknie mnie już z nieznośnym natrętem, do którego czulem niewymowną odrazę, ale tymczasem inaczej się stało.

Od pewnego czasu zauważyłem, że *don* Roque wspomina nazwisko mego ojca. Przewidywałem, że znajomość ta nie może być dla nas korzystna, zacząłem więc śledzić każdy jego krok i dowiedziałem się, że Busqueros miał krewną nazwiskiem Gita Ciminto, którą chciał koniecznie wydać za mego ojca, wiedząc, że *don* Avadoro jest człowiekiem mającym, może nawet bogatszym, niż powszechnie sądzono.

W istocie, piękna Gita zajmowała już mieszkanie w domu naprzeciwko Ciasnej Uliczki, na którą wychodził balkon mego ojca.

Ciotka moja była już naówczas w Madrycie. Nie mogłem wytrzymać, aby jej nie uściśkać. Zaczyna pani Dalanosa, widząc mnie, rozczuliła się do łez, wszelako zaklinała mnie, abym się nie pokazywał na świat, dopóki czas mojej pokuty nie upłynie. Opowiedziałem jej zamiary Busquera. Uznała, że należało koniecznie je zniweczyć i udała się po radę do swego wuja, szanownego teatyna Gronimo Santeza, ale ten stanowczo odmówił jej swojej pomocy, utrzymując, że zakonnik nie powinien wdawać się w sprawy światowe, że wtedy tylko miesza się do spraw rodziny, gdy chodzi o pogodzenie zwaśnionych lub zapobieżenie zgorzeniu, o wszystkich zaś wypadkach innego rodzaju wcale nie chce słyszeć. Zdany tylko na własne środki, chciałem zwierzyć się kawalerowi; ale wtedy musiałbym powiedzieć mu, kim jestem, czego bez przekroczenia zasad honoru w żaden sposób nie mogłem uczynić. Tymczasem więc jałem pilnie uważać na Busquera, który po odjeździe Soareza przyczepił się do Toledo, wszelako z daleko mniejszą natarczywością i codziennie z rana przychodził pytać się czy nie potrzebuje jego usług.

Gdy Cygan domawiał tych słów, jeden z jego bandy przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności i już go tego dnia więcej nie widzieliśmy.

DZIEŃ CZTERDZIESTY ÓSMY

Nazajutrz, gdy zebraliśmy się razem, Cygan, ulegając powszechnym naleganiom, tak dalej jął rozpowiadać:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Lopez Soarez już od piętnastu dni był szczęśliwym małżonkiem zachwycającej Inezy, Busqueros zaś dokonawszy, jak mu się zdawało, tego ważnego przedsięwzięcia, przypiął się do Toledo. Uprowadził kawalera o natręctwie jego satelity, ale *don Roque* sam czuł dobrze, że tym razem należało być przezorniejszym. Toledo pozwolił mu przychodzić do siebie, i Busqueros wiedział, że dla zachowania tego prawa nie należało go nadużywać.

Pewnego dnia kawaler zapytał go, co znaczyła jakaś miłostka, której książe d'Arcos przez tyle lat się oddawał, i czy w istocie kobieta owa była tak zachwycająca, że książe tak długo się w niej kochał.

Busqueros przybrał poważny wyraz twarzy i rzekł:

— Wasza wielmożność jest bez wątpienia silnie przekonany o moim poświęceniu, kiedy raczy pytać mnie o tajemnice dawnego mego opiekuna. Z drugiej strony szcycę się na tyle bliską znajomością waszej wielmożności i jestem pewien, że pewna lekkość, jaką spostrzegłem w obejściu jego z kobietami, bynajmniej nie będzie do mnie się stosowała i że wasza wielmożność wydaniem tajemnicy nie zechce narazić swego wiernego sługi.

— Mości Busqueros — odparł kawaler — wcale nie prosiłem cię o panegiryk.

— Wiem o tym — rzekł Busqueros — ale panegiryk waszej wielmożności zawsze znajduje się na ustach tych, którzy mają zaszczyt ściślejszych z nim stosunków. Historię najlaskawiej przez waszą wielmożność wspomnianą opowiadałem już młodemu negocjantowi, którego przed niedawnym czasem połączyliśmy z piękną Inezą.

— Ale nie skończyłeś jej. Lopez Soarez powtórzył ją przed małym Avarito, który mnie z nią zapoznał. Stanąłeś na tym, gdy Frasqueta opowiedziała ci swoją historię w ogrodzie, książe d'Arcos zaś, przebrany za jej przyjaciółkę, zbliżył się do ciebie i rzekł, że chodzi mu o przyspieszenie wyjazdu Cornadeza i że chce, aby ten nie poprzestał na pielgrzymce, lecz aby przez jakiś czas odpokutował w jednym ze świętych miejsc.

— Wasza wielmożność — przerwał Busqueros — ma zadziwiającą pamięć. W istocie tymi słowy odezwał się do mnie jaśnie oświecony książe, ponieważ jednak historia żony jest już waszej wielmożności znajoma, wypada w koniecznym porządku, abym przystąpił do historii męża i opowiedział, jakim sposobem ten zawarł znajomość ze straszliwym pielgrzymem, nazwiskiem Hervas.

Toledo zasiadł i dodał, że zazdrości księciu takiej kochanki, jaką była Frasqueta, że lubił zawsze zuchwałę kobiety i że ta przewyższała pod tym względem wszystkie, jakie dotąd znał. Busqueros uśmiechnął się dwuznacznie, po czym tak zaczął mówić.

Historia Cornadeza

Małżonek ten, którego nazwisko mogłoby służyć wielu znajdującym się w jego stanie²⁰⁷, był synem mieszczanina z Salamanki. Długo w jednym z niższych biur zajmował jakiś podrzędny urząd, przy czym trudnił się hurtownym handlem materiałów aptecznych. Następnie odziedziczył niespodziewany spadek i postanowił, zwyczajem większej części jego rodaków, oddać się wyłącznie próżniactwu. Całe zatrudnienie jego polegało na uczęszczaniu do kościołów, miejsc publicznych i paleniu cygar.

Wasza wielmożność powie zapewne, że Cornadez, z tak wyłącznym upodobaniem do spokojności, nie powinien był żenić się z pierwszą lepszą swawolnicą, która stroiła mu miny przez okno; ale właśnie na tym polega wielka zagadka serca ludzkiego. Któż z nas czyni to, czego sam żąda? Jeden całe szczęście upatruje w małżeństwie, przez całe życie myśli tylko nad wyborem i umiera nareszcie w bezżeństwie; drugi przysięga nigdy się nie

²⁰⁷ *Małżonek ten, którego nazwisko mogłoby służyć wielu znajdującym się w jego stanie* — Cornadez, aluzyjnie: rogać. [przypis edytorski]

żenić, pomimo to bierze jedną żonę po drugiej. Takim sposobem i nasz Cornadez ożenił się; z początku szczęście jego było nie do opisania, niebawem jednak począł żalować, zwłaszcza gdy ujrzał, że mu siedział na karku nie tylko hrabia Peña Flor, ale nadto cień jego, który na męczarnie nieszczęsnego męża wymknął się z piekiel. Cornadez zesmutniał i nie odzywał się do nikogo. Wkrótce kazał przenieść swoje łóżko do gabinetu, gdzie stały kłęcznik i kropielnica. w dzień rzadko kiedy widywał żonę i częściej niż kiedykolwiek chodził do kościoła.

Pewnego dnia stanął obok jakiegoś pielgrzyma, który wlepił weń tak przerażający wzrok, że Cornadez w najwyższej niespokojności musiał wyjść z kościoła. Wieczorem znowu spotkał go na przechadzce i odtąd zawsze i wszędzie go spotykał. Gdziekolwiek się ruszał, bystry i przenikliwy wzrok pielgrzyma do głębi go przejmował. Nareszcie Cornadez, przewyciężając wrodzoną mu bojaźliwość, rzekł:

— Mości panie, oskarżę cię przed alka-dem, jeżeli nie przestaniesz mnie prześladować.

— Prześladować! Prześladować? — odparł pielgrzym ponurym i grobowym głosem. — W istocie prześladowają cię, ale twoje sto dublonów dane za głowę i zamordowany człowiek, który umarł bez sakramentów. Cóż? Czy nie zgadłem?

— Kto jesteś? — zapytał Cornadez, zdjęty strachem.

— Jestem potępioncem — odparł pielgrzym — ale ufam w miłosierdziu bożym. Czy słyszałeś kiedy o uczonym Hervasie?

— Obiła mi się o uszy jego historia — rzekł Cornadez. — Był to bezbożnik, który smutnie skończył.

— Ten sam właśnie — rzekł pielgrzym. — Jestem jego synem, od przyjscia na świat naznaczonym piętnem potępienia, ale w zamian udzielona mi została władza odkrywania występków na czole grzesznika i sprowadzania go na drogę zbawienia. Chodź za mną, nieszczęsna igraszko szatana, dam ci się bliżej poznać.

Pielgrzym zaprowadził Cornadeza do ogrodu ojców celestynów i usiadłszy z nim na ławce w najbardziej odosobnionym miejscu przechadzki, tak mu jął rozpowiadać.

Historia Diega Hervasa, opowiadana przez syna jego, Potępionego Pielgrzyma

Nazywam się Błażej Hervas. Ojciec mój, Diego Hervas, wcześniej wysłany na uniwersytet w Salamance, niebawem odznaczył się szczególniejszym zapalem do nauk. Wkrótce daleko zostawił za sobą swoich współzawodników, w kilka zaś lat więcej umiał od wszystkich profesorów. Natenczas, zamknąwszy się w swojej izdebce z dziełami pierwszych mistrzów we wszystkich naukach, powziął pochlebną nadzieję osiągnięcia tejsze samej sławy i postawienia kiedyś na równi z nimi swego nazwiska.

Do tej żądy, jak widzisz, wcale nieumiarkowanej, Diego inną jeszcze przyłączył. Chciał bezimiennie wydawać dzieła i dopiero po uznaniu powszechnym ich wartości, ujawnić swoje nazwisko i otoczyć się blaskiem sławy. Tymi zamiarami zajęty, osądził, że Salamanka nie jest widnokregiem, na którym by wspaniała gwiazda jego przeznaczenia mogła roztoczyć dość promieniste światło, zwrócił więc swoje spojrzenia ku stolicy. Tam bez wątpienia ludzie odznaczający się geniuszem używali należnego im szacunku, holdów ogółu, zaufania ministrów, a nawet łaski królewskiej.

Diego wyobraził sobie, że tylko stolica mogła dostatecznie ocenić jego znakomite zdolności. Młody nasz uczyony miał przed oczyma geometrię Kartezjusza²⁰⁸, analizę Har-

²⁰⁸ *Kartezjusz* — René Descartes (1596–1650), francuski fizyk, matematyk i filozof, prekursor europejskiej filozofii nowożytnej. W swoich rozważaniach wyszedł z założenia, że wobec każdego stwierdzenia możliwe jest sformułowanie twierdzenia przeciwnego. W wątpliwość nie można poddać tylko samego wątpienia, które jest aktem myśli, zatem musi istnieć też ktoś, kto te myśli formuluje: *dubito ergo cogito ergo sum* (łac.: wątpię, więc myślę, więc jestem). Posługując się metodą dedukcji, zbudował najważniejszy od czasów Arystotelesa system filozoficzny, zawarty w jego *Rozprawie o metodzie* (*Discours de la Méthode*, 1637); prezentował w tym dziele racjonalizm i skrajny sceptycyzm; głosił dualizm filozoficzny, tj. istnienie dwóch rodzajów substancji: fizycznej (materia, ciało) i duchowej (duch). Esej *Geometria* (*La Géométrie*) stanowił część pierwszego wyd. *Rozprawy o Metodzie*, później publikowany osobno i traktowany jako odrębny traktat. [przypis edytorski]

riota²⁰⁹, dzieła Fermata²¹⁰ i Roberval²¹¹. Spostrzegł jasno, że wielcy ci geniusze, otwierając drogę nauki, postępowali przecie niepewnym krokiem. Zebrał razem wszystkie ich odkrycia, dołączył wnioski, o jakich dotąd nie pomyślano i przedstawił uproszczenia do używanych naówczas logarytmów. Hervas przeszło rok pracował nad swoim dziełem. Powszechnie książki o geometrii pisano po łacinie. Hervas, dla łatwiejszego upowszechnienia, napisał swoją po hiszpańsku, dla zaostrzenia zaś ogólnej ciekawości nadał jej tytuł: *Odsłonięte tajemnice analizy wraz z wiadomością o nieskończoności w każdym wymiarze*.

Gdy rękopis był już ukończony, mój ojciec właśnie wychodził z małoletności i otrzymał w tym względzie uwiadomienie od swoich opiekunów. Panowie ci oświadczyli mu zarazem, że jego majątek, który z początku zdawał się składać z ośmiu tysięcy pistołów, z powodu wielu nieprzewidzianych wypadków zszedł na osiemset, które po urzędowym zakwitowaniu z opieki natychmiast mu będą wręczone. Hervas obliczył, że właśnie potrzebował ośmiuset pistołów na wydrukowanie swego rękopisu. Czym prędzej więc podpisał pokwitowanie z opieki, odebrał swoją sumę i podał rękopis do cenzury. Cenzorowie z wydziału teologicznego zaczęli stawiać niektóre trudności, ponieważ analiza nieskończenie małych wielkości zdawała się sprowadzać do atomów Epikura, którą to naukę kościół surowo potępiał. Wytłumaczono im, że tu chodziło o ilości oderwane, nie zaś o cząstki materialne, i cofnęli zaskarżenie.

Z cenzury dzieło przeszło do drukarza. Był to wielki tom *in quarto*, do którego trzeba było ułać nowe czcionki algebraiczne, a nawet powiększyć jedną prasę. Tym sposobem wydanie 1000 egzemplarzy kosztowało siedemset pistołów. Hervas tym chętniej je poświęcił, że spodziewał się za każdy egzemplarz dostać trzy pistole, co mu zapowiadało 2300 pistołów czystego zysku. Aczkolwiek Hervas nie uganiał się za zyskiem, atoli bez pewnej przyjemności myślał o zebraniu sobie okrągłej sumki.

Druk zajął sześć miesięcy, Hervas sam zajął się korektą, i nudna ta praca więcej mu zabrała czasu aniżeli sam układ dzieła. Nareszcie największy wóz, jaki można było znaleźć w Salamance, przywiózł do jego mieszkania ciężkie paki, na których zasadzał terazniejszą chwałę i przyszłą nieśmiertelność.

Nazajutrz, Hervas upojony radością i nadzieją, osiem mułów objuczył swoim dziełem, sam wsiadł na dziewiątego i ruszył drogą do Madrytu. Przybywszy do stolicy, zsiadł przed księgarzem Moreno i rzekł mu:

— Mości Moreno, te osiem mułów, przywiozło dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć egzemplarzy dzieła, którego mam zaszczyt wręczyć ci tysiączny. Sto egzemplarzy możesz pan sprzedać na własną korzyść, z pozostałych zaś zdasz mi rachunek. Pochlebiam sobie, że wydanie w przeciągu kilku tygodni będzie wyczerpane i że będę mógł przedsięwziąć drugie, do którego dodam pewne objaśnienia, jakie podczas druku przyszły mi do głowy.

Moreno zdawał się powątpiewać o tak szybkiej sprzedaży, ale widząc potwierdzenie cenzorów z Salamanki, przyjął paki do swego magazynu i wystawił w oknach kilka egzemplarzy na sprzedaż.

Hervas wprowadził się do gospody i nie tracąc czasu, natychmiast zajął się objaśnieniami, które chciał przyłączyć do drugiego wydania. Po upływie trzech tygodni nasz geometra osądził, że czas był udać się do Morena po pieniądze za sprzedane książki i że przynajmniej z tysiąc pistołów przyniesie do domu.

Poszedł więc i z niesłychanym zmartwieniem dowiedział się, że dotąd nie sprzedano ani jednego egzemplarza. Wkrótce jeszcze dotkliwszy cios ugodził węć, wróciwszy bowiem do gospody, zastał nadwornego alguacila, który kazał mu wsiąść do zamkniętego powozu i zawiózł do Wieży Segowskiej.

²⁰⁹ *Harriot, Thomas* (ok. 1560–1621) — astronom, matematyk i etnograf ang., odkrywca komety zw. później kometa Halleya, na podstawie obserwacji prowadzonych z pomocą lunety wykonał pierwszą mapę Księżyca, prowadził obserwację plam na Słońcu, niezależnie od Galileusza odkrył księżyc Jowisza, w 1601 r. odkrył prawo załamania światła, zajmował się także mechaniką (m.in. wyznaczał ciężary właściwe ciał) i matematyką (m.in. wielomianami). [przypis edytorski]

²¹⁰ *Fermat, Pierre de* (1601–1665) — prawnik i matematyk-amator fr., z wykształcenia lingwista; zajmował się teorią liczb, równoległe z Kartezjuszem wprowadził prostokątny układ współrzędnych, zw. kartezjańskim; za życia nie publikował swoich prac. [przypis edytorski]

²¹¹ *Roberval, Gilles de* (1602–1675) — matematyk fr., profesor na Collège de France, zajmował się gł. geometrią. [przypis edytorski]

Dziwne wydaje się, że postępowano z geometrą jak gdyby z więźniem stanu, ale przyczyna tego była następująca: egzemplarze wystawione w oknie u Morena, wpadły wkrótce w ręce kilku ciekawców uczęszczających do jego sklepu. Jeden z nich, przeczytawszy tytuł: *Odsłonięta tajemnice analizy*, rzekł, że musi to być jakiś paszkwil przeciw rządowi; drugi, przypatrzwszy się bacznie tytułowi, dodał ze złośliwym uśmiechem, że niezawodnie była to satyra na *don Pedra Alanyez*, ministra skarbu, gdyż *analiza* to anagram nazwiska *Alanyez*, następna zaś część tytułu „o nieskończonościach w każdym wymiarze”, wyraźnie stosuje się do tego ministra, który w istocie materialnie był nieskończenie mały, nieskończenie gruby, moralnie zaś nieskończenie wyniosły i nieskończenie poziomy. Łatwo wnieść z tego żartu, że niektórym przesiadującym u Morena wolno było wszystko mówić i że rząd przez szpary patrzył na ich często ostre przygryzki.

Ci, którzy dobrze znają Madryt, wiedzą, do jakiego stopnia lud w tym mieście jest wykształcony, że zajmują go te same wypadki, co i klasę wyższą, że podziela z nią te same zdania i że dowcipy z wielkiego świata niebawem i pomiędzy nim krążą. To samo stało się z przycinkami wylęglymi w sklepie Morena. Wkrótce wszyscy balwierze, a za nimi i cały lud nauczył się ich na pamięć. Odtąd nie nazywano inaczej ministra Alanyeza jak señorem „Analizą nieskończoności w każdym wymiarze”. Dygnitarz ten dość się już był przyzwyczaił do wstrętu, jaki wzbudzał w ludzie i bynajmniej nań nie zważał, ale uderzony często powtarzanym przydomkiem, zapytał pewnego razu swego sekretarza o wytłumaczenie. Ten odpowiedział, że początek temu żartowi dała pewna matematyczna książka którą sprzedawano u Morena. Minister, nie wchodząc w bliższe szczegóły, kazał naprzód uwięzić autora, następnie skonfiskować wydanie.

Hervas, nie znając powodu swej kary, zamknięty w Wieży Segowskiej, pozbawiony piór i papieru, nie wiedząc, kiedy go wypuszczą na wolność, postanowił dla uprzyjemnienia nudów przypomnieć sobie w umyśle wszystkie swoje wiadomości, czyli przywieść sobie na pamięć wszystko, co umiał z każdej nauki. Natenczas z wielkim zadowoleniem spostrzegł, że rzeczywiście objął cały obszar wiedzy ludzkiej i że byłby mógł, jako niegdyś Pico della Mirandola podolać dyspacie *de omni scibili*.

Hervas, zapalony żądzą wslawienia swego nazwiska w uczonym świecie, zamierzył napisać dzieło w stu tomach, które miało zawierać wszystko, co ludzie w jego czasie wiedzieli. Chciał wydać je bezimiennie. Publiczność bez wątpienia byłaby myślała, że dzieło to musiało być utworem jakiego naukowego towarzystwa, wtedy Hervas chciał ujawnić swoje nazwisko i od razu pozyskać sławę i zaszczyty wszechstronnego mędrca. Trzeba wyznać, że siły jego umysłu dość odpowiadały temu olbrzymiemu zamiarowi. Sam czuł to bardzo dobrze i całą duszą oddał się zamiarowi, który pochlebiał dwóm namiętnościom jego duszy: miłości do nauk i miłości własnej.

Sześć tygodni szybko tym sposobem ubiegło Hervasowi; po upływie tego czasu nadzorca więzienia zawezwał go do siebie. Zastał tam pierwszego sekretarza ministra skarbu. Człowiek ten skłonił się przed nim z pewnym rodzajem poszanowania i rzekł:

— *Don Diego*, chciałeś wejść w świat bez żadnego opiekuna i w tym całkiem niedorzecznie sobie postąpiłeś, gdyż oskarżono cię i nikt nie stanął w twojej obronie. Zarzucają ci, że wystosowałeś przeciw ministrowi skarbu twoją analizę nieskończoności w każdym wymiarze. *Don Pedro*, słusznie rozgniewany, rozkazał spalić całe wydanie twego dzieła; ale poprzestając na tym zadośćuczynieniu, raczy ci przebaczyć i ofiaruje ci w swoim biurze miejsce *contadora*²¹². Będziesz miał sobie powierzone pewne rachunki, których zagmatwanie czasami wprawia nas w kłopot. Wyjdź z tego więzienia, do którego nigdy już więcej nie powrócisz.

Hervas z początku wpadł w smutek, dowiedziawszy się, że mu spalono dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć egzemplarzy jego dzieła; ale ponieważ na czym innym zasadał swoją sławę, wkrótce zatem pocieszył się i poszedł zająć ofiarowane mu miejsce.

Tam podano mu bilanse roczne, rachunki zamiany pieniędzy i inne tym podobne wyrachowania, które uskutecznił z niewypowiedzianą łatwością i pozyskał szacunek swoich naczelników.

Wyplacono mu naprzód pensję za cztery miesiące i dano mieszkanie w domu przyległym do ministerium.

²¹²*contador* (hiszp.) — księgowy. [przypis edytorski]

Gdy Cygan domawiał tych słów, odwołano go dla spraw hordy, musieliśmy więc do następnej doby odłożyć zaspokojenie naszej niecierpliwości.

DZIEŃ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Zebraliśmy się wcześniej w jaskini; Rebeka uczyniła uwagę, że Busqueros z wielką zręcznością ułożył swoje opowiadanie.

— Zwyczajny intrygant — mówiła — byłby wprowadził widma okryte całunami dla przestraszenia Cornadeza, które byłyby wywarły nań przelotne wrażenie i ustąpiły po kilku chwilach rozważań. Tymczasem on odmiennie postępuje i stara się tylko wpłynąć nań swoim słowem. Wszyscy znają historię ateusza Hervas. Jezuita Granada podał ją w przypiskach do swego dzieła. Potępiony pielgrzym udaje, że jest jego synem dla tym pewniejszego przepelniania zgrozą duszy Cornadeza.

— Zbyt pośpieszasz się z twoim sądem — odrzekł stary naczelnik. — Pielgrzym mógł w istocie być synem ateusza Hervas i nie ma wątplenia, że tego, co mówi, nie znajduje się w legendzie, o jakiej wspominasz, gdzie zaledwie napotykalmy niektóre szczegóły o jego śmierci. Ale racz cierpliwie wysłuchać tej historii aż do końca.

Dalszy ciąg historii Diega Hervas, opowiadany przez syna jego, Potępionego Pielgrzyma

Powrócono więc Hervasowi wolność i zapewniono mu środki do życia. Praca, jakiej wymagano od niego, zajmowała mu zaledwie kilka godzin z rana, mógł zatem swobodnie oddać się wykonaniu swego zamiaru, na który miał wyżyć wszystkie siły swego geniuszu, by doznać rozkoszy niezmiernej wiedzy. Nasz chciwy sławy poligraf postanowił o każdej nauce napisać jeden tom *in octavo*. Uważając, że słowo jest szczególną właściwością człowieka, pierwszy tom poświęcił gramatyce uniwersalnej. Wyłożył w nim niesłychanie urozmaicone, wyrafinowane składy gramatyczne, za pomocą których w każdym języku wyrażono rozmaite części mowy i nadawano rozmaite kształty pierwszym elementom myśli.

Następnie z myśli wewnętrznej człowieka przechodząc do pojęć, jakie mu otaczające go przedmioty nastręczają, Hervas, poświęcił 2. tom historii naturalnej w ogólności, 3. zoologii, czyli nauce o zwierzętach, 4. ornitologii, czyli znajomości ptaków, 5. ichtiologii, czyli nauce o rybach, 6. entomologii, to jest nauce o owadach, 7. nauce o skorupiakach, 8. konchologii, czyli znajomości muszeli, 9. botanice, 10. geologii, to jest nauce o składzie ziemi, 11. litologii, czyli nauce o kamieniach, 12. oryktologii albo nauce o fosyliach²¹³, 13. metalurgii, sztuce wydobywania i przetapiania kruszców, 14. dokimastyce, to jest sztuce próbowania tychże kruszców, 15. tom, sprowadzając człowieka do siebie samego, obejmował fizjologię, czyli naukę o ciele ludzkim, 16. anatomię, 17. zawierał miologię, to jest naukę o mięśniach, 18. osteologię, 19. neurologię, 20. flebologię²¹⁴, to jest znajomość chorób systemu żylnego.

Tom 21. diagnozie, 22. poświęcił okulistyce, 23. dentystryce, 24. sztuce położniczej, 25. symptomatyce, czyli znajomości objawów chorobowych, 26. klinice, to jest nauce postępowania z obłożnie chorymi, 27. terapeutyce, czyli sztuce uzdrawiania (najtrudniejszej ze wszystkich), 28. dietetyce albo znajomości sposobów żywienia, 29. higienie, to jest sztuce zachowywania zdrowia, 30. chirurgii, 31. farmaceutyce, 32. weterynarii.

Dalej następował 33. tom zawierający fizykę ogólną, 34. fizykę właściwą, 35. fizykę eksperymentalną, 36. meteorologię, 37. chemię, a następnie błędne nauki, do jakich ta doprowadziła, mianowicie zaś: 38. tom o alchemii i 39. o filozofii hermetycznej.

Po tych naukach przyrodniczych następowały inne, wynikające ze stanu wojny, o którym sądzą, że także jest przyrodzony człowiekowi, stąd też 40. tom zawierał strategię, czyli sztukę wojowania, 41. kastrametację, to jest sztukę zakładania obozów, 42. naukę o fortyfikacjach, 43. wojnę podziemną, czyli naukę o minach i podkopywaniu się, 44. pirotechnikę, to jest naukę o artylerii, 45. balistykę, czyli sztukę miotania ciał ciężkich.

²¹³*fosylia* — szczątki organizmów z minionych epok geologicznych, a także ślady ich działalności zachowane w skałach. [przypis edytorski]

²¹⁴*flebologia* (z gr. φλέψ, φλεβός; *pblebos*: żyła) — nauka o układzie żylnym. [przypis edytorski]

Wprawdzie artyleria usunęła ostatnią tę umiejętność, ale Hervas, że tak powiem, wskrzesił ją uczonymi badaniami nad maszynami miotającymi, sztuką wysoko cenioną w starożytności.

Przechodząc do sztuk uprawianych w pokoju, Hervas poświęcił 46. tom budownictwu lądowemu, 47. budownictwu morskemu, 48. kupiectwu i przemysłowi, a 49. żegludze.

Po czym Hervas, rozważając człowieka jako jednostkę wchodzącą w skład społeczeństwa, w 50. tomie umieścił prawodawstwo, w 51. prawo cywilne, w 52. prawo kryminalne, w 53. prawo polityczne, w 54. historię, w 55. mitologię, w 56. chronologię, w 57. biografię, w 58. archeologię, czyli znajomość starożytności, w 59. numizmatykę, w 60. heraldykę, w 61. dyplomatykę, czyli naukę o nadaniach, ustawach i dokumentach, w 62. dyplomację, czyli naukę o wyprawianiu poselstw i załatwianiu spraw politycznych, w 63. filologię, to jest ogólną znajomość języków i w 64. bibliografię, czyli naukę o rękopisach, książkach i wydaniach.

Następnie Hervas, zwracając się do abstrakcyjnych pojęć umysłowych, poświęcił 65. tom logice, 66. retoryce, 67. etyce, czyli nauce moralnej, 68. estetyce, to jest analizie wrażeń, jakie odbieramy za pomocą zmysłów.

Tom 69. obejmował teozofię, czyli naukę o mądrości boskiej, 70. teologię, 71. dogmatykę, 72. topikę polemiki, czyli umiejętność ogólnych zasad prowadzenia dyskusji, 73. ascetykę, która wyklada teorię o ćwiczeniach pobożnych w najwyższej egsaltacji ducha, 74. egzegezę, czyli wykład ksiąg Pisma świętego, 75. hermeneutykę, która je tłumaczy, 76. scholastykę, która jest sztuką dowodzenia w zupełnej niezależności od zdrowego rozsądku, i 77. teologię mistyki, czyli panteizm spiritualizmu.

Z teologii Hervas może nieco zbyt śmiało przeszedł w 78. tomie do onejromancji, czyli umiejętności wykładania snów. Tom ten należał do najbardziej zajmujących. Hervas wykazywał w nim, jakim sposobem kłamliwe i powierzchowne błędy przez tak długi czas rządziły światem. Przekonujemy się bowiem z dziejów, że sen o siedmiu chudych i siedmiu tłustych krowach zmienił konstytucję Egiptu, którego ziemskie dzierżawy od tej pory stały się własnością monarszą. W pięćset lat potem widzimy Agamemnona opowiadającego swój sen zebrany Grekom. Nareszcie w sześć wieków po zdobyciu Troi wykładali sny Chaldejczycy babilońscy i wyrocznia delficka.

Tom 79. zawierał ornitomancję, czyli sztukę wróżenia z lotu ptaków, używaną zwłaszcza przez wieszczów toskańskich. Seneka przekazał nam wiedzę o niektórych ich obrzędach.

80. tom, uczeńszy od innych, obejmował pierwsze początki magii, sięgając czasów Zoroastra i Ostanesa. Znalazła się w nim historia tej nieszczęsnej nauki, która ze wstydem naszego wieku zboczyła z początku i dotąd nie jest jeszcze zupełnie zarzucona.

Tom 81. poświęcony był kabale i różnym sposobom wróżenia, jako to: rabdomancji, czyli zgadywaniu przyszłości za pomocą pręcików, chiromancji²¹⁵, geomancji²¹⁶, hydromancji²¹⁷ itp.

Ze wszystkich tych obłądów Hervas nagle przechodził do najbardziej niezaprzeczonych prawd, tak więc tom 82. zawierał geometrię, 83. arytmetykę, 84. algebrę, 85. trygonometrię, 86. stereometrię, czyli naukę mierzenia brył z zastosowaniem jej do rżnięcia kamieni, 87. geografii, 88. astronomię wraz z fałszywym jej płodem znanym pod nazwiskiem astrologii.

W 89. umieścił mechanikę, w 90. dynamikę, czyli naukę o siłach działających, w 91. statykę, to jest naukę o siłach martwych zostających w równowadze, w 92. hydraulikę, w 93. hydrostatykę, w 94. hydrodynamikę, w 95. optykę i naukę o perspektywie, w 96. dioptrykę, w 97. katoptrykę, 98. geometrię analityczną, w 99. pierwsze pojęcia o rachunku różniczkowym, nareszcie 100. tom zawierał analizę, która według Hervesa była umiejętnością wszystkich umiejętności i ostatnią granicą, do jakiej mógł przebić się rozum ludzki.

Głęboka znajomość stu rozmaitych nauk mogłaby się komuś wydawać przechodzącą siły umysłowe jednego człowieka. Nie podpada jednak wątpliwości, że Hervas o każdej

²¹⁵chiromancja — wróżenie z dłoni. [przypis edytorski]

²¹⁶geomancja — wróżenie z linii, figur i znaków nakreślonych na ziemi, rozsypanych garści piasku, soli a podobnych substancji oraz z topografii terenu. [przypis edytorski]

²¹⁷hydromancja — wróżenie z wody. [przypis edytorski]

z tych nauk napisał jeden tom, który zaczynał się od historii nauki, a kończył na uwagach pełnych prawdziwej przenikliwości nad sposobami dodania i, że tak powiem, rozszerzania we wszystkich kierunkach granic wiedzy człowieka.

Hervas podolał wszystkiemu dzięki oszczędności czasu i wielkiemu porządkowi w jego rozkładzie. Wstawał równo ze świtem i przygotowywał się do biurowej pracy rozważając działania, jakie umiał skutecznie. Szedł do ministra na pół godziny przed wszystkimi i czekał na uderzenie naznaczonej godziny z piórem w rękę i głową wolną od wszelkich myśli dotyczących się jego wielkiego dzieła. Gdy godzina wybiła, zaczynał swoje rachunki i dokonywał ich z niepojętą szybkością.

Następnie ruszał do księgarza Moreno, którego zaufanie umiał sobie pozyskać, brał książki, których potrzebował i wracał do domu. Po chwili wychodził, aby się czymś posilić, powracał do siebie przed pierwszą godziną i pracował aż do ósmej wieczorem. Po pracy grał w piłkę z ulicznikami, wypijał filiżankę czekolady i szedł spać.

W niedzielę wychodził za miasto i przepędzał dzień na rozmyślaniu i układaniu pracy na następny tydzień. Tym sposobem Hervas mógł rocznie około trzech tysięcy godzin przeznaczyć na dokonanie swego uniwersalnego dzieła, co po piętnastu latach dało sumę czterdziestu pięciu tysięcy godzin. W istocie nadzwyczajna ta praca została ukończona tak, że nikt w Madrycie jej się nie domyślał, Hervas bowiem z nikim się nie wdawał w rozmowy, nikomu o swoim dziele nie wspominał, chcąc nagle świat zadziwić, roztańczając przed nim tak niezmierny obszar wiedzy. Hervas ukończył więc swoje dzieło wraz z trzydziestym dziewiątym rokiem życia i cieszył się, że zacznie czterdziesty, opromieniony już niezwykle urokiem sławy.

Przyzwyczajenie do ciągłej pracy, podtrzymywane nadzieją, było dlań najmilszym towarzystwem, zapełniającym wszystkie chwile jego życia²¹⁸. Teraz stracił to towarzystwo i nuda, której dotąd nie znał, zaczęła mu doskwierać. Stan ten, zupełnie nowy dla Hervas, wyrwał go z dotychczasowego systemu życia.

Przestał szukać samotności; odtąd widywano go we wszystkich publicznych miejscach. Tam zdawał się chcieć wszystkich zaczepiać, ale nie znając nikogo i nie będąc przyzwyczajony do prowadzenia rozmowy, cofał się, nie wyrzekłszy ani słowa. Wszelako pocieszał się tą myślą, że wkrótce cały Madryt pozna go, będzie poszukiwał jego towarzystwa i o nim tylko mówił.

Dręczony żądzą rozrywki, Hervas postanowił odwiedzić swoje rodzinne miejsce, nikczemne miasteczko, które spodziewał się wslawić. Od piętnastu lat za całą zabawę pozwalał sobie tylko grać w piłkę z ulicznikami, teraz obiecywał sobie niewypowiedzianą rozkosz, gdy będzie mógł oddać się tejże rozrywce w miejscu, gdzie spędził pierwsze lata dzieciństwa.

Przed wyjazdem jednak chciał nacieszyć się widokiem swoich stu tomów uporządkowanych na jednym wielkim stole. Posiadał rękopis tego samego rozmiaru, jaki miał wyjść z druku, powierzył go więc introligatorowi. Na grzbiecie każdej książki miał być wypisany tytuł każdej nauki i liczba porządkowa, od pierwszej na *Gramatyce uniwersalnej* aż do setnej na *Analizie*. Po upływie trzech tygodni introligator przyniósł książki, stół zaś był już przygotowany. Hervas ułożył na nim tę znakomitą liczbę książek, zaś pozostałymi notatkami, uwagami i odpisami z radością zapalił w piecu. Następnie zamknął drzwi na klódkę, przyłożył na nich swoją pieczęć i wyjechał do Asturii.

Rzeczywiście widok miejsc rodzinnych napełnił Hervas oczekiwaną rozkoszą, tysiące wspomnień słodkich i niewinnych wyciskało mu łzy z oczu, których źródło, zdawało się, że dwadzieścia lat suchej i mozolnej pracy, zupełnie było wysuszyło. Nasz poligraf byłby chętnie resztę swego życia spędził w rodzinnym miasteczku, ale stutomowe dzieło powoływało go do Madrytu. Rusza więc drogą do stolicy, przybywa do siebie, znajduje nienaruszoną pieczęć na drzwiach, otwiera i spostrzega sto swoich tomów podartych na kawałki, ogołoconych z oprawy, z porozrzuconymi i pomieszanymi kartami na podłodze. Straszny ten widok pomieszał mu zmysły, padł wśród szczątków swego dzieła i postradał uczucie własnego istnienia.

Niestety! Przyczyna tej klęski była następująca: Hervas przedtem nigdy nie jadał w domu, szczury zatem, tak licznie zamieszkujące po innych domach Madrytu, nie mia-

²¹⁸Hervas o każdej z tych nauk napisał jeden tom (...) — Roku 1780 ekszejuita hiszpański nazwiskiem Hervas, wydał w Rzymie dwadzieścia tomów *in quatro*, obejmujących zupełne traktaty o różnych naukach. Pochodził on z rodziny naszego Hervas. [przypis autorski]

ly po co zaglądać do jego mieszkania. Ale inaczej się stało, gdy przyniesiono do izby sto tomów obłożonych świeżym klejem i gdy tego samego dnia właściciel wyniósł się z mieszkania. Szczury, znęcone wonią kleju, zachęczone milczeniem, hurmem się zebrały, poprzewracały, pogryzły i podarły książki. Hervas, wróciwszy do przytomności, spostrzegł, jak jeden z tych potworów ciągnął do swojej nory ostatnie karty jego *Analizy*. Hervas nigdy dotąd nie uniósł się był gniewem, ale teraz nie mógł powstrzymać gwałtownego wybuchu, rzucił się na wydziercę jego geometrii transcendentalnej, uderzył głową o ścianę i powtórnie padł omdlały. Po chwili znowu wrócił do zmysłów, pozbierał szpargały rozproszone po całej izbie i wrzucił je do skrzyni. Po czym usiadł na skrzyni i oddał się najposepniejszym myślom. Niebawem przejął go na wskroś dreszcz i biedny uczony wpadł w nerwową gorączkę połączoną z maligną. Oddano go w ręce lekarzom.

Odwołano Cygana dla spraw jego hordy, odłożył więc do następnego dnia dalsze opowiadanie

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY

Nazajutrz naczelnik, widząc wszystkich zebranych, tak zaczął mówić.

Dalszy ciąg historii Diega Hervasa opowiadany przez syna jego, Potępionego Pielgrzyma

Hervas pozbawiony przez szczury swojej sławy, opuszczony przez lekarzy, znalazł przecie opiekę w dogladającej go w jego chorobie kobiecie. Ta nie szczędziła mu starań i niebawem szczęśliwy kryzys ocalił mu życie. Była to trzydziestoletnia dziewczyna, nazwiskiem Marika, która z litości przyszła się nim opiekować, wynagradzając mu uprzejmość, z jaką czasami wieczorem rozmawiał z jej ojcem, szewcem z sąsiedztwa. Hervas, przyszedłszy do zdrowia, uczuł całą wdzięczność, jaką był jej winien.

— Mariko — rzekł do niej — ocaliłaś mi życie i osiadasz teraz mój powrót do zdrowia. Powiedz, co mogę dla ciebie uczynić?

— Mógłbyś pan uczynić mnie szczęśliwą — odpowiedziała — ale nie śmiem powiedzieć, jakim sposobem.

— Mów — przerwał Hervas — i bądź pewna, że uczynię wszystko, co będzie w mojej możliwości.

— A gdybym — rzekła Marika — prosiła, abys się ze mną ożenił?

— Z największą chęcią, z całego serca — odrzekł Hervas — będziesz mnie żywiła, gdy będę zdrow, będziesz mnie pielęgnowała podczas choroby i obronisz mnie od szczurów, w razie gdybym na jakiś czas wyjechał z domu. Tak jest, Mariko, ożenię się z tobą, kiedy tylko sama zechcesz i im prędzej się to stanie, tym lepiej.

Hervas, nie odzyskawszy jeszcze zupełnie sił, otworzył skrzynię zawierającą szczątki jego encyklopedii. Chciał pozbierać szpargały i wpadł w recydywę, która go mocno osłabiła. Gdy wreszcie wrócił do zdrowia, natychmiast poszedł do ministra skarbu, przedstawił, że pracował przez piętnaście lat i wykształcił uczniów, którzy byli w stanie go zastąpić, że nadwerżył sobie zdrowie i poprosił o uwolnienie go od służby i udzielenie mu dożywotniego wsparcia w wysokości połowy jego płacy. W Hiszpanii ten rodzaj łaski nie jest trudny do otrzymania, Hervas otrzymał, czego żądał, i ożenił się z Mariką.

Wtedy nasz uczony zmienił sposób życia, najął mieszkanie w oddalonej części miasta i postanowił nie ruszyć się z domu, dopóki na powrót nie uzupełni swoich stu tomów. Szczury pogryzły wszystkie papier przyklejony do grzbietu książki i pozostawiały tylko połowy kartek, które były podarte. Wszelako Hervas, obdarzony niesłychaną pamięcią, potrafił powoli dojść do ładu. Tak zajął się powtórным wykończeniem swego dzieła. W tym samym czasie wydał drugie, wcale odmiennego rodzaju. Marika wydała mnie na świat, mnie, Potępionego Pielgrzyma. Ach, niestety, dzień mego urodzenia był zapewne dniem uroczystym w krainach piekielnych, wieczne płomienie tego strasznego miejsca rozgorzały nowym blaskiem i szatany podwoiły męczarnie potępionych, aby tym więcej cieszyć się ich wyciem.

Pielgrzym, domawiając tych słów, zdawał się być pogrążony w głębokiej rozpacz, zalał się łzami i zwracając się do Cornadeza rzekł:

— Nie mam dość siły do dalszego opowiadania dzisiaj. Przyjdź tu jutro o tej samej godzinie i nie waż się uchybić, idzie tu o twoje zbawienie lub zatrąę.

Cornadez wrócił do domu z duszą przepelnioną nowym przestraczem; w nocy nieboszczyk Peña Flor znowu go obudził i liczył mu nad uchem dublony, od pierwszego aż do setnego. Nazajutrz udał się do ogrodu ojców celestynów i zastał tam już Pielgrzyma, który tak dalek mówił:

*

Po przyjściu moim na świat matka moja wkrótce umarła. Hervas znał tylko przyjaźń i miłość z określenia tych dwóch uczuć, jakie umieścił był w 77. tomie swego dzieła. Strata jego małżonki dowiodła mu, że także był stworzony do przyjaźni i miłości. W istocie, tym razem w głębszy wpadł smutek, aniżeli gdy szczury pożarły mu jego stutomowe dzieło. Mały domek Hervasza trząsł się od krzyków, jakimi go napelniałem. Niepodobna było dłużej mnie w nim zostawić. Dziad mój, szewc²¹⁹, przyjął mnie do siebie, uszczęśliwiony, że miał w swoim domu wnuka, który był synem contadora i szlachcica.

Dziad mój, uczciwy rzemieślnik, używał przyzwoitego bytu. Posyłał mnie do szkół, gdy zaś doszedłem szesnastu lat, sprawił mi wykwinny ubiór i pozwolił w szczęśliwym próżniactwie przechadzać się po ulicach Madrytu. Uważał, że był dość wynagrodzony za swoje trudy, gdy mógł powiedzieć *Mio nieto, el hijo del contador*: mój wnuk, syn contadora. Ale pozwól, żebym wrócił do mego ojca i zbyt znanego jego smutnego losu. Oby mógł on posłużyć i za przykład, i za naukę dla bezbożników!

Diego Hervas przez osiem lat naprawiał szkodę zrządzoną mu przez szczury. Dzieło było już prawie ukończone, gdy dzienniki zagraniczne, które wpadły mu w ręce, doniosły mu, że mimo jego wiedzy, nauki tymczasem znacznie były postąpiły. Hervas westchnął nad tym powiększeniem jego pracy, wszelako nie chciał, aby dzieło jego było niezupełne, dodał więc do każdej nauki nowo poczynione odkrycia. Praca ta zajęła mu cztery lata. Tak więc dwanaście lat przepędził, nie wychodząc prawie z domu i wiecznie ślęcząc nad swoim dziełem.

Takowy tryb życia zniszczył jego zdrowie. Dostał boleści w piersiach, paraliżu w krzyżach, kamienia i podagry. Natomiast stutomowa encyklopedia była skończona. Hervas zaprosił do siebie księgarza Moreno, syna tego samego, który niegdyś wystawił na sprzedaż jego nieszczęśliwą *Analizę* i rzekł mu:

— *Señor* Moreno, oto widzisz przed sobą sto tomów, które zawierają w sobie cały obszar wiedzy ludzkiej. Encyklopedia ta przyniesie zaszczyt twemu zakładowi, a nawet, mogę powiedzieć, całej Hiszpanii. Nie żądam żadnej zapłaty za rękopis, racz tylko najlaskawiej wydrukować go, ażeby pamiętna moja praca nie była całkiem stracona.

Moreno przejrzał wszystkie tomy, bacznie im się po kolei przypatrzył i rzekł:

— Chętnie podejmuję się dzieła, ale musisz, *don* Diego, skrócić je do dwudziestu pięciu tomów.

— Zostaw mnie — odparł Hervas z najwyższym oburzeniem — zostaw mnie, wracaj do twego sklepu i drukuj ramoty romantyczne lub głupio uczone, które wstydem okrywają Hiszpanię. Zostaw mnie pan z moim dziełem i moim geniuszem, na którym gdyby się ludzkość umiała poznać, otoczyłaby mnie czcią i poszanowaniem. Ale teraz nic już nie wymagam od ludzi, a tym mniej od księgarzy. Zostaw mnie pan.

Moreno odszedł, Hervas zaś wpadł w niepohamowaną rozpacz. Ciągłe miał przed oczyma swoje sto tomów, dzieci jego geniuszu, poczęte z rozkoszą, wydane z bólem, które opromieniły mu przyszłość nadzieją, a teraz ginęły w falach zapomnienia. Widział, że marnował całe życie i zniszczył byt swój w terażniejszości i przyszłości. Wtedy to umysł jego, wyćwiczony w przenikaniu tajemnic przyrody, na nieszczęście zwrócił się do zgłębiania przepaści nieszczęść ludzkich i im bardziej przemierzał tę głębię, tym widoczniej wszędzie odkrywał tylko zło, nareszcie prócz tego nic więcej nie widział i zawołał w duchu:

²¹⁹*Dziad mój, szewc* — w innym oprac. tegoż tłumaczenia dodano w tym miejscu nazwisko szewca: Marañon. [przypis edytorski]

— Stwórco złego, powiedz mi, kim jesteś?

Wraz sam przeląkł się tej myśli i chciał wysledzić, czy istnienia zła pociągało za sobą konieczność stworzenia. Następnie daleko obszerniej ją zastanawiać się nad tą zagadką. Zwrócił się ku siłom przyrody i przypisał materii energię, która zdawała mu się wszystko tłumaczyć, bez żadnej potrzeby uznania istnienia Stwórcy.

Co się tyczy człowieka i zwierząt, przyznawał początek ich bytu rodzącemu kwasowi, który fermentował w materii, nadawał jej stałe kształty, tak samo prawie jak kwasy krystalizujące zasady alkaliczne i ziemne w mniej więcej podobne do siebie poligony. Uważał materię gąbczastą, wytwarzaną przez wilgotne drzewo, za ogniwo łączące krystalizację fosyliów z utworzeniem roślin i zwierząt, wykazując z nimi jeżeli nie tożsamość, to przynajmniej nader ściśle stosunki.

Hervas, pełen nauki, z łatwością roztoczył fałszywy swój system solistycznych dowodów, zdolny obłąkać mniej dzielne umysły. Tak na przykład znajdował, że muł, należąc do dwóch rodzajów, mógł być przyrównany do soli powstałych z dwóch pomieszanych zasad, których krystalizacja jest mętna i niewyraźna. Reakcja pewnych minerałów z niektórymi kwasami zdawała mu się przypominać fermentację śluzowych roślin. Te zaś uważał za początek życia, które dla braku przyjaznych okoliczności nie mogło dostatecznie się rozwinąć.

Hervas zauważył, że kryształy podczas tworzenia się gromadzą się w najsilniej oświetlonej części naczynia, a z trudnością krystalizują się przy braku światła. Ponieważ zaś światło równie jest przyjazne roślinności, poczytał więc fluid świetlny za jeden z żywiołów, z których składa się kwas uniwersalny ożywiający przyrodę. Z drugiej strony, widział, że światło po pewnym czasie czerwieni papier błękitny, i to był jeszcze jeden powód, że uznał światło za kwas.

Hervas wiedział, że w wysokiej szerokości geograficznej, około biegunów, krew w braku dostatecznego ciepła była wystawiona na zalkalizowanie się i że dla zaradzenia temu stanowi, należało używać kwasów. Z tego wniósł, że kwas mógł pod pewnym względem zastąpić ciepło, że zatem musi ono być rodzajem kwasu lub przynajmniej jednym z żywiołów kwasu uniwersalnego²²⁰.

Hervas wiedział, że grzmoty kwasily wino i powodowały fermentację. Czytał był w Sanchoniatonie²²¹, że na początku świata gwałtowne grzmoty rozbudziły stworzenia powołane do życia, i nieszczęśliwy nasz uczonec nie lękał się oprzeć na tej pogańskiej kosmogonii, by dowieść, że materia piorunu mogła być wprawić w działanie kwas rodzący, nieskończenie rozmaity, ale niezmienny w odtwarzaniu tychże samych kształtów.

Hervas, starając się przeniknąć tajemnicę stworzenia, powinien był odnieść całą sławę do Stwórcy i oby był tak uczynił; ale jego anioł stróż go opuścił i umysł jego, obłąkany pychą wiedzy, rzucił go bezbronemu obłędowi wyniosłych duchów, których upadek pociąga za sobą zgubę świata.

Niestety! Podczas gdy Hervas wznosił swoje grzeszne myśli nad sfery pojęcia ludzkiego, bliska zaturażowała jego śmiertelnej powłoce. Na domiar cierpień, niewypowiedziane bóle zaczęły rozdzierać mu płuca; paraliż odjął mu władzę w lewej ręce i przechodził już do prawej. Jednym słowem, czarna melancholia niszczyła siły jego duszy i ciała zarazem²²². Lękał się świadków moralnego swego poniżenia, odepchnął moje starania i nie chciał wcale mnie widzieć. Stary jakiś inwalida zużywał resztki sił na krzątanie się

²²⁰Hervas (...) uznał światło za kwas (...) jednym z żywiołów kwasu uniwersalnego — Hervas umarł około roku 1660, jego wiedza w zakresie fizyki była więc ograniczona. Kwas uniwersalny Hervasa przywodzi na myśl ów pierwiastkowy kwas, o którym wspomina Paracelsus. [przypis autorski]

²²¹Sanchoniathon a. Sanchuniaton (gr. z fenickiego: Σανχουνιάθων) — imię mające oznaczać: „dar (boga) Sanchuna” a. „przyjaciel prawdy” (Filaetos) określające fenickiego autora z Beryte (dziś: Bejrut), który miał żyć przed wojną trojańską, 20 wieków przed naszą erą, uważany za najstarszego z historyków, a przy tym mędrca wtajemniczonego w doktryny Tota i pierwszego myśliciela materialistycznego w historii; jego dzieło znane jest jedynie z nielicznych fragmentów (stanowiących gł. źródło pisane dot. religii fenickiej) przetłumaczonych z fenickiego na hebrajski przez Filona z Byblos (65–140 p.n.e.) za panowania cesarza Hadriana i cytowanych przez biskupa Euzebiusza z Cezarei w jego *Praeparatio Evangelica*. [przypis edytorski]

²²²paraliż odjął mu władzę w lewej ręce i przechodził już do prawej (...) czarna melancholia niszczyła siły jego duszy i ciała zarazem — w innym oprac. tegoż tłumaczenia: „Bóle w biodrach przybrały na sile i odjęły mu władzę w prawej nodze, żywirowaty piasek zaczął kaleczyć mu pęcherz, chiragra powykrzywiła palce lewej ręki i zaczęła zagrażać palcom prawej, na koniec najczarniejsza melancholia zniszczyła siły jego duszy i ciała zarazem”. [przypis edytorski]

koło niego. Wreszcie i ten rozniemógł się i ojciec mój musiał zgodzić się na moją obecność.

Wkrótce dziad mój także zapadł na zgniłą gorączkę. Chorował tylko przez pięć dni i czując bliską śmierć, zawołał mnie do siebie i rzekł:

— Błażeju, mój drogi Błażeju, chcę cię jeszcze ostatni raz pobłogosławić. Urodziłeś się z ojca uczonego, któremu oby niebo było mniej udzieliło tej nauki. Szczęściem dla ciebie, dziad twój jest człowiekiem prostym w wierze i uczynkach, i wychował cię w tejrzej samej prostocie. Nie daj się obłąkać twemu ojcu; od kilku lat nie dba wcale o religię i zdań jego powstydzilby się niejedyn heretyk. Błażeju, nie ufaj mądrości ludzkiej, za kilka chwil ja będę mędrszym od wszystkich ziemskich filozofów. Dziecię moje, błogosławię cię... umieram.

W istocie, to mówiąc, wyzionął ducha.

Oddałem mu ostatnią posługę i wróciłem do mego ojca, którego od czterech dni nie widziałem. Tymczasem stary inwalida także był umarł i bracia miłosierni zajęli się jego pogrzebem. Wiedziałem, że mój ojciec był sam i chciałem zaopiekować się nim, ale gdy wchodziłem do niego, nadzwyczajny widok uderzył mój wzrok i zatrzymałem się w przedpokoju, zdjęty niewypowiedzianym uczuciem zgrozy.

Mój ojciec pozrzucał suknie i owinał się prześcieradłem na kształt całunu. Siedział na łóżku i wpatrywał się w zachodzące słońce. Po długim wpatrywaniu się podniósł głos i rzekł:

— Gwiazdo, której gasnące promienie po raz ostatni obłyły się o moje oczy, dlaczegoś oświeciłaś dzień mego urodzenia? Czyliż chciałem przyjść na świat? I po co nań przyszedłem? Ludzie wmawiali we mnie, że mam duszę i zająłem się kształceniem jej kosztem mego ciała. Pracowałem nad moim umysłem, ale szczury mnie pożarły, księgarze mną wzgardzili — nic ze mnie nie pozostanie — umieram cały, bez śladu, tak jak gdybym nie był się narodził. Nicości, pochłoń twoją ofiarę!

Hervas, jakiś na czas utonął w posępnych dumaniach, następnie wziął kubek, który zdawał mi się napełniony starym winem, wznosił oczy ku niebu i rzekł:

— Boże! Jeżeli gdzie jesteś, zlituj się nad moją duszą, jeżeli mam jaką!

To mówiąc, wychylił kubek; postawił go na stole, następnie położył rękę na serce, jak gdyby doświadczał w nim nieznośnych boleści. Hervas przygotował był drugi stół, na którym poukładał był poduszki, położył się więc na nim, splótł ręce na krzyż i słowa więcej nie wymówił.

Dziwisz się, że widząc te przygotowania do samobójstwa, nie rzuciłem się na kubek lub też, że widząc mego ojca leżącego, nie zawołałem o pomoc. W tej chwili ja sam się temu dziwię; ale z drugiej strony pamiętam, że jakaś nadprzyrodzona siła przykuła mnie na miejscu, tak że nie mogłem wykonać żadnego ruchu. Włosy tylko najeżyły mi się z przestachu.

Bracia miłosierni, którzy pogrzebali byli naszego inwalidę, znaleźli mnie w tej postawie pełnej zgrozy i zadziwienia, spostrzegli mego ojca leżącego na stole i owiniętego w prześcieradło i zapytali mnie, czy już umarł. Odpowiedziałem, że nic o tym nie wiem. Wtedy zapytali się, kto go owinał prześcieradłem. Odpowiedziałem, że sam to sobie uczyniłem. Przypatrzyli się ciału i w istocie znaleźli je bez życia. Ujrzeni stojący obok kubek z resztką płynu i zabrali go z sobą dla przekonania się, czy nie było w nim śladów trucizny. Po czym wyszli, wzruszając ramionami i zostawili mnie w nieopisanym pogębieniu. Następnie zeszli się ludzie z parafii, zadawali mi też same zapytania i wyszli, mówiąc:

— Umarł jak żył, pogrzeb jego nie do nas należy.

Zostałem się sam na sam z nieboszczykiem. Straciłem zupełnie odwagę, a z nią razem władzę czucia i myślenia. Rzuciłem się w krzesło, na którym niedawno siedział jeszcze mój ojciec i wpadłem znowu w letarg, w jakim mnie znaleźli ludzie z parafii.

Następnej nocy niebo pokryło się chmurami, gwałtowna zawierucha zdawała się przelatywać obok mnie i pogrążyła mnie w większej niż przedtem ciemności. Śród tej ciemności, zdało mi się, że poznaję jakieś fantastyczne kształty — następnie, że ciało mego ojca wydało długi przeciągły jęk, który dalekie echa roznosiły śród nocy po przestrzeni. Chciałem wstać, ale niepojęte uczucie przykuło mnie na miejscu — nie mogłem się ru-

Śmierć, Filozof, Dusza,
Bóg, Samobójstwo

szyc, lodowaty dreszcz przebiegł po moich członkach. Krew gorączkowo biła mi w żyłach, dziwaczne marzenia obłąkały moją duszę, sen zaś opanował zmysły.

Nagle zerwałem się i ujrzałem sześć wysokich świec woskowych zapalonych naokoło ciała i jakiegoś człowieka siedzącego naprzeciw mnie, który zdawał się oczekiwać chwili mego przebudzenia. Wyraz twarzy był wspaniały i rozkazujący. Wzrostu był wyniosłego, włosy czarne, nieco kędzierzawe spadały mu na czoło, wzrok miał bystry i przenikliwy, ale zarazem łagodny i przyciągający, wreszcie nosił na sobie kryzę i płaszczyk szary, podobne do tych, w jakie szlachta na wsiach się odziewa.

Nieznajomy spostrzegłszy, że się obudziłem, uśmiechnął się do mnie wdzięcznie i rzekł:

— Synu mój, tak cię nazywam, traktuję cię bowiem, jak gdybyś do mnie należał, Bóg i ludzie opuścili cię, ziemia wkrótce zamknie się nad tym mędrcom, który dał ci życie, ale my cię nigdy nie opuścimy.

— Mówisz pan — odrzekłem — że Bóg i ludzie mnie opuścili. Co się tyczy tych ostatnich masz słuszną rację, nie sądzę jednak, aby Bóg kiedykolwiek mógł opuścić jedno z swoich stworzeń.

— Uwaga twoja pod pewnym względem nie jest bezzasadna — przerwał nieznajomy — później jaśniej ci ją wytłumaczę. Tymczasem ażebyś przekonał się, jak dalece się tobą zajmujemy, przyjmij tę kiesę z tysiącem pistoletów. Młody człowiek powinien mieć namiętności i środki do zaspokajania ich, nie oszczędzaj złota i licz zawsze na nas.

Po tych słowach nieznajomy klasnął w dłonie, sześciu ludzi zamaskowanych weszło i uniosło ciało Herversa. Świece pogasły i ciemność znowu ogarnęła izbę. Nie pozostałem w niej dłużej, omackiem udałem się do drzwi, wyszedłem na ulicę i dopiero ujrawszy niebo zasiane gwiazdami, odetchnąłem swobodniej. Tysiąc pistoletów, które czułem w kieszeni, niemało przyczyniło się do dodania mi odwagi. Przebiegłem Madryt i przybyłem na koniec na Prado, do miejsca, gdzie później postawiono olbrzymi posąg Cybeli²²³. Tam położyłem się na ławce i wkrótce twardym snem zasnąłem.

Cygan, domówiwszy tych słów, prosił nas o pozwolenie odłożenia dalszego opowiadania na dzień następny i w istocie już go więcej nie ujrzelśmy.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Zebrano się o zwykłej godzinie. Rebeka zwróciła się do starego naczelnika, mówiąc, że historia Diega Herversa, jakkolwiek po części znana, mocno ją jednak zajęła.

— Sądzę atoli — dodała — że zbyt wiele zadawano sobie zachodów dla oszukania biednego małżonka, którego można było łatwiejszym sposobem wyprowadzić w pole. Być może wszelako, że opowiadano historię ateusza dla przejęcia tym większym przestrachem struchlałej duszy Cornadeza.

— Pozwól — odrzekł naczelnik — abym ci uczynił uwagę, że zbyt wcześnie wydajesz sąd o przygodach, jakie mam zaszczyt opowiadać przed wami; książę d'Arcos był to wielki i wspaniały pan, można więc było dla przysłużenia mu się wynajdywać i udawać różne osoby: z drugiej zaś strony nie ma żadnego dowodu, ażeby w tym celu opowiadano Cornadezowi historię syna, o której nigdy dotąd nie słyszałaś.

Rebeka zapewniła naczelnika, że opowiadanie jego było dla niej zajmujące, po czym starzec tak dalek mówił:

Historia Błażeja Herversa, czyli Potępionego Pielgrzyma

Mówiłem ci więc, że położyłem się i zasnąłem na ławce przy końcu głównej alei w Prado. Słońce już wysoko się wzbilo, gdy obudziłem się, i sądzę, że sen mój przerwało uderzenie chustki, którą poczułem na twarzy, ocknąwszy się bowiem spostrzegłem młodą dziewczynę, która chustką oganiała moją twarz od uprzykrzonego owada. Daleko bardziej jednak zdziwiłem się, ujrawszy, że głowa moja miękko spoczywała na kolanach drugiej młodej dziewczyny, której łagodny oddech czułem w moich włosach. Budząc się,

²²³ *Cybella* a. *Kybele* — frygijska bogini płodności, urodzaju, wiosny i miast obronnych, strażniczka zmarłych, jako *Magna Mater* (Wielka Matka) czczona przez tysiąclecia w Azji Mniejszej, następnie w Rzymie, aż do V w. n.e.; inne wersje zapisu imienia bogini: *Kubaba* (hetyckie), *Kybele* a. *Kybebe* (gr.), *Cybele* a. *Cybebe* (łac.) [przypis edytorski]

nie uczyniłem żadnego gwałtownego poruszenia, śmiało więc udając, że śpię, mogłem przedłużyć moje położenie. Zamknąłem oczy i wkrótce usłyszałem głos nieco surowy, ale bynajmniej nie przykry, który zwracając się do moich piastunek, mówił:

— Celio, Zorillo, co wy tu porabiacie? Myślałam, że jesteście w kościele, a tymczasem zastaję was tu przy pięknym nabożeństwie.

— Ależ mam — odrzekła dziewczyna, która mi służyła za poduszkę — czyliż nie mówiłaś nam, że uczynki równą mają zasługę jak modlitwa i czyliż to nie miłosierny uczynek przedłużyć sen biednemu młodzieńcowi, który musiał bardzo przykrą noc przeżyć?

— Zapewne — rzekł głos tym razem bardziej ze śmiechem niż surowo — zapewne i w tym jest zasługa. Oto myśl, która bardziej dowodzi waszej nieświadomości niż pobożności, ale teraz, moja ty miłosierna Zorillo, połóż łagodnie głowę tego młodzieńca na ławce i wracajmy do domu.

— Ach, kochana mam — zawołała półgłosem młoda dziewczyna — patrz, jak on spokojnie śpi. Zamiast go budzić, lepiej byś uczyniła, gdybyś mu odwiązała tę kryzę, która go dusi.

— Tak mu nawet bardziej do twarzy — rzekła Celia, która dotąd się jeszcze nie odzywała — teraz swobodniej oddycha, jak to dobre uczynki zaraz pociągają za sobą nagrodę.

— Uwaga ta — rzekła matka — czyni zaszczyt twojemu sądowi o rzeczach, ale nie trzeba za daleko posuwać miłosierdzia, dalej Zorillo, złóż łagodnie tę piękną głowę na ławce i chodźmy do domu.

Zorilla ostrożnie podłożyła obie ręce pod moją głowę i cofnęła kolana. Pomyślałem naówczas, że nie należało już dłużej udawać śpiącego. Podniosłem się na ławce i otworzyłem oczy. Matka krzyknęła, córki zaś chciały uciekać. Zatrzymałem je.

— Celio, Zorillo — rzekłem — jesteście równie piękne jak niewinne; ty zaś, pani, która wydajesz się ich matką dlatego tylko, że wdzięki twoje są bardziej rozwinięte, pozwól, abym, zanim mnie opuścicie, poświęcił kilka chwil podziwieniu, w jakie wszystkie trzy mnie wprawiacie.

W istocie, mówiłem im szczerą prawdę. Celia i Zorilla byłyby doskonałymi pięknosciami, gdyby wiek był dozwolił rozwinąć się ich wdziękom, matka zaś ich, zaledwie trzydziestoletnia kobieta, zdawała się najwięcej liczyć dwudziestą piątą wiosnę.

— *Señor caballero* — rzekła mi ta ostatnia — jeżeli tylko udawałeś śpiącego, mogłeś się przekonać o niewinności moich córek i powziąć korzystne mniemanie o ich matce. Nie lękam się zmiany twego zdania, gdy cię poproszę, abys raczył nas odprowadzić do domu. Znajomość tak dziwnym sposobem zaczęta, zasługuje, aby się przemieniła w zażyłość.

Poszedłem z nimi i przybyliśmy do ich domu, którego okna wychodziły na Prado. Córki zajęły się przyrządzeniem czekolady, matka zaś, posadziwszy mnie obok siebie, rzekła:

— Jesteś w domu może nieco za zbyt kownym na nasze terazniejsze położenie, ale najęłam go jeszcze w pomyślniejszych czasach. Dzisiaj z chęcią odnajęłabym pierwsze piętro, ale nie śmiem tego uczynić; okoliczności, w jakich się znajduję, nie pozwalają, abym kogokolwiek widywała.

— Pani — odpowiedziałem — ja także mam powody, dla których pragnę żyć w odosobnieniu i gdybyś pani nic temu nie miała do zarzucenia, z największym szczęściem zajmę *cuarto principal*, to jest pierwsze piętro.

To mówiąc, dobyłem kieszę, a widok złota usunął przeszkody, jakie by nieznajoma mogła była mi postawić. Zapłaciłem stół i mieszkanie za trzy miesiące z góry. Ułożyliśmy się, że będą mi przynosić obiad do mego pokoju i że zaufany służący będzie mi usługiwał i załatwiał moje posyłki w mieście.

Gdy Celia i Zorilla wróciły z czekoladą, zawiadomiono je o warunkach naszej ugody. Spojrzenia ich zdawały się obejmować w posiadanie moją osobę, czemu tylko pełen zapału wzrok matki stawał na przeszkodzie. Dostrzegłem tę walkę zalotności i skutek jej zostawiłem przeznaczaniu, sam zaś wyłącznie zajęłem się wprowadzeniem do mego nowego mieszkania. Znalazłem w nim wszystko, czego potrzebowałem do wygodnego i przyjemnego życia. Raz Zorilla przynosiła mi atrament, to znowu Celia przychodziła ustawić na moim stole lampę i układać książki. O niczym nie zapomniano, każda z nich

przychodziła osobno, a gdy czasami się spotkały, dopieroż to były śmiechy, żarty, wesołość bez miary. Matka także miała swoją kolej. Zajął się zwłaszcza moim łóżkiem, kazała rozesać na nim prześcieradła z holenderskiego płótna, piękną jedwabną kołdrę i stos poduszek.

Urządzenia te zabrały mi cały poranek. Nadeszło południe. Zastawiono mi nakrycie w moim pokoju. Byłem zachwycony. Z rozkoszą spoglądałem na te trzy czarownice stworzenia, które prześcigały się w staraniach około mnie i z wdzięcznością przyjmowały najlżejsze z mojej strony podziękowanie. Ale na wszystko jest czas; z przyjemnością oddałem się zaspokojeniu mego głodu. Po obiedzie wziąłem kapelusz i szpadę i wyszedłem do miasta. Nieraz zażywałem już przechadzki, ale nigdy z taką jak wówczas przyjemnością. Czuję się pełny zdrowia, życia i dzięki pieczytom trzech kobiet powziąłem sam o sobie korzystne wyobrażenie. Tak to zwykle młodzież o tyle się sama ceni, o ile zyskuje w tym względzie potwierdzenie płci pięknej.

Wstąpiłem do jubilera, gdzie nakupiłem sobie klejnotów i stamtąd udałem się do teatru. Wieczorem, wróciwszy do domu, zastałem trzy kobiety siedzące przed drzwiami. Zorilla śpiewała z towarzyszeniem gitary, dwie zaś pozostałe robiły siatkę na włosy.

— *Señor caballero* — rzekła mi matka — zamieszkałeś w naszym domu, okazujesz nam zaufanie bez granic, a jednak nie pytasz, kim jesteśmy. Wypada wszelako o wszystkim cię uwiadomić. Dowiedz się zatem, *señor*, że nazywam się Inez Santarez i jestem wdową po *don Juanie Santarez*, korregidorze Hawany. Ożenił się był ze mną bez majątku i tak samo mnie też zostawił, z dwoma córkami, które tu widzisz, i bez żadnych środków do życia. Gdy owdowiałam, nędza moja wprawiała mnie w najwyższy kłopot i sama nie wiedziałam, co począć, gdy niespodziewanie odebrałam list od mego ojca. Pozwolisz, że przemilczę jego nazwisko. Niestety! On także przez całe życie walczył z losem, nareszcie, jak mi to donosił w swym piśmie, fortuna uśmiechnęła się do niego i został mianowany podskarbnym wojennym. Zarazem przysłał mi weksel na dwa tysiące pistołów i rozkaz bezzwłocznego powrotu do Madrytu. Przyjechałam więc i tego samego dnia dowiedziałam się, że oskarżono mego ojca o zdradę stanu i uwięziono go w Wieży Segowskiej. Tymczasem najęto dla nas ten dom, wprowadziłam się więc i żyję w jak najściślejszym odosobnieniu, nie widując nikogo, wyjąwszy pewnego młodego urzędnika z biura ministerium wojny. Przychodzi on donosić mi o biegu sprawy mego ojca. Z wyjątkiem jego nikt nie wie o naszych stosunkach z nieszczęśliwym więźniem.

Domawiając tych słów, pani Santarez załała się łzami.

— Nie płacz, droga mamó — rzekła jej Celia — wszystko na świecie, a zatem i zmartwienia, kończą się kiedyś. Widzisz, już spotkałyśmy tego młodego *señora*, którego postać jest tak ujmująca i zdaje się wróżyć nam pomyślność.

— W istocie — dodała Zorilla — od czasu, jak się do nas wprowadził, wesołość zastąpiła miejsce dawnych smutków.

Pani Santarez rzuciła na mnie na pół tęskne i czułe wejrzenie, córki także spojrzaly na mnie, po czym spuściły oczy, zapłonily się, zmieszały i wpadły w zamyślenie. Nie było wątpliwości: wszystkie trzy kochały się we mnie; stan ten przepelniał pierś moją szczęściem.

Śród tego zbliżył się do nas jakiś kształtny, wysoki młodzieniec. Wziął panią Santarez za rękę, odprowadził na stronę i długo wiódł z nią cichą rozmowę. Wróciwszy z nim, rzekła do mnie:

— *Señor caballero*, oto jest *don Krzysztof Sporadoz*²²⁴, o którym ci wspominałam, jedyny gość, jakiego widzimy w Madrycie. Chciałam także sprawić mu przyjemność. zaznajamiając go z tobą, ale chociaż mieszkamy w jednym domu, dotąd nie wiem jednak, z kim mam zaszczyt mówić.

— Pani — odpowiedziałem — jestem szlachcicem z Asturii, nazywam się Leganez.

Sądziłem, że lepiej uczynię, gdy zamilczę o powszechnie znanym nazwisku Hervas.

Młody Sporadoz zmierzył mnie od stóp do głów zuchwałym spojrzeniem i zdawał się odmawiać mi nawet ukłonu. Weszliśmy do domu, gdzie pani Santarez kazała zastawić lekką wieczerzę z ciast i owoców. Byłem nadal głównym celem nadszkwania trzech

²²⁴*Krzysztof Sporadoz* — w wersji z 1804 r. rywal Błażeja Hervasza nazywa się Emanuel Esparvez. [przypis edytorski]

piękności, ale spostrzegłem wszelako, że i dla nowo przybyłego nie szczędzono spojrzeń i uśmiechów. Ubodło mnie to, chcąc zatem na siebie zwrócić całą uwagę, podwoilem grzeczności i starałem się, o ile mogłem, rozwinąć mój dowcip. Śród szumnego jakiegoś mego frazesu *don* Krzysztof założył prawą nogę na lewą i przypatrując się podeszwie swego trzewika rzekł:

— W istocie, od czasu jak szewc Morañon rozstał się z tym światem, niepodobna dostać w Madrycie porządnego trzewika.

To mówiąc, spojrział na mnie z ukosa.

Szewc Morañon był właśnie moim dziadem macierzystym, który mnie wychował i dla którego przechowywałem w sercu najżywszą wdzięczność. Pomimo to zdawało mi się, że nazwisko jego szpeciło moje drzewo genealogiczne. Sądziłem, że wyjawienie tajemnicy mego urodzenia zgubiłoby mnie w oczach moich pięknych gospodyń. Natychmiast postradałem wszelką wesołość. Rzuciłem na *don* Krzysztofa czasami pogardliwe, czasami dumne i rozgniewane spojrzenia. Postanowiłem zabronić mu wstępu do naszego domu. Gdy odszedł, pobiegłem za nim, chcąc mu to oświadczyć. Dogoniłem go przy końcu ulicy i wypowiedziałem, com był sobie wprzód już w myśli ułożył. Mniemałem, że się rozgniewa, ale przeciwnie, przybrał postać wdzięczną i wziął mnie za brodę, jak gdyby chciał mnie popieścić, ale nagle podniósł mnie gwałtownie, podstawił nogę i rzucił mnie tak silnie, że upadłem nosem w rynsztok. Z początku nie wiedziałem, co się ze mną stało, wkrótce jednak podniosłem się, okryty błotem i miotany niewypowiedzianą wściekłością.

Wróciłem do domu. Kobiety udały się już na spoczynek, ale ja na próżno usiłowałem zasnąć. Dwie namiętności mnie dręczyły: miłość i nienawiść. Ostatnia ogarniała tylko *don* Krzysztofa, pierwsza zaś zawisła pomiędzy trzema pięknościami. Celia, Zorilla i matka ich, kolejno mnie zajmowały, uroczę ich obrazy krzyżowały się w moich marzeniach i przez całą noc niepokoiły. Usnąłem nad rankiem i późno już było, gdy się obudziłem. Otworzywszy oczy, ujrzałem panią Santarez siedzącą u moich nóg. Zdawała się zapłakana.

— Mój młody gościu — rzekła — przyszedłem do ciebie po schronienie. Niegodziwi ludzie na górze żądają ode mnie pieniędzy, których nie jestem w stanie wypłacić. Niestety, mam długi. Ale czyż mogłam zostawić te biedne dzieci bez odzieży i pokarmu? Biedaczki i tak muszą sobie wszystkiego odmawiać.

Tu pani Santarez zaczęła szlochać, oczy jej, łzami zalane, mimowolnie obróciły się ku mojej kiesie, która tuż obok mnie leżała na stoliku. Pojąłem tę niemą prośbę. Wysypałem złoto na stół, rozdzieliłem je na dwie równe połowy i ofiarowałem jedną pani Santarez. Nie spodziewała się tak nadzwyczajnej wspaniałomyślności. Z początku oniemiała z podziwienia, następnie ujęła mnie za ręce, jęła całować je z uniesieniem, przyciskać do serca, po czym zebrała pistole, mówiąc:

— Ach, moje dzieci, moje drogie dzieci!

Wkrótce nadeszły córki i także okryły mnie pocałowaniem. Wszystkie te dowody przywiązania rozogniły we mnie krew, i tak już wzburzoną przez nocne marzenia.

Ubrałem się czym prędzej i chciałem wyjść na taras naszego domu. Przechodząc obok pokoju młodych dziewcząt, usłyszałem jak płakały i łkając ścisnęły się nawzajem. Zatrzymałem się na chwilę. Celia spostrzegła mnie i zawołała:

— Posłuchaj mnie, nasz kochany, drogi, najmilszy gościu! Znajdujesz nas w stanie najwyższego wzburzenia. Od czasu naszego urodzenia żadna chmurka nie zasępiła naszych wzajemnych stosunków. Przywiązanie więcej niżeli sama krew nas łączyło. Od chwili twego przybycia rzeczy całkiem się zmieniły. Zazdrość wkradła się do naszych dusz i może byłybyśmy się znienawidziły, łagodny jednak charakter Zorilli zapobiegł straszliwemu nieszczęściu. Padła w moje objęcia, pomieszały się nasze łzy i serca zbliżyły. Ty, kochany nasz gościu, musisz przypieczętować naszą zgodę. Przrzeknij obie nas zarówno kochać i zarówno dzielić między nas twoje pieczyoty.

Cóż miałem odpowiedzieć na tak płomienne i nalegania? Po kolei uspokoiłem obie dziewczęta. Osuszyłem ich łzy i smutek ich ustąpił najtkliwszemu szaleństwu.

Wyszliśmy razem na taras, gdzie pani Santarez wkrótce się z nami złączyła. Radość z wydobycia się z długów opromieniła jej twarz. Zaprosiła mnie na obiad i dodała, że rada by cały dzień ze mną przepędzić. Zaufanie i zażyłość przewodniczyły naszej uczcie. Służących oddalono i dziewczęta kolejno nam usługiwały. Pani Santarez, wycieńczona dozna-

nymi wzruszeniami, wypila dwa kieliszki starego alikantu. Żywe jej oczy tym więcej po tym zabyły; rozweselała i zdaje się, że tym razem obie córki razem poczuły żądło zazdrości; wszelako przez uszanowanie dla matki nie śmiały jej oddawać temu uczuciu. Pomimo jednak działania wina niepodobna było nic zarzucić obejściu pani Santarez. Z mojej strony myśl uwiedzenia jej wcale nie przeszła mi przez głowę. Płec i wiek dostatecznie zastępowały nam zalotność. Wpływ natury rozlewał na nasze obejście niewypowiedziany urok, tak że z trudnością myśleliśmy o rozłączeniu. Zachodzące słońce byłoby nas rozdzieliło, ale zamówiłem chłodniki u sąsiedniego cukiernika. Wszyscy z przyjemnością powitaliśmy ich zjawienie się, tym sposobem bowiem mogliśmy pozostać razem.

Zaledwie zasiedliśmy do stołu, gdy drzwi otworzyły się i wszedł *don* Krzysztof Sporadoz. Wkroczenie szlachcica francuskiego do haremu sułtana nie byłoby sprawiło przykrzejszego wrażenia od tego, jakiego doznałem na widok *don* Krzysztofa. Pani Santarez i jej córki nie były wprawdzie moimi małżonkami i nie składały mego haremu, ale serce moje pod pewnym względem zawładnęło nimi i nadwergęzenie moich praw zadawało mi śmiertelną boleść.

Don Krzysztof udał, że wcale na mnie nie zauważa, ukłonił się kobietom, odprowadził panią Santarez na koniec tarasu, długo z nią rozmawiał, po czym nieproszony zasiadł do stołu. Jadł, pił i milczał, gdy jednak wszczęła się rozmowa o walkach byków, odepchnął swój talerz i uderzywszy pięścią w stół, rzekł:

— Na świętego Krzysztofa, mego patrona, dlaczegoż muszę ślęczeć w tym przeklętym biurze ministra? Wołałbym być ostatnim torreadorem w Madrycie aniżeli przewodniczyć wszystkim Kortejom Kastylji.

To mówiąc, wyciągnął rękę, jak gdyby chciał przebić byka i wystawił na nasze podziwienie olbrzymie mięsy swego ramienia. Następnie dla pokazania swojej siły umieścił wszystkie trzy kobiety w jednym krześle i zaczął je nosić po całym pokoju.

Don Krzysztof taką przyjemność znajdował w tej zabawie, że starał się o ile możności ją przedłużać. Nareszcie wziął kapelusz i szpadę i zabierał się do wyjścia. Dotychczas nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, wtedy jednak, zwracając się do mnie, rzekł:

— Słuchaj no, mój dobrze urodzony przyjacielu. Powiedz mi, kto od śmierci szewca Morañona robi najlepsze trzewiki?

Kobiety zdziwiła ta mowa, ja zaś wpadłem w wściekłość. Pobiegłem po szpadę i pogoniłem za *don* Krzysztofem, doścignąłem go, gdy przemykał się przez małą, ciasną uliczkę i stanąwszy przed nim, zawołałem:

— Zuchwalcze, zapłacisz mi za twoje nikczemne zniewagi!

Don Krzysztof ujął za rękojeść szpady, ale spostrzegłszy na ziemi kawał kija, porwał go, uderzył w moją klingę i wytrącił mi szpadę z ręki. W tej chwili porwał mnie za włosy, zaniósł do rynsztoka i rzucił weń, ale tak gwałtownie, że postradałem przytomność.

Przyszedłszy do zmysłów, ujrzałem nad sobą tego samego szlachcica, który kazał był unieść ciało mego ojca i dał mi tysiąc pistolew. Padłem mu do nóg, podniósł mnie z dobrocią i kazał, abym udał się za nim. Szliśmy w milczeniu i przybyliśmy na brzegi Manzanaresu, gdzie zastaliśmy dwa kare konie. Długo galopowaliśmy, wreszcie stanęliśmy u wrót opuszczonego domu, którego brama i drzwi same się przed nami poodmykały. Weszliśmy do pokoju wybitego ciemnym sukniem i oświetconego srebrnymi świecznikami. Zasiadłszy, nieznamy, tak do mnie przemówił:

— *Señor* Hervas, widzisz, jak się rzeczy dzieją na tym świecie. Jak mogłeś się przekonać, to nie sprawiedliwość rządzi przy rozdzielaniu darów. Jednym natura dała osiemset funtów siły, drugim osiemdziesiąt. Na szczęście wynaleziono zdradę, która uzupełnia nieco równowagę.

Po tych słowach nieznamy wyciągnął szufladę, dobył z niej puginał i dodał:

— Widzisz to narzędzie, którego okrągłe zakończenie przechodzi w ostrze cieńsze od najsubtelniejszego włosa. Zetknij je za pas. Żegnaj cię, młodzieńcze, nie zapominaj o prawdziwym twym przyjacielu, *don* Belialu de Gehenna. Jeżeli będziesz mnie potrzebował, przyjdź o północy na most na Manzanaresie, klaśnij trzy razy w dłoń, a natychmiast ujrzysz karego rumaka. Zaczekaj, zapomniałem o najważniejszej rzeczy. Oto masz drugą kiesę, może będziesz potrzebował złota.

Podziękowałem wspaniałemu *don* Belialowi, dosiadłem karego rumaka, Murzyn jakiś wsiadł na drugiego i przybyliśmy do mostu, gdzie trzeba było się rozłączyć. Powróciłem do

mego mieszkania. Ległem na łóżko i zasnąłem, ale straszliwe sny mną miotaly. Wsunąłem był puginał pod poduszkę i zdawało mi się, że stamtąd wychodził i zapuszczał się w sam środek mego serca. Widziałem także *don* Krzysztofa porywającego mi sprzed nosa moje trzy piękności.

Nazajutrz ponury smutek mną owładnął i obecność dwojga dziewcząt nie mogła go rozproszyć. Starania ich przeciwny na mnie wpływ wywarły i pieszczoty moje były mniej niewinne. Zostawszy sam, chwyciłem za puginał i groziłem nim *don* Krzysztofowi, którego, zdawało mi się, że ciągle widzę przed sobą.

Nienawistny ten natręt wieczorem znowu się zjawił i znowu nie zwracał na mnie uwagi, ale natomiast więcej zalecał się do kobiet. Sprzeciwiał im się, bawił je i rozśmieszał. Jego płaskie dowcipy więcej podobały się od mojej grzeczności.

Kazałem przynieść wieczerzę bardziej wykwintną niż obfita; *don* Krzysztof prawie sam zjadł ją całą. Następnie wziął kapelusz i obracając się do mnie, rzekł:

— Mój szlachetnie urodzony panie, powiedz mi, co znaczy ten puginał za twoim pasem, lepiej byś uczynił, gdybyś sobie zatknął szydło od szewca.

Wymknąłem się za nim i cichaczem dopadłszy go na zakręcie ulicy, ze wszystkich sił uderzyłem go w lewą pierś puginałem. Ale łotr odepchnął mnie z równą siłą, z jaką na niego napadłem.

Don Krzysztof obrócił się do mnie i z zimną krwią rzekł:

— Cóż to, chłystku, nie wiedziałeś dotąd, że noszę na piersiach stalową siatkę?

Po tych słowach porwał mnie za włosy i znowu wrzucił w rynsztok, ale tym razem z wielkim moim zadowoleniem, gdyż rad byłem, że nie popełniłem zabójstwa. Podniosłem się dość wesoło, wróciłem do domu, i noc tę przepędziłem daleko spokojniej od poprzednich.

Nazajutrz kobiety znalazły mnie daleko spokojniejszym, niż byłem wczoraj i oświadczyły mi swoją z tego powodu radość. Wszelako nie śmiałem pozostać u nich na wieczór. Lękałem się spojrzeć w oczy człowiekowi, którego dnia wczorajszego chciałem zamordować. Przez cały wieczór z wściekłością przechadzałem się po ulicach, myśląc o wilku, który zakradł się do mojej owczarni.

O północy poszedłem na most, klasnąłem trzy razy w dłonie, zjawiły się kare rumaki, wskoczyłem na mojego i popędziłem w cwał za moim przewodnikiem aż do domu *don* Beliala. Drzwi same się otworzyły, mój opiekun wyszedł naprzeciw mnie, wprowadził mnie do tej samej komnaty i rzekł głosem nieco szyderskim:

— Cóż, mój młody przyjacielu, morderstwo się nam nie udało? Nie zważaj na to, chęć stanie za uczynek; zresztą pomyślimy już o uwolnieniu cię od zbyt niebezpiecznego współzawodnika. Doniesiono, że wydawał tajemnice stanu i wrzucono go do tego samego więzienia, gdzie siedzi ojciec pani Santarez. Teraz od ciebie zależy, by umieć korzystać z twego szczęścia lepiej, niżeli to dotychczas czyniłeś. Przyjm w darze ode mnie to pudełko, znajdując się w nim cukierki o nadzwyczajnych właściwościach; poczęstuj nimi twoje gospodynie i sam zjedz kilka.

Wziąłem pudełko, które rozsiewało nader przyjemną woń i rzekłem do *don* Beliala:

— Nie wiem, co pan nazywasz korzystaniem ze szczęścia, sądzę jednak, że byłbym potworem, gdybym chciał nadużyć zaufania matki i niewinności jej córek. Nie jestem tak przewrotny, jak pan mniemasz.

— Mniemam — odparł *don* Belial — że nie jesteś ani lepszy, ani gorszy od reszty dzieci Adama. Zwykle wzdragają się przed popełnieniem zbrodni i później doświadczają wyrzutów, myśląc, że tym sposobem zdołają jeszcze utrzymać się na drodze cnoty. Gdyby jednak raz chcieli sobie wytłumaczyć, co to jest cnota, oszczędziliby sobie wielu nieprzyjemnych uczuć. Uważają cnotę za przymiot idealny, którego istnienie przypuszczają bez żadnej rozważki, a zatem przez to samo pomieszczenia ją w liczbie przesądów, które, jak wiesz, są zdaniem niepopartymi poprzednim zgłębieniem rzeczy.

— *Señor don* Belialu — odpowiedziałem — mój ojciec dał mi pewnego razu sześćdziesiąty tom swego dzieła, zawierający zasady nauki moralnej. Przesąd według niego nie był zdaniem niepopartym poprzednim zgłębieniem rzeczy, ale zdaniem już osądzonym przed naszym przyjściem na świat i przekazany nam, że tak powiem, w dziedzictwie. Zwyczaj lat dziecinnych rzucają w naszą duszę pierwsze zarody tych zdań, przykład je

rozwijają, znajomość zaś praw ustala. Stosując się do nich, jesteśmy uczciwymi ludźmi, wykonując więcej, niż prawa nakazują, zostajemy cnotliwi.

— Określenie to — rzekł *don Belial* — nie jest zupełnie złe i przynosi zaszczyt twemu ojcu. Dobrze on pisał, lepiej jeszcze myślał, kto wie, może i ty pójdziesz w jego ślady. Wracajmy jednak do naszego określenia. Zgadza się z tobą, że przesady są zdaniem już osądzonymi, ale nie przeszkadza to, żebyśmy sami nie mieli ich także sądzić, zwłaszcza gdy czujemy w nas wykształcony sąd o rzeczach. Ciekawy umysł zgłębia rzeczy, poddaje przesady pod krytykę badania i przekonuje się, czy prawa równie wszystkich obowiązują. Tak postępując, jasno zobaczysz, że prawny porządek wynaleziono tylko na korzyść tych zimnych i leniwych charakterów, które dopiero od hymenu oczekują uczuć rozkoszy, dobrego bytu zaś od oszczędności i pracy. Inaczej jednak dzieje się z geniuszami, z charakterami namiętnymi, chciwymi złota i rozkoszy, które by pragnęły lata w jednej chwili pochłonąć. Cóż dla nich utworzył porządek społeczny? Przepędzą życie w więzieniach i skończą je w męczarniach. Na szczęście, prawa ludzkie są czym innym, aniżeli tym, czym się wydają. Są to zapory, przed którymi przechodzień zwraca się ku innej drodze, ale ci, którzy chcą je przewyciężyć, przeskakują lub podłazą. Przedmiot ten jednak, za daleko by mnie zaprowadził. Żegnaj cię, mój młody przyjacielu, pokosztuj moich cukierków i licz zawsze na moją opiekę.

Pożegnałem señora *don Beliala* i wróciłem do domu. Otworzono mi drzwi, rzuciłem się na łóżko i pragnąłem zasnąć. Pudełko stało obok mnie i roznosiło najrozkoszniejszą wonie. Nie mogłem oprzeć się pokusie, zjadłem dwa cukierki i miałem noc niespokojną, to jest zakłóconą tysiącnymi najdziwniejszymi marzeniami.

O zwykłej godzinie przyszły moje młode przyjaciółki. Znalazły szczególną odmianę w moim wzroku, jakoż w istocie spoglądałem na nie całkiem innymi oczyma. Wszystkie ich poruszenia zdawały mi się wynikać z niepoohamowanej chęci uczynienia wrażenia na moich zmysłach. Słowom ich też samo nadawałem znaczenie, ostatecznie wszystko w nich pociągało moją uwagę i pogrążało mnie w odmęt myśli, o jakich przedtem nie miałem żadnego pojęcia.

Zorilla spostrzegła pudełko. Zjadła dwa cukierki i podała siostrze. Wkrótce marzenia moje zmieniły się w rzeczywistość. Tajemne wewnętrzne uczucie opanowało obie siostry, które oddały mu się bez własnej świadomości. One same przestraszyły się tego i uciekły ode mnie z bojaźnią, w której jakaś dzikość się przebijała.

Matka ich weszła. Od chwili, gdy ją uwolniłem od wierzycieli, postępowanie jej ze mną nabrało niewypowiedzianej czułości. Pieszczoty jej z początku mnie uspokoiły, ale wkrótce spojrzawszy na nią tym samym wzrokiem, jaki odstraszył jej córki. Poznała, co się działo we mnie, zmieszała się i spojrzenia jej, unikając moich, padły na nieszczęsne pudełko. Wzięła kilka cukierków i odeszła, niebawem jednak wróciła, okryła mnie pieszczotami i ścisnęła w swoich objęciach, nazywając synem.

Opuściła mnie z widoczną przykrością, jak gdyby chciała sama się przewyciężyć. Pomieszanie moich zmysłów dochodziło do szaleństwa. Czulem, jak ogień krążył mi po żyłach, zaledwie widziałem, co się koło mnie działo, krwawy jakiś obłok rozpinał się przed moimi oczyma.

Wyszedłem drogą na taras, drzwi od pokoju dziewcząt były na wpół otwarte, nie mogłem powstrzymać się i stanąłem na progu. Zmysły ich były w daleko większym bezładzie od moich. Przeląknęłam się, chciałem wyrwać się z ich objęć, ale nie miałem na to dość siły. Matka weszła, wymówki zamarły na jej ustach, wkrótce nie miała prawa czynić nam wyrzutów.

— Przebac, señor *don Cornadez* — dodał Pielgrzym — przebac, że mówię ci o rzeczach, których samo opowiadanie jest już śmiertelnym grzechem. Ale historia ta potrzebna jest do twego zbawienia, postanowiłem wyrwać cię zagubie i spodziewam się, że dokonam mego zamiaru. Pamiętaj stawić się tu jutro o tej samej godzinie.

Cornadez wrócił do domu, gdzie w nocy znowu go prześladował cień zamordowanego hrabiego Peña Flor.

Cygan, domawiając tych słów, musiał się z nami rozłączyć i odłożyć dalsze opowiadanie na dzień następny.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Zebraliśmy się o zwykłej godzinie i stary naczelnik, ulegając niecierpliwości swoich słuchaczy, pośpieszył z dalszym ciągiem opowiadania, które Busqueros opowiadał na życzenie kawalera Toledo.

Gdy tylko Cornadez stawiał się o naznaczonej godzinie, Pielgrzym tak dalek jął mu rozpowiadać:

Dalszy ciąg historii Potępionego Pielgrzyma

Pudełko moje było próżne, cukierki wszystkie zjedzone, ale spojrzenia nasze zdawały się chcieć ożywiać przygasłe nasze zapaly. Zbrodnicze wspomnienia ożywiły nasze umysły. Tak to zwykle zbrodnie zagłuszają uczucia natury. Pani Santarez, cała oddana rozkoszy, zapomniała, że ojciec jej jęczał w więzieniu i że wyrok śmierci może być już na niego podpisany. Ja tym mniej o nim myślałem, gdy szczególna okoliczność, którą opowiem, zwróciła nań moją uwagę.

Pewnego wieczora wszedł do mnie jakiś nieznajomy owinięty w szeroki płaszcz. Przełakłem się go nieco, tym bardziej, że twarz swą ukrywał pod maską. Tajemniczy człowiek prosił mnie, abym usiadł i uczyniwszy to samo, rzekł:

— *Señor* zdajesz się być przyjacielem pani Santarez. Pragnę więc szczerze i otwarcie z tobą pomówić. Sprawa jest ważna i nierad bym załatwiać ją z kobietą. Pani Santarez zaufała wietrznikowi nazywanemu *don* Krzysztof Sporadoz. Dziś siedzi on w więzieniu razem z seniorem Goranezem, ojcem twojej gospodyni. Szaleniec ten myślał, że posiadał tajemnicę znaną tylko kilku najwyższym dygnitarzom, ale mylił się: to ja posiadam ją w zupełności. Wyjawię ci ją w kilku słowach. Od dziś za tydzień, w pół godziny po zachodzie słońca przejdę przed waszymi drzwiami i trzy razy wymówię nazwisko uwięzionego: „Goranez, Goranez, Goranez”. Za trzecim razem wręczysz mi kiesę z trzema tysiącami pistołów. *Señor* Goranez nie siedzi już w Segowskiej Wieży, ale został przewieziony do innego więzienia. Los jego ma być rozstrzygnięty przed połową tejże samej nocy. Oto jest wszystko, co miałem ci powiedzieć.

To mówiąc, zamaskowany człowiek wstał i odszedł.

Wiedziałem, a raczej domyślałem się, że pani Santarez nie miała żadnych zasobów pieniężnych, postanowiłem więc uciec się do łaski *don* Beliala. Uwiadomiłem moją gospodynię, że *don* Krzysztof wpadł w podejrzenie i nie mógł więcej u niej bywać, ale że ja miałem znajomych w ministerium wojny i spodziewałem się szczęśliwego skutku moich zamiarów. Nadzieja ocalenia życia jej ojcu, napełniła panią Santarez najżywszą radością. Dodała wdzięczność do wszystkich uczuć, jakimi już była ku mnie przejęta. Wdzięczność jej dla mnie zdała się odtąd mniej zbrodnicza. Tak ważne dobrodziejstwo zupełnie ją uniewinniło. Nowe rozkosze zajęły nam wszystkie chwile.

Wyrwałem się im na jedną noc, ażeby pójść do *don* Beliala.

— Czekałem cię — rzekł do mnie. — Wiedziałem, że skrupuły twoje krótko będą trwały i że nie pomyślisz nawet o wyrzutach. Wszyscy synowie Adama ulepieni są z jednej gliny, ale nie spodziewałem się, żebyś tak wcześniej nasycił się rozkoszami, jakich nigdy nie doznawali sami nawet królowie tej małej kuli, którzy nie znali moich cukierków.

— Niestety, *señor* Belialu — odpowiedziałem — prawdę mówisz pod pewnym względem, ale wyznam ci szczerze, że bynajmniej nie zaczynam się już nudzić. Przeciwnie, zdaje mi się, że gdyby wszystko to, czego doznaję, miało się odmienić, życie straciłoby dla mnie swój urok.

— Pomimo to — rzekł *don* Belial — przyszedłeś do mnie po trzy tysiące pistołów, którymi chcesz okupić wolność *señora* Goraneza. Zapewne nie wiesz, że skoro tylko ten zostanie uniewinniony, natychmiast sprowadzi do swego domu córkę i wnuczki i że od dawna przeznaczył obie na żony dwóm młodym urzędnikom z jego biura. Ujrzysz w objęciach tych szczęśliwych małżonków dwa zachwycające stworzenia, które poświęciły ci pierwsze uczucia i za całą nagrodę żądały tylko pewnego udziału w rozkoszy, jakich ty byłeś dla nich ogniskiem. Każda z nich, bardziej natchniona współubieganiem się aniżeli zazdrością, znajdowała najwyższą nagrodę w szczęściu, jakiego była przyczyną i oddychała bez zawiści tym szczęściem, które sprawiałeś drugiej. Matka ich, bardziej świadoma, ale nie mniej namiętna, dzięki moim cukierkom bez zazdrości poglądała na szczęście córek.

Po takich chwilach cóż poczniesz z resztą twego życia? Pójdieszże szukać uprawnionych rozkoszy małżeństwa lub wdychać do uczuć zalotnicy, która nie przyrzecze ci cienia nawet rozkoszy, jakich żaden śmiertelnik przed tobą nie doznał?

Tu *don* Belial zmienił nagle kierunek rozmowy i rzekł:

— Ale może masz słuszność. Ojciec pani Santarez jest niewinny i wolność jego od ciebie zależy. Rozkosz z wypełnienia dobrego uczynku powinna wszystkie inne przewyższać.

— *Don* Beliału — rzekłem — bardzo zimno mówisz o dobrych uczynkach, ale natomiast bardzo gorąco o rozkoszach, które ostatecznie są grzechami. Myślałby kto, że chcesz mojej duszy i mógłbym mniemać, że jesteś...

Don Belial nie dał mi dokończyć.

— Jestem — rzekł — jednym z głównych członków potężnego stowarzyszenia, które wzięło sobie za cel uszczęśliwianie ludzi i wyleczenie ich z nierozsądnych przesądów, jakie wysysają z mlekiem swych matek, a które potem w poprzek stają wszystkim ich żądaniom. Wydaliśmy już wiele mądrych książek, gdzie jak najoczywiściej dowodzimy, że miłość samego siebie jest zasadą wszystkich czynów ludzkich i że łagodna litość, przywiązanie dzieci do rodziców, namiętna i tkliwa miłość, łaskawość królów są tylko hipokryzją samolubstwa. Jeżeli więc miłość samego siebie jest główną sprężyną naszych postępów, zaspokojeniem naszych żądz, powinna być zatem koniecznym jej celem. Wiedzieli to dobrze prawodawcy i dlatego tak napisali prawa, żeby można je podchodzić, omijając, z czego też ludzie nie zaniedbują korzystać.

— Jak to, *don* Beliału — przerwałem — czyliż nie uważasz sprawiedliwości i niesprawiedliwości za rzeczywiste wartości?

— Są to — odrzekł — wartości względne. Dokładnie to zrozumiesz z pomocą apologu²²⁵, słuchaj tylko z uwagą:

„Maleńkie owady czołgały się po wierzchołkach wysokiego zielska. Jeden z nich rzekł do drugich: »Patrzcie na tego tygrysa obok nas rozciągniętego. Jest to najłagodniejsze zwierzę, nigdy nas nie zaczepia; tymczasem baran jest to dziki zwierz, który gdyby tu przyszedł, natychmiast by nas pożarł wraz z zielskiem służącym nam za schronienie, ale tygrys jest sprawiedliwy i pomściłby naszą śmierć«”.

Z tego możesz wnieść, mój młody przyjacielu, że wszystkie pojęcia o sprawiedliwości i niesprawiedliwości, złu i dobru są względne, nigdy zaś absolutne, czyli ogólne. Zgadzam się z tobą, że jest pewne niedołążne zadowolenie, przywiązane do tego, co nazywacie dobrymi uczynkami. Znajdziesz je niezawodnie, ocalając niewinnie oskarżonego Goraneza. Nie powinieneś na chwilę się wahać, jeżeli znudziła cię już jego rodzina. Zastanów się, masz na to dość czasu. Masz wręczyć pieniądze w sobotę, w pół godziny po zachodzie słońca. Przybądź tu w nocy z piątku na sobotę, trzy tysiące pistolów będzie czekać na ciebie, tymczasem zegnaj cię, przyjm na drogę to pudełko z cukierkami.

Wróciłem do domu i przez drogę zjadłem kilka cukierków. Pani Santarez i jej córki jeszcze nie spały, czekały na mnie. Chciałem mówić o nieszczęśliwym więźniu, ale nie dano mi na to czasu. Po cóż mam wyjawiać tak bezwstydną zbrodnię? Dowiedz się, że puściwszy cugle wyuzdanym żądzom, straciliśmy miarę czasu i nie rachowaliśmy dni. O więźniu zupełnie zapomniano.

Sobotni dzień chylił się już ku końcowi. Słońce zachodzące za chmury zdawało mi się rzucać po niebie krwawe odbłyski, gwałtowne błyskawice przejmowały mnie trwożą, usiłowałem przypomnieć sobie ostatnią rozmowę z *don* Beliałem. Nagle usłyszałem ponury, grobowy głos po trzykroć powtarzający:

— Goranez! Goranez! Goranez!

— Sprawiedliwe nieba! — krzyknęła pani Santarez. — Jestże to duch nieba lub piekiel, który do mnie przemawia i oznajmia mi o śmierci mego biednego ojca?

Straciłem przytomność. Odzyskawszy ją, pobiegłem drogą ku Manzanaresowi, chcąc po raz ostatni błagać litości *don* Beliala. Zbiry²²⁶ zatrzymały mnie i zaprowadziły na nie-

²²⁵apolog (z gr.) — przypowieść. [przypis edytorski]

²²⁶zbiry — daw. określenie członków straży; w innym oprac. tegoż tłumaczenia: alguacilowie. [przypis edytorski]

znajomą ulicę, do domu równie mi nieznanego, ale w którym wkrótce poznałem więzienie. Okuto mnie w łańcuchy i wrzucono do ciemnego lochu. Posłyszałem obok siebie brzęk łańcuchów.

— Czy to młody Hervas? — zapytał towarzysz mojej niedoli.

— Tak jest — odpowiedziałem — jestem Hervas i poznaję po głosie, że mówię z *don* Krzysztofem Sporadoz. Czy wiesz co o Goranezie? Czy on był niewinny?

— Jak najniewinniejszy — odparł *don* Krzysztof — ale oskarżyciel jego zastawił nań tak sztuczną zasadzkę, że mógł go według upodobania zgubić albo ocalić. Żądał od niego trzech tysięcy pistoletów. Goranez nie mógł nigdzie ich dostać i przed chwilą udusił się w więzieniu. Mnie także dano do wyboru podobną śmierć albo też wieczne więzienie w zamku Larache na brzegach Afryki. Wybrałem to ostatnie w nadziei, że za pierwszą sposobnością umknę i wtedy przejdę na wiarę mahometańską. Co zaś do ciebie, mój przyjacielu, wkrótce wezmą cię na tortury, ażeby zapytać cię o rzeczy, o których nie masz żadnego wyobrażenia. Mieszkałeś razem z panią Santarez, domyślają się więc, że jesteś współwinowajcą jej ojca.

Wystaw sobie człowieka, którego duch i ciało zniewieściały w rozkoszach, nagle zagrożonego okropnościami długich męczarni. Zdawało mi się, że już doznaję boleści tortury. Włosy mi powstały na głowie, trwoga zdjęła moje członki, które nie słuchały już mego rozkazu, ale mimowolnych drgań konwulsyjnych.

Odźwierny wszedł do więzienia po Sporadoza, który odchodząc, rzucił mi sztylet. Nie miałem siły podnieść go, a cóż dopiero, gdyby przyszło nim się przebić. Rozpacz moja doszła do tego stopnia, że sama śmierć nie mogłaby jej uspokoić.

— Ach, Belialu! — zawołałem. — Belialu, wiem dobrze, kim jesteś, a jednak cię przyzywam.

— Staję na twoje wezwanie — krzyknął duch nieczysty. — Weź ten sztylet, doładź krwi z palca i podpis ten papier, który ci tu podaję.

— O, aniele stróżu mój — zawołałem — więc już zupełnie mnie opuścili?

— Za późno go przyzywasz — wrzasnął szatan, zgrzytając zębami i buchając płomieniem. To mówiąc, wpoił mi szpony w czoło.

Uczulem ognistą boleść i zemdlałem, a raczej myślałem, że zemdlał, w istocie jednak byłem w zachwyceniu. Nagle światło olśniło więzienie. Złotoskrzydły cherub pokazał mi zwierciadło i rzekł:

— Widzisz na twoim czole przewrócone *Tau*. Jest to znak potępienia. Dojrzysz go na czołach innych grzeszników, sprowadzisz dwunastu na drogę zbawienia i wtedy sam na nią powrócisz. Przywdziej ten ubiór pielgrzyma i chodź za mną!

Obudziłem się, czyli raczej myślałem, że się budzę i w istocie nie znajdowałem się już w więzieniu, ale na drodze do Galicji. Strój ten pątniczy miałem na sobie.

Wkrótce spostrzegłem czeredę pielgrzymów idących do świętego Jakuba z Komposteli. Złączyłem się z nimi i obszedłem wszystkie miejsca święte w Hiszpanii. Chciałem przejść do Włoch i odwiedzić Loreto. Byłem wtedy w Asturii, obróciłem więc drogę przez Madryt, gdzie chciałem znaleźć dom pani Santarez, ale na próżno, chociaż dokładnie poznałem sąsiednie domy. Ten obłąd dowiódł mi, że jestem jeszcze pod władzą szatana. Nie śmiałem dalej przedsiębrać moich poszukiwań.

Zwiedziłem kilka kościołów, po czym udałem się do Buen Reliro. Nikogo nie zastałem w ogrodzie, prócz człowieka siedzącego na oddalonej ławce. Wielki krzyż maltański, wyszyty na jego płaszczu, oznajmiał mi, że należał do starszyny tego zakonu. Zdawał się dumać, siedział nawet nieruchomo, pogrążony w marzeniach.

Gdy zbliżyłem się do niego, zdało mi się, że widzę pod jego nogami przepaść, w której twarz jego odbijała się odwrotnie, jako zdarza się siedzącym nad wodą. Przepaść jednak pełna była ognia.

Postąpiłem kilka kroków, złudzenie znikło, ale przypatrzwszy się nieznajomemu, spostrzegłem, że miał na czole przewrócone *Tau*, znak potępienia, jaki cherub był mi pokazał w zwierciadle na moim własnym czole.

Gdy Cygan domawiał tych słów, jeden z jego bandy, przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności, musiał więc rozłączyć się z nami.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Nazajutrz stary naczelnik, powtarzając słowa Busquera, tak dalej mówił:

Dalszy ciąg historii Potępnego Pielgrzyma

Z łatwością zrozumiałem, że widzę przed sobą jednego z dwunastu grzeszników, których mam nawrócić na drogę zbawienia. Staralem się pozyskać jego zaufanie. Zamiar mój powiódł mi się w zupełności i gdy nieznamy przekonał się, że nie ciekawość wyłącznie mną powodowała, pewnego dnia, ulegając moim prośbom, w te słowa zaczął opowiadać swoje przygody.

Historia komandora Toralvy

Wstąpiłem do zakonu maltańskiego, nie wyszedłszy jeszcze z lat dziecinnych, zapisało mnie bowiem do służby jako pazią. Opiekunowie, jakich miałem u dworu, wyjednali dla mnie w dwudziestym piątym roku dowództwo galery. Wielki mistrz zaś, stanąwszy w Dounaison, powierzył mi najlepszą komandorię Aragonii. Mogłem więc, i dziś jeszcze mogę, ubiegać się o najpierwsze godności w zakonie; ale ponieważ można je osiągnąć dopiero w późnym wieku i ponieważ tymczasem nic nie miałem do czynienia, poszedłem więc za przykładem naszych pierwszych przeorów, którzy może winni byli lepsi mi nastręczyć: jednym słowem, oddałem się miłośkom. Wprawdzie wtedy już uważałem je za grzech, ale obym był nigdy większego nie popełnił. Ten, który dziś ciąży mi na sumieniu, wyniknął z karygodnej gwałtowności, która sprawiła, że zdeptałem najświętsze zasady naszej wiary. Z przestrachem budzę w sobie te wspomnienia, ale niepotrzebnie przedwcześnie je wywołuję.

Wiesz zapewne, że mamy na Malcie kilka szlacheckich rodzin wyspiarskich, które bynajmniej nie wchodzi do zakonu i nie mają żadnych stosunków z kawalerami jakiego bądź stopnia. Uznają one tylko najwyższą władzę wielkiego mistrza i kapituły, składającej jego radę.

Po tej klasie następuje druga, pośrednia, która zajmuje urzędy i poszukuje opieki kawalerów. Kobiety tej klasy, nazywają się *onorates*, co znaczy po włosku czcigodne²²⁷. W istocie zasługują na ten tytuł przez przyzwoitość w postępowaniu i jeżeli ci mam wszystko powiedzieć, przez tajemnicę, jaką osłaniają swoje miłości.

Długie doświadczenie nauczyło kobiety *onorates*, że zachowanie tajemnicy nie zgadza się z charakterem kawalerów francuskich, czy też raczej, że niesłuchanie rzadko któryś z nich łączy milczenie z innymi świetnymi przymiotami, jakie ich w ogóle cechują. Z tego wynikało, że młodzi ludzie tego narodu, przyzwyczajeni w innych krajach do wielkiego powodzenia u kobiet na Malcie muszą wdawać się z kobietami najniższej konduity. Kawalerowie niemieccy, mniej liczni, najwięcej mają szczęścia u czcigodnych kobiet i zawdzięczają je, jak sądzę, swej białoróżowej cerze. Za nimi idą Hiszpanie, których uczciwy i pewny sposób myślenia główną jest zaletą.

Kawalerowie francuscy, zwłaszcza zaś karawaniści, mszczą się na czcigodnych kobietach, drwiąc z nich wszelkimi sposobami i odkrywając ich tajemne stosunki; ponieważ jednak żyją zawsze osobno i nie chcą uczyć się języka włoskiego, którym cały kraj mówi, nikt przeto nie zważa na ich plotki.

Żyliśmy więc spokojnie z naszymi czcigodnymi kobietami, gdy pewnego dnia okręt francuski przywiózł nam komandora de Foulequère, ze starożytnego domu seneszałów z Poitou, pochodzącego od hrabiów Angoulême. Komandor był już raz na Malcie i wślawił się znaczną liczbą pojedynków. Teraz przybywał starać się o generalne dowództwo galer. Przeżył już był trzydzieści sześć lat życia, spodziewano się zatem, że musiał się ustatkować. W istocie, pozbył się zawadiactwa i poprzedniej popędliwości, ale natomiast stał się wyniosły, dumny, podstępny i wymagał więcej uległości niżeli sam wielki mistrz.

Komandor otworzył swój dom. Kawalerowie francuscy tłumnie się do niego schodzili. My rzadko kiedy do niego uczęszczaliśmy, na koniec zupełnieśmy z nim zerwali, zawsze bowiem toczono u niego nieprzyjemną dla nas rozmowę, zwłaszcza zaś o czcigodnych kobietach, które szanowaliśmy i kochali. Gdy komandor wychodził, rój młodych kara-

²²⁷ *czcigodne* — innym oprac. tegoż tłumaczenia: poważane. [przypis edytorski]

wanistów zawsze go otaczał. Komandor prowadził ich do „Ciasnej Uliczki”, pokazywał miejsca, gdzie się pojedynkował i opowiadał wszystkie szczegóły swoich pojedynków.

Muszę ci powiedzieć, że według naszych zwyczajów, pojedynki zakazane są na Malcie, z wyjątkiem Ciasnej Uliczki, przejścia, na które nie wychodzi żadne okno. Uliczka ma tyle szerokości, ile potrzeba dla dwóch ludzi chcących złożyć się i skrzyżować szpady, żaden z nich jednak nie może się cofnąć. Przeciwnicy stają w poprzek uliczki, przyjaciele ich zaś zatrzymują przechodzących, ażeby im nie przeszkadzali. Zwyczaj ten zaprowadzono niegdyś dla zapobieżenia morderstwom, człowiek bowiem, który wie, że ma nieprzyjaciela, nie przechodzi przez Ciasną Uliczkę, gdy zaś morderstwo gdzie indziej zostaje popełnione, niepodobna już podać je za pojedynek.

Wreszcie, pod karą śmierci, nie wolno ze sztyletem przechodzić przez Ciasną Uliczkę. Takim sposobem widzisz, że pojedynek nie tylko jest tolerowany, ale nawet dozwolony na Malcie, chociaż wyraźnie pozwolenie to nie jest ogłoszone. Kawalerowie ze swojej strony nie tylko że nie nadużywają tej swobody, ale mówią nawet o niej z pewnym rodzajem oburzenia, jako o występku przeciw miłosierdziu chrześcijańskiemu, będącemu zgorszeniem zwłaszcza w siedzibie zakonu duchownego.

Przechadzki komandora po Ciasnej Uliczce były zatem nie na miejscu. Karawaniści francuscy stali się kłótliwymi zawadiakami, a niewiele było potrzeba, aby ich do tego doprowadzić. Opryskliwie ich obyczaje coraz się pogarszały. Kawalerowie hiszpańscy jeszcze bardziej się od nich odstrychnęli, nareszcie zebrali się u mnie, zapytując, co mają czynić dla pohamowania popędliwości, która zaczynała być nieznośna. Podziękowałem rodakom za zaszczyt, jaki mi wyrządzali, pokładając we mnie zaufanie. Przyrzekłem im, że pomówię o tym z komandorem i przedstawię mu postępowanie młodych Francuzów, jako pewien rodzaj nadużycia, którego postępy on sam tylko mógł powściągnąć dzięki wysokiemu poważaniu i szacunkowi, jakimi go otaczały trzy języki jego narodu. Obiecywałem sobie, że przedstawię mu tę sprawę z wszelką grzecznością, wszelako rad byłem, że mnie do tego wybrano. Jednym słowem, muszę wyznać, że tym sposobem pochlebiałem odrazie, którą od dawna czułem do komandora.

Był wówczas właśnie Wielki Tydzień i postanowiono, że w przeciągu piętnastu dni będę mieć rozmowę z komandorem. Zdaje mi się, że mu doniesiono o moim zamiarze, który chciał uprzędzić, szukając ze mną zaczepki.

Nadszedł Wielki Piątek. Wiesz, że według zwyczaju hiszpańskiego tego dnia idzie się do kościoła i podaje wodę święconą kochanej kobiecie. Pod pewnym względem powodem tego jest zazdrość i obawa, aby kto drugi nie podał wody i tym sposobem nie starał się zawrzeć znajomości. Zwyczaj ten hiszpański wprowadzono na Maltę. Stosując do niego, udałem się za pewną czcigodną kobietą, z którą od kilku lat zostawałem w związkach. Ale w pierwszym kościele, do którego weszła, komandor zbliżył się przede mną. Stał pomiędzy nami i cofnął o kilka kroków, jak gdyby chciał nadepnąć mi na nogę. Postępowanie to zwróciło uwagę kilku obecnych kawalerów. Wyszedszy z kościoła, zbliżyłem się do niego obojętnie, pragnąc niby pomówić z nim o mało ważnych rzeczach. Zapytałem go, do jakiego kościoła chce teraz się udać. Nazwał mi jakiegoś świętego. Ofiarowałem, że zaprowadzę go krótszą drogą, i tak, że się nie spostrzegł, zawiodłem go w Ciasną Uliczkę. Stanąwszy tam, dobyłem szpady, pewny, że nikt nam nie przeszkodzi, wszyscy bowiem tego dnia znajdowali się w kościołach.

Komandor także dobył szpady, ale wkrótce zniżył ostrze:

— Jak to — rzekł — w Wielki Piątek?

Nie chciałem go słuchać.

— Racz *señor* zważyć — dodał — że od sześciu lat przeszło nie byłem u spowiedzi. Przeraza mnie stan mego sumienia. Za trzy dni...

Zwykle jestem spokojnego sposobu myślenia, a wiesz, że ludzie tego charakteru, raz przyprowadzeni do ostateczności, nie mogą się już opamiętać. Zmusiłem komandora, żeby stanął do walki, ale jakiś przestрах rozlał się po jego twarzy. Oparł się o mur, jak gdyby przewidując, że upadnie, zawczasu szukał oparcia.

W istocie, od pierwszego ciosu utopiłem mu szpadę w piersiach. Pochylił ostrze, zatoczył się na mur i rzekł umierającym głosem:

— Przebaczam ci, oby niebo chciało równie ci przebaczyć. Zanieś moją szpadę do Tête-Foulque i każ zmówić za moją duszę sto mszy w kaplicy zamkowej.

Wyzionął ducha. W pierwszej chwili nie zważałem na jego ostatnie słowa i jeżeli później przypominałem je sobie, to dlatego, że je powtórnie usłyszałem. Złożyłem moją deklarację w zwykłej formie i mogę rzec, że przed światem pojedynek mój wcale mi nie zaszkodził. Nie cierpiano komandora i uznano, że zasłużył na swój los. Sądziłem jednak, że zgrzeszyłem przed Bogiem, zwłaszcza uwłaczając świętości sakramentów i sumienie moje czyniło mi gorzkie wyrzuty. Trwało to przez osiem dni. W nocy z piątku na sobotę nagle obudziłem się i gdy spojrzałem dookoła, zdało mi się, że nie jestem w moim pokoju, ale że leżę na bruku w Ciasnej Uliczce. Zdziwiłem się niepomału, gdy ujrzałem wyraźnie komandora opartego o mur. Widmo zdawało się dobywać nadprzyrodzonych sił i rzekło: „Zanieś moją szpadę do Tête-Foulque i każ zmówić za moją duszę sto mszy w kaplicy zamkowej”. Zaledwie usłyszałem te słowa, gdy wpadłem w sen letargiczny. Nazajutrz obudziłem się w moim pokoju i w moim łóżku, ale zachowałem jak najdokładniej wspomnienie mego widzenia.

Następnej nocy kazałem służącemu spać w moim pokoju i nic nie widziałem. Przez cały tydzień byłem spokojny, ale w nocy z piątku na sobotę znowu miałem to samo widzenie z tą różnicą, że służący mój leżał na bruku o kilka kroków ode mnie. Widmo komandora pokazało mi się i powtórzyło te same słowa. Odtąd co piątek widziałem to samo zjawisko. Służący mój śnił, że leżał w Ciasnej Uliczce, ale nie widział ani słyszał komandora.

Z początku nie wiedziałem co to za Tête-Foulque, gdzie komandor żądał, abym zaniósł jego szpadę. Kawalerowie francuscy powiedzieli mi, że jest to zamek położony o trzy mile od Poitiers, wśród lasu, że opowiadano o nim w kraju wiele nadzwyczajnych rzeczy i że chodzono tam dla oglądania niektórych ciekawych przedmiotów, jak na przykład: zbroi Foulque'a Taillefer i broni pozabijanych przez niego rycerzy, że nareszcie według zwyczaju przyjętego w domu Foulquère, składano tam broń, która służyła członkom tej rodziny bądź w bitwach, bądź też w pojedynczych walkach. Wszystko to mocno mnie zajmowało, musiałem jednak pomyśleć wprzód o moim sumieniu.

Udałem się do Rzymu, wyznałem moje grzechy przed wielkim spowiednikiem i nie tałem mu widzenia, które ciągle mnie prześladowało. Nie odmówił mi rozgrzeszenia, ale udzielił je warunkowo. Po odbyciu pokuty miałem nie zapomnieć o stu mszach w kaplicy zamku Tête-Foulque. Niebo tymczasem przyjęło moją ofiarę i od chwili gdy się wyspowiadałem, widmo komandora przestało mnie dręczyć. Przywiozłem był z Malty jego szpadę, natychmiast więc wybrałem się w drogę do Francji.

Przybywszy do Poitiers, zastałem wszystkich już uwiadomionych o śmierci komandora i zauważyłem, że nie więcej go żałowano niż na Malcie. Zostawiłem w mieście moich służących, sam zaś przywdziałem ubiór pielgrzyma i nająłem przewodnika. Sądziłem, że powinienem pójść piechotą, zresztą droga do Tête-Foulque była nieprzystępna dla powozów.

Zastaliśmy bramę zamkniętą, długo dzwoniliśmy i wołaliśmy, wreszcie pokazał się murgrabia. Był on jedynym mieszkańcem Tête-Foulque, oprócz pustelnika, który doglądał kaplicy i którego właśnie znaleźliśmy przy modlitwie. Gdy skończył swoje pacierz, powiedziałem mu, że przychodzę prosić go o sto mszy. To mówiąc, złożyłem ofiarę na ołtarzu. Chciałem także i szpadę komandora na nim zostawić, ale murgrabia oznajmił mi, że należy odnieść ją do zbrojowni, gdzie według zwyczaju, składano zawsze broń wszystkich Fulquère'ów poległych w walkach, jak równie oręż zabitych przez nich przeciwników. Udałem się za murgrabią do zbrojowni i w istocie spostrzegłem mnóstwo szpad rozmaitej wielkości, równie jak i portrety zaczawszy od Foulqu'a Taillefer hrabiego Angulême, który wybudował Tête-Foulque dla syna swego z nieprawego łoża, który to syn był później seneszałem Poitou i protoplastą Fulquère'ów z Tête-Foulque.

Portrety seneszała i jego żony wisiały po obu stronach wielkiego komina umieszczonego w rogu zbrojowni. Wszystkie malowidła tchnęły nadzwyczajnym życiem, chociaż odznaczały się stylem odpowiednim do epoki; żadne jednak nie było tak uderzające jak portret Foulqu'a Taillefer. Obraz był naturalnej wielkości. Rycerz stał na nim w bawolim kaftanie, w jednej ręce trzymał szpadę, drugą zaś brał wojenny topór, który mu koniuszy jego podawał. Większość szpad wisiała misternie ułożona obok tego portretu.

Prosiłem murgrabiego, aby kazał rozpalić ogień i przynieść mi wieczerzę.

— Zgoda co do wieczerzy — odpowiedział — ale co się tyczy noclegu, radziłbym ci, mój pielgrzymie, abys przespał się raczej w moim pokoju.

Zapytałem go o powód tej przestrogi.

— Niepotrzebnie się pytasz — odparł murgrabia — zaufaj mi, każ sobie posłać obok mego łóżka.

Przyjąłem jego ofiarę z tym większą przyjemnością, że właśnie był piątek i lękałem się powrotu mego zjawiska.

Murgrabia wyszedł, aby zająć się moją wieczerzą, ja zaś zacząłem przypatrywać się brojni i portretom, które, jak powiedziałem, wymalowane były z niesłychanym realizmem. Im bardziej dzień chylił się ku upadkowi, tym więcej ponure draperie zlewały się w jeden cień z tłami obrazów, tylko ogień komina jaskrawo odznaczał twarze. Doznałem przykrego uczucia, może też dałem się zbyt unieść wyobraźni, stan bowiem mego sumienia utrzymywał mnie w ciągłej trwodze. Murgrabia przyniósł mi wieczerzę złożoną z półmiska pstrągów złowionych w sąsiednim potoku. Dano mi także flaszkę niezłego wina. Chciałem, żeby pustelnik usiadł z nami do stołu, ale ten żył tylko korzonkami gotowanymi w wodzie.

Miałem zwyczaj codziennie odmawiać brewiarz, jak przystało na zakonnika, tym bardziej hiszpańskiego. Dobyłem więc książkę i różaniec: powiedziałem margrabiemu, że ponieważ sen mnie jeszcze nie morzy, pomodłę się zatem w zbrojowni do późnej nocy, i prosiłem go, aby mi tylko wskazał mój pokój.

— Bardzo chętnie — odpowiedział — pustelnik przyjdzie o północy modlić się w kaplicy. Wtedy zejdziesz tymi małymi schodami i nie będziesz mógł ominąć mego pokoju, którego drzwi zostawię otwarte. Pamiętaj tylko, abys dłużej niż do północy się nie zatrzymywał.

Murgrabia wyszedł. Zacząłem modlić się, dorzucając czasami drzewa na ogień. Nie śmiałem jednak zbyt przypatrywać się ścianom, portrety bowiem zdawały się ożywać. Jeżeli przypadkiem spojrziałem na który, natychmiast zdawało mi się, że mruga oczami i wykrzywia usta. Nade wszystko seneszał i jego żona, którzy wisieli po obu stronach komina, rzucali na mnie gniewne spojrzenia, po czym spoglądali po sobie. Nagłe uderzenie wiatru, który zatrząsł oknami, tak że broń na ścianie zagrzechotała, podwoiło moją trwozę. Wszelako nie przestawałem żarliwie się modlić.

Nareszcie usłyszałem śpiewającego pustelnika i gdy śpiew ustał, zszedłem schodami, chcąc udać się do pokoju murgrabiego. Trzymałem w ręku kawałek łojowej świeczki, wiatr ją zagasił, powróciłem ją zapalić; ale jakież było moje zadziwienie, gdy ujrzałem seneszała i jego żonę, którzy wyszli z ram i siedzieli przy kominie. Rozmawiali sobie poufale, tak że można było wyraźnie słyszeć ich słowa:

— Moja panno — mówił seneszał — co aścka myślisz o tym Kastylianie²²⁸, który uśmiercił komandora i nie pozwolił mu nawet wypowiedzieć się?

— Myślę, mój miłościwy mężu i panie — odrzekło widmo niewieście — myślę, że jest to wielki grzech a niegodziwość. Mam jednak nadzieję, że wielce możny a miłościwy Taillefer nie wypuści tak na sucho owego Kastyliana i że ciśnie mu rękawicę.

Strach mnie zdjął niezmierny, wypadłem na schodki, chciałem po omacku trafić do drzwi murgrabiego, ale nadaremnie. W ręku trzymałem ciągle świeczkę, pragnąłem ją zapalić i nieco się uspokoić, usiłowałem wytłumaczyć sobie, że moja rozogniona wyobraźnia spłodziła te dwie postacie, które widziałem przy kominie. Wróciłem więc i stanąwszy we drzwiach zbrojowni, przekonałem się, że rzeczywiście nikogo nie było przy kominie. Wszedłem śmiało, ale postąpiwszy kilka kroków, cóż ujrzałem na środku zbrojowni? Miłościwy Taillefer w wojowniczej postawie, składał się do mnie końcem swojej szpady. Chciałem uciec na schodki, ale we drzwiach stała mara koniuszego, która rzuciła mi rękawicę pod nogi.

Nie wiedząc, co począć, pochwytiłem pierwszą lepszą szpadę ze ściany i rzuciłem się na mego fantastycznego przeciwnika. Zdawało mi się nawet, że go przeszył na wylot, ale w tej samej chwili odebrałem uderzenie nad sercem, które sparzyło mnie jak rozpalone żelazo. Krew moja zalała posadzkę i padłem bez zmysłów.

²²⁸Kastylian — dziś: Kastylijczyk. [przypis edytorski]

Obudziłem się nazajutrz w pokoju murgrabiego, który widząc, że nie powracam, wziął święconej wody i przyszedł po mnie. Znalazł mnie rozciągniętego bez przytomności na podłodze. Spojrzałem na piersi, nie miałem żadnej rany, więc cios, który, jak mi się zdawało, otrzymałem, był tylko skutkiem obłądu. Murgrabia o nic mnie nie pytał, ale radził, abym niezwłocznie opuścił zamek.

Poszedłem za jego radą i udałem się drogą do Hiszpanii. Ósmego dnia stanąłem w Bayonne. Przybyłem tam w piątek i zamieszkałem w znajomej mi gospodzie. Śród nocy nagle obudziłem się i ujrzałem przed sobą miłościwego Taillefera, który składał się do mnie swoją szpadą. Przeżegnałem się znakiem krzyża świętego i widmo rozwiał się jak opar. Wszelako uczulem to samo uderzenie, które otrzymałem w zamku Tête-Foulque. Zdawało mi się, że krew mnie zalała, chciałem wołać o pomoc, uciec z łóżka, ale jedno i drugie było niepodobne. Ta niewypowiedziana męczarnia trwała aż do pierwszego piania koguta; wtedy zasnąłem, ale nazajutrz zdrowie moje było w stanie godnym politowania. Odtąd co piątek to samo widzenie się powtarza, żadne pobożne uczynki nie mogły go oddalić. Smutek mój spycha mnie do grobu; legnę w nim i nie zdołam wydobyć się spod władzy szatana; słaby promyk nadziei w miłosierdziu boskim utrzymuje mnie jeszcze i dodaje sił do znoszenia moich cierpień.

Na tym skończył swoją powieść komandor Toralva albo raczej Pielgrzym Potępiony, który rozpowiadawszy ją Cornadezowi, tymi słowy ciągnął dalej własne przygody:

Dalszy ciąg historii Potępnego Pielgrzyma

Komandor Toralva był to człowiek pobożny, chociaż zgwałcił święte zasady religii, pojedynkując się z przeciwnikiem, któremu nie pozwolił nawet porachować się z sumieniem. Łatwo przekonałem go, że jeżeli rzeczywiście pragnął uwolnić się od nagabywań szatana, powinien był zwiedzić święte miejsca, w których grzesznicy zawsze znajdują pomoc i łaskę.

Toralva posłuchał mojej rady i razem zwiedzaliśmy cudowne miejsca w Hiszpanii. Następnie udaliśmy się do Włoch. Byliśmy w Loreto i w Rzymie. Wielki spowiednik udzielił mi nie tylko warunkowe, ale ogólne rozgrzeszenie, do którego dodał odpust papieski. Toralva, zupełnie wyswobodzony i wolny, odjechał na Maltę, ja zaś przybyłem do Madrytu, stamtąd zaś do Salamanki. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, natychmiast spostrzegłem na twoim czole znak potępienia i wiedziałem już o całej twojej historii. Hrabia Peña-Flor w istocie miał zamiar rozbałamucenia i uwiedzenia wszystkich kobiet, ale dotąd żadnej nie był jeszcze uwiódł ani rozbałamucił. Tak zgrzeszywszy tylko myślą, dusza jego nie była jeszcze w stanie pełnego niebezpieczeństwa; od dwóch lat jednak zaniedbał obowiązki religii i już miał im zadośćuczynić, gdy ty kazałeś go zamordować albo raczej przyczyniłeś się do jego śmierci. Oto jest przyczyna, dla której widmo cię przesładuje. Jeden jest tylko sposób powrócenia ci spokoju. Musisz pójść za przykładem komandora. Ja posłużę ci za przewodnika, od tego bowiem i moje własne zbawienie zależy.

Cornadez dał się przekonać. Zwiedził cudowne miejsca w Hiszpanii, następnie udał się do Włoch i dwa lata strawił w tej pielgrzymce. Pani Cornadez przepędziła ten czas w Madrycie, gdzie jej matka i siostra się osiedliły.

Wróciwszy do Salamanki, Cornadez znalazł dom swój w najlepszym porządku. Żona jego, piękniejsza niż kiedykolwiek, była odtąd dla niego łagodna i nadzwyczaj uprzedzająca. W dwa miesiące później pojechała jeszcze raz do Madrytu w odwiedziny do matki i siostry, po czym wróciła do Salamanki i pozostała już w niej na stałe, zwłaszcza gdy księciu Arcos powierzono ambasadę w Londynie.

Tu kawaler Toledo zabrał głos i rzekł:

— Señor Busqueros daruję ci resztę historii, ale muszę dowiedzieć się, co się stało ostatecznie z panią Cornadez.

— Owdowiała — odparł Busqueros — po czym znowu wyszła za mąż i odtąd jak najprzykładniej się prowadzi. Ale co widzisz? Oto właśnie i ona! Zmierza w tę stronę i jeżeli się nie mylę, idzie prosto do naszego domu.

— Co mówisz? — zawołał Toledo. — To jest pani Uscariz! Ach, niegodziwa! Wmówiła we mnie, że byłem pierwszym jej kochankiem, ale sownie mi to zapłaci.

Kawaler, pragnąc zostać sam na sam ze swoją kochanką, czym prędzej nas od siebie wyprawił.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Nazajutrz zebraliśmy się o zwykłej godzinie i poprosiwszy Cygana, aby dalej raczył ciągnąć opowiadanie swych przygód, taką otrzymaliśmy odpowiedź:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Toledo, uwiadomiony o prawdziwej historii pani Uscariz, przez jakiś czas zabawiał się rozprowadzaniem jej o Frasquecie Cornadez jako o zachwycającej kobiecie, którą rad byłby poznać i która sama tylko mogła była go uszczęśliwić, przywiązać i na wieki ustatkować. Nareszcie zdruzżyły go wszystkie miłości, równie jak i sama pani Uscariz.

Rodzina jego, nader wzięta u dworu, przeznaczała mu przeorstwo kastylskie, które właśnie podówczas zawakowało. Kawaler pośpieszył objąć nową godność do Malty, ja zaś straciłem jedyne go opiekuna, w którym miałem nadzieję, że dopomoże mi do zniweczenia zamiarów Busquera względem małżeństwa mego ojca. Musiałem pozostać spokojnym widzem wszystkich zachodów i podstępów, nie mogąc im się oprzeć. Rzecz zaś tak się miała:

Mówiłem wam już na początku mego opowiadania, że mój ojciec każdego poranku dla odetchnięcia świeżym powietrzem stawał na balkonie wychodzącym na ulicę Toledo, następnie szedł na drugi balkon, który wychodził na małą uliczkę, i jak tylko spostrzegł naprzeciwko sąsiadów, wnet pozdrawiał ich, mówiąc: *agur*. Niechętnie wracał do pokoju, nie przekazawszy wprzód komuś swego pozdrowienia. Sąsiedzi, aby go długo nie zatrzymywali, śpieszyli odebrać od niego dzień dobry. Poza tym nie miał z nimi żadnych innych stosunków. Uprzejmi ci sąsiedzi wyprowadzili się jednak, a miejsce ich zajęły panie Cimiento, dalekie krewne *don Roque* Busquera. Pani Cimiento, ciotka, była to czterdziestoletnia osoba z świeżą cerą i słodkim a udatnym wejrzeniem. Panna Cimiento, synowica, była wysoką, o kształtnej kibici, pięknych oczach i wytoczonych ramionach dziewczyną.

Obie kobiety wprowadziły się, gdy tylko mieszkanie było wolne, i nazajutrz, gdy mój ojciec wyszedł na swój balkon, z rozkoszą spostrzegł je na przeciwległym balkonie. Swoim zwyczajem powiedział im dzień dobry, one zaś odkłoniły mu się, jak można najwdzięczniej. Niespodzianka ta sprawiła mu niewypowiedzianą przyjemność, wszelako oddalił się do swego pokoju, co też i obie kobiety wkrótce uczyniły.

Wymiana wzajemnych grzeczności trwała przez osiem dni, po upływie których mój ojciec odkrył w pokoju panny Cimiento jakiś przedmiot, który do najwyższego stopnia zaostrzył jego ciekawość. Była to mała, szklana szafa napelniona słoikami i kryształowymi fiolkami. Jedne z nich zdawały się zawierać jaskrawe farby, jak gdyby do barwierskiego użytku, drugie piasek złoty, srebrny i błękitny, inne nareszcie lakier złotawy. Szafa stała tuż przy oknie. Panna Cimiento, odziana w lekką spódniczkę i gorsecik, przychodziła to po jedną to po drugą fiolkę i alabastrowym ramieniem zdawała się ćmić świetne barwy, jakie dobywała z szafy. Co jednak z nimi poczyniała, tego mój ojciec nie mógł odgadnąć, nie miał zaś zwyczaju nigdy o nic pytać, tak że wołał raczej pozostać w nieświadomości.

Pewnego dnia panna Cimiento usiadła w oknie i zaczęła pisać. Atrament był zupełnie gęsty; dołała doń wody i tak go rozrzedziła, że nie mógł na nic jej się przydać. Mój ojciec, idąc za popędem wrodzonego mu uczucia grzeczności, napełnił fiolkę najlepszym swoim atramentem i posłał ją sąsiadce. Służąca natomiast wraz z podziękowaniem przyniosła mu pudełko papierowe, zawierające dwanaście lasek laku rozmaitej barwy, każdą laskę zdobiły napisy lub godła nader misternie wykończone.

Mój ojciec nareszcie dowiedział się, czym trudniła się panna Cimiento. Praca ta, podobna do jego zajęcia, była niejako ostatecznym dopełnieniem zatrudnienia, jakiemu się oddawał. Wydoskonalenie fabrykacji laku, według zdania prawdziwych znawców, wyżej jeszcze było doprowadzone aniżeli atramentu. Mój ojciec, zdjęty podziwieniem, wystrzygł natychmiast kopertę, podpisał ją najczarniejszym swoim atramentem i zapie-

czętował nowym lakiem. Pieczęć odbiła się wysmienicie. Położył kopertę na stole i długo się w nią wpatrywał.

Wieczorem poszedł do księgarza Moreno, gdzie zastał jakiegoś nieznanego mu człowieka, który przyniósł podobne pudełko z tylomaż laskami laku. Obecni wzięli się do próbowania i nie mogli się dość nachwalić doskonałości wyrobu. Mój ojciec przepędził tam cały wieczór, w nocy zaś marzył tylko o laku.

Nazajutrz z rana oddał sąsiadom zwykle pozdrowienie, wymówił to samo słowo, chciał nawet więcej powiedzieć, otworzył usta, ale nic nie rzekł i odszedł do swego pokoju, wszelako tak siadał, żeby mógł dokładnie widzieć, co się działo u panny Cimiento. Służąca odkurzała sprzęty, piękna zaś siostrzenica za pomocą powiększającego szkła, śledziła najlżejsze źdźbła pyłu i pilnie je zdejmowała. Mój ojciec, niesłuchanie przywiązany do porządku, widząc to samo upodobanie w sąsiadce, powziął ku niej szczególniejszy szacunek.

Mówiłem wam, że mój ojciec zajmował się także zwijaniem cygar i rachowaniem przechodniów lub dachówek pałacu księcia Alby, wszelako odtąd nie poświęcał już, jak przedtem, całych godzin tej rozrywce, zaledwie kilka minut przy nim wysiedział, gdyż potężny urok ciągnął go bezustannie do balkonu wychodzącego na małą uliczkę.

Busqueros pierwszy spostrzegł tę zmianę i przy mnie nieraz zaręczał, że niezadługo *don Felipe Avadoro* wróci do swego nazwiska i pozbędzie się przydomku: *del Tintero Largo*. Jakkolwiek mało znałem się na interesach, wszelako domyśliłem się, że małżeństwo mego ojca w żadnym wypadku nie mogło być dla mnie korzystne, znowu więc pobiegłem do ciotki Dalanosy, zaklinając ją, aby koniecznie starała się złemu zapobiec. Ciotka moja szczerze się tą wieścią zmartwiła, powtórnie więc udała się do wuja Santeza; ale teatyn odpowiedział, że małżeństwo jest sakramentem boskim, na który nie miał prawa nastawać, że jednak będzie czuwał, aby mi w niczym krzywdy nie wyrządzono.

Kawaler Toledo dawno wyjechał już na Malteę, tak więc bezsilnie musiałem patrzeć na to wszystko, a czasami nawet i działać, gdyż Busqueros posyłał mnie z listami do swoich krewnych, sam bowiem nigdy u nich nie bywał. W ogóle pani Cimiento sama nigdy nie wychodziła i nikogo u siebie nie przyjmowała.

Mój ojciec ze swojej strony coraz rzadziej wychodził z domu. Nigdy dawniej nie byłby się wyrzekł swego teatru Santa-Cruz ani też zmienił wyznaczonego na każdy dzień postępowania, teraz jednak korzystał z najlżejszego kataru lub przeziębienia i kamieniem siedział w domu. Wtedy nie odchodził od okna wychodzącego na małą uliczkę i przypatrywał się, jak panna Cimiento ustawia flaszki lub laski laku. Widok dwóch śnieżnych ramion ciągle migających mu przed oczyma zapalił jego wyobraźnię tak, że nie mógł o czym innym myśleć.

Wkrótce nowy przedmiot podniecił jego ciekawość. Był to kociołek dość podobny do tego, w jakim przyprawiał swój atrament, ale daleko mniejszy i postawiony na żelaznym trójnogu. Lampa paląca się pod nim utrzymywała ciągle umiarkowane ciepło. Niebawem przybyły dwa takie same kociołki. Nazajutrz mój ojciec, wyszedłszy na balkon i powiedziawszy *agur*, otworzył usta, chcąc zapytać się, co znaczyły te kociołki, ale ponieważ nie miał zwyczaju mówić, nic przeto nie rzekł i odszedł do siebie. Dręczony ciekawością postanowił posłać pannie Cimiento jeszcze jedną butelkę swego atramentu. W podzięcie otrzymał trzy flaszki napełnione różnobarwnym atramentem: czerwonym, zielonym i niebieskim.

Wieczorem mój ojciec poszedł do księgarza Moreno. Zastał tam jakiegoś urzędnika z ministerium skarbu, który trzymał pod pachą ogólne sprawozdanie z rachunków kasy. Niektóre kolumny nakreślone w nim były atramentem czerwonym, tytuły niebieskim, linie zaś zielonym. Urzędnik dowodził, że sam posiada tajemnicę przyrządzania podobnych atramentów i że nikt w mieście nie był w stanie poszczycić się podobnymi. Na te słowa jakiś nieznanomy obrócił się do mego ojca i rzekł:

— *Señor Avadoro*, ty, który tak wysmienicie fabrykujesz czarny atrament, miałżebyś nie znać sposobów przyprawiania kolorowego?

Mój ojciec nie lubił, gdy go o coś pytano i z łatwością się mieszał. Otworzył jednak usta, aby odpowiedzieć, ale nic nie rzekł. Na szczęście sąsiadki tego samego dnia przysłały mu w podarunku trzy flaszki różnokolorowego atramentu, pobiegł więc czym prędzej do siebie i przyniósł je do Morena. Obecni nie mogli dość nadziwić się doskonałości atramentów, urzędnik zaś prosił o pozwolenie wzięcia kilku próbek do domu. Mój ojciec

osypany pochwałami, skrycie oddawał całą sławę pannie Cimiento, której nazwiska dotąd jeszcze nie znał. Powróciwszy do siebie, otworzył swoją książkę z przepisami i znalazł dwa na niebieski, trzy na zielony i siedem na czerwony. Tyle naraz przepisów pomieszało mu się w głowie, nie umiał zebrać myśli, piękne tylko ramiona sąsiadki żywo malowały się przed jego wyobraźnią. Położył się spać, ale obraz czarującej nieznanym nie dozwolił mu nawet zasnąć.

Nazajutrz z rana mój ojciec pozdrowił obie sąsiadki i stanowczo postanowił dowiedzieć się o ich nazwisko, otworzył więc usta, aby je zapytać, ale znowu nic nie rzekł i wrócił do swego pokoju. Następnie wyszedł na balkon od ulicy Toledo i spostrzegł człowieka dość przyzwoicie ubranego, trzymającego w ręku czarną butelkę. Zrozumiał, że to był ktoś żądający atramentu, zamieszkał więc w kotle, aby mu dać jak najczarniejszego. Kurek od kotła znajdował się u spodu w jednej trzeciej wysokości, tak, że męty zawsze zostawały na spodzie. Nieznajomy wszedł i ojciec mój napełnił jego butelkę; ale człowiek ten zamiast odejść, postawił butelkę na stole, usiadł i prosił o pozwolenie wypalenia cygara. Mój ojciec chciał coś odpowiedzieć, ale nic nie rzekł, nieznajomy dobył z kieszeni cygara i zapalił u lampy stojącej na stole.

Nieznajomy ten był to znany wam od dawna niegodziwy Busqueros.

— *Señor Avadoro* — rzekł do mego ojca — zajmujesz się wyrabianiem płynu, który niemało zaszkodził ludzkości. Ileż to spisków, zdrad, podstępów, złych książek wyszło na świat za pośrednictwem atramentu, że już nie wspomnę o bilecikach miłosnych i sprzyśnięciach na szczęście i honor małżonków. Jakież twoje zdanie w tym względzie, *señor Avadoro*? Nie odpowiadasz? W ogóle bowiem przyzwyczaiłeś się do milczenia. Mniejsza o to, jeżeli ty nic nie mówisz, ja za to mówię za dwóch, to znowu jest mój zwyczaj. Tymczasem, *señor Avadoro*, racz usiąść tu przy mnie, na tym oto krześle, wytłumaczę ci pokrótce moją myśl. Utrzymuję, że z tej butelki atramentu wyjdzie...

To mówiąc, Busqueros popchnął butelkę i atrament wylał się na kolana mego ojca, który w milczeniu pośpieszył obetrzeć się i przemienić suknie. Wróciwszy, zastał Busquerosa z kapeluszem w ręku, chcącego się z nim pożegnać. Mój ojciec, uszczęśliwiony, że go się pozbędzie, otworzył mu drzwi. W istocie Busqueros wyszedł, ale po chwili wrócił:

— Przepraszam cię *señor Avadoro* — rzekł — ale zapomnieliśmy obaj, że w butelce nic nie ma, wszelako nie zadawaj sobie trudu, ja sam potrafię ją napełnić.

Busqueros wziął lejek, wsadził do butelki i odkręcił kurek. Gdy butelka była pełna, mój ojciec znowu poszedł otworzyć mu drzwi. *Don Roque* wyniósł się czym prędzej, gdy wtem nagle mój ojciec spostrzegł, że kurek jest odkręcony i atrament leje się na pokój. W najwyższej rozpaczy pobiegł zakręcić kurek. W tej chwili Busqueros jeszcze raz powrócił i udając, że nie spostrzega szkody, jaką wyrządził, rozwalil się na tym samym krześle, dobył cygaro z kieszeni i zapalił je u lampy.

— Prawdaż to, *señor Avadoro* — rzekł do mego ojca — że miałeś syna, który utonął w tym kotle? Gdyby biedak umiał być pływać, byłby niezawodnie się wyratował. Gdzież to *señor* nabyłeś ten kocioł? Jestem pewien, że w Toledo. Doskonała glina, w takiej samej gotują saletrę. Twarda jak kamień, pozwól, spróbuję wiosłem.

Mój ojciec chciał przeszkodzić próbie, ale Busqueros uderzył w kocioł, który rozbił w kawałki. Atrament strumieniem wytrysnął, zalał mego ojca i wszystko, co się znajdowało w pokoju, nie wyłączając nawet Busquera, którego także mocno obryzgał.

Ojciec, który rzadko kiedy otwierał usta, tym razem jednak zaczął krzyczeć na całe gardło. Sąsiadki pokazały się na balkonie.

— Ach, zacne panie — zawołał Busqueros — stał nam się straszny wypadek, wielki kocioł stłukł się i cały pokój zalał atramentem. *Señor Tintero* nie wie, gdzie się podział. Zlitujcie się nad nami i przyjmijcie nas do waszego mieszkania.

Sąsiadki zdawały się zgadzać z radością i mój ojciec, pomimo swego pomieszenia, doznał pewnej rozkoszy, dowiedziawszy się, że zbliży się do pięknej nieznanym, która z daleka wyciągała do niego śnieżne ramiona i uśmiechała się ze szczególniejszym wdziękiem.

Busqueros zarzucił memu ojcu płaszcz na plecy i wepchnął go do domu pani Ciemiento. Zaledwie ojciec mój tam wszedł, odebrał nieprzyjemne poselstwo. Kupiec bławatów, który miał sklep pod jego mieszkaniem, przybył z doniesieniem, że atrament przeciekł na

jego towary i że posłał po urzędników sądowych dla opisanego szkody. Gospodarz domu uprzedził go zarazem, że dłużej nie ścierpi go w swojej posiadłości.

Mój ojciec, wypędzony ze swego mieszkania i skąpany w atramencie, przybrał minę wielce nieszczęśliwą.

— Nie potrzebujesz martwić się, *señor Avadoro* — rzekł mu Busqueros — te panie mają w podwórzu obszerne mieszkanie, którego wcale nie potrzebują, każę natychmiast do niego przenieść twoje rzeczy. Będzie ci tu bardzo wygodnie, znajdziesz pod dostatkiem atramentu czerwonego, niebieskiego, zielonego, daleko lepszego, aniżeli był twój czarny. Wszelako radzę ci, abys przez jakiś czas nie wychodził z domu, gdybys bowiem poszedł do Morena, każdy kazałby ci opowiadać przygodę o stłuczonym kotle, a wiem, że nie lubisz wiele mówić. Spójrz, oto wszyscy madryccy próżniacy, oglądają już w twoim mieszkaniu powódź atramentu, jutro w całym mieście nie będzie się o niczym innym mówiło.

Ojciec był jeszcze niewymownie zmieszany, gdy jedno ponętne wejrzenie panny Cimienta wróciło mu odwagę, poszedł więc rozgościć się w nowym swoim mieszkaniu. Niedługo w nim sam zostawał, panna Cimienta przyszła do niego i powiedziała mu, że naradziwszy się z matką, postanowiły oddać mu *cuarto principal*, to jest mieszkanie wychodzące na ulicę. Mój ojciec, który z upodobaniem liczył przechodzących lub dachówki pałacu księcia Alby, z ochotą przystał na zamianę. Proszono go o pozwolenie zostawienia kolorowych atramentów na dawnym miejscu. Mój ojciec kiwnięciem głowy wyraził swoje zadowolenie. Kociolki stały w środkowym pokoju; panna Cimienta przychodziła, wychodziła, brała farby, nie mówiąc ani słowa, tak że w całym domu panowało jak najgłębsze milczenie. Mój ojciec nigdy nie był równie szczęśliwy. Tak przeszło osiem dni. Dziewiątego Busqueros odwiedził mego ojca i rzekł mu:

— *Señor Avadoro*, przychodzę donieść ci o pomyślnym spełnieniu życzeń, o których marzyłeś, ale których dotąd nie odważyłeś się wypowiedzieć. Wzruszyłeś serce panny Cimienta, otrzymasz jej rękę; ale musisz wprzód podpisać ten papier, który z sobą przynoszę, jeżeli chcesz, ażeby w niedzielę ogłoszono zapowiedzi.

Mój ojciec, niesłychanie zdziwiony, chciał odpowiedzieć, ale Busqueros nie dał mu na to czasu i dodał:

— *Señor Avadoro*, przyszłe twoje małżeństwo dla nikogo nie jest tajemnicą. Cały Madryt o nim tylko mówi. Jeżeli masz zamiar je opóźnić, krewni panny Cimienta zbiorą się u mnie, wtedy przyjdiesz i sam wyłożysz im powody zwłoki. Jest to postępowanie, którego żadnym sposobem nie możesz uniknąć.

Ojciec osłupiał na myśl, że będzie musiał odpowiadać przed całą rodziną, chciał coś powiedzieć, ale *don Roque* znowu mu przerwał i rzekł:

— Pojmuję cię, rozumiem zupełnie, chcesz upewnić się o twoim szczęściu z ust samej panny Cimienta. Właśnie i ona nadchodzi; zostawiam was samych.

Panna Cimienta weszła cała zmieszana, nie śmiać podnieść oczu na mego ojca; wzięła kilka farb i zaczęła je mieszać w milczeniu. Bojaźń jej podniosła odwagę w *don Felipie*, wlepił w nią oczy i nie mógł już oderwać. Tym razem zupełnie inaczej na nią się patrzył.

Busqueros zostawił był na stole papiery potrzebne do ogłoszenia zapowiedzi. Panna Cimienta zbliżyła się, drżąc, wzięła, przeczytała, po czym zasłoniła oczy dłonią i uroniła kilka łez. Mój ojciec od śmierci swojej małżonki ani sam nigdy nie płakał, ani też nie dał nikomu przyczyny do płaczu. Łzy przez niego spowodowane tym bardziej go wzruszyły, że nie mógł dokładnie odgadnąć ich przyczyny. Rozmyślał więc: czyli²²⁹ panna Cimienta płakała z zadowolenia z tego papieru lub też dla braku podpisu? Czyli chciała zaślubić go lub nie? Jednakowoż ciągle płakała. Zbyt okrutnym byłoby pozwolić jej dalej płakać, chcąc zaś, aby się wytłumaczyła, należało wdać się z nią w rozmowę, mój ojciec przeto wziął pióro, podpisał papier i odszedł. Panna Cimienta wróciła do środkowego pokoju o zwykłej godzinie, pocałowała mego ojca w rękę, nie mówiąc ani słowa i zajęła się fabrykacją laku niebieskiego. Mój ojciec tymczasem palił cygaro i liczył dachówki pałacu księcia Alby. W południe przyszedł *fra Geronimo Santez* i przyniósł z sobą kontrakt ślubny, w którym nie zapomniano o mnie. Mój ojciec podpisał go, panna Cimienta także go podpisała, pocałowała mego ojca w rękę i wróciła w milczeniu do swego laku.

²²⁹czyli (daw.) — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -li; znaczenie: czy, czy aby. [przypis edytorski]

Od chwili roztluczenia wielkiego kotła mój ojciec nie śmiał już pokazywać się w teatrze, a tym mniej u księgarza Moreno. Odosobnienie to zaczynało go już nudzić. Trzy dni upłynęły od podpisania kontraktu. Busqueros przyszedł namawiać mego ojca, aby wybrał się z nim na przechadzkę. Mój ojciec dał się nakłonić i pojechali na drugą stronę Manzanaresu. Niebawem stanęli przed małym kościółkiem franciszkanów. *Don Roque* wysadził mego ojca, weszli do kościółka i zastali pannę *Cimiento*, która już na nich oczekiwała. Mój ojciec otworzył usta, chcąc powiedzieć, że myślał, iż wyjechał tylko dla odetchnięcia świeżym powietrzem, ale nic nie rzekł, wziął pannę *Cimiento* za rękę i zaprowadził ją do ołtarza.

Po wyjściu z kościoła nowożeńcy wsiedli do wspaniałego powozu i wrócili do Madrytu do pięknego domu, gdzie czekał ich świetny bal. Pani *Avadoro* rozpoczęła go z jakimś młodzieńcem nader przyjemnej postaci. Tańczyli *fandango* z powszechnym zadowoleniem obecnych i rześzystymi oklaskami. Mój ojciec na próżno szukał w swojej małżonce tej cichej i potulnej dziewczyny, która całowała go w rękę z uczuciem tak głębokiej pokory. Zamiast tego z nieopisanym zadziwieniem spostrzegł kobietę żywą, roztargnioną i z upodobaniem oddającą się zgielkłej rozrywce, wreszcie do nikogo się nie odzywał, nikt go o nic nie pytał i milczenie to było jedyną jego pociechą.

Zastawiono mięsa na zimno i chłodniki, następnie mój ojciec, zmorzony snem, odważył się zapytać, czy nie byłaby już pora wracać do domu. Odpowiedziano mu, że znajduje się we własnym mieszkaniu, dom ten albowiem stanowił część posagu jego żony. Kazał sobie pokazać sypialny pokój i legł na spoczynek.

Nazajutrz *don Roque* rozbudził nowożeńców.

— *Señor*, kochany mój kuzynie — rzekł do mego ojca — tak cię nazywam, albowiem żona twoja jest najbliższą krewną, jaką mam na ziemi. Matka jej pochodzi z rodziny *Busquerów* z *Leonu*, którzy należą do młodszej linii *Busquerów* kastylijskich. Dotychczas nie chciałem ci wspominać o twoich interesach, ale odtąd zamierzam zająć się nimi więcej niż mymi własnymi, prawdę bowiem mówiąc, nie mam żadnych własnych interesów. Co się tyczy twego majątku, *señor Avadoro*, wywiedziałem się dokładnie o twoich przychodach i o sposobie, w jaki je od szesnastu lat użytkujesz.

Oto są papiery objaśniające stan twego mienia. Żeniąc się po raz pierwszy, miałeś cztery tysiące pistolów rocznego dochodu, którego, między nami mówiąc, nie umiałeś wydać. Brałeś dla siebie sześćset pistolów, dwieście zaś przeznaczałeś na wychowanie twego syna. Zostawało ci więc trzy tysiące dwieście pistolów, które umieszczałeś w banku *Grimios*²³⁰, procent zaś od nich oddawałeś teatynowi *Geronimo* na miłosierne uczynki. Bynajmniej cię w tym nie ganię, ale na uczciwość, żal mi teraz ubogich, będą bowiem musieli obejść się bez twego wsparcia.

Naprzód, my sami potrafimy wydać twoje cztery tysiące pistolów rocznego dochodu, co zaś do pięćdziesięciu jeden tysięcy dwustu, złożonych na banku *Grimios*, oto jest sposób, w jaki nimi rozporządzymy: za ten dom osiemnaście tysięcy pistolów, jest to wiele, wyznaję, ale sprzedawca jest moim krewnym, moi zaś krewni są twoimi, *señor Avadoro*. Naszyjnik i kolczyki, jakie pani *Avadoro* wczoraj miała na sobie, warte są między braćmi osiem tysięcy pistolów, przypuśćmy dziesięć, później przyczynę ci wytłumaczę. Zostaje nam jeszcze dwadzieścia trzy tysiące dwieście pistolów. Przekłęty teatyn zachował piętnaście tysięcy dla twego łotra syna, w razie gdyby się ten kiedy odnalazł. Pięć tysięcy na uporządkowanie twego domu, nie jest to zbyt wiele, gdyż szczerze mówiąc, wyprawa twojej żony składa się z sześciu koszul i tyłuż par pończoch. Powiesz mi, że z tej mamony zostaje ci jeszcze trzy tysiące dwieście pistolów, z którymi sam nie wiesz, co począć. Ażeby wydzwignąć cię z kłopotu, pożyczam je u ciebie na procent, o który się już ułożymy. Oto jest, *señor Avadoro*, pełnomocnictwo, racz je podpisać.

Mój ojciec nie mógł odetchnąć ze zdumienia, w jakie go wprawiała ta mowa *Busquera*, otworzył usta, aby mu odpowiedzieć, ale nie wiedząc, jak zacząć, odwrócił się do ściany i nacisnął szlafmycę na oczy.

— Mniejsza o to — rzekł *Busqueros* — nie pierwszym jesteś, który chciał uciec przede mną w swoją szlafmycę i udawać, że śpi. Znam się na tych wybiegach. Na szczęście mam także moją szlafmycę w kieszeni, położę się na kanapie, prześpiemy się obaj i gdy

²³⁰w banku *Grimios* — w innym oprac. tegoż tłumaczenia: w banku handlowym. [przypis edytorski]

obudzimy się, powrócimy znowu do naszego pełnomocnictwa. W przeciwnym razie, zbierzemy moich i twoich krewnych i zobaczymy, czy ta rzecz nie da się inaczej ułożyć.

Mój ojciec z głową zagłębioną między poduszkami zaczął rozmyślać nad swoim położeniem i środkami, za pomocą których mógłby osiągnąć spokojność. Pojął, że zostawiając żonie wszelką wolność, może zdoła wrócić do dawnego sposobu życia, będzie mógł chodzić do teatru, do księgarza Moreno, a nawet oddawać się rozkoszy wyrabiania atramentu. Pocieszony nieco tą myślą, otworzył oczy i dał znak, że podpisze pełnomocnictwo.

W istocie podpisał i chciał wstać z łóżka.

— Wstrzymaj się, *señor Avadero* — rzekł mu Busqueros — zanim wstaniesz, powinienś ułożyć sobie, co będziesz przez cały dzień porabiał. Ja ci w tym dopomogę i spodziewam się, że będziesz zadowolony z planu, jaki ci podam, tym bardziej, że dzień ten rozpocznie pasmo równie przyjemnych jak rozmaitych zatrudnień. Naprzód przynoszę ci tu piękny ubiór na konia; dzielny rumak czeka na ciebie u bramy, przejedziemy się po Prado, dokąd i pani Avadero niebawem przybędzie w karecie. Przekonasz się, *señor don Felipe*, że małżonka twoja ma w mieście znakomitych przyjaciół, którzy także będą twoimi. Wprawdzie od niejakiego czasu ostygli nieco dla niej, ale teraz, widząc ją połączoną z człowiekiem równie zacnym jak ty, zaręczam, że wszyscy powrócą. Powtarzam ci, pierwsi dostojnicy dworu będą cię szukali, uprzedzali, ściskali, co mówię, dusili w namiętnych uściskach przyjaźni!

Na te słowa mój ojciec zemdlął albo też raczej wpadł w stan zdrętwienia bliski letargu. Busqueros nie spostrzegł tego i tak dalej mówił:

— Niektórzy z tych panów uczynią ci zaszczyt zaproszenia się na twoje obiady. Tak jest, *señor Avadero*, uczynią ci ten zaszczyt i myślę, że nie zawiodę się na tobie. Przekonasz się, jak twoja żona umie przyjmować gości. Do stu bomb i kartaczów, nie poznasz skromnej fabrykantki laku! Nic mi na to nie odpowiadasz, *señor Avadero*? Masz słusność, że nie przerywasz. Tak na przykład lubisz komedię hiszpańską, ale ja założę się, że nigdy nie byłeś na operze włoskiej, którą cały dwór się zachwyca. Dobrze więc, dziś wieczorem pójdziesz na operę i zgadnij, do czyjej łoży? Do *don Fernanda de Thaz* wielkiego koniuszego, ani mniej, ani więcej. Stamtąd udamy się na bal do tegoż pana, gdzie spotkasz całe dworskie towarzystwo. Wszyscy będą z tobą rozmawiać, przygotuj się na odpowiedzi.

Mój ojciec zaczął tymczasem wracać do zmysłów, gdy nagle dowiedział się, że będzie musiał odpowiadać całemu dworowi. Zimny pot wystąpił mu na czoło, ramiona zdrętwiały, szyja się skurczyła, głowa opadła mu na poduszki, wytrzeszczył okropnie oczy, z piersi wydzierają mu się gwałtowne westchnienia, słowem, dostał konwulsji. Busqueros spostrzegł nareszcie, jaki skutek wywarła jego mowa, zawołał na pomoc, sam udał się do Prado, gdzie moja macocha wkrótce za nim pospieszyła.

Ojciec mój wpadł w powtórny stan odrętwienia. Przyszedszy do sił, nie poznawał nikogo, z wyjątkiem żony i Busquera. Skoro ich spostrzegł, wściekłość malowała się w jego rysach, zresztą był spokojny, milczał i nie chciał wstać z łóżka. Gdy czasami musiał powstać na chwilę, zdawał się być zziębnięty i trząsł się przez pół godziny. Wkrótce symptomy pogorszyły się. Chory nie mógł przyjmować żadnego pożywienia, żył tylko kleikiem i rosółem. Spazm konwulsyjny ścisnął mu gardło, język opuchł i zeszywniał, oczy zeszkliły się i zimny pot ciągle występował mu na skórę.

Wszedłem do jego domu przebrany za służącego i zdjęty smutkiem spoglądałem na postępy choroby. Ciotka Dalanosa, którą przypuściłem do tajemnicy, czuwała przy nim, ale chory nie poznawał jej: co zaś do mojej macochy, widoczne było, że obecność jej wielce mu szkodziła, tak że *fra Geronimo* namówił ją, aby wyjechała na prowincję, dokąd i Busqueros za nią pospieszył.

Wymyśliłem ostatni środek, który mógł wyciągnąć mego ojca z nieszczęśliwego stanu i który w istocie powiódł się na chwilę. Pewnego dnia *don Felipe* ujrzał przez otwarte drzwi w drugim pokoju kocioł zupełnie podobny do tego, jakiego dawniej używał do przyprawiania atramentu; obok stał stolik z różnymi fiaszkami i wagami do odmierzania przypraw. Cicha wesołość wybiegła na lica mego ojca, wstał, zbliżył się do stolika, zażądał krzesła, ale ponieważ był bardzo osłabiony, kto inny zatem musiał zająć się fabrykacją, której mój ojciec bacznie się przyglądał. Nazajutrz mógł już sam rękę przyłożyć, następnego dnia stan jego znacznie się polepszył, ale w kilka dni potem pojawiła się gorączka

zupełnie obca dotychczasowej chorobie. Symptomy wcale nie były gwałtowne, wszelako chory tak upadł na siłach, że nie mógł znieść najmniejszego poruszenia. Zgasł, nie poznawszy mnie nawet, chociaż wszelkimi sposobami usiłowano przypomnieć mnie jego pamięci.

Tak umarł człowiek, który nie przyniósł z sobą na świat tego stopnia sił moralnych i fizycznych, jaki mógłby mu nadać potrzebną na męża dzielność. Instynkt, że tak powiem, skłonił go do wybrania pewnego rodzaju życia zastosowanego do jego zdolności. Zginął, gdy go chciano rzucić w życie czynu.

Czas już, abym powrócił do własnych przygód. Skończyły się nareszcie dwa lata mojej pokuty. Trybunał inkwizycji pozwolił mi wrócić do własnego nazwiska pod warunkiem, że odbędę wyprawę na galerach maltańskich. Z radością przyjąłem ten rozkaz, spodziewając się, że spotkam komandora Toledo już nie jako służący, ale prawie jako równy.

Oporządziłem się zbytkownie, przymierzając suknie u ciotki Dalanosy, która umierała z zachwytu. Wyjechałem o wschodzie słońca, ażeby ukryć przed ciekawymi moją przemianę. Wsiadłem na okręt w Barcelonie i po krótkiej podróży przybyłem do Malty. Spotkanie moje z kawalerem sprawiło mi większą przyjemność, aniżeli się spodziewałem. Toledo zapewnił mnie, że nigdy nie dał się omamić memu przebraniu i że zamierzał ofiarować mi swoją przyjaźń, jak tylko powrócę do pierwotnego stanu. Kawaler dowodził główną galerą, wziął mnie więc na swój pokład i krążyliśmy po morzu przez cztery miesiące, nie zaszкодziwszy wiele Berberom, którzy na lekkich statkach łatwo przed nami umykali.

Tu kończy się historia moich lat dziecięcych. Opowiedziałem wam ją ze wszelkimi szczegółami, gdyż dotąd są one przytomne mojej pamięci. Zdaje mi się, że widzę przed sobą celę mojego rektora u teatynów z Burgos, surową postać ojca Sanudo; zdaje mi się, że zajadam kasztany pod przysionkiem kościoła św. Rocha i wyciągam ręce do szlachetnego Toledo.

Nie opowiem wam z równą dokładnością przygód mojej młodości. Ile razy przenoszę się wyobraźnią w te najświetniejsze czasy mego życia, widzę tylko zgiełk rozmaitych namiętności i pomieszaną wrzawę burz. Głębokie zapomnienie ukrywa przede mną uczucia, jakie napełniały moją duszę i unosiły ją chwilowym szczęściem. Spostrzegam wprawdzie promyki wzajemnej miłości przedzierające się do mnie przez mgłę minionych dni, ale płaczą się przedmioty tej miłości i widzę tylko pogmatwane obrazy pięknych, rozczulonych kobiet, wesołych dziewcząt zarzucających mi na szyję śnieżne ramiona, widzę nawet, jak posępne ochmistrzynie, nie mogąc oprzeć się tak wzruszającemu widokowi, łączą kochanków, których by na zawsze powinny były rozdzielić. Widzę upragnioną lampę dającą mi znak z okna, tajemne schodki prowadzące mnie do skrytych drzwi. Chwile te — to rozkosz w całej potędze. Czwarta godzina bije, zaczyna dzień, trzeba się rozstać, ach, i rozstanie ma także swoją słodycz.

Mniemam, że od jednego końca świata do drugiego historia miłości wszędzie jest jednakowa. Opowiadanie moich mogłoby nie być dla was zbyt zajmujące, ale sądzę, że radzi posłuchacie historii pierwszych moich uczuć. Szczegóły ich są zadziwiające, mógłbym nawet poczytać je za cudowne. Dziś jednak już jest późno, muszę jeszcze pomyśleć o sprawach mojej hordy, pozwólcie więc, abym dalszy ciąg odłożył na jutro.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Zebrałiśmy się o zwykłej godzinie i Cygan, mając czas wolny, tak dalej zaczął mówić:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Następnego roku kawaler Toledo objął główne dowództwo nad galerami, brat zaś jego przysłał mu na wydatki sześćkroć sto tysięcy piasstrów. Zakon miał wówczas sześć galer, do których Toledo dwie własnym kosztem uzbroidł. Kawalerów zebrało się sześciuset. Była to najpierwsza młodzież Europy. Naówczas zaczynano we Francji dawać wojsku mundury, co dotąd nie było jeszcze w zwyczaju. Toledo dał nam mundur na pół francuski, a na pół hiszpański. Nosiliśmy purpurowy kaftan, czarną zbroję z krzyżem maltańskim na piersiach, kryzę i kapelusz hiszpański. Ubiór ten dziwnie pięknie przypadał nam do twarzy. Gdzie tylko przybijaliśmy, kobiety nie odchodziły od okien, ochmistrzynie zaś biegały

z miłosnymi bilecikami, które często przez omyłkę oddawały komu innemu. Zamiany takowe stawały się powodem najzabawniejszych wydarzeń. Przybijaliśmy do wszystkich portów Śródziemnego Morza i wszędzie oczekiwały nas nowe uroczystości.

Pośród tych rozrywek zacząłem dwudziesty rok życia, Toledo miał dziesięć lat więcej. Wielki mistrz ozdobił go wielkim krzyżem i nadał mu godność przeora Kastylii²³¹. Opuścił Malteę okryty nowymi zaszczytami i namówił mnie, abym towarzyszył mu w podróży po Włoszech. Wsiadliśmy na okręt i szczęśliwie przybyliśmy do Neapolu. Nieprędko bylibyśmy stąd wyjechali, gdyby powabny Toledo był tak łatwy do zatrzymania, jak łatwo dawał się chwycić w sieci pięknych kobiet; ale przyjaciel mój w wysokim stopniu posiadał sztukę porzucania kochanek, nie zrywając przez to z nimi dobrych stosunków. Opuścił więc miłostki neapolitańskie dla przyjęcia nowych więzów kolejno we Florencji, Mediolanie, Wenecji, Genui, tak że dopiero następnego roku przybyliśmy do Madrytu.

W pierwszych dniach Toledo poszedł przedstawić się królowi, następnie pokazać w Prado. Wziął najpiękniejszego konia ze stajni brata swego, księcia Lermy, kazał osiodłać dla mnie drugiego, nie mniej pięknego, i pojechaliśmy zmieszać się z czeredą tłoczącą się przy drzwiczkach kobiecych powozów.

Przepyszny pojazd zwrócił naszą uwagę: była to otwarta karetka, w której siedziały dwie kobiety w na pół żałobnym stroju. Toledo poznał dumną księżnę Avila i podjechał, aby się z nią przywitać; druga kobieta odwróciła się: nie znał jej wcale i zdawał się być oczarowany jej pięknnością.

Nieznaną tą była ta sama księżna Medina Sidonia, która tylko co była porzuciła swoje schronienie i wracała do świata. Poznała dawnego swego niewolnika i skrycie położyła palec na ustach, dając znak, abym nie wydał jej tajemnicy. Następnie obróciła piękne swe oczy na Toledo, który przybrał postać poważną i bojaźliwą, jakiej w nim dotąd nie widziałem przy żadnej kobiecie. Księżna Sidonia oświadczyła, że nie wejdzie już w powtórne związki, księżniczka Avila zaś, że nigdy nie pójdzie za mąż. Wobec tak nieodmiennie obranych postanowień kawaler maltański właśnie w sam czas przybywał. Obie damy nader mile przyjęły Toledo, który z wdzięcznością podziękował za ich łaskę, księżna Sidonia zaś, udając, że mnie po raz pierwszy widzi, potrafiła zwrócić na mnie uwagę swej przyjaciółki. Tym sposobem utworzyliśmy dwie pary, które ciągle spotykały się pośród wszystkich uroczystości Madrytu. Toledo kochany po setny raz w życiu, ja zaś zakochany po raz pierwszy. Starłem się składać holdy pełne poszanowania u stóp księżniczki Avila. Zanim jednak przystąpię do opowiedzenia wam moich stosunków z tą damą, muszę uwiadomić was o położeniu, w jakim naówczas się znajdowała.

Księżę Avila, ojciec jej, umarł podczas naszego pobytu na Malcie. Śmierć człowieka chciwego zaszczytów zawsze wielkie na ludziach wywiera wrażenie. Jest to upadek, który zawsze, jeżeli ich nie wzrusza, to przynajmniej zadziwia. Pamiętano w Madrycie infantkę Beatrycze i tajemny jej związek z księciem. Zaczęto wspominać o synu, na którym miały spoczywać dalsze losy tej rodziny. Spodziewano się, że testament nieboszczyka objaśni tę tajemnicę, ale powszechnie oczekiwania spełzły na niczym: testament niczego nie objaśniał. Dwór milczał, tymczasem zaś dumna księżniczka Avila weszła w świat, wynioślejsza, bardziej gardząca zalotnikami i stanem małżeńskim niż kiedykolwiek.

Chociaż urodziłem się z uczciwej szlacheckiej rodziny, atoli w pojęciach hiszpańskich nie mogła istnieć żadna równość między mną a księżniczką, do której mogłem zbliżyć się tylko jako młody człowiek szukający jej opieki dla wyrobienia sobie losu. Toledo był niejako rycerzem pięknej Sidonii, ja zaś niby koniuszym jej przyjaciółki. Służba ta nie miała dla mnie nic nieprzyjemnego, mogłem, nie zdradzając mojej namiętności, uprzedzać wszelkie chęci zachwycającej Manueli, wypełniać jej rozkazy, słowem, wyłącznie poświęcić się na jej usługi. Tak, wiernie pilnując skinię mojej władczyni, strzegłem się, aby żaden wyraz, rzut oczu lub westchnienie nie wydały uczuć mego serca. Bojaźń, aby jej nie ubliżyć i nie narazić się na zakaz widywania, jaki łatwo mógł po tym nastąpić, dodawała mi siły do ukrycia mojej namiętności. Śród tego księżna Sidonia o ile możności starała się podnieść mnie w oczach swej przyjaciółki, ale łaski, jakie otrzymywała dla mnie, ograniczały się jedynie do kilku przyjaznych uśmiechów wyrażających zimną przychyłość.

²³¹ozdobił go wielkim krzyżem i nadał mu godność przeora Kastylii — w innym oprac. tegoż tłumaczenia: mianował go wielkim bailim i nadał mu sub-priostat Kastylii. [przypis edytorski]

Stan taki trwał przeszło rok. Widywałem księżniczkę w kościele, w Prado odbierałem jej rozkazy na cały dzień, ale nigdy noga moja nie stała w jej domu. Pewnego dnia kazała przywołać mnie. Zastałem ją nad krosnami, otoczoną orszakiem służebnic. Wskazawszy mi krzesło, przybrała postać niesłychanie dumną i rzekła:

— *Señor Avadoro*, ubliżyłabym pamięci mych przodków, których krew płynie w moich żyłach, gdybym nie użyła całej wziętości mojej rodziny do wynagrodzenia przysług, jakie codziennie mi wyświadczasz. Wuj mój, książę Sorriente, uczynił mi też samą uwagę i ofiaruje ci miejsce pułkownika w pułku jego nazwiska. Spodziewam się, że nie odmówisz mi zaszczytu przyjęcia tej godności. Zastanów się.

— Pani — odpowiedziałem — połączyłem moją przyszłość z losem kawalera Toledo i nie pragnę innych godności oprócz tych tylko, które on sam dla mnie otrzyma. Co zaś do przysług, jakie mam szczęście codziennie waszej książęcej mości wyświadczać, najśłodsza dla mnie nagrodą będzie pozwolenie, abym ich nie przerywał.

Księżniczka nic mi na to nie odrzekła, tylko lekkim skinieniem głowy dała znak, że mogę odejść.

W tydzień potem znowu przywołano mnie do dumnej księżniczki. Przyjęła mnie podobnie jak za pierwszym razem i rzekła:

— *Señor Avadoro*, nie ścierpię, abyś miał zwyciężyć we wspaniałości Avilów, Sorrientów i wszystkich grandów należących do mojej rodziny. Mam zamiar ofiarować ci inne warunki korzystne dla twego szczęścia. Pewien szlachcic, którego rodzina od dawna jest z nami złączona, zyskał znaczny majątek w Meksyku. Ma córkę jedynaczkę i daje jej milion posagu...

Nie pozwoliłem dokończyć księżniczce tych słów i powstawszy z niejakim oburzeniem, odparłem:

— Chociaż krew Avilów i Sorrientów nie płynie w moich żyłach, serce jednak, jakie we mnie bije, za wysoko jest umieszczone, aby milion mógł do niego dosięgnąć.

Chciałem odejść, ale księżniczka kazała mi pozostać, następnie oddaliła kobiety do drugiej komnaty, zostawiając drzwi otwarte, i rzekła:

— *Señor Avadoro*, jedną tylko nagrodę mogę ci ofiarować, gorliwość twoja dla mego szczęścia pozwala mi spodziewać się, że tej nie odmówisz. Idzie o oddanie mi ważnej przysługi.

— W istocie — odrzekłem — jest to jedyna nagroda, jaka by mnie uszczęśliwiła. Żadnej innej nie pragnę i przyjąć nie mogę.

— Przybliź się — mówiła dalej księżniczka — nie chcę, aby nas słyszano z drugiego pokoju. Avadoro, wiesz zapewne, że mój ojciec potajemnie był małżonkiem infantki Beatrycze i być może, że wspomniano ci nawet, jakoby miał z nią syna. Mój ojciec sam tę pogłoskę rozpuścił dla zbitcia dworzan z tropu. Tymczasem książę Avila zostawił córkę, która żyje i wychowuje się w jednym z klasztorów niedaleko Madrytu. Ojciec mój, umierając, odkrył mi tajemnicę jej urodzenia, o której ona sama nie wie. Uwiadomił mnie także o zamiarach, jakie względem niej powziął, ale śmierć położyła koniec wszystkiemu. Niepodobnym byłoby odnowić całą sieć ukierunkowanych na spodziewane zaszczyty intryg, jaką książę utkał dla dopięcia swoich celów. Zupełne uprawnienie mojej siostry jest równie trudne do przeprowadzenia, a pierwszy krok, jaki byśmy przedsięwzięli, mógłby za sobą pociągnąć zgubę tej nieszczęśliwej. Niedawno byłam u niej. Leonora jest to prosta, dobra i wesola dziewczyna. Pokochałam ją z całego serca, ale ksieni tyle mi nagadała o jej nadzwyczajnym podobieństwie do mnie, że nie śmiałam więcej powrócić. Pomimo to oświadczyłam, że pragnę szczerze się nią opiekować i że jest ona jednym z owoców niezliczonych miłości, jakie mój ojciec miał w swojej młodości. Odtąd doniesiono mi, że dwór zaczął wypytywać się o nią w klasztorze; wieść ta napęliła mnie niepokojem, postanowiłam więc sprowadzić ją do Madrytu.

Posiadam na opuszczonej ulicy, która nawet nazywa się Retardo, niepozorny domek. Kazałam nająć dom naprzeciwko i proszę cię, abyś w nim zamieszkał i czuwał nad skarbem, jaki ci powierzam. Oto jest adres twego nowego pomieszkania, tu zaś list, który oddasz ksieni urszulanek z Peñon. Weźmiesz z sobą czterech jezdnych i powóz z dwoma mułami. Ochmistrzyńni przyjedzie z moją siostrą i będzie z nią mieszkała. We wszystkim do niej się odwołasz, do domu zaś nie wolno ci wchodzić. Córka mego ojca i infantki nie powinna nawet dawać pozorów mogących skazić jej sławę.

To powiedziawszy, księżniczka lekko skinęła głową; był to dla mnie znak do odejścia. Opuściłem ją i udałem się naprzód do mego nowego mieszkania, które znalazłem wygodnym, a nawet dość zbytownie urządzone. Zostawiłem w nim dwóch wiernych służących, sam zaś wróciłem do mieszkania, jakie zajmowałem u Toleda. Co zaś do domu pozostałego mi po moim ojcu, ten wynająłem za czterysta piastrów.

Widziałem także dom przeznaczony dla Leonory. Zastałem w nim dwie służące i starego sługę rodziny Avilów, który nie nosił liberii. Dom obficie i wytwornie zaopatrzone był we wszystko, czego potrzeba do dostatniego mieszczańskiego gospodarstwa. Naza jutrz wziąłem z sobą czterech jezdnych, powóz i pośpieszyłem do klasztoru w Peñon. Wprowadzono mnie do klauzury, gdzie ksieni już na mnie czekała. Przeczytała list, uśmiechnęła się i westchnęła.

— Słodki Jezu — rzekła — ileż to grzechów popełnia się na świecie, jakże szczęśliwą jestem, że go raz już porzuciła. Na przykład, mój zacny panie, panna, po którą przyjeżdżasz, tak jest podobna do księżny Avila, ale tak, że dwa obrazy słodkiego Jezusa nie mogą być bardziej do siebie podobne. Kim zaś są rodzice tej młodej dziewczyny, nikt o tym nie wie. Nieboszczyk książe Avila, Panie świeć nad jego duszą...

Ksieni byłaby nigdy nie skończyła swej gadaniny, ale przedstawiłem jej, że muszę jak najprędzej wypełnić dane mi polecenie, kiwnęła więc głową, dodała kilka „niestety” i „słodki Jezu”, po czym poszła pomówić z odźwierną.

Udałem się do furty. Wkrótce wyszły dwie kobiety, zupełnie zasłonięte, i wsiały do powozu, nie mówiąc ani słowa. Wskoczyłem na konia i podążyłem za nimi, równie nie odzywając się do nikogo. Przybywszy do Madrytu, wyprzedziłem nieco powóz i wysadziłem obie kobiety przy drzwiach domu. Sam nie wszedłem za nimi, ale udałem się do mego mieszkania, skąd widziałem, jak moje podróżne rozgaszczały się w swoim. W istocie znalazłem wielkie podobieństwo między księżniczką a Leonorą, z tą jednak różnicą, że ostatnia miała pleć bielszą, włosy zupełnie jasne i była nieco bardziej otyła. Tak przynajmniej zdawało mi się z mego okna, tym bardziej że Leonora ani na chwilę nie usiadła na miejscu, nie mogłem przeto dokładnie jej się przypatrzeć. Szczęśliwa, że wydobyła się z klasztoru, cała oddawała się niepomiarowanej radości. Obiegła dom od poddasza aż do piwnic, zachwycając się nad sprzętami gospodarskimi, unosząc nad pięknoscią rynki lub kociołka. Zadawała tysiące pytań ochmistrzyni, która nie mogła za nią nadążyć, i zamknęła nareszcie żaluzje na klucz, tak że odtąd nic już nie widziałem.

Po południu poszedłem do księżniczki i zdałem jej sprawę z moich czynności. Przyjęła mnie ze zwykłą zimną powagą.

— *Señor Avadoro* — rzekła — Leonora przeznaczona jest, by uszczęśliwić kogoś swoją ręką; według naszych obyczajów nie możesz u niej bywać, chociażbyś sam miał zostać jej mężem, wszelako powiem ochmistrzyni, aby otwierała jedną żaluzję od strony twoich okien, natomiast wymagam, aby twoje żaluzje były zawsze pozamykane. Będziesz mi zdawał sprawę z wszelkich czynności Leonory, atoli może znajomość z tobą byłaby dla niej niebezpieczna, zwłaszcza zaś jeżeli masz do małżeństwa ten wstręt, jaki kilka dni temu w tobie spostrzegłam.

— Mówiłem tylko waszej księżęj mości — odpowiedziałem — że nigdy w małżeństwie nie będę powodował się zyskiem, chociaż, prawdę mówiąc, wyznam nawet, że postanowiłem nigdy się nie żenić.

Wyszedłem od księżniczki i udałem się do Toleda, któremu jednak nie zwierzałem się z moich tajemnic, po czym wróciłem do mego mieszkania przy ulicy Retardo. Żaluzje, a nawet okna naprzeciwko były pootwierane. Stary służący Andrado grał na gitarze. Leonora zaś tańcowała bolero z żywnością i wdziękiem, jakiego nigdy nie byłbym się spodziewał po wychowanicy karmelitek, tam bowiem przepędziła pierwsze lata życia i dopiero po śmierci księcia oddano ją do urszulanek. Leonora stroiła tysiączne psoty, chcąc koniecznie namówić swoją ochmistrzynię do tańcowania z Andradem. Nie mogłem dość wydziwić się, myśląc, że poważna i zimna księżniczka ma tak wesołą siostrę. Podobieństwo w istocie było uderzające, kochałem się szalenie w księżniczce, żywy zatem obraz jej wdzięków mocno mnie zajmował.

Gdy tak oddawałem się rozkoszy spoglądania na nią, ochmistrzyni zamknęła żaluzję i nic więcej nie widziałem.

Nazajutrz poszedłem do księżniczki i opowiedziałem jej wczorajsze moje spostrzeżenia, nie tailem niewymownej rozkoszy, jakiej doznałem, spoglądając na niewinne zabawy jej siostry, ośmieliłem się nawet przypisać zachwycenie moje podobieństwu, jakie w Leonorze do księżniczki upatrzyłem.

Słowa te wyglądały z daleka na rodzaj oświadczenia miłosnego księżniczka zachmużyła czoło, przybrała jeszcze zimniejszą minę niż zwykle i rzekła:

— *Señor Avadoro*, jakiegokolwiek podobieństwo istnieje między dwoma siostrami, proszę, abys nigdy nie łączył ich razem w twoich pochwałach. Pomimo to, czekam cię jutro rano; mam zamiar wyjechać na kilka dni i chciałabym przed podróżą z tobą pomówić.

— Pani — odpowiedziałem — gdybym miał zginąć pod ciosem twego gniewu, rysy twoje obecne są mojej pamięci jakby obraz jakiegoś bóstwa. Wiem, że zbyt wielka przestrzeń nas rozdziela, abym śmiało podnieść uczucia ku tobie. Dziś jednak nagle znajduję obraz boskiej twojej piękności w osobie młodej, wesołej, szczerzej, prostej i otwartej, któż mi więc zabroni ciebie, pani, w niej ubóstwiać?

Za każdym wyrazem rysy księżniczki przybierały coraz surowszy wyraz. Myślałem, że każe mi odejść i nie pokazywać się więcej na oczy, ale przeciwnie, powtórzyła mi łagodnie, abym nazajutrz powrócił.

Obiadałem z Toledo, wieczorem zaś wróciłem na moje stanowisko. Okna na przeciwko były pootwierane, tak że dokładnie mogłem widzieć, co się działo w całym mieszkaniu. Leonora stała w kuchni i przyprawiała *olla podridę*. Co chwila pytała się ochmistrzyni o radę, krajała mięso i układała na półmisku, ciągle śmiejąc się i okazując najżywszą radość. Następnie nakryła stół białym obrusem i postawiła dwa skromne nakrycia, które zdawały się jakby oczekiwać na małżonków. Leonora ubrana była w skromny stanik, z rękawami od koszuli zawiniętymi aż po łokcie.

Zamknięto okna i żaluzje, ale to, co widziałem, sprawiło na mnie silne wrażenie, któryż bowiem młody człowiek może z zimną krwią spoglądać na wnętrze domowego pożycia. Obrazy takiego rodzaju są przyczyną, że ludzie się żenią. Nazajutrz, poszedłem do księżniczki; sam nie wiem już, co jej mówiłem. Ona zdawała się znowu obawiać oświadczenia miłosnego.

— *Señor Avadoro* — rzekła — wyjeżdżam, jak ci to już wczoraj mówiłam, przepędzę jakiś czas w moim księstwie Avila. Pozwoliłam mojej siostrze używać przechadzki po zachodzie słońca, nie odchodząc wszakże daleko od domu. Jeżeli naówczas zechcesz się do niej zbliżyć, uprzedziłam ochmistrzynię, aby nie bronila ci z nią rozmawiać tak długo, jak tylko sam zechcesz. Staraj się zbadać serce i sposób myślenia tej młodej osoby, spostrzeżenia swoje opowiesz mi za powrotem.

Po tych słowach lekkie skinięcie głowy dało mi znak do odejścia. Z boleścią rozstawałem się z księżniczką, kochałem ją bowiem z całego serca. Jej nadzwyczajna duma wcale mnie nie zrażała, sądziłem bowiem, że gdy zechce oddać komuś swoje serce, wybierze zapewne kochankę z niższego stanu, jak się to zwykle dzieje w Hiszpanii. Jednym słowem, przez cały ten dzień rozmyślałem o księżniczce, wieczorem dopiero zacząłem myśleć o jej siostrze. Poszedłem na ulicę Retardo. Księżyc jasno świecił, poznałem Leonorę siedzącą z ochmistrzynią na ławce, tuż przy drzwiach. Ochmistrzyni spostrzegła mnie, zbliżyła się, zaprosiła, abym usiadł przy jej wychowanicy, sama zaś oddaliła się. Po chwili milczenia Leonora rzekła:

— *Señor* więc jesteś tym młodym człowiekiem, którego mi pozwolono widywać? Mogę liczyć na twoją przyjaźń?

Odpowiedziałem, że nigdy się na niej nie zawiedzie.

— Dobrze więc — rzekła — w takim razie racz mi powiedzieć, jak się nazywam.

— Leonora — odrzekłem.

— Nie o to się pytam — przerwała — muszę przecie mieć jeszcze drugie nazwisko, nie jestem już tak prosta, jaką byłam u karmelitek. Tam myślałam, że świat składa się tylko z zakonnic i spowiedników, ale teraz wiem, że są żony i mężowie, którzy ich nigdy nie opuszczają, i że dzieci noszą nazwisko ojca. Dlatego to pragnę dowiedzieć się mego nazwiska.

Ponieważ karmelitki w niektórych klasztorach żyją według nader ostrej reguły, nie zdziwiła mnie więc ta nieświadomość w dwudziestoletniej dziewczynie. Powiedziałem jej

następnie, że widziałem ją tańczącą w jej pokoju i że zapewne nie u karmelitek uczyła się tańca.

— Nie — odpowiedziała — ksiązę Avila umieścił mnie u karmelitek, ale po jego śmierci odwieziono mnie do urszulanek, gdzie jedna wychowanica nauczyła mnie tańca, druga śpiewu, inna różnych innych rzeczy, zwłaszcza dotyczących się małżeństwa i miłości, między wychowaniami bowiem nie ma żadnych tajemnic. Co do mnie, chciałabym koniecznie mieć nazwisko, ale do tego potrzeba, abym poszła za mąż.

Następnie Leonora mówiła mi o komedii, o przechadzkach, walkach byków i oświadczyła niepomiarkowaną ciekawość widzenia tych wszystkich rzeczy. Odtąd kilka razy z nią rozmawiałem, ale zawsze wieczorem. W tydzień potem otrzymałem od księżniczki list następującej treści:

„Księżniczka Avila do Don Juana Avadero.

Zbliżając cię do Leonory, spodziewałam się, że obudzę w niej pewną skłonność ku tobie. Ochmistrzyni zaręcza mi, że spełniły się moje nadzieje. Jeżeli mam wierzyć poświęceniu, jakie zawsze dla mnie okazywałaś, zaślubisz Leonorę. Pomyśl, że odmowa będzie wobec mnie niewybaczalną obrazą”.

Odpowiedziałem tymi słowy:

„Don Juan Avadero do księżniczki Avila.

Poświęcenie moje dla Waszej Księżęcej Mości jest jedynym uczuciem, jakie zajmuje moją duszę. Inne, jakie się żonie przynależą, zapewne nie znalazłyby już w niej miejsca. Leonora zasługuje na męża, który by tylko ją kochał”.

Otrzymałem następującą odpowiedź:

„Księżniczka Avila do Don Juana Avadero.

Zbytecznym byłoby dłużej ukrywać przed tobą, że jesteś dla mnie niebezpieczny i że odmowa z twojej strony ręki Eleonory sprawiła mi najżywszą radość, jakiej w życiu doznałam. Postanowiłam jednak przewyciężyć się. Daję ci do wyboru: albo zaślubić Leonorę, lub też na zawsze być odsuniętym ode mnie, a może nawet wygnanym z Hiszpanii. Wiesz, że rodzina moja ma dość wpływów na dworze. Nie odpisuj mi więcej; wydałam ochmistrzyni stosowne polecenia”.

Jakkolwiek zakochany byłem w księżniczce, tak niepomiarkowana jednak duma mocno mnie ubodła. Zrazu chciałem wszystko wyznać przed Toledem i uciec się pod jego opiekę; ale kawaler, zawsze zakochany w księżnie Sidonii, nader był przywiązany do jej przyjaciółki i nigdy nie byłby nic przeciw niej przedsięwziął. Umyśliłem więc milczeć i wieczorem siadłem w oknie, aby się przypatrzeć mojej przyszłej małżonce.

Okna były otwarte, widziałem dokładnie całe mieszkanie. Leonora siedziała wśród czterech kobiet, które zajmowały się jej ubieraniem. Miała na sobie atlasową, błękitną suknię haftowaną złotem, wieniec z kwiatów na głowie i diamentowy naszyjnik. Długa, biała zasłona okrywała ją od stóp aż do głowy. Zadziwiły mnie te przygotowania. Wkrótce zadziwienie moje jeszcze się powiększyło. W głębi pokoju postawiono stół, ubrano go jak ołtarz i zapalono na nim świece.

Wszedł ksiądz z dwoma panami, którzy zdawali się być świadkami obrzędu, brakowało tylko nowożeńca. Usłyszałem stukanie do mych drzwi i głos ochmistrzyni, która mi rzekła:

— Czekają na ciebie, *señor*. Nie sądzę bowiem, abyś chciał sprzeciwić się rozkazom księżniczki.

Poszedłem za ochmistrzynią, panna młoda nie zdejmowała zasłony. Położono jej rękę w moją, słowem, pożeniono nas. Świadkowie złożyli mi życzenia szczęścia, równie jak mojej małżonce, której oblicza nie widzieli i odeszli. Zostałem sam z moją żoną w pokoju słabo oświetlonym promieniami księżycy.

Gdy Cygan domawiał tych słów, jeden z jego bandy zażądał jego obecności. Odszedł i już go tego dnia więcej nie widzieliśmy.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Zeszliśmy się o zwykłej godzinie i Cygan, mając czas wolny, tak nam dalej opowiadał:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Opowiedziałem wam dziwne moje małżeństwo. Sposób, w jaki żyłem z moją żoną, był równie szczególny. Po zachodzie słońca żaluzja się otwierała i widziałem całe wnętrze jej mieszkania. W nocy nie wychodziła i nie miałem sposobności zbliżenia się do niej. O północy dopiero ochmistrzyni przychodziła po mnie i odprowadzała nad rankiem.

W tydzień potem księżniczka wróciła do Madrytu. Zobaczyłem ją. Popelnilem świętokradztwo względem miłości, jaką ku niej pałałem, i gorzko je sobie wyrzucałem. Ona przeciwnie, postępowała ze mną z niewypowiedzianą przychylnością. Ile razy sam na sam ze mną się znajdowała, porzucała dawny zimny sposób obejścia, byłem dla niej bratem, przyjacielem.

Pewnego wieczora wracałem do siebie, to jest do mego mieszkania przy ulicy Retardo i właśnie zamykałem drzwi, gdy uczulem, że ktoś ciągnął mnie za połę od sukni. Obróciłem się i poznałem Busquera.

— Mam cię nareszcie, *señor* — rzekł — kawaler Toledo zali się, że cię od tak dawna nie widział, że kryjesz się przed nim, że nie może domyślić się, co tak ważnego porabiasz. Prosiłem go o dwadzieścia cztery godziny czasu, po upływie których obiecałem, że mu wszystko wiernie doniosę. Powiodły mi się moje zamiary. Ale ty, paniczku, nie zapominaj uszanowania, jakie mi winienes, ożeniłem się bowiem z twoją macochą.

Ostatnie te słowa przypomniały mi, ile Busqueros przyczynił się być do śmierci mego ojca, ofuknąłem go więc i szczęśliwie się go pozbyłem.

Nazajutrz poszedłem do księżniczki i opowiedziałem jej to nieszczęsne spotkanie. Zdawała się być mocno zmartwiona.

— Busqueros — rzekła — jest to szpieg, którego uwadze nic ujść nie zdoła. Trzeba usunąć Leonorę sprzed jego ciekawości. Dziś jeszcze wyprawię ją do Avila. Nie miej mi tego za złe, Avadoro, czynię to dla jej i twego szczęścia.

— Pani — odpowiedziałem — warunkiem szczęścia jest spełnienie życzeń, ja zaś nigdy nie życzyłem sobie zostać małżonkiem Leonory. Pomimo to, muszę wyznać, że teraz przywiązałem się do niej i przywiązanie to z każdym dniem wzrasta, jeżeli w każdym razie wolno mi użyć tego wyrażenia, nigdy jej bowiem w dzień nie widuję.

Tego samego wieczora poszedłem na ulicę Retardo, ale nikogo nie zastałem. Drzwi i okna były pozamykane.

W kilka dni potem Toledo kazał mnie przywołać do swego gabinetu i rzekł:

— Mówiłem o tobie królowi. Najjaśniejszy Pan wysłał cię z depeşami do Neapolu. Peterborough, ten zacny Anglik, dla nader ważnych spraw pragnie widzieć się ze mną w Neapolu. Jego Królewska Mość nie życzy sobie, abym odbył tę podróż, ty więc musisz mnie zastąpić. Wszelako — dodał Toledo — zdaje mi się, że ten zamiar nie bardzo przypada ci do smaku.

— Nieskończenie wdzięczny jestem za łaskę Jego Królewskiej Mości i waszą, *señor* — odpowiedziałem — ale mam tu w Madrycie opiekunkę, bez której rady nic nie odważyć się przedsięwziąć.

Toledo uśmiechnął się i rzekł:

— Mówiłem już o tym z księżniczką, kiedy wyjdiesz ode mnie, prosto do niej się udaj.

Poszedłem do księżniczki, która mi rzekła:

— Kochany Avadoro, znasz obecne położenie monarchii hiszpańskiej. Król bliski jest grobu i na nim gaśnie linia austriacka. W tak krytycznych okolicznościach każdy prawy Hiszpan powinien zapomnieć o sobie i korzystać z wszelkich sposobności służenia swemu krajowi. Twoja żona jest w bezpiecznym miejscu. Leonora nie będzie do ciebie pisała, nie umie bowiem pisać, karmelitki jej tego nie nauczyły. Ja zastąpię ją i jeżeli mam wierzyć ochmistrzyni, wkrótce doniosę ci wieści, które cię jeszcze więcej do niej przywiążą.

To mówiąc, księżniczka spuściła oczy, splonęła rumieńcem, po czym dała mi znak do odejścia.

Poszedłem do ministra po rozkazy, które tyczyły się polityki zewnętrznej i rozciągały także na administrację królestwa neapolitańskiego, chciano je bowiem wszelkimi sposobami przywiązać do Hiszpanii. Wyjechałem nazajutrz i odbyłem podróż z jak można największym pośpiechem.

Zacząłem wypełniać dane mi polecenia z gorliwością zwykłą przy każdej pierwszej pracy, w chwilach jednak wolnych od zatrudnień wspomnienia Madrytu całkiem obejmowały władzę nad moim umysłem. Bądź co bądź, księżniczka mnie kochała, uczyniła mi wyznanie, spokrewniwszy się jednak ze mną, wyleczyła się z namiętności, zachowała mi atoli przywiązanie, którego tysiączne odbierałem dowody. Leonora, tajemnicza bogini moich nocy, rękami hymenu podała mi czarę rozkoszy. Wspomnienie jej panowało nad moimi zmysłami równie jak nad sercem. Żal mój za nią, zmieniał się prawie w rozpacz. Oprócz dla tych dwóch kobiet, dla całej reszty płci pięknej byłem obojętny. Listy od księżniczki dochodziły mnie razem z papierami od ministra. Żaden nie był podpisany i pismo było odmienione. Dowiedziałem się, że Leonora zaszła w ciążę, ale że była chora, nade wszystko zaś że trawiła ją gorączka. Niebawem doszły mnie wieści, że zostałem ojcem i że Leonora wiele ucierpiała. Nowiny, które odbierałem o jej zdrowiu, zdawały się przygotowywać mnie do strasznego ciosu, jaki miał wkrótce we mnie ugodzić.

Nareszcie ujrzałem przybywającego Toledo, w chwili gdy najmniej się tego spodziewałem. Rzucił się w moje objęcia.

— Przybywam — rzekł — za sprawami królewskimi, ale zarazem mam od księżniczki poselstwo do ciebie.

Przy tych słowach podał mi list, który, drżąc, otworzyłem. Przewidywałem treść. Księżniczka donosiła mi o śmierci Leonory i ofiarowała pociechy najczulszej przyjaźni.

Toledo, który od dawna był owładniętym moim umysłem, użył całej swej przewagi dla powrócenia mi spokoju. Wprawdzie nie znałem Leonory, ale była ona moją żoną i myśl o niej łączyła się z rozkosznymi wspomnieniami krótkiego naszego związku. Oddałem się na powrót pracy, ale byłem ciągle smutny i znekany.

Toledo, pragnąc dać mi odpocząć, wziął na siebie wszystkie sprawy, po których załatwieniu wróciliśmy do Madrytu. Niedaleko bram stolicy wysiadł z powozu i przemykając się krętymi ścieżkami, zaprowadził mnie na cmentarz karmelitek. Tam pokazał mi urnę z czarnego marmuru. Na podstawie błyszczało nazwisko Leonory Avadero. Obląłem ten grobowiec rzewnymi łzami i kilka razy wracałem do niego, zanim poszedłem przywitać się z księżniczką. Nie miała mi tego za złe, przeciwnie, za pierwszym naszym spotkaniem okazała mi przywiązanie dochodzące prawie do rozczulenia, nareszcie zaprowadziła mnie do ostatniego pokoju swego pomieszkania i pokazała dziecię w kolebce. Wzruszenie moje doszło do najwyższego stopnia. Padłem na kolana, księżniczka podała mi rękę i kazała powstać, po czym dała mi znak do odejścia.

Nazajutrz byłem u ministra, który przedstawił mnie Jego Królewskiej Mości. Toledo, wysyłając mnie do Neapolu, szukał pozoru, by otrzymać dla mnie jakąś łaskę. Zostałem zaszczycony godnością kawalera orderu Calatravy. Jakkolwiek ozdoba ta nie stawiała mnie na równi z pierwszymi panami, wszelako znacznie już do nich zbliżała. Odtąd księżniczka, księżna Sidonia i Toledo starali się we wszystkim dowieść, że uważali mnie za równego. Wreszcie, im byłem winien cały mój los, z przyjemnością więc spoglądali na moje wznieślenie się.

Wkrótce potem księżniczka Avila poleciła mi przeprowadzić sprawę, którą miała w trybunale kastylskim. Dopełniłem jej poleceń z gorliwością i przezornością, która powiększyła szacunek mojej opiekunki do mnie. Z każdym dniem stawała się dla mnie coraz przychylniejsza. Tu zaczyna się cudowna strona moich przygód.

Po powrocie z Włoch wprowadziłem się do mego mieszkania u Toledo, pomimo to jednak zachowałem dawne przy ulicy Retardo. Zostawiłem tam na straży służącego nazwiskiem Ambrozio. Dom naprzeciwno, ten sam, w którym brałem ślub, należał do księżniczki, był zamknięty i przez nikogo niezamieszany. Pewnego poranku Ambrozio przyszedł, prosząc mnie, abym kogo innego przysłał na jego miejsce, zwłaszcza zaś kogoś odważnego, gdyż po północy trudno było wytrzymać, takie rzeczy działy się w domu naprzeciwno.

Chciałem, aby mi wytłumaczył naturę tych zjawisk, ale Ambrozio zapewnił, że ze strachu na nic nie patrzył, że zresztą za żadne skarby w świecie nie podjąłby się przepędzić noc w moim pokoju, ani sam, ani w towarzystwie.

Słowa te obudziły moją ciekawość. Postanowiłem tej samej nocy naocznie o wszystkim się przekonać. Wewnątrz domu były jeszcze niezbędne sprzęty, po wieczery więc przeniosłem się. Kazałem jednemu ze służących spać w przedpokoju, sam zaś zająłem pokój, którego okna wychodziły na ulicę naprzeciwko dawnego domu Leonory. Wypiłem kilka filiżanek czarnej kawy, ażeby nie zasnąć i doczekałem północy. Była to godzina, w której według słów Ambrozio duchy się pojawiały. Aby nie spłoszyć ich, zagasilem świecę. Wkrótce w domu naprzeciwko ujrziałem światło, które przechodziło z piętra na piętro i z pokoju do pokoju.

Żaluzje nie pozwalały mi dostrzec, skąd pochodziło to światło, nazajutrz jednak posłałem do księżniczki po klucze od jej domu i poszedłem go obejrzeć. Nie znalazłem żadnych sprzętów, żadnego śladu czyjegokolwiek pobytu. Odczepiłem po jednej żaluzji na każdym piętrze i wyszedłem.

Wieczorem udałem się na moje stanowisko i o północy znowu to samo światło zabłysło w domu naprzeciwko. Tym razem jednak spostrzegłem, skąd pochodziło. Kobieta w bieli, z lampą w ręku, obeszła wszystkie pokoje na pierwszym piętrze, przeszła na drugie i znikła. Lampa blado ją oświecała, nie mogłem rozpoznać rysów, po jasnych jednak włosach poznałem Leonorę.

Nazajutrz pośpieszyłem do księżniczki, ale nie zastałem jej w domu. Udałem się do pokoju mego dziecięcia, znalazłem tam kilka kobiet niesłuchanie zmieszanych i niespokojnych. Z początku nie chciano mi nic powiedzieć, nareszcie mamka wyznała, że w nocy weszła jakaś kobieta w bieli, z lampą w ręku, że długo spoglądała na dziecko, pobłogosławiła je i odeszła. Wtem księżniczka wróciła do domu, kazała mnie przywołać i rzekła:

— Mam pewne przyczyny, dla których nie chcę, aby twoje dziecko dłużej tu pozostawało. Wydałam rozkazy, aby mu przygotowano mieszkanie w domu przy ulicy Retardo. Tam odtąd będzie mieszkało z mamką i kobietą, która uchodzi za jego matkę. Chciałam ci w tym samym domu ofiarować mieszkanie, ale namyśliłam się, że mogłyby stąd urósć niepotrzebne domysły.

Odpowiedziałem, że zachowam mieszkanie naprzeciwko i czasami będę tam nocował.

Zastosowano się do woli księżniczki i przeniesiono dziecko. Postarałem się, aby je umieszczono w pokoju wychodzącym na ulicę i aby nie zamykano żaluzji. Gdy północ wybiła, podszedłem do okna. Spostrzegłem w pokoju naprzeciwko dziecko śpiące obok mamki. Kobieta w bieli pokazała się z lampą w ręku, zbliżyła do kolebki, długo spoglądała na dziecko, pobłogosławiła je, po czym stanęła w oknie i zaczęła patrzeć na mnie. Po chwili wyszła i ujrziałem światło na drugim piętrze, nareszcie wydostała się na dach, lekko po nim przebiegła, przeskoczyła na sąsiedni i znikła z moich oczu.

Wyznaję, że odchodziłem od przytomności. Nazajutrz z niecierpliwością oczekiwałem północy. Gdy tylko wybiła, usiadłem w oknie. Wkrótce ujrziałem już nie kobietę w bieli, ale wchodzącego jakiegoś karła z twarzą błękitną, jedną nogą drewnianą i lampą w ręku. Zbliżył się do dziecka, bacznie mu się przyglądał, następnie podwinąwszy nogi usiadł w oknie i zaczął z uwagą mi się przypatrywać. Niebawem z okna zeskoczył na ulicę albo raczej ześliznął się i jał lekko stukać do moich drzwi. Z okna zapytałem go, kim jest i czego żąda. Zamiast odpowiedzi rzekł:

— Don Juanie Avadoro, weź płaszcz i szpadę i pójdz za mną.

Uczyniłem, co chciał, zszedłem na ulicę i ujrziałem karła o dwadzieścia kroków przede mną, kulejącego na swojej drewnianej nodze i pokazującego mi drogę latarnią. Uszedłszy około stu kroków, zboczył na lewo i wprowadził mnie w opuszczoną część miasta, która się ciągnęła między ulicą Retardo a rzeką Manzanares. Przeszliśmy pod sklepieniem i dostaliśmy się na *patio* zasadzone drzewami. *Patio* jest to podwórze, na które nie zajeżdżają powozy. W głębi podwórza stał mały przysionek, jak gdyby od jakiejś kaplicy. Zza kolumny pokazała się kobieta w bieli, karzeł oświecił latarnią moją twarz.

— To on! — zawołało zjawisko. — On sam! Mój mąż! Mój najdroższy małżonek! Żyjesz więc, mój luby?

— Przebac, pani — odrzekłem — ale byłem przekonany, że to pani umarłaś.

— Ja żyję — przerwała Leonora.

W istocie ona to była, poznałem ją po dźwięku głosu, a bardziej jeszcze po namiętych jej uściskach, których gwałtowność nie dała nam czasu, by wzajemnie zapytać się, co przez tyle miesięcy oboje porabialiśmy.

Nareszcie chciałem koniecznie, aby żona moja wytłumaczyła mi niepojęte moje położenie; ale Leonora wysliznęła się z moich objęć i znikła w ciemności. Nie wiedziałem, co z sobą począć; na szczęście karzeł ofiarował mi pomoc swojej latarni, udałem się za nim przez zwaliska i opuszczone ulice, gdy wtem nagle latarnia zagasła. Karzeł, którego przywoływałem, nie odpowiadał na moje okrzyki, noc była zupełnie ciemna, postanowiłem położyć się na ziemi i doczekać dnia. Zasnąłem i obudziłem się, gdy słońce już było wysoko. Leżałem pod urną z czarnego marmuru, na którym wyczytałem napis: „Tu leży Leonora Avadoro”. Nie było wątpliwości, że przepędziłem noc przy grobowcu mojej żony, przypomniałem sobie przeszłe wypadki i wyznam, że wspomnienie ich mocno mnie zmieszało. Od dawna nie zbliżałem się do trybunału pokuty. Poszedłem do teatynów i zażądałem widzieć dziada mego, *fra* Geronima. Powiedziano mi, że leży chory; naówczas prosiłem o innego spowiednika. Zapytałem go, czy złe duchy mogą przybierać na się kształty ludzkie.

— Jak najłatwiej — odpowiedział — św. Tomasz w swojej *Summie* wspomina o wiedmach, jest to wszelako szczególnie wypadek, zdarza się jednak, zwłaszcza gdy grzesznik długo nie przystępuje do boskich sakramentów. Wtedy szatany nabierają nad nim nadzwyczajnego wpływu. Jeżeli myślisz, mój synu, że spotkałeś wiedmy, oddaj się surowej pokucie. Nie trać czasu, nikt nie jest pewny godziny śmierci.

Odpowiedziałem, że spotkało mnie dziwne zdarzenie, które może było tylko złudzeniem zmysłów, przy czym prosiłem go, aby mi pozwolił przerwać spowiedź.

Poszedłem do Toledo, który oświadczył, że zaprowadzi mnie do księżniczki Avila, gdzie będzie także księżna Sidonia. Znalazł mnie nieco pomieszonym i zapytał o przyczynę. W istocie, byłem zamyślony i nie mogłem zebrać dwóch myśli razem. Obiad u księżniczki nie rozproszył mego smutku, wesołość jednak tych pań była tak żywa i Toledo tak dobrze im odpowiadał, że nareszcie rozchmurzyłem czoło.

Podczas obiadu dostrzegłem znaki porozumienia i uśmiechy, które zdawały się mnie dotyczyć. Wstaliśmy od stołu i zamiast udać się do bawialnej komnaty, przeszliśmy do ostatnich pokojów. Naówczas Toledo zamknął drzwi na klucz i rzekł:

— Szlachetny kawalerze Calatravy, klęknij przed księżniczką, która już przeszło od roku jest twoją żoną. Spodziewam się, iż nie powiesz, żeś się tego domyślał. Ludzie, którym byś chciał opowiedzieć twoje przygody, mogliby odgadnąć tajemnicę, najwięcej nam jednak zależy na niedopuszczeniu wzrostu podejrzenia i dotąd usiłowania nasze pomyślny skutek uwieńczył. Wprawdzie tajemnice dumnego księcia Avila wybornie nam posłużyły. W istocie, miał on syna, którego chciał przyznać, ale ten umarł, księżę zaś naówczas zażądał od córki, ażeby nigdy nie wchodziła w małżeńskie związki i tym sposobem zostawiła cały majątek Sorrientom, którzy są młodszą linią Avilów. Wyniosła nasza księżniczka za nic w świecie nie byłaby przyjęła niczyjej władzy, ale od chwili naszego powrotu z Malty wyniosłość ta dziwnie się zniżyła i wkrótce miała ulec sławnemu rozbiciu. Na szczęście księżniczka Avila ma przyjaciółkę, która jest także twoją, kochany Avadoro. Zwierzyła się jej ze swymi uczuciami i wtedy złożyliśmy we troje walną radę. Wynaleźliśmy, a raczej wymyśliliśmy Leonorę, córkę nieboszczyka księcia i infantki, która była znaną ci księżniczką, przebraną w jasne włosy, wybieloną i rozrosłą za pomocą sukni. Ty jednak ani mogłeś poznać dumnej twojej władczyni w skromnej wychowawicy karmelitek. Byłem obecny przy kilku próbach tej roli i wyznam, że równie byłbym dał się omamić.

Księżniczka widząc, że odrzucasz najświetniejsze związki jedynie dla chęci służenia jej, postanowiła cię zaślubić. Jesteście pożenieni przed Bogiem i kościołem, ale nie przed ludźmi, lub raczej na próżno usiłowalibyście udowodnić wasze małżeństwo. Tym sposobem księżniczka dotrzymała przyjętych raz zobowiązań.

Połączyliście się świętym związkiem, skutkiem czego księżniczka musiała przepędzić kilka miesięcy na wsi dla ukrycia się przed wzrokiem ogółu. Busqueros przybył do Madrytu, kazałem mu, aby cię śledził, i pod pozorem uniknięcia przenikliwości szpiega, wyprawiliśmy Leonorę na wieś. Następnie podobało nam się wysłać cię do Neapolu, nie wiedzieliśmy bowiem, jak cię uspokoić względem twojej żony, księżniczka zaś wtedy dopiero chciała dać ci się poznać, gdy żywy dowód miłości ustali twoje do niej prawa.

Tu, kochany Avadero, ja błagam twego przebaczenia. Utopiłem sztylet w twym sercu, donosząc ci o śmierci osoby, która nigdy nie istniała. Wszelako szczerzy twój żal nie był stracony. Księżniczka z radością przekonała się, że kochałeś ją pod dwoma tak różnymi postaciami.

Od tygodnia pragnie koniecznie wszystko ci wyjawić; ale tu znowu cała wina spada na mnie. Uparłem się, aby z tamtego świata przywołać Leonorę. Księżniczka zgodziła się przybrać na siebie rolę kobiety w bieli, ale nie ona to z taką lekkością biegała po dachu. Leonorą tą był mały kominiarczyk rodem z Sabaudii.

Ten sam hultaj następnej nocy przyszedł udawać kulawego diable. Usiadł na oknie i spuścił się na ulicę za pomocą sznura przywiązanego do zasuw od okna.

Nie wiem, co się działo na podwórzu u karmelitek, ale dzisiejszego poranka kazałem znowu cię śledzić i dowiedziałem się, że długo klęczałeś przy konfesjonale. Nie lubię mieć do czynienia z kościołem i lękałem się, aby żart nie był za daleko posunięty.

Nie sprzeciwiałem się już zatem życzeniom księżniczki i postanowiliśmy, że dziś dowiesz się o wszystkim.

Tymi prawie słowy przemówił do mnie szlachetny Toledo, ale ja mało go słuchałem. Klęczałem u nóg Manueli, rozkoszne pomieszanie malowało się w jej rysach, wyraźnie czytałem w nich wyznanie jej przegranej. Zwycięstwo moje nigdy nie miało więcej jak dwóch świadków, z tym wszystkim nie mniej mnie uszczęśliwiał. Doznałem najwyższego powodzenia w miłości, w przyjaźni, a nawet w miłości własnej. Co to za chwila dla młodego człowieka!

Gdy Cygan domawiał tych słów, dano mu znać, że czas zająć się sprawami hordy. Obróciłem się do Rebeki i uczyniłem jej uwagę, że słyszeliśmy opowiadanie nadzwyczajnych przygód, które jednak wytłumaczono nam zwykłym sposobem.

— Masz słuszność — odpowiedziała — być może że i twoje tak samo dadzą się wytłumaczyć.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Oczekiwaliśmy jakichś ważnych wypadków. Cygan wysyłał posłańców na różne strony, z niecierpliwością wyglądał ich powrotu, na zapytania zaś, kiedy ruszymy z miejsca, potrzasał głową i odpowiadał, że nie może z pewnością naznaczyć terminu. Pobyt w górach zaczął mnie już nudzić, rad byłbym czym prędzej przybyć do pułku, ale pomimo najszczerzej chęci musiałem jeszcze przez jakiś czas się zatrzymać. Jeżeli jednak dzień upływał nam dość jednostajnie, to natomiast wieczory uprzyjemniało towarzystwo naczelnika, w którym coraz nowe odkrywałem zalety. Ciekawy dalszych jego przygód, tym razem sam go już prosiłem, aby zaspokoił naszą ciekawość, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Przypominacie sobie obiad mój z księżniczką, księżną Sidonia i przyjacielem moim, Toledem i jak naówczas dopiero dowiedziałem się, że dumna Manuela była moją żoną. Powozy na nas czekały, udaliśmy się do zamku Sorriente. Tam zastałem nową niespodziankę. Ta sama ochmistrzyni, która służyła fałszywej Leonorze przy ulicy Retardo, przedstawiła mi małą Manuę. Ochmistrzyni nazywała się *doña* Rosalba i dziecię uważało ją za matkę.

Sorriente leży nad brzegami Tagu, w jednej z najczarowniejszych okolic na świecie. Wszelako ponęty natury przez chwilę tylko zrobiły na mnie wrażenie. Uczucia ojcowskie, miłość, przyjaźń, słodka ufność, ogólna poufała uprzejmość, kolejno uprzyjemniały wszystkie dni moje. To, co nazywamy szczęściem w tym krótkim życiu, zapełniało wszystkie moje chwile. Stan ten trwał, o ile sobie przypominam, przez sześć tygodni. Trzeba było wracać do Madrytu. Przybyliśmy późnym wieczorem do stolicy. Towarzyszyłem księżniczce do jej pałacu i wprowadziłem ją na schody. Była mocno wzruszona.

— Don Juanie — rzekła do mnie — w Sorriente byłeś małżonkiem Manueli, w Madrycie jesteś jeszcze wdowcem po Leonorze.

Gdy domawiała tych słów, spostrzegłem cień przesuwany się za poręczami schodów. Schwyciłem cień za kołnierz i przyprowadziłem do latarni. Poznałem *don* Busquera.

Już miałem mu wypłacić nagrodę za jego szpiegostwo, gdy jedno spojrzenie księżniczki wstrzymało moje ramię. Spojrzenie to nie uszło uwagi Busquera. Przybrał zwykłą zachwałą postać i rzekł:

— Pani, nie mogłem oprzeć się pokusie podziwiania przez chwilę wspaniałości twojej osoby i zapewne nikt nie byłby mnie odkrył w moim schronieniu, gdyby blask twojej pięknosci, jak samo słońce, nie był oświecił tych schodów.

Powiedziawszy tę grzeczność, Busqueros skłonił się głęboko i odszedł.

— Lękam się — rzekła księżniczka — aby słowa moje nie doszły ciekawych uszu tego niegodziwca. Idź, *don Juanie*, pomów z nim i staraj się wybić mu z głowy niepotrzebne domysły.

Wypadek ten zdawał się mocno niepokoić księżniczkę, opuściłem ją i znalazłem mego Busquera na ulicy.

— Mości pasierbie — rzekł do mnie — o mało co nie wygrzmociłeś mnie kijem i bez wątpienia byłbyś bardzo źle się znalazł. Naprzód uchybiłbyś winnemu mi uszanowaniu, jako mężowi tej, która była twoją macochą, następnie powinieneś wiedzieć, że nie jestem już podrzędnym służalcem, jakim mnie niegdyś znałeś. Od tego czasu wzniosłem się i ministerium, a nawet dwór poznał się na moich zdolnościach. Książę d'Arcos powrócił ze swego poselstwa i jest w łasce. Pani Uscariz, dawna jego kochanka, owdowiała i żyje w ścisłej przyjaźni z moją żoną. Zadzieramy więc nosy i nie boimy się nikogo.

Ale ty, kochany pasierbie, powiedz no, co ci takiego mówiła księżniczka? Zdawaliście się niesłychanie obawiać, abym was nie podsłuchał. Uprzedzam cię, że nie bardzo lubimy ani Avilów, ani Sidoniów, ani nawet twego wychuchanego Toledo. Pani Uscaritz nie może mu przebaczyć, że ją porzucił. Nie pojmuję, po co jeździliście wszyscy do Sorriente, wszelako podczas waszej nieobecności gorliwie zajmowano się wami. Wy o tym nic nie wiecie, wy jesteście niewinni jak nowo narodzone dzieci. Margrabia Medina, rzeczywiście wiodący swój ród z Sidoniów, żąda tytułu księcia i ręki młodej księżniczki dla swego syna. Mała nie skończyła jeszcze jedenastu lat, ale to nic nie szkodzi. Margrabia od dawna żyje w przyjaźni z księciem d'Arcos, który jest ulubieńcem kardynała Portocarrero, ten zaś jest wszechmocny u dworu i jakoś da to się ułożyć; możesz zapewnić o tym księżnę.

Ale zaczekaj no jeszcze, mości pasierbie, nie myśl, żebym nie poznawał w tobie małego żebraka spod przysionka św. Rocha. Byłeś jednak wówczas w niezgodzie ze świętą inkwizycją, a ja nie jestem ciekawym spraw mających styczność z tym trybunałem. Żegnaj cię teraz, do widzenia!

Busqueros odszedł, ja zaś poznałem, że zawsze był tym samym wścibskim natrętem, z tą tylko różnicą, że w wyższych sferach upożyteczniał teraz swoje zdolności.

Nazajutrz obiadowałem z księżniczką, księżną Sidonia i Toledem. Opowiedziałem im wczorajszą moją rozmowę. Sprawiała ona większe wrażenie na słuchaczach, aniżeli się spodziewałem. Toledo, który nie był już tak piękny i nie miał już dawnej ochoty do zalecanek, chętnie starałby się zadośćuczynić swojej chęci zaszczytów, ale na nieszczęście minister książę Oropesa, na którego liczył, opuścił służbę. Rozmyślał przeto nad wyborem innej drogi. Powrót księcia d'Arcos ani też łaska, w jakiej tenże był u kardynała, wcale go nie cieszyły.

Księżna Sidonia z przerażeniem zdawała się oczekiwać chwili, w której zostanie dożywotniczką. Księżniczka Avila zaś, ile razy wspomniano o dworze lub łasce, przybierała jeszcze dumniejszą niż zwykle postać. W podobnych to razach, wyraźnie spostrzegalem, że nierówność stanów nawet na łonie poufalej przyjaźni dawała się uczuwać.

W kilka dni potem, gdy obiadowaliśmy u księżny Sidonii, koniuszy księcia Velasqueza zapowiedział nam odwiedzin swego pana. Pan ten był naówczas w kwiecie wieku. Twarz miał piękną, strój zaś francuski, którego nigdy nie chciał porzucić, korzystnie go między innymi odznaczał. Rozmowa jego także odróżniała go od Hiszpanów, którzy często prawie nic nie mówią i zapewne dlatego uciekają się do gitary i cygar. Velasquez, przeciwnie, swobodnie z jednego przedmiotu przechodził do drugiego i zawsze znajdował sposobność powiedzenia naszym paniom jakiej grzeczności. Bez wątpienia Toledo miał więcej rozumu, ale rozum czasami się tylko objawia, wielomówność zaś przeciwnie: jest niewyczerpana. Rozmowa Velasqueza dość przypadła do smaku, on sam nawet spostrzegł, że słuchacze nie byli dlań obojętni. Wtedy zwracając się do księżnej Sidonii z głośnym wybuchem śmiechu, rzekł:

Przyjaźń, Pozycja społeczna

— W istocie, muszę wyznać, że nic nie byłoby równie szczególne, równie zachwycające!

— Cóż takiego? — zapytała księżna.

— Tak jest, pani — odrzekł Velasquez — twoją piękność, twoją młodość masz wspólnie z wieloma innymi kobietami; ale bezsprzecznie, byłabyś najmłodszą i najpiękniejszą ze wszystkich teściowych.

Księżna dotąd nigdy się nad tym nie zastanowiła. Miała dwadzieścia osiem lat. Bardzo młode kobiety były od niej znacznie młodsze, to zaś był nowy sposób odmłodnienia.

— Wierzaj mi, pani — dodał Velasquez — mówię jak najszczerzą prawdę. Król polecił mi prosić cię o rękę twojej córki dla młodego margrabiego Mediny. Jego Królewska Mość usilnie pragnie, aby znakomity wasz ród nie wygasł. Wszyscy grandowie umiejają cenić tę pieczołowitość. Co się zaś ciebie, pani, tyczy: cóż byłoby równie czarowne, jak widzieć cię prowadzącą córkę do ołtarza? Zainteresowanie powszechne będzie musiało rozdzielić się na dwoje. Na pani miejscu wystąpiłbym w ubiorze zupełnie podobnym do stroju jej córki, w białej atlasowej sukni haftowanej srebrem. Radzę kazać sprowadzić matkę z Paryża, wskażę pani do tego najwytworniejsze magazyny. Obiecałem już ustroić małego pana młodego, i to z francuska, w jasnej peruce. Żegnam panie, Portocarrero chce mnie używać do poselstw, pragnę, aby zawsze nastęczał mi równie przyjemne.

To powiedziawszy, Velasquez spojrział kolejno na obie damy, dając każdej do zrozumienia, że większe na nim sprawiła wrażenie niż sąsiadka, ukłonił się kilka razy, wykręcił na pięcie i odszedł. To naówczas we Francji nazywano światowym ułożeniem.

Po odejścia księcia Velasqueza nastąpiło długie milczenie. Kobiety zadumały się nad sukniemi haftowanymi srebrem, Toledo zaś zwrócił uwagę na bieżące sprawy kraju i zawołał:

— Jak to, czyliż nie myśli on nikogo innego używać prócz takich Arcosów i Velasquezów, to jest ludzi najbardziej lekkomyślnych w całej Hiszpanii? Jeżeli stronnictwo francuskie tak te rzeczy rozumie, trzeba będzie zwrócić się do Austrii.

W istocie, Toledo natychmiast poszedł do hrabiego Harracha, który był naówczas ambasadorem cesarskim w Madrycie. Damy udały się do Prado, ja zaś pojechałem za nimi konno.

Wkrótce spotkaliśmy przepyszny powóz, w którym rozpięły się panie Uscaiz i Busqueros. Księżę d'Arcos jechał obok nich konno. Busqueros, który także pospieszał za księciem, tego samego dnia otrzymał był krzyż Calatravy i nosił go na piersiach. Oslupiałem na ten widok. Miałem krzyż Calatravy i sądziłem, że dano mi go w nagrodę moich zasług, a nade wszystko prawości w postępowaniu, która zjednała mi znakomitych i możliwych przyjaciół. Teraz widząc ten sam krzyż na piersiach człowieka, którym najbardziej pogardzałem, wyznam wam, że byłem zupełnie zmieszany. Stałem jak przykuty na miejscu, gdzie spotkałem powóz pani Uscaiz. Okrążywszy Prado i widząc mnie zawsze na tym samym miejscu, gdzie mnie był wprzód zostawił, Busqueros zbliżył się do mnie przyjacielsko i rzekł:

— Przekonywaś się, mój przyjacielu, że różne drogi prowadzą do tego samego celu. I ja także, równie dobrze jak ty, jestem kawalerem Calatravy.

Byłem do najwyższego stopnia oburzony.

— Wyznaję — odpowiedziałem — ale czy jesteś, czy nie jesteś kawalerem, mości Busqueros, przestrzegam cię, że jeżeli kiedykolwiek spotkam cię szpiegującego po domach, w których bywam, postąpię z tobą jak z ostatnim nędznikiem.

Busqueros przybrał jak mógł najsłodszą minę i rzekł:

— Kochany pasierbie, słowa twoje wymagają pewnego objaśnienia, ale ja nie mogę się gniewać na ciebie i zawsze jestem i będę twoim przyjacielem. Na dowód pragnąłbym pomówić z tobą o niektórych dotyczących cię nader ważnych rzeczach, zwłaszcza zaś co do księżniczki Avila. Jeżeli ciekawym jesteś i chcesz posłuchać, oddaj twego konia masztalerzowi i choć ze mną do pobliskiej cukierni.

Zdjęty ciekawością i troskliwy o spokojność drogiej sercu memu osoby, dałem się namówić. Busqueros kazał przynieść chłodzące napoje i zaczął mówić rzeczy niemające z sobą żadnego związku. Byliśmy sami, wkrótce jednak przyszło kilku oficerów z gwardii walońskiej. Zasiadli koło stołu i kazali sobie przynieść czekoladę.

Busqueros pochylił się ku mnie i półgłosem rzekł:

— Kochany przyjacielu, rozgniewałeś się nieco, ponieważ myślałeś, że zakradłem się do księżniczki Avila, ale usłyszałem tam kilka słów, które odtąd ciągle krążą mi po głowie.

Tu Busqueros zaczął śmiać się do rozpuku i spoglądać na oficerów walońskich, po czym tak dalej ciągnął:

— Kochany pasierbie, księżniczka mówiła ci: „tam małżonek Manueli, tu wdowiec po Leonorze”.

To mówiąc, Busqueros znowu zaczął śmiać się do rozpuku, ciągle spoglądając na oficerów walońskich. Kilka razy powtórzył tę samą igraszkę. Walończycy powstali, odeszli do kąta i z kolei zaczęli nami się zajmować. Wtem Busqueros nagle zerwał się i ani słowa nie powiedziawszy, wyszedł. Walończycy zbliżyli się do mego stołu i jeden z nich, zwracając się do mnie z wielką grzecznością, rzekł:

— Moi towarzysze i ja radziłyśmy dowiedzieć się, co pański towarzysz upatrzył w nas tak nadzwyczajnie śmiesznego?

— *Señor caballero* — odpowiedziałem — zapytanie to jest zupełnie na swoim miejscu. W istocie, mój towarzysz pękał od śmiechu, którego bynajmniej nie zgaduję przyczyny. Mogę jednak zareczyć, że przedmiot naszej rozmowy wcale was nie dotyczył i że toczył się o sprawach rodzinnych, w których niepodobna było upatrzeć cośkolwiek śmiesznego.

— *Señor caballero* — odparł oficer waloński — wyznaję, że odpowiedź waszej miłości niezupełnie mnie zadowala, jakkolwiek czyni mi niezaprzeczony zaszczyt. Pójdę oznajmić ją moim towarzyszom.

Walończycy zdawali się naradzać między sobą i sprzeczać z tym, który ze mną mówił. Po chwili tenże sam oficer znowu zbliżył się do mnie i rzekł:

— Towarzysze moi i ja nie zgadzamy się co do skutków, jakie powinny wyniknąć z łaskawie udzielonego mi przez ciebie, *señor caballero*, objaśnienia. Towarzysze moi utrzymują, że powinniśmy na nim poprzestać. Na nieszczęście jestem przeciwnego zdania, co tak dalece mnie martwi, że chcąc zapobiec skutkom mego żalu, każdemu z osobna ofiarowałem im zadośćuczynienie. Co się tyczy ciebie, *señor caballero*, wyznaję, że powinienem udać się do *señora* Busquera, ale śmiem utrzymywać, że sława, jakiej tenże używa, w pojedynku z nim nie obiecuje mi żadnego zaszczytu. Z drugiej strony, *señor*, znajdowałeś się razem z *don* Busquerem, a nawet, gdy ten śmiał się, spoglądałeś na nas. Stąd mniemam, że bynajmniej nie nadając ważności tej sprawie, słusznym jest, abyśmy zakończyli nasze wyjaśnienia tą samą szpadą, którą każdy z nas ma przy boku.

Towarzysze kapitana z początku chcieli go przekonać, że nie było o co bić się ani z nimi, ani ze mną, ale wiedzieli, z kim mieli do czynienia, przestali więc odradzać i jeden z nich ofiarował mi się za świadka.

Udaliśmy się wszyscy na plac boju. Zraniłem lekko kapitana, ale w tej samej chwili odebrałem nad prawą pierś cios, który uczulem jak zakłucie szpilką. Wkrótce jednak zdjął mnie dreszcz śmiertelny i padłem bez zmysłów.

Gdy Cygan doszedł do tego miejsca swoich przygód, przerwano mu i musiał pójść zająć się sprawami hordy.

Kabalista obrócił się do mnie i rzekł:

— Jeżeli się nie mylę, oficerem, który zranił *señora* Avadoro był właśnie twój ojciec.

— Wcale się nie mylisz — odpowiedziałem — kronika pojedynków ułożona przez mego ojca wspomina o tym i mój ojciec dodaje, że obawiając się niepotrzebnej kłótni z oficerami, którzy nie podzielali jego zdania, tego samego dnia bił się z trzema i poranił ich.

— *Señor* kapitanie — rzekła Rebeka — twój ojciec dał dowód niezwyklej przezorności. Obawa niepotrzebnej kłótni skłoniła go do pojedynkowania się cztery razy tego samego dnia.

Zart ten, na jaki Rebeka pozwalała sobie względem mego ojca, nieskończenie mi się nie podobał i już chciałem jej coś odpowiedzieć, gdy wtem towarzystwo rozeszło się i zebrało dopiero nazajutrz.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Wieczorem Cygan tak dalej mówił:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Wróciłem do zmysłów. Spostrzegłem, że z obu rąk krew mi puszczano. Jak przez mgłę ujrzałem księżniczkę, księżnę Sidonię i Toledo, wszyscy mieli łzy w oczach. Znowu postradałem przytomność. Przez sześć tygodni znajdowałem się w stanie podobnym do ciągłego snu, a nawet do śmierci. Z obawy o mój wzrok, okiennice ciągle były zamknięte, podczas owijania zaś rany, zawiązywano mi oczy. Nareszcie pozwolono mi patrzeć i mówić. Lekarz mój przyniósł mi dwa listy, pierwszy był od Toledo, który donosił mi, że wyjechał do Wiednia, ale z jakimi poleceniami, tego nie mogłem odgadnąć. Drugi list był od księżniczki Avila, ale nie jej charakterem pisany. Oznajmiała mi, że przedsięwzięto poszukiwania przy ulicy Retardo i że nawet zaczęto szpiegować ją w jej własnym domu. Zniecierpliwiona nareszcie, wyjechała do swoich majątków lub też, jak mówią w Hiszpanii, do swoich państw. Gdy przeczytałem oba listy, lekarz kazał zamknąć na powrót okiennice i zostawił mnie własnym myślom. W istocie, tym razem na dobre zacząłem się zastanawiać. Dotychczas życie przedstawiało mi się jako ścieżka usłana kwieciami, teraz dopiero poczułem ciernie.

Po upływie piętnastu dni pozwolono mi przejechać się w Prado. Chciałem wsiąść i przejść się, ale zabrakło mi sił, usiadłem więc na ławce. Niebawem zbliżył się do mnie ten sam oficer waloński, który służył mi za świadka. Powiedział mi, że przeciwnik mój przez cały czas mego niebezpieczeństwa był w najgwałtowniejszej rozpacz i że błaga o pozwolenie uściskania mnie. Zgodziłem się; mój przeciwnik padł mi do nóg, przycisnął mnie do serca i odchodząc, rzekł głosem przerywanym łzami:

— Señor Avadero, daj mi sposobność pojedynkowania się za ciebie, będzie to najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Wkrótce potem ujrzałem Busquera, który zbliżył się do mnie ze zwykłą beczelnością i rzekł:

— Kochany pasierbie, odebrałeś cokolwiek za ostrą naukę. Wprawdzie ja powinienem był ci jej udzielić, ale zapewne nie byłbym tak dobrze się znalazł.

— Drogi ojczymie — odpowiedziałem — wcale nie skarżę się na ranę, jaką mi zadał męzny oficer. Ja także noszę szpadę i tylko na wypadek, że coś podobnego może mi się wydarzyć. Co zaś do twojego w tym względzie przyczynienia się, mniemam, że należałoby je wynagrodzić, porządnie kijem garbując ci skórę.

— Z wolna, kochany pasierbie — przerwał Busqueros — ta ofiara kijów wcale nie jest obowiązująca, zwłaszcza w obecnej chwili przekracza nawet prawidła grzeczności. Od czasu naszego rozstania zostałem ważnym człowiekiem, niby podministrem drugiego rządu. Muszę ci to opowiedzieć z pewnymi szczegółami.

Jego eminencja kardynał Portocarrero, widząc mnie kilka razy w orszaku księcia d'Arcos, raczył uśmiechnąć się ze szczególniejszą łaskawością. To ośmieliło mnie do składania mu mego uszanowania w dniach posłuchań. Pewnego dnia jego eminencja zbliżył się ku mnie i rzekł półgłosem:

— Wiem, mości Busqueros, że jesteś jednym z ludzi najlepiej świadomych wszystkiego, co się dzieje w mieście.

Na to odpowiedziałem z dziwną przytomnością umysłu:

— Wasza eminencjo, Wenecjanie, którzy uchodzą za niezłych rządców swym krajem, kładą tę świadomość w liczbę tego, co niezbędne dla każdego człowieka chcącego trudnić się sprawami państwa.

— I mają słuszność — dodał kardynał, po czym pomówił jeszcze z kilkoma osobami i odszedł. W kwadrans potem marszałek dworu zaczął mnie mówić:

— Señor Busqueros, jego eminencja polecił mi, aby m zaprosił cię na obiad i o ile mi się zdaje, po obiedzie chce nawet z tobą pomówić. Upprzedzam cię jednak, señor, abyś w takim razie zbyt nie przedłużał rozmowy, gdyż jego eminencja dużo je i następnie od snu wstrzymać się nie może.

Podziękowałem marszałkowi za przyjacielską radę i zostałem na obiedzie wraz z kilkunastoma innymi współbiesiadnikami. Kardynał prawie sam zjadł całego szczupaka. Po obiedzie kazał mnie przywołać do swego gabinetu:

— No cóż, *señor don Busqueros* — rzekł — nie dowiedziałeś się w tych dniach czego zajmującego?

Zapytanie kardynała mocno mnie zmieszało, gdyż w istocie ani tego dnia, ani poprzednich nic nie odkryłem zajmującego. Zastanowiwszy się jednak przez chwilę, odpowiedziałem:

— Wasza eminencjo, w tych dniach dowiedziałem się o istnieniu dziecięcia z krwi austriackiej.

Kardynał nadzwyczajnie się zdziwił.

— Tak jest — dodałem — wasza eminencja przypomina sobie, że księżę Avila połączony był tajemnym związkiem z infantką Beatrycze. Pozostała po nim z tego związku córka imieniem Leonora, która poszła za mąż i miała dziecię. Leonora umarła, pochowano w klasztorze urszulanek. Widziałem jej nagrobek, który później znikł bez śladu.

— To będzie mogło wielce zaszkodzić Avilom i Sorrientom — rzekł kardynał.

Jego eminencja byłby może więcej mówił, ale szczupak przyspieszył chwilę snu, uznałem więc za stosowne wynieść się. Wszystko to działo się przed trzema tygodniami. W istocie, kochany pasierbie, nie ma już tam nagrobka, gdzie go wprzód widziałem. Przecież wyraźnie na nim czytałem: „Tu leży Leonora Avadoro”. Wstrzymałem się od wymienienia cię przed jego eminencją nie dlatego, abym chciał dochować ci tajemnicy, ale że na później odłożyłem to doniesienie.

Lekarz, towarzyszący mi na przechadzce, oddalił się był o kilka kroków. Nagle spostrzegł, że blednąc jestem bliski postradania przytomności. Powiedział Busquerowi, że obowiązek jego zmusza go do przerywania rozmowy i odprowadzenia mnie do domu. Wróciłem więc. Lekarz przepisał mi chłodzący napój i kazał przymykać okiennice. Naówczas oddałem się rozmyślaniom; niektóre uwagi upokorzyły mnie do najwyższego stopnia.

„Otóż to — mówiłem w duchu — tak zawsze wychodzi, gdy kto przestaje z wyższymi od siebie. Księżniczka zawiera ze mną małżeństwo, które nic nie ma w sobie rzeczywistego, a potem dla jakiejś wymarzonej Leonory popadam w podejrzenie rządu i muszę słuchać plotek człowieka, którym pogardzam. Z drugiej strony, nie mogę usprawiedliwić się, nie zdradzając księżniczki, która zbyt jest dumna, aby kiedykolwiek przyznać się do mnie chciała”.

Następnie pomyślałem o małej, dwuletniej Manueli, którą tuliłem do łona w Sorriente, a której nie śmiałem nazwać moją córką.

— Lube moje dziecię — zawołałem — jakąż przyszłość los ci gotuje? Może klasztor? Ale nie, ja jestem twoim ojcem i gdy będzie chodziło o twoje przeznaczenie, potrafię zaprzeczyć się wszelkiej ludzkiej przeczności. Ja będę twoim opiekunem, chociażbym miał własnym życiem to przypłacić!

Myśl o moim dziecięciu rozrzewniała mnie, zalałem się łzami i wkrótce potem krwią, gdyż rana mi się otworzyła. Krzyknąłem na chirurgów, przewinięto mi ją na nowo, po czym napisałem do księżniczki i posłałem list przez jednego z jej służących, którego przy mnie była zostawiła.

W dwa dni potem znowu udałem się do Prado. Dokoła ujrzałem zgiełk niezwykły. Powiedziano mi, że król kona. Wniosłem stąd, że może zapomną o mojej sprawie, jakoż nie pomyliłem się. Król umarł nazajutrz. Natychmiast wysłałem drugiego gońca, by zawiadomić o tym księżniczkę.

Za dwa dni odczytano dość powszechnie testament królewski i dowiedziano się, że *don Filip Andegawęński* został powołany na tron. Umiano ściśle dochować tajemnicy, tak że wieść ta, rozszedłszy się od razu, niewymownie wszystkich zadziwiła. Wysłałem do księżniczki trzeciego gońca. Odpowiedziała mi od razu na moje trzy listy i nazaczyła spotkanie w Sorriente. Gdy tylko poczułem się nieco na siłach, wyjechałem do Sorriente, dokąd w dwa dni później przybyła księżniczka.

— Szczęśliwie udało nam się wywinąć — rzekła do mnie — ten łotr Busqueros był już na prawdziwej drodze i skończyłby niezawodnie na odkryciu naszego małżeństwa. Byłaby umarła ze zmartwienia. Bez wątpienia, czuję, że nie mam słuszności, ale gardząc

małżeństwem, zdaje mi się, że wznoszę się nad naszą pleć, a nawet i nad waszą. Nieszczęśliwa duma owładnęła moją duszą i chociażbym na przewyciężenie jej użyła wszystkich sił, przysięgam ci, że byłoby to daremne.

— A córka twoja? — przerwałem. — Jakież będzie jej los? Czyż mam jej nigdy nie zobaczyć?

— Ujrzysz ją — rzekła księżniczka — ale teraz mi o niej nie wspominaj. Wierzaj mi, że więcej, niż możesz sobie wyobrazić, cierpię na tej konieczności ukrywania jej przed światem.

W istocie księżniczka cierpiała, do moich jednak cierpień dodawała jeszcze upokorzenie. Z mojej strony także duma złączyła się z miłością, jaką żywiłem dla księżniczki. Za grzech odbierałem zasłużoną karę.

Stronnictwo austriackie naznaczyło Sorriente na miejsce ogólnej schadzki. Ujrzałem kolejno przybywających: księcia Oropesę, księcia Infantado, hrabiego Melzara i wiele innych znakomitych osób, że już takich nie wymieniam, którzy nie tylko nie byli znakomici, ale nawet wydawali się podejrzeni. Pomiędzy tymi ostatnimi spostrzegłem niejakiego Uzedę, który podawał się za astrologa i usilnie wpraszał się do mojej przyjaźni.

Nareszcie przybył pewien Austriak nazwiskiem Berlepsch, ulubieniec królowej-wdowy i zastępca posła od chwili wyjazdu hrabiego Harracha.

Kilka dni przepędzono na naradach, na koniec otworzono uroczyste posiedzenie około wielkiego stołu przykrytego zielonym sukniem. Księżniczka została przypuszczona i przekonałem się, że duma, a raczej chęć wmieszania się do spraw państwa, zupełnie owładnęła jej umysłem.

Księżę Oropesa, zwracając się do Berlepscha, rzekł:

— Widzisz tu, *señor*, zebrane osoby, z którymi ostatni ambasador austriacki naradzał się względem spraw hiszpańskich. Nie jesteśmy ani Francuzami, ani Austriakami, ale Hiszpanami. Jeżeli król francuski przyjmie testament, jego wnuk bez wątpienia zostanie naszym królem. Nie przewidujemy wypadków, jakie może to spowodzić, ale mogę zaręczyć, że żaden z nas nie rozpocznie wojny domowej.

Berlepsch zapewnił, że cała Europa się uzbroi i że nigdy nie ścierpi, aby rodzina Burbonów obejmowała władzę nad tak rozległymi państwami. Następnie zażądał, aby panowie należący do stronnictwa austriackiego, wysłali do Wiednia upoważnionego przez nich pełnomocnika. Księżę Oropesa zwrócił oczy na mnie i już myślałem, że mnie przedstawi, ale zamyślił się i odpowiedział, że nie nadeszła jeszcze pora do przedsięwzięcia tak stanowczego kroku.

Berlepsch oznajmił, że zostawi kogoś w kraju; zresztą z łatwością spostrzegł, że panowie obecni na tym posiedzeniu czekali tylko odpowiedniej chwili do otwartego wystąpienia.

Po skończonym posiedzeniu poszedłem do ogrodu złączyć się z księżniczką i opowiedziałem jej, jak księżę Oropesa spozjrzał na mnie, gdy chodziło o wysłanie pełnomocnika do Austrii.

— *Señor don Juanie* — rzekła — wyznaję, że mówiliśmy już o tobie w tym względzie i że sama cię nawet przedstawiałam. Masz ochotę wyrzucić mi moje postępowanie: nie ma co mówić, jestem winna, ale wprzódę pragnę wytłumaczyć ci moje położenie. Nie byłam stworzona do miłości, twoja jednak potrafiła wzruszyć moje serce. Zanim miałam na zawsze porzucić rozkosze miłości, chciałam wprzódę je poznać. Cóż powiesz? Nie zmieniły one w niczym mego sposobu myślenia. Prawa, jakie ci nadałam nad moim sercem i moją osobą, jakkolwiek słabe, nie mogą już istnieć. Zatarłam najmniejsze ich ślady. Zamierzam teraz przepędzić kilka lat w świecie i jeżeli można, wpłynąć na losy Hiszpanii. Następnie założę zakon szlacheckich panien, którego sama będę pierwszą ksienią.

Co się tyczy ciebie, *señor don Juanie*, pojedziesz do przeora Toledo, który opuścił już Wiedeń i udał się na Maltę. Ponieważ jednak stronnictwo, w jakie wszedłeś, mogłoby cię narazić, kupuję przeto cały twój majątek i zabezpieczam jego wartość na moich dobrach w Portugalii, w królestwie Algarve. Nie jest to jedyna ostrożność, *señor don Juanie*, jaką powinienes przedsięwziąć. Są w Hiszpanii miejsca, nieznane rządowi, gdzie w razie poszukiwań bezpiecznie można całe życie przepędzić. Polecę cię komuś, który da ci je poznać. Słowa moje zdają się zadziwiać cię, *señor don Juanie*? Dawniej okazywałam ci większą czułość, ale zatrzwożyły mnie szpiegostwa Busquera i zamiar mój jest nieodwołalny.

To powiedziawszy, księżniczka zostawiła mnie własnym myślom, które wcale nie sprzyjały wielkim panom.

— Bogdaj przepadli — zawolałem — półbożkowie tej ziemi, dla których reszta śmiertelnych jest niczym! Zostałem igraszką kobiety, która próbowała na mnie, czy jej serce stworzone jest do miłości, i która w końcu skazuje mnie na wygnanie, uważając mnie za aż nadto szczęśliwego, że mogę poświęcić się jej własnej i przyjaciół jej sprawie! Ale nic z tego nie będzie. Dzięki mojej małoważności będę jeszcze mógł żyć w spokoju.

Wymówiłem ostatnie wyrazy dość głośno, gdy wtem jakiś głos mi odpowiedział:

— Nie, *señor* Avadoro, ty nie możesz żyć w spokoju.

Obróciłem się i ujrzałem między drzewami tego samego astrologa Uzedę, o którym wam już wspomniałem.

— *Señor* don Juanie — rzekł do mnie — słyszałem pewną część twego monologu i mogę cię zapewnić, że w burzliwych czasach nikt spokoju znaleźć nie zdoła. Zaslania cię można opieka, nie powinienes jej marnować. Jedź do Madrytu, dopełnij sprzedaży ofiarowanej ci przez księżniczkę i stamtąd udaj się do mego zamku.

— Nie wspominaj mi o księżniczce — przerwałem oburzony.

— Dobrze więc — rzekł astrolog — w takim razie pomówimy o twojej córce, która w tej chwili znajduje się w moim zamku.

Chęć uściskania mego dziecięcia uśmierzyła mój gniew, z drugiej zaś strony, rzeczywistość, nie należało mi porzucać moich opiekunów. Udałem się do Madrytu i oświadczyłem, że wyjeżdżam do Ameryki. Oddałem mój dom i wszystko, co posiadałem, w ręce prawnika księżniczki i wybrałem się w drogę ze służącym, którego mi nastręczył Uzeda. Ten przez różne manowce zaprowadził mnie do jego zamku, w którym byliście i gdzieście poznali syna jego, obecnego tu szanownego kabalistę. Astrolog przyjął mnie u bramy i rzekł:

— *Señor* don Juanie, tu nie jestem już Uzedą, ale Mamunem Ben Gersom, Żydem z religii i pochodzenia.

Następnie, oprowadził mnie po swoim obserwatorium, pracowni i wszystkich kątach swego tajemniczego mieszkania.

— Racz mi objaśnić — rzekłem do niego — czy twoja sztuka zasadza się na czymś rzeczywistym? Powiedziano mi bowiem, że jesteś astrologiem, a nawet czarnoksiężnikiem.

— Chcesz zobaczyć próbę? — przerwał Mamun. — Spójrzj w to weneckie zwierciadło, ja tymczasem pójdę zamknąć okiennice.

Z początku nic nie spostrzegłem, po chwili jednak tło zwierciadła zdawało się z wolna rozjaśniać. Ujrzałem księżniczkę Manuelę z dziećciem na ręku.

Gdy Cygan kończył te słowa i wszyscy natężyliśmy słuch, ciekawi co się dalej stanie, jeden z jego hordy przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności.

Oddalił się i już go więcej tego dnia nie widzieliśmy.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Nazajutrz z niecierpliwością oczekiwaliśmy wieczoru. Cygan zastał nas już od dawna razem zebranych. Zadowolony z zainteresowania, jakie mu okazywaliśmy, nie dał się nawet prosić i sam zaczął mówić w te słowa:

Dalszy ciąg historii naczelnka Cyganów

Powiedziałem wam, że utkwilem wzrok w weneckie zwierciadło i spostrzegłem w nim księżniczkę z dziećciem na ręku. Po chwili widzenie znikło, Mamun otworzył okiennice i wtedy mu rzekłem:

— Mości czarnoksiężniku, mniemam, że do oczarowania mego wzroku, nie potrzebowałaś współuczestnictwa złych duchów. Znam księżniczkę, już ona raz mnie oszukała w sposób daleko bardziej zadziwiający. Jednym słowem, jeżeli jej obraz widziałem w zwierciadle, nie wątpię, że ona sama także znajduje się w tym zamku.

— Nie mylisz się — odparł Mamun — i natychmiast pójdziemy do niej na śniadanie.

Otworzył skryte drzwiczki i padłem do nóg mojej małżonki, która nie mogła ukryć swego wzruszenia. Nareszcie przyszła do siebie i rzekła:

— Don Juanie, należało raz to wszystko ci powiedzieć, o czym mówiłam w Sorriente, gdyż to była prawda. Zamiary moje są nieodwołalne. Wszelako po twoim odjeździe wyrzucałam sobie moją nieczułość. Wrodzony instynkt mojej płci wzdryga się na każde postępowanie, w którym można by upatrzeć brak serca. Powodowana nim, postanowiłam tu czekać na ciebie i raz ostatni się z tobą pożegnać.

— Pani — odrzekłam księżniczce — ty byłaś jedynym marzeniem mego życia i ty mi zastąpisz wszelką rzeczywistość. W przyszłych kolejach twego losu zapomnij na wieki o don Juanie. Przystaję na to, ale pomnij, że zostawiam dziecię moje przy tobie.

— Wkrótce je ujrzysz — przerwała księżniczka — i oboje razem powierzmy je tym, którzy mają zająć się jego wychowaniem.

Cóż mam wam powiedzieć? Zdawało mi się naówczas i w tej chwili jeszcze mi się zdaje, że księżniczka miała słuszność. W istocie, czy mogłem żyć z nią, będąc i nie będąc jej mężem? Jeżeli zdołaliśmy ująć przed przenikliwością ogółu, nie uniknęlibyśmy wzroku naszych służących, a wtedy niepodobna byłoby zachować tajemnicę. Nie ma wątpliwości, że wówczas cały los księżniczki byłby się zmienił, zdawało mi się więc, że słuszność była po jej stronie. Podałem się zatem i wkrótce miałem ujrzeć moją małą Ondynę. Tak ją bowiem nazwano z tego powodu, że była chrzczona tylko z wody, nie zaś z oleju.

Zeszliśmy się razem na obiad. Mamun rzekł do księżniczki:

— Pani, sądzę, że należałoby uwiadomić señora o pewnych rzeczach, o których musi się dowiedzieć, i jeżeli podzielasz moje zdanie, ja się tego podejmę.

Księżniczka przystała. Naówczas Mamun, zwracając się do mnie, tymi słowy się odezwał:

— *Señor* don Juanie, decesz tu ziemię nieprzeniknioną dla zwyczajnego wzroku, gdzie każdy strzeże jakiejś tajemnicy. W paśmie tych gór znajdują się obszerne jaskinie i podziemia. Żyją tam Maurowie, którzy od czasów wygnania ich z Hiszpanii nigdy z nich nie wychodzili. W tej oto dolinie, rozciągającej się przed twymi oczyma, zobaczysz mniemanych Cyganów, z których jedni są mahometanami, drudzy chrześcijanami, ostatni wreszcie żadnej nie wyznają wiary. Na szczycie tej skały widzisz dzwonnice z krzyżem na wierzchu. Jest to klasztor dominikanów. Inkwizycja święta ma powody, dla których przez szpary patrzy na to, co się tutaj dzieje, dominikanie zaś zobowiązani są nic nie widzieć. Dom, w którym się znajdujesz, zamieszkują Izraelici. Co siedem lat Żydzi hiszpańscy i portugalscy zgromadzają się tu dla święcenia roku sabatowego, obecnie będącego czterechsetną trzydziestą ósmą rocznicą jubileuszu, jaki odprawił Jozue. Powiedziałem ci, *señor* Avadero, że pomiędzy Cyganami z doliny jedni są mahometanami, drudzy chrześcijanami, inni nareszcie żadnej nie wyznają wiary. W istocie ci ostatni są to poganie pochodzący od Kartagińczyków. Za panowania Don Filipa II spalono kilkaset takich rodzin, niektóre tylko schroniły się około małego jeziora, utworzonego, jak mówią, przez wybuch wulkanu. Dominikanie z tego klasztoru mają tam swoją kaplicę.

Oto jest, *señor* Avadero, co tymczasem wymyślił się względem małej Ondyny, która nigdy nie dowie się o swoim pochodzeniu. Ochmistrzyni, kobieta całkiem oddana księżniczce, uchodzi za jej matkę. Wybudowano dla niej piękny domek na brzegach jeziora; dominikanie z klasztoru udzielił jej pierwszych zasad religii. Resztę pozostawiamy staraniom Opatrzności. Nikt z ciekawskich nie będzie mógł zwiedzać brzegów jeziora La Frita.

Podczas tej przemowy księżniczka uroniła kilka łez, ja zaś nie mogłem wstrzymać się od płaczu. Nazajutrz udaliśmy się do tego samego jeziora, około którego teraz się znajdujemy, i umieściliśmy tam małą Ondynę. Następnego dnia księżniczka odzyskała dawną dumę i wyniosłość i wyznam, że pożegnanie nasze nie było zbyt rozczulające. Nie zatrzymując się dłużej w zamku, wsiałem na statek, wylądowałem w Sycylii i ugodziłem się z patronem Speronara, który podjął się zawieźć mnie na Maltę.

Udałem się do przeora Toleda. Szlachetny mój przyjaciel, czule mnie uściskawszy, wprowadził do osobnego pokoju i drzwi zamknął na klucz. W pół godziny potem marszałek przeora przyniósł mi obfity posiłek, nad wieczorem zaś sam Toledo przyszedł, niosąc pod pachą wielki plik listów lub też — jak je w polityce nazywają — depesze. Nazajutrz wracałem już z poselstwem do arcyksięcia don Karlosa.

Zastałem jego cesarzowiczowską mość w Wiedniu. Skoro tylko oddałem mu depesze, natychmiast zamknięto mnie w osobnym pokoju, tak samo jak na Malcie. Po upływie godziny sam arcyksiążę przyszedł do mnie, zaprowadził do cesarza i rzekł:

— Mam zaszczyt przedstawić waszej cesarsko-apostolskiej mości margrabiego Castelli, szlachcica sardyńskiego i zarazem upraszać dla niego o klucz szambelański.

Cesarz Leopold, nadając swojej dolnej wardze jak najłagodniejszy wyraz, zapytał mnie po włosku, jak dawno opuściłem Sycylię.

Nie byłem przyzwyczajony do rozmawiania z monarchami, a jeszcze mniej do kłamstwa, za całą więc odpowiedź, skłoniłem się głęboko.

— To dobrze — rzekł cesarz — przyłączam wszmość pana do świty mego syna.

Tym sposobem od razu, chcąc nie chcąc, zostałem margrabią Castelli i szlachcicem sardyńskim.

Tego samego wieczora dostałem nadzwyczajnego bólu głowy, nazajutrz gorączki, we dwa dni zaś potem — ospy. Zaraziłem się nią w jednej gospodzie w Karyntii. Choroba moja była gwałtowna i nader niebezpieczna, wyleczyłem się jednak i to nie bez korzyści: margrabia Castelli bowiem w niczym nie był podobny do don Avadora; zmieniając nazwisko, zmieniłem zarazem i powierzchowność. Teraz mniej niż kiedykolwiek poznano by we mnie ową Elwirę, która niegdyś miała zostać wicekrólową Meksyku.

Skoro tylko wróciłem do zdrowia, wnet powierzono mi korespondencję z Hiszpanią.

Tymczasem don Filip Andegaweński królował nad Hiszpanią i Indiami, a nawet nad sercami swoich poddanych. Ale właśnie w takich chwilach nie pojmuję, jaki szatan miesza się do książąt i ich spraw. Król don Filip i królowa, jego małżonka, stali się niejako pierwszymi poddanymi księżnej Orsini. Nadto do rady państwa przypuszczono posła francuskiego kardynała d'Estrées, co do najwyższego stopnia oburzyło Hiszpanów. Z drugiej strony, król francuski Ludwik XIV, myśląc, że wszystko mu wolno, osadził Mantuę żoną francuską. Wtedy arcyksiążę don Karlos, powziął nadzieję panowania.

Było to w samym początku roku 1703, gdy pewnego wieczora arcyksiążę rozkazał mnie przywołać. Postąpił kilka kroków naprzeciw mnie, raczył mnie objąć, a nawet czule uściskać. Przyjęcie to zapowiadało mi coś nadzwyczajnego.

— Castelli — rzekł arcyksiążę — nie odebrałeś żadnych wiadomości od przeora Toleda?

Odpowiedziałem, że dotąd żadnych nie miałem.

— Był to znakomity człowiek — dodał po chwili arcyksiążę.

— Jak to: był? — przerwałem.

— Tak jest — odparł arcyksiążę — był; przeor Toledo umarł na Malcie na zgniętą gorączkę. Ale znajdziesz we mnie drugiego Toleda. Oplakuj twego przyjaciela i bądź mi wierny.

Oplakałem rzewnymi łzami stratę mego przyjaciela i pojąłem, że teraz nie potrafię już przestać być Castellim. Mimowolnie stałem się niewolniczym narzędziem arcyksięcia.

Następnego roku udaliśmy się do Londynu. Stamtąd arcyksiążę skierował się do Lizbony, ja zaś pojechałem złączyć się z wojskiem lorda Peterborough, którego, jak to wam już mówiłem, miałem być niegdyś zaszczyt poznać w Neapolu. Byłem z nim razem, gdy — zmuszając Barcelonę do poddania się — dał poznać swój charakter szlachetnym czynem, powszechnie wówczas sławionym. Podczas kapitulacji niektóre oddziały wojska sprzymierzonego weszły do miasta i rabowały je. Książę Popoli, który wówczas dowodził w imieniu króla don Filipa, żalił się na to przed lordem.

— Pozwól mi na chwilę wejść do miasta z moimi Anglikami — rzekł Peterborough — a zaręczam, że wszystko przyprowadzę do porządku.

Uczynił, jak powiedział, po czym opuścił miasto, zapewniając mu zaszczytną kapitulację.

Wkrótce potem arcyksiążę, zawładnąwszy prawie całą Hiszpanią, przybył do Barcelony. Wróciłem do mego miejsca przy nim, zawsze pod nazwiskiem margrabiego Castelli. Pewnego wieczora, przechadzając się w świetle arcyksięcia po głównym placu, spostrzegłem człowieka, którego chód, raz wolny, to znowu przyspieszony, przypomniał mi Don Busquera. Kazałem go śledzić. Doniesiono mi, że był to jakiś człowiek z fałszywym no-

sem, który kazał nazywać się doktorem Robusti²³². Nie wątpiłem na chwilę, że to był mój łotr, który w celu szpiegowania nas wcisnął się do miasta.

Opowiedziałem to arcyksięciu, który upoważnił mnie do postąpienia z nim, jak mi się tylko podoba. Naprzód więc kazałem zamknąć niegodziwca na odwachu, następnie w godzinie parady ustawiłem od odwachu aż do portu dwa rzędy grenadierów, uzbroiwszy wprzód każdego giętkim brzozowym prętem. Jeden od drugiego stał w odległości niezawadniającej wolnym poruszeniem prawej ręki. Don Busqueros, wychodząc z odwachu, poznał, że te przygotowania jego dotyczyły i że był, jak to mówią, królem tej uroczystości. Puścił się więc pędem z całej siły, unikając tym sposobem połowy razów, wszelako dostał ich przynajmniej ze dwieście. W porcie wpadł do szalupy, która go zawiozła na pokład fregaty, gdzie dozwolono mu zająć się leczeniem swego grzbietu.

Czas było zająć się sprawami hordy, Cygan nas opuścił, zostawiając dalsze przygody na dzień następny.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY

Cygan nazajutrz tak dalej mówił:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Od dziesięciu lat zostawałem ciągle przy boku arcyksięcia. Smutnie upłynęły mi najpiękniejsze lata mego życia, chociaż wprawdzie nie weselej one upływały dla reszty Hiszpanów. Zaburzenia zdawały się co dzień kończyć, nigdy jednak się nie kończyły. Stronicy don Filipa rozpaczali nad jego słabością do księżnej Orsini, partia zaś don Karlosa także nie miała z czego się cieszyć. Oba stronnictwa popełniły mnóstwo błędów, uczucie zmęczenia i niechęci było powszechne.

Księżniczka Avila, przez długi czas będąc duszą stronnictwa austriackiego, byłaby może przeszła na stronę don Filipa, ale raziła ją niepohamowana duma księżnej Orsini. Nareszcie ta ostatnia musiała na jakiś czas opuścić widownię swoich czynności i oddać się do Rzymu, wkrótce jednak powróciła bardziej tryumfująca niż kiedykolwiek. Wtedy księżniczka Avila wyjechała do Algarve i zajęła się fundacją swego klasztoru. Księżna Sidonia kolejno straciła córkę i zięcia. Ród Sidoniów ostatecznie wygasł, majątki przeszły do rodziny Medina-Celi, księżna zaś wyjechała do Andaluzji.

Roku 1711 arcyksiążę wstąpił na tron po swoim bracie Józefie i został cesarzem pod nazwiskiem Karola VI. Zazdrość Europy, zamiast na Francję, zwróciła się całkiem na arcyksięcia. Nie chciano, aby Hiszpania była pod jednym berłem z Węgrami. Austriacy opuścili Barcelonę i zostawili w niej margrabię Castelli, w którym mieszkańcy pokładali nieograniczone zaufanie. Nie szczędziłem wszelkich starań, aby tylko przyprowadzić ich do rozsądku, ale zabiegi moje okazały się bezskuteczne. Nie pojmuję, jaka wściekłość owładnęła umysłami Katalończyków: sądzili, że potrafią stawić czoło całej Europie.

Śród tych wypadków odebrałem list od księżniczki Avila. Podpisywała się już jako ksieni z Val-Santa. List zawierał te jedynie wyrazy:

„Jak tylko będziesz mógł, jedź do Uzedy i staraj się widzieć Ondynę.
Wprzód jednak nie zaniechaj pomówić z przeorem dominikanów”.

Ksiązę Popoli, naczelnny wódz wojsk króla don Filipa, obległ Barcelonę. Przede wszystkim kazał wznieść szubienicę na dwadzieścia pięć stóp wysoką, przeznaczoną dla margrabię Castelli. Zebrałem znaczniejszych mieszkańców Barcelony i rzekłem do nich:

— Panowie, umiem cenić zaszczyt, jaki mi sprawia wasze we mnie zaufanie, ale nie jestem wojskowym, a tym samym nie zdam się na waszego dowódcę. Z drugiej strony, jeżeli kiedykolwiek będziecie zmuszeni do kapitulacji, za pierwszy warunek położą wam wydanie mnie, co bez wątpienia będzie dla was nader drażliwe. Lepiej zatem, abym się z wami pożegnał i na zawsze was opuścił.

Gdy lud raz wpadnie na drogę niedorzeczności, chętnie naówczas pociąga za sobą jak najwięcej indywiduów i sądzi, że wiele zyska na odmówieniu paszportu. Nie pozwolono

²³²Robusti — nazwisko znaczące tyle co: „gwałtownik, rozbójnik, łobuz”. [przypis edytorski]

mi zatem wyjechać, ale zamiar mój od dawna już był przygotowany. Zamówiona łódź oczekiwała mnie na brzegu; o północy wsiadłem w nią i nazajutrz wieczorem wylądowałem w Florianie, rybackiej wiosce w Andaluzji.

Nagrodziwszy hojnie majtków, odesłałem ich, sam zaś zapaściłem się w góry. Długo nie mogłem rozpoznać drogi, nareszcie odnalazłem zamek Uzedy i samego właściciela, który pomimo znajomości astrologii z trudnością zdołał mnie sobie przypomnieć.

— *Señor don Juanie* — rzekł — lub raczej *señor Castelli*, twoja córka jest zdrowa i niewypowiedzianie piękna. Co do reszty, rozmówisz się z przeorem dominikanów.

We dwa dni potem ujrzałem przybywającego sędziwego zakonnika, który rzekł do mnie:

— *Señor caballero*, święta inkwizycja, której jestem członkiem, mniema, że na wiele rzeczy w tych górach powinna patrzeć przez szpary²³³. Czyni to w nadziei nawrócenia obłąkanych owieczek w znacznej liczbie tu się znajdujących. Przykład ich wywarł na młodą Ondynę zgubne skutki. Zresztą jest to dziewczyna dziwnego sposobu myślenia. Gdyśmy ją nauczali zasad świętej naszej wiary, słuchała z uwagą i nie dawała poznać żadnego wątplenia; po chwili jednak uczestniczyła w modlitwach mahometańskich, a nawet przy uroczystościach pogan. Idź *señor caballero* do jeziora La Frita i ponieważ masz do niej prawo, staraj się zbadać jej serce.

Podziękowałem szanownemu dominikaninowi i udałem się na brzegi jeziora. Przybyłem przez przylądek położony od północy. Ujrzałem żagiel przesuwany się po wodzie z szybkością błyskawicy. Zacząłem podziwiać budowę statku. Była to łódka wąska i długa, na kształt łyżwy, opatrzona dwoma drągami, których przeciwwaga chroniła od wywrotu. Silny maszt utrzymywał trójkątny żagiel, młoda zaś dziewczyna, wsparta na wiosłach, zdawała się ulatywać i muskać powierzchnię wód. Szczególny ten statek przybił do miejsca, na którym stałem. Młoda dziewczyna wysiadła, miała ramiona i nogi obnażone, zielona jedwabna suknia przylegała jej do ciała, włosy spadały w bujnych pierścieniach na śnieżną szyję, niekiedy wstrząsała nimi jak grzywą. Widok ten przypomni mi dzikich mieszkańców Ameryki.

— Ach, Manuelo — zawołałem. — Manuelo, więc to jest nasza córka?

W istocie była to ona. Udałem się do jej mieszkania. Ochmistryni Ondyny przed kilku laty umarła, wtedy księżniczka sama przyjechała i powierzyła córkę pewnej rodzinie walońskiej. Ondyna wszelako nie chciała uznawać żadnej władzy nad sobą. W ogóle mało mówiła, wdrapowała się na drzewa, czepiała po skałach i rzucała w jezioro. Z tym wszystkim nie brakowało jej pojętności; tak na przykład sama wynalazła ten powabny statek, który przed chwilą wam opisywałem. Jeden tylko wyraz zmuszał ją do posłuszeństwa. Było to wspomnienie o jej ojcu i gdy chciano, aby co uczyniła, wtedy rozkazywano jej w imieniu ojca. Skoro przybyłem do mieszkania, natychmiast postanowiono ją zawołać. Przyszła cała drżąca i uklęknęła przede mną. Przycisnąłem ją do serca, okryłem pieścizotami, ale nie mogłem z niej wydobyć ani jednego słowa.

Po obiedzie Ondyna odeszła znowu do swej łodzi, wsiadłem razem z nią, pochwyciła oba wiosła i wypłynęła na środek jeziora. Starąłem się wszcząć z nią rozmowę, naówczas położyła wiosła i zdawała się słuchać mnie z uwagą. Znajdowaliśmy się na wschodniej części jeziora, tuż około otaczających je stromych skał.

— Droga Ondyno — rzekłem — uważałaś pilnie na święte nauki ojców z klasztoru? Ondyno, jesteś przecie istotą rozumną, masz duszę i religia powinna przewodniczyć ci na drodze życia.

Gdy tak w najlepsze zabrałem się do udzielania jej ojcowskich przestróg, nagle Ondyna wskoczyła do wody i znikła z moich oczu. Trwoga mnie zdjęła, czym prędzej powróciłem do mieszkania i zacząłem wołać o pomoc. Odpowiedziano mi, że nie mam się czego obawiać, że wzdłuż skał są jaskinie, czy też sklepienia łączące się między sobą. Ondyna znała te przejścia, zanurzała się, znikala i w kilka godzin potem wracała. W istocie wkrótce powróciła, ale tym razem zaniechałem już moich przestróg. Ondynie, jak to już mówiłem, nie brakowało pojętności, ale wychowana w pustyni²³⁴, zostawiona samej sobie, nie miała żadnego wyobrażenia o stosunkach towarzyskich²³⁵.

²³³ *patrzeć przez szpary* — patrzeć przez palce; traktować pobłaźliwie. [przypis edytorski]

²³⁴ *w pustyni* (daw.) — na pustkowiu; na odludziu. [przypis edytorski]

²³⁵ *stosunki towarzyskie* (daw.) — relacje społeczne. [przypis edytorski]

Po kilku dniach jakiś braciszek klasztorny przyszedł do mnie od księżniczki, czyli raczej od ksieni Manueli. Miał mi dać habit podobny do swego i do niej zaprowadzić. Szliśmy wzdłuż brzegu morskiego aż do ujścia Guadiany, skąd dostaliśmy się do Algarve i przybyli²³⁶ wreszcie do Val Santa. Klasztor był już na ukończeniu. Ksieni przyjęła mnie w klauzurze ze zwykłą godnością; odesławszy jednak świadków, nie mogła wstrzymać się od rozczulenia. Rozwiały się marzenia jej dumy, zostały tylko tęskne żale za niepowrotnymi uczuciami miłości. Chciałem mówić jej o Ondynie; ksieni z westchnieniem prosiła mnie, abym odłożył tę rozmowę na dzień następnny.

— Mówmy o tobie — rzekła mi — przyjaciele twoi nie zapomnieli o twoim losie. Twój majątek podwoił się w ich rękach; ale idzie o to, pod jakim nazwiskiem będziesz mógł go używać, niepodobna bowiem, abyś dłużej chciał uchodzić za margrabię Castelli. Król nie przebacza tym, którzy należeli do powstania w Katalonii.

Długo rozmawialiśmy o tym przedmiocie, nie mogąc na nic stanowczego się zgodzić. W kilka dni potem Manuela oddała mi sekretny list odebrany od posła austriackiego. Piśmo zawierało pochlebne wyrazy zapraszające mnie do Wiednia. Wyznam, że mało rzeczy w życiu równie mnie uszczęśliwiło. Gorliwie służyłem cesarzowi i wdzięczność jego dla mnie wydała mi się najśłodsza nagrodą.

Wszelako nie dałem się omamić ludzącym nadziejom, znałem dobrze dworskie zwyczaje. Pozwalano mi być w łasce u arcyksięcia, który na próżno dobijał się o tron, ale nie mogłem spodziewać się, aby mnie ścierpiano przy boku najpierwszego monarchy chrześcijaństwa. Obawiałem się nade wszystko pewnego pana austriackiego, który zawsze usiłował mi szkodzić. Był to ten sam hrabia Altheim, który później nabral takiego znaczenia. Pomimo to udałem się do Wiednia i uściskałem kolana jego apostolskiej mości, cesarz raczył rozważać ze mną, czy by nie lepiej było zostać przy dawnym nazwisku Castelli aniżeli wracać do swojego, i ofiarował mi znaczny urząd w swoim państwie. Dobroć jego mnie rozrzewniła, ale skryte przecucie ostrzegło mnie, że nie będę z niej korzystał.

W owym czasie kilku panów hiszpańskich porzuciło na zawsze ojczyznę i osiedliło się w Austrii. Między nimi byli hrabiowie Lorios, Oias, Vasquez, Taruca i kilku innych. Znałem ich dobrze i wszyscy namawiali mnie, abym poszedł za ich przykładem. Był to także mój zamiar; ale skryty nieprzyjaciel, o którym wam wspominałem, czuwał tymczasem. Dowiedział się o wszystkim, co zaszło podczas mego posłuchania i natychmiast uwiadomił o tym posła hiszpańskiego. Ten mniemał, że prześladowając mnie, wywiąże się z obowiązku dyplomatycznego. Śród tego toczyły się ważne układy. Poseł zaczął wynajdować przeszkody i do pokładanych trudności dołączył uwagi nad moją osobą i nad rolą, jaką odgrywałem. Droga ta zaprowadziła go do zamierzonego celu. Wkrótce spostrzegłem, że położenie moje całkiem się odmieniło. Obecność moja zdawała się powodować zmieszanie układowych dworzan. Przewidziałem tę zmianę jeszcze przed przyjazdem moim do Wiednia i nie bardzo się nią zmartwiłem. Prosiłem o pożegnalne posłuchanie. Udzielono mi go, nie wspomniano o niczym i wyjechałem do Londynu. Po kilku latach dopiero wróciłem do Hiszpanii.

Znalazłem ksienię bladą i zagrożoną wycieńczeniem.

— Don Juanie — rzekła do mnie — musiałeś spostrzec zmiany, jakie czas na mnie poczynił. W istocie, czuję, że niedługo doczekam się końca życia, które nie ma już dla mnie żadnego powabu. Wielki Boże, na ileż zarzutów zasłużyłam z twojej strony! Posłuchaj, don Juanie, moja córka umarła w pogaństwie, wnuczka moja zaś jest mahometanką. Myśl ta zabija mnie, weź: czytaj.

To mówiąc, podała mi list od Uzedy następującej treści.

„Pani i przewielebna ksieni!

Poszedłszy odwiedzić Maurów w ich jaskiniach, dowiedziałem się, że jakaś kobieta pragnie ze mną pomówić. Udałem się za nią do jej mieszkania, gdzie mi rzekła: «*Señor* astrologu, ty, który wiesz o wszystkim, wytłumacz mi wypadek, jaki się zdarzył memu synowi. Nachodziwszy się przez cały dzień śród wąwozów i przepaści naszych gór, zaszedł do bardzo pięknego

²³⁶dostaliśmy się (...) i przybyli — konstrukcja z ruchomą końcówką, tu: odnoszącą się do więcej niż jednego czasownika; inaczej: dostaliśmy się i przybyliśmy. [przypis edytorski]

źródła. Tam wyszła do niego jakaś prześliczna dziewczyna, w której mój syn się zakochał, chociaż sądził, że ma do czynienia z wróżką. Mój syn wyjechał w daleką podróż, tymczasem prosił mnie, abym wszelkimi sposobami starała się wyjaśnić tę tajemnicę».

Tak do mnie mówiła Mauretanka — ja zaś natychmiast odgadłem, że wróżką tą była nasza Ondyna, która rzeczywiście ma zwyczaj zanurzania się w niektórych jaskiniach i wypływania z drugiej strony ze źródła. Odpowiedziałem Mauretance kilka mało znaczących słów, aby ją zaspokoić, sam zaś udałem się do jeziora. Staralam się wy badać Ondynę, ale na próżno, znasz pani jej wstręt do rozmowy. Wkrótce jednak nie potrzebowałem o nic się pytać, postać jej zdradziła tajemnicę. Przeprowadziłem ją do mego zamku, gdzie szczęśliwie powiła córeczkę. Niecierpliwa powrotu do jeziora, niebawem uciekła z zamku, rozpoczęła dawny, gwałtowny tryb życia i w kilka dni uległa chorobie. Nareszcie, muszę bowiem wszystko wyznać, nie pamiętam, aby kiedykolwiek oświadczyła się z przywiązaniem do tej lub owej religii. Co do jej córki, ta, pochodząc po ojcu z najczystszej krwi mauretańskiej, musi nieodmiennie zostać mahometanką. W przeciwnym razie moglibyśmy na nas wszystkich ściągnąć zemstę mieszkańców podziemia”.

— Przekonywałeś się, don Juanie — dodała księżniczka w najwyższej rozpacz — jak muszę być nieszczęśliwą. Moja córka umarła w pogaństwie, moja wnuczka musi zostać muzułmanką!... Wielki Boże, jakże srogo mnie karzesz!

Gdy Cygan domawiał tych słów, spostrzegł, że jest już późno, odszedł więc do swoich ludzi, my zaś wszyscy udaliśmy się na spoczynek.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Przewidywaliśmy, że przygody Cygana zmierzały już ku końcowi; z tym większą przeto niecierpliwością oczekiwaliśmy wieczoru i natężyliśmy całą uwagę, gdy Cygan tak zaczął mówić:

Dalszy ciąg historii naczelnika Cyganów

Znakomita ksieni Val Santa, może byłaby nie upadła pod brzemieniem zgryzot, ale naznaczyła sobie ostre pokuty, którym wycieńczony jej organizm nie mógł się oprzeć. Widziałem, jak gasła powoli, i nie mogłem odważyć się na porzucenie jej. Suknia moja zakonna pozwalała mi o każdej porze wchodzić do klasztoru i pewnego dnia nieszczęśliwa Manuela na moim łonie wyzionęła ducha. Książę Sorriente, spadkobierca księżniczki, znajdował się podówczas w Val Santa. Pan ten postępował ze mną nader otwarcie.

— Znam — rzekł do mnie — stosunki, jakie miałeś ze stronnictwem austriackim, do którego sam także należałem. Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował jakiej usługi, proszę cię, racz mnie nie pomijać. Będę to sobie uważał za łaskę. Co do otwartych związków z tobą, pojmujesz, że bez niepotrzebnego narażenia nas obu żadnym sposobem nie mogę w nie wchodzić.

Książę Sorriente miał słuszność. Byłem jedną ze straconych placówek stronnictwa. Wystawiono mnie naprzód, aby mnie potem wedle upodobania opuścić. Zostawał mi jeszcze majątek znaczny i łatwy do przeniesienia, cały bowiem znajdował się w rękach braci Moro. Chciałem wyjechać do Rzyrnu albo do Anglii, ale gdy szło o powzięcie stanowczego zamiaru, nie mogłem nic przedsięwziąć. Wzdragałem się na samą myśl wrócenia do świata. Pogarda dla stosunków towarzyskich stała się pod pewnym względem chorobą mego umysłu.

Uzeda, widząc, że waham się, nie wiedząc, co począć, namówił mnie do wejścia w służbę szejka Gomelezów.

— Cóż to za służba? — zapytałem. — Nie sprzeciwia się ona w niczym spokojności mojej ojczyzny?

— W niczym — odpowiedział. — Maurowie kryjący się w tych górach przygotowują rewolucję w islamie; polityka i fanatyzm nimi powodują. Do dopięcia celu mają

niezmierne środki. Niektóre najznakomitsze rodziny hiszpańskie dla własnej korzyści weszły z nimi w stosunki. Inkwizycja ciągnie z nich znaczne pieniądze i pozwala na to w głębi ziemi, czego by nie ścierpiała na powierzchni. Zresztą, don Juanie, wierzaj mi, zakosztuj życia, jakie prowadzimy w naszych dolinach.

Znudzony światem, postanowiłem pójść za radą Uzedy. Cyganie muzułmańscy i pogañscy przyjęli mnie jako człowieka przeznaczanego na ich naczelnika i poprzysięgli mi niezmiennie posłuszeństwo. Do Cyganek jednak należało ostatecznie wpłynąć na moje postanowienie. Dwie zwłaszcza nader wpadły mi w oko, jedna nazywała się Quitta, druga Zitta. Obie były zachwycające i nie wiedziałem, którą mam wybrać. Spostrzegły moją niepewność i wydzwignęły mnie z kłopotu, mówiąc, że wielożeństwo jest u nich dozwolone i że nie potrzeba żadnego obrzędu religijnego do uświęcenia związku małżeńskiego.

Wyznaję ze wstydem, że uwiodła mnie ta występna rozpusta. Niestety, jeden jest tylko sposób utrzymania się na drodze cnoty: należy unikać wszelkich ścieżek, których ona jasno nie oświeca. Jeżeli człowiek ukrywa swoje nazwisko, uczynki lub zamiary, niedługo będzie musiał tać się z całym swoim życiem. Związek mój z księżniczką w tym tylko był naganny, że musiałem go ukrywać i wszystkie tajemnice mego życia stały się koniecznym jego następstwem. Bardziej niewinny urok zatrzymywał mnie w tych dolinach, a mianowicie życie, jakie w nich prowadzono. Ten widnokrąg niebios zawsze rozpięty nad naszymi głowami, świeżość jaskiń i lasów, woń powietrza, kryształowy wód, kwiaty wyrastające niemal za każdym naszym krokiem, nareszcie cała natura wystrojona we wszystkie ponęty — przyczyniały się do uspokojenia mojej duszy znękaney światem i zgiełkliwą jego wrzawą.

Moje małżonki obdarzyły mnie dwiema córkami. Naówczas zacząłem zwracać większą uwagę na głos mego sumienia. Widziałem zgryzoty Manueli, które zaprowadziły ją do grobu. Postanowiłem, że moje córki nie będą ani mahometankami, ani pogankami. Wtedy jednak nie należało ich opuszczać, nie było więc nad czym namyślać się, pozostałem w służbie Gomelezów. Powierzono mi nader ważne sprawy i niezmierne sumy pieniędzy do rozporządzenia. Byłem bogaty, niczego dla siebie nie żądałem, ale za pozwoleniem mego zwierzchnika, ile mogłem, oddawałem się dobroczynności; często udało mi się wybawić ludzi z wielkich nieszczęść.

W ogóle prowadziłem w głębi ziemi życie, jakie rozpocząłem na jej powierzchni. Znowu zostałem agentem dyplomatycznym. Jeździłem kilka razy do Madrytu i odbyłem kilka podróży za granice Hiszpanii. Ten czynny sposób życia powrócił mi straconą dzielność. Coraz więcej do niego się przywiązywałem.

Tymczasem córki moje podraستاły. Za ostatnią moją wycieczką wziąłem je z sobą do Madrytu. Dwóch szlachetnie urodzonych młodzieńców potrafiło zjednać sobie ich serca. Rodziny tych panów zostają w związkach z mieszkańcami naszych podziemi i nie lękamy się, aby rozgadali to, co by córki moje mogły im powiedzieć o naszych dolinach. Skoro tylko obie wydam za mąż, natychmiast wejdę do jakiegoś świętego schronienia, gdzie spokojnie będę oczekiwał końca życia, którego, chociaż było niezupełnie wolne od błędów, nie mogę jednak nazwać występny. Chcieliście, abym wam opowiedział moje przygody, pragnę, abyście teraz nie żalowali waszej ciekawości.

— Rada bym tylko — rzekła Rebeka — dowiedzieć się, co się stało z Busquerem.

— Zaraz ci to opowiem — odparł Cygan.

Oćwiczenie w Barcelonie zraziło go do szpiegostwa, ale ponieważ otrzymał je pod nazwiskiem Robusti, mniemał przeto, że w niczym nie mogło zaszkodzić sławie Busquera. Śmiało więc ofiarował swoje usługi kardynałowi Alberoniemu i został pod jego ministerium gmatwaczem podrzędnym, podobnie do swego opiekuna, który był gmatwaczem znakomitym.

Następnie inny awanturnik, nazwiskiem Ripeda, rządził Hiszpanią. Pod jego władzą Busqueros doznał jeszcze kilku pomyślnych dni; ale czas, który kładzie tamę najświetniejszemu przeznaczeniu, pozbawił Busquera możliwości używania własnych nóg. Dotknięty paraliżem, kazał się zanosić na Plaza del Sol i tam jeszcze rozwijał zwykłą swą działalność, zatrzymując przechodzących i o ile możliwości miesząc się do ich spraw. Ostatnim razem widziałem go w Madrycie obok najzabawniejszej w świecie postaci, w której poznałem

Cnota, Tajemnica

poetę Agudeza. Wiek pozbawił go wzroku i biedak pocieszał się myślą, że Homer też był ślepy. Busqueros opowiadał mu plotki miejskie, Augudez układał je wierszami i niekiedy słuchano go z przyjemnością, chociaż został mu tylko cień dawnych zdolności.

— *Señor Avadero* — zapytałem z kolei — cóż się stało z córką Ondyny?

— Dowiesz się o tym później, w tej chwili racz zająć się przygotowaniem do twego odjazdu.

Udaliśmy się w pochód i po długiej podróży przybyliśmy do doliny głęboko wydrążonej i zewsząd opasanej skałami. Gdy rozbito namioty, naczelnik Cyganów przyszedł do mnie i rzekł:

— *Señor Alfonsie*, weź twój kapelusz i szpadę i udaj się za mną.

Postąpiliśmy o sto kroków dalej i przybyliśmy do otworu w skale, przez który ujrzałem długą, ciemną galerię.

— *Señor Alfonsie* — rzekł do mnie naczelnik — znamy twoją odwagę, wreszcie nie pierwszy raz odbywasz już tę drogę. Wejdz w tę galerię i tak jak poprzednim razem zapuść się we wnętrzości ziemi. Żegnam cię, tu już musimy się rozstać.

Pamiętny pierwszej wycieczki, spokojnie postępowałem przez kilka godzin w ciemności. Nareszcie spostrzegłem światelko i przybyłem do grobowca, gdzie ujrzałem tego samego modlącego się starego derwisza. Na szmer, który wchodząc sprawilem, derwisz odwrócił się i rzekł:

— Witam cię, młodzieńcze! Z prawdziwą przyjemnością znowu cię tu oglądam. Umiałeś dotrzymać twego słowa względem pewnej części naszej tajemnicy, teraz odkryjemy ci całą i nie prosimy już o milczenie. Tymczasem odpocznij i pokrzep siły.

Usiadłem na kamieniu, a derwisz przyniósł mi koszyk, w którym znalazłem mięso, chleb i wino. Posiliłem się; wtedy derwisz popchnął jedną ścianę grobowca, obrócił ją na zawiasach i wskazał mi kręcone schodki:

— Zejdź tędy — rzekł do mnie — zobaczysz co będziesz miał do czynienia.

Naliczyłem jeszcze blisko tysiąc schodów w ciemności i dostałem się do jaskini oświetlonej kilkoma lampami. Spostrzegłem ławkę kamienną, na której leżały uporządkowane dłuta stalowe i młotki z tegoż samego kruszcu. Przed ławką błyskała żyła złota objętości człowieka. Kruszec był ciemnożółty i zdawał się zupełnie czysty. Zrozumiałem, czego ode mnie żądano. Chciano, abym wykuł tyle złota, ile tylko będę mógł.

Ująłem dłuto lewą, młotek zaś prawą ręką i w krótkim czasie stałem się dość biegłym górnikiem; ale dłuta się tępiły i często musiałem je odmieniać. Po upływie trzech godzin wykułem więcej złota, aniżeli jeden człowiek mógł udźwignąć.

Wtedy spostrzegłem, że jaskinia napelnia się wodą, wszedłem na schodki, ale woda ciągle się wznosiła, musiałem więc całkiem jaskinię opuścić. Zastałem derwisza, który pobłogosławił mnie i pokazał drugie, prowadzące do góry, kręcone schodki, którymi miałem się udać. Zacząłem wstępować i uszedłszy znowu jakieś tysiąc kroków, znalazłem się wśród okrągłej sali oświetlonej mnóstwem lamp, których blask odbijał się w płytach miki i opalu zdobitych ściany.

W głębi sali wznosił się złoty tron, na którym siedział starzec w śnieżnym turbanie na głowie. Poznałem w nim pustelnika z doliny. Moje kuzynki, bogato ubrane, stały tuż przy nim, kilku derwiszów w białej odzieży z obu stron go otaczało.

— Młody Nazarejczyku — rzekł do mnie szejk — poznajesz we mnie pustelnika, który cię przyjmował w dolinie Gwadalkiwiru, ale zarazem zgadujesz, że jestem wielkim szejkiem Gomelezów. Przypominasz sobie zapewne twoje dwie małżonki. Prorok pobłogosławił ich pobożną tkliwością, obie wkrótce zostaną matkami i będą mogły ustalić plemię przeznaczone do powrócenia kalifatu rodzinie Alego. Nie zawiodłeś naszych nadziei, wróciłeś do obozu i najmniejszym słówkiem nie dałeś poznać tego, co ci się w naszych podziemiach przytrafiło. Oby Allah spuścił rosę szczęścia na twoją głowę!

To powiedziawszy, szejk zszedł z tronu i uściskał mnie, kuzynki to samo uczyniły. Odesłano derwiszów, przeszliśmy do drugiej komnaty, gdzie w głębi zastawiono wieczerzę. Tam nie było już żadnych uroczystych przemów, żadnych namawiań do mahometanizmu, wesoło przepędziliśmy razem znaczną część nocy.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Nazajutrz z rana znowu posłano mnie do kopalni, gdzie wykułem taką samą ilość złota jak wczoraj. Wieczorem poszedłem do szejka i zastałem u niego obie moje małżonki. Prosiłem go, aby raczył zadowolić moją ciekawość względem wielu rzeczy, o których chciałem się dowiedzieć, zwłaszcza zaś o jego własnych przygodach. Szejk odpowiedział, że w istocie, przyszedł czas, w którym należało mi odkryć całą tajemnicę, i zaczął w te słowa:

Historia wielkiego szejka Gomelezów

Widzisz we mnie pięćdziesiątego drugiego następcę Masuda ben Tachera, pierwszego szejka Gomelezów, który wybudował Kassar, zniknął ostatniego piątku każdego miesiąca i następne dopiero powracał.

Kuzynki twoje już ci niektóre rzeczy opowiedziały, ale ja dokończę ci ich powieść i odsłonię wszystkie nasze tajemnice. Maurowie już od kilku lat znajdowali się w Hiszpanii, gdy dopiero pomyśleli o zapuszczeniu się w doliny Alpuhary. Doliny te zamieszkiwał naówczas lud nazwany Turdulami lub Turdetanami. Krajowcy ci sami siebie nazywali *Tarszisz* i utrzymywali, że niegdyś przebywali w okolicach Kadyksu. Zatrzymali byli wiele wyrazów ze swego starożytnego języka, którym umieli nawet pisać. Liter używali tych, które oznaczono w Hiszpanii nazwiskiem *descunoseidas*²³⁷. Pod panowaniem Rzymian i następnie Wizygotów Tardetanie składali bogate haracze, za to zaś zachowali zupełną niepodległość i dawną wiarę. Cztili Boga pod nazwiskiem *Jabb* i składali mu ofiary na górze nazwanej *Gomelez Jabb*, co znaczyło w ich języku górę Jahha. Arabowie zdobywcy, nieprzyjaciele chrześcijan, jeszcze bardziej nienawidzili pogan lub tych, którzy za takich uchodzili.

Pewnego dnia Masud, w podziemiach zamku znalazł kamień pokryty starożytnymi znakami. Podniósł go i spostrzegł kręcone schodki, prowadzące do wnętrza góry. Masud kazał przynieść sobie pochodnię i sam zapuścił się w głąb. Znalazł komnaty, przejścia, korytarze, ale obawiając się zablądzić, powrócił. Drugiego dnia znowu zwiedził podziemia i spostrzegł pod nogami grudki wypolerowane i świeące. Zebrał je, zaniósł do siebie i przekonał się, że to było czyste złoto. Przedsięwziął trzecią podróż i idąc za śladem złotego pyłu, dostał się do tej samej żyły złota, nad którą pracowałeś. Oslupiał na widok tylu bogactw. Powrócił czym prędzej i nie zaniechał wszelkich ostrożności, jakie tylko mógł wymyślić, dla zatajenia przed światem swego skarbu. Przy wejściu do podziemia kazał zbudować kaplicę i udał, że chce w niej prowadzić pustelnicze życie na modlitwie i rozmyślanii. Tymczasem ciągle pracował na żyłę złota i kuł drogi kruszec, o ile możliwości najwięcej. Praca szła mu niezmiernie wolno, gdyż nie tylko, że nie śmiał przybrać sobie pomocnika, ale nadto musiał potajemnie starać się o stalowe narzędzie potrzebne mu do tej górniczej pracy.

Masud ujrzał wtedy, że bogactwa wcale nie stanowią o władzy, miał bowiem przed sobą więcej złota niżeli wszyscy panowie ziemscy. Dobywanie jednak przychodziło mu z niesłychaną trudnością; następnie nie wiedział, co począć ze złotem i gdzie je schować.

Masud był gorliwym wyznawcą proroka i zagorzałym stronnikiem Alego. Mniemał, że sam prorok odkrył mu i dał to złoto dla przywrócenia kalifatu jego rodzinie, to jest potomkom Alego i następnie przez nich dla nawrócenia świata na islam. Myśl ta zaprzętnęła jego umysł. Oddał się jej był z tym większym zapalem, że ród Omajadów chwiał się w Bagdadzie i powzięto nadzieje przywrócenia do tronu Alidów. W istocie, Abbasydzi wytępiili Omajadów, ale żadna stąd korzyść nie wynikła dla rodu Alego, przeciwnie, jeden nawet z Omajadów przybył do Hiszpanii i został kalifem Kordowy.

Masud, widząc się bardziej niż kiedykolwiek otoczonym nieprzyjaciółmi, umiał pilnie się ukrywać. Zaniechał nawet wykonania swoich zamiarów, ale nadał im kształt, który, że tak powiem, zachowywał je na przyszłość. Wybrał sześciu naczelników rodzin ze swego pokolenia, zobowiązał ich świętą przysięgą i odkrywszy im tajemnicę złotej żyły, rzekł:

— Od dziesięciu lat posiadam już ten skarb i nie mogłem uczynić z niego żadnego użytku. Gdybym był młodszy, mógłbym zebrać wojowników i panować złotem i mie-

²³⁷*descunoseidas* — z hiszp. *desconocido*: nieznanany. [przypis edytorski]

czem. Ale odkryłem moje bogactwa za późno. Znano mnie jako stronnika Alego i jeszcze zanim zdążyłbym zebrać stronnictwo, nie omieszkało by mnie zamordować. Mam nadzieję, że Prorok nasz powróci kiedyś kalifat swojej rodzinie i że wtedy cały świat przejdzie na jego wiarę. Czas jeszcze nie nadszedł, należy go jednak przygotować. Mam stosunki w Afryce, gdzie tajemnie podpieram Alidów, trzeba także w Hiszpanii utwierdzić potęgę naszego pokolenia. Nade wszystko zaś musimy ukrywać nasze środki. Nie powinniśmy wszyscy nosić tego samego nazwiska, ty więc, krewny mój, Zegrysie, z całym twoim rodem osiedlisz się w Grenadzie. Moi zostaną w górach i zachowają nazwisko Gomelezów. Inni oddalą się do Afryki i tam zaślubią córki Fatymitów. Zwłaszcza należy zwracać uwagę na młodzież, zgłębiać jej sposób myślenia i wystawiać na rozmaite próby. Jeżeli kiedykolwiek znajdzie się między nią jeden obdarzony niepospolitymi zdolnościami i dzielnością, naówczas postara się o zrzucenie z tronu Abbasydów, wyćpienie do szczętu Omajadów i przywrócenie kalifatu potomkom Alego. Według mego zdania, przyszły zdobywca ma przyjąć tytuł Mahdiego, czyli Dwunastego Imama i powinien zastosować do siebie przepowiednię Proroka, który powiada, że „słońce wstanie na zachodzie”.

Te były zamiary Masuda; zapisał je w księdze, nic odtąd nie przedsięwziął bez rady sześciu naczelników pokolenia. Nareszcie złożył godność i jednemu z nich powierzył miejsce wielkiego szejka i zamek Kassar-Gomelez. Ośmiu szejków nastąpiło po sobie. Zegryrowie i Gomelezi nabyli najpiękniejsze majątki w Hiszpanii, niektórzy przeszli do Afryki, objęli ważne posady i spokrewnili się z najmożniejszymi rodzinami.

Już upływał drugi wiek hegiry²³⁸, gdy jeden z Zegrisów ośmielił się ogłosić Mahdim, czyli naczelnikiem według prawa. Założył stolicę w Kairuanie o jeden dzień drogi od Tunisu, podbił całą Afrykę i stał się głową rodu kalifów Fatymitów. Szejk Kassar-Gomelezu posłał mu masę złota, poza tym musiał więcej niż kiedykolwiek osłaniać się mrokiem tajemnicy, chrześcijanie bowiem brali górę i obawiano się, aby Kassar nie popadł w ich ręce. Wkrótce szejk wpadł w drugi kłopot. Było nim nagłe wzniesienie się Abencerragów, rodu nieprzyjaznego naszemu i zupełnie odmiennego z nami sposobu myślenia.

Zegryrowie i Gomelezi byli dzicy, zamknięci w sobie i gorliwi w wierze; przeciwnie Abencerragowie: postępowali łagodnie, wykształcenie, dworsko z kobietami i przyjaźnie z chrześcijanami. Przeniknęli byli do pewnego stopnia nasze tajemnice i otoczyli nas zasadzkami.

Następcy Mahdiego zdobyli Egipt i zostali uznani w Syrii, równie jak w Persji. Potęga Abbasydów runęła ze szczętem. Książęta turkmeńscy owdładnęli Bagdadem, pomimo to jednak wyznanie Alego mało co się rozszerzało i wyznanie sunnickie ciągle zachowywało nad nim wyższość.

W Hiszpanii Abencerragowie coraz bardziej psuli obyczaje. Kobiety pokazywały się bez zasłon, mężczyźni zaś u ich nóg wzdychali. Szejkowie Kassaru nie wychodzili więcej z zamku i nie dotykali złota. Stan ten trwał długo, nareszcie Zegryrowie i Gomelezi, pragnąc ocalić wiarę i królestwo, spiknęli się przeciw Abencerragom i wymordowali ich na lwim podwórzu, wśród własnego ich pałacu nazwanego Alhambra.

Nieszczęsny ten wypadek pozbawił Grenadę znacznej części jej obrońców i przyspieszył zgubę. Doliny Alpuhary, idąc za przykładem reszty kraju, poddały się zwycięzcom. Szejk Kassar-Gomelezu zburzył swój zamek i schronił się do wnętrza podziemi, do tych samych komnat, gdzie widział braci Zota. Sześć rodzin ukryło się wraz z nim we wnętrznościach ziemi, reszta schroniła się do przyległych jaskiń, których otwory wychodziły na inne doliny.

Niektórzy z Zegrisów i Gomelezów przyjęli wiarę chrześcijańską lub przynajmniej udali nawrócenie. W liczbie tych była rodzina Morów, którzy trzymali wprzódy dom handlowy w Grenadzie, a następnie zostali nadwornymi bankierami. Nie obawiali się braku funduszy, mieli bowiem do rozporządzenia wszystkie skarby podziemia. Związki z Afryką ciągle trwały, zwłaszcza zaś z królestwem Tunisu. Wszystko szło dość dobrze aż do czasów Karola, cesarza i króla hiszpańskiego. Zakon proroka, który już nie błyszczał w Azji tak świetnie jak za kalifów, szerzył się za to w Europie, wsparty podbojami Otomanów.

²³⁸hegira a. hidzra (z arab. :هجرة) wywędrowanie, zerwanie stosunków, ucieczka) — Wielka Emigracja mahometan z prorokiem Mahometem na czele. [przypis edytorski]

W owej epoce niezgoda, burząca wszystko na ziemi, wdarła się także i pod ziemię, czyli do naszych jaskiń. Szczupłość przestrzeni rozjątrzała jeszcze wzajemne niesnaski. Sefi i Billah powadzili się o godność szejka, o którą w istocie warto było się ubiegać, jako o nadającą prawo rozporządzania niewyczerpaną kopalnią. Sefi, przekonany o swojej słabości, chciał przejść na stronę chrześcijan; Billah utopił mu sztylet w piersiach, po czym zastanowił się nad bezpieczeństwem ogółu. Tajemnicę podziemia spisano na pergaminie i prostopadle do pisma pokrajano go na sześć pasków. Tylko razem złożone można je było więc przeczytać. Każdy pasek powierzono jednemu z sześciu naczelników rodzin i pod karą śmierci zakazano mu udzielanie drugiemu. Wtajemniczony nosił pasek na prawym ramieniu. Billah zachował prawo życia i śmierci nad wszystkimi mieszkańcami podziemia i okolic. Sztylet, który zanurzył w piersiach Sefiego, stał się oznaką jego władzy i przechodził w dziedzictwie do następców. Zaprowadziwszy tym sposobem surowe rządy w podziemiach, Billah z niezmordowaną czynnością zajął się sprawami Afryki. Gomelezowie posiadli w niej kilka tronów. Zapanowali w Tarudancie i Temrenie, ale Afrykanie są to ludzie lekkomyślni, słuchający przede wszystkim głosu namiętności, więc powodzenie w tej części świata nigdy nie miało skutków, jakich by się należało spodziewać.

Okolo tego czasu zaczęto prześladować Maurów pozostałych w Hiszpanii. Billah zręcznie skorzystał z tej okoliczności. Z niesłychaną biegłością urządził system wzajemnej opieki między podziemiem a ludźmi piastującymi wysokie urzędy. Ci mniemali, że opiekują się tylko kilkoma rodzinami mauretańskimi, chcącymi żyć w spokoju, rzeczywiście zaś dopomagali zamiarom szejka, który w nagrodę otwierał im swoją kiesę. Spostrzegam także w naszych rocznikach, że Billah ustanowił, a raczej przywrócił, próby, przez jakie młodzież musiała przechodzić dla udowodnienia dzielności swego charakteru. Próby te przed Billahem puszczono w zapomnienie.

Wkrótce nastąpiło wygnanie Maurów. Szejk podziemia nazywał się Kader. Był to człek mądry, który nie zaniechał wszelkich środków, jakie tylko mogły zapewnić bezpieczeństwo ogółu. Bankierowie Moro utworzyli stowarzyszenie ludzi znaczących, którzy udawali miłosierdzie dla Maurów: pod tym pozorem wyświadczały im tysiączne przysługi i kazali sobie sówicie płacić.

Maurowie, wygnani do Afryki, unieśli z sobą ducha zemsty bezustannie ich ożywiającego. Myślano, że cała ta część świata powstanie i zaleje Hiszpanię; ale wkrótce państwa afrykańskie przeciw nim się oświadczyły. Na próżno krew hojnie się lała w wewnętrznych wojnach, na próżno szejkowie podziemia sypali złoto, nieubłagany Mulej Izmael skorzystał ze stuletnich niezgód i założył państwo dotąd istniejące.

Tu dochodzę do chwili mego urodzenia i już o samym sobie będę ci opowiadał.

Gdy szejk domawiał tych słów, oznajmiono, że wieczerza jest na stole i wieczór ten upłynął nam jak poprzedzający.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Z rana znowu wysłano mnie do podziemia. Ile mogłem, tyle złota wykulem, zresztą przyzwyczaiłem się już do tej pracy, całe dnie bowiem przy niej tylko spędzałem. Wieczorami chodziłem do szejka, gdzie zastawałem moje kuzynki. Poprosiłem go, aby raczył mi dalej opowiedzieć swoje przygody, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii szejka Gomelezów

Zaznajomiłem cię z historią naszych podziemi, o ile sam ją wiedziałem. Teraz opowiem ci własne moje przygody. Urodziłem się w obszernej jaskini przyległej do tej, w której się znajdujemy. Światło pochyło do niej wpadało, nieba wcale nie było widać, ale wychodziliśmy między rozpadliny skał oddychać świeżym powietrzem, gdzie pokazywała się cząstka sklepienia niebieskiego, a często nawet i słońce. Mieliśmy na powierzchni małą kwaterę, na której uprawialiśmy kwiaty. Mój ojciec był jednym z sześciu naczelników rodzin. Na mocy tego wraz z całą rodziną mieszkał w podziemiu. Krewni jego zamieszkiwali doliny i uchodzili za chrześcijan. Niektórzy osiedlili się na przedmieściu Grenady zwanym Al-barazin. Wiesz, że nie ma tam wcale domów i mieszkańcy zajmują wydrążenia w skałach na zboczu góry. Kilka z tych szczególnych mieszkań łączyło się z pewnymi

jaskiniami, które dochodziły aż do naszego podziemia. Najbliżsi mieszkańcy co piątek schodzili się do nas na wspólną modlitwę, dalsi przybywali tylko na wielkie uroczystości.

Moja matka mówiła do mnie po hiszpańsku, ojciec zaś po arabsku. Stąd dokładnie poznałem oba języki, zwłaszcza zaś drugi. Nauczyłem się na pamięć Koranu i często zagłębiałem się nad komentarzami. Od najmłodszych lat byłem gorliwym mahometaninem, nader przywiązany do wyznania Alego; przeciw chrześcijanom zaszczepiono we mnie gwałtowną nienawiść. Wszystkie te uczucia, że tak powiem, zrodziły się razem ze mną i wzrastały w ciemnościach naszych jaskiń.

Doszedłem osiemnastego roku i już od kilku lat zdawało mi się, że jaskinie gniołają mnie i duszę. Wzdychałem do wolnego powietrza; uczucie to wywarło wpływ na moje zdrowie, słabłem, nikłem w oczach, a pierwsza stan ten we mnie spostrzegła moja matka. Zaczęła badać moje serce, powiedziałem jej o wszystkim, czego doznawałem. Opisałem jej ciągłe duszenie, jakie mnie dręczyło i szczególną niespokojność serca, której nie mogłem wyrazić. Dodałem, że koniecznie pragnę odetchnąć innym powietrzem, widzieć niebo, lasy, góry, morze, ludzi i że umrę, jeżeli mi tego nie dadzą. Moja matka zalała się łzami i rzekła:

— Drogi Masudzie, choroba twoja jest zwykła między nami, ja sama ją miałam i wtedy pozwolono mi przedsięwziąć kilka wycieczek. Byłam w Grenadzie i dalej. Ale inaczej rzecz się ma z tobą. Powzięto względem ciebie ważne zamiary; wkrótce rzucą cię w świat i daleko więcej aniżelibym tego pragnęła. Wszelako przyjdź do mnie jutro o świcie, postaram się, żebyś odetchnął świeżym powietrzem.

Nazajutrz stawilem się na schadzke naznaczoną mi przez moją matkę.

— Kochany Masudzie — rzekła do mnie — chcesz zażyć świeższego powietrza aniżeli to, jakim oddychasz w naszych jaskiniach, uzbrój się zatem w cierpliwość. Pełznąć przez jakiś czas pod tą skałą, przedostaniesz się do nader głębokiej i ciasnej doliny, gdzie jednak powietrze jest wolniejsze niż u nas. W niektórych miejscach możesz nawet wdrapać się na skały i ujrzyć pod nogami niezmierny widnokrąg. Ta wyżłobiona droga była w początkach tylko rozpadliną, która popękała w różnych kierunkach. Jest to labirynt krzyżujących się ścieżek, masz więc oto kilka węgli i gdy spotkasz przed sobą rozdroża, naznacz tę drogę, którą szedłeś; tym tylko sposobem nie zabłądzisz. Weź z sobą ten worek z zapasami; co do wody, tej będziesz miał pod dostatkiem. Spodziewam się, że nikogo nie spotkasz, dla pewności zatknij jednak za pas jatagan. Wielce się narażam, dogadzając twoim żądaniom, dlatego też nie zabaw tam długo.

Podziękowałem mojej dobrej matce, zacząłem pełznąć i doszedłem do ciasnego, wyżłobionego przejścia, wyłożonego atoli zielonością. Następnie spostrzegłem małą zatokę pięknej wody, dalej zaś krzyżujące się wąwozy. Szedłem przez znaczną część dnia. Szmer wodotrysku zwrócił moją uwagę, postąpiłem ku jego spadkowi i przybyłem do zatoki, w którą wpadał strumień. Miejsce to było zachwycające. Przez chwilę stałem osłupiały z podziwu, następnie głód zaczął mi dokuczać, dobyłem więc z worka zapasy, dopełniłem umywania nakazanego prawem proroka i zabrałem się do posiłku. Skończywszy moją ucztę, znowu obmyłem się, pomyślałem o powrocie do podziemia i udałem się tą samą drogą. Wtedy usłyszałem dziwny szmer wody, obróciłem się i ujrzałem wychodzącą z wodotrysku kobietę. Zmoczone włosy prawie całą ją okrywały, miała jednak oprócz tego zieloną jedwabną suknię przylegającą do ciała. Wróżka wyszedłszy z wody, skryła się w krzaku, po czym wyszła w wysuszonej sukni i z włosami zawiniętymi na grzebień.

Wstąpiła na skałę, jak gdyby pragnęła nacieszyć się widokiem, następnie wróciła do źródła, z którego była wyszła. Mimowolnym poruszeniem chciałem ją zatrzymać i zastąpiłem jej drogę. Z początku przelękała się, ale ja padłem na kolana i pokorna ta postawa nieco ją uspokoiła. Zbliżyła się do mnie, wzięła mnie za brodę, podniosła mi głowę i pocałowała w czoło. Nagle z szybkością błyskawicy rzuciła się w zatokę i znikła. Nie wątpiłem, że była to wróżka lub, jak nazywają ją w naszych arabskich powieściach, Peri. Podszedłem jednak do krzaku, w którym się wcześniej skryła i znalazłem rozwieszoną na nim jej sukienkę jakby do wysuszenia.

Nie miałem po co dłużej czekać, wróciłem więc do podziemia. Uściskałem moją matkę, ale nie opowiedziałem jej przygody, jaka mnie spotkała, wyczytałem bowiem w na-

szych gazelach²³⁹, że wróżki lubiły, aby im dochowywano tajemnicy. Tymczasem matka moja, widząc mnie tak nadzwyczajnie ożywionego, cieszyła się, że nastęrczona mi przez nią wolność wywarła równie pomyślny skutek.

Nazajutrz wróciłem do źródła, a naznaczywszy je wprzódę węglem, teraz z łatwością je odnalazłem. Stanąwszy u celu, zacząłem z całych sił wołać na wróżkę i przepraszać, że ośmieliłem się w jej źródle odbywać moje ablucje. I tym jednak razem to samo uczyniłem, po czym roztasowałem moje zapasy, których, wiedziony tajemnym przecuciem, przyniosłem na dwoje. Jeszcze nie zacząłem mojej uczyty, gdy w źródle usłyszałem szmer i wyszła z niego wróżka, śmiejąc się i pryskając na mnie wodą.

Pobiegła do krzaku, przebrała się w suchą suknię i usiadła przy mnie. Zajadała jak zwykła śmiertelniczka, ale nie rzekła ani słowa. Wyobrażałem sobie, że był to zwyczaj wróżek i nic przeciw niemu nie miałem do powiedzenia.

Don Juan Avadoro zapoznał cię ze swymi przygodami, zgadujesz zatem, że moja wróżka była córką jego, Ondyną, która zanurzała się pod sklepienia skał i ze swego jeziora wypływała do zatoki.

Ondyna była niewinna, czy też raczej nie знаła ani grzechu, ani niewinności. Postać miała tak czarującą, obojęcie tak proste i ponętne, że marząc w duszy, że zostałem małżonkiem wróżki, namiętnie ją pokochałem. Trwało to przez miesiąc. Pewnego dnia szejk kazał mnie przywołać. Zastałem u niego zgromadzonych sześciu naczelników rodzin. Mój ojciec był między nimi.

— Synu mój — rzekł do mnie — opuścisz nasze jaskinie i udasz się do tych szczęśliwych krajów, gdzie wyznają wiarę proroka.

Słowa te krew mi ścięły w żyłach. Wszystko mi było jedno umrzeć lub rozłączyć się z wróżką.

— Drogi ojcze — zawołałem — pozwól, abym nigdy nie opuszczał tych podziemi!

Zaledwie wymówiłem te wyrazy, gdy ujrzałem wszystkie sztylety wzniesione nade mną.

Mój ojciec zdawał się pierwszym do przeszycia mi serca.

— Przystaję na śmierć — rzekłem — ale dozwól mi wprzódę pomówić z moją matką.

Udzielono mi tej łaski. Rzuciłem się w objęcia matki i opowiedziałem jej moje przygody z wróżką. Moja matka mocno się zdziwiła i rzekła:

— Kochany Masudzie, nie sądziłam, aby wróżki były na świecie. Wreszcie nie znam się na tym, ale mieszka stąd niedaleko jeden bardzo mądry hebrajczyk, którego się zapytam. Jeżeli ta, którą kochasz, jest wróżką, potrafi cię wszędzie odnaleźć. Z drugiej jednak strony, wiesz, że najmniejsze nieposłuszeństwo karzą u nas śmiercią. Starcy nasi powzięli względem ciebie wielkie zamiary, poddaj się im czym prędzej i staraj się zasłużyć na ich przychyłność.

Słowa te mojej matki wywarły na mnie silne wrażenie. Tłumaczyłem sobie, że w istocie wróżki są wszechmocne i że moja wynajdzie mnie choćby na końcu świata. Poszedłem do mego ojca i poprzysiągłem ślepe posłuszeństwo na wszelkie rozkazy.

Nazajutrz wyjechałem w towarzystwie pewnego mieszkańca Tunisu, nazwiskiem Sud Ahmet, który naprzód zawiózł mnie do swego rodzinnego miasta, jednego z najrozkoszniejszych w świecie. Z Tunisu udaliśmy się do Zawanu, małego miasteczka słynnego wyrobem czerwonych czapeczek, znanych pod nazwą fezów. Powiedziano mi, że niedaleko miasta znajduje się szczególniejszy budynek złożony z kaplicy i galerii otaczającej półkolem małą zatokę. Woda strumieniem wytryskiwała z kaplicy i napełniała zatokę. Dawnymi czasy woda z zatoki wchodziła do wodociągu prowadzącego ją do Kartaginy. Mówiono także, że kaplica poświęcona była jakiemuś bóstwu źródła. Wyobraziłem sobie jak szalony, że bóstwem tym była moja wróżka. Udałem się do źródła i zacząłem ją z całych sił przyzywać. Echo mi tylko odpowiedziało. Wspominano mi znowu w Zawanie o pałacu geniuszy, którego zwaliska leżały o kilka mil w głębi pustyni. Poszedłem i tam i ujrzałem okrągły budynek w dziwnie pięknym smaku wystawiony. Spozrzęgałem jakiegoś człowieka siedzącego na zwaliskach i coś rysującego. Zapytałem go po hiszpańsku,

²³⁹ *gazel* (z arab. także: *ghazal* a. *gazzal*) — tradycyjny w literaturze perskiej utwór liryczny, monorytmiczny, oparty na jednym rymie, refreniczny, składający się z podwójnych półwersów (tzw. bajtów a. sherów) powiązanych w całości liczące od 4 do 15 półwersów, w ostatnim często wzmiankowany jest przydomek autora. [przypis edytorski]

czy to prawda, że geniusze zbudowały ten pałac. Uśmiechnął się i odpowiedział mi, że jest to teatr, w którym starożytni Rzymianie wyprawiali walki dzikich zwierząt, i że miejsce to, dziś nazywane się El-dżem, było niegdyś ową sławną Zamą. Objasnienie podróznego wcale mnie nie zajęło; wolałbym być spotkać geniuszy, którzy by mi coś donieśli o mojej wróżce.

Z Zawanu udaliśmy się do Kairawanu, dawnej stolicy Mahdich. Było to ogromne miasto o stu tysiącach mieszkańców, burzliwych i w każdej chwili skłonnych do powstania. Przepędziliśmy tam cały rok. Z Kairawanu pojechaliśmy do Guadamo, małego, niepodległego kraiku, który stanowił część Beled-ul-Gezidu, czyli kraju daktylów. Tak nazywają okolicę rozciągającą się między pasmem Atlasu a piaszczystą pustynią Sahary. Drzewa daktylowe tak obficie rosną w tym kraju, że jedno może przez cały rok wyżywić wstrzemięźliwego człowieka, jacy w ogóle składają tameczny lud. Nie brak wszelako i na innych środkach pożywienia, tymi są: zboże, nazywane dużą, i barany na wysokich nogach i bez wełny, których mięso jest wyśmienite.

Znaleźliśmy w Guadamo, wielką ilość Maurów rodem z Hiszpanii. Nie było pomiędzy nimi ani Zegrisów, ani Gomelezów, wiele jednak rodzin szczerze do nas przywiązanych; w każdym razie był to kraj zbiegów. Jeszcze rok nie upłynął, gdy otrzymałem od mego ojca list kończący się tymi słowy: „Matka każe ci powiedzieć, że wróżki są zwykłymi kobietami i że nawet mają dzieci. Zrozumiałem, że moja wróżka była podobną mi śmiertelniczką i myśl ta uspokoiła nieco moją wyobraźnię”.

Gdy szejek domawiał tych słów, jeden z derwiszów oznajmił nam, że wieczerza jest już zastawiona, wesoło więc poszliśmy do stołu.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Nazajutrz nie zaniechałem udać się do kopalni, gdzie przez cały dzień gorliwie wykonywałem rzemiosło górnika. Wieczorem poszedłem do szejka i prosiłem go, aby dalej raczył opowiadać, co też uczynił w tych słowach:

Dalszy ciąg historii szejka Gomelezów

Mówiłem ci, że otrzymałem od mego ojca list, z którego dowiedziałem się, że moja wróżka była kobietą. Znajdowałem się naówczas w Guadamo. Sud-Ahmet wyprawił mnie do Feranu, kraju większego od Guadamo, ale mniej obfitego i gdzie mieszkańcy są wszyscy czarni. Stamtąd udaliśmy się do oazy Ammona, gdzie musieliśmy czekać na wiadomości z Egiptu. Ludzie wysłani przez nas, powrócili w piętnaście dni z ośmioma dromaderami. Chód tych zwierząt był nie do wytrzymania, trzeba go było jednak znosić przez osiem godzin bez przerwy. Po czym zatrzymaliśmy się; dano każdemu dromaderowi kulkę z ryżu, gummy i kawy, wypoczęliśmy przez cztery godziny i znowu ruszyliśmy w dalszą drogę.

Trzeciego dnia stanęliśmy w Baha-be-lama, czyli na morzu bez wody. Była to szeroka dolina piaszczysta i pokryta muszlami, nie spostrzegliśmy żadnego śladu ani roślin, ani zwierząt. Wieczorem przybyliśmy na brzegi jeziora obfitującego w natron²⁴⁰, który jest rodzajem soli. Tam porzuciliśmy naszych przewodników i dromadery i przepędziłem noc sam na sam z Sud-Ahmetem. O świcie przybyło ośmiu krzepkich ludzi, którzy posadzili nas na noszach dla przeniesienia przez jezioro. Postępowali jeden za drugim tam, gdzie bród zdawał się dość wąski. Natron kruszył się pod ich stopami, które jednak, by ochronić się od ran, poobwiązywali skórą. Tym sposobem niesiono nas dłużej niż przez dwie godziny. Jezioro wchodziło w dolinę osłoniętą dwoma skałami z białego granitu, po czym ginęło pod wielkim sklepieniem utworzonym przez naturę, ale ręką ludzką wykończonym.

Tu przewodnicy rozniecili ogień i nieśli nas jeszcze przez jakieś sto kroków, aż do pewnego rodzaju przystani, gdzie czekała na nas łódź. Przewodnicy nasi ofiarowali nam lekki pokarm, sami zaś posilali się, pijąc i kurząc haszysz, czyli wyrób z konopianego nasienia. Następnie rozpalili pochodnię z żywicy, szeroko oświetającą wszystko dokoła, i uczepili ją do steru łodzi. Wsiadliśmy, nasi przewodnicy zmienili się w wioślarzy i przez

²⁴⁰natron (fr., hiszp., z łac.) — soda. [przypis edytorski]

całą resztę dnia płynęli z nami pod ziemią. Nad wieczorem przybyliśmy do zatoki, skąd kanał rozlewał się na kilka koryt. Sud-Ahmet rzekł mi, że tu zaczyna się sławny w starożytności labirynt Ozymandiasa. Dziś pozostała tylko podziemna część gmachu, łącząca się z jaskiniami Luksoru i wszystkimi podziemiami Tebaidy.

Zatrzymano łódź przy wejściu do jednej z zamieszkałych jaskiń, sternik poszedł dla nas po pożywienie, po czym owinęliśmy się w nasze haiki i zasnęliśmy w łodzi.

Nazajutrz znowu wzięto się do wiosł; łódź nasza płynęła pod obszernymi galeriami nakrytymi płaskimi głazami nadzwyczajnego rozmiaru; niektóre z nich całkiem zapisane były hieroglifami. Przybyliśmy nareszcie do portu i wysiedli do miejscowej łodzi. Dowodzący nią wojskowy zaprowadził nas do swego naczelnika, który podjął się przedstawić nas szejkowi Darazów.

Szejk przyjaźnie podał mi rękę i rzekł:

— Młody Andaluzyjczyku, bracia nasi z Kassar-Gomelezu pochlebnie mi piszą o tobie. Oby błogosławieństwo proroka spoczęło na tobie.

Sud-Ahmeta szejk zdawał się znać od dawna. Zastawiono wieczerzę, po czym wpadli jacyś ludzie dziwnie ubrani i zaczęli rozmawiać z szejkiem w języku dla mnie niezrozumiałym. Wyrażali się z gwałtownością, wskazując na mnie, jak gdyby oskarżali mnie o jakąś zbrodnię. Rozejrzałem się za moim towarzyszem podróży, ale ten znikł. Szejk wpadł w niepohamowany gniew na mnie. Porwano mnie, okuto mi łańcuchami ręce i nogi i wrzucono do więzienia.

Była to jaskinia wykuta w skale, tu i ówdzie poprzerwana łączącymi się z sobą wydrążeniami. Lampa oświetlała wejście do mego podziemia, spostrzegłem dwoje przeraźliwych oczu i tuż za nimi straszliwą paszczę uzbrojoną potwornymi zębami. Krokodyl wsunął pół swego ciała do mojej jaskini i groził mi pożarciem. Byłem skrupowany, nie mogłem się ruszyć, odmówiłem więc modlitwę i czekałem śmierci.

Krokodyl jednak był przykuty na łańcuchu; była to próba, na jaką chciano wystawić moją odwagę. Darczy tworzyli wówczas liczną sektę na wschodzie; początek jej odnosi się do pewnego zagorzałego nazwiskiem Daraza, który w istocie był tylko narzędziem Hakema-ben-Rillaha, trzeciego kalifa Fatymitów w Egipcie. Władca ten, znany z swojej bezbożności, usiłował koniecznie przywrócić dawne izyjskie zabobony. Rozkazał się uważać za wcielenie bóstwa i oddawał się najpotworniejszym sprośnościom, do których upoważniał także swoich sektarzy. W owej epoce nie zniesiono jeszcze zupełnie dawnych tajemnic i odprawiano je w podziemiach labiryntu. Kalif kazał się wtajemniczyć, ale upadł w szalonych swoich przedsięwzięciach. Zwolennicy jego, prześladowani, schronili się do labiryntu.

Dziś wyznają najczystszą, ale zastosowaną do sekty Alego, wiarę mahometańską, jaką niegdyś przyjęli byli Fatymici. Przybrali nazwisko Darytów dla uniknięcia powszechnie znienawidzonego miana Hakemitów. Darczy z dawnych tajemnic zostawili tylko zwyczaj wystawiania na próby. Byłem obecny przy kilku i zauważałem środki fizyczne, nad którymi bez wątpienia byliby się zastanowili pierwsi uczeni europejscy; nadto zdaje mi się, że Darczy mają pewne stopnie tajemnic, gdzie wcale już nie chodzi o mahometanizm, ale o rzeczy, o których nie mam żadnego pojęcia. Zresztą do zbadania ich byłem naówczas zbyt młody. Przepędziłem cały rok w podziemiach labiryntu, jeździłem często do Kairu, gdzie stawałem u ludzi tajemnymi związkami z nami połączonych.

Właściwie mówiąc, podróżowaliśmy jedynie dla poznania skrytych nieprzyjaciół wyznania sunnickiego, naówczas panującego. Wybraliśmy się w drogę do Maskaty, gdzie imam wyraźnie oświadczył się przeciw muzułmanom. Znakomity ten duchowny przyjął nas nader uprzejmie, pokazał nam spis wierzących w niego pokoleń arabskich i dowiódł, że z łatwością mógł sunnitów z Arabii wypędzić. Wszelako nauka jego sprzeciwiała się wyznaniu Alego, nie mieliśmy więc z nim nic więcej do działania.

Stamtąd popłynęliśmy do Bassory i przez Szyraz przybyliśmy do państwa Sefiego. Tu w istocie wszędzie znaleźliśmy wyznanie Alego panującym, ale Persowie oddali się rozkoszom, niezgodom domowym i mało co dbali o postęp islamu na zewnątrz ich kraju. Zalecono nam odwiedzenie Izydów, zamieszkujących szczyty Libanu. Nazwę Izydów nadawano różnym rodzajom sekciarzy, ci właściwie znani są pod nazwą „*Muthialis*”. Z Bagdadu więc zwróciliśmy się ku drodze przez pustynię i przybyliśmy do Tradmory, którą wy

nazywacie Palmirą, skąd napisaliśmy do szejka Izydów. Przysłał nam konie, wielbłądy i zbrojny orszak.

Zastaliśmy cały naród zgromadzony w dolinie niedaleko Balbeku. Tam doznaliśmy prawdziwego zadowolenia. Sto tysięcy zagorzalców wyło przekleństwa na Omara i pochwały Alego. Odprawiono pogrzebną uroczystość na cześć Hussejna, syna Alego. Izydowie nożami krajali sobie ramiona, niektórzy nawet uniesieni gorliwością poprzerynali sobie żyły i poumierali, nurzając się we własnej krwi.

Zabawiliśmy u Izydów dłużej, aniżeli się spodziewałem, i otrzymaliśmy nareszcie wiadomości z Hiszpanii. Rodzice moi już nie żyli i szejk przysposobił mnie za syna.

Po czterech latach podróży szczęśliwie na koniec wróciłem do Hiszpanii. Szejk przysposobił mnie ze wszystkimi zwykłymi uroczystościami. Wkrótce uwiadomiono mnie o rzeczach nieznanych nawet sześciu naczelnikom rodzin. Chciano, ażebym został Mahdim. Naprzód miałem się dać uznać na Libanie. Daryci egipscy oświadczyli się za mną, Kairawan także przeszedł na moją stronę; w każdym razie to ostatnie miejsce powinienem być obracać na stolicę. Tam przeniósłszy raz bogactwa Kassar-Gomelezu, wkrótce mogłem zostać najpotężniejszym władcą na ziemi.

Wszystko to było nieźle wymyślane, ale naprzód byłem jeszcze zbyt młody, po wtóre nie miałem żadnego pojęcia o wojnie. Postanowiono więc, że niezwłocznie udam się do wojska ottomańskiego, które naówczas toczyło bój z Niemcami. Obdarzony łagodnym sposobem myślenia, chciałem oprzeć się tym zamiarom, ale trzeba było być posłusznym. Wyprawiono mnie jak na znakomitego wojownika przystało, udałem się do Stambułu i przyłączyłem do orszaku wezyra. Pewien wódz niemiecki, nazwiskiem Eugeniusz, pobił nas na głowę i zmusił wezyra do cofnięcia się za Tanę, czyli Dunaj. Następnie chcieliśmy znowu rozpocząć zaczepną wojnę i przejść do Siedmiogrodu. Postępowaliśmy wzdłuż Prutu, gdy Węgrowie z tyłu na nas wpadli, odcięli od granic kraju i do szczętu rozbili. Dostałem dwie kule w piersi i porzucono mnie na polu bitwy jako poległego.

Koczujący Tatarzy podnieśli mnie, owiązali moje rany i za całe pożywienie dawali mi skwaśniałe nieco kobyle mleko. Napój ten, mogę śmiało rzec, ocalił mi życie; przez rok jednak tak dalece byłem osłabiony, że nie mogłem dosiąść konia i gdy horda zmieniała koczowisko, kładziono mnie na wozie z kilkoma starymi kobietami, które mnie pielęgnowały.

Umysł mój, równie jak ciało, upadł na siłach i nie mogłem ani słowa nauczyć się po tatarsku. Po upływie dwóch lat spotkałem mułłę znającego język arabski. Powiedziałem mu, że jestem Maurem z Andaluzji i że błagam, aby mi pozwolono wrócić do ojczyzny. Mułła przemówił za mną do bana który dał mi pieniądze na podróż.

Dostałem się nareszcie do naszych jaskiń, gdzie od dawna uważano mnie za straconego. Przybycie moje sprawiło powszechną radość, sam tylko szejk nie cieszył się, widząc mnie tak osłabionego i z nadwreżonym zdrowiem. Teraz mniej niż kiedykolwiek byłem zdolny na Mahdiego. Wszelako wysłano do Kairawanu dla wybadania umysłów, chciano bowiem czym prędzej rozpocząć.

Po sześciu tygodniach wrócił poseł. Wszyscy otoczyli go z nadzwyczajną ciekawością, gdy wtem w samym środku swego opowiadania padł zemdlony. Udzielono mu pomocy, odzyskał przytomność, chciał mówić, ale nie mógł zebrać myśli. Zrozumiano tylko, że w Kairawanie panowała zaraza. Chciano go oddalić, ale już było za późno: dotykano podróznego, przenoszono jego rzeczy i od razu wszyscy mieszkańcy jaskiń ulegli straszliwej klęsce.

Była to sobota. Następnego piątku, gdy Maurowie z dolin zeszli się na modlitwę i przynieśli dla nas żywność, zastali tylko trupy, pośród których ja czołgałem się z wielką narością²⁴¹ pod lewą piersią. Uniknąłem jednak śmierci.

Nie lękając się już zarazy, wziąłem się do grzebania umarłych. Rozbierając sześciu naczelników rodzin, znalazłem sześć pasków pergaminowych, złożyłem je i tak odkryłem tajemnicę o niewyczerpanej kopalni. Szejk przed śmiercią otworzył wodociąg, spuściłem więc wodę i przez jakiś czas napawałem się widokiem moich bogactw, nie śmiejąc

²⁴¹narość — zgrubienie na powierzchni ciała lub narządu (także u roślin: zgrubienie pnia) będące objawem jakiegoś schorzenia. [przypis edytorski]

ich dotknąć. Życie moje było okropnie burzliwe, potrzebowałem spoczynku i godność Mahdiego nie miała dla mnie żadnego powabu.

Zresztą nie posiadałem tajemnicy sposobu porozumiewania się z Afryką. Mahometanie mieszkający w dolinie postanowili odtąd modlić się u siebie, byłem więc sam w całym podziemiu. Zalałem znowu kopalnię, pozabierałem klejnoty znalezione w jaskini, wymyłem je starannie w occie i udałem się do Madrytu jako mauretański kupiec klejnotów z Tunisu.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem miasto chrześcijańskie; zdziwiła mnie wolność kobiet i zgorzony byłem lekkomyślnością mężczyzn. Z utęsknieniem wdychałem za przesiedleniem się do jakiegoś miasta mahometańskiego. Chciałem oddalić się do Stambułu, żyć tam w zbyt kownym zapomnieniu i kiedy niekiedy powracać do jaskiń dla odnowienia moich funduszy.

Takie były moje zamiary. Myślałem, że nikt nic o mnie nie wie; ale myliłem się. Aby bardziej wyglądać na kupca, udawałem się na publiczne przechadzki i rozkładałem tam moje klejnoty. Ustanawiałem na nie stałą cenę i nigdy nie wdawałem się w żadne targi. Postępowanie to zjednało mi powszechną wziętość i zapewniło korzyści, o jakie wcale nie dbałem. Tymczasem gdziekolwiek się ruszyłem, czy to do Prado, czy też do Buen-Retiro albo w jakiegokolwiek inne publiczne miejsce, wszędzie ścigał mnie jakiś człowiek, którego bystre i przenikliwe oczy zdawały się czytać w mojej duszy.

Bezustanne spojrzenia tego człowieka wprawiały mnie w niewypowiedzianą niespokojność.

Szejk zamyślił się, jakby przypominał sobie doznane wrażenia, wtem dano znać, że wieczera jest na stole, odłożył zatem dalsze opowiadanie na dzień następny.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Poszedłem do kopalni i znowu oddałem się mojej pracy. Wykułem już znaczną ilość najpiękniejszego złota; w nagrodę za moją pilność wieczorem szejk tak dalej jął rozpowiadać.

Dalszy ciąg historii szejka Gomelezów

Mówiłem ci, że będąc w Madrycie, gdziekolwiek się obróciłem, jakiś nieznajomy ciągle ścigał mnie wzrokiem i nieustannymi spojrzeniami napelniał mnie niewypowiedzianą niespokojnością. Pewnego wieczora postanowiłem nareszcie odezwać się do niego.

— Czego chcesz ode mnie? — rzekłem mu. — Czy chcesz mnie pożyć wzrokiem? Co masz ze mną do czynienia?

— Nic — odpowiedział nieznajomy — chcę cię tylko zamordować, jeżeli wydasz tajemnicę Gomelezów.

Kilka tych słów, objaśniło mi moje położenie. Widziałem, że trzeba było wyrzec się spoczynku i posępna niespokojność, nieodstępna towarzysząca wszystkich skarbów, oładnęła moim umysłem.

Było już późno, nieznajomy zaprosił mnie do siebie, kazał zastawić wieczerę, następnie zamknął starannie drzwi i padając przede mną na kolana, rzekł:

— Władco jaskini, przyjmij mój hold; ale jeżeli uchybisz twoim obowiązkom, zamorduję cię jako Billah-Gomelez zamordował niegdyś Sefiego.

Poprosiłem mego nadzwyczajnego wasalą, aby raczył podnieść się, usiąść i opowiedział mi, kim jest. Nieznajomy, posłuszny moim życzeniom, zaczął w te słowa:

Historia rodu Uzedów

Ród nasz jest jednym z najdawniejszych w świecie, ale ponieważ nie lubimy szczyścić się naszym pochodzeniem, poprzestajemy więc na wywodzeniu naszego początku od Abiszuaha, syna Fineasza, wnuka Eleazara i prawnuka Aarona, który był bratem Mojżesza i wielkim kapłanem Izraela. Abiszuah był ojcem Bukiego, dziadem Uzego, pradziadem Serajaha, prapradziadem Merajota, który był ojcem Amariaha, dziadem Achimanza i pradziadem Azariaha drugiego.

Azariah był wielkim kapłanem sławnej świątyni Salomona i pozostawił po sobie pamiętniki, które kilku z jego potomków dalej prowadziło. Salomon tyle uczyniwszy dla czci Adonaj, zbeczczył nareszcie swoją starość, pozwalając swoim żonom publicznie oddawać cześć bałwanom. Azariah, chciał z początku groźnie wystąpić przeciw tej zbrodniczej bezbożności, ale namyślił się i pojął, że monarchowie na starość muszą przecie mieć jakieś względy dla swoich małżonek. Przez szpary więc patrzył na nadużycia, którym nie mógł zapobiec i umarł wielkim kapłanem.

Azariah był ojcem Amariaha drugiego, dziadem Sadoka, pradiadem Achituba, pradziadem Szalluma, który był ojcem Szylliaha, dziadem Azariaha trzeciego, pradiadem Serujaha i prapradziadem Jozedeka zaprowadzonego do niewoli babilońskiej.

Jozedek miał brata młodszego nazwiskiem Obadjah²⁴², od którego my właśnie pochodzimy. Ten nie miał jeszcze piętnastu lat, gdy oddano go do orszaku paziów i zamieniono mu nazwisko na Sabdek²⁴³. Byli tam i inni młodzi Hebrajczycy, którym także pozmieniano nazwiska. Czterech spośród nich nie chciało jadać z kuchni królewskiej z powodu nieczystości mięs, jakie w niej gotowano; żywili się więc korzonkami i wodą, niemniej jednak byli tłuści, Sabdek sam zjadał przeznaczone dla nich potrawy, pomimo to jednak coraz bardziej chudł²⁴⁴.

Nabuchodonozor był wielkim monarchą, ale może nieco zbyt pobłażającym swej dumie. Widział był w Egipcie kolosy na sześćdziesiąt stóp wysokości, polecił więc aby wykuto jego posąg tego samego rozmiaru i ozłocono go, a następnie rozkazał wszystkim padać przed nim na kolana. Młodzi hebrajczycy, którzy nie chcieli jeść mięsa nieczystego, również odmówili bicia posągowi pokłonów. Sabdek, nie zważając na to, gorliwie się kłaniał, nadto we własnoręcznych pamiętnikach przykazał swoim potomkom, aby zawsze kłaniali się przed królami, ich posągami, ulubieńcami, kochankami, a nawet przed ich pieskami. Obadjah, czyli Sabdek, był ojcem Salatiela żyjącego za czasów Kserksesa, którego powinniście nazywać Szyroesem, Żydzi zaś nazywali Ahaszejrysem. Król ten perski miał brata nazwiskiem Aman, człeka dziwnie dumnego i wyniosłego. Aman ogłosił, że kto tylko nie zechce bić mu pokłonów, zostanie powieszony. Salatiel pierwszy padał przed nim na twarz, gdy zaś powieszono Amaną, Salatiel znowu pierwszy kłaniał się przed Mardochejem. Salatiel był ojcem Malachiela i dziadem Zafada, który mieszkał w Jerozolimie, właśnie gdy Nehemias był rządcą miasta. Kobiety i dziewczęta żydowskie nie były bardzo zachwycające, przekładano nad nie Moabitki i Aszodanki. Zafad zaślubił dwie Aszodanki. Nehemias przeklął go, wytłukł pięściami, a nawet, jak sam ten święty człowiek mówi w swojej historii, wyrwał mu garść włosów z brody. Wszelako Zafad w pamiętnikach swoich poleca swoim potomkom, aby wcale nie zważali na zdanie Żydów, gdy im się inne jakieś kobiety podobają.

Zafad był ojcem Naassona, dziadem Elfada, pradiadem Zorobita, który był ojcem Eluhana i dziadem Uzabita; ten ostatni żył w czasach, gdy Żydzi zaczęli się burzyć przeciwko Machabeuszom. Uzabit z natury był nieprzyjacielem wojny, zabrał więc, co miał, i schronił się do Kaziatu, miasta hiszpańskiego, zamieszkanego wówczas przez Kartagińczyków.

Uzabit był ojcem Jonatana i dziadem Kalamila, który dowiedziawszy się, że w kraju wszystko się uspokoiło, wrócił do Jerozolimy, wszelako zachował dom swój w Kaziacie i inne majątki, które nabył w okolicach tego miasta. Przypominasz sobie, że za niewoli babilońskiej ród nasz rozpadł się na dwie gałęzie. Jozedek, głowa starszej linii, był uczciwym i pobożnym Izraelitą, wszyscy też potomkowie jego poszli w jego ślady. Nie pojmując dlaczego między obecnymi liniami powstała tak zacięta nienawiść, że starsza musiała wynieść się do Egiptu i tam poświęciła się służbie Boga izraelskiego w świątyni wzniesionej przez Oniasa. Linia ta wygasła lub raczej zatrzymała się na osobie Ahaswera, znanego pod nazwiskiem Żyda Wiecznego Tułacza.

²⁴²Obadjah — w innym oprac. Obadiusz. [przypis edytorski]

²⁴³Sabdek — w innym oprac. Sabdiel. [przypis edytorski]

²⁴⁴Czterech (...) nie chciało jadać z kuchni królewskiej z powodu nieczystości mięs (...) jednak coraz bardziej chudł — fragment mylnie zrozumiany przez tłumacza; za nowym tłumaczeniem (Anny Wasilewskiej, 2016): „nie chcieli jadać w kuchnikrólewskiej, ponieważ podawano tam gotowane mięso, od którego tyli. Sabdiel zjadł również ich porcję i też nie schudł”. [przypis edytorski]

Kalamil był ojcem Elifaza, dziadem Eliazuba i pradziadem Efraima, za którego czasów podobało się cesarzowi Kaliguli umieścić swój posąg w świątyni jerozolimskiej. Zebrał się cały Sanhendryn; Efraim, który także należał do jego składu, przekonywał, żeby umieszczono w świątyni nie tylko posąg cesarza, ale i jego konia, który był już konsulem; Jerozolima wszelako wzburzyła się przeciw prokonsulowi Petroniuszowi i cesarz zaniechał swoich zamiarów.

Efraim był ojcem Nabaiotha, za którego Jerozolima powstała przeciw Wespazjanowi. Nabaioth nie czekał wypadków i przeniósł się do Hiszpanii, gdzie, jak mówiłem, posiadaliśmy znaczne majątki. Nabaioth był ojcem Juzuba, dziadem Simrona i pradziadem Refaiaha, który był ojcem Jehemiasza, ten zaś został nadwornym astrologiem Gundryka, króla Wandalów.

Jehemiasz był ojcem Ezebona, dziadem Uzego i pradziadem Jerimotha, który był ojcem Amathota i dziadem Almetha. Za czasów tego ostatniego Jusuf Ben Taher wkroczył do Hiszpanii w celu podbicia i nawrócenia kraju. Almeth stawił się przed wodzem mauretańskim, prosząc go, aby mu dozwolił przejść na wiarę Proroka.

— Wiesz zapewne mój przyjacielu — odpowiedział mu wódz — że w dniu sądu ostatecznego wszyscy Żydzi zostaną przemienieni w osły i będą wiernych przenosić do rajów, gdybyś zatem przeszedł na naszą wiarę, mogłoby nam kiedyś zabraknąć wierzchowców.

Odpowiedź ta nie była zbyt grzeczna, Almet jednak pocieszył się przyjęciem, jakiego doznał od Masuda, brata Jusupowego. Ten zatrzymał go przy sobie i wysyłał z różnymi poleceniami do Afryki i Egiptu. Almet był ojcem Sufiego, dziadem Guniego i pradziadem Jesserà, który był ojcem Szalluma, pierwszego szarafa, czyli podskarbiego na dworze Mahdiego.

Szallum osiedlił się w Kairawanie i miał dwóch synów, Mahira i Mahaba. Pierwszy pozostał w Kairawanie, drugi zaś przybył do Hiszpanii, wszedł w służbę Kassar-Gomelezów i utrzymywał związki pomiędzy nimi a Egiptem i Afryką.

Mahab był ojcem Jofeleta, dziadem Malkiela, pradziadem Behreza i prapradziadem Dehoda, który był ojcem Sachamera, dziadem Snaha, pradziadem Achiego, prapradziadem Berego, który miał syna Abdona.

Abdon, widząc, że wypędzano Maurów z całej Hiszpanii, na dwa lata przed zdobyciem Grenady, przeszedł na wiarę chrześcijańską. Król Ferdynand trzymał go do chrztu. Pomimo to jednak Abdon pozostał w służbie Gomelezów, w starości wyparł się nazarejskiego proroka i powrócił do wiary przodków.

Abdon był ojcem Mehritala i dziadem Azela, za którego to Billah, ostatni prawodawca mieszkańców jaskiń, zamordował Sefiego.

Pewnego dnia szejk Billah kazał wezwać Azela i w te słowa się do niego odezwał:

— Wiesz, że zamordowałem Sefiego. Prorok mu tę śmierć przeznaczył, chcąc kiedyś powrócić kalifat rodowi Alego. Utworzyłem więc stowarzyszenie złożone z czterech rodzin, Izydów na Libanie, Khalilów w Egipcie i Ben-Arazów w Afryce. Naczelnicy trzech powyższych rodzin przyrzekają za siebie i swoich potomków, że kolejno co trzy lata będą do naszych jaskiń przysyłać człowieka odważnego, mądrego, znającego świat, przezornego, a nawet chytrego. Obowiązkiem jego będzie doglądanie, czy wszystko w jaskiniach znajduje się w należyтым porządku, w razie zaś wykroczenia przeciw przepisom będzie miał prawo zamordować szejka, sześciu naczelników rodzin, jednym słowem: wszystkich, którzy by okazali się winni. W nagrodę za swoją służbę dostanie siedemdziesiąt tysięcy sztuk czystego złota czyli, po waszemu licząc, sto tysięcy cekinów.

— Potężny szejku — odpowiedział Azel — wymieniłeś trzy tylko rodziny, któraż będzie czwartą?

— Twoja — rzekł Billah — i otrzymasz za to corocznie trzydzieści tysięcy sztuk złota, musisz jednak podjąć się utrzymywania związków, pisania listów, a nawet wejść w skład zarządu jaskini. Gdybyś w czymkolwiek uchybił, jedna z trzech rodzin obowiązana jest natychmiast cię zamordować.

Azel chciał namyślać się, ale zwyciężyła w nim chęć złota, zobowiązał się więc za siebie i za swoich potomków. Azel był ojcem Gorszona. Trzy wtajemniczone rodziny co trzy lata odbierały siedemdziesiąt tysięcy sztuk złota. Gerszon był ojcem Mamuna czyli moim. Wierny zobowiązaniom mego dziada, gorliwie służyłem władcom jaskini, nawet od czasu zarazy z moich własnych funduszków wypłaciłem Ben-Azarom ich siedemdziesiąt tysięcy

sztuk złota. Teraz przychodzę ci złożyć hołd i zapewnienie niezmiennej mojej wierności.

— Zacny Mamunie — rzekłem — ulituj się nade mną! Mam już dwie kule w pierśiach i wcale nie jestem zdolnym ani na szejka ani na Mahdiego.

— Co się tyczy Mahdiego — odpowiedział Mamun — bądź spokojnym, nikt już o nim nie myśli, wszelako nie możesz odmówić przyjęcia godności i obowiązków szejka, jeżeli nie chcesz za trzy tygodnie, ty, a nawet i twoja córka, być zamordowanym przez Khabilów.

— Moja córka? — zawołałem zdziwiony.

— Nie inaczej — rzekł Mamun — ta sama, którą miałeś z wrózką.

Oznajmiono wieczerzę i szejek przerwał swoje opowiadanie.

DZIEŃ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Jeszcze jeden dzień przepędziłem w kopalni, wieczorem zaś szejek, ulegając moim prośbom, tak dalej jał mówić.

Dalszy ciąg historii szejka Gomelezów

Nie było co czynić, rozpoczęliśmy więc z Mamunem dawne działania Kassar-Gomelezów, mianowicie związki z Afryką i z ważniejszymi rodzinami hiszpańskimi. Sześć rodzin mauretańskich osiedliło się w jaskiniach; ale Gomelezom afrykańskim źle się wiodło, dzieci płci męskiej umierały lub rodziły się niedołączone na umyśle. Ja sam z dwunastu moich żon miałem tylko dwóch synów, którzy obaj poumierali. Mamun namówił mnie do uczynienia wyboru między Gomelezami chrześcijańskimi, a nawet pomiędzy tymi, którzy po kądzieli z naszej krwi pochodzili i mogli przejść na wiarę proroka.

Tym sposobem Velasquez miał prawo być przez nas przysposobiony; przeznaczyłem mu za żonę moją córkę, tę samą Rebekę, którą widziałeś w obozie Cyganów. Wychowywała się ona u Mamuna, który wyuczył ją różnych nauk i kabalistycznych wyrażeń.

Po śmierci Mamuna syn jego nastąpił w zamku Uzedy; z nim to ułożyliśmy wszystkie szczegóły twego przyjęcia. Spodziewaliśmy się, że przejdiesz na wiarę mahometańską lub przynajmniej że zostaniesz ojcem, i pod tym ostatnim względem ziściły się nasze nadzieje. Dzieci, które kuzynki twoje noszą w swych łonach, będą przez wszystkich uważane za pochodzące z najczystszej krwi Gomelezów.

Miałeś przybyć więc do Hiszpanii. Don Enriquez de Sa, rządca Kadyksu, który jest jednym z wtajemniczonych, polecił ci Lopeza i Moskita, którzy porzucili cię przy źródle Alcornoquez. Pomimo to odważnie postępowaleś dalej aż do Venta Quemada, gdzie zastałeś twoje kuzynki; ale z pomocą usypiającego napoju nazajutrz obudziłeś się pod szubienicą braci Zota. Stamtąd przybyłeś do mojej pustelni, gdzie znalazłeś straszliwego opętańca Paszeka, który w istocie jest tylko skoczkiem biskajskim. Nieborak wybił sobie jedno oko, wykonywając niebezpieczny skok i jako kaleka uciekł się do naszego miłosierdzia. Myślałem, że smutna jego historia sprawi na tobie jakiekolwiek wrażenie i że zdradzisz tajemnicę zaprzysiężoną twoim kuzynkom; ale dotrzymałeś wiernie słowa honoru. Nazajutrz wystawiliśmy cię na daleko straszliwszą próbę. Fałszywa inkwizycja groziła ci najokropniejszymi katuszami, nie mogła jednak zachwiać twojej odwagi.

Pragnęliśmy bliżej cię poznać i sprowadziliśmy cię do zamku Uzedy. Tam z wzniesienia ogrodowego zdawało ci się, żeś poznał twoje dwie kuzynki, one to były w istocie, wszedłszy atoli do namiotu Cygana, ujrzałeś tylko jego córki z którymi, bądź przekonany, że nic nie miałeś do czynienia.

Musieliśmy dość długo zatrzymywać cię między nami i obawialiśmy się, abyś się nie nudził. Wynajdowaliśmy ci więc różne rozrywki, i tak na przykład: Uzeda z rękopisów rodzinnych wyuczył jednego starca z moich podwładnych historii Żyda Wiecznego Tulacza, którą ten wiernie ci opowiedział. Tym razem przyjemność połączona była z nauką.

Teraz znasz już całą tajemnicę naszego podziemnego życia, które zapewne niedługo już będzie trwało. Wkrótce usłyszysz, że trzęsienia ziemi zaburzyły te góry; w tym celu przygotowaliśmy niezmiernie zapasy palnych materiałów, ale będzie to już ostateczna nasza ucieczka.

Idź więc teraz, Alfonsie, tam, gdzie cię świat wzywa. Otrzymałeś od nas weksel na nieograniczoną sumę, stosownie przynajmniej do żądań, jakie upatrzyliśmy w tobie, pamiętaj, że wkrótce zapewne zabraknie podziemi, myśl więc o zapewnieniu sobie niezawisłego losu. Bracia Moro zapewnią ci do tego środki. Jeszcze raz żegnam cię, uściskaj twoje małżonki. Schodki te, o dwóch tysiącach stopni, zaprowadzą cię do zwalisk Kasar-Gomelezu, gdzie znajdziesz przewodników do Madrytu. Żegnam cię, żegnam.

Ruszyłem po kręconych schodkach i zaledwie ujrzałem światło słoneczne, gdy zarazem spostrzegłem dwóch moich służących, Lopeza i Moskita, którzy porzucili mnie byli²⁴⁵ przy źródle Alcornquez. Obaj z radością ucałowali moje ręce i zaprowadzili mnie do starej wieży, gdzie mnie już oczekiwała wieczerza i wygodne posłanie.

Następnego dnia bez zatrzymywania udaliśmy się w dalszą drogę. Wieczorem przybyliśmy do wenty w Cardegnas, gdzie zastałem Velasqueza zagłębionego w jakimś zagadnieniu wyglądającym z pozoru na coś na kształt kwadratury koła. Znakomity matematyk z początku nie mógł mnie poznać i musiałem powoli przywozić mu na pamięć wszystkie wypadki, które zaszły podczas jego pobytu w Alpuharze. Wtedy uściskał mnie, wynurzając radość, jakiej doznał z mego spotkania, ale zarazem oświadczył mi boleść, z jaką musiał rozstać się z Laurą Uzeda, tak bowiem nazywał Rebekę.

ZAKOŃCZENIE

Dnia 20 czerwca roku 1739 przybyłem do Madrytu. Nazajutrz po moim przyjeździe otrzymałem od braci Moro list z czarną pieczęcią, co zapowiadało mi jakiś nieszczęsny wypadek. W istocie, dowiedziałem się z niego, że ojciec mój umarł, dotknięty nagłym uderzeniem krwi, matka zaś, wydzierżawiwszy posiadłość naszą Worden, oddaliła się do jednego z klasztorów brukselskich, gdzie chciała spokojnie żyć ze swego dożywocia.

W dzień potem sam Moro przyszedł do mnie, zalecając mi jak najściślejsze dochowanie tajemnicy.

— Dotąd — rzekł — znasz *señor* tylko pewną część naszych tajemnic, ale wkrótce dowiesz się o wszystkim. W obecnej chwili wszyscy wtajemniczeni zajmują się w jaskiniach umieszczaniem swoich funduszy po rozmaitych krajach i gdyby którykolwiek z nich stracił je nieszczęsnym wypadkiem, naówczas wszyscy przybylibyśmy mu na pomoc. *Señor* miałeś stryja w Indiach, który umarł, nic prawie ci nie zostawiwszy. Puściłem pogłoskę, że odziedziczyłeś znaczny spadek, ażeby nikt nie dziwił się twoim nagłym bogactwom. Trzeba będzie zakupić majątki w Brabancie, w Hiszpanii, a nawet w Ameryce, pozwolisz, że ja się tym zajmę. Co się tyczy ciebie, *señor*, znam twoją odwagę i nie wątpię, że wsiądziesz na okręt św. Zachariasza, który odpływa z posiłkami do Kartaginy, zagrożonej przez admirała Wernona. Ministerium angielskie wcale nie pragnie wojny, opinia publiczna usilnie je tylko do niej skłania. Pokój jednak jest bliski i jeżeli opuścisz tę sposobność przypatrzenia się wojnie, zapewne drugiej tak łatwo nie znajdziesz.

Przedstawiany mi przez Mora zamiar był już od dawna ułożony przez moich opiekunów. Wsiadłem na okręt z moją rotą, która wchodziła w skład batalionu wybranego z różnych pułków. Podróż udała nam się pomyślnie; przybyliśmy w sam czas i zamknęliśmy się w twierdzy z mężnym Eslebą. Anglicy odstąpili od oblężenia i roku 1740, w miesiącu marcu, powróciłem do Madrytu.

Będąc raz na służbie u dworu, spostrzegłem wśród orszaku królowej młodą kobietę, w której natychmiast poznałem Rebekę. Powiedziano mi, że to pewna księżniczka z Tunisu, która dla przejścia na naszą wiarę uciekła z własnego kraju. Król trzymał ją do chrztu i nadał jej tytuł księżniczki z Alpuhary, po czym książę Velasquez zażądał jej ręki. Rebeka spostrzegła, że mi o niej mówiono, rzuciła mi więc błagalne spojrzenie, abym dochował tajemnicy.

Następnie dwór przeniósł się do St. Ildefonso, ja zaś z moją rotą stanąłem na kwaterze w Toledo.

²⁴⁵porzucili mnie byli — daw. forma czasu zaprzeczonego, oznaczającego czynność wcześniejszą od wyrażonej czasem przeszłym prostym; znaczenie: porzucili mnie uprzednio. [przypis edytorski]

Nająłem dom w ciasnej uliczce niedaleko rynku. Naprzeciwko mnie mieszkały dwie kobiety, z których każda miała dziecię, mężowie zaś ich, jak utrzymywano, oficerowie z marynarki, znajdowali się wówczas na morzu. Kobiety te żyły w zupełnym odosobnieniu i zdawały się zajmować wyłącznie swymi dziećmi, które w istocie piękne były jak aniołki. Przez cały dzień obie matki kołysały je tylko, kąpały, ubierały i karmiły. Wzruszający ten widok macierzyńskiego przywiązania z każdym dniem coraz bardziej tak dalece mnie zajmował, że nie mogłem odejść od okna. Wprawdzie powodowała mną i ciekawość, rad bym był bowiem przypatrzeć się twarzom moich sąsiadek, które zawsze pilnie zasłaniały. Tak upłynęło piętnaście dni. Pokój wychodzący na ulicę należał do dzieci i kobiety w nim nie jadały, pewnego jednak wieczora spostrzegłem, że nakrywano w nim stół i przygotowywano niby jakąś uroczystość.

Przy końcu stołu obszerne krzesło ozdobione wieńcem z kwiatów oznaczało miejsce króla tej uroczystości, po obu stronach postawiono wysokie stolki, na których posadzono dzieci. Następnie przyszły moje sąsiadki i skinieniem rąk zaczęły prosić mnie, abym je odwiedził. Wahałem się, nie wiedząc, co mam poczuć, gdy wtem odsłoniły zasłony i poznałem Eminę i Zibelę. Przepędziłem z nimi sześć miesięcy.

Tymczasem sankcja pragmatyczna i spory o dziedzictwo Karola VI zapaliły w Europie wojnę, w której niebawem i Hiszpania czynny przyjęła udział. Opuściłem więc moje kuzynki i poszedłem na adiutanta do infanta don Felipe. Przez cały czas wojny zostawałem przy boku tego księcia, po zawarciu zaś pokoju mianowano mnie pułkownikiem.

Byliśmy we Włoszech. Komisant domu braci Moro przybył do Parmy dla ściągnięcia niektórych funduszy i uporządkowania pieniężnych spraw tego księstwa. Pewnej nocy człowiek ten przyszedł do mnie i tajemniczo oświadczył, że z niecierpliwością oczekiwano mnie w zamku Uzedy i że powinienem być natychmiast wybrać się w podróż. Przy tych słowach wskazał mi zarazem jednego z wtajemniczonych, którego miałem spotkać w Malaca.

Pożegnałem infanta, w Liworno wsiadłem na okręt i po dziesięciu dniach żeglugi, przybyłem do Malaca. Wzmiankowany człowiek, uprzedzony o moim przybyciu, czekał już na mnie w przystani. Tego samego dnia wyjechaliśmy i nazajutrz stanęliśmy w zamku Uzedy.

Zastałem tam liczne zgromadzenie; naprzód szejka, córkę jego Rebeke, Velasqueza, kabalistę, Cygana z dwiema córkami i zięciami, trzech braci Zotów, mniemanego opętańca, wreszcie kilkunastu mahometan z trzech wtajemniczonych rodzin. Szejk oznajmił, że ponieważ zebraliśmy się wszyscy, natychmiast zatem udamy się do podziemia.

W istocie, jak tylko noc zapadła, wyruszyliśmy w drogę i przybyliśmy o świcie. Zeszliśmy do podziemia i przez jakiś czas oddaliśmy się spoczynkowi.

Następnie szejk zgromadził nas razem i tymi słowy odezwał się, powtarzając to samo po arabsku dla wiadomości mahometan:

— Kopalnie złota, które od tysiąca blisko lat stanowiły, że tak powiem, majątek naszej rodziny, zdawały się niewyczerpane. W tym to przekonaniu przodkowie nasi postanowili obrócić dobyte z nich złoto na rozszerzenie islamu, zwłaszcza zaś wyznania Alego. Byli oni jedynie przechowywaczami tego skarbu, którego straż kosztowała ich tyle trudów i zabiegów; ja sam doznałem w mym życiu tysiące najokropniejszych niespokojności. Pragnąc raz wyłamać się z obawy, która z każdym dniem stawała mi się nieznośniejszą, chciałem przekonać się, czyli kopalnia rzeczywiście była niewyczerpana. Przenurkowałem skałę w kilku miejscach i odkryłem, że żyła złota zewsząd dochodziła już końca. *Señor* Moro raczył zająć się obliczeniem powstałych nam bogactw i ilości na każdego z nas przypadającej. Pokazało się z rachunku, że każdy z głównych spadkobierców otrzyma milion cekinów, współpracownicy zaś po pięćdziesiąt tysięcy. Wydobyto całe złoto i złożono je w oddalonej stąd jaskini. Naprzód zaprowadzę was do kopalni, gdzie przekonacie się o prawdzie słów moich; następnie każdy przystąpi do odebrania swojej części.

Zeszliśmy kręconymi schodkami, przybyliśmy do grobowca, stamtąd zaś do kopalni, którą w istocie znaleźliśmy zupełnie wyczerpaną. Szejk naglił nas do jak najspiesniejszego powrotu. Stanąwszy na górze, usłyszeliśmy straszliwy wybuch. Szejk oznajmił nam, że materię palną wysadzili w powietrze całą część podziemia, z której tylko cośmy byli wyszli.

Następnie udaliśmy się do jaskini, gdzie złożono resztę złota. Afrykanie odebrali swoje części, Moro zaś podjął moją i wszystkich prawie Europejczyków.

Wróciłem do Madrytu i przedstawiłem się królowi, który przyjął mnie z niewypowiedzianą dobrocią. Zakupiłem znaczne posiadłości w Kastylii; mianowano mnie hrabią Peña-Florida i zasiadłem pomiędzy pierwszymi kastylijskimi *titolados*.

Przy moich bogactwach moje zasługi także nabrały większej wartości. W trzydziestym szóstym roku życia zostałem generałem.

W roku 1760 powierzono mi dowództwo nad eskadrą z poleceniem zawarcia pokoju z mocarstwami berberyjskimi. Popłynąłem naprzód do Tunisu, spodziewając się, że tam znajdę najmniej trudności i że przykład tego państwa drugie za sobą pociągnie. Zarzuciłem kotwicę w przystani pod miastem i wysłałem oficera z oznajmieniem o moim przybyciu. Wiedzano już o tym w mieście i całą zatokę Golety pokrywały strojne łodzie, które wraz z moim orszakiem miały mnie przewieźć do Tunisu.

Nazajutrz przedstawiano mnie dejowi. Był to dwudziestoletni młodzieniec zachwycającej postaci. Przyjęto mnie z wszelkimi szczytami i otrzymałem zaproszenie na wieczór do zamku nazwanego Mazubą. Zaprowadzono mnie do odległego kiosku w ogrodzie i drzwi za mną na klucz zamknięto. Otworzyły się tajemne drzwiczki, dej wszedł, przykląkł na jedno kolano i pocałował mnie w rękę.

Drugie drzwiczki skrzypnęły i ujrzałem wchodzące trzy zasłonięte kobiety. Odrzuciły zasłony, poznałem Eminę i Zibelę. Ta ostatnia prowadziła za rękę młodą dziewczynę, moją córkę. Emina była matką młodego deja. Nie będę opisywał, do jakiego stopnia obudziło się we mnie uczucie ojcowskiego przywiązania. Radość moją mieszała tylko myśl, że dzieci moje wyznawały wiarę nieprzyjazną mojej. Dałem poznać bolesne to uczucie.

Dej wyznał mi, że mocno jest przywiązany do swojej religii, że jednak siostra jego, Fatima, wychowana przez niewolnicę Hiszpankę, w głębi duszy była chrześcijanką.

Postanowiliśmy między nami, że córka moja przesiedli się do Hiszpanii, przyjmie tam chrzest i zostanie moją dziedziczką.

Wszystko to stało się w przeciągu roku.

Król raczył trzymać Fatimę do chrztu i nadał jej tytuł księżniczki Oranu. Następnego roku zaślubiła najstarszego syna Velasqueza i Rebeki, o dwa lata od niej młodszego.

Zapewniłem jej cały mój majątek, dowiódłszy, że nie miałem bliskich krewnych po ojcu i że młoda Mauretanka, spokrewniona ze mną przez Gomelezów, była jedyną moją spadkobierczynią. Chociaż jeszcze młody i w sile wieku, pomyślałem jednak o miejscu, które by mi pozwoliło zakosztować słodczy spoczynku. Wielkorządztwo Saragossy było wolne, poprosiłem o nie i otrzymałem.

Podziękowawszy i pożegnawszy Jego Królewską Mość, udałem się do braci Morów, prosząc o oddanie mi zapieczętowanego zwoju, który przed dwudziestoma pięcioma laty u nich złożyłem. Był to dziennik sześćdziesięciu pierwszych dni mego pobytu w Hiszpanii²⁴⁶.

Przepisałem go własną ręką i złożyłem w żelaznej szkatułce, gdzie go kiedyś znajdą moi spadkobiercy.

²⁴⁶Był to dziennik sześćdziesięciu pierwszych dni mego pobytu w Hiszpanii — zdanie to stanowi ślad wersji utworu J. Potockiego z 1810 roku i pozostaje w sprzeczności z nowym podziałem, jaki widzimy w tłumaczeniu sygnowanym przez Edmunda Chojeckiego, mianowicie na 66 dni. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rekopis-znaleziony-w-saragossie>

Tekst opracowany na podstawie: Jan Potocki, *Rękopis znaleziony w Saragossie*. Romans wydany pośmiertnie z dzieł HR Jana Potockiego, Wydanie J.N. Bobrowicza, Nakładem Księgarni Zagranicznej, Lipsk 1847.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Uniwersytecką w Toruniu z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksander Brückner, Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6762-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.